
3 1761 07038169 4


VELUT ARBOR ÆVO



BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXXI.

HISTORJA POWSTANIA

W 1831 ROKU

NA

WOŁYNIU, PODOLU, UKRAINIE, ŻMUDZI I LITWIE

PRZEZ

FELIKSA WROTNOWSKIEGO.

TOM I.

POWSTANIE NA WOŁYNIU, PODOLU I UKRAINIE.



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1875.

POWSTANIE

NA

WOLYNIU, PODOLU I UKRAINIE

W ROKU 1831.

OPISANE PODŁUG PODAŃ DOWÓDZCÓW I WSPÓŁUCZESTNIKÓW TEGOŻ POWSTANIA

PRZEZ

FELIKSA WROTNOWSKIEGO.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

—

1875.


LIBRARY
NOV 25 1968
UNIVERSITY OF TORONTO

TREŚĆ I WSKAZÓWKA RZECZY.

WSTĘP.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

CZĘŚĆ DRUGA.

WSTĘP.

ZIEMIE RUSKIE.

I.

Ta część Polski, która w dzisiejszym składzie państwa rosyjskiego stanowi trzy gubernje: wołyńską kijowską i podolską, od czasu rozszarpania ojczyzny naszej, dla różnych względów poczęła być niejako osobną całością. Dawniejsze straty odłączyły od niej lewy brzeg Dniepra; ostateczny rozbiór kraju odciął Galicję; urządzenia wewnętrzne pod berłem carów, odróżniały zawsze ją od Litwy; nieszczęście nakoniec sprawiło, że i w powstaniu norodowem przyszło jej występować oddzielnie. Stąd wynikła potrzeba odosobnionym przez wypadki prowincjom nadać jakieś jedno osobne imię: upowszechnił się zwyczaj pod zbiorowem nazwiskiem Ziem Ruskich rozumieć szczególniej Wołyń, Ukrainę i Podole. W takiem to rozumieniu zwykle mówi się teraz: powstanie Ziem Ruskich, komitet Ziem Ruskich i t. d., chociaż to powstanie i ten komitet, nie należy właściwie ani do Galicji, ani do Litwy, ani do rozległych krain polskich za Dźwiną i Dnieprem, gdzie wszędzie jednak są ziemie ruskie.

Zdarza się często że gdy rzecz jaka zniknie, albo ulegnie zupełnej zmianie, dawne jej nazwisko długo jeszcze błąkając się w żyjącej mowie, nasuwa przed oczy wątpliwe i nieokreślone wyobrażenia. Chcąc natanczas imię zwleczone z umarłego przedmiotu napełnić właściwem pojęciem, trzeba nieraz przebiedz długi szereg dziejów, w kwestji o jeden termin, roztrzygnąć wiele kwestji historycznych. Taki właśnie jest przypadek ilekroć wzmianka o Rusi. Wyraz Ruś, krąży dziś jak starożytny pieniądz, którego stępel nie oznacza już waloru. Zła wiara puszcza go za jedno z wyrazem Rosja, oszukuje nieświadomych cudzoziemców, a nas że tak powiem, chwyta za słowo. Musimy tłumaczyć się, jakim sposobem

ziemie przez nas samych mianowane ruskiemi, należą do Polski, a nie do Moskwy, która przezywa się Rosją: musimy rozróżniać dobitnie co była Ruś, co Moskwa, a co jest Rosja. Dla tego też mówiąc o Wołyniu, Ukrainie i Podolu, jako ziemiach ruskich w imię Polski powstających przeciw Rosji, wypadnie nieco na obszerniejszej przestrzeni uważać zmiany historyczne. Nadto, kto tylko zechce zetrzeć Polskę na jakimkolwiek miejscu jej duchem społecznym ożywionej krainy, zaraz odsłonią mu się czcze figury zgasłych potęg politycznych, i nie zdoła zatrzymać wzroku na żadnej warstwie tych przejrzystych cieniów, aż do dna dziesięciu wieków, gdzie leży Sławiańszczyzna jak gładka tablica, na której oręż kreślił i kasował różne państwa; lecz tylko cywilizacja chrześcijańska kładła wyraźnie odkolorowane piętna. Jednem z tych państw nakreślonych i znikłych pob farbą późniejszych dziejów, jest Ruś. Dla tego też żeby widzieć wszystko co się przebijać może przez obecną cechę jej części, wypadnie sięgnąć głęboko w przeminione czasy.

Sądzę wszakże iż kilku przypomnień ogólnych będzie dosyć w tej mierze.

II.

W wieku IX, właśnie kiedy koło Wisły Lechici tworzyli sobie państwo, wojownicy skandynawscy rozbiegając się od zatoki Finlandzkiej w dół Dniepra, szukali najprzód łupieży, potem stałego panowania.

Ród lechicki, jeśli był niegdyś przychodnim, oddawna zlał się ze sławiańskim; Skandynawi byli rodem obcym: zwano ich na zachodzie Europy Normandami, na północy Warjagami.

Dwie tedy różne siły, miejscowa i nanośna, związywały drobne społeczeństwa Sławian, w dwojaki sposób: pierwsza rozwijając domową władzę od środka na zewnątrz, spychała cudzoziemski nacisk Niemców; druga zgarniając podboje do środka obcej władzy, narzucała jarzmo Warjagów. Natura tych dwóch władz nie zatarła się nigdy; późniejsze owszem namaszczenia wzmocniły ich dążność: jedna zawsze przenosiła życie polityczne w ciało narodowe, druga wiecznie wyciągała z niego wszelką żywotność społeczną.

Prawie tegoż samego czasu, Ziemowit syn Piasta, wybrany został zwierzchnikiem w kraju nad Gopłem (860), a Ruryk sprowadzony przez Nowogrodzan, z bracią i ludem swoim zajął zbrojnie okolice Ilmenu (862). Rój ten Warjagów, czy

to od miejsca skąd wyszedł, czy od familji panującej, miał imię Rusinów.*)

Z rozszerzaniem się władzy, roznosiły się i imiona władów. Słynęli coraz głośniej w jednej stronie Sławiańszczyzny Lechici Polanie, w drugiej Warjagowie Rusini — stąd Polska i Ruś.

Plemię sławiańskie od niepamiętnych czasów wrosłe do swojej posady, mogło być zabrane, podbite razem z ziemią; ale jak taż ziemia, nie mając mocy wyrzucić, miała własność chłonąć najezdników. Synowie przybyszów skandynawskich brali pierwszą naukę mowy i życia od matek Sławianek; garstki Rusinów tonęły w swoim ogromnym zaborze; zniknął ślad ich języka i narodowości, prócz niewielu wyrazów i niektórych obyczajów; zostały po nich tylko na wierzchu — rząd, dynastja i imię. Sławianin poddany potomków Ruryka, w swojej mowie tytułował ich kniaziami, a sam nazywał się Rusinem. Ruś jak Polska była częścią Sławiańszczyzny.

Język wszystkich Sławian, im bliższy źródła tem bardziej jednaki**), wspólność religji bałwochwalczej i sposobu życia, im w bliższem sąsiedstwie tem ściślejsza, silnie łączyły ludy rozrywane między władzy różnej natury i między państwa różnego nazwiska. Rozległość zatem państw i z niemi imion ogólnych, mogła rozszerzać się i ścieśniać nie zostawując trwałej pamiątki po sobie. Tak upłynęło lat sto od Ziemowita i Ruryka. Granic Polski i Rusi w czasach pogańskich daremnie jest śledzić.

Ale zbliżała się epoka pewniejszego podziału państw, wedle poświęcenia narodów na przyszłe ich życie społeczne. Od dawna chrześcijaństwo, a z niem i cywilizacja przenikały w głąb Sławiańszczyzny: od Niemiec do Czech i Polski, od Carogrodu do stron południowszych i Rusi. Niewyraźną epokę nowej wiary najwłaściwiej odnieść do głów panujących — Mieczysław prawnuk Ziemowita przyjął chrzest podług obrządku łacińskiego, r. 965; Włodzimierz prawnuk Ruryka, ochrzcił się obrządkiem greckiem r. 991. Polska stawała się państwem

---

*) Zdaje się że pierwiastkowa ojczyzna skandynawskich Russów albo Russinów, leżała na wschodnim brzegu Szwecji. Finlandczycy dziś jeszcze w swoim języku Rosjan teraźniejszych i w ogólności wszystkich Sławian, nazywają Wenedami; Szwecję zaś krainą ruską, ruotze-moa.

**) Najdawniejszy pomnik języka sławiańskiego zachował się w pierwszych przekładach Biblji. Djalekt tych ksiąg zapewne niemało przejęty tokiem greczyzny, nazywa się cerkiewnym. Jest on umarłym od niewiadomego czasu; służył tylko później za wzór piśmiennictwu, i dla tego bywa niekiedy zwany książkowym. Z pomiędzy mów żyjących, w serbskiej upatrują najwięcej podobieństwa do niego; mógł wszakże niegdyś być bardzo bliskim wszystkich djalektów sławiańskich. Jeszcze z wieku XV. zabytki piśmienne czeskie, polskie i ruskie, okazują jak gałęzie jednego pnia nieprędko poczęły rozchylać się w przeciwne strony.

zachodniem, Ruś państwem wschodniem: ich figury jeograficzne odznaczały się już piętnem czytelnem na długie wieki. Świat cywilizowany dzielił się wówczas na dwie części upadłego państwa Rzymian. Zachodnia zburzona do szczętu i krwią nowych ludów ożywiona, zakwitała w społeczeństwa młode na gruzach starożytnych; wchodnia była podkleconym odłamem zbutwiałego gmachu. Nauka Zbawiciela podnosząca ludzkość do jej boskiego początku, łatwiej porywała Zachód: mądrość pogańska ciążąca ku ziemi, kryła się w starych formach Wschodu. Kościół Chrystusowy był jeszcze jeden, i jednę miał głowę widomą; ale w łonie jego leżało nasienie odszczepieństwa. Schyzma Focjusza przeminęła, patrjarchowie carogrodzcy wrócili pod zwierzchnictwo stolicy apostolskiej, spór o dogmata zdawał się być załatwiony, różność obrządku nie stanowiła istotnego rozdziału chrześcian łacińskich od greckich; ale wszystko co scharakteryzowało później jednych i drugich, co można odnieść do najdalszych pierwiastków sprzeciwieństwa — ducha i materji, zbierało się już w dwa główne ogniska, i z nich jak z dwóch źródeł osobno spływało na Sławian. Odtąd kiedy Rzym położył rękę na Gnieźnie, a Carogrod na Kijowie, jakby dwa polarne bieguny cywilizacji napięte ku sobie, chwyciły za dwa państwa sąsiednie, żeby siłą odskoku rozerwać je na zawsze. Wtenczas zaszła kwestja, gdzie między Wisłą i Dnieprem rozedrze się braterstwo sławiańskiego rodu — ta kwestja toczy się dotychczas. Nieraz walczące strony spychały się daleko, nie raz ślady jednej niknęły pod stopami drugiej, aż póki trwała przewaga nie położyła mocno wyciśnionego piętna. Lecz pójdźmy koleją zdarzeń.

III.

Następcy Ruryka w wieku X. rozpostarli swoje panowanie po Sławiańszczyźnie od ostatnich jej krańców u źródeł Oki i Wołgi na Wschodzie, do źródeł Styru i Buga na Zachodzie. Przestrzeń tę środkiem prawie przerzynały koryta Dźwiny i Dniepra; lecz ujścia tych rzek znajdowały się to w cudzych, to w pustych ziemiach. Nad morzem Baltyckiem siedziały rozległe obce Sławianom pokolenia; nad morzem Czarnem ciągnął się szeroki gościniec barbarzyństwa, które już przewaliło się w głąb Europy i jeszcze napływało. Tędy niedawno przemknęli Węgrzy — Madziary, tu Warjagowie zastali Chazarów i doczekali się Pieczyngów.

Jak daleko Oleg (879—912) w późniejszą posiadłość Polski zapuścił oręż, na to nie masz pewnych dowodów; cały jednak

kraj, który dziś składa Wołyń, Ukrainę i Podole, uległ jego przemocy. Wołynianie równie jak Łuczanie, mieli już natenczas swoje grody Łuck i Wołyń*). Między nimi siedzieli Dulebi; przy ujściu zaś Prypeci do Dniepra, Drewlanie, którzy zacięty stawili ujarzmicielom opór, aż nim z miastem swojem Iskorostiniem nie zagrzebali się w popiołach. (946). Nazwisk Ukrainy i Podola, jako ogólnych, jeszcze nie było. Na płaszczyznach niżej Kijowa mieszkali Polanie; po obu stronach środkowego Dniestra (Tyras) Tyrewcy albo Tywercy; dalej ku południowi ubijali się przechodnie o niestały popas, a na tej ziemi — jak powiada sławiański poeta — kopytami zrytej, krwią utłuszczonej i kośćmi zasianej, bujnie porastał smutek. Mało dbali o to kniaziowie ruscy, że panowanie ich rozciągało się nad pustynią; bo i pustynia i Dniepr co od porohów przez nią płynął, były dla nich tylko drogą na morze Czarne po nowe rozboje. Wybierając dań od ujarzmionych Sławian, łupiąc zgnuśniałe cesarstwo greckie, znosili skarby do zamków warownych nad Styrem, Prypecią, Dniestrem i ujściem Dunaju, skąd najdogodniej było puszczać się pod Konstantynopol. W Kijowie jednak ustaliła się stolica podboju mającego kres, gdzie siła zbrojna dosięgnąć i trwale gromić mogła.

Włodzimierz pierwszy zakreślił granice Rusi, które następny po nim wielki jedynowładzca mało co już rozszerzył. Rozgarniając on ręce wyciągnione ku zachodowi, trafił jakby na dwie ściany. Prawe jego ramię oparło się o dzikie siedliska Litwy i Jadźwingów, lewe o Karpaty. Między temi zaporami pozostał przesmyk nakształt wrot otwartych do boju. Tu koło początków Buga i Dniestra, wszczął się spór najwątpliwszy o rozdział sławiańskiej ziemi, która pod nazwiskiem Chrobacji, stanowiła rozległą całość i miała stolicę w Krakowie. Część Chrobacji na wschód od Sanu nieco za Bug i Dniestr pomknięta, nazywała się czerwoną, albo Czerwieńskiem**). Włodzimierz opanowawszy Przemyśl i Halicz czyli Galicz, (981) zagarnął ją do swego państwa. Chrobacja czerwona stała się Rusią czerwoną, a z natury swojej należała do Krakowa i zatem do Polski.

Zaraz też na początku wieku XI. Polska odzyskała swoje prawa. Bolesław Wielki (Chrobry) spajał natenczas w łonie Sławiańszczyzny duchem Zachodu przenikające się społeczeństwo polskie: po zgonie Włodzimierza (1015), wdał się w sprawy jego następców, wszedł mocą do Kijowa, Chro-

---

*) Zamek Wołyń miał by w miejscu gdzie rzeka Uczew pod miasteczkiem Grodkiem wpada do Bugu. — Długosz, T. 1, p. 18.

**) Było niegdyś miasto chrobackie Czerwieńsk, dziś mała wioska niedaleko Komarowa o kilka mil od Zamościa.

bację czerwoną z Przemyślem i Haliczem po rzekę Bug odebrał.

Ale z pomiędzy dwunastu synów Włodzimierza, Jarosław Wielki, pomordowawszy albo wyzuwszy braci, całą puściznę ojcowską, prócz Połocka, pod swoję władzę zagarnął. Sąsiad ten stał się ciężkim dla Polski. Skoro Bolesław W. zszedł ze świata (1025), oderwał on znowu od niej Halicz i Przemyśl, a nadto jeszcze kawał ziemi nietkniętej przez przodków jego, od Łucka niemal pod Lublin z zamkiem Bełżem zabrał (1035). Przyjazne później stosunki z Kazimierzem I. kr. pol. zostawiły spokojnie na lat przeszło 40 ten zabór *).

Byłato epoka największego wzrostu i ukazania się w całym ogromie starożytnej Rusi. Granice jej zachodnie przecinając Wilję daleko od źródła, i Niemen aż przy ujściu Szczary, przechodziły Bug niżej Brześcia; na lewym brzegu Buga rozszerzając się coraz bardziej ku południowi dotykały Sanu. Głęboko tedy odepchnął Polskę oręż Rusinów. Żeby pojąć jak mocny ślad mógł pozostać po nim, trzeba zastanowić się pilniej nad ówczesnym stanem ruskiego państwa.

Podbój warjagski w ciągu lat niespełna dwóchset, przez Ruryka, Olega, Włodzimierza i nakoniec Jarosława skupiony, łączyła trojaka jedność: plemienia, religji i władzy.

Jeden ród sławiański zamieszkiwał całą tę przestrzeń mil półtorasta wzdłuż i wszerz rozległą; ale na różnej ziemi i pod różnem niebem, musiała zachodzić w oddzielnych ludach, znaczna różnica obyczaju i języka nawet. Nie masz narodu któryby nie miał djalektów, a te dają się postrzegać w każdym, równo z początkiem jego czasów historycznych. Nadto, różna dawność zaboru przez Warjagów, i różne położenie pod ich panowaniem, przyczyniały się niemało do rozmaitości charakteru odległych okolic. Normandowie plondrowali wówczas po całym świecie. Od skalistej i zlodowaciałej Skanji swojej, mieli ubite trakty przez Londyn, w dłuż Sekwany za Alpy na morze Śródziemne; przez Nowogród, Smoleńsk i Kijów, wodą na morze Czarne; a lądem na Łuck i Włodzimierz, przez polskie miasta Sandomierz, Wiślicę, Kraków, do Niemiec i dalej ku zachodowi. Ruś mocno wplątana w interes handlowy, przerżnięta traktami przewozowemi, z różnych stron przyjmowała dostatek i kulturę. Północną część więcej przenikał duch normandzki, południową bizantyński, zachodniemu krańcowi słabo udzielał się wpływ Europy łacińskiej. Wszelki jednak charakter nowy, wybijał się dobitnie tylko na ludności miast znakomitszych nad kory-

*) Kazimierz poślubił sobie córkę Jarosława Marję Dobrogniewę; w wojnie przeciw Masławowi mazowieckiemu potrzebował pomocy od teścia; nie mógł więc dopominać się o zagarnięte przez niego ziemie.

tami rzek spławnych położonych. Kraj w ogólności mało był zaludniony. W odwiecznych i ciemnych lasach Wołynia ciągnących się długiemi ramionami od Prypeci po za Dnieprem i Styrem, trzymały się bespiecznie stada żubrów; na stepach Ukrainy i smugach Podola, bujały swobodnie dzikie konie i jelenie. Wśród tych pustek żyły nieliczne osady rolnicze koło grodów obwarowanych pierwej dla ich zasłony, później dla utrzymania w poddaństwie. Wieśniacza prostota długo przechowywała pierwiastkową cechę miejscowości i rodu. Sławiańszczyzna za tem powleczona imieniem Rusi, mogła jeszcze łatwo rozpaść się na różne części, i te części mogły prędko przylgnąć do innej całości politycznej.

Jedna religja chrześcijańska obrządku greckiego panowała po wszystkich stronach państwa, którego Kijów był stolicą. Metropolita kijowski zależał od patrjarchy carogrodzkiego. Ale Wschód uznawał zwierzchnictwo Rzymu aż do roku 1053. Dopiero patrjarcha Michał Cerularjusz, odgrzebawszy zapomnianą naukę Focjusza, dodał do niej swoje błędy i wypowiedział posłuszeństwo papieżowi. Metropolita jednak i biskupi Rusi nie poszli za przykładem tej schyzmy, porozumiewali się z Leonem IX., zostali w ścisłym związku ze stolicą apostolską, spełniali wyroki Carogrodu wtenczas tylko, gdy te nie sprzeciwiały się zasadom kościoła powszechnego. Religijna przeto jedność, lubo odznaczona greckim obrządkiem, nie odcinała jeszcze dostatecznie Rusi od reszty Sławiańszczyzny chrześcijańskiej.

Jedna władza w ręku potomka Rurykowego, trzymała równie Nowogród jak Kijów. Władza ta była warjagska, militarna. Wielki kniaź, wszystko co po przodkach odziedziczył i co sam zdobył, uważał za własność, za zródło dochodów. W zamkach i miastach miał namiestników i załogi — narzędzia najwyższej swojej woli. Sprawą wojenną zajęty, wynagradzał rycerstwo, ciągnął dań z kupców i rolników, protegował troskliwie handel, zostawiał spokojnie miejscowy obyczaj ziemian. Miasta główniejsze otrzymywały przywileja i potwierdzenie spisanych swoich ustaw dawnych, kraje zachowywały swój wewnętrzny skład sławiański; ale łańcuch jedynowładztwa przenizany przez każdą część podboju zwięzywał państwo, i ten łańcuch był najistotniejszą spójnią ledwo sklejonych pod jedno nazwisko cząstek Rusi.

Jeśli kto dzisiaj w zagadnieniach politycznych, chce obecne rzeczy łączyć z przeminioną monarchją ruską, powinien jej cieniom przypatrywać się w pierwszej połowie XI. wieku. Wtenczas żył Włodzimierz i Jarosław Wielki; z życiem ostatniego zakończył się (1054) świetny, ale płonny okres dziejów, które starły się zupełnie na probierczym kamieniu czasu . .

IV.

Jarosław umierając podzielił państwo na pięciu swoich synów: szóstą część Rusi — Połock, dzierżył jego synowiec Wszesław. Halicz i Przemyśl dzielnica przypadająca na Włodzimierza Jarosławowicza, gdy ten zszedł ze świata przed zgonem ojca, dostała się jego synowi Rościsławowi. Nad wszystkimi miał mieć zwierzchnictwo najstarszy w rodzinie, dziedzic Kijowa Izjasław. Wypowiedział mu posłuszeństwo Wszesław kniaź połocki i jako potomek linji starszej, zapragnąwszy stolicy w. księstwa, rozpoczął wojnę. Izjasław zwabił go zdradliwie do Kijowa i uwięził. Lecz niedługo cieszył się owocem zdrady. W tym czasie nawał Połowców (1068) zajmował dawne stanowisko Pieczyngów: pobity w potyczce przeciw nim nad rzeką Altą Izjasław, bez wojska wrócił do Kijowa, a gdy lud dla obrony miasta wydobył z więzienia Wszesława, uszedł do Polski.

Bolesław Śmiały chwycił natenczas zręczność do odzyskania ziem utraconych pod panowaniem dziada i ojca. Siedm lat (1070—1077) zajmując się sprawami Rusi, przywracał tron Izjasławowi w Kijowie, Przemyśl przyłączył do Polski; zamki: Wołyń, Włodzimierz, Łuck, zdobywał, załogami swemi osadzał, i dopiero ze swojej ręki książętom ruskim pod warunkiem hołdu i wierności puszczał. Tym sposobem otrzymał od niego Igor napowrót księstwo włodzimierskie na Wołyniu i nadto Chełm z Bełżem.

Wkrótce atoli z upadkiem wielkiego wojownika, poszły w poniewierkę i prawa odświeżone orężem polskim. Izjasław w. k. kijowski, oddał Włodzimierz wołyński synowi swemu Jaropełkowi, Przemyśl Wołodarowi, Trębowlę Wasilkowi, synom Rościsława.

W lat 50 po zgonie Jarosława W. polityczny węzeł utrzymujący w całości ogrom podboju warjagskiego, był już roztargany: władza przywiązana do tronu Kijowa słabła coraz bardziej i zerwała się zupełnie nim upłynęło drugich lat pięćdziesiąt.

W pierwszej połowie XII. wieku, Ruś była pobojowiskiem rozradzających się niezmiernie potomków Ruryka. Jedynie interes książąt wydzierających sobie nawzajem kraje miasta i zamki, stał na celu: nie masz żadnego śladu żeby myśl społeczna poruszała massy narodu. Lud i ziemia Sławiańszczyzny przezwanej Rusią, stanowiły własność panów rodu warjagskiego. Zdarzało się że drapieżny kniazik w wyprawie na swego kuzyna, gdy ten mu uszedł, mścił się na jego rzeczach: palił wsi, mieszkańców kładł głowami pod ściany

podważonych domów i rozgniatał. Do tych okropnych wojen wewnętrznych, mięszały się klęski bitew z Połowcami.

Królowie polscy odzywali się też niekiedy ze swoim wpływem na sprawy Rusi czerwonej. Jak przedtem Bolesław Śmiały, tak później Bolesław Krzywousty, dał od siebie Bełż i Chełm wnukowi Izjasława Jarosławowi, książęciu Włodzimierza wołyńskiego (1123). Jarosław ten był dziedzicem Halicza, po śmierci jego posiadłość ta przeszła w ręce Włodimirka syna Wolodara, i stała się dziedziczną w linji starszej potomków Jarosława W. *)

Tymczasem inne strony państwa rozkruszonego między mnóstwo władców, odłączały się od całości i brały kierunek naturalnem ciążeniem wewnętrznych usposobień.

Na północy handlowe i zamożne miasta: Nowogród-Wielki, Psków, Smoleńsk, Połock, z przyległemi ziemiami, w bogactwa i ludność wzrosłe, przeniknione niemało ówczesną kulturą germańską, przypominały sobie swobody w nieujarzmionej Sławiańszczyźnie: wydobywając się coraz bardziej z pod władzy Rurykowiczów, uzyskiwały niepodległość. Nowogród jako wolny, wszedł do związku miast hanzeatyckich (1164), wkrótce toż samo i Psków uczynił.

Na wschodzie, książęta szerzący kolonje ku Wołdze między plemiona obce Sławianom, łatwiej umacniali samowładztwo nad ludem, który razem z czystością swojej mowy i krwi, tracił wspomnienia i obyczaje sławiańskiego rodu. Im bardziej despotyczni kniaziowie czuli się panami u siebie, tym dolegliwiej przykrzyła się im zależność od zwierzchnictwa trwającego jeszcze przy tronie Kijowa. Było wiele zatargów i wojen z tego powodu, przyszło nakoniec do zupełnego rozerwania się w linji młodszej potomków Jarosława W. Jeden z książąt panujących koło Suzdalu, Andrzej Bogolubski, założył stolicę w Włodzimierzu nad rzeką Klazmą, ogłosił się wielkim książęciem, napadł i złupił Kijów (1169).

---

*) Dla lepszego objaśnienia przyłącza się następująca tabliczka.

- Jarosław W. † 1054.
  - Włodzimierz † 1052.
    - Rościsław k. przemyślski. † 1065.
      - Wasilko k. trębowelski. † 1124.
      - Wolodar, po ojcu k. przemyślski, a po bracie trębowelski. † 1126.
        - Rościsław k. przemyślski. † 1144.
        - Włodimirko k. zwinigrodzki, po bracie przemyślski po Jarosławie halicki. † 1153.
          - Jarosław k. halicki.
  - Izjasław w. k. kijowski. † 1078.
    - Światopełk w. k. kijowski. † 1113.
      - Jarosław k. Włodzimierza i Halicza. † 1126.

Odtąd wielcy książęta kijowscy zostali przy szczupłej ziemi i przy czczym tytule. Kraje południowe Rusi koło Dniepra i Karpat, przez niejaki czas szatrowane jeszcze na wiele dzielnic, miewały różnych władców; ale wszystkie powoli ogarniał duch Europy zachodniej, a pod względem przewagi politycznej, podnosił się pośród nich Halicz, który razem z Przemyślem, Zwinigrodem i innymi posiadłościami, dzierżył potomek linji starszej syn Włodimirka Jarosław.

Tak tedy w lat trzysta od początku zaborów warjagskich w Sławiańszczyznie, a w lat sto od czasu kiedy podbój ten doszedłszy największej swojej rozciągłości, stanowił jedno państwo oznaczone nazwiskiem Rusi, ziemię i narody sławiańsko-ruskie rozpadły się na troje. Była Ruś północna z miastami handlowemi rządzącemi się po republikańsku; była Ruś wschodnia z despotycznem wielkiem księstwem Włodzimierza nad Klazmą; i była Ruś południowa z upadłym Kijowem a podnoszącym się Haliczem. Różny już charakter cechował te części przeznaczone doświadczać bardzo różnych później kolei. Jedność plemienia, władzy i religji, niegdyś wiążąca państwo Jarosława W., szła na wsteczne rozdroża. W gniazdo, gdzie schronił się despotyzm warjagski między mięszający się z obcym ród Sławian, biskup Susdalu Leon, wniósł najprzód schyzmę (1164) nie przyjmującą się dotąd na Rusi.

Jeśli kto dzisiaj złudzony samym dźwiękiem głosu, w drugiej połowie XII. wieku mniema widzieć jednaki stan rzeczy, wszędzie gdzie rozciągało się natenczas jednakie nazwisko Rusi, ten rozminie się bardzo z prawdą historyczną.

Wypada przeto dalsze dzieje Rusi południowej uważać osobno, zwracając tylko niekiedy oko na inne strony, dla postrzeżenia w nich przemian coraz dobitniejszą czyniących różnicę.

V.

Na tej przestrzeni kraju między Karpatami i Sanem, a Prypecią i Dnieprem, która szczególniej jest przedmiotem niniejszego pisma, było do dziesiątka znakomitszych miast i grodów. Przemyśl, Bełż i Halicz, w okresie właściwym Rusi czerwonej; Włodzimierz, Łuck, Ostrog i Dorohobuż, w części później ogarniętej nazwiskiem Wołynia; Trębowla i Zwinigród w Podolu*), stanowiły z ziemiami przyległemi dzielnice

*) Trębowla nad Hnieznią i Zwinigród nad Dniestrem, różne od dzisiaj znanych miast tegoż imienia, leżały w Galicji teraźniejszej, a w zachodniej

książąt. Stepy ukraińskie niżej Kijowa i Białogródka nad Irpieniem, nie miały żadnego zamku obronnego: stał tu otworem plac gonitw z Połowcami. Książęta ubijali się także nieustannie między sobą; nie zawsze jednak sam ich interes osobisty grał rolę w tych walkach. Wyjąwszy wielkie miasta na północy, w żadnej stronie sławiańsko-ruskiej nie okazało się tyle życia narodowego, ile w okolicach południowych. Lud ten, który w obecnej niedoli nie stracił jeszcze pięknej postaci rasowej, którego pieśni od niepamiętnych czasów przechowane w gminie, brzmią tak wspaniałą i roznośną nutą jak gdyby pierś, co je pierwsza wydała w pełności natchnienia, chciała głosem rozbijać Karpaty i zalewać naddnieprskie płaszczyzny — lud ten musiał niegdyś mieć mocne uczucie swojej siły i swobody. Był czas, że język jego służył uczonym i poetom. Nestor szacowny latopisiec, i bezimienny twórca bardzo poetyckiej powieści o wyprawie Igora na Połowców, należeli do Rusi południowej i do XII. wieku*).

---

części niegdyś województwa podolskiego. Jaki zaś właściwie kraj rozumieć należy pod nazwiskiem Podola, trudno jest ściśle określić; nazwisko to bowiem utworzone ze względu na położenie miejscowe, później dopiero poczęło być przywięzywane do pewnych granic politycznych albo administracyjnych. Zdaje się że Rusini wymawiali Podol, i w wieku XIII. jest już wzmianka (jak Naruszewicz świadczy) o posiadaniu Podola przez Lwa Danielowicza. Pisarze nasi różną rozciągłość naznaczali Podolowi. Co do szerokości, prawie wszyscy kładą ją między Dniestrem i Bohem; długość od Seretu aż do morza Czarnego wytykają rozmaicie. Sądziłbym, że tylko pilne rozpatrzenie się w naturze gruntu, może zaspokoić tę wątpliwość, nie raz ważną dla kwestji historycznych. Wedle tej natury gruntu wskazanej przez samo nazwisko, wypadłoby podobno szerokość Podola rozprzestrzeniać ku wschodowi nie do Boha, lecz do grzbietu, który ciągnąc się równolegle między Bohem i Dniestrem zawiera źródła wszystkich rzek mniejszych, niby nakształt grzywy w lewo i w prawo spadających. Z takowej to wyżyny potoczystość do koryta dniestrowego, właściwie jest Podolem. Przeciwnie też nie dostrzegam przyczyny, dlaczegoby odpowiednia nizina na prawym brzegu Dniestra nie miała zamykać się w nazwisku Podola, kiedy jeszcze późniejsze odróżnienie Mołdawji czyli Multan nie było na przeszkodzie. Nie mniej długość pasu podolskiego zdaje się być dowolnie poczynana od Seretu, prowadzona potem do Morachwy, Jahorlika i morza Czarnego. Seret nie odgranicza bynajmniej różnego gatunku ziemi; prędzej że łańcuch gór Miodoborskich idący po za Zbruczą rozdziela naturalnie okolice Rusi czerwonej od Podola. Morachwa, która stanowiła nawet granicę województwa podolskiego od bracławskiego, właściwie może jest i kresem Podola; dalej ku południowi bowiem odkrywają się stepy. Niektórzy tłumaczą sobie nazwisko Podola przez wyrazy: Ruś dolna, Ruś niższa. Deguine n. p. powiada, że Olgerd wezwał Mogołów aby przyszli niszczyć «la basse Russie, appellée Podolie.» Cóż w takim razie będzie Rusią górną, wyższą? Wedle jednych Moskwa, wedle drugich Wołyń i Ukraina. Słowem te wszystkie klasyfikacje krajów na wyższe i niższe nic nie objaśniają, są dowolne, rozmaicie względne i najczęściej świeżego wymysłu.

*) Nestor urodz. r. 1056, był zakonnikiem Kijowo-pieczarskiego monasteru, poświęcał się naukom, oddał szczególniej potomności przysługę spisaniem dziejów Rusi, umarł 1111. Powieść o wyprawie Igora (Słowo o pulku Igora) jest to piękny poemat napisany pod koniec wieku XII. ówczesnym językiem ludu ruskiego zbliżającym się do stylu Nestora i przekładu Biblji. W mało co późniejszych latopisach Nowogrodu W. daje się już

Ale nadeszły w krótce chwile, kiedy szczęk oręża wszystko zagłuszył. Wśród tego zamętu przez wiele lat nie świtała myśl zdolna jedynie rozwijać społeczeństwo; naród atoli nie dał się rozetrzeć w nicość. W miarę krzewienia się wyobrażeń branych od sąsiadów zachodnich, nabywał politycznego znaczenia stan rycerski, bojarowie nakoniec przyszli do takiej przewagi, że częstokroć umieli ukracać i karcić samowolność kniaziów.

W ciągu wewnętrznych zamieszek południowej Rusi, nieraz jako sędziowie albo jako strony występowali Węgrzy i Polacy. Królowie węgierscy starali się nabyć, królowie polscy mieli dawno nabyte do niej prawa. W owych czasach, kiedy oręż wszystko rozstrzygał, pamiętano jeszcze drogi, któremi chodzili Bolesławowie: Wielki, Śmiały i Krzywousty. Kazimierz Sprawiedliwy także posunął zwycięstwa za Przemyśl i na prawy brzeg Buga, osadził on Romana Mścisławicza na księstwie włodzimiersko-wołyńskiem (1179); wkrótce potem przyszło mu wdać się w sprawę o księstwo halickie.

Dwaj synowie Jarosława książęcia na Haliczu, Włodzimierz i Mścisław, poważnili się między sobą. Pierwszy z nich wezwał na pomoc książęcia bełskiego Wszewołoda, drugi króla polskiego. Kazimierz wyciągnął z wojskiem pod Halicz (1182), zbił Włodzimierza z Wszewołodem, a Mścisława osadził w Haliczu. Przywrócony Mścisław na księstwo, oddał z niego hołd królowi; Włodzimierz zaś udał się do Węgier, gdzie naówczas panował Bela III.

We trzy lata potem (1185) bojarowie otruli Mścisława i wezwali Włodzimierza z Węgier. Bela przytrzymawszy go, wysłał z wojskiem na Ruś syna swojego Andrzeja. Tymczasem Roman książę włodzimiersko-wołyński, zawsze protegowany od Polski, zajął był Halicz. — Andrzej siłą wyrugowawszy go z zamku, postawił garnizon węgierski i sam objął rządy kraju *).

Znowu we trzy lata potem (1188) bojarowie oburzyli się przeciw królewiczowi węgierskiemu, wygnali go i udali się do Polski o pomoc przeciw Węgrom. Szukał też w Polsce opieki praw swoich i Włodzimierz wyzuty przez Andrzeja. Kazimierz Sprawiedliwy, posłał wojsko pod dowództwem wojewody krakowskiego Mikołaja herbu Lis, który zwyciężywszy Andrzeja, Włodzimierzowi księstwo przywrócił i

---

postrzegać znaczna różnica djalektu. Jeśli więc pisarze trzymający się wspólnego wzoru ksiąg sławiańskich, odznaczali się miejscowością, zapewne daleko bardziej musiała różnić się mowa ustna, z wielu względów roztrychnionych części narodu.

*) Wtenczas to Bela III, do innych tytułów swoich przydał tytuł króla Galicji, albo Halicji.

przyjął od niego przysięgę wierności i posłuszeństwa dla króla.

Gdy Włodzimierz umarł (1198) nie zostawiwszy potomstwa, panowie polscy składający radę przy małoletnim Leszku Białym, chcieli Halicz przyłączyć do Polski; ale za wstawieniem się matki jego Heleny z książąt ruskich, puszczono tę dzielnicę Romanowi, który niedawno z rąk Kazimierza wziął był księstwo włodzimiersko-wołyńskie, i za wpływem Polaków, po śmierci Mścisława otrutego, trzymał Halicz przed nadejściem Węgrów.

Na początku tedy wieku XIII. znaczna część Rusi zachodnio-południowej, nad którą Polska rozciągała swoje zwierzchnictwo, a Węgrzy chcieli nabyć wpływu, znalazła się w ręku jednego z potomków linji średniej Jarosława W. Różne drobne księstwa w tej stronie, miały wprawdzie osobnych władzców; ale pan Włodzimierza i Halicza, Roman, czuł swoją przewagę, przybierał już tytuł króla Rusi i połączonemi jej siłami powstawszy przeciw Polsce, poległ w bitwie pod Zawichostem (1205).

Ledwo rok upłynął, wdowa po Romanie z małoletnimi synami Danielem, Wasilem, Michałem i z córką, musiała uchodzić przed burzliwością bojarów i szukać przytułku u wspaniałomyślnego Leszka. Leszek posłał Daniela z listem do Węgier, prosząc Andrzeja żeby również jak on zapominając uraz do ojca, dopomógł sierocie odzyskać dziedzictwo. — Tymczasem do opuszczonych posiadłości wdzierali się różni książęta. Wszewołod książe bełski brat Romana zabitego pod Zawichostem, zajął księstwo włodzimierskie; Włodzimierz syn Igora Światosławowicza, usadowił się w halickiem, a zaraz zepchnął go brat Roman Igorewicz; trzeci ich brat Światosław opanował Przemyśl. — Andrzej król węgierski wyrugował Romana (1209); w rok niespełna musiał ustąpić przed jego bratem, wygnanym niedawno Włodzimierzem.

Udało się też wśród tych zamieszek dopaść Danielowi puścizny ojcowskiej (1212); ale na moment tylko. Wydarł mu ją zaraz stryj Mścisław Niemy, którego wnet strąciwszy jeden bojar Władysław, sam ogłosił się kniaziem.

Daniel z matką powtórnie szukał schronienia u Leszka. Pomoc Polski nie była dosyć mocna przeciw bojarom, książętom i obcym, skończyło się zatem na układach, które wszystkim stronom interesowanym miały dogodzić. — Danielowi dano księstwo włodzimiersko-wołyńskie, Leszkowi dostał się Przemyśl, bojarowie haliccy zaś skłonili się przyjąć za króla Węgrzyna. Koloman syn Andrzeja poślubił so-

bie Salomę córkę Leszka i wspólnie z nią był koronowany (1214) w Haliczu *).

Koloman naraził się Haliczanom zaprowadzając w kraju obrządek łaciński, a przeciw niechętnym dopuszczał się ucisku i niesprawiedliwości. Przyszło do tego że sam Leszek oburzył się na zięcia i wezwał Mścisława Mścisławicza, żeby dopomógł oswobodzić Halicz od ciemiężcy.

W owym czasie niezmiernie rozmnożeni potomkowie Ruryka, jedni siedzieli na większych i mniejszych księstwach, inni zeszli zupełnie do rzędu bojarów, albo bez stałych siedlisk sprawowali rzemiosło rycerskie, z zaciągiem wojennym biegając od Nowogrodu do Kijowa. Ich oręż rozstrzygał spory książąt, często dawał wsparcie miastom i poddanym uciśnionym. Takim rycerzem był Mścisław Mścisławicz nie wielkie dziedziczący włości koło Smoleńska, a dla licznych przewag w boju Chrobrym zwany.

Skoro odezwał się do niego Leszek, przyciągnął on z pod Nowogrodu do Halicza, nie dla osobistych widoków, nie dla zaboru na rzecz swoję, ale jedynie żeby pokój Rusi czerwonej, a Danielowi księstwo halickie przywrócił. Koloman zbity dostał się do niewoli (1215) i ledwo po dwóch leciech na prośby ojca został puszczony do Węgier. Mścisław Mścisławicz goszcząc cztery lata w tych stronach, usunął się od rządów (1219); lecz Węgrzy jeszcze raz wpadli na Ruś, i Halicz z Przemyślem, Trębowlą, Zwinigrodem zajęli. **) Odzyskał to wszystko wkrótce Daniel (1222), ale znowu z Halicza ustąpić musiał (1226) i ledwo po znacznym przeciągu czasu, przyszedł ostatecznie do swoich posiadłości (1239). ***)

Panowanie Daniela jest epoką pamiętną w dziejach Rusi. On w jednę całość spoił niemal wszystkie członki tego kraju, co się przez sto lat wśród wewnętrznych zamieszek, od ligi księstw mających punkt centralny nad Klazmą stale oddzielał, a wikłał się z Polską i Węgrami; za jego też życia zaszły wypadki, które nadszczepany podbój warjagski na wieczne czasy rozłamać miały. Dwie pogańskie potęgi — Tatarzy i Litwa — były przeznaczone na dokonanie tego dzieła. Pierwsza z nich wylewała się jak straszna powódź od Kaspij-

---

*) Odtąd królowie węgierscy, oprócz przybranego niedawno tytułu królów Galicji, (wedle przekręconej pisowni: Galicji) poczęli jeszcze pisać się królami Ludomerji, to jest Ladimerji albo Vladimerji; chociaż Koloman żadnego prawa nie miał do księstwa włodzimierskiego, a wkrótce skończyło się jego panowanie i nad Haliczem.

**) Mścisław poślubił był swoją córkę młodszemu bratu Kolomana i w posagu wyznaczył dla niej Halicz, co dało nowy pochop Węgrom do napaści.

***) Od r. 1226 do 1239 panował w Haliczu Michał Wszewołodowicz książę zwinigrodzki.

skiego morza, druga za lasami zbierała się na kształt burzy nad Bałtykiem.

Tatarzy Mogoły *), zgniotłszy Połowców, odnieśli zwycięstwo nad książętami ruskimi, którym przywodził i poległ w bitwie u Kałki (niedaleko Marjupola leżącego nad Azowskiem morzem) Mścisław-Mścisławicz Chrobry (1224); lecz inne sprawy odwróciły Dżengischana do Azji. Dopiero syn jego Oktaj wyprawił znowu swego synowca Batego na prawy brzeg Wołgi. Baty zniósł najprzód książąt riazańskich, opanował potem Włodzimierz nad Klazmą (1238) i pustosząc kraj cały, posunął się ku Nowogrodowi aż do Kozielska. Ruś wschodnia uległa Tatarom, stała się ich posiadłością hołdowniczą. Baskakowie osadzeni po okręgach kraju, wybierali podatek od głowy; książęta musieli jeździć do hordy złotej, w największem poniżeniu z rąk chanów wyglądać wyroku śmierci, albo łaskawego potwierdzenia władzy niewolniczej nad nieszczęśliwą massą niewolników.

Litwa od lat kilkudziesiąt już wypadała na rabunek do Polski i bogatych stron Rusi północnej; ale póki ogólniejsze zdarzenia owych czasów nie dojęły jej wewnątrz, nie znała ani panów u siebie, ani chęci zaboru ziem obcych. Dopiero kiedy oręż chrześcijański zajrzał w kryjówki plemion nadbałtyckich, bandy zbójców lesnych zmieniły się w hufce rycerskie. Wajdeloci kapłani stali się wojennymi bardami, wodzowie wychodzili na władców kraju i zapragnęli szerzyć swe państwa. Kawalerowie Mieczowi zawitali od ujścia Dźwiny (1204), Krzyżacy posunęli się od Wisły (1230): wkrótce oba zakony rosnąc w potęgę, podały sobie dłonie. Z jednej strony Prusacy i Jadźwingi, z drugiej Kuroni i Łotwa, nie mogli oprzeć się okrutnemu apostolstwu zbrojnych mnichów niemieckich. Szczątki przerażonych pokoleń szukały przytułku w Litwie i Żmudzi. Tu przeniosła się stolica bałwochwalstwa, tu koncentrował się sprężysty duch pogański, a niezużyta jego siła natężona dla odporu, przerwała słabszą stronę chrześcijańskiego obwodu, i wylała się ku południowi na Ruś. Ryngold i jego synowie (około roku 1240) rozciągali granice Litwy do źródeł Wilji i Niemna.

W tymże czasie Tatarzy wziąwszy i zniszczywszy Kijów, przeszli przez Ruś czerwoną na Polskę i Węgry; lecz po dopełnionych spustoszeniach wrócili do pierwiastkowych swoich stanowisk, skąd cięzyli na Ruś wschodnią i roztaczali swe koczowiska po za morzem Czarnem.

Z dwóch tedy stron moc pogańska ściskała Ruś południo-

*) Część tylko wojska Mogolów składała się z Turko-Tatarów podbitych przez Dżengis-chana; lecz weszło później w powszechny zwyczaj mięszaninę tę jedynie Tatarami nazywać.

wą, w której książe Halicza Daniel rozpościerając swoją przewagę, zagarnął Kijów pozbawiony książęcia przez Tatarów, a przemyśliwał nad tem jakby się od nich zabespieczyć i wewnątrz panowanie ustalić.

Było to wówczas, kiedy już dwie połowy chrześcijańskiego świata odznaczyły się wyraźnie. Zachód jedną nauką i jedną władzą religijną przejęty, tchnął tym duchem gorącym, który całą ludzkość chciał spoić w kościół Boży na ziemi — Wschód w swoich mędrkowaniach pod ciężarem władzy temporalnej, jak gałąź odłamująca się od żyjącego drzewa, martwiał i tracił siłę organiczną. Społeczeństwo łacińskie, z rycerskiem poświęceniem się w Europie i w Azji gromiąc niewiernych, razem z nimi nawracało odszczepieńców — a greckie w obu tych częściach świata ulegało obcej mocy. Pod orężem Krzyżowników i Mahometan rozkruszyło się cesarstwo carogrodzkie; pod najazdem pogan Ruś uklękła. Reszta tej krainy sławiańsko-greckiej, bez pewnej podstawy dla swojej politycznej udzielności, chwiała się jakby zawieszona między otaczającemi ją potęgami.

Odzywał się Daniel do soboru lugduńskiego: że jako książe chrześcijański, chce dać opór poganom, ma do tego siłę, tylko mu zbywa na powadze; jeśli więc stolica apostolska oblecze go dostojnością leżącą w zarzuceniu po Kolomanie, z całem swojem państwem przejdzie na łono powszechnego kościoła; lecz razem musiał pokornie ujmować Tatarów. Na znak uległości odwiedził hordę, a zjednawszy iż mu baskaków nie nasłano, zaraz obrócił się z bronią na zachód, i Lublin Polsce zabrał (1245). Legat papieski jednak zjechał z Polski aż do Halicza i namaścił go na króla Rusi (1246). Uroczysta koronacja powtórzona została z woli Inocentego IV, w Drohiczynie chełmskim (1253); ale nie sprawiła żadnych skutków. Daniel wiązał się z Litwą na Polskę, z Tatarami na Litwę, a kiedy ci poszli rabować Polskę (1260), żeby okazać się neutralnym, wyjechał do Węgier. Ruś południowa trwała w obrządku greckim i w niewyraźnej zależności od Tatarów. Taką Daniel, umierając, następcom zostawił (1266).

Bracia i synowie jego trzymali różne udziały, lecz te niemal wszystkie złączył pod swoją władzę syn najstarszy Lew. Miał on od ojca księstwa włodzimiersko-wołyńskie i kijowskie, a w Przemyślu rządy sprawował; po stryju Wasilu, bracie rodzonym Romanie, i krewnym Swarnonie, objął Halicz z Trembowlą i Zwinigrodem, Łuck, Bełż, Chełm i Drohiczyn. Założywszy gród warowny Lwów czyli Lwihorod, przeniósł tu swoje mieszkanie i dał początek nowej stolicy (1270).

Przy schyłku wieku XIII. rozdział Rusi starożytnej był już zupełnie wykończony.

Kniaziowie ujarzmieni przez Tatarów odbywali dalej osobny swój zawód: wydzierali jedni drugim władzę hołdowniczą i sami w niewoli nastawali na wolność cudzą. Ciemiężąc miasta północne, na pewny czas skłonili nawet Nowogród Wielki do płacenia haraczu (1258). Stolica ich przeniosła się za przyzwoleniem chanów z Włodzimierza nad Klazmą do Moskwy (1295). Wielkie księstwo moskiewskie ma historję oddzielną od dziejów obchodzących resztę Europy aż do chwili, kiedy przechowany w niem szczep Ruryka wyszedł ze szkoły tatarskiej pokazać światu jej naukę.

Miasta i rzeczypospolite północne uciskane przez despotów tatarsko-moskiewskich, znajdowały pomoc i opiekę w wojownikach rodu litewskiego, którzy trzymali już Witebsk aż po Wielkiełuki, a około w Połocku, Pskowie, Nowogrodzie, Smoleńsku, stawali jako kniazie na czele narodu dla jego obrony.

Co nie było pod władzą albo wpływem Litwy i Mogołów, to właśnie składało Ruś południową, niepodległą. Ruś ta w stronie zachodniej opierając się o Karpaty, obejmowała dzisiejszą Mołdawję, w głąb Polski za Bugiem pomknięta, ogarniała Przemyśl i Lublin; w stronie północnej granica jej z Litwą ciągnęła się od źródeł Prypeci, wyżej Słucka pod Mohilów nad Dnieprem; w stronie wschodniej na lewym brzegu Dniepra, Czerniechów ze znacznym okręgiem jeszcze do niej należał; w stronie południowej zgorzeliska i pustki oznaczały sąsiedztwo dyskrecjonalne Tatarów. Począwszy od Pereasławia za Dnieprem, a od Białejcerkwi przed Dnieprem, cały kraj aż ku morzu Azowskiemu i Czarnemu, był bez miast i prawie bez mieszkańców. Tylko o mil piętnaście niżej Kijowa sterczał samotny zamek Kaniów, a jeszcze niżej o mil dziesięć, w podobnejże twierdzy drewnianej Czerkasach, siedział baskak. Teraźniejsza gubernija kijowska i większa część podolskiej, służyły za pastwiska trzodom tatarskim. *)

Taki stan tych okolic zastał wiek XIV., przynoszący i dla nich i dla innych ziem sławiańsko-ruskich, na wieczne czasy pamiętne zmiany.

Lew Danielowicz wielki książe Rusi, umierając 1301, zostawił dwóch synów i córkę. Syn starszy Jerzy panował na Rusi halickiej, młodszy Włodzimierz na Włodzimierzu wołyńskim, córka Marja była wydana za Trojdena książęcia mazowieckiego.

Jerzy z posiadłości swoich zaraz utracił Lublin przez Polaków odebrany (1302), a schodząc ze świata (1317) zostawił

---

*) Od Tatarów to pozostały nazwiska miejsc, Bakota, Balaklej, Czapaklej, Kuzmień, Kaczybej, w kraju niżej Jahorlika.

synów Andrzeja i Lwa II. Obadwa zakończyli życie w jednym czasie (1324). Pierwszy z nich nie miał dzieci; syn zaś drugiego Jerzy II, trzy lata tylko żył po śmierci ojca i zszédł bezpotomny (1327). Najbliższym do sukcessji po nim był Daniel *) książe na Ostrogu, pochodzący od Wasila brata Daniela króla, lecz ubiegł go krewny po kądzieli Bolesław Trojdenowicz książe mazowiecki i osiadłszy na stolicy we Lwowie, zajął państwo halickie, które znalazł bardzo uszczuplone.

W tym czasie gwałtownie wzrastająca potęga Litwy szerzyła się już daleko na prawej stronie Prypeci. Giedymin zbiwszy Włodzimierza Lwowicza książęcia włodzimiersko-wołyńskiego, zabrał państwo po poległym w boju i osadził na niem swojego syna a jego zięcia Lubarta, któremu także dał Łuck zdobyty tegoż roku (1319). Chełm i Bełż jako dzierżone przez książąt włodzimierskich, znajdowały się w obrębie zdobyczy litewskich. Następnego lata Giedymin wtargnąwszy w posiadłości książęcia kijowskiego, zabrał Owrucz i Żytomir, a po zwycięstwie u rzeki Pierny **), nad połączonemi siłami kilku książąt zadnieprskich i Tatarów, wszedł do Kijowa. Ile było zaludnionego kraju między Dniestrem i Dnieprem, wszystek razem z ziemiami Czerniechowa i Pereasławia za Dnieprem, dostał się w moc potężnego wojownika, który przez lat 16 ukrzepiał tu swoją władzę (do r. 1336).

Bolesław mazowiecki będąc zięciem Giedymina, miał za sobą przewagę Litwy, potrafił przy tem użyć wpływu Tatarów i umocował się na dziedzictwie potomków Lwa ruskiego. Ale dziedzictwo to nie zawierało już Chełmu, Włodzimierza, Bełża, Krzemieńca, a o mil dziesiątek niżej Halicza, ciągnęło

---

*) Następstwo książąt Rusi Czerwonej i Wołynia szło taką koleją:

- Roman poległy pod Zawichostem 1205.
  - Daniel król Rusi. † 1266.
    - Lew I. k. halicki, włodzimierski i kijowski. † 1301.
      - Jerzy I. † 1317.
        - Andrzej † 1324.
        - Lew II. † 1324.
          - Jerzy II. † 1327.
      - Włodzimierz † 1319.
        - Bucza za Lubartem.
      - Marja za Trojdenem mazowieckim.
        - Bolesław k. mazowiecki. i ruski. † 1340.
    - Roman.
  - Wasili, przodek książąt ostrogskich i zasławskich. † 1269.
  - Córka N.
    - Swarno.

**) Pierna, później Irpień.

się równo z Dniestrem w coraz smutniejsze sąsiedztwo koczowisk tatarskich. Pod panowaniem Bolesława, liczne rodziny poczęły przenosić się z Mazowsza na Ruś i zaludniać ziemie halickie. Lecz Bolesław pragnął także krzewić obrządek łaciński, naraził się bojarom i został przez nich otruty (1340).

Natenczas Kazimierz Wielki król polski, jako krewny Bolesława mazowieckiego i następca królów, którzy tylekroć rozciągali swoje prawa do tych krain chrobacko-sławiańskich, pośpieszył pod Lwów z wojskiem nadwornem i zbrojnemi orszakami panów małopolskich. Rusini przyjęli go bez oporu i przysięgę wierności wykonali. Kraj dla korony polskiej ze stolicą Lwowem nabyty, zawierał te znakomitsze miasta i zamki: Przemyśl, Sanok, Tustan, Lubaczów, Halicz, Trębowlę, w Rusi czerwonej i na Podolu; Seret, Soczawę i t. d. w Moldawji czyli Wołoszczyznie *). Dzisiejsze gubernje wołyńska i podolska całe były zajęte przez Litwę, a napastowane przez Tatarów.

W połowie wieku XIV — temu lat pięćset — znikł pod zalewem obcych potęg ostatni szczątek Rusi niepodległej, z nim razem tonęło do reszty i starożytne nazwisko państwa Jarosława Wielkiego. Imiona bowiem państw podbitych zacierają się na ziemi, jeśli nie masz narodu coby je przechował w swojej udzielności, a udzielność ta, zwłaszcza między szczepami jednego plemienia, wtenczas tylko trwać może, kiedy ten naród był społeczeństwem, mającem w sobie pierwiastek organiczny kształcenia się nadal.

Odtąd kwestja o ślad bytu Rusi, staje się kwestją o cechę i socjalne zmiany narodu ruskiego, odtąd zaczyna się nowa epoka dziejów i nowo powstającym rzeczom, nie mogą już służyć dawne nazwiska.

VI.

Ile tylko było Sławiańszczyzny między morzem Baltyckiem i Czarnem, zgarniętej niegdyś w podbój warjagski, zajęły ją teraz równoległemi pasmami trzy różne władze: polska, litewska i moskiewsko-tatarska. Dwóch skrajnych charakter jest wyraźny, środkowej niepewny.

---

*) Lud Wołoski albo Mołdawski od niejakiego czasu już rozszerzający się z za Dunaju ku północy i wschodowi, osiedlał się po pustych ziemiach ruskich między Karpatami i Dniestrem. Miał on swoich naczelników, wojewodów; ale powinien był podlegać właścicielowi księstwa halickiego królowi polskiemu. Wołoszczyzna przedzielona od Rusi czerwonej Pokuciem, płaciła daninę Polsce spokojnie do r. 1359, później wielu wojen była powodem.

Królowie polscy namaszczani przez kościół Rzymski. mieli misję wolność polityczną przelewać w naród. Rozszerzał się coraz dalej koło ich tronu krąg życia publicznego. Polska stawała się co raz wolniejszem społeczeństwem.

Wielcy kniaziowie moskiewscy, potwierdzani przez Tatarów, kazali siebie poświęcać duchownym, których najwyższa zwierzchność rezydowała w Carogrodzie odszczepionym od stolicy apostolskiej, chcieli panować absolutnie, wyzuwali innych książąt z posiadłości, naród i miasta ze swobód. Moskwa stawała się coraz despotyczniejszem państwem.

Tak gdy na jednym brzegu greckim obrządkiem oznaczonej Sławiańszczyzny, duch Zachodu postawił nogę; na drugim mocniej wyrażała się skrzepłość Wschodu tracącego ducha. Tu przeniósł się Metropolita z Kijowa (1325); tu schyzmatycka nauka Cerularjusza i jego poprzedników, wkrótce zaczęła puszczać bujne odrośle.

Między Polską i Moskwą, Litwa szerzyła się po obu stronach Dniepru. Spadek tej rzeki ma cóś porywającego gwałtownie. Skoro tylko jaka siła zaborcza zjawi się w górze jej źródeł, zaraz musi roztoczyć się aż na płaszczyznach Ukrainy i umoczyć stopy w morzu Czarnem. Szlakiem Warjagów biegli zdobywcy Litwini, Sławiańszczyzna naddnieprska pochłonęła pierwszych, chłonęła i drugich. Włodzimierz Wielki na państwie swojem położył piętno chrześcijańskie i wycisnął z niego razem pamiatkę skandynawskiego imienia Rusinów; Giedymin był poganin, i do niczego na wieki nie mógł tu przykleić nazwiska Litwy. Władza tylko monarsza przeszła w ręce jego: spychając dom Ruryka, dom swój osadzał, nad książętami rodu litewskiego i ruskiego panował jako wielki książe Litwy i Rusi, a panowanie to przybierało formę feudalną. Ruś tedy pod Litwą nie była ani państwem, ani społeczeństwem mającem nadal pewny kierunek. Z dawnych bogactw odarta przez wewnętrzne wojny i napady tatarskie; w ciągłych bojach spustoszona i zdziczała; z upadkiem Kijowa pozbawiona odblysku kultury byzantyńskiej; przez ciążenie hierarchji duchownej ciągniona do Carogrodu, lecz jeszcze nie oderwana od powszechnego kościoła; przez liczne zajścia z Polską i Węgrami pobudzona do życia publicznego, lecz jeszcze traktowana jak dziedzictwo panujących, chwiała się nakształt giętkiego sitowia wśród wylewu obcej siły, która lat pięćdziesiąt rozpierała granice Polski i Moskwy.

Po Giedyminie najwyższą władzę objął z woli ojca Jawnuta, usunęli go dwaj starsi bracia Kiejstut i Olgerd. Pierwszy szczególniej czuwał nad Litwą, drugi nad Rusią, i nosił tytuł wielkiego książęcia.

Kiedy Kazimierz W. zajął po Bolesławie mazowieckim

Ruś czerwoną, i na mocy praw służących księstwu halickiemu dopominał się o ziemię przyległe, opanowane przez Litwę, Jawnuta jeszcze jako wielki książe, z bracią Kiejstutem i Lubartem, oraz z synowcami Jerzym Korjatowiczem i Jerzym Narymuntowiczem, przystąpili do układów (1340). Stanęła umowa, skutkiem której posiadłości obu stronom na lat dwa zapewnione, pozostały niewzruszonemi nieco dłużej.

Król polski wynagradzając Ziemowita książęcia mazowieckiego, odzywającego się także do sukcesji po Bolesławie bracie rodzonym, wyjednał dla niego księstwo Bełzkie; rządy zaś reszty kraju owładanego spokojnie, powierzył bojarowi Daszkowi, którego starostą przemyślskim mianował.

Książęta litewscy utrzymali się przy swoich dawniejszych nabytkach na Wołyniu i Podolu, ile ten ostatni kraj był oczyszczony z Tatarów.

Zaraz następnego roku i Polska i Litwa miały do czynienia w swoich dzielnicach.

Daszko uknowawszy zamiar wyniesienia się na udzielnego książęcia, w imię religijnych rozróżnień poburzył nienawiść Rusinów ku Lachom, zmówił się z Tatarami, i podniósł oręż przeciw Polsce. Horda Tatarów osiadła w Krymie u Przekopu, odrywając się od wielkiej hordy kapczackiej szerzyła się po stepach czarnomorskich. Wezwana na Ruś czerwoną, dotknęła świeżym przeciągiem Podole i półnoeniejsze dzierżawy litewskie.

Wojska polskie odniosły zwycięstwo nad Daszkiem pod Lublinem. Kazimierz W. odzyskane ziemie ruskie urządził jako województwa*); tytułował się ich dziedzicem**). Naród wchodzący pod jego berło, nabywał praw politycznych narodu polskiego. Bojarowie przypuszczani byli do tych samych przywilejów jakie służyły panom i rycerstwu w Polsce, miasta otrzymywały prawa miast polskich. Staraniem rządnego króla na miejscu drewnianych stawały zamki murowane we Lwowie, Haliczu, Trebowli, Lubaczowie, Tustanie. Nadto Lwów, Sanok, Krosno, Przemyśl, opasywane wałami kamiennemi dla zasłony od Tatarów. W ziemiach pustych rozdanych szlachcie krzewiły się osady ludu polskiego. Ruś czerwona stawała się i krainą i społecznością ściśle połączoną z Polską.

---

*) Na liście od książąt ruskich danym Luderowi mistrzowi krzyżackiemu w. r. 1345 z zapewniem pokoju, podpisali się za świadków: Hryćko Kossaczowicz wojewoda przemyślski i Borysko Krakuła wojewoda lwowski. Zapewne z razu te ziemie były osobnemi województwami, albo może dowódzcy rycerstwa każdej ziemi brali tytuł wojewody, palatinus.

**) Pod r. 1346, widzieć się już daje następny wypis tytułów Kazimierza W. Nos Casimirus Rex Poloniæ, nec non terrarum Sandomiriæ, Siradiæ, Lanciciæ, Cuiaviæ, Pomeraniæ, Rusiæque dominus et hæres.

Olgerd zebrawszy znaczne wojska książąt litewskich i ruskich, z czterma synowcami swemi: Aleksandrem, Konstantym, Jerzym i Teodorem, synami Korjata, wyprawił się na Tatarów perekopskich. Po walnem zwycięstwie u Sinej wody (1341) pociągnął na Podole i kraj ten zupełnie od tatarskich koczowisk oswobodzony, oddał w rządy Korjatowiczom. Oni to dopiero poczęli na zgliszczach podnosić miasteczka i grody, w obronnych miejscach stawiać zamki, po polach krzewić osady rolnicze. Im początek albo odbudowanie winny, Kamieniec, Smotrycz, Bakota, Bracław, Winnica, Międzyboż, Chmielnik, Sokolec, Zwinigrod i t. d. Długo tu na opustoszałej ziemi wiatr wywiewał wspomnienia dawnej Rusi; potęga Litwy jednak z nowem życiem nie położyła na niej swojego nazwiska, bo dawna wiara i mowa Rusinów, opanowała nowych panów i przybyszów litewskich.

Granica oddzielająca Polskę od posiadłości książąt litewskich na Rusi, lat ośm trwała nienaruszona. Nareszcie Kazimierz postanowił odebrać ziemie, które należały niegdyś do księstwa halickiego; wkroczył więc z wojskiem (1349) i Chełm, Włodzimierz, Krzemieniec zajął, a Łuck pod warunkiem hołdowania koronie polskiej, Lubartowi zostawił. Zaledwo atoli rok upłynął, Olgerd przywiodłszy z sobą Tatarów, ze wszystkich tych miast załogi polskie wyrugował i zagony na rabunek aż pod Sandomierz rozpuszczał (1350). Dotknięty tem Kazimierz, wezwał na pomoc swego siostrzeńca króla węgierskiego Ludwika, naznaczonego już wtenczas na tron polski. Ludwik przyprowadził nieco Węgrów, którzy wspólnie z Polakami pociągnęli zaraz na Wołyń. Po bitwie pamiętnej wzięciem do niewoli Kiejstuta, zamek Włodzimierz był opanowany; ale Kiejstut, umknął z pod straży, Litwa zamek włodzimierski odebrała i znowu pustoszyła kraj od Halicza aż do Zawichostu (1351). Wojna trwała ciągle. Książęta litewscy przymusili Ziemowita ustąpić z księstwa bełzkiego; król polski nie mogąc go zaraz do posiadłości przywrócić, dał mu powiat Zapilcze nad Pilicą (1355). Dopiero w lat dziesiątek później Kazimierz zebrawszy znaczne siły wyruszył ku Wołyniowi. Jerzy Narymuntowicz przez układy wyjednał spokojną dzierżawę prawem lennem Bełza, a nawet i Chełm wnet zajęty przez Polaków, pod tymże warunkiem otrzymał. Lubart nie zdołał ubłagać króla. Włodzimierz i Łuck osadzone garnizonami polskiemi dostały się Aleksandrowi Korjatowiczowi (1366). Na tem zawisły rzeczy aż do śmierci Kazimierza W. (1370).

Gdy pod tę porę Aleksander Korjatowicz znajdował się w Krakowie, Kiejstut i Lubart wpadłszy na Wołyń, Łuck i Włodzimierz opanowali. Następca po Kazimierzu, król Ludwik, zaprzątniony rozruchami na Wołoszczyźnie, przesia-

dywał w Węgrzech, rządy w koronie matce swojej Elżbiecie, a w Rusi polskiej Władysławowi książęciu na Opolu powierzywszy. Częste jednak łupieże od Litwinów doświadczane, zmusiły go wziąść się przeciw nim do oręża. Wyprawa wspólna wojsk węgierskich i polskich skończyła się na tem, że po zabraniu mocą zamków kilkunastu na lewym brzegu Buga, znowu przez układy Bełż i Chełm przy Litwie pozostał (1377). Ale Ludwik odjeżdżając do Węgier miał sposobność przypatrzyć się żyznym i pięknym krainom ruskim. Powiadają pisarze nasi, iż widok ten obudził chciwość w królu cudzoziemcu. Przyszły mu na pamięć zdarzenia w końcu wieku XII. i na początku XIII. przeminione: pokusa szepnęła mu do ucha tytuły króla Galicji i Ludomerji, zapisane na jego dziedzicznej koronie, przemknęły mu się przed oczyma cienia Andrzeja i Kolomana królewiców węgierskich, panujących niegdyś w Haliczu; zamierzył sobie oderwać Ruś od Polski, a przyłączyć do Węgier. Wynikły stąd dziwne układy między dwoma panami o zamianę rzeczy, do których oba nie mieli prawa. Władysław książe opolski chwilowy rządzca Rusi, zrzekł się jej na własność Ludwikowi; Ludwik przybrany król w Polsce, wynagrodził Władysława darowizną na wieczność ziemi Dobrzyńskiej i Kujawskiej. Wojska węgierskie sprowadzone przeciw Litwie na korzyść Polski, użyte teraz zostały przeciw niej samej na korzyść Węgier. Załogi węgierskie zajęły, Lwów, Przemyśl, Halicz, Sniatyń, Jarosław, Olesko, Łopatyń, Trębowlę i Kamieniec. Że zaś razem z Rusią czerwoną zagrabione zamki podolskie, były wówczas w posiadłości Teodora Korjatowicza, Ludwik uspokoił go dziedzictwem dóbr Mongaczu w Węgrzech.

Z dawnych wspomnień i z praw świeżo nabytych chciała Polska sięgać tak daleko w głąb Rusi, jak daleko zachodził niegdyś oręż Bołesławów, jak później rozciągało się państwo halickie. Ale Bolesław mazowiecki ledwo już tylko cząstkę tego państwa posiadał, a następca po nim Kazimierz W., mało swój nabytek rozszerzyć zdołał. Kowel, Łuck i Krzemieniec na Wołyniu, Trębowla i Zwinigród *) w Podolu, były ostatniemi punktami jego zdobyczy. Rzeki Turza, Styr, Hniezna, Seret i Dniestr, częściami swych koryt oddzielały niby posiadłości polskie od litewskich. Jednak głęboko w tym zakresie Litwa trzymała ciągle Chełm, Bełż, Zwinigród a nawet i Trębowlę. Warunków hołdownictwa królowi polskiemu, nie zawsze dochowywali książęta litewscy. Nakoniec wszystko co w tych stronach należało do Polski, zabrał kto inny. Taki był stan rzeczy, kiedy po śmierci Ludwika (1382)

*) Zwinigród ten leżał nad Dniestrem między ujściami Seretu i Zbruczy. Inny jest Zwinigród ukraiński nad rzeką Gniły-Tykicz.

Polacy włożyli koronę Piastów na głowę Jadwigi i odpychając pretendentów niemieckich, patrzyli w około gdzieby znaleźć męża, co by mógł podnieść szczerbiec Chrobrego spoczywający u stóp młodej królowej.

W ciągu tego spychania się Polaków, Węgrów i Litwinów przez lat kilkanaście na zachodnim brzegu Rusi, ramię Olgerda zagarniało jej północ, wschód i południe. Umocował on swoją zwierzchność w Pskowie i Nowogrodzie (1346, 1349); bijąc Tatarów osłabionych wewnętrznemi rozterkami, złupił Krym i hordę przekopską tak shołdował, że odtąd długi czas książęta litewscy stanowili w niej chanów (1363); gromiąc albo rozsądzając książąt moskiewskich, trzykroć szturmował ich stolicę (1368, 1370, 1372). Państwo jego rozciągnięte od Baltyckiego do Czarnego morza, w jednej stronie szeroko leżało za Dźwiną i Dnieprem, w drugiej rozpierało się koło Buga i Dniestra. Takie zostawił Jagielle (1381).

Za Jagiełły granice zachodnie znowu posunęły się ku Polsce. Zaraz po zgonie króla Ludwika, książęta litewscy poczęli mocą, podstępem, albo układami wydobywać zamki ruskie z rąk rządzców węgierskich. Lubart książe Łucki, kupił od nich za pieniądze, Kamieniec na Podolu, Sniatyń w ziemi halickiej, a Olesko, Łopatyn, Horadło i Grabowiec w bełżkiej; później zaś i Przemyśl opanował.

Tak tedy między narodem polskim, który wnosił za San i Bug życie swoje społeczne rozwijające się dzielnie, a państwem Ruryków moskiewskich umacniających władzę despotyczną pod Tatarami, Ruś stratowana nogami tylu zdobywców, sama przez się już bezwładna, nakoniec całkiem niemal ujęta w więzy zaborczej Litwy, biegła z nią razem do niewiadomego kresu. Rzecz była pewna, że mocarze litewscy lada moment musieli przyjąć namaszczenie chrześcijańskie; ale ważyła się kwestja niezmiernie wielka dla Sławiańszczyzny i dla Europy, gdzie się z ogromem swoich poddanych przechylą. Wpatrując się w szereg zdarzeń tuż następujących po tej chwili uroczystej, ledwie można odepchnąć pewien rodzaj mimowolnej trwogi o los wątpliwy w ówczas wielu ludów, wielu ich pokoleń. Któż wie czyliby za lat kilkanaście jaki Witołd, za lat kilkadziesiąt jaki Iwan, z czapką carską nie zasiadł na całym tronie Jarosława W.? Któż wie gdzieby się zatrzymało wdzierstwo Niemców, gdyby naprzykład, ta ich moc co się wytężyła pod Grunwaldem, nie znalazła przeciw sobie równie potężnego związku? Opatrzność oddając berło narodu polskiego Jagielle, wszystko roztrzygnęła szczęśliwie. Nigdy w Europie nie zaszła potężniejsza rewolucja bez krwi rozlewu. Żeby to błogosławione dzieło dojrzało zupełnie, trzeba było jeszcze lat prawie dwóchset;

ale schodzący wiek XIV, widział już w tej stronie zarys niezmiernej zmiany. Na pokruszonej posadzie warjagskiego, podboju, gdzie niegdyś jak mgła rozwlekało się spokojnie tchnienie bizantyńskie, gdzie później wylewy pogan od Kaspijskiego i Baltyckiego morza spierały się wstecznym pędem, teraz były zatknięte dwie główne chorągwie. Polska pod cywilizacyjne znamię Rzymu garnęła Ruś i Litwę, Moskwa otrząsając się z Tatarów podnosiła godło Carogrodu. Duch Zachodu walczył z razu u Sanu i Buga, ciężko potem wciskał się nad brzegi Dniestru, nagle otworzyło mu się pole aż za Dnieprem. Obie strony przeznaczone skoncentrować w Sławiańszczyźnie polarność walczącą w łonie chrześcijaństwa, przybierały coraz mocniejszy charakter. Religijna i za nią polityczna ich różnica, wykańczała się szybko w następnym perjodzie dziejów, który na pilną zasługuje uwagę.

VII.

Najprzód co do Polski.

Cały ciąg historji naszej od czasu koronacji Jagiełły (1386), upoważnił wypadek ten uważać za epokę zawiązania się w nierozdzielne ciało trzech narodów sąsiednich, z których ruski nie miał niepodległego swego państwa. Litwa z chlubą może powiedzieć, że w owej chwili poczęła dobrowolnie zrzekać się swojej przyszłości oddzielnej; Ruś tem bardziej nie powinna sięgać pamięcią za ten kres po jakiekolwiek prawa osobnego bytu. Odtąd nazwiska Litwy i Rusi skazane zostały prędzej czy później stać się prowincjonalnemi w Polsce; bo narody litewski i ruski miały stopniami przejść zupełnie w społeczeństwo polskie, jednakich swobód używając, jednako myśleć i nakoniec kiedyś jednako mówić. Nie masz pośredniego stanu kombinacji w zlewaniu się ludów pod wpływem cywilizacyjnego ducha; tylko z klubów siły materjalnej mogą one wymykać się niezmienione wewnątrz, i jeśli wystarcza im na to, prząść dalej osnowę własnej narodowości. Litwa i Ruś o cóżby dzisiaj zaczepiły taki wątek? Historja ich od czasu zaślubin Jagiełły z Jadwigą, jest procesem ciągłego nasycania się siłą organiczną Polski. Odjąć to co Polska w nie wlała — cóż zostanie?

Połączenie w jednej osobie władzy króla polskiego i wielkiego książęcia litewsko-ruskiego, było wszakże zrazu bardzo cienkiem ogniwem, i nie zdołałoby utrwalić związku, bez istotniejszych spójni. Polska i Litwa jako państwa miały nawet niełatwy do ugodzenia spór o granice. Polacy razem

z koroną przygotowali dla przyszłego króla warunek, żeby odpadłe posiadłości im przywrócił. Jagiełło przyrzekł to uczynić; obowiązany był zatem tyle ziem ruskich odłączyć od Litwy ile ich Polsce należało. Pierwsze jego urządzenia w tych stronach zdają się być skutkiem równie praw dziedzicznych jak królewskich. Księstwo bełżskie z zamkami Szewołoczem, Grabowcem, Horodłem i t. d., puścił książętom mazowieckim na Płocku (1386) *). Rozterki sprawione przez Witołda, zwróciły jego troskliwość ku Litwie. Wtenczas królowa wyręczając męża, zajęła się Rusią. Wezwawszy rycerstwo polskie do broni, wyprawiła się na Ruś czerwoną i wszystkie załogi węgierskie wypędziła z tego kraju, który na dwa powiaty: przemyślski i przeworski podzielony, a ogarniający już i Trębowlę, wszedł pod zarząd starostów naznaczonych od korony (1390) **). Przyległe tym okolicom Podole podobnie jak Wołyń, nie mogło jeszcze być wydobyte z pod interesu książęcego. Odzyskał najprzód swoje posiadłości Teodor Korjatowicz przez króla Ludwika do Węgier przeniesiony ***); musiał wkrótce Jagiełło dać je Witołdowi. Witołd mocą rugował Teodora i w bitwie pojmanego więził, (1394) a bratu króla Korybutowi, któremu pierwej Czernichów i Siewierz odebrał, wydzielał ziemie z zamkami na Podolu i Wołyniu †). Ledwie po niejakim czasie Jadwiga wymogła na Jagielle, że przez układy z Witołdem, Kamieniec, Smotrycz, Skała i Czerwonogród, z rąk jego wyszły; lecz dostały się w zastaw wojewodzie krakowskiemu Spytkowi z Melsztyna, za pożyczoną na ich wykup summę (1396). Dopiero znowu po zamianie z nim uczynionej na włości w Szląsku, król tę cząstkę kraju otrzymał i powierzył bratu swemu Swidrygajle, który z namiestniczego rządcy chciał stać się właścicielem. Wśród zawichrzeń przezeń sprawionych, zdarzyło się na moment, że Jagiełło całe Podole przyłączył był do królestwa i jeneralnego starostę posadził (1406).

---

*) Stało się to przed zaślubieniem Jadwigi. Jagiełło wydając siostrę swoję za Ziemowita ks. mazow., Bełż z przyległościami przeznaczył jej w posagu, co jest dowodem że Litwa wówczas jeszcze posiadała kraje na lewej stronie Bugu.

**) Od r. 1890 do r. 1772, to jest od wygnania Węgrów przez Jadwigę aż do pierwszego rozbioru kraju, żaden z posiadaczów korony węgierskiej nie miał wstępu do Rusi. W wielu traktatach była jeszcze wzmianka o tej pretensji Węgier. Ale od r. 1453 stale, królowie węgierscy dawali królom polskim tytuł panów Rusi; przeciwnie zaś królowie polscy nigdy węgierskim nie przyznawali Halicza i Włodzimierza. (Łojko, str. 281.)

***) Teodor ten jest innym od Teodora brata Aleksandra Konstantego i Jerzego Korjatowiczów. W rewersie danym Jagielle 1494, pisał się on książęciem Podola i panem Mongaczu.

†) Korybut dostał zamki: Bracław, Winnicę, Sokal i Krzemieniec, a sam założył Zbaraż i Wiśniowiec, skąd poszły dwa domy Korybutów Zbarazkich i Wiśniowieckich.

Atoli nie trwało to długo. Król w ostatnim roku swego życia musiał jeszcze zamki podolskie i wołyńskie mocą od Świdrygajły odbierać i być świadkiem zawziętych bojów (1433), nim część przynajmniej Podola jako własność korony pozostała spokojnie lennem prawem w ręku Odrowążów i Buczackich.

Przyłączenie bowiem jakiej ziemi nie mogło rzeczywiście nastąpić bez wzięcia jej mieszkańców pod opiekę wspólnego porządku publicznego, a do tego trzeba było najprzód złamać krępujące ich jarzmo feudalne.

Ustawy w Horodle (1413) uczyniły krok na tej drodze: zaręczyły swobody szlachty polskiej dla podobnego stanu w Litwie i Rusi; a co szlachta polska zyskiwała ubespieczeń na sejmie w Czerwieńsku (1422), co Jagiełło nadawał i potwierdzał dla niej w Jedlnie (1430), to miało służyć i szlachcie litewskiej i ruskiej. Ale uchwały i przywileja w skutek żyjących już faktów pisane w Polsce, były jeszcze literą martwą w Litwie i Rusi. Reformy bowiem społeczne nie robią się na pargaminie lub papierze; lecz muszą dokonać się pierwej w pojęciach i wyobrażeniach narodu; a do tego trzeba było przed wszystkiem, żeby naród litewski niedawno pogański, i naród ruski greckiej wiary, zjednoczył się z narodem polskim w głównym punkcie jego moralnej organizacji — w ognisku, z którego rozświetlało się jego społeczeństwo chrześcijańskie. Dla tegoż nadania w Horodle służyły tylko szlachcie obrządku łacińskiego.

W Litwie właściwej, czyste ziarno religji rzucone na grunt świeży, wschodziło bujnie; w Rusi polskiej i litewskiej, starożytny zasiew trudniej mógł wyjrzeć z chwastów i cierni. Wyznanie kościoła powszechnego krzewiło się wprawdzie zwolna i tutaj. Jeszcze Kazimierz W. założył był biskupstwo lwowskie (1361); Ludwik postarawszy się o podwyższenie na arcybiskupstwo, przeniósł je do Halicza (1378), katedrę biskupią zaś fundował w Kamieńcu (1382). Za Jagiełły stolica arcybiskupia wróciła z Halicza do Lwowa (1412), a powstały nowe biskupstwa w Chełmie i Kijowie. Obrządek jednak łaciński zdawał się tylko niemiłym przychodniem wśród greckiego: rozdział w wierze wymagał ogólniejszego węzła.

Pod tę porę też kościół powszechny zajmował się czynnie, nawróceniem szarpiących go odszczepieństw. Paleologowie dociskani przez Ottomanów, szukali pomocy dla Carogrodu w Rzymie; powolność ich zapewniała skuteczność pracy soborów odbywanych ciągiem w Bazylei i Ferrarze.

Wpływ zdarzeń zachodzących u góry, rozlewał się pomyślnie w państwie jagiellońskiem. Przy koronacji Władysława III (1434), uchwały horodelskie i następne po nich,

zostały już stwierdzone z dodatkiem, że i unici będą porównani w swobodach z łacinnikami. Część Rusi czerwonej objęta niegdyś przez Kazimierza W. bezpośrednio, a od czasu wygnania Węgrów sprawowana przez starostów, weszła w poczet województw polskich. Podole i Wołyń co do form zewnętrznego porządku zawisły jeszcze na dawnym stopniu; ale wewnątrz doświadczyły w krótce zasadniczej przemiany.

Sobór rozpoczęty w Ferrarze a dokonany w Florencji ogłosił nakoniec unję kościołów łacińskiego i greckiego (1439). Grecy nie wszyscy i nie na długo przystąpili do niej, za ich przykładem szła Moskwa; lecz Izydor metropolita całej starożytnej Rusi, czyli jak go tytułowano Sarmacji, szczerze przyjął wyroki synodjalne i wszystkie ziemie ruskie w litewskich albo polskich granicach objęte, pociągnął za sobą.

Zjednoczenie w duchu zrównało grunt społeczny narodów, mających zlać się w jedno ciało polityczne.

Interes atoli książąt i możnych, długo jeszcze stał na zawadzie. Przewidując upadek swoich praw senioralnych, nie radzi oni byli związkom Litwy z Polską i starali się je rozrywać, a drażliwych powodów do tego nie brakowało. Kazimierz Jagiellończyk wprzód wyniesiony na wielkiego księcia niżeli obrany królem, przysiągł pierwej Litwinom, że ich granic nie umniejszy, musiał później przysiądz Polakom, że zawsze żądane od nich południowe ziemie ruskie do królestwa przyłączy. Obu stron domagania się w tej mierze, stawiły go nie raz w trudnem położeniu i nieraz zapalał się spór groźny. Lecz mimo wsteczne widoki głów wynioślejszych, massy zbliżonych narodów spajały się coraz ściślej. Liczne osady z Mazowsza i Małej Polski przenosiły się na Litwę i Ruś; prócz tego przez wielorakie wzajemne stosunki, z obyczajem, oświatą i językiem, upowszechniały się w tych krajach polskie wyobrażenia wolności i obywatelstwa. Obok szybko pomnażanych swobód szlachty polskiej, nie mógł dawny porządek utrzymać się w ziemiach sąsiednich, którym jeden monarcha panował, jedna najwyższa władza duchowna była wspólną. Życie moralne Polski ogarniało jak płomień przyległą budowę feudalną, jej warjagskie i litewskie ściany musiały runąć.

Tymczasem postronne wypadki zmieniały bardzo, mianowicie na południu położenie państwa Jagiellońskiego. Turcy zdobywszy Carogrod (1453), wkrótce poczęli ogarniać pobrzeża morza Czarnego, zabrali Kaffę w Krymie (1475), Kiliją i Białygród w Wołoszczyźnie (1484). Handel zbożowy, który dotąd wzbogacał żyzne prowincje południowe, ustał zupełnie. Tatarzy perekopscy poddali się Turkom, przestali Litwie hołdować i tem śmielej plądrowali Podole, Ruś czerwoną i Wołyń.

W ciągu tych wydarzeń umarzały się nieznacznie rozterki domowe dwóch państw skojarzonych i różne części Litwy wschodziły na stopę ogólnego porządku Polski.

Ponieważ gasła linja książąt mazowieckich, dzierżących księstwo bełzkie, Kazimierz Jagiellończyk księstwo to do korony przyłączył i w województwo zamienił (1462).

Kamieniec z całym powiatem, który był w zastawie u Teodora Buczackiego, został wykupiony na rzecz państwa (1463). Starostwa: Lwowskie, Żydaczewskie i Gliniańskie, podobnymże trybem wyszły z rąk Jana Odrowąża (1465); a gdy skarb publiczny nie dość miał zasobów, Podolanie, Lwowianie i Haliczanie, ofiarowali na to dobrowolnie wołu z każdego domu.

Wkrótce potem król Kazimierz, przeniosłszy krewnych swoich książąt Olelkowiczów z Kijowa do Słucka, księstwo kijowskie także w województwo obrócił (1470).

Za tego króla ustalił się w Polsce sposób reprezentacji i sejmowania; w Litwie wyraźniej określała się powaga senatu, nie tylko z książąt dziedzicznych ale i z wyższych urzędników złożonego. Szlachta polska szybkim krokiem zbliżała się do gminowładztwa; szlachta litewska i ruska przywilejem ziemskim (1457) miała sobie potwierdzone wszystkie swobody przez poprzednich panujących nadane.

Pod Janem Albertem uchwały sejmu piotrkowskiego (1496) rozszerzając w Polsce prerogatywy szlachty, ścieśniły już władzę króla i senatu, a przyciężyły stanom niższym. Litwa i z nią Ruś w wewnętrznym swoim składzie znacznie uporządkowane na wzór Polski, uczuły tem większą skłonność do ściślejszego z nią wspólnictwa. Unję Jagiełłowską ponowiono w Wilnie (1499).

Krótkie panowanie Aleksandra poczynające się z wiekiem XVI, zdaje się być jakby programatem dziejów naszych w tem najświetniejszem ich stuleciu. Zjednoczenie narodów berłu Jagiellońskiemu podległych, wybujałość demokracji szlacheckiej, schyzma, mianowicie grecka, to wszystko znalazło tu mniej więcej treściwą zapowiedź.

Zaraz po zgonie Jana Alberta, Polacy i Litwini przyrzekli sobie wzajemnie, że nadal zawsze król polski i wielki książe litewski, w jednej będą osobie. — Prawodawcze uchwały na sejmach w Piotrkowie (1503, 1504) i w Radomiu (1505) przepisując, że król bez wiedzy sejmu dobrami królewskiemi szafować, ani nic bez nowego wspólnej zgody posłów i senatu postanowić nie może, przeważyły władzę z tronu na reprezentację narodu. Nakoniec Aleksander skłoniony prośbami żony swojej Heleny Iwanowny moskiewskiej, dał w Litwie opiekę jej religijnemu wyznaniu, potwierdził dla duchowieństwa greckiego kanony Jarosława W. (1505).

Zygmunt I., rządny gospodarz, cnotliwy człowiek, dobry pan, ale skłonniejszy do politycznych obrotów niż do orężnych czynów, wstępując na tron w chwili, kiedy Polska nigdy może bardziej nie potrzebowała króla rycerza, zastał zewnątrz i wewnątrz państw swoich ogromnie już nagromadzone materjały tych szczęśliwych i zgubnych wypadków, które pod nim społem zakwitnąć, pod jego synem wydać owoce, a później upajającą słodyczą i jadowitą trucizną ojczyznę naszę zalać miały.

Południowe ziemie ruskie po obu stronach Dniepra w granicach Litwy zawarte, przedstawiały w owym czasie godzien zastanowienia się obraz.

Był to odwieczny plac bojów, przed niewielu laty gęściej nieco pokryty ludnością rolniczą, i znowu burzony srodze przez napastników, wymykających się z pod skrzydeł ottomańskiej potęgi, jak chmura od morza czarnego wychylonej na dom Jagiełłów, z którego wielki rycerz chrześcijański leżał pod Warną. Wśród wyniosłych mogił, co wskazywały drogę kędy w głąb Europy przeszły niegdyś nazwiska i dziejów nieznane narody; wśród wałów sypanych Bóg wie kiedy i przeciw jakim napadom; wśród kurhanów nareszcie, pod któremi pruchniały kości Warjagów, Połowców, Mogołów, Litwinów, Węgrów, Polaków, Wołochów, miał jeszcze Tatarzyn upatrzone szlaki i nakształt szarańczy ze stepów nadmorskich spadał. Winął się jeden taki trakt od Oczakowa przez środek Podola, szedł drugi prawym brzegiem wstecz Dniepra po płaszczyznach kijowskich na Wołyń, wybiegał trzeci z Wołoszczyzny w serce Rusi czerwonej: wszystkie stykały się u Lwowa. Często stada ptastwa z wrzaskiem lecące od południa, przynosiły złowieszczą wróżbę i zaraz dawały się się widzieć łuny pożarów nad posadą wsi i folwarków; hordy barbarzyńskie roztoczonem półkolem ogarniały prędzej mieszkańców i ich dobytek, nim z rzadkich grodów i zamków jakakolwiek obrona wystąpić mogła. Drapieżna dzicz nagła w napadzie, skorsza jeszcze w ucieczce, zagarnąwszy wszystkę młodzież płci obojej, uprowadzała ją razem z trzodami bydła, zostawując za sobą tylko trupy starców, zgorzeliska i pustki. Jednak po tylu różnej krwi powodziach, po tylu własnych utratach, ludność jak trawa podnosiła się z ziemi i jak ta ziemia zawsze była sławiańska. W zakątach nawet, gdzie szczątki rozmaitych plemion, na stronie od bystrego potoku zdarzeń ciągle szumiącego po otwartych błoniach, zatrzymywały się spokojnie, również przemagał pierwiastek odwiecznie wkorzenionego rodu.

Dniepr niżej Kijowa poczyna tworzyć mnóstwo małych wysep. Za porohami wyspy te mają już od kilkuset sążni do kilku mil rozciągłości: jest ich przeszło siedmdziesiąt,

znaczniejszych ośm. Ramiona rzeki gęstym zarosłe oczeretem, urwiste albo grzęskie brzegi, skały na ostrowiach, w skałach pod pokrywą bujnych drzew i splecionych cierni głębokie jaskinie, wszystko to nastręczało pożądany przytułek wśród kraju wystawionego na nieprzerwane klęski. Od czasu pierwszych najazdów tatarskich, Połowiec i Rusin szukał tu schronienia, pomnożyła się liczba przybylców, kiedy Giedymin i Kazimierz W. wnieśli nową wojnę w sąsiednie strony, zwiększało się później towarzystwo tułaczy nie tylko z potrzeby ale i z ochoty. Zbieg z szeregów litewskich, polskich, węgierskich, wołoskich, jeniec któremu los posłużył umknąć z więzów nieprzyjacielskich, biedak od możniejszego nękany, przestępca unikający kary, albo prosto miłośnik awanturnictwa, kierował się ku Zaporożu. Takich zbiorowisk w dawnych wiekach bywały wielorakie przykłady. Znano Flibustierów na wyspach oceanu, Witingów nad deltach przy ujściu Wisły. Wszędzie pierwiastkowy ich obyczaj był podobny: bezżeństwo i twarda reguła odludnego bractwa, zrazu pracowity sposob żywienia się z rybołówstwa i myśliwstwa, potem ukradkowe wycieczki, w końcu zuchwałe wyprawy na łupieże. Mieszkańcy tajników dnieprowych wzrosłszy w gromadę, odważyli się najprzód zarywać Tatarów wracających ze zdobyczą, puszczali się z czasem na dalekie zaczepne przedsięwzięcia. Skoro w spokojniejszych latach poczęły zasiedlać się nadbrzeżne płaszczyzny, zstępowali do słobód brać żony i używać chwilowego wypoczynku. Tym trybem rozmnażał się lud, który w dziejach ukazuje się pod wyłącznie jemu służącem nazwiskiem Kozaków. Nazwisko to może z przed warjagskich jeszcze czasów znalezione na dawnej posadzie Kozarów i przylepione do innych jej mieszkańców, może, jak jest lepiej ustalony domysł, przez Tatarów nadane lekko zbrojnym wojownikom, bynajmniej jednak nie oznaczało osobnego jakiego plemienia. W gniezdzie zaporoskich Flibustierów, ród sławiański wziął przewagę, strawił wszystkie inne przymieszki, a jakie w tych stronach miał na sobie piętno z chrześcijaństwem położone, takiem i cały zlewek ogarnął. Kozacy w swojej Siczy, równie jak rolnicy na Wołyniu i Podolu, byli Rusinami, mówili po rusku, wyznawali wiarę wedle nauki greckiego kościoła. Tylko zmiany religijne i społeczne zachodziły łatwiej na otwartym kraju; stary obrządek zbratany z miejscowym trybem życia, siedział uporczywie w Zaporożu.

Z pomiędzy takiej, rzadko rozpostartej, często zmiatanej i zawsze w plemiennym swoim charakterze odrastającej najniższej warstwy narodu, wyosobniała się coraz dobitniej uprzywilejowana klasa, szlachta. Dawni bojarowie ruscy, równego z nimi dostojeństwa wojownicy litewscy i na rycerskich

zasługach obok nich usadowieni przybysze polscy, wszyscy orężną posługą dla kraju zajęci, swobodami znacznie udarowani do publicznego życia pobudzeni, z coraz światlejszem pojęciem obywatelstwa poglądali na prerogatywy podobnego im stanu w królestwie.

Nad wsiami kmiecego ludu i nad folwarkami szlachty, górowały jeszcze wyniosłe starożytne i nowsze zamki — zasłona dla kraju, miejsce igrzysk i służby dla rycerstwa, przytułek dla wzrastających pod ich bokiem miasteczek, opieka i razem ciężar dla poddanych. Niegdyś cisnął tę ziemię swojemi gniazdami mnożny i swarliwy dom Ruryka; później dawnych dziedziców Rusinów, świeższej daty wdzierców Tatarów i Węgrów, wypychał zdobywczy ród Giedymina; teraz obok ruskich i litewskich książąt, siedzieli zgodnie panowie lechiccy. Wszystkim rozkazywał jeden monarcha, który był wielkim książęciem Litwy i królem Polski; wszystkich piersi zapalała miłość jednej sprawy, wszyscy mieli jednych nieprzyjaciół godzących na oba państwa jagiellońskie. I było coś wspólnego dla nich wszystkich, za co wspólnie stawili wielkie swoje głowy. Bił sławny Ostrogski Tatarów i Moskali; a kiedy wpadł w ręce cara moskiewskiego, ani groźby, ani łaski plemiennika ująć go nie zdołały. Przekazywali nierozdzielnej historji Litwy i Polski świetne swoje czyny na ziemi ruskiej Wiśniowieccy, Rożyńscy, Czartoryscy, Jazłowieccy, Sieniawscy, Buczaccy, Koniecpolscy, Lanckorońscy i t. p. W ich też ręku ta ziemia rozdzielała się na ogromne dziedziczne fortuny, lenne dobra, albo dzierżane starostwa. Jeden z synów wspomnionego Ostrogskiego, miał na Wołyniu do 10 miljonów rocznego dochodu. Jeden Koniecpolski posiadał nieco później, zamek Podhorce w Rusi Czerwonej, miasto Brody w Podolu, 170 miasteczek i 740 włości w Kijowszczyznie. Rozległe stepy koło Oczakowa i nad morzem Czarnem należały do Jazłowieckich i Sieniawskich. Na dworach takich magnatów skupiała się młodzież szlachecka, pod ich chorągwiami tysiące uzbrojonej milicji stały w pogotowiu, żeby wstrzymać, albo dognać wroga. Oni jako dziedziczni książęta albo z urzędu senatorowie państwa, składali Radę wielkiego książęcia, byli jedynymi reprezentantami narodu, wodzami w wojnie, sędziami w pokoju.

Ten duch cywilizacyjny, co w Polsce rozwinął już daleko koło tronu organizm wolnego społeczeństwa, musiał podobnąż kolej przechodzić i w Litwie. Pozostawało mu jeszcze wiele skruszyć i stopić u góry, żeby mógł rozlać się niżej, kiedy właśnie temperatura całego świata chrześcijańskiego stygnąc nagle, poczynała zakrzepiać Europę w jej niedokształconych formach.

Panowanie Zygmunta I. uporządkowało tylko, albo wyra-

ziło jawniej, co za jego poprzedników miało zawiązek. Monarcha troskliwy o dobry byt i bespieczeństwo kraju, zwróciwszy uwagę na południowe granice państw swoich, umacniał twierdze Rusi czerwonej, z ludu bawiącego się dowolnemi gonitwami, chciał mieć stałą zasłonę w podolskich i kijowskich polach. Pod zwierzchnictwem Lanckorońskiego starosty Chmielnika, i Daszkiewicza starosty Czerkas, urządzał hufce kozackie nad Dniestrem i Dnieprem. Grunt bez żadnych innych obowiąsków do lat kilkudziesiąt nadany, był nagrodą za tę powinność rycerską. Przywykłym żyć i wzbogacać się z łupieży, wojna sama milszą obiecywała nagrodę; pokój miał przynieść tylko trudy rolnictwa. I nie brakowało zręczności, w której lud ten bitny, mógł był zgodnie z niepohamowaną swoją żądzą wojny, większe dla korony Jagiellów oddać posługi, zacniejszych dla siebie dobijać się prerogatyw. Właśnie papież Juljusz II. starał się natenczas złączyć siły wszystkich mocarstw chrześcijańskich na wyparcie Muzułmanów z Europy i ofiarował dowództwo Zygmuntowi. Pod chorągwiami Polski, w imię powszechnej religijnej sprawy, pozyskiwałby Kozak obywatelstwo lechickie, wychodziłby dobrowolnie po za swój odszczepiony kościoł grecki. Ale polityczne widoki różnych monarchów, nie dawały się już nagiąć pod władzę jednej wzniosłej myśli; szlachta polska także wolała strzedz swoich interesów w domu; król jej miłośnik pokoju, polityk podług nowszych wyobrażeń biorących górę, wołał zawierać traktaty z Turkiem, pobłażać schyzmie wedle życzeń Moskala. Zamykały się szranki do zasług w walce z nieprzyjacielem wiary, rósł bujnie w domu żywioł sprzeczek o wiarę. Polska u krańców apostolskiej Europy, w otwartej swojej ojczyznie, jak przednia straż stająca w obec sił nieprzyjacielskich, skoro doszedł jej uszu hałas buntu Lutra i jemu podobnych przeciw najwyższej władzy, odstąpiła swojej żołnierskiej powinności, zapomniała że się jej nie godziło ani na chwilę schować oręża, podać przyjaznej dłoni niewiernym i przeniewiercom. Uchybienia podobnego rodzaju nigdy naszemu narodowi nie uszły bezkarnie. Wiele krwi Łokietek i Jagiełło musieli wylać za to, że Konrad mazowiecki obcym powierzył sprawę chrześcijaństwa w Prusiech; wiele pod Janem Kazimierzem — i później — ucierpieliśmy za błogi wypoczynek dwóch ostatnich Jagiellonów.

Lecz jak późniejsi mieli odpokutować błędy swoich poprzedników, tak szczęśliwe pokolenie ówczesne cieszyło się obfitem dziedzictwem pracy dawniejszych przodków. Organizm społeczeństwa polskiego szedł dalej mocą nakręconej w nim sprężyny i tam się dopiero miał zatrzymać, gdzie jej

siła z właściwego źródła nie odnowiona dosięgnąć nie mogła. Litwa ujęta tym pędem musiała równąż odbyć kolej.

Zygmunt I. w obu państwach zbierając prawa, zostawił dla Litwy księgę, która dzisiaj z wielu miar jest jasnem świadectwem i ówczesnego stanu i późniejszych przemian litewsko-ruskiego narodu.

Przy wyniesieniu Zygmunta Augusta na wielkie księstwo (1529) ogłoszony, a w rok potem przyjęty Statut Litewski, zapewnił wszystkie dawne nadania, wyraził konstytucję państwa jaka egzystowała obecnie. Podług niego ogromny przedział odgraniczał możnych od stanu rycerskiego i skład całej budowy politycznej nie mógł jeszcze pogodzić się z kształtem Polski.

Dopiero sam Zygmunt August będąc już królem, zajął się złamaniem ostatków jarzma zawadzających połączeniu się wyzwalanych z wolnymi. Na zjeździe Panów Rad w Wilnie (1560) doprowadził do skutku wszystko, co od czasu uchwał horodelskich obiecywane było. Pozwolił szlachcie litewskiej obierać posłów i sędziów, przez co reprezentacja narodowa i sądownictwo przybrały zaraz taką postać w Litwie, jaką miały w Polsce.

Stosownie do tej wielkiej zmiany poprawiony i pomnożony wyszedł drugi statut (1564); a co w zasadach dawnego porządku rzeczy sprzeciwiało się jeszcze naturze obywatelstwa polskiego, to król w następnych kilku leciech uprzątnął do szczętu. Złożył najprzód na sejmie warszawskim dziedzictwo Litwy (1564), zrzekł się potem swoich praw feudalnych nad własnościami szlachty (1566).

Tym sposobem, że tak powiem, sprowadzone do jednego mianownika różne części państwa jagiellońskiego, snadnie dawały się znieść w całość. I dopełnił tego pamiętny sejm lubelski (1569). Uroczysty akt Unji zapowiedział, że odtąd Korona Polska i Wielkie Księstwo Litewskie, stanowią jednę Rzeczpospolitę. Jeden król wspólnie przez Polaków i Litwinów wybierany, będzie im rozkazywał. Wybór króla ma odbywać się w Polsce, koronacja w Krakowie, sejmy w Warszawie. Przy koronacji żaden znak nie okaże oddzielnego podnoszenia na wielkie księstwo; podczas sejmu senatorowie polscy i litewscy zasiadają razem, posłowie również razem składają izbę niższą. Przymierza zawierać, wojny wypowiadać, prawa stanowić, jest sprawą całej rzeczypospolitej: żadna jej część osobno tego czynić nie może.

Naturalnem następstwem takowego zjednoczenia, był zupełny koniec od dawna już zaniedbywanych sporów o granice między Polską a Litwą. Wołyń i Podole zostały określone jako województwa. Południowo wschodnia strona ziemi właściwie podolskiej, od rzeki Morachwy biorąc, i przyległy

jej brzeg Kijowszczyzny złożyły nowe województwo bracławskie. Uchwalono że województwa: wołyńskie, podolskie, kijowskie, bracławskie i czerniechowskie, mają rządzić się statutem litewskim, a należeć do prowincji zwanej Małą-Polską.

Pamiątka imienia Rusi zatrzymała się urzędowie tylko na województwie ruskiem, na cząstce najdawniej do korony wcielonej i prawem polskiem objętej. Inne okolice, w tytułach królewskich i w aktach publicznych, były albo bez śladu zakryte nazwiskiem Litwy, albo wymieniane w postaci oddzielnych niegdyś ziem i księstw Wołynia, Podola, Kijowa, Czerniechowa. Nadto wchodziło w użycie nieznane przed XVI. wiekiem, a może przed unją lubelską dla Korony przynajmniej obce nazwisko Ukrainy. Bezludne pola po obu stronach Dniepra ciągnące się ku Tatarszczyznie i morzu Czarnemu, za króla Aleksandra zwano krainą pustą, później Ukrainą, to jest jakby u kraju czyli brzegu Polski leżącą ziemią. Zdaje się że nazwisko to wynikłe jedynie ze względu na położenie, przywłaszczono z czasem pewnej naturze gruntu. I Ukraina znaczyła nie tylko krańce wszystkich województw południowych, ale i niektóre okolice wewnątrz Wołynia*). Podobnież do historycznych lub administracyjnych podziałów nie przywiązane, a z miejscowych własności biorące swój początek nazwiska Polesia, Pobereża, Pokucia i t. d., musiały zapewne lepiej przypadać do pojęcia samych mieszkańców, niżeli jakieś przedwieczne rozróżniania się imionami Rusi Czerwonej, Białej i Czarnej, kiedy pierwsze obecnie trwają, drugich ówczesni nawet pisarze nie umieli tym lub owym stronom przyznać dokładnie, i dla późniejszych zostawili przedmiot wielorakich domysłów**).

---

*) Konst. 1580 (Vol. Leg. p. 1011) zawiera wyrazy: «iż ludzie swywolni którzy na Ukrainie ruskiej, kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej —» Zygmunt III. (tamże) rozróżniał jeszcze Ukrainę na litewską i polską. Z tego się pokazuje że Ukraina miała miejsce i w województwie wołyńskiem, które nie było skrajnem, i województwie ruskiem, które zawsze liczono do województw polskich.

**) Kromer piszący za Zygmunta Augusta, powiada: «Ruś od niektórych Czerwoną zwana, zawiera dwa województwa: Bełzkie i właściwie Ruskie, czyli Lwowskie: chyba że jeszcze dodalibyśmy jej nie szczupły kraj Chełmski. Ruś ta ma na północ Ruś Białą i Wołyń, na wschód Podole, które od północy i wschodu Rusią Białą, od reszty wschodu rozległemi polami tatarskimi i tureckiemi, od południa Mołdawiją jest opasane.» — (Crom. de situ Pol. ed. Colon 1989. p. 483.) Ponieważ zaś pierwej (p. 481) Ruś Białą oznaczył wyrazami: Moschis finitima (z Moskwą granicząca); wypada więc, iż cały kraj po obu stronach rzek Prypeci i Dniepra w państwie Rzeczypospolitej zawarty, a opasujący Ruś Czerwoną, Wołyń i Podole, jest Rusią Białą. Rusi Czarnej Kromer nie wspomina.

Współczesny Kromera Sarnicki, sprzeciwia się takiemu rozumieniu, uważając Czarnobyl na lewej stronie Prypeci za punkt zetknięcia się Rusi Czarnej z Białą. (Sarnicii descr. Pol. Russiaeq. ad calc. Dlugosii, ed. Lips. 1712. II. p. 1893.)

Jednak kiedy tak zacierało się na ziemi nazwisko Rusi, był jeszcze w różnych prowincjach rzeczypospolitej naród ruski. Byli książęta i bojarowie zamienieni w szlachtę polską, był lud prosty nie dotknięty bezpośrednio rewolucją towarzyską, lecz stojący na gruncie oblanym już atmosferą, która wszystkiemu w swoim okręgu musiała nadać pewien ogólny charakter polityczny. Jakąż więc ten naród miał cechę, po którejby go zawsze w społeczeństwie polskiem rozróżnić można było? Taka cecha powinna była najprzód być wspólną wszystkim jego wiekom, powtóre wszystkim stanom.

Zwykłe jest mniemanie że język najwyraźniej odznacza narodowość. Ależ historja narodu jest razem historją języka! Gdzie teraz znaleźć język ruski z jego samorodnem, odrębnem, wieczystem piętnem? Są dziś zabytki piśmienne

—

Starowolski pisarz XVII. wieku, przytacza słowa Golnickiego (Golnitzius) że Roksolania, Rusią Czarną albo Małą zwana, przed Dnieprem położona, częścią do W. K. Litewskiego należy.

Cellarius, cytując Starowolskiego, lepiej rzecz wyjaśnia. (Ruś — powiada on — jest to wszystek kraj jaki w Europie od Polski i Litwy (właściwej zapewne) rozciąga się ku wschodowi aż do granic Tartarji europejskiej. Dzieli się zaś na Ruś Białą, która do W. K. Litewskiego, i na Ruś Czerwoną, która do Polski należy. Trzecia albowiem część za Donem i źródłami Dniepra leżąca, u starożytnych nazywa się Rusią Czarną, u nowożytnych pospolicie Moskwą.) Cellarius więc zdaje się zgadzać z Kromerem, a nie potwierdzać Sarnickiego i Starowolskiego. Podług pierwszych nie masz w granicach Rzeczypospolitej Rusi Czarnej, podług drugich, jest gdzieś ona w Litwie; wszyscy jednak, Wołyń i Podole pod żaden kolor nie podciągają. Święcki świadczy, że byli wszakże tacy, którzy województwa wołyńskie, podolskie i kijowskie do Rusi Czerwonej włączali.

Malte Brun (ed. 1807) z książek i od żyjących zasięgając wiadomości, roztrzygnął wątpliwość w ten sposób: Ruś Biała to jest wolna, zawiera województwa Połockie, Witepskie, Mścisławskie i Mińskie; Ruś Czarna to jest hołdownicza, określa się województwem Nowogródka; Ruś Czerwona, piękna, prawdziwa, ma w sobie ziemię Halicką i Chełmską. Początek tych przezwań nie jest pewny. Niektórzy autorowie utrzymują, że mieszkańcy jednej prowincji ubierają się biało, w drugiej używają odzieży ciemniejszej. Podług tego wywodu, imię Rusi Czarnej wypadałoby rozciągnąć na Ruś Czerwoną, Wołyń, Ukrainę i Ruś małą. Drudzy wnioskują że wyrazy biały i czarny, są tu użyte jak w językach tatarskim, tureckim, i t. d. zamiast wyrazów wolny i podległy: część albowiem Rusi najdawniej podbita przez Litwę, nosi nazwisko Czarnej, część później ujarzmiona zachowała imię Białej. Inni nakoniec tłumaczą te nazwiska, odnosząc je do względów na własności fizyczne ziemi, jako to: wielość lasów, śniegów i t. p.

Przyznać należy że wszystkim zebranym przez Matle Bruna uwagom, nie brakuje trafności, ale wszystkie są domysłami. W rzędzie domysłów przychodzi mi jeszcze na pamięć bardzo trafne postrzeżenie Teodora Narbutta, umieszczone w Dzienniku Wileńskim 1827 czy 1828 r. Przez wyrazy litewskie Jod wezos (czarne raki), tłumaczy on zręcznie początek nazwiska Jadźwingów, u Stryjkowskiego nawet Jatwieżami zwanych, a razem i przyczynę imienia Rusi Czarnej w tych stronach.

Dziś wszakże w tej części gubernji grodzieńskiej, która składała województwo Nowogrodzkie, nikt podobno nie nazwie się już, ani Jatwieżem, ani Rusinem czarnym, lub białym; wszyscy zaś mieszkańcy wiedzą że ziemia ich jest okolicą Litwy, a Litwa powinna być prowincją Polski.

z czasów, kiedy była jedna Ruś w swoich najrozleglejszych granicach; są pomniki z perjodu, kiedy podbój Warjagów dawno rozwiązany, pod panowaniem moskiewsko-tatarskiem i litewsko polskiem rozszczepał się na dwie główne części; są nareszcie w obrębie naszej rzeczypospolitej djalekty gminne, rozmaicie zafarbowane i w miejscowe nałogi wypaczone; nie masz ukształconej, żyjącej mowy ruskiej, któraby mogła rozstrzygnąć wątpliwość, jakiej epoce śladów literatury, jakiemu z djalektów obecnych przyznać reprezentację ruszczyzny.

W tej mierze jest znowu mniemanie popierane najgorliwiej, że język który panował niegdyś w wielkiem księstwie litewskiem, którym były pisane przywileja, prawa, statuta, ma swoję czystą, całkowitą postać. Istotnie był język ruski ustawami rzeczypospolitej po unji lubelskiej nawet, pewnym prowincjom do używania w sądach i aktach publicznych zostawiony, i zarówno w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie rozumiany. Ale niech kto weźmie kartę jakiego przywileju czy listu Jagiełły albo Zygmunta I. i położy ją obok Nestora lub urywku poezji XI. wieku, postrzeże między niemi przedział tak niemal wielki, jaki był między Nestorem a księgami sławiańskiemi. Cóż sprawiało tę zmianę? Bezwątpienia tylko w kolejach zmian politycznych przyczynę jej odkryć można. Pominąwszy czasy Bolesławów, Kazimierza W. i samego Jagiełły, dosyć jest pod tym względem przypatrzyć się późniejszym. Na dworze synów Kazimierza Jagiellończyka mowa polska brała już górę. Przykład ten razem z obyczajem wchodził prędko do domów możnych, od nich do szlachty. Ci możni, Panowie Rada w. k. litewskiego, pod wpływem polskiej oświaty pisali prawa, dla tej szlachty były w nich wyrażane polskie swobody. Nadto, wiele osad z korony rozgnieżdżało się pomiędzy ludem rolniczym Litwy, Wołynia, Podola. Duchowieństwo łacińskie w djecezjach na Litwie i Rusi liczyło coraz więcej swoich wyznawców. Głos polski coraz częściej dawał się słyszeć po kościołach, po miasteczkach i po wioskach. Gminne nawet djalekty Rusinów — najgłębsze źródło piśmiennej mowy — nie mogły uniknąć powszechnego wpływu.

Mimo to, jest jeszcze trzecie, często powtarzane mniemanie, że nie język polski zmieniał naturę w ruskim, lecz przeciwnie ruski jako dawniej ukształcany, służył polskiemu za zasiłek do wydobycia się z pod łaciny. Trudno rozsądzić ten spór co do pierwiastkowych stosunków; lecz w owym czasie kiedy niezmiernym pędem wybiegała najprzód złota, zygmuntowska literatura nasza, kiedy ruska od swojej przeszłości mrokiem trzech wieków odcięta, na przyszłość nie mająca własnego żywiołu, zostawała w miejscu, nie wiem

jakby na jej stronie położyć przewagę. Jeśli wreszcie później, zarażonej makaronizmami mowie polskiej, rusczyzna przynosiła pomoc *), to tylko jest dowodem, że dwa bratnie, sławiańskie języki, łączyło coraz ściślej nowe powinowactwo. Jeden z nich — ten zapewne który szedł na czele organizujących społeczność pojęć i wyobrażeń — musiał otrzymać samowładne panowanie. Pod Zygmuntem Augustem już nie ulegało to wątpliwości. Czacki domyśla się, że nawet drugi statut litewski był redagowany po polsku; a byle próba z tamtej epoki dwóch języków, naocznie przekonywa, jaki dalej rusczyzny musiał być kierunek i koniec **).

---

*) Linde, o Stat. Lit. p. 15.

**) Nie mając pod ręką bliższego przykładu, umieszczam tu dla porównania wyimek, który znajduję w dziele Lindego, o Stat. Lit. (str. 13—14).

Początek odezwy Lwa Sapiehy do Stanów W. K. Litewkiego.

Po rusku wedle wydania

1588.

«Obacziwali to usich wekow liudi mudrye że w kożdoi reczy pospolitoi czoloweku poczstiwomu niczogo ne maet byti doroższogo nad wolnost, A newoleju takse maet gyditi, że ne tolko skarbami ale ismertju ee od sebe otganiati est powinen aproto liudi poczstiwye netolko maetnosti ale i gorl swoich protiwko kożdomu nejprjatelio wynositi nežalujut, Aby pod ich okrutnoe opanowane neprichodili, azwolnosti swoee buduczy złupleni żeby wodług woli, i myśli ich jako newolniki, ne museli żyti, ale wżo moloby i natom bylo iżby czolowek znewoli od postoronnogo neprijatelia byl wolen, kdy by domowogo nepriatelia nadsoboju terpeti musiel togdy tot monsztuk albo udilo na pogamowane kożdogo zufalcu est wynaideno, aby boiaczyse prawa od kożdogo kgwaltu i zbytku pogamowal, anad slapszim i chudszim nepastwilse, i utiskati ego ne mog bo dlia togo prawasut postanowleny aby możnomu i potużnomu newse bylo wolno czyniti, iako Cycero powedil, iż estesmo newolnikami praw dlia togo, abychmo wolnosti używati mogli.»

Po polsku wedle wydania

1619.

«Obaczywali to wszystkich wieków ludzie mądrzy, że w każdéy Rzeczypospolitéy człowiekowi poczciwemu nic nie ma być droższego nad wolność. A niewolą tak się ma brzydzić, że nie tylko skarbami, ale y śmiercią onę od siebie odganiać powinien, a przeto ludzie poczciwi, nie tylko maiętności, ale i gardł swoich przeciwko każdemu nieprzyiacielowi nastawić nie żałuią, aby pod ich okrutne opanowanie nie przychodzili, a z wolności swoiéy będąc złupieni, według woléy i myśli ich iako niewolnicy nie musieli żyć. Ale iuż małoby y na tym było, żeby człowiek z niewoléy od postronnego nieprzyiaciela był wolen, gdyby domowego nieprzyiaciela nad sobą cierpieć musiał, tedy ten munsztuk albo wędzidło na pohamowanie każdego zuchwalca iest wynalezione, aby się boiąc prawa, od każdego gwałtu i zbytku pohamował, a nad słabszym i chudszym nie pastwił się i uciskać go nie mógł, bo dla tego prawa są postanowione, aby możnemu i potężnemu nie wszystko było wolno czynić, iako Cycero powiedział, iż iesteśmy niewolnikami praw, dla tego, żebyśmy wolności używać mogli.»

Linde dodaje: «W dosyć sporym tym wyimku znajdujemy kilka tylko słów, potrzebujących dla Polaka objaśnienia; nie rachując w to: usich wekow zamiast wszystkich wieków; tolko zamiast tylko; gorla zamiast gardła; i t. d. Z resztą niektóre litery, różniące Polaków od innych Sławian a mianowicie od Rusi, jako to ć zamiast ti; ą, ę, zamiast u; tudzież

Język zatem przerwany w historycznym wątku, przeznaczony gasnąć w oświeceńszych klassach i w piśmiennictwie, psuć się i przerabiać w gminie, nie mógł stanowić powszechnej, trwałej cechy narodowości ruskiej. Ta cecha leżała w czem innem, co bez różnicy stanu i oświaty, bez różnicy pierwiastkowego plemienia nawet, przez dusze współwyznawców jednej wiary przeciągnione, wiązało ich w społeczeństwie polskiem osobnym łańcuchem, co także o Ruś Jarosława zaczepione, nie w Polsce miało drugi swój koniec.

Teraz wypada rzucić okiem na Moskwę.

Historja rozwijania się wolnego społeczeństwa nie daje się przywiązać do żadnej jednostki, do żadnej figury jeograficznej. Pewna myśl, pewna władza moralna rzucona z Nieba w ludzkość, może tylko być wykładnikiem tych wszystkich liczb, z których dziejopisowie układają rozmaite formuły i rachunki. Dla tego tak trudno wystawić jasno przed oczy dzieje Polski. Przeciwnie historja państw despotycznych, ma widomy swój środek i wyraźne rysy na ziemi. Tron jest osią, koło którego potęga materjalna zakreśla granice kraju — rozcinając plemiona, familje i serca ludzi. W tym okręgu jedna tylko wola, zresztą numerowane narzędzia — niewolnicy. Los ich wyraża się w mniej więcej dobrym cielesnym bycie, i może być dokładnie wymierzony skalą handlu, przemyslu, podatków i t. d. Dla tego tak wielu mniema, że spisując zabory i statystykę Moskwy, tłumaczą dostatecznie jej jestestwo, jej prawnie ustaloną trwałość.

Żeby dostrzedz co oni usilują zakrywać, trzeba trochę zboczyć z ubitej drogi.

Wielcy kniaziowie moskiewscy nastając na wydarcie udziałów krewnym, zdołali nakoniec pognębić najsilniejszych przeciwników, książąt twerskich. Dymitr przezwany Doński, umocował jedynowładztwo, zapewnił porządek następstwa w linji swojego domu, i odważył się nawet podnieść broń przeciw Tatarom. Znakomite zwycięstwo otrzymane w jednej bitwie nad Mamajem, wodzem chana kapczackiego (1380), było wszakże bez skutku. Podnosił się wtenczas w głębi Azji straszny Tamerlan: jego opieką wsparty Toktamisz, opanował hordę Kapczaku i z nowemi siłami spadł na Moskwę (1383).

Syn Dymitra Wasil, osadzony na tronie przez Ułana, posła od chana czyli cara tatarskiego (1389), był wiernym i po-

---

zakończenia deklinacyjne i konjugacyjne na nasz sposób przerobiwszy, przełożymy tę Ruszczyznę na Polszczyznę.»

W innem miejscu zwrócę uwagę czytelnika na to, jak daleko od wskazanego tu wzoru, i jedne od drugich, odstąpiły różne djalekty ruskie prowincji polskich, obecnie żyjące.

kornym hołdownikiem: wolał za przyzwoleniem i pomocą swoich panów, podbijać i sąsiednie ziemie, niżeli myśleć o wydobyciu się na niepodległość. Sprowadziwszy więc Tatarów napadł Psków, wydzierał księstwa innym potomkom Ruryka, i owładał kraj zawierający siedm dzisiejszych gubernji przyległych Moskwie. Rzeka Ugra jednak (w gubernji kaługskiej) stanowiła granice z Litwą.

Po Wasilu wziął berło syn jego, także Wasil (1425). Zachwiała się na moment dynastja Dońskiego. Jeden ze stryjów odebrał tron małoletniemu Wasilowi, i umierając zostawił swemu synowi Wasilowi Kosemu. Dorosły wnuk Dońskiego, zbił Kosego, wziął w niewolę i pozbawił wzroku. Wnet potem brat oślepionego Dymitr Szemiaka, pomścił się tej krzywdy; zdradą opanowawszy Moskwę i wielkiego kniazia, kazał mu wzajemnie wyłupić oczy. Wasil ślepy zrzekłszy się praw do tronu, odzyskał wolność, a następnie wrócił i do dziedzictwa zapewnionego mu wolą Tatarów. W dziejach moskiewskich nazywa się on Ciemnym. Panowanie Ciemnego jest epoką najpamiętniejszą dla Moskwy. Dotąd to państwo tworzył oręż, i drugi oręż mógł zniszczyć bez śladu. Teraz ustaliło się w niem piętno, które miało odznaczać je trwale, już nie na ziemi tylko, ale na narodzie. W rozerwanej bowiem dawnej Rusi, zaszedł ostateczny rozdział dawnej ruskiej wiary. Moskwa i Kijów uczyniły niewątpliwy rozbrat w obrządku greckim, poszły na Wschod i na Zachód. Odosobniły się dwie metropolje (1458) moskiewska i kijowska*). Pierw-

---

*) Ważne to zdarzenie, w pismach nowszych tak naszych jak cudzoziemskich, przez obojętność, niewiadomość, albo zły zamiar, napomykane nie dość wyraźnie, chcę objaśnić historycznie.

Zachodzi spór o to: do jakiego czasu Ruś wszystka ulegała jednemu metropolicie, i kiedy przyznać Moskwie stolicę metropolitalną. Przeciąg lat stu kilkudziesiąt od początku XIV. do polowy XV. wieku jest okresem tej niepewności.

Utrzymują niektórzy, że po zajęciu Kijowa przez Giedymina, metropolita Piotr, Rusin rodem, przeniósł się do Moskwy (1325). Być może że Piotr przesiadywał w Moskwie, bo razem z w. k. moskiewskim jeździł do hordy i wyjednał u chana Uzbeka przyrzeczenie, że władza tatarska nie będzie mięszała się do spraw duchownych; ale tak jego, jak następcę jego Feohnasta Greczyna, latopiscy ruscy nazywają metropolitami Kijowa i całej Rusi (wseja Rusi). Feohnast jednak pochowany był nie w Kijowie, ale w Moskwie (1353). Cokolwiek bądź, ponieważ wówczas jeszcze metropolici Rusi uznawali nad sobą zwierzchnictwo Rzymu, i patrjarchów carogrodzkich za pośredników tylko uważając, tyle im ulegali ile to nie sprzeciwiało się posłuszeństwu stolicy apostolskiej (Ostrowski, Dzieje kość. pol. T. III. p. 353), kwestję o miejsce rezydencji Piotra i Feohnasta można zostawić nierozstrzygnioną. Zaraz po zgonie tego ostatniego poczęło się rozdwojenie.

Nominowany na metropolję przez w. k. mosk. władyka (biskup) Aleksy, opóźnił się z przybyciem do Carogrodu po wyświęcenie, a tymczasem patrjarcha ordynował Romana mnicha z Litwy. Gdy wszczęły się przeto zamieszki, dla uniknienia zgorszeń, zwierzchność carogrodzka nakazała rozdzielić dwie metropolije. Aleksy został metropolitą Rusi moskowskiej,

sza z siedliska swego, gdzie najwyższą władzę temporalną miał Tatar, odnosiła się do Carogrodu zajętego już przez

---

Roman metropolitą Rusi kijowskiej, czyli prowincji Litwie i Polsce uległych (1354).

Po śmierci Aleksego, Mitag albo Michał, prosty duchowny, ale będący w szczególnej łasce u w. k. Dymitra, sprawował najprzód zastępstwo, potem z listami rekomendacyjnemi udał się do Carogrodu po formalne wyświęcenie. Opierał się tej woli Dymitra biskup susdalski Djonizy; wtrącony do więzienia umknął, i puścił się zaraz w podróż, chcąc uprzedzić Michała w Carogrodzie. Michał zakończył życie na drodze. Towarzysze jego nie wracając do Moskwy, ani zgłaszając się po nowe zlecenia, lecz sfabrykowawszy blankiety, stają przed patrjarchą i uzyskują wyświęcenia dla archimandryty pereasławskiego Pimina czyli Pumina albo Pemena. Uwiadomiony o tem wielki książe, ogłosił Pumina za przywłaszczyciela, a wezwał na metropolję Cyprjana (1379), który już od trzech lat był po Romanie metropolitą kijowskim.

Nie długo wszakże Cyprjan cieszył się łaską Dymitra, wygnany z Moskwy schronił się do Kijowa, gdzie rządził natenczas Włodzimierz brat rodzony Jagiełły (1383). Pumin przebłagawszy w. ks. siadł na metropolji moskiewskiej. Nastąpiły kłótnie, intrygi i wzajemne spychania się już nie dwóch, ale trzech razem metropolitów. Pumin dysgracjonowany, biegał do Carogrodu, wracał z nowem upoważnieniem, aż nim w trzeciej takiej wycieczce nie rozstał się ze światem (1390). W jego nieobecności odzyskiwał i względy w. książęcia i swoję całą władzę Cyprjan. Lecz kiedy obadwa zdawali się panu niedogodnymi, umiał z tego korzystać Djonizy: usprawiedliwił się z winy, otrzymał nawet nominację na metropolitę i ruszył do Carogrodu po wyświęcenie. Wracającego schwytał w Kijowie Włodzimierz brat króla, i jako przywłaszczyciela dostojności należnej Cyprjanowi, trzymał w więzieniu do śmierci (1389).

Pumin i Djonizy zwykle zwani antimetropolitami, najwięcej przyczynili się do rozkrzewienia na Rusi schyzmy carogrodzkiej. (Ostrowski. T. III. p. 354.)

Jednoczesny prawie zgon obu antimetropolitów, uwolnił Cyprjana od współzawodników: przez resztę swego życia sam jeden zarządzał sprawami duchownemi tak Moskwy jak Kijowa. Po zejściu jego (1406), patrjarcha carogrodzki Maciej, naznaczył Focjusza rodem z Morei, który tchnący nienawiścią ku Rzymowi przybył wprost do Moskwy (1410), nie odwiedził nawet Kijowa i tylko przez zdzierstwa dał się uczuć duchowieństwu prowincji litewskich. Obrażony tem Witold postanowił komu innemu oddać metropolję kijowską, nie przyjął Focjusza śpieszącego do Grodna z upokorzeniem, kazał skonfiskować wszystkie dobra metropolitalne w swoich państwach leżące, i zwołał tak duchownych jako i świeckich dygnitarzy do Nowogródka, celem wyboru metropolity. Uroczysty akt przez biskupów: połockiego, smoleńskiego, czerniechowskiego, łuckiego, włodzimierskiego, chełmskiego i t. d. podpisany i do wiadomości ludu podany (1415), oskarżał Focjusza o niedbalstwo i łakomstwo, zapowiadał prawność postępowania soboru na mocy prawideł śś. apostołów i przykładów od dawna praktykujących się w Serbji i Bulgarji, wytykał przedajność zwierzchnictwa carogrodzkiego w mianowaniu po trzech razem metropolitów dla Rusi, jak tego były przykłady na Cyprjanie, Puminie i Djonizym, ogłosił nakoniec metropolitą kijowskim Grzegorza Camblaka rodem z Bulgarji.

Daremne były pisma Focjusza do panów Rusi południowej, aby nie uznawali za prawne święcenia Grzegorza, daremne obelgi i klątwy z Moskwy nań miotane. Camblak, czy jak inni piszą Cemiwlak, przez głęboką naukę i pasterskie cnoty umiał zjednać sobie wszystkie umysły i serca.

Było tedy znowu dwóch metropolitów, i już nie tylko co do granic, ale i co do zasad władzy rozdzielonych. Moskiewski zawzięcie nauczał schyzmy; kijowski gorliwie utrzymywał jedność z kościołem powszechnym: z woli Witolda przychylnego wyznaniu łacińskiemu, jeździł do Rzymu

Turków, druga z Litwy gdzie panował król polski, słuchała Rzymu. A Carogród dokonał już był zupełnego odszczepieństwa od kościoła powszechnego.

Nadal tedy wielcy kniaziowie moskiewscy mieli dwojaką do zaborów drogę: po tatarsku zdobywać na innych państwach kraje, po carogrodzku odrywać od europejskiego społeczeństwa ludzi. I w owym czasie, kiedy Europa cała zabierała się zmienić swoją postać, kiedy z rozdartego łona średnich wieków, wynurzały się wszędzie zarody nowego porządku rzeczy — nowożytnych dziejów, których spożywamy dojrzałe owoce — wtenczas przeznaczenie spojrzało uprzejmie na Moskwę: w nieznany światu, zdziczały zakąt ziemi, rzuciło człowieka, co ze wszystkich pierwiastków jakie świat chrześcijański starał się, lecz nie podołał zniszczyć, miał położyć ogromny fundament tronu — dla Katarzyny, dla Mikołaja! Był to Iwan Wasilewicz, ze krwi Warjag, z serca prawdziwy Tatar, w duszy doskonały Bizantyniec. Poddani nie śmiejąc inaczej, przezwali go tylko dumnym (gordji); ościenni nie dość trafni w doborze przydomku, mianowali go tylko srogim. Iwan Srogi jeden jest w nieskończonym

---

podawał chwalebne projekta zjednoczenia dwóch obrządków. Rychła śmierć przerwała jego zabiegi (1419).

Zaraz następnego roku starał się Focjusz ogarnąć pod swój zarząd Ruś litewską i polską, i zapewne dopiął celu gdy są ślady, że widział się z Witoldem w Nowogrodku, odwiedzał Kijów, Halicz, Lwów, Wilno, i inne miasta (Latopisiec Lit. i Kronika Rus. wyd. Daniłowicza Wilno 1827, str. 244). Do zgonu jego (1431) nie było drugiego metropolity; później zaś przez lat sześć, prawie żadnego. Wynosił się w Litwie na tę dostojność Herasim czyli Erazm; lecz Swidrygajło pojmawszy go w Witebsku (1433) jako wdziercę, za wyrokiem duchowieństwa spalić kazał. (Stryjkowski, księ. XVI. roz. V. — Ostrowski, T. III. str. 355. — Czacki o Lit. i pol. praw. T. I. str. 295). Wyznaczony był przez wielkiego książęcia w Moskwie Jonasz biskup riazański; lecz tymczasem patrjarcha carogrodzki mianował Izydora, albo jak Rusini zwą Sidora Tessalończyka, człowieka wielce w świeckich i duchownych naukach biegłego. Ten Izydor znajdował się na powszechnym soborze florenckim i za powrotem zaczął ogłaszać unję dopełnioną 1439. W granicach Polski i Litwy wszędzie szło mu pomyślnie, lecz skoro udał się do Moskwy, Wasil Ciemny kazał go złupić i uwięzić. Izydor zagrożony karą ognia, wymknąwszy się z więzienia pośpieszył do Rzymu, otrzymał kapelusz kardynalski, a wkrótce potem został przez papieża posłany na patrjarchję carogrodzką. Wielki książe moskiewski kazał na metropolitę Moskwy obrać powtórnie Jonasza (1448); metropolję kijowską zaś sprawował Grzegorz II., uczeń Izydora i wierny zachowawca ustaw florenckich. Kazimierz Jagiellończyk z natchnienia papieża pisał do Wasila aby oba wyznania ruskie zjednoczył pod władzę metropolity kijowskiego; lecz już wtenczas różnica i wiary i polityki kładła głęboki przedział między dwoma państwami. Wasil odrzucił propozycje króla, a Jonasz wyklął Grzegorza. Papież widząc niepodobieństwo zgody, przez postanowienie swoje odłączył hierarchję unicką od syzmatyckiej (1458).

Odtąd stanęły na zawsze rozosobnione dwie metropolje. Kijowska uległa Rzymowi, zawierała djecezje: przemyślską, halicką, chełmską, łucką, włodzimierską, brzeską, turowską, brańską, połocką i smoleńską; Moskiewska zawisła od Carogrodu obejmowała resztę dawnej Rusi.

poczcie monarchów, który o swojem państwie najsłuszniej mógł powiedzieć: Moskwa, to ja! On jej całą naturę miał w sobie, on ją na obraz i podobieństwo swoje ulepił, on pierwszy jej barbarzyńską nagość przykrył ozdobami królewskiemi. Kiedy obejmował po ojcu dziedzictwo rozdzielone testamentem, wszystko do czego z dawnych i nowszych grabieży mógł rościć prawo, ledwo zawierało 18.000 mil. kw., 6 milionów głów sławiańskich i fińskich. W około, nie licząc tego co było w granicach Litwy, leżały jeszcze bardzo rozmaite odłamy przed trzystu laty rozkruszonej Rusi. Z rzędu rzeczypospolitych handlowych, Nowogród najmocniej pamiętał o swoich swobodach, Psków ciężej przyciśniony, nie zapominał ich także. Z rzędu udzielnych książąt, riazańscy bronili się usilnie. Miasta zagrożone jarzmem, poglądały w stronę, skąd tylekroć przychodziła dla nich opieka: wyciągały ręce do królów polskich z rodu Giedymina; Rurykowie obracani w poddanych, jedyny mieli trybunał sprawiedliwości w namiocie cara tatarskiego. Iwan przedziwnie zrozumiał swoje środkowe stanowisko między barbarzyńcami i chrześcijany, czuł co trzeba było wziąść od pierwszych, a co odjąć drugim żeby stworzyć całkowitą jedność despotyzmu. W systemie władzy monarszej podnosił się jako książe rzeszy tatarskiej; przeciw systemie społeczeństw europejskich występował jako rycerz odszczepieństwa greckiego. Oba godła któremi się pokrywał, służyły mu na przemian. Jeśli hordy powaśnione wycieńczały się własnym orężem, Iwan z chrześcijańskim swoim ludem uderzał na najsłabszą, łupił i podbijał. Takim sposobem wielki książe moskiewski pod zwierzchnictwem cara Kapczaku, rozciągał zwierzchnictwo nad chanem Kazania (1469). Jeśli gdzie odszczepieństwo religijne przygotowało odszczepieństwo polityczne od Litwy i Polski, Iwan przybiegał z mocą tatarską, zabierał i ujarzmiał. Takim sposobem opanował Nowogród (1479). Z jękiem mordowanych siabrów poważnej Hanzy rozeszła się pierwszy raz po Europie sława nowego mocarza. Los przychylny jemu, na krwawą kolebkę rodzącej się potęgi pośpieszył rzucić purpurową zasłonę. Zofija synowica ostatniego cesarza bizantyńskiego, Konstantyna Paleologa, została żoną Iwana. Wielki książe moskiewski mniemał się być prawym dziedzicem zaszczytów po zmarłym cesarstwie Wschodu, ustroił swoje państwo w szaty zwleczone z trupa. Niegdyś Oleg przywiózł był z Konstantynopola tarczę z wizerunkiem Ś. Jerzego i zawiesił na bramie Kijowa. Herb ten przeszedł koleją przez Włodzimierz nad Klazmą do Moskwy. Teraz czarny orzeł dwugłowy zastąpił jego miejsce. Kiedy tak despotyzm moskiewski, złożywszy najwalniejsze próby rozboju wolności, legitymował się przed monarchjami euro-

pejskiemi dostojeństwem rodu po kądzieli, zbliżał się też czas wyjścia jego z pod władzy drugiego rodzica. Panowanie Tatarów dogorywało. Jeszcze car hordy złotej Achmet, ciągnął z wojskiem żeby ukarać wyłamującego się hołdownika; ale Iwan wycieczką nad Wołgę odwrócił go w stepy, a Tatarowie Nogajscy znieśli całą jego siłę. Po półtrzecia wieku ulegania Tatarom, Ruś wschodnia wyszła z ich rąk zupełnie niepodległem państwem moskiewskiem (1480). Zewnętrzna jej niewola skupila się wewnątrz, absolutyzm wszystkich baskaków zebrał się w jednym potomku Ruryka, i ten statarzony kniaź moskiewski przypomniał sobie że była kiedyś Ruś — nawet Ruś cała; postanowił więc tytułować się samowładzcą całej Rusi! Myśl olbrzymia gienjalnego despoty rozciągniona bez granic na przeszłość i przyszłość, wyraziła się w tych trzech słowach. Zabór ziemi, los jej mieszkańców, walka nie podobna do ugodzenia z Litwą i z Polską, miały tu dokładną zapowiedź. Iwan w wojnie i w traktatach z naszym Aleksandrem ukazywał jawnie, jakiego wątka trzymały się i jego wspomnienia zuchwałe, i jego pretensje zuchwalsze jeszcze: podczas boju, sprzymierzeńców i przechodniów na swoję stronę znajdował w nieprzyjaciołach powszechnego kościoła; podczas układów, zmuszał króla odszczepieństwu greckiemu zaręczać swobody. Srogi kniaź moskiewski nie zdołał wszakże widzialnych zdobyczy pomknąć za Dniepr, ducha tylko usłużnego rozpoczętej sprawie tchnął dalej, i zakończył życie (1505).

Przebiegłość greczynki zapewnila następstwo dziecku jej łoża. Wasil Iwanowicz, z matki potomek Paleologów, objął tron Moskwy. Współczesny ten sąsiad Zygmunta I. nie miał ani tęgości charakteru, ani mocy umysłu swego ojca; ale odziedziczył po nim machinę nakręconą do wszystkich celów i jej siłą posuwał się zręcznie. Zniszczył on naprzód ostatek udzielnych książąt, ujarzmil Psków zupełnie, i pozyskał najniewątpliwsze prawo nazywać się samodzierżcą. Gnębiąc potem szczątki hord nadwołżańskich, intrygując w Krymie, stanął na najwyższym szczeblu w rzędzie potentatów tatarskich i mianował się już carem*). Wiążąc się nareszcie z nieprzyjaciołmi domu Jagiełłów, w imię odszczepionej

---

*) Wyraz car, u Sławian znaczył, panującego, monarchę, króla. Rusini nazywali carami równie chanów tatarskich jak cesarzów greckich. Wasil Iwanowicz i z natury swojej władzy i ze wspomnień familijnych, czuł się godnym tego zaszczytu, pisał swój tytuł: «Wielki Kniaź Moskwy, Car i Pan całej Rusi.» Gdy w dyplomatycznych korrespondencjach przyszło powiedzieć to po łacinie, zdarzyło się cudzoziemskim nawet kancellarjom położyć następne tłómaczenie: imperator et dominator totius Russiae. Stąd moskiewska przyczepka do formuły, której potwierdzenie wyjednała przewaga polityczna Piotra i Katarzyny.

wiary, przez instynkt despotyzmu, odpierał społeczeństwo polskie, zdobywał Smoleńsk, szerzył Moskwę na ziemi dawnej Rusi. Po śmierci Wasila (1533) syn jego małoletni, w lat kilkanaście wyszedłszy z rąk opiekunów, pierwszy odprawił uroczystą ceremonję koronacji i wywiesił pompatycznie wszystkie znamiona dostojeństw, pomału i jakby incognito przez jego przodków przyswajane. W nim też ujrzał świat wykończony wizerunek cara. Dosyć powiedzieć — był to Iwan okrutny! W owym czasie kiedy Zygmunt August, zrzekając się resztki swoich praw samowładnych, zlewał ostatecznie Litwę i jej ziemie ruskie z Polską; straszny despota moskiewski dokonywał także u siebie politycznej roboty: znosząc wszystko co jeszcze mogło mieć jakikolwiek ruch samodzielny, drużyny książęce i bojarskie zlewał w militarne ciało Strelców, w pewną instytucję Janczarów, pisał ustawy karne przerażające barbarzyństwem. I państwo Iwanów stało się doskonałą całością — krajem którego wszystkie muszkuły mięsne, dźwigała jedna, absolutna wola.

Ten kraj na odłamie podboju warjagskiego, na koczowiskach hord tatarskich, i na posiadłościach Kawalerów mieczowych, nawet po za granicami Sławiańszczyzny zakreślony, mógłże nazywać się Rusią, równie jak naprzykład Wołyń, Podole, województwo lwowskie? Znano go powszechnie pod właściwszem imieniem Moskwy. Ten zbiór poddanych, jarzmem caryzmu stłoczonych, nie miałże jednak w sobie przeważnej części narodu ruskiego?

Trzeba znowu w tej mierze szukać jego powszechnych historycznych charakterów przywiązanych do nazwiska.

Język, jaki daje się widzieć w pomnikach piśmiennych państwa moskiewskiego z owych czasów, nie jest to język naszych statutów litewskich: wielki między nimi rozbrat, i oba w różną stronę, chociaż nierównie daleką ubiegły drogę od wspólnych wzorów XI. i XII. wieku.

Jeśli jeden z nich pochylony ku polszczyznie, zdawał się już bardziej zrywać starożytny swój wątek, drugi wkrótce nagłym pędem przedłużając raz powzięte zboczenie, niemal zostawił pierwszemu prawo nazywania się źródłowym. Ponieważ zaś obecnie lud prosty w gubernji moskiewskiej i jej okolicach, mówi najczyściej po rosyjsku*), a ten nowożytny język rosyjski jest niezmiernie odrodnym wyrostkiem pierwiastkowej ruszczyzny; więc Moskwa w przyczynach odosobniających jej byt polityczny, musiała mieć nasiona osobnej narodowości i mowy. Język zatem przeznaczony odbiedz i od pnia i od wszystkich gałęzi djalektów wschodnio-sławiań-

*) Grecza. Rys histor. lit. ross. — przekład Lindego. Warsz. 1823 str. 13.

skich, a stać się panującym w granicach despotyzmu carskiego, nie był ani czystą, ani powszechną cechą ruskiego rodu, owszem na Rusinach kładł cechę moskiewszczyny. Co w tem samym języku i w różnoplemiennych ludach carstwa utrzymywało nieprzerwany, żyjący związek ze zniklem jestestwem dawnej Rusi, co o czasy Włodzimierza i Jarosława W. zaczepione, przez tyle zmian politycznych, w wolnych rzeczachpospolitych, w litewskich i w tatarskich władarstwach równie zachowane, charakteryzowało teraz Moskwę, to zapewne musiało opierać się głębiej niż na zewnętrznych, ruchomych znakach ruszczyzny — musiało dotykać duszy Rusinów.

Takiem ich piętnem odwiecznem i takim ich węzłem powszechnym była wiara przyniesiona z Carogrodu, była władza duchowna metropolity w Moskwie, patrjarchy w Stambule. Dalej i wyżej nie szła hierarchja odszczepieństwa, które w kościele chrystusowym, zbudowało sobie osobny kościół grecko-ruski. Tu zbiegały się do jednego punktu umysły wszystkich współwyznawców, jakikolwiek był ich djalekt, stan i obyczaj. Tu Ukrainiec, Podolanin i Litwin, jeśli odrzucił jedność z Rzymem, spotykał się niewidomie z Nowogrodzianinem i Susdalem. Ten węzeł władzy duchownej odcięty od prawdziwego początku, padał już pod nogi siły materjalnej: ręka carów ująwszy się jego osnowy, przez miljony nitek ciągnęła z głębi społeczeństwa polskiego, naturalnych zwolenników despotyzmu. Między Moskwą i Polską inne granice zakreślał oręż, inne tajemnie przygotowywał spór Wschodu z Zachodem.

Od początku bowiem wieku XVI. upadało nagle dzieło unji florenckiej. W owym czasie kiedy wzburzone namiętności, interesa i rozumy świeckie, podniosły powszechny niemal w Europie rokosz przeciw władzy duchownej, Polska ujrzała się oskoczoną zewsząd od różnych hufców odszczepieństwa. Wdzierały się do niej z jednej strony czeskie i niemieckie sektarstwa, wkradała się z drugiej schyzma carogrodzka, za którą dybał zbrojny zabór moskiewski. W Litwie, na Ukrainie, Wołyniu i Podolu — wszędzie gdzie można było przemówić w imię Rusi, poczęło krążyć mnóstwo wysłanników Moskwy. Popi, djaki i różnego rodzaju apostołowie wędrowni, pracowali najprzód między prostym ludem i duchowieństwem niższem, znajdowali później zwolenników i protektorów w magnatach i biskupach. Dom Ostrogskich tak dobrze zasłużony rzeczypospolitej w obronie jej ziemi, dziwnie opacznem zrządzeniem, najgorliwiej popierał sprawę przeciw jej społeczeństwu. Metropolita kijowski Józef Sołtan, chciał zapobiedz złemu; lecz daremne były wszelkie troski i sposoby. Następca jego Jonasz II., sam zerwał związ-

zek z Rzymem (1520) — schyzma ogarnęła w Polsce prawie wszystkie ziemie ruskie.

Podczas tak zepsutej jedności religijnej, Zygmunt August niezmordowanem staraniem dociągał do skutku jedność polityczną. Unja lubelska dojrzewała świetnie i śpiesznie jak owoc wewnątrz skażony od robaka.

Batory orzeźwił rzeczpospolitę oczmuconą i drzemiącą za stołami biesiad, narad sejmowych i dysput teologicznych. Szlachta wsadzona na koń, Sicz kozacka ujęta w kluby militarnego porządku, nie miały czasu rozdymać iskier wojny domowej. Król rycerz prowadząc w ślad za sobą oświatę i propagandę wiary, odpierał daleko siłę materjalną Moskwy; jej siła — jeśli tak powiedzieć można — duchowa, zgłuszona hukiem dział i odgłosem tryumfów, leżała cicho w głębi krajów polskich. Sektarstwa wszakże nurtujące tajemnie, fakcje dumnych magnatów opierane na nich, wstrzymywały ramię bohatera: nie dozwoliły mu zadać despotyzmowi ostatniego ciosu w jego siedlisku, kiedy po śmierci Iwana Okrutnego (1584), zdarzała się najlepsza do tego pora. Wkrótce sam Stefan dokonał żywota (1586).

Nastąpił Zygmunt III — monarcha, którego wiele czynów uchodzi dzisiaj jeszcze z pod oka, wiele zaś zostało potępionych jednogłośnym okrzykiem niedawnych czasów. Długoletnie jego panowanie poczęło się w perjodzie kończącym szczęśliwą epokę naszych dziejów, przeciągnęło się w okres smutnych wypadków; dla tego jest jakby środkowym punktem i kluczem wszystkich zagadnień historji naszej. Cokolwiek bądź, pod panowaniem tem, Polska odpiętnowała najsilniej swoją dzielnicę w Sławiańszczyznie.

Trzeci statut litewski (1588), jednocześnie po polsku i po rusku wydany *), zdaje się być świadectwem, jak razem z obywatelstwem rozkrzewiała się i mowa polska; gdy atoli ani wspólność swobód cywilnych, ani wspólność języka, nie przeszkadzały różnowiercom łączyć się przeciw ojczyźnie z różnymi jej nieprzyjaciołmi, interes religji stał zapewne na czele wszystkich interesów innych. Pod tym względem gorliwość króla i kilku oświeconych mężów zaraz zajęła się Rusią.

Metropolita kijowski Michał Rahoza, widząc do czego prowadziło zerwanie unji florenckiej dokonywane od lat siedmiudziesiąt, obruszony przytem szkaradą świętokupstwa jakiego dopuszczał się patrjarcha carogrodzki Jeremjasz, przez sułtana ze Stambułu wygnany i włóczący się po krajach ruskich rzeczypospolitej, zwołał synód do Brześcia litew-

---

*) Linde, o Stat. Lit. str. 167.

skiego (1590) i otrzymał uchwałę stanowiącą powrót metropolji kijowskiej pod władzę Rzymu.

W tymże czasie Jeremjasz pozbawiony obłowu z wyświęcania wyższych duchownych w granicach Polski, skierował się ze swoim towarem do Moskwy i przedał carowi Fedorowi Iwanowiczowi dostojeństwo patrjarchalne, ordynował samoistnego patrjarchę moskiewskiego (1590).

Kiedy więc Ruś, dobrodziejstwami cywilizacji wpleciona w społeczeństwo polskie, odnawiała przymierze w duchu z Europą, z Zachodem; Moskwa ubrana w szaty zmarłego cesarstwa Wschodu, resztę jego jestestwa, nić hierarchji duchownej, wciągała do siebie. Odszczepieństwo grecko-moskiewskie, zostało całością w sobie zamkniętą, u podnóżka tronu carów na głowie patrjarchy zakończoną.

Nowy patrjarcha moskiewski Job, mienił się być patrjarchą całej Rusi, rościł prawo do zwierzchnictwa nad metropolją kijowską. To jakże? część rzeczypospolitej polskiej, mogła razem być częścią patrjarchji moskiewskiej? Dobrzy patrjoci i król mniemali, iż należało w tej mierze uczynić niewątpliwy rozdział. Dopełnił tego powtórny synod w Brześciu (1595) przywracając uroczyście moc unji florenckiej. Hippacjusz Pociej i Cyryl Terlecki, biskupi greckiego obrządku, wysłani do Rzymu otrzymali zupełne zatwierdzenie dzieła, które choćby tylko pod względem politycznym uważane, miało niezmierną wagę *).

Nie łatwo atoli dawało się usunąć złe, mnogiemi żyłami rozprzestrzenione po kraju. Jeremjasz wróciwszy z Moskwy do Stambułu, za pomocą zebranych pieniędzy odzyskał swoje miejsce, i starał się przez pisma wywierać wpływ na metropolję kijowską; Nicefar Grek mieniący się być jego kanclerzem i egzarchą Rusi, intrygował osobiście na Wołyniu i Ukrainie; Arjanie, Lutrzy i Kalwini, wspierali usilnie wszelką sprawę przeciw Rzymowi; obrażona duma postawiła na czele fakcji przemożnego magnata; kraj najdawniej do Polski wcielony dostarczył związkowi dwóch starszych duchownych, i skoro przyszło do ogłoszenia unji, w prowincjach południowych szczególnie objawił się nie mały opór. Przewodniczyli uporczywym w odszczepieństwie: Konstanty Ostrogski wojewoda kijowski, Gedeon Bałaban biskup lwowski i Michał

---

*) Z podziwieniem zdarza się nieraz spotykać u pisarzów naszych pod wpływem mądrości XVIII. wieku rozbierających dzieje narodowe, gorzkie utyskiwania na akt unji brzeskiej. Zdaje się przecież że wypadki późniejsze, w których Moskwa przeciw Polsce grała rolę, mogły ich oświecić dostatecznie. Jeśli komu jeszcze i na tem nie dość, niechaj spojrzy jak teraz Rosja pracuje nad wytępieniem unitów. Kronika Emigracji Polskiej w tomie IV. na str. 326, umieściła ważny jeden dokument w tej mierze.

Kopysteński biskup przemyślski; gorliwie obstawali za zjednoczeniem: metropolita Rahoza, oraz Pociej, Terlecki, i prawie wszyscy inni biskupi greckiego obrządku. Stąd początek rozdwojenia się na unitów i dysunitów, czyli schyzmatyków. Z razu wszakże rozdział ten do najgłębszego gruntu szczepający rzeczpospolitę, nie okazywał symptomatów wojny domowej: umysły jątrzyły się w ciszy. Świetny wiek XVI., w ciągu którego różne wiatry naniosły do ojczyzny naszej wiele nieszczęść na potem, zachodził pochmurno. Tylko w stronie Siczy kozackiej kilka błyskawic, zdawało się zapowiadać, skąd i czem najstraszniejsza podejmie się burza. Następne bowiem stulecie, w poranku niespokojne choć jasne, o południu miało zawrzeć okropną burzę. Jest to perjod w którym Ruś z ostatkami swego starożytnego antagonizmu występuje przeciw Polsce, mocą tejże przyczyny nachyla się ku Moskwie.

VIII.

Na początku wieku XVII., obie potęgi spychające się w Rusi — rzeczpospolita polska i carstwo moskiewskie — zawichrzyły się gwałtownie: obie jakby straciwszy środek swojej ciężkości, wirują przez chwilę niesfornym ruchem.

Polska wytęża nagle rozprzężone siły, ze wszech stron koło siebie zapala wojny; a różny interes tych wojen ściera się zewnątrz, i wewnątrz jej jest rokosz, jest rozosobnienie myśli, uczuć i dążeń. Dzielni wojownicy roznoszą jeszcze sławę oręża; wielcy mężowie dają jeszcze przykład najpiękniejszych cnót obywatelskich; ale zwycięstwa nie mają już pewnego celu i nikną bez owocu; sejmy nie widzą przed sobą powszechnej sprawy i schodzą na swarach, hufce zbrojne stają się rozwydrzonem żołdactwem i po nieprzyjacielsku wyciskają żołd od Ojczyzny; kozactwo nie dba o spokojność państwa, byle mieć zysk i łupież, magnaci samopas przedsiębiorą awanturnicze wyprawy, chodzą sadzać carów w Moskwie.

Moskwa bowiem, której wszystkie siły despotyzm ściągnął do berła, za nagłem przerwaniem się dynastji, padła bezwładna. Po zgonie Iwana okrutnego, niedołężny syn jego Fedor panował krótko, Borys Godunów zgładził ostatniego potomka Ruryków moskiewskich i sam ogłosił się carem: tron stanął otworem dla przywłaszczycieli różnego rodzaju, jak zdradne rusztowanie, na którem ukazywały się głowy w koronie Iwanów i leciały w przepaść jedna po drugiej. Poczęli zjawiać się Dymitrowie samozwańcy. Pierwszy z nich — do dziś dnia nieodgadniony, azali nie był prawdziwym

Dymitrem — za pomocą panów polskich został na chwilę carem (1605). Niedługo potem zdarzyło się że Moskale w stolicy swojej zajętej przez wojska polskie, ofiarowali berło synowi Zygmunta III., Władysławowi (1610).

Wśród rozprężenia tedy obu potęg, zdawał się los przechylać na stronę Polski, oddawać jej Ruś starożytną aż do najdalszych krańców. Ale jak zwycięstwo rzeczypospolitej, tak upadek caratu były pozorne. To co stanowiło siłę zdobywczą Polski, czem ona wciągnęła w swoje jestestwo Litwę, już ledwo tlało w jej samej; to co utworzyło naturę Moskwy, czem ona wyrywała z łona Polski resztę niedotrawionych nabytków litewskich, wzmagało się coraz bardziej. Polska nie miała interesu dobijać się o korony, bo nie była monarchją, lecz tylko społeczeństwem; nie mogła wcielać w siebie nowych narodów, bo to społeczeństwo rozerwane w duchu, straciło swoją działalność organiczną. Moskwa nie miała chęci złamać swego despotyzmu, bo nie była cywilizującym się narodem, lecz tylko państwem; nie mogła zmienić swego jestestwa, bo w jej mocno skupionym duchu, leżalo nasienie nowego cara.

I tryumf chwilowy polskiego oręża w Moskwie przeminął, dynastja Romanów zajęła miejsce dynastji Ruryka.

Żeby dom Wazów mógł utrzymać tron szwedzki trzeba mu było nachylić się ku Lutrom, żeby mógł posiąść tron moskiewski musiał popierać schyzmę. Monarchiczny interes państw, który rządził już całą Europą, pozwalał na to, radził owszem sprawy religijnej używać mądrze za narzędzie polityki. Lecz żeby zachować całość Polski, żeby jej budowę naprawić i wzmocnić, cóż należało czynić? Rzeczpospolita nasza jedna już tylko w Europie miała inny kształt polityczny. Zygmunt III. jako monarcha nie zasłużył na imię biegłego polityka, jako panujący nie zdołał zachować posiadłości swego państwa: widział władzę Turków ustaloną w Multanach i Wołoszczyznie (1621); ale jako król polski — naczelnik wolnego narodu, rozumiał swoje powołanie, ile miał mocy, pracował w głównym interesie rzeczypospolitej, starał się spoić rozchwiane jej społeczeństwo.

Pod tym względem, oprócz innych sektarstw, dysunici największą musieli obudzać troskliwość. Schyzma najprzód wzięła się do pióra, za pomocą filozofów luterskich i arjańskich atakowała unję; a że trzeba było przemawiać do niższych duchownych i pospólstwa, mnóstwo pism wydawano po rusku. W obronie swobód wiary, rozdrażnione umysły, powoływały się nieraz na prawo publiczne: przez wszystkie warstwy zmian nieodzownych, sięgano aż do pierwiastkowej udzielności narodu ruskiego. Za jedyną żyłkę swojej dawnej natury targniona Ruś, z pod litewskich praw podboju, z pod

polskich węzłów cywilizacji, wynurzyła się jeszcze z ostatkiem swojej mowy, z zagubionem imieniem i wkrótce z bronią. Zbrojną reprezentacją Rusi stali się Kozacy — zbiorowisko świeżo rozmnożone w łonie rzeczypospolitej, nie znane ani w państwie Jarosława W., ani w królestwie Daniela.

Przed stu laty, Zygmunt I. nadał im grunta powyżej porohów (1510): rozszerzyli się wkrótce aż do zamku Czerkas, gdzie mieszkał pierwszy ich przełożony Daszkiewicz, który radził na sejmie (1520) żeby ciągle utrzymywać pod bronią przeciw Tatarów 2000 tego ludu. W lat niespełna 30 po tem, za Zygmunta Augusta, wyprawy kozackie dawały się już we znaki Krymowi i Azji mniejszej. Nim upłynęło jeszcze lat 30, Batory miał do urządzenia bardzo znaczą ludność. Ustanowił on sześć półków rejestrowych, każdy po 1000 ludzi; osady rozciągnął od Czerkas pod Kijów, stolicę hetmańską przeniósł do Trechtymirowa, hetmanem mianował książęcia Bohdana Rożyńskiego (około roku 1576). Teraz mogło Kozaków wystąpić do boju przeszło 30,000. Siła ta przynosiła dzielne usługi Polsce, ale nie zawsze gotowa była słuchać jej rozkazów: bądź z poduszczenia obcych mocarstw, bądź z własnej niepohamowanej chęci i potrzeby wojennych łupieży, obracała się na jej szkodę, samowolnie zapalała zatargi z ościennemi państwami. Trzeba więc było Polsce Kozaków powściągać. Ponieważ sama w obec Turków i Tatarów schowała chrześcijański oręż, musiała teraz i swoją kolonję militarną trzymać na wodzy traktatów. Ale zahamować Kozakom czajki, zamknąć ich w rolniczych zagrodach, było to odebrać im wodę i powietrze, zniszczyć żywioł ich stowarzyszenia, ich właściwego społeczeństwa. Stąd najpierwsze niechęci.

Społeczeństwo kozackie na ziemi pustej, przez Litwę od Tatarów odebranej, nadaniami królów polskich rozpostarte, mnogiemi pasmami wspomnień, obowiązków i nadziei z rzecząpospolitą spojone, miało jednak swój kształt samorodny, stanowiło w jej składzie niejaką narośl, która musiała albo wsięknąć w ogólne jestestwo, albo odrywając się, zrobić krwawą, niebespieczną ranę. Trzeba więc było Kozaków spolszczyć zupełnie: jak niegdyś Litwę i znaczną część Rusi, tak teraz nową ludność Ukrainy, przejąć organizmem społeczności polskiej, przywieść do jednakiej religijnej i politycznej zasady. Ale Kozacy byli jednym równym stanem, nie mieli książąt i bojarów. Ponieważ społeczność polska kształcąc się rozlewem wolności od tronu do co raz niższych stopni narodu, zatrzymała się w biegu; nie mogła że tak powiem całą powierzchnią swoją działać na równe, gładko zestrychowane stowarzyszenie. — W tym punkcie najdotykalniej daje się czuć pod ręką węzeł wszystkich zagadnień

historji naszej, lecz jest tu razem zagadka całej historji chrześcijańskiej. — Na stepach nad Dnieprem, w obliczu starego Kijowa, w młodym zawiązku sławiańskiego ludu, spotyka się twarz w twarz siła wewnętrzna Polski i Moskwy, Zachód ze Wschodem. Tu po wojnie trzydziestoletniej, ma się rozpocząć ostatnia walka średnich wieków z przyszłością Europy; odtąd będzie już prosta droga dziejów do dni dzisiejszych: do jęku narodów wzdychających z nami, do tryumfu monarchów trzymających z Rosją.

Polska była najbujniejszym, najczyściej błyszczącym wypływem tych świętych rycerskich wieków, kiedy gorące niebieskie tchnienie w ludzkość, nauką poświęcenia się i miłości krusząc, topiąc, i przekształcając dawne, pogańskie formy moralnego świata, tworzyło nowy porządek rzeczy na ziemi; kiedy nad materjalnemi potęgami oręża, wyższa, prawdziwie umyslowa władza, wstrzymując ciężar koron, dozwalała narodom swobodniejszego ruchu. — Później zrywały się te związki interesów ziemskich z niebem, zimna polityka monarchów poczęła urządzać swiat, koło tronów krystalizowały się aglomerata państwami zwane — Moskwa była najskrzeplejszem państwem. Powszechnym losem Europy dotknięta, rzeczpospolita jagiellońska stygła także, i ze stopionem berłem królów, została niedokonanym odlewem wolnego społeczeństwa. W jej jeograficznym zakresie był grunt, gdzie po zupełnej jedności wiary, swoboda choćby powoli i drobnemi żyłami rozchodzić się jeszcze mogła, był też inny, który zrównać należało. Niegdyś Polska religijną i polityczną swoją propagandę posuwała razem, teraz w głównych zasadach zepsuty jej organizm, nie mógł obu środków harmonijnie użyć: gorliwość nawracania wyścignęła cnotę poświęcenia się i miłości. Strona oporna jednak pierwsza prawie wypowiedziała domową wojnę.

Zaraz po ogłoszeniu unji brzeskiej (1596) rozruch kozacki na Ukrainie pod dowództwem Nalewajki okazał, jakie żywioły składały zaród następnych buntów. Kozacy wstrzymywani od wypraw tureckich, do których podbudzał ich cesarz Rudolf II., idąc walczyć pod znakami cesarskiemi w Węgrzech, po nieprzyjacielsku ciągnęli przez południowe prowincje rzeczypospolitej, radzi gdziekolwiek bądź mieć powód do łupieży, w imię obrony prawosławnej swojej wiary, rzucili się rabować dobra metropolitalne i w ogólności duchowieństwa unickiego. Hasło religji i powab użycia swawoli, łatwo im nastręczał stronników w gminie współwyznawców, ani oświatą, ani żadnem dobrodziejstwem nie przywiązanych do porządku publicznego. Później uczyniwszy zamięszanie w Kijowie i zburzywszy wszystko co tylko z katolikami miało związek (1620), udali się do Moskwy po osobną dla siebie władzę

duchowną *). Polska musiała użyć siły już nie tylko na poparcie swojej moralnej zasady, ale i dla widoków politycznych. Walka opinji przybrała surowy charakter: strona silniejsza posunęła się do ucisku, słabsza do zaciętości. Bunt zapalający się w r. 1630, hetman Koniecpolski uśmierzył i nową przysięgę wierności dla króla i rzeczypospolitej na Kozakach wymógł.

W takim stanie rzeczy prawdziwie trafne i dobroczynne środki nie mogły skutkować łatwo. Zakładanie szkół i rozkrzewianie unji na Rusi szło oporem. Była jednak wytrwała i patrjotyczna czynność w tej mierze. Zakon Jezuitów, wtenczas jeszcze nie zasługujący na zarzuty, do których później mógł dać powód, i zakon reformowany Bazyljanów, przyniósł ojczyźnie wiekopomne pożytki. W owej to epoce język polski wziął wyraźną nad ruskim przewagę. Zygmunt III. umierając (1632) zostawił przynajmniej część narodu, w której leżało życie historyczne Polski, spojoną mocniejszemi ogniwami. Za jego rządów zmniejszyła się niezmiernie liczba dysydentów, i znacznie osłabła schyzma grecka **). Najzapaleńsi jej popieracze (Smotrycki) stali się najsilniejszymi przeciwnikami. Bez tych mało świetnych a cierpkich lekarstw na chorobę zaszczepioną w roskosznych latach jagiellońskich, możeby dzieje nasze skończyły się na zawsze w połowie XVI. wieku, kiedy ile mieliśmy opinji religijnych, tyle stronnictw politycznych wyciągało ręce do nieprzyjaciół, żeby przyszli rozszarpać rzeczpospolitę; możeby wtedy potworzyły się nowego kształtu luterańsko-polskie i grecko-polskie odłamy — strawna pastwa dla zaborczej polityki Niemców i Moskali, ale już Polski nie byłoby nigdy.

Po tem wszystkiem co w ciągu ostatnich lat 40 zaszło, Kozacy na sejmie konwokacyjnym 1632, domagali się udziału w obieraniu króla, najwyższej prerogatywy obywatelstwa

---

*) Po zejściu metropolity Rahozy, nastąpił gorliwy Pociej (1598); po nim objął rządy cerkwi zjednoczonej, Rucki (1617). Za jego to czasów, niejaki Teofan fałszywie mieniąc się być patrjarchą jerozolimskim, przybył do Moskwy i Teodora metropolitę rostowskiego (ojca cara Michała) wyświęcił na patrjarchę. Teofan sprowadzony do Kijowa pod protekcję Kunaszewicza sławnego hetmana Kozaków, postanowił metropolitą cerkwi prawosławnej Boreckiego, który pogardzał Ruckim i na czele dysunitów wichrzył. Kiedy Kunaszewicz stanął przed Teofanem, ten mu w obec przytomnego kozactwa zganił, iż z królewicem Władysławem odbywał wyprawę do Moskwy, nie chciał dać rozgrzeszenia za rozlaną krew moskiewską i zalecił na potem Kozakom, aby unitów i katolików prześladowali. (Otrowski, dzieje kość. T. III. str. 436).

**) Udało się Zygmuntowi III. — mówi Bandtkie z politowaniem nad przeszłością naszą — upowszechnić prawie w Polsce i w Litwie wiarę katolicką. Było w rzeczypospolitej Rusinów nieunitów do czterech miljonów; Zygmunt III. nawrócił ich na unitów i katolików przeszło dwa miljony! Przy śmierci jego ledwo już tylko jeden Kalwin i jeden Arjanin zasiadał w senacie. (Bandtkie hist. pol. T. II. str. 272 i 274).

polskiego. Nie dziw iż żądanie przyjęto z zadziwieniem i gniewem; lecz wzajemnie nie uczyniono propozycji, któraby mogła rozbroić zuchwałe umysły, na drodze właściwej wskazać im słuszność. Mniemano iż mocą najskuteczniej pokona się zaród niebespiecznej, domowej siły. Namiętna duma i nikczemna prywata przyczepiły się do surowej, niewyrozumiałej powagi publicznej. Starostowie, albo raczej ich dworzanie, srogością i łakomstwem dotykali Kozaków: stawiono twierdzę Kudak dla wstrzymania ich i od wewnętrznych poruszeń i zagranicznych wypraw. Wybuchnął szturm przeciw twierzy i starostom, a naturalnym popędem przeciw temu, co zdawało się być główną przyczyną ucisku: tępiono nienawistne wyznanie wiary. Wojska rzeczypospolitej odniosły zwycięstwo, Pauluk i inni dowódzcy buntu zostali jeńcami (1637). Sejm warszawski posunął się gwałtownie na źle obranej drodze: zniósł wszystkie prerogatywy Kozaków, strącił ich do smutnego stanu włościan (1638).

Władysław IV. równie jak poprzedni królowie widział zepsucie w organizmie rzeczypospolitej, widział że jedna część jej społeczeństwa zabrawszy w siebie całą wolność, odbierała życie innym członkom, myślał też o sposobach poprawy. Wielka wojna turecka miała dać zręczność do użycia obmyślanych na to środków. Ale czy Władysław IV. rozumiał naturę jestestwa Polski i wyprowadzając ją w pole, przy rozgrzaniu rycerskiego ducha chciał ułatwić cyrkulację swobód politycznych po całem jej sparalizowanem ciele; czy przeciwnie zapatrując się na to, czego powabne dla monarchy wzory przedstawiała cała niemal Europa, chciał przewróceniem historycznego kierunku w naszym narodzie, wstecznym pociągiem wszystkich jego władz do góry, utkwić siłę w tronie? — Jest to wątpliwość. Cokolwiek bądź, zamierzył sobie wprowadzić w grę Kozaków: od lat dziesiątka, pod ciężarem przemocy rozpryśnioną, w iskrach zemsty i religijnej jedności tlejącą potęgę, rozmyślninie, skrytemi podmuchami rozniecił. Śmierć nie pozwoliła mu być sternikiem niebespiecznej roboty. Umarł 20. Maja, 1648.

Na dni kilkanaście przed zgonem króla, już Chmielnicki wsparty staraniem dysunity arcybiskupa kijowskiego Mohiły, i posiłkiem od chana krymskiego, ze znacznym tłumem kozactwa, z 80,000 Tatarów, zaczepnie i zwycięsko ciągnął w głąb Polski. Rzeź powszechna katolików i unitów, a zagarnięcie do wspólnej sprawy wszystkich schyzmatyków, oznaczyły zaraz charakter tej okropnej wojny. Była ona w gruncie religijną, przez to samo socjalną, a jak każda inna polityczną.

Chmielnicki człowiek wielkich zdolności, wyniosłego umysłu, z sercem zakrwawionem osobistą krzywdą, umiejętnie

sprawował dowództwo, na które los go wystrychnął, w miarę powodzeń wzbijał się w dumę, nienawidził stanu rządzącego rzecząpospolitą; ale rozmyślnym reformatorem społeczeństwa polskiego nie był, wszechwładztwa ludu, jak dziś chcą niektórzy, na widoku nie miał, kozactwem wreszcie dowolnie kierować nie mógł. Wyższa siła parła tę powódź, wstrzymać by jej sam nie potrafił; rozumiał tylko skąd dęły wiatry, znał że zwinąwszy chorągiew prawosławnej wiary musiałby rozbić się albo osiąść na mieliźnie, i dla tego żarliwie obstawał za schyzmą.

Pierwsze układy są tego dowodem. Skoro Jan Kazimierz włożył na swą głowę zarosłą już cierniami koronę Jagiellonów (17 stycz. 1648), wysłano komisarzy którzy przystąpili do umowy w Pereasławiu (19 lutego 1649).

Mianowany hetmanem Kozaków, traktowany jak udzielny mocarz, błagany żeby przyjął puszczenie w niepamięć zaszłych wypadków, czegoż się domagał Chmielnicki? Podane przez niego warunki można ściągnąć do trzech punktów.

Punkt pierwszy żądał przywrócenia swobód Kozakom jakie mieli przed sejmem 1638.

Punkt drugi, godził na zniesienie unji, a dysunitom zapewniał wszystkie prerogatywy panującego wyznania.

Punkt trzeci chciał mieć gwarancję punktów poprzednich w 40,000 regestrowego kozactwa..

O losie włościan Rusinów żadnej wzmianki.

Po odjeździe komisarzy rzeczypospolitej, poczęły przybywać poselstwa cara moskiewskiego, hospodara wołoskiego, wojewody siedmiogrodzkiego, chanów tatarskich. Współwyznawcy nazywali hetmana Kozaków obrońcą i rozmnożycielem wiary, wszyscy nieprzyjaciele Polski winszowali mu zwycięstw, podwładni okrzyknęli go swoim książęciem — pomyślał że można zrobić księstwo Ruskie. Kiedy Jan Kazimierz znalazł się w trudnem położeniu pod Zborowem, zaraz Chmielnicki przedsięwziął przywieść do skutku swój zamysł: podał warunki w treści te same co pereasławskie, lecz z daleko rozleglejszem zastosowaniem. Żądał żeby kraj Kozaków rozciągał się aż po rzekę Horyń na Wołyniu: w tym zakresie trzy województwa: bracławskie, kijowskie i czernichowskie, to jest właściwą Ukrainę chciał wyjąć zupełnie z pod wpływu moralnego Polski, urzędy i szkoły w nich tylko nieunitom powierzyć; domagał się nakoniec zupełnego zniesienia unji, a przypuszczenia metropolity i władyków nieunickich do senatu polskiego.

Król ratujący się zakupioną przyjaźnią Tatarów, musiał przyjąć przeprosiny hetmana, podpisać umowę (19 sierpnia 1649). Ale rzeczpospolita — taka jaka była — bez gwałtu przeciw swojej naturze nie mogła zezwolić, aby w ognisko

jej rady, jej rządu weszło to, co jej duch wiecznie odpychał, z czem inny duch miał wieczysty sojusz.

Z drugiej strony osobista ambicja Chmielnickiego nie skończyła jeszcze zawodu: szło mu o hospodarstwo wołoskie dla syna, o udzielniejsze, mocniej ustalone panowanie dla siebie. Odnowiła się walka i wojsko polskie odniosło wielkie zwycięstwo pod Beresteczkiem (28 czerwca 1651). Zwycięstwo to źle poparte, zakończono układami (28 wrzesnia). Kozacy pod warunkiem wierności i posłuszeństwa dla rzeczypospolitej — federalnego niejako z nią związku, otrzymali całe województwo kijowskie, wolność swego wyznania i dawne swobody, a nadto więcej niż za Batorego mieli, bo zaciąg regestrowy podniesiony do 20.000. Rzecz jednak roztrzygana gwałtownie orężem, gdzie tylko miłość chrześcijańska i czas skutkować mogly, nie zatrzymała się długo na tym punkcie. Obie strony miały wielkie do złożenia ofiary, żadna nie była gotowa tego uczynić. Tłumy ludu nie mieszczące się w liczbie szeregów regestrowych, a obowiązane wrócić do poddaństwa w dobrach królewskich lub szlacheckich, wynosiły się na pustynie moskiewskie, zakładały osady Achtyr, Szumsk, Charków i Rybno; prywata dalej przędła swoje zamysły.

Chmielnicki napadł zdradliwie wojsko polskie pod Batowem (1652); w ciągu rozpalonej znowu wojny otoczył króla pod Zwańcem. Umowa zborowska została przywrócona (1653).

Był tedy moment kiedy kraj południowy naddnieprski, po rzekę Horyń odszczepiał się od dziedziny jagiellońskiej. Słabe węzły łączyły go z rzecząpospolitą. Po gruncie Rusi nieprzeniknionym do dna duchem Polski, łatwo rozlało się kozactwo znajdujące w nim jedność wiary i plemienia. Lecz ten młody, surowy zawiązek społeczeństwa zaporoskiego, nasycony nagle wielką massą ludności, miałże swój własny organizm zdolny ogromną a niesforną jeszcze siłę materjalną na pewny tor cywilizacyjnego postępu wprowadzić, wewnętrznie urządzić, i przez to ku zachowaniu pewnej udzielności obrócić? Przecież stowarzyszenie ułożone trybem tatarskim do wiecznej wojny, dalej trwać nie mogło, musiało lada chwila być pozbawione swego żywiołu. W owym czasie i w owym stanie potęg sąsiednich, trudno już było Kozakom wyrobić sobie dobitnie odznaczoną i choćby na federacyjnych jakich przymierzach opartą niepodległość. Zabor ich jak niegdyś zabor litewski ważył się między Polską i Moskwą. Pamięć doświadczonych dobrodziejstw od królów rzeczypospolitej, która wyhodowała ich na swojej ziemi, była ich ojczyzną; braterstwo z Lachami zawiązane w tylu wspólnych sprawach i zwycięstwach; powab tych swobód, jakie lud nieokrzesany ale żywo czujący cenę wolności, w stanie szla-

checkim całkowicie rozwinione widział, za wzór urządzania się, za cel życzeń nawykł sobie stawiać, to wszystko przechylało Kozaków na zachód. Lecz daleko może dzielniejsza moc, zaczepiona o serca płonące przywiązaniem do wiary, o umysły sfanatyzowane wojną religijną, ciągnęła ich niewidomie na wschód. Polska obrażona, krwią zlana, w gniewie i dumie była zakamieniałą; Moskwa pełna chytrej radości z przymileniem podawała rękę. Mimo instynktowy, wrodzony wstręt Kozaków ku moskiewskiemu despotyzmowi, mimo mądre przestrogi króla szwedzkiepo, i nakoniec mimo opór samego duchowieństwa schyzmatyków, które z żalem przeniewierzając się rzeczypospolitej, chciało przynajmniej obwarować swoją udzielność, po za stolicą duchowną Moskwy wprost być pod władzą Carogrodu, fatalny popęd wziął swój skutek. Chmielnicki poddał się carowi przez umowę zawartą w Perejasławiu (1654), car posłał dwa wojska: jedno na Litwę, drugie na Ukrainę. Niedługo potem wkroczyli Szwedzi przez Prusy (1655); protestanci polscy, a z nimi inni dysydenci, rzucili się w objęcia drugiego nieprzyjaciela ojczyzny.

Był moment kiedy rzeczpospolita staraniem Jagiellonów spojona, pod ich rządami zasianem i rozkrzewionem różnowierstwem zszarpana wewnątrz, słyszała już na siebie wyrok rozbioru. Skąd pochodziło źródło nieszczęść, najlepiej to okazują sposoby ratunku. Konfederacja Tyszowiecka (1655 grudnia 29), rozwinęła chorągiew religijną. Broniąc się w kościołach, zasilając się klejnotami ołtarzów, groszem duchownych, zwolna, z wielkim trudem dźwigała się Polska z upadku.

Kozacy prędko poczuli dążność carskiej opieki. Śmierć Chmielnickiego (1657) przecięła więzy krętej jego polityki, gmatwającej prywatnemi widokami wielkie interesa ogólne. Hetman Wychowski obrócił się ku nieszczęśliwej Polsce: przyszło do układów w Hadziaczu (1658 września 16).

Umowa hadziacka wyprowadzała już na scenę naród ruski jako stronę traktującą, jako część rzeczypospolitej wracającą do niej; lecz tylko trzy województwa: bracławskie, kijowskie i czerniechowskie, ukazywały się w postaci kraju ruskiego — księstwa Rusi. Polska znękana niedolą, przyjmowała warunek, który daleko rozleglej nadłamywał jej jestestwo, podpisywała zniesienie unji religijnej; ale skłoniła się razem do powolności, która rozszerzeniem jej składu społecznego, wszystko naprawić mogła. Oprócz swobód w ogólności zapewnionych Kozakom, hetman otrzymał prawo, stu ich z każdego pułku podawać sejmowi do obdarzenia dostojeństwem szlachectwa. Nie była to zapewne rewolucja, jakiejby dzisiaj bez względu na tamte czasy życzyć można; zawsze jednak

krok ten właściwy obiecywał pożądańsze zmiany, a w części przyniósł bardzo użyteczne owoce.

Pakta hadziackie, dla tej samej przyczyny co pereasławskie i zborowskie całkowicie skutku wziąść nie mogły. Zburzone obu stron namiętności nie łatwo dawały się ukołysać. Moskwa podżegała Kozaków, stawiła ze swej ręki hetmanów; tłumy rozhukane nabrały już nałogu żyć w ciągłych zamieszkach. Kozacy pierwsi zerwali układy: przy nieustającej wojnie z Moskwą, Doroszeńko szukał opieki u Porty Ottomańskiej.

Pokój doczesny zawarty w Andruszowie (30 stycznia 1667) położył Dniepr za granicę między rzecząpospolitą i carstwem, a nadto oddał Kijów na dwa lata w ręce Moskwy.

Jan Kazimierz ze smutnem proroctwem składając narodowi koronę łzami oblaną (16 wrześn. 1668), zostawiał dziedzinę Jagiełłów uszczuploną w posiadłościach, niespokojną wewnątrz i zagrożoną nową wojną.

Ruś południowa, przez swój religijny oddział, za pomocą kozackiej broni wyłamując się z łona rzeczypospolitej, zadała jej niezmiernie głębokie ciosy, sama krwią zlana, wycieńczona, częścią leżała już pod stopami moskiewskiego despotyzmu, częścią była wystawiona na łup Mahometanom.

Ten sam nieprzyjaciel, od którego odwrócony oręż chrześcijański, pod sterem polityki nowożytnej toczył krew w domu, przychodził teraz jak plaga zesłana przez opatrzność ukarać osłabionych bojem. Turcy przeszli Dniestr (4 sierpnia, 1672), opanowali Podole i wzięli Kamieniec. Traktat w Buczaczu (18 pazdziernika) zawarty: zostawił im ten zabór, a Kozakom hołdującym Porcie, Ukrainę przyznał. Po zwycięstwach Jana Sobieskiego, przez traktat w Żurawnie (1676) ledwo dwie trzecie części Ukrainy wróciły Polsce. W lat 10 potem pokój grzymułtowskim zwany (1686), uwieczniając doczesną umowę andruszowską, zapewnił Moskwie ziemie zadnieprskie i Kijów z jego okręgiem. Nakoniec traktat karłowicki oswobodził od Turków Podole (1699).

W ostatnich chwilach XVII. wieku określiły się granice rzeczypospolitej naszej, jakie już do rozbiorów przetrwały. Ujścia rzek: Taśminy do Dniepra, Sinej wody do Boha, i Jahorlika do Dniestra, oddzieliły na południu województwa kijowskie, bracławskie i podolskie od posiadłości tureckich. W tym obrębie kraju stokroć przeciągnionego ogniem i mieczem, Polska przed utratą niepodległego bytu miała jeszcze znacznie wykończyć swoje piętno na cząstce tak drogo okupionej Rusi.

X.

Sobieski był ostatnim królem, który za sprawę powszechną podniósł oręż w Europie: sława narodu naszego, jak dogorewająca lampa, błysnęła wysoko i zapadła w ciemności. Kończyły się też zupełnie wtedy czasy chrześcijańskie. Wiek XVIII., w którym Fryderyk i Piotr pozyskali nazwiska Wielkich, Wolter i Katarzyna, przy oklaskach całego świata uwielbiali się wzajemnie, ów wiek polityki i materjalizmu, wprowadzał tryumfalnie na scenę dziejów ludzkich nowy porządek rzeczy, od dwóchset lat formujący się pod zasłoną wojennej kurzawy. Dyplomatyka, armje machinalne i sztuka przeważania bilansu handlowego na własną stronę, miały teraz roztrzygać wszystko. Moskwa ze swoją bizantyńską i tatarską naturą, musiała w tym zawodzie wybiedz na czoło. Obok niej Polska znalazła się w ciężkiem położeniu: nie było dla niej środka, jak tylko dokonać jedną z dwóch rewolucji: albo przewierzgnąć się w monarchję ścisłą, i z obciętym, od morz odsuniónym krajem, stanąć nisko między państwami, albo nagłem rozszerzeniem swojej republikańskiej budowy, całkowicie rozwinąć się wewnątrz, przeciw zewnętrznym zjawiskom, dać początek i wziąść ster powszechnego oporu.

Rzeczpospolita nasza nie chciała i nie mogła złamać historycznego w sobie kierunku; do rozpostarcia jego gwałtownym pędem brakowało jej własnych sił i postronnych żywiołów.

Życie więc Polski, działanie jej organizmu, musiało iść powolnym, stopniowym trybem: tak też odbywało się i dalsze spolszczanie pozostałej w jej granicach Rusi.

Dziwnym i cudownym prawie sposobem umarzały się zajścia religijne. Po tylu klęskach zadanych ojczyznie, dysunici ostygli w zapale, sami dobrowolnie skłaniali się do unji. Nie tylko świeccy, ale i duchowni co raz liczniej przechodzili na stronę kościoła rzymskiego. W roku 1710, ani w Litwie, ani w prowincjach południowych, nie było już żadnego biskupa schyzmatyka *). Przy takiem usposobieniu umysłów, za staraniem metropolity Leona Kiszki, synód zwołany do Lwowa, a odbyty w Zamościu (1720), umocował uroczyście i ostatecznie zjednoczenie kościoła ruskiego z powszechnym. Szlachta przytem prawie wszystka przyjmowała obrządek łaciński. Kto był szlachcicem i katolikiem, czy pochodził z dawnych bojarów, czy z później nobilitowanych

---

*) Ostrowski, T. III. str. 553.

Kozaków, zapominał swego rodu, zarzucał swoje osobne obyczaje, stawał się bez żadnego odcienia Polakiem. Część przynajmniej społeczeństwa posiadająca wszystkie prerogatywy polityczne, zlewała się w nierozdzielną, jedną narodowością przeniknioną massę. Kto przez naukę, zasługę, albo wreszcie los fortuny zbliżał się do niej, zaraz padała na niego zupełnie wykończona cecha. Miasta najrychlej poczęły doświadczać tego wpływu; lud prosty, tak wolny jak do ziemi przywiązany, stopniami dopiero mógł uledz ogólnej przemianie. Wiele wsi wchodziło pomału do parafji katolickich, unja krzewiła się powszechnie, w niektórych tylko miejscach, mianowicie południowszej Ukrainy, zachowała się grecka wiara.

Od czasów Zygmunta III., język polski, szybkim krokiem torujący sobie wstęp do sądownictw i wszelkich aktów publicznych, opanował teraz i prywatne domy oświeceńszej klasy; język ruski, z upadkiem sporów polemicznych opuścił drukarnie, pozostał martwym w nieczytanych książkach, na śmierć wskazanym w rozmaitych djalektach gminnych, gdzie go polszczyzna dosięgała już drogą nauk duchownych, a kiedyś drogą instrukcji zupełnie wytępić miała*). Ten koniec

---

*) Ci którzy dzisiaj jeszcze, któż wie dla jakich widoków, pragną odgrzebać indywidualność Rusi, zwykle poczynając sobie od usiłowań koło wskrzeszenia mowy ruskiej, utrzymują że ta mowa była językiem oddzielnym, jak polski i moskiewski; granice jej na ziemi zakreślają między Polską i Moskwą właściwą, a biorąc zawsze pod uwagę tylko zabytki piśmienne, za nic mają wszelki rozdział djalektów żyjących, uchylają ich znaczenie przez wycieczkę do Polski, gdzie także są prowincjonalizmy: mazowiecki, krakowski i t. d. (Patrz n. p. rozprawę Mogilnickiego kanonika katedry przemyślskiej obrządku greckiego. Czasopism Lwowski 1829. N. 3.)

Jednak kiedy śpiewki Krakowiaków i Mazurów mają tylko akcent sobie właściwy, dumy Ukraińca nie zrozumie dobrze Rusin nadniemeński. Gdyby dajmy na to, język którym teraz Padura pisze piękne swoje poezje, wykształcił się zupełnie, nie wiem czyby go można było brać za jedno z językiem statutów litewskich, albo książek teologicznych Smotryckiego?

Powszechnie już jest uznany rozdział mowy ruskiej na dwie główne gałęzie, które odnosząc do rozmaicie tworzonych klasyfikacji samej Rusi, nazywają: białoruską i małoruską czyli ukraińską. Trzeba wiedzieć, że nazwisko małej Rusi powstało wtenczas dopiero, kiedy Moskwa zagarnąwszy województwo czerniechowskie i Kozaków zadnieprskich, a sama przezwawszy się Rosją, poczęła mianować swoje gubernje, wielko- i małorosyjskiemi. Ponieważ zaś nadto, do djalektu białoruskiego wypadałoby włączyć i djalekt czarnoruski, a Ruś czarna, jak okazałem wyżej, nie ma pewnie wytkniętej posady; lepiej więc odznaczy to podział jeograficzny na północ i południe. Rzeka Prypeć zakreśla w tej mierze ostateczną granicę: po obu jej brzegach są stopniowe przejścia, ale za pasem pińskim z jednej, a Polesia wołyńskiego z drugiej strony, wyraźna już daje się widzieć różność mowy północnej o południowej.

Rzecz godna jeszcze uwagi, że idąc od miejsca gdzie Litwa właściwa styka się z ziemią sławiańską, im dalej ku południowi, tym bardziej słabieje wpływ polszczyzny, a odcienia te są w prostym stosunku do przedziałów religijnych.

Dla przykładu, podaję kilka tłumaczeń na djalekty gminne tego sa-

był niezawodny w prostym biegu rzeczy; lecz ojczyzna nasza okryta ranami, otoczona zabójczą dla niej atmosferą wieku, nie łatwo mogła podźwignąć się z łoża boleści. Wewnątrz

mego wyimka z odezwy Lwa Sapiehy, który pierwej przytoczyłem za wzór piśmiennej mowy ruskiej w XVI. wieku.

I. Przykład mowy ludu w gubernji wileńskiej, a po części grodzieńskiej i mińskiej, gdzie włościanie powszechnie są katolicy.

Pascierehali heto usich wiekou mudryje ludzi, szto u siakiej reczypaspalitej, paczciwamu czaławieku niszto niepawinna byci daroższeje jak wolnaść. A niewolaj tak jamu treba hydzić sia, szto nie tolka skarbami, da i śmierciaj jeje adhaniaci pawinien, a dla taho ludzi paczciwyje nie tolka dabra da i hordziel swaich praciw kożnamu niepryjacielu nastaułać nieżalejuć, kab pad ich akrutnoje panawanije nie papaść, a iz wolnaści swajej abdzierty buduczy, pa ich woli i myszli nie musiali żyć. Usielak i hetaho byłab mało, kab czaławiek ad czużaho niepryjaciela byu wolny, a damowaho nad saboj musiau znasić, natojeże to hety munsztuk czy uździenica, na utrymanije kożnaho zufałaho wymyszleny, kaby jon bajuczisia prawa ad usiakaho gwaltu i zbytkawanija pohamawau sia, da nad słabiejszym i biadniejszym nie pastwiyu sia i jaho muczyć nie moch. Bo dziele taho pastauleny prawa, kab bahatszamu i duższamu nie usio była wolnia rabić.

II. Przykład mowy ludu w okolicach na lewej stronie Prypeci, gdzie utrzymał się dotąd obrządek unicki.

Baczyli to usich uiekow ludie szto u każdej Reczypospolitej, choroszomu czołowieku niemajet byt niczoho dorohszaho jak wolnošt, a niewoloju tak majetsia curati, szto nie to bohactwami ale i smiertiu powinien jeju od siebia odhaniati i dla toho dobryje ludie na portiwu każdaho niepryjatiela niżałujut stawit nie tolko majetnosti swoje a no i hołowy, sztob niepryiti pod jeho niemiłosiernoje panowanje i obdziortyje z wolnosti swojej nie byli przymuszeny żyt jak poddany po wolej i myśli jeho. Da i toho byłoby mało sztoby czołowiek buu tolko wolen od czużaho niepryjatela a swojeho w domu cierpieć musieu, i dla toho wymyślena jest na udzierżenije kożdoho takoho złomyszlennika taja uzda, by bojawszy prawa powstrymywau siebie od hwaltu i zbytkowanija i nie hłumiyu słaboho i biednaho czołowieka ani moh jeho utiskat, bo na toje postanowleny prawa sztoby bohatszomu da i wielikomu nie wsia robit było można.»

III. Przykład mowy ludu na Wołyniu, Ukrainie i Podolu, gdzie rząd moskiewski przywrócił schyzmę.

«Mudry lude zawsihda tak tolkowały (dumały): szczo dla czesnoho czołowika ne powynno buty niczoho doroższoho jak wolnošt, a newoli treba curaty sia i widhaniaty chotiaby horłom i kałytoju. Czesnomu czołowikowi ne żal chudobu, ba i żytia swoje poteraty szczob (łysz) ne podaty sia worohowi w pańszczynu (w pohybel), szczob łysz ne buty joho mużykom (pachołkom, kreposnym)! Ale toho nehodi (ałe to ne wse) szczoby czołowika ne doptaw czuży woroh, treba jeszcze szczoby i w chati ne buło swoho woroha. A na to jest uzdeczka (peniok), pyśmo de (hde) napysano szczoby sylniszczy (duzszczy) nad słabszym ne pakosływ sia i ne tysnuw joho, a teje pyśmo, Lachy zowut prawo, i ono na to wydumano, szczoby Panam i Bohaczam ne wse hodyło sia.»

Nie mogłem powziąść dokładnej wiadomości o mowie gminnej w Galicji czyli Rusi czerwonej; wiem tylko że równie tutaj jak w Litwie lud prosty, tego szczególnie nazywa Rusinem, kto należy do cerkwi ruskiej. Podobnież nie umiem oznaczyć ściśle, jak daleko na zachód Podola i Wołynia rozciąga się djalekt właściwie ukraiński. Możeby wypadło granice jego tam zakreślić, gdzie dosięgnął wylew Kozactwa, a zatem i początku jego szukać w Zaporożu. Uwagę tę wszakże natrącam nie śmiało, pragnąc pobudzić przez to do podobnych poszukiwań rodaków, którym Niebo pozwoliło żyć na ojczystej ziemi.

stan panujący zdrętwiał po wysileniach, i od zbytku swobód które sam wyłącznie pochłonął, wpadł w zawrót głowy; zewnątrz cisnęła przewaga gwałtownie wynoszącej się Moskwy.

Właśnie kiedy Polska po siedmiudziesiąt leciech ciągłych wojen ukończywszy postronne i domowe zatargi, ukazała się na czysto w bardzo zmienionej postaci, Moskwa tejże chwili odbyla jednę z nagłych swoich przemian. Ta prawdziwie azjatycka, barbarzyńska potęga, wielkiemi przeskokami wychodziła ze swego zarodku, wynurzyła się na jaw w miarę jak opadał chrześcijański duch Europy. Na tym granitowym kolosie materjalizmu, ledwieby nie można policzyć wszystkich stopni ostygania Zachodu. I dziwna rzecz! przy każdym takim kresie, stawił los zawsze człowieka, który wykuł nową fizjonomję historji moskiewskiej. Współcześnie prawie z Lutrem urodził się Iwan Srogi; teraz gdy na ziemi naszej nad Dnieprem, zagasł ostatni płomień wojen religijnych, zły genjusz zaklęty w biegunie północnym, wziął za rękę Piotra Aleksiejewicza, ukazał mu świat i rzekł: masz porę. Piotr bardziej instynktem niżeli bystrym dowcipem zrozumiał kierunek wszech rzeczy, przerwał teologiczną korespondencję z akademją paryską i po swojemu rozpoczął olbrzymią reformę. Najprzód władzę duchowną uciętą w Moskwie, przyczepił do korony carskiej: ogłaszając się carem samowładcą całej Rusi, ogłosił się głową grecko-ruskiego kościoła (1721); potem najwyższy pośrednik między Bogiem i duszami poddanych, nieograniczony rządca sumienia narodu, chwycił jego ciało na warsztat, żeby jak mniemał, nadać mu kształlt cywilizacji europejskiej. Ta chropawa, dzika bryła, miała jeszcze pewien charakter samorodny, niektóre starożytne pierwiastki sławiańskie. Piotr postanowił stluc ją na miazgę, przedeptać i ulepić w nowy posąg, bez zarosłej brody, z niemiecką pudrowną peruką. Kruszył więc dawne instytucje i obyczaje jedne po drugich, znosił Strelców o mało nie w taki sposób, jak za dni naszych sultan turecki swoich Janczarów; zrównanych pod strych despotyzmu niewolników, szykował w bizantyńskie klasy, uczył ich cudzoziemskiej gramatyki, rysował dla nich nieznane dotąd litery alfabetu. Cudotworny kij carski, improwizował także nową stolicę, ministerja, akademję, flotę, armję i gabinet, w którym zamknął sekret poruszania całej tej machiny szatańskiej, ustawionej do coraz odleglejszych zaborów pod jarzmo.

Tak z gruntu przebudowana, wielu nabytkami na północy, wschodzie i południu pomnożona puścizna Iwanów, może już i nie mogła nazywaś się Moskwą; ale słusznież było szukać dla niej imienia w dawniejszych jeszcze wiekach? Fryderyk W. wertował kroniki rozmyślając jak ochrzcić swoje kró-

lestwo: czy Wandalją, czy Prusami? Piotr bieglejszy polityk niżeli erudyt, chciwy wzrok wytężając w przyszłość, mało był skrupulatnym względem przeszłości: po prostu kazał tytuł cara rozumieć za jedno z tytułem cesarza, Moskwę i jej różnorodne zdobycze nazywać Rusią. Wszakże sam język moskiewski zdawał się wykręcać od tego fałszerstwa. Mimo napominania uczonych Niemców, Szlöcera, Milera, i innych, którzy grzebiąc się w starych latopiscach, podrabiali sztucznie wywody dla świeżo narodzonego mocarstwa, potrzeba odznaczenia w mowie, co w naturze nie łączyło się z sobą, zwyczaj pospolity, posłuszniejszy tej potrzebie niżeli rozmyślnym rachubom, wprowadziły imiona: Rosji dla państwa, Rosjan dla poddanych petersburskiego tronu.

Poseł pruski powinszował najprzód Piotrowi nowo przybranych tytułów; państwa protestanckie: Hollandja, Szwecja, Anglja, zaraz pośpieszyły uznać imperjum Rosyjskie; Francja i Hiszpanja ociągały się czas niejaki; jedna Polska tylko w chrześcijańskiej Europie, rozumiała dostatecznie zapowiedź ukrytą w formule dostojeństw carskich; póki jej głos był wolny zwała Moskwę właściwem imieniem *).

Siła caratu, jakby dla zamachu wyniesiona na najwyższy punkt północy, naturalnym spadkiem potoczyła się z Petersburga ku południowi, i ze szlaku warjagskiego wpadła na gościniec barbarzyństwa, ostatecznie zajęty przez Zaporożców. Pod panowaniem Piotra Rosja nie zdołała utrzymać się przy morzu Czarnem; na prawym brzegu Dniepra tylko Kijów z małym okręgiem należał do niej, lecz żądze, zamysły i sposoby patrjarchy despotów, dostały się w puściźnie następnym carycom i carom.

Po traktacie zawartym z Turcją w Belgradzie (1739), lubo względem przejścia Kozaków z pod opieki tureckiej pod rosyjską nic nie wspomniano, rząd petersburski począł rozciągać swoją władzę niżej Taśminy i Sinejwody od Dniepra aż do Bohu. Caryca Elżbieta wprowadziła tu pierwsze osady r. 1750, w pięć lat potem kraj zwany Nową Serwją, liczył już 60,000 ludności: województwa kijowskie i bracławskie, ujrzały na południu nieznacznie zjawione sąsiedztwo Rosji.

Carat wślizgający się do Europy, jak wąż dusiciel otaczał Polskę swojemi kłębami i otrętwiał ciągle wywieranym wpływem; a skoro dała znak życia, skoro chciała ocknąć się z letargu *), ścisnął obręcze i zapuścił w nią zęby. Na ziemi

*) Tytuł Cesarstwa Rosji został przyznany przez rzeczpospolitę naszą, dopiero na sejmie koronacyjnym St. Augusta 1764.

**) Pomijam tu rozbiór, czy usiłowania narodowe, których treść wyraziła się w konstytucji 3 maja 1791, miały zupełnie trafny kierunek; dość na tem, że były niewątpliwą oznaką dźwigania się z niemocy Ojczyzny naszej i ściągnęły na się mordercze ręce monarchów, przeznaczonych być nieustannymi tępicielami wolności.

Rusi południowej, na tym to placu między Karpatami i Dnieprem, gdzie od wieków dwie przeciwne strony w Sławiańszczyźnie chrześcijańskiej spierały się najwidomiej, polała się najprzód krew morderczej walki. Tu konfederacja barska podniosła swój sztandar (29 lutego 1768); tu hajdamacy Zaporoża jeszcze raz rozwinęli swoje godło. Są dzisiaj teoretyczni rozprawiacze, którzy na znamionach Jana Kazimierza i Puławskich, Chmielnickiego i Żeleźniaka, różnie kładą wyrazy ucisku i swobody. Jedna wszakże cecha — cecha religijna, dla wszystkich i po wszystkie czasy jest w nich niewątpliwie czytelna. Rzezie, którym w pień wycięty Humań (1770) dał nazwisko, zostawiły ostatni dowód, za jaką sprawę naród nasz ponosił męczeństwo, dla jakiej sprawy broń kozacka gotowała tryumf. I stało się zadość domowym i obcym nieprzyjaciołom ojczyzny naszej, nastąpiły jej rozbiory.

Przez pierwszy podział (1772), Austrja zagarnęła prowincje południowe po rzekę Zbrucz.

Drugi zabór (1793), zakreślając na karcie palcem umaczanym w atramencie, Katarzyna pociągnęła linję od Dyneburga do świeżej granicy austrjackiej, niżej Brodów.

Ostateczne rozszarpanie Polski (1795) zetknęło ręce trzech jej zbójców u Niemirowa nad Bugiem.

Ile tylko było starożytnej Rusi w zygmuntowskim i późniejszym obrębie naszej rzeczypospolitej, wszystka się teraz dostała Austrji i Moskwie. Austrja dla swojej dzielnicy wydobyła od wieków zapomniane imię Galicji; Moskwa na swój zabór naciągając przybrane nazwisko Rosji, zdawała się z prawem przemocy łączyć głębsze pretensje wspomnień.

Z drugiego końca lat ośmiuset, carstwo Rosji padając na tę samą przestrzeń jeograficzną, gdzie leżało niegdyś jedno państwo Rusi, zakrywało niejako przed oczyma potomności ślady Moskwy i Polski. Jeśli Moskwa wykształcona pod Tatarami, zreformowana przez Piotra, nie była jeszcze czem innem tylko Rusią; to ziemie po lewej stronie Prypeci, i Wołyń, Ukraina, Podole, zabrane przez Litwę, wcielone do Polski, nie przestały także być Rusią; rzeczywiście cóż między temi dwoma częściami monarchji kijowskiej kładło nieodzowny rozdział? czemużby nie miały zlać się napowrót w rodowitą całość? Zaiste, albo Rosja prócz sfałszowanego nazwiska nie miała w sobie nic ruskiego; albo imię Rusi w Polsce było już fałszem. Jaki tedy wątek nieprzerwany od czasów Jarosława do czasów Katarzyny przepływał w żyjące pokolenie Rusinów moskiewskich, taki trzeba było znaleść w Rusinach polskich, żeby to co rozdwoiło się między rzeczpospoltią Jagiellów i carstwo Iwanów, mogło znowu mieć wspólny koniec w koronie rosyjskiej.

Pisarze dziejów, cudzoziemscy i właśni historjografowie imperium, z niemałym trudem usiłowali po ogniwach dynastji, od Ruryka do Gotorpskiego domu, od Kijowa do Petersburga, przeprowadzić jednę nić panującej władzy, związać nią w jedną księgę historję wszech Rusi. Monarchowie Europy, katoliccy i odszczepieni, a wszyscy już bezbożni, z kodeksem dyplomatycznym w ręku zasiadłszy rozsądzać prawa narodów, nie wzywali na świadectwo wieków. Gabinet petersburski kazał pisać historję, dyktował traktaty; lecz sam najlepiej rozumiał i najgłębszą zasadę swojej władzy, i najistotniejszą cechę narodowości swoich poddanych.

Przyszedł czas że Polska jako państwo, pozbawiona bytu, bez żadnej siły materjalnej, bez węzła władzy narodowej, jedynie jako jestestwo moralne, uosobione w dziesięciu wiekach historji, żyjące w pamięci, uczuciach i nadziei pewnej części rodu ludzkiego, musiała wytrzymać usiłowania trzech dworów sprzysiężonych na jej zagładę, wszystkie warunki jej nieśmiertelności biorących pod ciężką próbę w każdym stanie, w każdem plemieniu społeczeństwa, które z nad Wisły rozszerzyło się za Dniepr i Dźwinę. W tym czyścowym perjodzie dziejów naszych, kiedy zasługi i grzechy przeszłości, ważyły szale przyszłych przeznaczeń, kiedy za błędy przodków, imię ich mogło zaginąć w potomkach; najbardziej trwożyło oko carskie do dna sądujące Litwę i Ruś, żeby upatrzyć, azali pierwsza z natury nie sławiańska, druga nie lechicka, były zupełnie przeniknione czem takiem, coby w nich ducha Polski utrzymać, piętna Moskwy nie dopuścić mogło.

Na całej przestrzeni swojego zaboru, Rosja znalazła szlachtę zupełnie taką samą, jaka była we wszystkich częściach rozszarpanej rzeczypospolitej. Jedność praw politycznych, mowy i religji, doskonale już zwięzywała stan ukazujący wszelkie cechy narodowości. Tę szlachtę można było pierwej zawichrzać, psuć, oszukiwać, przeciw interesowi ojczyzny obracać; można było ją teraz ze swobód i majątków wyzuwać, moralnie kazić, wytępiać nawet; ale jeśliby oparła się tym wszystkim środkom przemocy i sztuki, nie pozostawał żaden sposób przerwania w niej życia Polski. Mądrość gabinetu petersburskiego zamysły swoje względem szlachty zostawiła do czasu, i spuściła wzrok niżej, na miasta.

Stan miejski u nas, od dawnych lat skazany tylko pod zasłoną nie wielu zbutwiałych przywilejów siedzieć jakby na łasce rzeczypospolitej, dopiero słowami konstytucji 3 maja, do politycznego znaczenia był powołany. W aktach urzędowych język polski używany powszechnie, mięszał się w domach prywatnych z rozmaitemi językami kupców i fabrykantów najczęściej cudzoziemców, przy warsztatach rzemieśl-

niczych i na rynkach z mową krajowego gminu. Miasta więc Litwy i Rusi nie wszędzie i nie dość wybitny miały charakter polski. Przenikliwość jednak carska, policzyła wieże kościołów katolickich, przejrzała cechy przy uroczystych obrzędach w staropolskim stroju ciągnące procesjonalnie, i dała pokój miastom jak szlachcie, spuściła oczy jeszcze niżej, na włościan.

Stan kmiecy, wolny i poddany, w różnych okolicach naszego kraju, tylko powagą miejscowych zwyczajów mniej więcej od ucisku zasłoniony, nigdzie przez prawo publiczne w skład ciała narodowego niewciągnięty, dawał się rozdzielić na tyle pierwiastków plemiennych, ile rzeczpospolita ogarniała narodów. W Litwie właściwej, mianowicie na Żmudzi, włościanin który nie odebrał wyższej instrukcji, albo nie miał ściślejszych stosunków z dworem pańskim, mówił tylko rodowitym językiem, nie rozumiał po polsku; w Rusi litewskiej i na Wołyniu, Ukrainie, Podolu, lud prosty także zachowywał swoje rozmaicie odcieniowane djalekty gminne. Jeśli nie używać pewnych prerogatyw politycznych, znaczyło nie mieć na sobie najistotniejszaj cechy Polaka, żaden włościanin w całej rzeczypospolitej nie był Polakiem. Jeśli przy niedostatku tej cechy, jedynie w rodzie i języku miała pozostać pamiątka Polski; włościanie litewscy i ruscy nie mieli nic już takiego, przez coby kmieć nadwiślański, i szlachcic na jednym z nimi mieszkający gruncie, mógł przyznać się do ich braterstwa, w historji i nadziejach pokazać im nieodzowne wspólnictwo. Gdyby tedy potęga moskiewskiego despotyzmu potrafiła od razu na Litwie i Rusi znieść szlachtę, albo zwolna zagasić żyjącą w niej narodowość polską, nieliczne miasta łatwoby uległy tejże kolei; masy ludu jak surowy materjał stanęłyby odsłonione do wyciśnienia na nich jakiegokolwiek bądź piętna. Ta potęga co bez śladu zakryła Łotwę i Czuchnów, doskonale wcieliła sobie Nowogrodzian i Kozaków, nie wiele troszczyła się o polityczne stosunki stanów, których los równie był w jej ręku; mało także zważała i na to, że język litewski odróżniałby cząstkę podbitej ziemi, a ruski ani w swoich pomnikach piśmiennych, ani w djalektach żyjących nie dawał się pojednać z rosyjskim *). Po starciu Polski, Litwa możeby się stała tylko niczem; Ruś wszakże koniecznie Rosją. Gdyby znowu między

---

*) Jak wielka zachodziła różnica między piśmiennym językiem ruskim XVI. wieku, a nowożytnym moskiewskim, jest tego dowodem to, iż rząd petersburski dla swego użytku musiał kazać przełożyć Statut Litewski pisany po rusku, na język zwany rosyjskim.

Dla porównania zaś tego języka rosyjskiego z djalektami ruskimi prowincji naszych, kładę tu jeszcze znowu wyjątek z odezwy Lwa Sapiehy tłumaczony przez rodowitego Rosjanina. Ostrzegam wszakże, iż gdy

szlachtą, tą drobną częścią, a resztą ludności litewskiej i ruskiej, nie zachodził żaden moralny związek prowadzący do jednego wyobrażenia Ojczyzny, do jednych wspomnień i życzeń; albo gdyby taki związek dał się zerwać, narodowość polska nie zostałażby tu nadpowietrznem widmem, które prędzej czy później zdmuchnąłby duch obcy, rozszerzony pod jej stopami. Badawcza przenikliwość caratu, śledząc tej ostatniej żyłki, jeszcze raz poczęła rachować na kościoły.

W Litwie właściwej i w znacznej części najdawniejszych jej podbojów, wszystkie katedry i fary były katolickie; im dalej zaś ku południowi, tym coraz powszechniej wznosiły się parafialne cerkwie ruskie. Po tych znakach najprzód dawała się wyczytać pamiątka warjagskiego panowania: gdzie nie było cerkwi ruskich, ani na ziemi, ani na ludzie nie leżało już imię Rusi. Po tych znakach także, carowa Katarzyna — jako głowa kościoła, który ręką Carogrodu w państwie Warjagów założony, wypełnił wszystkie następstwa schyzmy wschodniej, w niewieście wszetecznej miał namiestnika chrystusowej władzy — chciała wykazać powinowactwo Moskwy, swoje prawa do ludu i jego ziemi. Polska w okowach wywołana na obronę jagiellońskiej dziedziny, cóż mogła teraz z głębi dziejów postawić przeciw Carogrodowi i Moskwie? Tylko znamię Rzymu, zawieszone na pogańskich ołtarzach Litwy i na greckich cerkwiach Rusi, służyło jej za świadectwo, co przyniosła, co męczeństwem swojem na zawsze odeprzeć chciała. Swobody polityczne, z niemi rozlewająca się oświata i narodowość, ledwo przejrzystą siatką powlekały kraj wydany na pastwę despotyzmowi i ciemnocie; resztę jego gruntu przed szponami carskiemi zasłaniała jedynie najpierwsza, religijna zasada cywilizacji europejskiej. W ostatecznej kwestji między Polską i Rosją, o lud litewski i ruski, wiara przyjęta przez Jagiełłę i krwią oblana unja, roztrzygały wątpliwość. Gdzie nie było unji, nie było spo-

---

drukując głoskami łacińskiemi, trudno oznaczyć iloczas, różność dźwięku mowy nie da się uczuć w całej swej mocy.

«Wsiech wiekow ludi mudryie widieli, czto wo wsiakoj Respublikie dla błagomyslaszczago człowieka swoboda była wsiego dragocennieje, a rabstwo w takoj było nienawisti, czto wsiakoj szczytał obiazannostiju swojeju izbawlat' siebia ot onago nie tolko bogatstwami, no i pożertwowanijem żyźni swojej. Zatiem błagomyslaszczyje ludi w oboronie protiw nieprijatelej, ni dostojanija, ni żyźni swojej nieszczadili: cztoby nie podwergnut'sia żestokoj własti, cztoby niepotieriat' swobody, i cztoby nie sdiełat'sia rabami woli i obraza myslej pokoritelej. No niedostatoczno odnogo togo, cztoby człowiek był swobodien tolko ot poraboszczenija wnieszrim nieprijatelem, a wmiestie s tiem tierpiełby nad soboiu nieprijatela domaszniago. Potomu-to izobretena uzda sija k obuzdaniju wsiakago derznowennago: cztoby, bojaś zakona; wozderżywałsia ot wsiakagoi nasilija i złoupotreblenija, cztoby niemog ugnietat' słabago i nad nim izdiewat'sia. Zakony imianno dla togo postanowleny, cztoby silnomu i moguszczestwennomu nie wsio było wolno diełat'.»

sobu przeszkodzić, żeby wątek duchownej władzy sięgający jeszcze Carogrodu, nie skończył się w koronie carskiej. Od tego zaczyna się czterdziestoletnia historja moralnego najazdu Rosji na Ruś polską. Przebiegę pokrótce ten perjód objaśniony dostatecznie wypadkami za dni naszych.

X.

Katarzyna znalazłszy niewielką liczbę cerkwi schyzmatyckich w okolicach bliższych Dźwiny i Dniepra, oparła na nich fundament swojej organizacji duchownej: jako protektorka prawosławnej wiary, zwykłym językiem polityki moskiewskiej ogłosiła unję za dzieło ucisku i przymusu, zaleciła ludowi i duchowieństwu powrót pod władzę hierarchji, której teraz sama była najwyższym szczeblem. Ukaz roku 1794 kwietnia 22, przepisał prawidła nawracania unitów na grecko-rosyjską wiarę, wszelki opór przeciw temu położył w rzędzie przestępstw kryminalnych, roztrząsanie kroków rządowych w tej mierze i wszelkie żałoby uznał za przestępstwa. Rozpoczęło się misjonarstwo z pomocą siły zbrojnej, jakiego ziemie rzeczypospolitej nie widziały nigdy — nigdy, chociaż bardzo krzyczano niegdyś na gwałtowną gorliwość duchowieństwa polskiego. Mimo całą surowość ukazów i egzekucji, nie wszędzie jednak przemoc odniosła pożądany skutek. W stronach północniejszych zamknięte kościoły rzymskie i nowo otwarte cerkwie greckie, równie stały pustkami; lud chodził do miast odległych, albo zaniedbywał zupełnie praktyk pobożnych, aż nim nie zwolniało prześladowanie: unja utrzymała się tu niemal powszechnie. W stronach południowszych, mianowicie na Wołyniu, Ukrainie i Podolu, pomyślniej szły rzeczy dla rządu. Ogromne fortuny rozdzielały kraj między szczupłą liczbę właścicieli; rzadko który magnat nie potakiwał woli panującej, drobniejsza szlachta nie miała dość powagi na zasłonienienie swoich włościan: unja została tu zniesioną zupełnie. Ze wszystkich gnębicieli naszych, wyjąwszy Mikołaja chyba, Katarzyna zadała najcięższy cios porwanej przez Rosję cząstce ojczyzny naszej: jej ręka przeciągnęła po nad ziemią prowincji południowych ostrze rozcinające najgłówniejsze ogniwa między szlachtą i włościanami — między rozwinioną Polską i surową Rusią.

Car Paweł nie tak filozoficzny despota jak jego matka, mało zastanawiając się nad składem wewnętrznym ujarzmionych narodów, po prostu państwo swoje uważał za pewną przestrzeń ziemi zaludnioną pewną ilością niewolników. Niewolnikom Piotr już naznaczył numerowane klasy; ziemię Pa-

weł przedsięwziął podzielić szykownie: ukazem 1796 r. całe państwo Rosji — dawne i świeże podboje — rozrysował jednako na gubernje. Cztery województwa: wołyńskie, kijowskie, bracławskie i podolskie, uformowały się wtenczas w trzy gubernje: wołyńską, kijowską i podolską, z niewielką zamianą pogranicznych okolic, jaka zaszła przez wyprostowanie linji między Bugiem i Dnieprem odkreślającej pierwej wielkie księstwo litewskie od prowincji małopolskich, a teraz gubernię grodzieńską i mińską, od wołyńskiej i kijowskiej.

Car Aleksander w łagodnych początkach swego panowania zdawał się odstępować zamiaru wynarodowienia krajów oderwanych od Polski; było to wszakże tylko przemianą środków prowadzących do tego celu. Obojętność względem rzeczy religijnych powszechna w Europie, rozciągnęła się już i na północ: gabinet petersburgski odłożył na stronę swój instrument duchowny, a wziął w rękę bardziej materjalny, wyłącznie polityczny. Żeby zabór polski przykleić doskonale do budowy państwa rosyjskiego, trzeba było rozwinąć w nim ten organizm moskiewskiej natury, mocą którego despotyzm stopniami przepuszczony od tronu do najniższej klasy poddanych, stanowi jakby kolumnę pacierzową automatu stworzonego na obraz społeczeństwa. Wypadało zatem przez umocowanie władzy absolutnej szlachty nad włościanami, umocować absolutyzm monarchy nad szlachtą: przez interes niemoralny, przywiązać ją do niemoralnego porządku rzeczy. Na tym sztucznym przymusie do kolejnego ucisku, zależy cała cyrkulacja soków żywotnych w carstwie Rosji: wszystkie ustawy, przepisy, ukazy, napozór tak różnorodne, kapryśne, sprzeczne, harmonijnie stykają się w tej naczelnej zasadzie. Stosownie do niej zachodziły w prowincjach polskich różne zmiany administracyjnych i cywilnych porządków. Sam sposób poboru podatków, kładł już węgielny kamień niewolnictwa. W Polsce główną miarą własności szlacheckiej i opłat z niej, była ziemia; Rosja tatarskim obyczajem za jednostkę tego rachunku brała duszę ludzką — duszę człowieka płci męskiej zapisaną do skaski, czyli rejestru ludności w każdych dobrach. Za rządów rzeczypospolitej byli włościanie wolni osobiście, i do ziemi przywiązani: skaski moskiewskie bez osobnego ukazu znosiły tę różnicę; pamiątka jej została w tem tylko, że włościanin mianowany wolnym, opłacał podwójny podatek. Ponieważ zaś odpowiedzialność przed rządem wprost opierała się na dziedzicu włości, prawo upoważniało go, zmuszało nawet, bespośrednio zawiadować osobami i własnością włościan, tak skaskami na lat 25, jak poddaństwem wiecznie przykutych do gruntu. Nadto, służba wojskowa, ten zacny niegdyś obowiązek dla synów ojczyzny,

teraz straszny ciężar dla ujarzmionego narodu, spadał całkiem ze stanu rycerskiego na stan kmiecy. I znowu dziedzic musiał być poborcą barbarzyńskiej daniny dla cara: on nie kto inny miał powinność chwytać i dostawiać rządowi nieszczęśliwe ofiary, których nieporównana okropność losu, dla tych co znają rzecz, maluje się dostatecznie w przerażającym wyrazie: rekrut! Gdyby włościanin litewski i ruski pod berłem Rosji nic przykrego nie doznał prócz poboru rekruta, jużby to samo kazało mu opłakiwać Polskę — okrzyczany dom jego niewoli, jak raj utracony.

Przez systematyczne skrępowanie mas ludu w taki sposób, aby pewna liczba właścicieli służyła razem i za ogniwa kajdan i za narzędzia ssące dochód z ziemi dla skarbu, władza carska położywszy sobie szeroką podstawę, zajęła się wyższą warstwą narodu. Bardzo zręcznie, powoli i nieznacznie, dopełniała się reforma szlachty. Aleksander szanował jej język narodowy, dawał nawet opiekę instrukcji szkolnej. Jak nie chodziło mu o to żeby Kurlandczyk przestał mówić po niemiecku, tak mało dbał o to że Polak będzie mówił po polsku, póki mniemał iż jednako wszystkich wdroży myślić i czuć po moskiewsku. Statuta i księgi praw zrazu straciły niektóre tylko karty, z czasem dopiero ukazy miały zająć zupełnie wypróżnione okładki. W miarę ścieśnianych prerogatyw obywatelskich, stopniami zmniejszał się i okręg publicznego życia. Car nie rad był mieć do czynienia z całym szlacheckim stanem, przeciął go na dwie nierówne połowy: większą, to jest właścicieli nie mających ośmiu dymów, usunął od wyboru urzędników i piastowania urzędów, skazał na spokojną nieczynność prawie bez prerogatyw i ciężarów; mniejszej, zostawił wolność narad i przedstawień do tronu o potrzebach kraju, dał jej pole wyświecać się z usposobieniem, i pilnie obserwował jakie okaże skłonności.

W owych latach kiedy trymfalnemi znakami Napoleona spodziewaliśmy się odzyskać ojczyznę, z zaboru rosyjskiego prowincje południowe więcej niżeli północne przesłały legjonom wojowników i pieniędzy; ale wypadki r. 1812 nie dozwoliły im objawić żadnego wzruszenia. Aleksander skwapliwie podchwycił tę okoliczność: dając amnestję Litwie, oświadczał łaski Wołyniowi i Ukrainie, obdarzał Podole reskryptem szczególnej pochwały za wierność; później w r. 1821 powierzając kraje zabrane w rządy swemu bratu, raczył nawet wyłączyć gubernję kijowską, jako staro-rosyjską.

Mikołaj mniej układny despota, większemi krokami idąc do pożądanego końca, nie pogardzał wszakże pozorem prawności i wzajemnych niby sentymentów dla miłujących go poddanych. Gwałtowniej zaprowadzając organizację moskiewską w prowincjach polskich, głośno już nazywając je odzyskaną

własnością Rosji, chciał jednak okazywać światu, że tylko odpowiada dobrowolnym życzeniom, naturalnym skłonnościom mieszkańców. Po wojnie tureckiej, za wyciśnione srogiemi rozkazami dostawy dla swego wojska, jakby za dar patrjotycznych uczuć, potwierdził Podolowi hramotę (reskrypt) Aleksandra, przydał nowe wyrazy łaski za miłość ku monarsze i krajowi — to jest wedle słownika moskiewskiego — ku ojczyźnie. Niedługo potem Ukraina doświadczyła jeszcze wyraźniejszego dobrodziejstwa. W r. 1829, pięć powiatów gubernji kijowskiej: kijowski, wasilkowski, zwinogrodzki, czehryński i czerkaski, uznane zostały za godne już nieróżnić się niczem od samego środka Rosji. Ukaz monarszy zniósł tu ostatnie szczątki prawodawstwa polskiego, w czynnościach urzędowych i w szkołach kazał pisać, mówić tylko po rosyjsku. Dzieło tedy założone przez Katarzynę, prowadzone przez Aleksandra, dojrzewałoż szczęśliwie pod Rosją? Z szerokiego pobrzeża na prawej stronie Dniepra, car Mikołaj tryumfalnie zdejmował wszelki ślad Polski, lada moment ręka jego zabierała się posunąć do Buga i Dniestra; a tymczasem zbliżał się dzień, kiedy świeża krew miała ukazać mu dawne granice ojczyzny naszej. Ta krew nie zastygła jeszcze, i walka o granice między Carem a Polską nieskończona.

Od dziesięciu wieków spór poczęty w Sławiańszczyznie, na tym samym placu bojowym i o ten sam interes toczył się przed niewielą laty przy huku strzałów, toczy się dotychczas w ciszy i cieniu więzień.

Ziemia naddnieprska, żyzna rodzicielka mogił, pod zdobywczemi stopami Tatarów i Litwy przechowała chrzestne nazwisko Rusi: ale Ruś oddała swego ducha w ręce Polski i Moskwy — dziś idzie o to, czy ziemia ta polską czy moskiewską ma zostać. Jedna tylko dla niej droga, bo wstecz lat pięciuset nikt nie zdoła sięgnąć po jej byt udzielny; bo ani z ruskich ani z późniejszych kozackich dziejów, nie można wysnuć osobnego wątka, którytby dał się wpleść w historję cywilizacji europejskiej. Lud co na tej ziemi z surową swoją narodowością przeszedł z łona rzeczypospolitej w okres carstwa, jest prawdziwym przedmiotem walki. Dobija się o niego potęga moralna Polski żyjąca w pewnej części narodu, i siła zaborcza Moskwy uosobiona w carze.

Carowie na pożądaną zdobycz zarzucili łańcuch swojej duchownej władzy i ciągną w stronę despotyzmu; narodowi polskiemu do przecięcia tych więzów, do odzyskania wydzieranych braci, pozostał jeden tylko sposób — ten sam, jakim społeczność zawiązana nad Wisłą rozszerzała się za Dniepr i Dźwinę — niosąc ze słowem czystej nauki Chrystusa braterstwo i swobodę.

Jeśli Polska za grzechy przeciw temu powołaniu, za ustawy wewnętrznego porządku, przeciwne naturze swego jestestwa, ukarana stratą niepodległości, nie zginęła na zawsze; jeśli mocą swej potęgi moralnej, potrafiła i jeszcze potrafi skuteczniej dźwignąć się z upadku; zapewne katusze pod obcem jarzmem, są dla niej tylko szkołą poprawy, pokusy, zepsucia i ciemnoty próbą cnót narodowych.

Ile naród polski, na ziemiach ruskich, w ręku carów poprawił się z błędów ojczystych, ile mu jeszcze na drodze pokuty wytrwać i zdziałać potrzeba — jest to główny widok, który chciałbym wyświecić opowiadając dzieje przeszłego powstania.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ZMOWY I PRZYGOTOWANIA.

I.

Już car miał w Petersburgu pierwszy raport o nocy 29 listopada, i carewicz z wojskiem swojem zbliżał się do Włodawy, kiedy wieść prywatna o wypadku zaszłym w Warszawie, ledwo jeszcze wpadła za Bug na wielki trakt przerzynający Wołyń. Dalej od granicy kongresowej, w głębi Wołynia, na Podolu i Ukrainie, szerzył się tylko ów głuchy szmer, co zwykle poprzedza narodową nowinę, i bardziej zdaje się być brzmieniem trąconego przeczucia, niżeli echem pogłosek. Długo w okolicach Żytomierza, Kijowa i Kamieńca, gadano cicho, z niepojętą jakąś ciekawością i obawą, że straże moskiewskie nie puszczają nikogo do królestwa, że listy zwracane są nazad od granicy, że w Warszawie stało się coś nadzwyczajnego. Dopiero około 20 grudnia, w przeciągu dni kilku cudowne słowo rewolucja! rozgłosiło się aż do Dniepra. Ile tylko od pięciu wieków nasiękło polskiego ducha w Ziemie Ruskie, wszystek teraz wybuchnął, rozpłomienił się i poziom kraju zalał wysoko. Wszelkie rozdziały społeczeńskie, wszelkie interesa prywatne, utonęły w tej powodzi ognistej, która porywając z sobą ociężałe albo oporne pierwiastki, mogła skruszyć jarzmo moskiewskie, gdyby rewolucyjna władza nadała jej kierunek. Ale taka władza nie unosiła się nad wezbranym zapałem narodu, jak tchnienie Boże nad wodami co z swego łona miały wydać świat nowy!

Nie umiem inaczej opisać i wytłumaczyć tego powszechnego wzruszenia, kiedy Polska podniósłszy głowę, drgnęła życiem we wszystkich swoich częściach i nie powstała od razu cała. Co jest ostatnim celem wszelkich spisków patrjotycznych, do czego wielu lat, wielu usiłowań trudów i ofiar potrzeba,

to teraz nastręczyło się samo i przeszło nieużyte. Rzadka a nieodżałowana chwila kiedy cały naród gotów pójść za jednym popędem — przeminęła.

Odtąd rzecz powstania przewraca się na wspak, od uczuciowego wytężenia do zimnej rozwagi, od wybuchu do zmowy. Znowu duch narodowy zamyka się w swoich dawnych korytach i musi tajemnie, sztucznie nurtować, żeby mógł ochłonąć i dźwignąć wszystko, co już odzyskało swoją rozmaitą indywidualność.

Między wypadkiem, który był nieodzownem hasłem do powstania w prowincjach zabranych, a nieoznaczoną chwilą jawnego podniesienia broni, zaszedł przewlekający się z dnia na dzień perjod przygotowań, aż nim robota posuwana i psuta przez tysiąc zwikłanych okoliczności, prawie przypadkiem wymknęła się z rąk pracującym. Czuję niezmierną trudność opowiedzieć dokładnie ten perjod wewnętrznej fermentacji, gdzie tyle osób, tyle dawnych nałogów, obecnych interesów, momentalnych namiętności i częstokroć bardzo drobnych zdarzeń w grę weszło. Mniemam jednak, iż choćby zlekka zastanawiając się nad tem wszystkiem, daje się widzieć pożyteczna nauka i pokrzepiająca otucha na przyszłość. Dla tego przedsiębiorę dotknąć mniej nawet ważnych na pozór szczegółów, i od samego początku z licznych, pojedyńczych nici snować wątek rzeczy.

II.

Żadna część ziem zabranych nie miała podobno tyle stosunków przedrewolucyjnych z Warszawą, co Wołyń. Prowincja ta jakby otwartą piersią przylega do królestwa, kiedy inne — Litwa i Podole — zabiegając jedna za przeciągłe województwo augustowskie i Prusy, druga za Galicję, są odsunione od środka kongresowej Polski. Dla możnych domów Wołynia dawna stolica pozostała zawsze najprzyleglejszym ogniskiem poloru i zabaw; stąd też poszło znaczne tu rozkrzewienie się związków tajemnych, które w Warszawie miały początek, albo naczelnictwo. Po klęskach jakie w r. 1826 i w latach następnych dotknęły towarzystwa patrjotyczne, niektórzy członkowie już wróceni z więzień, już niezagarnięci prześladowaniem, odbudowali na Wołyniu związek Kosynierów. Czuli oni że przemoc nie uwalniała sumienia od raz zaprzysiężonych ślubów i tylko starali się obwarować siebie większą ostrożnością. Czujność szpiegowska natężała przemysł stowarzyszonych. Związek zrzekłszy się loż otwartych i ceremoniałów mniej istotnych, szukał schronienia w gronie

familijnem, w tym ostatnim przytułku u nas dla wszystkiego co jest ojczyste i prześladowane. Koczownicze, dorywcze, dobrze pierwej w ciszy rozmyślone narady i inicjacje, odbywały się na zjazdach z powodu chrzcin, wesel, pogrzebów i tym podobnych religijnych albo przyjacielskich zgromadzeń. Czynność powolna, do dalekich nadziei skierowana, posuwała się nieznacznie; ale utrzymała ten łańcuch obywatelski o który nagły wypadek mógł się już zaczepić. Jakoż hasło narodowego powstania wbiegłszy za Bug, znalazło wiele — znalazło przygotowaną hierarchję powstania. Wśród powszechnego zachwytu radości i pewnego rodzaju obłąkania, kiedy każdy nie wiedział czego się jąć i dokąd dążyć, wielu zachowało postawę spokojną i krew zimną. Byli to stowarzyszeni. Zdawało się im, poniekąd bardzo naturalnie, iż rzecz poczęta w Warszawie, wynikała prosto z łona dawnych związków, a zatem musiała iść należytym porządkiem: gotowi i ufni czekali rozkazu od swego zwierzchnika.

Inaczej działo się na Podolu. W Kamieńcu naprzykład taki był początek. Dnia 18 (6 v. s.) grudnia, przypadały imieniny Mikołaja, uroczystość rządowa, niezbędna w każdem miejscu, gdzie tylko rezyduje jakikolwiek odrostek władzy dozorczej — oko monarsze (głaz carski). W mieście gubernjalnem Podola, obecność jenerała Kubłukowa i wielu oficerów jego korpusu, który przechodził ku Wołyniowi, surowem wejrzeniem militarnem, obostrzała jeszcze bardziej przepisy tej ceremonji publicznej. Zwykle w takim razie, odbywa się nabożeństwo ze stosownem kazaniem i modlitwą śpiewaną, Te Deum. Wszyscy urzędnicy w ubiorach galowych i liczni obywatele asystujący sądom, zgromadzili się do katedry. — Ksiądz kanonik Łomnicki wstąpiwszy na ambonę począł od cytacji z pisma ś. «I przyjdzie człowiek zwany Jan, który was z niewoli wybawi» przebiegając potem zamiast dobrodziejstw cara, główniejsze epoki dziejów narodowych, rozwijał myśl, że Bóg ukarał Polskę za winy, które wymagają pokuty i poprawy, a w całym ciągu śmiałą i patrjotyczną mowę swoją, zamknął słowami: «Boże wspomagaj lud tobie wierny!»

Wyrazy te dla zdziwionych słuchaczów zabrzmiały jak wezwanie błogosławieństwa przed rozpoczynającą się walką: wzruszyły rodaków, przejęły zgrozą figury rządowe. Zacny kapłan jednak, równie przed zaufanymi, jak później w więzieniu przed nieprzyjaciołmi, stale utrzymywał, że w chwili kiedy był na mównicy, nic jeszcze nie wiedział. — Dopiero w kilka godzin po mszy, rozeszła się w mieście niewątpliwa i dokładna wiadomość o powstaniu narodowem w królestwie. Podstrojone do wysokiego stopnia uczucia patrjotyczne, zaraz odezwały się nieostrożnie. Wieczorem na teatrze, gdy po

skończonej sztuce zajaśniał transparent z cyfrą Rosja i rozległy się oklaski Moskalów, młodzież polska poczęła tupać, świstać i wychodzić. Wszczął się wielki alarm między policją, zaniosło się na groźne śledztwo.

W nocy, przeszło dwudziestu patrjotów zgromadziło się tajemnie dla narady coby przedsięwziąść należało. Bardzo naturalny instynkt zwracał najprzód oczy w stronę skąd wszystko brało początek. Złożono pieniądze i uchwalono wyprawić powiernego do Warszawy z doniesieniem: że obywatele Podola gotowi są na wszelkie poświęcenia się w sprawie ojczyzny, że czekają tylko rozkazów jak mają postąpić. Mikołaj Denisko, syn jenerała znanego w powstaniu 1794, podjął się poselstwa i we dwa dni przemknął się do Galicji. W tymże czasie przypadała limita sądów: szlachta z miasta gubernjalnego pośpieszyła do domów, różnemi drogami potoczyła się wielka nowina.

W głębi prowincji nie było już głucho. Dniem pierwej jeszcze, kurjer zmitrężony na przeprawie przez Boh w powiecie hajsyńskim, wygadał tajemnicę. Wnet radośną wiadomość obesłano po sąsiedztwie. Nazajutrz kilkunastu obywateli zjechało się w domu Jełowickich, gdzie zaraz uformował się jeden z główniejszych zawiąsków przyszłego powstania. Wacław Jełowicki człowiek możny, nieugiętego charakteru, zasłużony w obywatelstwie, ze śmiałej oppozycji przeciw niegodziwościom rządu moskiewskiego i ze staropolskich swoich uczuć powszechnie był znany. Poważny wiekiem, wziętością i majątkiem obywatel, w obecnym razie znajdował się już samo przez się na stanowisku, do którego garnęły się zaufanie i szacunek; nadto syn jego starszy Edward, piastował wówczas urząd marszałka powiatu, dwaj młodsi Aleksander i Eustachy, w sąsiedztwie i w dalszych stronach mieli najlepszą opinję osobistych zalet. Rodzina ta stała się ogniwem grona, które odtąd często miewało swoje narady w Hubniku. Na samym wstępie, myśli i uczucia wspólne wszystkim patrjotom prowincji południowych, objawiły się tu w kształcie zmownej uchwały. Postanowiono być w gotowości do najrychlejszego powstania; podnosząc broń za niepodległość i wolność, wyrządzić niezwłocznie sprawiedliwość włościanom, dać im wolność i własność gruntową; życie i majątki bezwarunkowie poświęcić dla ojczyzny, srebra nawet stołowe uważać odtąd za własność publiczną, i skoro tylko nastręczy się sposobność, przesłać do mennicy narodowej. «Nasze matki i siostry z największą roskoszą będą tymczasem używały łyżek drewnianych» — mówili sobie zacni obywate. — «Ponieważ zaś musimy czekać, nim nas władza przewodnicząca całemu narodowi do walki powoła, bądźmy czynni i ostrożni razem. Gotujmy oręż i konie, wstrzymajmy

sprzedaż zboża i wódki, a pozorną uległością łudźmy nieprzyjaciela. Wszakże magazyny nakazane dla Moskali, posłużą dla wojsk naszych. Niepodobna żeby wkrótce chorągwie polskie nie ukazały się z tej strony Bugu; bracia nasi znajdą nas nie czekających z opuszczonemi rękoma, poruszymy się wszyscy, gdy nam znak dadzą — widać że jeszcze nie czas, kiedy z królestwa nikt się do nas nie odzywa.»

W powiecie latyczowskim, pewien obywatel jadący do Warszawy i zwrócony od granicy, opowiedział co słyszał nad Bugiem. Tegoż dnia pogloska poszła w obieg. Jeden Nagórniczewski objechał konno sąsiadów rozległej okolicy. Gdzie przybył, brał na stronę gospodarza i mówił mu cicho: «rewolucja w Warszawie». Tego było dosyć. Wszędzie myślano zaraz o środkach powstania, wszędzie skupiano się koło osób znakomitych zasługami, wziętością, patrjotyzmem. Wstrząśnienie nagłe wewnątrz obywatelskiego społeczeństwa, wysunęło na wierzch wszystkie celniejsze imiona w miarę jak ich reputacja wynieść się mogła. O te filary miały zaczepiać się mniejsze kółka zmawiających się powstańców. Dawniej nasnowanej, rozleglej przeciągniętej nici spisku, na Podolu nie było.

Podobnymże porządkiem szły rzeczy na Ukrainie. W obu tych prowincjach rozrzuceni gdzieniegdzie członkowie przedrewolucyjnych towarzystw, występowali więcej z swoją osobistą powagą, niżeli z wpływem jako związkowi. Jeśli niektórzy pomyśleli działać ze swoich stanowisk tajemnych, spotykali zaraz nowo szerzące się zmowy, co krzyżowało się tem bardziej, że ze wszech stron dążono na Wołyń, dla powzięcia dokładniejszych wieści od granic królestwa. Zaraz po pierwszej naradzie w Hubniku, Aleksander Jełowicki, z polecenia współobywateli wyprawił się ku Dubnowi i zjechał się w Żytomierzu z Wincentym Tyszkiewiczem, Janem Zapolskim i innymi, którzy podobnie jak on spieszyli na zwiady. Skoro bowiem w powiecie skwirskim rozeszła się wiadomość o wypadkach w Warszawie, objawiona 19. grudnia prawie oficjalnie przez pułkownika huzarów, przybocznego adjutanta carskiego, Tyszkiewicz udał się do Żytomierza, a bawiąc tu parę tygodni zawiązał komitet, którego celem było wejść w porozumienie z Królestwem i co tydzień znosić się z patrjotami Ukrainy. W różnych stronach i różnym sposobem, ruch patrjotów nie ścieśniony jeszcze do szczegółowych usiłowań na każdem miejscu, wikłał w jedną całość wszystkie trzy prowincje sąsiednie. Wszędzie przebiegało jaśniejące nadzieją i ufnością hasło: «z Chłopickim Polska nasza!» wszędzie spodziewano się lada moment, że powstanie które odsłoniło się w Królestwie, swoję siłę organiczną wyleje na ziemie zabrane, zagarnie je pod najwyższą władzę naro-

dową. Gdziekolwiek więc czy to na osnowie przedrewolucyjnych związków tajemnych, czy na obywatelskiej wziętości osób, podnosiło się miejscowe zwierzchnictwo, przeznaczeniem jego było tylko, przyśpieszyć, ułatwić naturalny bieg rzeczy, to jest przyjąć rozkazy z Warszawy, i objawić je współmieszkańcom. Nikt zrazu nie zamierzał sobie poczynać jeszcze od systematycznej organizacji mającej rozwijać się osobno i powoli. «Przygotować powstanie!» — to wyraz późniejszy, nieznany tu naówczas. Czegóż brakowało? Drzewo na lance rośnie u nas; w każdej wiosce jest kowal co jednej nocy kilkanaście grotów ukuć może; konie nie hodują się w zagranicznych tabunach; ile myśliwych tyle strzelb, ile dworów tyle składów amunijci i broni, reszta arsenału dla powstańców w ręku nieprzyjaciela póki ten nieostrzeżony — byleby jednomyślność! a jednomyślność była, była tak powszechna, tak gorąca, tak nieprzystępna żadnej zimnej rachubie, że podobnej nic już później sprawić nie mogło. Instynkt patrjotyczny porywał imaginację, wyprzedzał twardą naukę doświadczenia. Nikomu nie przychodziło na myśl, że stolicy samej mogło zbywać na tem, czego spodziewano się od niej; nikt zdaje się nawet nie zważał przerażającej zmiany w postawie wojsk moskiewskich. Dziś kiedy mamy sposobność jednym rzutem oka objąć wszystkie współczesne dzieje, dziś dopiero widzimy, jak powoli kształciła się władza, od której czekano okrzyku do broni, a jak szybko zrywał się ze spokojnych leżów nieprzyjaciel, którego zachwycić należało.

III.

Dnia 13 (1, v. s.) grudnia, Konstanty wkroczył na Wołyń, tegoż dnia Mikołaj podpisał ukaz oddający gubernje: grodzieńską, wileńską, mińską, wołyńską i podolską pod prawo wojenne. Dzienniki petersburskie razem z tym ukazem ogłosiły 21 (9) grudnia w wigilję datowany manifest carski, obwieszczający wiernym poddanym zbrodnię buntowników i zgotowaną karę na nich. Car zapewne nie puścił gróźb przed czasem; rozkazy do wojska musiały je uprzedzić. Wśród kraju rozpłomienionego zapałem i nadzieją, ukazał się najprzód niespodziewanie jak upior w. książę; tuż po tem złowieszczem zjawisku dały się słyszeć słowa gniewnego monarchy razem z turkotem bębnów, zwołujących wojska do bojowego szyku. W Dubnie zbierała się 25 dywizja piechoty Rozena; przez Żytomierz ciągnął korpus Krejca; poruszał Wit swoje oddziały jazdy w północnej stronie Ukrainy i Podola; z nad granic Mołdawji prowadził Kabłuków przez Kamieniec dywizję

huzarów; drogami od Bałty i Humania dążyły pomniejsze komendy. Nie raz w tych marszach mogła zdarzyć się zręczność do podjazdowej napaści; ale im więcej dni upływało, tem łacniej nieprzyjaciel mógł stawić porządny opór, a tym trudniej było powstanie ziemiańskie powszechnie zapalić i z drobiazgowych na wstępie korzyści stworzyć przeważną siłę. Rząd więc miał porę rozwijać swoje policyjne zabiegi. Kordony z powodu cholery jeszcze w październiku rozciągniete, zostały tak obostrzone, że trudno było ze wsi do wsi przejechać. Po miastach większych pomnożono liczbę żandarmów, wydano surowe przepisy porządkowe; po powiatach rozpuszczono tysiące odnóg szpiegostwa. Kalecy, weterani, żony odstawnych oficerów, dworscy szukający służby, żebracy i żebraczki, to wszystko rozmaitemi sposobami weiskało się do domów obywatelskich, żeby być uchem i okiem moskiewskiem. Najbardziej zaś dolegliwie dał się uczuć wpływ popów, powszechnie prawie przychylnych rządowi, a językiem i wiarą połączonych z gminem. Wkrótce poczęto wszelką broń zabierać i wywieziono w głąb państwa moskiewskiego niedawno z więzień uwolnionych członków towarzystw patrjotycznych.

Polityka Mikołaja względem prowincji zabranych, siliła się wówczas przy najjawniejszych skutkach niedowierzania utrzymywać pozor ufności. Reskrypta cesarskie zalecały marszałkom gubernji graniczących z królestwem, ogłaszać w okręgach ich władzy «bezecne wypadki które zaburzyły Polskę», a razem oświadczyć szlachcie i wszystkim klasom, że Najmiłościwszy Pan pokłada zupełną ufność «w prawych synach Rosji» i spodziewa się po nich widocznych dowodów wierności. Marszałkowie stosownie do przyłączonych tajemnie rozkazów, musieli natychmiast złożyć na ręce gubernatorów adresy do tronu, które zaraz gazety moskiewskie, a za niemi płatne w Prusiech i w Niemczech, publikowały światu. Dziennik petersburski w numerze 4. r. 1831 umieścił co następuje.

«Tymczasowy wojenny gubernator Podola i Wołynia otrzymał od zastępcy marszałka szlachty Wołyńskiej taki list datowany 12 (24 n. s.) grudnia roku zeszłego.

«Gdy J. W. Pan objawiłeś Szlachcie gubernji Wołyńskiej ukaz Jego Cesarskiej Mości adresowany do J. W. P. dnia 7 grudnia (v. s.) z powodu szkaradnego buntu, który zaburzył spokojność publiczną w Królestwie Polskiem; gdy J. G. M. raczyła wezwać mieszkańców gubernji graniczących z tym krajem do ścisłego wypełnienia powinności gorliwych poddanych, Szlachta Wołyńska tchnąc najszczerszemi uczuciami dla tronu, oraz podzielając miłość i poświęcenie się bez granic wiernych dzieci Rosji dla ich wspaniałomyślnego Monarchy, wspólnie z innemi klasami ludu swojej prowincji oświadczyła

natychmiast J. W. Panu, iż gotowa jest z najgłębszem posłuszeństwem na wszystkie rozkazy władz rządowych, tudzież że ze wszelką usilnością przyczyniać się będzie do utrzymania porządku w swojej gubernji przez Opatrzność Boską zachowanej od poduszczeń wichrzycieli publicznego pokoju.»

«Teraz taż Szlachta obrawszy mię za swój organ, poleciła oświadczyć znowu J. W. Panu, iż ma gorącą chęć okazać się godną zaufania J. C. Mci; zapewnić przytem, że świętość obowiąsków, które nigdy nie przestały być dla niej wskazówką postępowania, nie mniej drogie przeświadczenie, iż los nigdy nie powinien był zmartwić ojcowskiego serca Monarchy, ośmielają nas błagać najmocniej J. W. Pana, abyś złożył u podnóżka tronu J. C. Mci wyraz wdzięczności nieograniczonej, którą jesteśmy przejęci za ojcowską troskliwość Najjaśniejszego Pana o nasze dobro, którą religijnie zachowamy i w najodleglejszą potomność przeszlemy; abyś raczył także zanieść od nas Najmiłościwszemu Monarsze naszemu zapewnienie, iż postanowiliśmy święcie dotrzymać przysiąg naszych i usprawiedliwić przez ofiary wszelakiego rodzaju ufność, którą słusznie położył w wierności Szlachty Wołyńskiej.»

«W imieniu tej Szlachty, zasyłam J. W. P. niniejsze szczere wyznanie jej uczuć, i proszę razem przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku z jakim mam honor zostawać i t. d.»

Przytaczam ten odraźliwy pomnik jedynie dla tego, że nie znajduję nic, coby równie dawało pojąć ówczesne położenie mieszkańców ziem zabranych. Kto swobodnie kosztował zachwycającej słodyczy pierwszych chwil, kiedy serce jego zadrgało całą nadzieją niepodległości i zemsty nad ciemiężcą, niech wyobrazi sobie z jaką boleścią musiałby tak kłamać własnemu sercu w obec Boga, ojczyzny i świata! Każde słowo tego kłamstwa było nakazane przez tyranję, która nie przestając na zewnętrznym ucisku, z szatańskim przemysłem drażniła najdelikatniejsze uczucia, żeby zbadać ile w nich kryło się godności, dumy, patrjotyzmu. Przez los nieszczęśliwy popchniętym na drogę zwłoki, pozostawało tylko znieść cierpliwie torturę, nie zdradzić siebie obruszeniem się zawczesnem; kłamali więc temiż usty, któremi zaraz tajemnie poprzysięgali dać świadectwo prawdzie.

Gubernja podolska w dowód szczególniejszej łaski, w nagrodę niby za dawniejsze zasługi, uwolnioną była od poniżającego adresu; kijowska zaś, jako liczona już między gubernje starorosyjskie, nie uległa ani przejściu pod prawo wojenne, ani rozkazowi oświadczeń wierności, ani rozbrojeniu. Kompromitowałby Mikołaj kradzież swoich przodków, gdyby ogłaszał obawę względem zaboru, który Aleksander począł nazywać odzyskaną, odwieczną posiadłością moskiewską.

We wszystkich trzech jednak prowincjach Ziem Ruskich, egzekwowały się zarówno zabiegi policyjne, że wszystkich wywieziono notowanych członków towarzystw tajnych.

W styczniu, kilka wydarzeń okazało już wyraźne skutki i obostrzonej srogości rządu i rozdrażnionych uczuć patrjotycznych. Ponieważ te zdarzenia miały poniekąd wpływ na wypadki w samem powstaniu, napomknę tu o nich.

Śledztwo w Kamieńcu z powodu rozruchu sprawionego na teatrze w dzień imienin Mikołaja, po oddaleniu się jenerała Kablukowa poszło w zapomnienie; kanonik Łomnicki pokutował tylko pod strażą za swoje patrjotyczne kazanie. Policja wszakże znalazła nowy powód do poszukiwania winnych zbrodni stanu. Postrzeżono na rogach domów kartki z napisami patrjotycznemi: rząd obiecał dać krzyż temu, ktoby odkrył ich autora. Tą obietnicą zachęcony pewien sowietnik, podmówił czternastoletnie dziecię żeby zaskarżyło niejakiego Piotrowskiego, który wprawdzie służył dawniej w legjonach i miał dobre imię, lecz później wpadłszy w nałóg pijaństwa tyrał się bez żadnego znaczenia. Uwiedziony chłopiec świadczył, że Piotrowski dyktował mu napisy. Oba zostali wzięci do więzienia. Już na Piotrowskiego wydany był wyrok śmierci i tylko oczekiwano potwierdzenia od Dybicza, kiedy malec stęskniony w zamknięciu, w skutek napomnień które przy zdarzonej zręczności dawał mu Aleksander Jełowicki,*) odwołał świadectwo i wyznał prawdę. Niewiadomo co się stało z Piotrowskim; o sowietniku zaś wyższe władze powiedziały, że mógł się omylić, ale zawsze dowiódł przychylności dla tronu.

Tymczasem szpiegostwo wprowadzone w ruch na prowincji, wywołało daleko ważniejszy wypadek. Doniosł ktoś policji powiatu bałckiego, że obywatel tego powiatu Hieronim Chodykiewicz, we wsi swojej Olszance nad Bohem, robi piki i inne przygotowania wojenne. Sprawnik i horodniczy wziąwszy dwudziestu żołnierzy, wyprawują się do Olszanki w nocy, wiążą domowników i wpadają do sypialnego pokoju. Na krzyk matki i żony Chodykiewicz zrywa się z łóżka, chwyta za pistolety i pierwszym strzałem ubija horodniczego. Dal-

*) A. Jełowicki zaraz po powrocie z Żytomierza, został wezwany do Kamieńca, niby dla pomocy gubernatorowi w urządzeniach ostrożności przeciw cholerze, w istocie zaś dla tego iż chciano mieć na oku ludzi, których sposób myślenia i obrotność ściągały uwagę figur carskich. Jełowicki starał się jednak i w tem położeniu być użytecznym narodowej sprawie: potrafił zbliżyć się do znakomitszych urzędników moskiewskich, pomagał wiele skompromitowanym w obliczu rządu, umiał nawet otrzymać częstokroć bardzo tajemne wiadomości drogą oficjalną przychodzące z królestwa i te zaraz swoim przesyłał; dopiero w połowie marca dostał pozwolenie odjechać do domu i począł bardziej bezpośrednio zajmować się czynnościami zmierzającemi do powstania.

szy opór był daremny, rozjuszone szlachectwo rzuciło się na przestępcę, szarpiąc go i pokrzykując, wpółmartwego zawlokło do sanek. Nieszczęśliwa żona, bez przytomności niemal prawie biegła za mężem więzionym do Sawrania, póki nie padła na drodze. Z Sawrania przetransportowano go do Bałty, zkąd po odbyciu śledztwa, posłano jakby na śmierć niezawodną do Kamieńca. Zdawało się niepodobieństwem uratować Chodykiewicza; usilne jednak zabiegi wzięły pomyślny skutek: sąd wojenny skazał go tylko na kilka miesięcy pokuty w klasztorze, za odebranie życia bliźniemu przez nieostrożność.*)

Nieco później wynikła na Podolu druga sprawa podobnego rodzaju. Oficer odkomenderowany na jakieś śledztwo do Berszady, miasta Moszyńskiego, w drodze przez powiat olhopolski wpadł późno wieczorem do wsi Bondurówki, gdzie znajdował się natenczas właściciel jej Aleksander Sobański. Urzędowy podróżny, nie zważając czy trafił do mieszkania rządcy dóbr, czy do samego dziedzica, począł gwałtownie kołatać we drzwi i krzyczeć żeby mu zmieniono konie. Przebudzony ze snu Sobański oburzył się na ten hałas; Moskal odpowiedział mu grubiaństwem. Obywatel możny, nienawykły nigdy miewać podobnych gości, a teraz w głębi polskiego swego serca podniesionego świeżem wzruszeniem patryotycznem, dotknięty zuchwalstwem jednego z nikczemnych narzędzi ucisku, nie zdołał powściągnąć siebie, zapomniał o położeniu czasowem; kazał związać burzyciela spokojności domowej i trzymać go skrępowanego, póki nie przybędzie sprawnik powiatowy uwiadomiony o tem. — Związać oficera wojsk carskich i jeszcze jadącego z poleceniem rządowem! to nawet w czasie pokoju byłaby trudna do zatarcia obraza majestatu; popełnić taką zbrodnię teraz w prowincyi polskiej i z powodu buntu w Polsce oddanej pod prawo wojenne! czegoż należało się spodziewać? — Sobański natychmiast został wzięty i oddany pod straż policyi w Hajsynie. Postępek jego bardziej niżeli kryminał Chodykiewicza oburzył duchy

*) Do tego wyroku przyczyniła się najwięcej ludzkość przysięgającego w sądzie wojennym jenerała Tymana, [illegible] nawet niesłychanym w Rosyi przykładem. Szczęśliwy, iż [illegible] tak surowej sprawy nie [illegible] na [illegible]. Szlachetny Tyman ponad [illegible] karę za swoją powinność, albo raczej za samą sprawiedliwość [illegible]. Car kazał go [illegible], a gdy [illegible] przyszedł w dni kilka po jego śmierci, aby [illegible] się [illegible] najwyższy [illegible] wyrok na [illegible] przestępcy. — Chodykiewicz umknął później z więzienia do legii polskiej formowanej przez Wereszczyńskiego i walczył bardzo mężnie przy oblężeniu Zamościa. Po kapitulacji twierdzy pozwolił schronić się do Galicyi, lecz na żądanie Moskali wydany jako zbrodniarz kryminalny, był posłany do ciężkich robót w kopalniach. Gdy jeszcze raz udało mu się [illegible] z [illegible] na [illegible], schwytany znowu został [illegible] na karę [illegible]. Nareszcie po [illegible] zakończył życie.

moskiewskie; upatrywano w nim jawny symptomat ośmielonej nienawiści narodowej i chciano przerazić umysły przykładem surowej kary. Starania jednak krewnych i przyjaciół dopięły tyle u władz gubernialnych w Kamieńcu, że pierwsze śledztwo uznano za nieważne, jako w sprawie obywatela odbyte, bez obecności marszałka albo chorążego powiatowego; powtórnem zaś śledztwem zająć się otrzymał rozkaz marszałek hajsyński E. Jełowicki. Dalsze wszakże prowadzenie rzeczy było niełatwe: ratunek Sobańskiego mógł zależeć prawie tylko od zwłoki do chwili, w którejby powstanie przyszło uwolnić go z więzienia.

Te i tym podobne wypadki nie miały w gruncie nic takiego, coby dawało uczuć w zabranym kraju nieznany pierwej ciężar jarzma; ale ówczesna atmosfera wszystkich cząstek Polski tak była nasycona rewolucją, że lada zranienie sprawione przez ucisk moskiewski wnosiło stan zapalny w całe ciało obywatelskie. Prowincje południowe, stały się rychło dla rządu niewątpliwym przedmiotem obawy; co raz jawniej występowały przeciw sobie dwie strony: rządowa i narodowa — moskiewska i polska. Znikał szybko wszelki pozór wzajemnej między niemi dysymulacji: obie zdawały się hamować od gwałtownych kroków nienawiści, jedynie przez niepewność własnej siły. Lecz jeśli ciemiężcy nie dość ufali swojej mocy, daleko więcej musiała wytrzymać odwaga patrjotów. Żaden posłaniec nie wracał z Warszawy, nowe usiłowania porozumienia się z królestwem nie udawały się szczęśliwiej; naczelnictwo powstania narodowego ze swojej strony nie zgłaszało się do braci za Bugiem. Tymczasem gazety petersburskie, pogłoski z sąsiednich prowincji o misji Lubeckiego, i nawet przemykające się dzienniki albo ustne nowiny z samego królestwa, nienajlepszą dawały otuchę. Myśl układów z królem Mikołajem, stawała przed oczyma Polaków niekongresowych, jak zły duch naigrawający się z wiary w ojczyznę — w Polskę jagiellońską. Nikt w owej porze na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, równie jak na Litwie nie pojmował jeszcze do czego mogła prowadzić subtelna dystynkcja dwóch jestestw w osobie cara moskiewskiego; ale rozprawy w stolicy zamiast jednego okrzyku po całym narodzie, ale parlamentarstwo zamiast boju, to już dziwiło, przerażało powszechnie. Z pierwszych uniesień ochłonione umysły, poczęły rozumować, wyciągać horoskopy polityczne dla losów wypowiedzianej walki, i zaraz znalazło się wielu opuszczających ręce przed chwilą gotowe do oręża. Wytrwalsi, gorętszego serca ludzie, nie przypuszczali wszakże do siebie żadnego zwątpienia: złe wiadomości, odezwę Dyktatora i wszystko co nie było zgodne z prostem pojęciem ojczystej sprawy, nazywali fałszem moskiewskim, myślili tylko o woj-

nie; co zwłoka ujmowała pospolitemu zapałowi, to starali się nadstarczyć zjednoczeniem się ściślejszem. Tajemne związki rozmaitego kształtu, lecz wszystkie skierowane już do powstania z bronią, poczęły tworzyć się w różnych stronach; rozterka sprawiona w dawniej skojarzonych kółkach, ubytek przez gotową opinję wskazywanych przewodników, sprawiły tylko chwilowe zamięszanie i żal przypominający się często, ale nie zdołały rozprządz patrjotycznych uczuć, które gwałtownym popędem szukały wspólnego dla siebie ogniska.

IV.

Na Wołyniu, gdzie praktyka przytłumionych stowarzyszeń ciągnęła się dotychczas, najpierwszy zaród formalnej organizacji insurekcyjnej wywinął się ze związku Kosynierów. W chwili kiedy nagle wywożono w głąb Rosji dawniej skompromitowanych patrjotów, zwierzchność tego związku zlała władzę cywilną na Narcysa Olizara, część wojenną zaś poleciła kapitanowi Błędowskiemu, albo kapitanowi *** Wiadomość o tem nierychło doszła do Olizara bawiącego w Krzemieńcu. Błędowski unikając losu innych związkowych przemknął się już był do królestwa;*) drugi zaś wskazany na naczelnika wojskowego, obmyślił dla siebie spokojniejsze schronienie w jednem z państw obcych. Sam tedy nominat cywilny, musiał podjąć się steru całą rzeczą, pókiby nie wyszukał człowieka zdolnego podzielać z nim odziedziczoną władzę. Lecz zachodziła jeszcze inna trudność. Ustawy towarzystwa Kosynierów pozwalały tylko przełożonemu nad

*) Aleksander Błędowski był jednym z tych ludzi, których strata przyniosła prowincjom wielką szkodę. Jego charakter, usposobienie i wziętość, bardzo mogły być użyteczne dla sprawy miejscowego powstania. W roku ośmnastym swego życia rozpocząwszy zawód patrjotyczny na polu sławy, chlubnie odbywał kampanje 1809 i 1812 r; zakończył je w stopniu szefa szwadronu i był ozdobiony krzyżem polskim. Po uformowaniu królestwa kongresowego przyjął służbę w wojsku narodowem, lecz wkrótce ją opuścił. Jako członek towarzystw patrjotycznych wycierpiał prześladowanie 1825 r; więzienie nadwątliło jego zdrowie. Lubo słaby na siłach, w grudniu 1830, pośpieszył z Wołynia do Warszawy, nie przyjął ofiarowanej mu zaraz nominacji na pułkownika, pełnił obowiąski adjutanta przy Radziwille, udał się później do korpusu Dwernickiego, nakoniec wrócił do armji głównej i walczył pod Grochowem. W marcu, w jednej z małych przeciw przedniej straży moskiewskiej, raniony kulą armatnią dostał się do niewoli. W obozie Gejsmara odjęto mu nogę. Ponieważ zataił swoje nazwisko, ułatwiło to wydobycie jego z rąk nieprzyjacielskich przez zamianę. Rana goiła się szczęśliwie, lecz w ciągu kuracji u wód krzeszowskich pod Krakowem umarł z cholery, 26 lipca 1831. —

prowincją znać nazwiska przełożonych obwodów, nie mogli wiedzieć jedni o drugich. Nowy naczelnik związku nie mając udzielonej sobie ani listy imiennej, ani instrukcji szczegółowej, prócz wiadomości prywatnych, przypadkiem i nieprawnie nabytych dawniej, nie posiadał żadnej wskazówki do wejścia w czynność. Nie zrażając się jednak zawadami, przedsięwziął użyć wszelkich sposobów, żeby odpowiedzieć ważnemu powołaniu swemu i przystąpił do dzieła. Potrzeba otworzenia pewnej komunikacji z królestwem, zajęła najprzód jego uwagę: starał się zawiązać stosunki z Zamościem, gdzie jeszcze znajdował się natenczas jenerał Sierawski. Była to myśl bardzo trafna, od niemałego czasu napomykająca się wielu osobom, ale nigdy nie przywiedziona do skutku, jedynie iż nikt nie śmiał z prywatnego stanowiska poruszać rzeczy publicznej. Olizar porozumiał się z kilku patrjotami, oświadczył im iż ma prawo przyjąć na siebie odpowiedzialność w tej mierze, wziął do rąk swoich fundusz złożony na ten koniec, i wyprawił posłańca, który zdawał mu się być godnym zupełnego zaufania. Następnie obmyślając jakby i rozproszonych członków towarzystwa na jednę drogę skierować, i wprowadzając do działania dostateczną liczbę niezwiąskowych, całą prowincję w węzły stowarzyszenia ująć, postanowił przedewszystkiem pozyskać marszałków powiatowych. Ich pomoc obiecywała nietylko najłatwiejszy wpływ na ogół obywateli, ale nadto sposobność wyciągnienia zaraz wielkiej korzyści z urządzeń rządowych przeciw cholerze. Powiaty były podzielone na okręgi, każdy okręg miał dozorcę wybranego z właścicieli ziemi; do straży przeznaczeni byli włościanie zbrojni w kosy; nad wszystkiem co się odnosiło do tego przedmiotu, szczególniej rozkazano czuwać marszałkom. Organizacja wybornie przypadała do zamiaru powstania, trzeba tylko było natchnąć ją duchem stosownym. Jeden z marszałków przylgnął całem sercem do tego projektu i obiecał zakommunikować go innym, do czego podawała się szczęśliwa zręczność, gdy właśnie wszyscy marszałkowie byli wezwani do miasta gubernialnego dla narady z wyższą zwierzchnością, względem jakichsiś interesów administracyjnych. Ale omyliła nadzieja: zgromadzonych marszałków przytrzymano w Żytomierzu. Przeciwność ta mięszała okropnie plany Olizara; chwytając się jednak nowych środków, za pomocą kilkunastu osób, potrafił zarzucić osnowę swojego dzieła na powiaty: krzemieniecki, dubieński, rowieński, zasławski i włodzimierski. Nadto Ksawery Godebski podjął się uorganizować Polesie wołyńskie i być w gotowości na znak do powstania. Tym trybem o dawną władzę towarzystwa zaczepiony spisek, rozwijał się powoli i mógł z czasem całą prowincję ogarnąć. Brakowało wszakże mu tej tęgości,

którahy wszystkie kółka i sprężyny machiny zajmującej wielką przestrzeń ziemi, trzymała pod sterem jednej woli. W samym Krzemieńcu wysadził się już na czoło miejscowego grona patrjotów marszałek Bóbr, przypuszczony do związku bardziej przez obawę żeby nie wydał tajemnicy, którą potrafił zbadać, niżeli przez wiarę w jego dobre chęci. Jakoż udając gorliwego syna ojczyny, umiał razem zjednać sobie łaskawe względy Rydigera. Inni członkowie przeto z niemałym trudem i ostrożnością musieli rzecz posuwać. W ich liczbie był Jakób Malinowski obywatel z Podola, mieszkający tutaj dla edukacji dzieci. Wschodnie strony Wołynia nie dosięgnione przez Olizara, rozszczepywały się na rozmaite okręgi sąsiedzkiej między mieszkańcami zmowy.

Na Ukrainie cząstkowe porozumienia poczynały się zlewać się w większą całość. Dnia 6 stycznia odbyła się pierwsza z liczniejszych narad u Władysława hrabi Krasickiego, marszałka powiatu lipowieckiego. Zgromadzonym tu z różnych stron gubernji kijowskiej patrjotom, świeciła jeszcze lubo zasępiająca się nadzieja, że królestwo poda rękę ziemiom zabranym; troszczyli się więc o to tylko, jakby przyspieszyć pożądaną chwilę, i zobowiązali Wincentego Tyszkiewicza, żeby udał się do Warszawy. Pewien obywatel podolski miał go przeprawić za granicę Galicji. Tyszkiewicz niezwłocznie wyruszył w podróż, ale częste jego przejażdżki ściągnęły baczność rządową; przytrzymany w Humaniu, dostał rozkaz powrócić na miejsce swego mieszkania w powiat baltski i bez pozwolenia władzy powiatowej nie wydalać się z domu, póki sprawa Chodykiewicza nie będzie skończona. Po czternastu dniach takiego aresztu, probował jeszcze doprowadzić do skutku swój zamiar; lecz spotkawszy niezwyciężone zawady, widząc się być ciągle na oku policji, i z zebranych do nowych przedsięwięć, skierował się napowrót w kijowskie.

Na Podolu oprócz zmów, które powtarzając się po domach obywatelskich, nadawały coraz mocniejszą łączność rozległym okolicom albo i całym powiatom, szerzył się jeden związek mający wyraźniejszą formę spisku.

Dnia 15 (3) stycznia, młodzież w Kamieńcu założyła towarzystwo tak zwane Wolnych synów Podola. Stowarzyszeni wykonywali przysięgę na imię braci Podchorążych i Akademików warszawskich. Każdy wstępujący obowiązywał się mieć broń i konia. Powiększać liczbę związkowych było najpierwszą powinnością; lecz cel główny ograniczał się na tem, że jeśli przed 13 (1) marca, nie okaże się żaden inny związek, któryby miał zamiar powstania na miejscu, wszyscy członkowie będą obowiązani z końmi i z bronią przemknąć się do Galicji, a stamtąd do szeregów narodowych w kró-

lestwie. Rada z siedmiu złożona, trzymała ster towarzystwa w Kamieńcu; mniejsze zaś komplety z trzech osób, przewodniczły gałęziom spisku w miastach powiatowych Mohylowie, Jampolu, Płoskirowie, Latyczowie i Lityniu.

Pierwiastkowe te kroki do mniej więcej rozległej zmowy w prowincjach południowych, działy się w czasie, kiedy wojska moskiewskie zgęszczając się nad granicą, wyciągnęły już od Prus do Galicji mocny kordon przeciw wszystkiemu, czego za Bugiem spodziewano się i czekano z królestwa. Wkrótce Dybicz poruszył się naprzód: jakby szeroką siecią przewłocząc województwa prawego brzegu Wisły, zgarnął powstanie pod Warszawę. Za jego armją w kraju przed chwilą swobodnym, nie pozostało nic takiego, coby się mogło obrócić na korzyść wspólnej sprawy, łatwiejszą styczność braci wolnie krzątającej się od dwóch miesięcy, z bracią bez przerwy trzymaną w jarzmie: żadnej miny w masach ludu zagrzebanej dla nieprzyjaciela, żadnej utajonej żyłki władzy narodowej. Zdaje się że życie powstającej Polski gwałtem zapakowane w ładunki prochu, wojsko uniosło z sobą na plac boju, żeby — jak niektórzy mniemali — wystrzelać z honorem. Naród cały, inną pokładał nadzieję w tej garstce bohaterów, pełen był fanatycznej wiary; ale tak nieszczęście chciało, że musiał z tchem zatrzymanym w piersiach czekać wypadku walki. Gdy tedy w królestwie, z tyłu nieprzyjaciela, powstanie ziemiańskie nie miało wskazanego dla siebie zawodu; któż w prowincjach mógł wyrzec: teraz pora, teraz wszyscy do broni? Trzeba było na to pewnej władzy, pewnego środka ogólnej woli.

Nim zobaczymy jak dalej rozwijały się mozolne usiłowania w tej mierze, wypada rozebrać elementa miejscowe, który dla sprawy polskiej mogły działać albo być użyte. Przyszło bowiem do tego, że część kraju musiała swój zapas sił żywotnych ukształcić w osobną całość i jak sprzymierzeniec upatrzywszy porę, przystąpić do walki narodowej.

V.

W trzech guberniach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, na przestrzeni mil kw. jeogr. 3333, żyje ludzi płci obojej niespełna 4,500,000. Pół miljona liczyć należy tych pasorzytnych mieszkańców różnego rodu i rozmaitej wiary, dla których wszędzie ojczyzna, gdzie sposób do życia albo do zysków. Nie waham się włączać tu żydów: jakkowiek bowiem nie sądzę ich być ani z interesu, ani ze skłonności, naturalnymi nieprzyjaciołmi sprawy polskiej, i owszem mnie-

mam, że w powodzeniu niewątpliwie przechyliliby się na jej stronę; gdy wszakże podział niniejszy odnoszę tylko do widoków powstania, muszę Izraelitów odciąć razem z tymi o których mówić tu nie będę.

W pozostałych czterech miljonach zawiera się około 300,000, szlachty, reszta włościanie — lud jednoplemienny, od wieków zespolony z ziemią którą uprawia, na której podnieść go było i jest powołaniem Polski, w którą całkiem wtłoczony przez jarzmo obecne, stał się prawie tylko jej najwyższą warstwą organiczną.

Nie przeto żeby tu srożej ciężyły ustawy moskiewskie, albo żeby obejście się dziedziców z poddanymi było inaksze jak w innych prowincjach zabranych: nigdzie jednak stan włościański nie jest zepchnięty tak nisko, nigdzie między nim a stanem szlacheckim nie zachodzi tak wielka przerwa pod względem moralnym. Wszędzie zarówno systemat despotyzmu umocował niewolę chłopów, wszędzie zarówno wzbronił panom obdarzać ich choćby najmniejszą swobodą, dźwigać z okropnego upośledzenia choćby przez najlżejszą oświatę; lecz nadto ręka carów niszcząc tu jedność religijną, stargała główny węzeł, który łączył część społeczeństwa posuwającą się na drodze cywilizacji, z masą nieruchomą jeszcze. Stąd wynikła ta uderzająca różnica włościan ruskich od litewskich, jaką okazują nam dzieje przeszłego powstania. Na Litwie pan i poddany jeden mają kościół, przed jednym nauka nakazuje im miłość chrześcijańską; kiedy też przyszło podnieść broń w imię jednej ojczyzny, bez uprzednich układów, bez namów i rozrachunków za przeszłość, wszyscy zgodni w nadziejach, ufni wzajemnie, biegli po błogosławieństwo do wspólnego kapłana i zajmowali właściwe każdemu miejsce w szykach zbrojnych. W Ziemiach Ruskich, cerkiew grecka i kościół katolicki stoją przeciw sobie jak nieprzyjacielskie obozy. Ledwo na Polesiu wołyńskiem kilka osad mazowieckich, a na Podolu kilka wsi tu i owdzie, zachowało narodową polską wiarę. Duchowieństwo łacińskie, jak wszędzie u nas patrjotyczne, lecz szczupłe co do liczby, zostaje w związku niemal z samą szlachtą; cała ludność jest pod wpływem religijnej administracji moskiewskiej.*) Popi w ogólności ciemni, grubych obyczajów, przez wzgląd na los swoich ubogich rodzin do nędznych widoków zacieśnieni, przez parcie machiny hierarchicznej na ich umysły, wprost duchowną władzą cara skrępowani, z natury rzeczy musieli być podatniemi narzę-

---

*) W samej gubernji podolskiej, liczba duchownych łacińskich, świeckich i zakonników ledwo przechodzi 300, greckiego obrządku zaś przenosi 7000.

dziami dla tronu. Rząd nie zaniedbał ich użyć. Kazano odczytywać po cerkwiach manifesty Mikołaja piorunujące na buntowników, jawnie i przy spowiedzi nawet napominać lud do wierności dla monarchy. Policja w swoich ogłoszeniach i ustawach przydawała daleko posunione komentarze tej nauki: jątrząc włościan przeciw szlachcie, zalecała im szpiegować, oskarżać i w ostatecznym razie siłą poskramiać nieprzychylnych rządowi panów. W świątyniach przez Katarzynę zreformowanych, mogło wysuwać się przed oczy pospólstwa nieznacznie poruszane krwawe widmo humańskie; dla tkliwego głosu podnoszącej się Polski przystępu nie było.

Nie należy jednak mniemać że same duchowieństwo ruskie i jego owczarnia, jest już zupełną zdobyczą caryzmu. Moskwa ma to w swojej naturze, iż chcąc gdzie nieodzownie panować, musi wytępić do szczętu wrodzone człowiekowi uczucia i żądze szlachetne, a oplątać go więzami podłych w nim skłonności; owej nawet sztuki zatapiania wznioślejszych pojęć szczęścia w ponętach materjalnych dobrego bytu, którą z zasad Lutra potrafili doskonale wyciągnąć monarchowie protestanccy, despotyzm moskiewski w żaden sposób użyć nie może: siła i postrach, ciemnota i bojaźń, są jedynemi jego środkami. Żeby na tych podstawach oparty porządek rzeczy ugruntował się dostatecznie, trzeba na to wielu wieków, trzeba może nawet pewnej temperatury lodowatej w powietrzu krajowem i we krwi narodu. Na pięknej ziemi Wolynia, Ukrainy i Podola, gdzie wszystko tak jest bujne i pełne życia, szczep sławiański wzrosły wśród płomieni namiętnych wojen, długo owiewany duchem najwolniejszego społeczeństwa, nie łatwo da się wpleść w twarde karby moskiewszczyzny. Wielki ciężar ucisku nagiął jego hardy charakter po nałóg trwożliwego posłuszeństwa, ciągła niedola zamroczyła niedowierzaniem i podejrzliwością jego prostoduszną szczerotę; ale w głębi jego wrodzonych uczuć i tradycyjnych wspomnień, leżą jeszcze bardzo zapalne pierwiastki, do których nic bliższego przystępu mieć nie może jak iskra tego ognia, co płonie w grobie ojczyzny naszej, aby kiedyś czystym blaskiem braterstwa i swobody zaświecił.

Przy jękach nad obecnym stanem, starcy wspominają tu jeszcze wnukom lepsze czasy dawne — te czasy były polskie; przy powszechnej biedzie, niedostatek albo krzywdzona słabość niższych klas, ma jeszcze jedyną ucieczkę do możniejszej szlachty — ta szlachta, są to Polacy. Od chwili jak przestaliśmy być niepodległym narodem, powołanie społeczeństwa naszego, cnoty któremi żyło, obowiąski które są koniecznym warunkiem podniesienia się jego z upadku, poszły na przechów w ręce tych, co wyłącznie piastowali historję i losy rzeczypospolitej. Oni, mianowicie pod bezpo-

średniem panowaniem Moskwy, co raz bardziej spychani z publicznego stanowiska, musieli narodowość i obywatelstwo schronić w domowe, rodnicze zacisza: tu im pozostało jedyne pole, rozważając dawne błędy, ćwicząc się w poprawie, prywatnie wypłacać niższym i poddanym dług braterstwa, który zatrzymali mając w swych ręku prawodawczą władzę. Powinność ta była i jest tak w prostym związku ze świętem przeznaczeniem ojczyzny naszej, iż można powiedzieć, że kto ją lepiej wypełniał, ten lepszym był patrjotą. Na Litwie, właściciele dóbr mieli inne ogniwa z duchowieństwem i ludem; w Ziemiach Ruskich nic prócz dobrodziejstw z jednej a wdzięczności z drugiej strony, tej spójni zastąpić nie mogło. W potrzebie ogólnego poruszenia się razem, przyszło do ciężkiego rozrachunku pod tym względem.

Liczne przykłady dały to postrzedz, jak u nas prawie w patrjarchalnym jeszcze składzie społeczeństwa, łatwo jest wszystko oprzeć na samym fundamencie chrześcijańskiej miłości. Zdarzyło się w wielu miejscach, że parochowie ruscy, i nawet drobni urzędnicy moskiewskiego autoramentu, za lada uczynność doświadczoną, za lada uprzejme obejście się, wypłacali się obywatelom szczerą życzliwością, jedynie przez osobiste dla nich względy, zapominali na cara, przynosili usługi sprawie powstania. Zdarzało się powszechniej jeszcze, że włościanie widząc swoich panów w niebespieczeństwie, biegli im na pomoc z tym uczuciem prawdziwie dziecinnego przywiązania, które się interesem nie mierzy, krzywdy nawet łatwo przebacza, a najdrobniejszy zakład dobroci rodzicielskiej tkliwie w pamięci pielęgnuje. Ale na nieszczęście, podobne stosunki, szczególnie co do popów z dziedzicami, były tu i owdzie wyjątkiem; usposobienie ludu zaś, ledwo odpowiadało dalszym widokom patrjotów. Żaden chłopek nie był szpiegiem ni oskarżycielem, nie nadstawiał chętnie ucha na głos moskiewskiego rządu; lecz także wyrazu Ojczyzna nie rozumiał, nadziejom swobody nie śmiał zawierzać, w zaufanej rozmowie o Polsce i obecnej wojnie, zwykle tylko powiadał z westchnieniem: »daj Boże żeby było lepiej, żeby było jak dawniej było: kto o nas myśli niech temu Bóg dopomaga«.

Powstanie tedy mogło mieć dla siebie włościan; mogło być pewne że gdy osięgnie władzę, rozkazy jej w imię wolności będą przyjęte posłusznie, skwapliwie nawet. Ale pierwej trzeba było radzić o nich bez nich, trzeba było gdzieindziej szukać sił, do zaczęcia rzeczy. To wielkie, trudne powołanie, spadało całkiem na szlachtę.

Stosownie do owczesnego toku wypadków, rozbierając anatomicznie odciętą część ojczyzny naszej, żeby dostrzedz w niej ognisko narodowego życia, wypadałoby i samą szlachtę

uszykować jeszcze podług wielu względów. Odznacza się tu najprzód z jednej strony wybiegły nad równość braterską wyrostek, który jak wybujał już w cieniu ojczystej niedoli, tak też trudno mu dobrać polskie nazwisko. Magnaci raczej jedynie przez rzeczywisty albo wydęty ogrom fortuny, niżeli przez historyczne imiona upoważnieni do tego tytułu; arystokraci z pretensji i z etykiety tylko; kosmopolici przez polor zagraniczny całego świata, dumni dla dobrego tonu; niepopularni przez egoizm, kaprys a podobno najbardziej przez brak istotnych zalet; nakoniec snująca się koło tych planet pierwszego rzędu, niespora liczba mniej świetnych satelitów, oto jest co składa tę całą koterję, w gruncie niezłych ludzi, nienajlepszych Polaków, wielkich pretendentów do przewodnictwa i figurowania, ale niezmiernie leniwych do niebespiecznych i hazardownych ofiar dla ojczyzny. Z drugiej strony oddziela się znacznie tak zwana drobna szlachta, zatrudniona rolą, albo służbą po dworach. Niski stopień oświaty i zupełny niedostatek publicznego znaczenia, usuwał ją od czynności, póki trzeba było myśleć i radzić; ale do oręża ręka jej i serce były gotowe. Między temi ostatecznościami środek zapełniają głównie właściciele ziemi, bez różnicy majątków i rodowitych zaszczytów; od kilku miljonów do kilkudziesiąt tysięcy funduszu, od sławnych w dziejach krajowych imion do prostego dostojeństwa szlachcica, wszyscy równi jako obywatele, jako synowie zgnębionej ojczyzny; wyżsi jedni od drugich, tylko cnotą, zasługą, zdolnością. W tej klasie przechował się staropolski niezwietrzały obyczaj i gorący patrjotyzm; ona pod obcym uciskiem pielęgnując troskliwie duch narodowy, szła w ciszy z postępem wieku, i skoro wolniejsza część braci dała basło, znalazła się gotową równie do społecznej rewolucji jak do powstania; ona też w potrzebie samodzielnego poruszenia się do walki, wzięła na siebie niezachwianym umysłem śmiałem przedsięwzięciem pociągnąć w bój wszystko, co mniej więcej niezdolne było pójść z własnego popędu.

VI.

Obywatele północnych stron Podola, nie mogąc doczekać się ani powrotu Deniski, ani żadnej odpowiedzi z Warszawy, umyślili zjechać się dla przedsięwięcia czynniejszych środków. Naznaczono miejsce zjazdu niedaleko Baru. W tej okolicy przypominającej wielki przykład dla powstańców, na dniu 19 lutego zawiązało się towarzystwo, które znało siebie pod tytułem Towarzystwa patrjotycznego, a było kierowane

przez siedmiu członków przyodzianych równą władzą i składających Komitet nazywany rozmaicie: patrjotycznym, rewolucyjnym, centralnym, niekiedy Radą, i podobno nawet Juntą. Ponieważ zaś to ostatnie imię najpospoliciej zatrzymano dla niego w Emigracji, dam mu pierwszeństwo przed innemi, zwłaszcza iż wyraźniej będzie odznaczało owe grono wśród wielu współczesnych stowarzyszeń i komitetów.

W wyborze członków Junty przewodniczył wzgląd na główne widoki związku. Trzeba było rozprzestrzeniać jak najdalej towarzystwo, i zbierać siłę do boju. Powołano więc na czoło obok ludzi poważnych, dwóch młodych, z których jeden był dobrym wojskowym. W rzędzie pierwszych znajdowali się Jakób Malinowski, Wincenty Tyszkiewicz i Jan Sulatycki, lubo nieobecni na zjezdzie*). Przez Malinowskiego spodziewano się wejść w stosunki z Wołyniem; Tyszkiewicza zalecał wpływ na Ukrainę; Sulatycki zaś na Podolu i nawet w prowincjach sąsiednich miał wziętość ogromną.

Była zrazu mowa żeby najwyższy ster powierzyć jednej osobie; ale że małe grono pierwiastkowe nie śmiało brać na siebie wyboru takiej osoby, uchwalono tymczasem, iż z pomiędzy siedmiu członków Junty trzej mogą składać dostateczny komplet, a ten będzie miał prawo czynić postanowienia i zmiany jakie uzna za stosowne.

Od niektórych związkowych wymagano przysięgi; lecz po większej części przestawano na słowie, na podaniu ręki.

Trzydziestu czterech stowarzyszonych rozjechało się w rozmaite strony, żeby pracować nad rozkrzewieniem związku.

Jeden z członków Junty uwiadomiwszy Amancjusza Żarczyńskiego o tem co zaszło, polecił mu wejść w porozumienie z młodzieżą i mieszkańcami Kamieńca. Żarczyński w pierwszych swoich zabiegach trafił na głównego założyciela związku Wolnych Synów Podola, i wprowadzony przez niego do Rady siedmiu, objaśnił ją jaki cel ma Towarzystwo patrjotyczne. Rada stosownie do dawniej przyjętej zasady, postanowiła zaraz, że odtąd żadnemu członkowi nie wolno już opuszczać kraju, lecz wszyscy mają czekać miejscowego powstania. Żarczyński miał starać się ze swojej strony, żeby Junta jak najrychlej dała hasło, a Rada przyrzekła niechybnie spełnić jej rozkazy. Słowem, Synowie Wolni Podola wchodzili zupełnie pod władzę Junty, nie przestając działać pierwej obranym trybem. Było ich wszystkich do 280; w samym Kamieńcu znajdowało się 80. Wysłany pewien młody związkowy do korpusu Rota, gdzie miał znajomych rodaków, zapewniał ich pomoc. Oficerowie ci dostarczyli kilkanaście

*) Tyszkiewicz otrzymał wezwanie bardzo nierychło i w chwili kiedy już Junta powinna była rozwiązać się zupełnie.

szabel i tyleż par pistoletów, a za pierwszą okazją przyrzekli podwładnych na stronę polską przeprowadzić; lecz wkrótce posądzeni przez zwierzchność i wysłani do pułków w głąb państwa moskiewskiego, zdołali sami tylko uciec z drogi i przez Galicję dostać się do szeregów narodowych w królestwie. Zwracał też związek uwagę i na miasto gubernjalne. Kamieniec zawiera blizko 12,000 ludności; ale połowę jej stanowią Żydzi, znaczną zaś część drugiej połowy Ormianie, inni różnowiercy, duchowni greckiego obrządku i urzędnicy moskiewscy; nie wiele przeto sił można było wydobyć na potrzebę najistotniejszą, na pierwsze uderzenie. Garnizon w owej porze (ostatnich dni lutego) oprócz 400 ludzi komendy inwalidnej, liczył do 1000 regularnej piechoty: ośm dział stało zatoczonych na rynek, dwie baterje znajdowały się w fortecy: gęste warty i patrole czuwały ciągle. — Starano się jednak przysposobić mieszczan i myślano jakby opanować miasto. W Radzie związku był projekt, że skoro Junta dzień naznaczy, związkowi z zapewnionymi garstkami ludu, rzucą się jednocześnie na wszystkie odwachy i straże, drudzy będą usiłowali zabrać lub zagwoździć armaty; a jeśli uda się podchwycić i rozbroić załogę, zamkną się bramy miasta, zdobyta broń i amunicja posłuży do uformowania większej siły; gubernator Grocholski, któremu władza była już przez rząd odjęta, zostanie zmuszony, w imię sprawy narodowej całą prowincję powołać do powstania.

Towarzystwo patrjotyczne pozyskując wcześniej poczęty związek młodzieży, nabywało od razu znacznej rozciągłości. Przez stosunki tego związku i przez wpływ swoich stowarzyszonych, Junta wkrótce ogarnęła powiaty: kamieniecki, płoskirowski, uszycki, mohylowski, latyczowski, lityński, a w części jampolski i winnicki. Reszta gubernji nie przenizana żadnym spiskiem formalnym, mocno wszakże ujęta w domowe grona znakomitszych patrjotów, stanowiła niejako osobną całość. Tym sposobem Podole rozdzielone niby na dwie połowy, większą północną i mniejszą południową, miało już wiele usposobienia do jednomyślnego ruchu.

Na Wołyniu dawniej rzucone nasiona ogólnego spisku, nie rozwijały się tak szybko. Wojsko nieprzyjacielskie przecinało tę prowincję w różnych kierunkach. Rydigier koło swojej głównej kwatery w Krzemieńcu trzymał dywizję dragonów, dywizję huzarów zajmował Lubar, a piechotę rozstawił bataljonami od Włodzimierza do Żytomierza. Okolice nadbużańskie słabo jeszcze spojone przez wpływ towarzystwa Kosynierów kierowanego nową ręką, nie miały ustalonych związków z patrjotycznemi kółkami stron odleglejszych, kiedy nagle zjawił się wypadek, który nie był dość silny żeby chorągiew powstania mógł ukazać od razu rozległe-

mu krajowi, a orężnym szczękiem sprawił rozterkę w cichej zmowie.

Widział Olizar potrzebę przeniesienia się z Krzemieńca na inne miejsce dla rozszerzenia okręgu swoich działań, lecz wstrzymywał się do powrotu posłańca z Zamościa. W tem zdarza mu się M*** C***, któremu jako znanemu z patrjotyzmu i charakteru, powierzywszy tajemnicę, dowiaduje się od niego, że posłaniec zawiódł ufność i nie myślił nawet opuścić Wołynia. Radząc następnie jakby i to złe naprawić i bieg rzeczy przyśpieszyć, umowiono się że C*** wynajdzie pewniejszego emisarjusza, oraz przebieży powiaty dubieński i włodzimirski, Olizar uda się na Polesie i dotrze aż do granicy powiatu pińskiego, inny zaś związkowy odprawi podróż na Podole. Wszyscy trzej mieli w ośm dni wrócić i zakomunikować sobie zebrane wiadomości tak o sile i pozycji nieprzyjaciela, jako też o postępie przygotowań insurekcyjnych, żeby wedle nich ułożyć plan dalszych obrotów.

Bądź że C*** nad umówiony zamiar posunął gorliwość, bądź że przypadkiem otrzymał więcej niż żądał, po upływie dni ośmiu zadziwił kolegów stawiąc się w towarzystwie dawnego wojskowego, który uprzednio do zmowy nie należał, i zamiast spodziewanej tylko instrukcji względem organizacji powstania, okazując bilet adjutanta placu z Zamościa, który donosił, że za dni cztery oddział wojsk polskich wkroczy na Wołyń. Oddział ten miał składać się z 1000 starego żołnierza i 2000 ruchawki; głównem jego przeznaczeniem było podobno, rzucić popłoch między bataljony moskiewskie zbierające się nad granicą dla połączenia się z korpusem Krejca; wszakże mógł razem dać pochop i wsparcie do zbrojnych poruszeń za Bugiem. Nowina ta zrazu sprawiła radość, lecz gdy zaczęto rozważać zebrane w podróżach wiadomości, posiłek z królestwa zdał się być bardzo słabym w miarę sił moskiewskich. Naczelnik nie śmiał wyrzec pewnego zdania w obcej jemu rzeczy militarnej, chciał jednak poledz na ufności w ducha prowincji i przyjąć wypadki jak się same nasuwały; zapał C*** nie dawał się zrazić żadną rachubą, ale nowo wprowadzony do rady Prażmowski, jako stary żołnierz obliczał tylko z obu stron regularne wojsko i działa; wręcz zapowiadał najsmutniejszy koniec, jeśliby przyszło zaraz do podniesienia broni; w ciągu żwawych rozpraw często z niesmakiem zwracał mowę do Olizara, jakby wyrzucając mu niezręczne prowadzenie rzeczy. Skończyło się na tem, iż uchwalono posłać natychmiast za Bug, żeby wstrzymać wyjście oddziału z twierdzy, albo przynajmniej zwrócić go od granicy.

Nie wchodząc w rozbiór czyli ten był najlepszy środek, można jednak mniemać, iż odpowiadał ówczesnym okolicz-

nościom, gdy takież mieli przekonanie i inni poważni patrjoci. Malinowski, którego rady zasięgali C*** i Prażmowski, przekładał wyraźnie niewczesność i niebezpieczeństwo zamiaru, dodał tylko iż w ostatecznym razie gotów poruszyć mieszkańców Krzemieńca, do czego były usposobienia, i jako dawny oficer zająć się obroną miasta.

Stało się tedy że major Boleski wyprawiony z Zamościa na czele bataljonu piechoty i szwadronu jazdy d. 4 marca wpadł do Uściługa, rozbił dwa bataljony moskiewskie, zabrał kilkaset niewolnika, chorągiew, komendanta pułku, i z tem wszystkiem zaraz do twierdzy wrócił. Ukazanie się wojska polskiego na prawym brzegu Buga, nie mogło obejść się bez mocnych wstrząśnień kraju przejętego myślą powstania. Gruchnęła pogłoska rosnąca co milę: wielu pobiegło niecierpliwie nad granicę, krzątano się jak gdyby nadszedł czas wystąpić otwarcie; zapał przemógł ostrożność, niektórzy nawet kokardy poprzypinali. Rydiger pomknął spiesznie swoje siły pod Dubno, a wśród wojsk skupionych, policja ochłonąwszy ze strachu poczęła śledzić, chwytać, prześladować skompromitowanych. Po zawiedzionej nadziei wstąpiły w serca patrjotów, smutek, trwoga i pewna nieufność, której później w tych stronach dały się widzieć niemałe skutki.

Ponieważ zachodziła wątpliwość czy wystarczy czas na wstrzymanie lub zwrócenie wyprawy, Olizar udał się do Łucka żeby być w gotowości na wszelki przypadek. W Łucku oprócz stu miejscowych inwalidów znajdował się tylko oddział 50 żołnierzy z komendantem, który miał zabrać konie wedle rekwizycji rządowej dostarczane od obywateli. Żołnierze nie mieli broni ognistej, koni było już zgromadzonych 800. Widząc tak łatwą zdobycz, a przytem przekonywając się co moment o najlepszem usposobieniu mieszkańców powiatu, żałował Olizar że nie oparł się całą siłą swoją zdaniu radcy wojskowego. Gdy wszakże znał jego charakter prawy i powszechnie przypisywane mu zdolności militarne, żeby nadal nie być odpowiedzialnym za decyzję w podobnych wydarzeniach, postanowił zlać na niego całkiem władzę wojskową. Myśl tę powziął już był podczas pierwszej schadzki gdy w cierpkich wyrazach Prażmowskiego zdawała się przebijać zawiść naczelnictwa. Skoro więc doszła wiadomość jaki koniec wzięła wyprawa, napisał list do niego prosząc jako obywatel i rozkazując jako zwierzchnik, żeby przyjął ster wojennej sprawy towarzystwa. Dodał nawet iż ustępuje mu swojej władzy cywilnej, sam wyjedzie na Polesie i będzie działał zależnie od jego rozkazów. Wzgląd na dobro publiczne, szlachetne uczucie wolne od miłości własnej, powodowały do tego kroku; ale byłoż to ściśle wypełnić swoją powinność? Oto jest zdanie samego Olizara w tej mierze:

«Nie wiem czy należało mi złożyć mój urząd, czy godziło się tak dalece posunąć pokorę, dla odwrócenia zazdrości i swarów. Miałem moc mianować dowódzcę siły zbrojnej; lecz całkiem ustąpić z miejsca, żeby kto inny z niepodzieloną władzą, niepodzieloną odpowiedzialność biorąc na siebie, uczuł tem większą pobudkę rozwinąć swoją gorliwość i swoje talenta, to zdaje się przechodziło moje prawa, tego podobno nie usprawiedliwi czystość powodów. Jednak tak uczyniłem.»

Prażmowski przyjął obowiąski: władza Mistrza Kosynierów wołyńskich przeszła w trzecie ręce, i zdawało się z razu że nie spoczywała bezczynnie. Z różnych stron udawano się do naczelnika po instrukcje i rozkazy, od czasu do czasu szły w obieg jego patrjotyczne odezwy.

Olizar przeniósł się na Polesie i zastał tu rzeczy w najlepszym stanie jak tylko spodziewać się było można. Stanisław Worcel z własnego natchnienia przygotował dobrze powiat kowelski; zabiegi Godebskiego w łuckiem udawały się pomyślnie; wkrótce znakomitsi patrjoci powiatu rowieńskiego dali wiedzieć Olizarowi, że się uorganizowali dostatecznie i czekają na jego skinienie,

W głębi Wołynia toczyło się wszystko swoim osobnym trybem. Z wielu punktów zwracano tu oczy na ks. Eustachego Sanguszkę mieszkającego w Sławucie, jako na człowieka, który mógł najłatwiej stać się głównem ogniwem poruszeń obywatelskich w rozległym okręgu kraju. Magnat ten nie tak mitrą, głową, lub popularnością, jak ogromem fortuny górujący, z sąsiednich nawet prowincji pociągał ku sobie wejrzenia patrjotów, oddawna niepokojonych potrzebą zespolenia ogólnej woli w jednej osobie.

Wincenty Tyszkiewicz wracając z daremnej wyprawy swojej do królestwa, słyszał kilku Podolan utyskujących, iż lubo powszechna opinja powołuje na naczelnika prowincji Jana Sulatyckiego, ten jednak nie daje się dostatecznie wyrozumieć i jest przeto powodem niejedności w działaniach patrjotów. Niektórzy napomykali nawet, czyliby wybór Sanguszki nie zaradził w tej mierze. Tyszkiewicz chciał pomówić najprzód z Sulatyckim; lecz nie mogąc dopytać się gdzie się znajdował, umyślił nie tracąc czasu udać się do książęcia. Wszyscy obywatele Ukrainy z którymi miał zręczność widzieć się po drodze, nie byli przeciwni temu zamiarowi. Wziąwszy więc z sobą Hermana Potockiego pojechał na Wołyń, a wiedząc że Izydor Sobański znajdował się w okolicach Sławuty, spodziewał się jego wpływ i gorliwość mieć sobie w pomoc. Jakoż rzecz była już niemal ukartowana. T*** W***, który w pewnym okręgu stał na czele patrjotów i po całej prowincji starał się rozkrzewiać związek, spotkawszy jadących

z propozycją, uwiadomił ich że Sanguszko przez Wołynian na naczelnika obrany, chętnie to przyjął, a Sobański był przed kilku dniami w Sławucie i mówił o interesach powstania. Najlepsze rokując nadzieje W*** dodał tylko, iż trzeba hamować zbyteczny zapał Sobańskiego. Za przybyciem na miejsce Tyszkiewicz i Potocki istotnie znaleźli Sanguszkę dobrze usposobionego: ze łzami w oczach dziękował im za ufność i oświadczał wdzięczność, iż mu podają sposób zmyć plamę jaką ściągnął na siebie w r. 1813.

Skończyły się na tem pomyślne zachody koło pozyskania dla podejmowanej sprawy możnego pana. Blaskiem czynów wojennych rozjaśniony wówczas horyzont ojczysty nad Wisłą, budził i w jego sercu iskrę patrjotyzmu; później zabrakło mu ducha. Mógł wyprawić synów do Warszawy nie przewidując żeby w najgorszym nawet razie stał się z nich który kopaczem w minach sybirskich: mógłby był z ochoczą szczodrością własnym kosztem wystawiać pułki pod zasłoną pewnej siły; ale konspirować czynnie i wytrwale w pałacu przystępnym dla lada żandarma z kibitką; ale każdej chwili siąść na koń i z hufcem powstańców rzucić się między regularne wojska moskiewskie — tego nie należało spodziewać się po nim, tego byłby się nie podjął, gdyby jasno widział obowiąski ofiarowanego mu dostojeństwa.

Kiedy Wincenty Tyszkiewicz z dobrą otuchą starał się o naczelnika na Wołyniu, obywatele Ukrainy tymczasem zgromadzeni u jednego z patrjotów w powiecie taraszczańskim, postanowili jego samego powołać na ten urząd. Przewodnictwo w rzeczy tak obywatelskiej, tak ogólnie zajmującej szlachtę całej gubernji, właściwie należało się jego bratu Henrykowi, który był marszałkiem gubernjalnym. Ale marszałek dobrze położony u rządu i samego cara, mógł więcej być użyteczny zostając na stronie, bez narażania się osobistego dając protekcję i zasłonę przygotowaniom, pókiby nie nadszedł czas wystąpić jawnie. Żeby więc tem bardziej zapewnić go sobie, skwapliwie chwycono się myśli, wyrządzić słuszną cześć patrjotyzmowi i cnotom drugiego brata, który niedawno zamieszkał na Podolu, nie miał stosunków publicznych, lecz z charakteru i przymiotów serca niewątpliwie był znany.

Dwaj z obradujących pospieszyli na spotkanie nowo mianowanego naczelnika i zastawszy go w Białołówce, kędy wracał z Wołynia, wezwali na ogólne zgromadzenie, które wkrótce odbyć się miało.

Dnia 8. marca, deputowani ze wszystkich prawie powiatów gubernji kijowskiej, zebrali się w Czerniawce u Władysława hr. Krasickiego. Zjazd ten patrjotów, upoważnionych przez ufność współobywateli do szafowania dla ojczyzny

ich majątkiem, losem ich rodzin, ich życiem, był uroczystym sejmem na ujarzmionej ziemi polskiej, odprawianym właśnie w owej chwili, kiedy car zapowiadał zemstę niemowlętom za winy ojców. Taki sejm miał niepospolitą dostojnością oblec przewodnika do podniesienia broni przeciw carowi. Tyszkiewicz wymawiał się od przeznaczonego jemu zaszczytu: przekładał iż nie ma ani zasług, ani talentów, któreby słuszną może zawiść godniejszych odwrócić od niego mogły: lękał się dla dobra jedności przyjmując władzę, obudzić niezgodę. Nalegania poważnych osób, prośby przyjaciół, zamknęły mu usta: ugiął głowę pod wieniec bluszczowy, w którym kryło się wiele zatajonych kolców.

Obowiązek naczelnika zalecał mu: urządzić i poruszyć powstanie, z wyraźnie dodanym warunkiem: chociażby najsmutniejszy los spotkał broń narodową w królestwie. Jedyną rękojmią posłuszeństwa jego rozkazom, była dobra wola stwierdzona przysięgą. Obok więc obowiąsku użycia władzy, leżał tajemnie ten jeszcze wielki obowiązek: umieć tak jej używać, żeby podwładni mieli jak najmniej powodów do złamania przysięgi.

Ale w momencie kiedy blask rozpłomienionych uczuć szlachetnych, nie dozwalał widzieć całego ciągu drogi do założonego celu, kiedy ten cel w nieokreślonem oddaleniu stał wspaniale jak świątynia szczęścia, a przepaści i sliskie przejścia nikły z przed oczu na poziomie, któż mógł dostrzedz ile trudu, ile siły i sztuki przewodnikowi trzeba było, żeby nikt z tych co obiecali iść za nim, nie stracił serca, nie cofnął kroku?

Podobne uwagi nie mogły wówczas odstręczać Tyszkiewicza. — «Był to najpiękniejszy dzień w życiu mojem: — są jego słowa — szczerość, otwartość, zgoda, przewodniczyły naradom. Każdy z nas ojczyzną tylko zajęty, do jej jednej wszystkie uczucia, wszystkie myśli zwracał. Nie było ofiary, którąby wielkością mogła wyrównać chęci usłużenia sprawie narodowej: wszystko wydawało się małem, lichem, obok świetnych nadziei. Im kto więcej mógł poświęcić, tem sądził się być szczęśliwszym. Żaden smutny widok nie ukazywał się nam w przyszłości: jeśliby Niebo dopuściło jeszcze raz upaść Polsce, mieliśmy pociechę w postanowieniu, że nie odstąpimy braci nadwiślańskich, że zginiemy razem. W obliczu Boga uczyniwszy ślub, złożyć na ołtarzu ojczyzny nasze majątki, naszą krew, żony i dzieci — odetchnęliśmy wolniej.»

Stosownie do tego usposobienia serc i umysłów, ułożono roty przysięgi. Obywatele przysięgli posłuszeństwo wybranemu przez się naczelnikowi, bez względu w jakich okolicznościach da rozkaz podniesienia broni; wzajemnie na-

czelnik przysiągł, żadnemi nie zrażając się przeszkodami, uorganizować i do boju powołać ziemian Ukrainy.

Zgromadzenie zajęło się potem spisaniem w formalną uchwałę, tak postanowień, które były wyrazem ogólnej woli objawiającej się wszędzie, gdzie tylko obywatele ziem zabranych rozważali środki i zamiary powstania, jakoteż główniejszych urządzeń miejscowych.

1. Przyrzeczono jednomyślnie dać włościanom bezwarunkową wolność.

2. Zobowiązano się złożyć na publiczną potrzebę dobrowolny podatek z każdej wsi, rachując po 10 zł. polskich od głowy męskiej zaciągnionej w skaski, czyli w urzędowy spis ludności.

3. Zapowiedziano że wszelki sprzęt srebrny jaki kto ma w domu, jest własnością ojczyzny, i skoro zdarzy się pierwsza zręczność, będzie przesłany do skarbu narodowego Polski.

4. Zgodzono się żeby ochotnicy byli odziani, uzbrojeni, i przez cały czas wojny utrzymywani kosztem właścicieli ziemi.

5. Urządzono poczty prywatne w różnych kierunkach, dla przesyłania rozkazów, wiadomości, odezw, emisarjuszów i t. d.

6. Na każdy powiat wyznaczono osobnego organizatora, powierzając tę czynność marszałkowi, albo gdy ten nie zdawał się być odpowiednym powołaniu, innemu z wziętości u współpowietników i z patrjotyzmu znanemu obywatelowi.

7. Na organizatorów powiatowych włożono obowiązek, znosić się we wszystkiem z naczelnikiem gubernjalnym; temu zaś polecono starać się o komunikację ze związkami patrjotycznemi sąsiednich prowincji, i mianowicie z Rządem Narodowym kierującym w królestwie sprawą całej Polski. Chociaż bowiem z pewnem uczuciem żalu przychodziło urządzać się bez wpływu władzy postanowionej w Warszawie, i poświęceniu się nie zakładano kresu odpowiedniego powodzeniom wojsk nadwiślańskich; pojmowano to wszakże, iż skuteczność powstań prowincjonalnych zależała na tem, aby jak najtrafniej zastosowały się do planu ogólnej walki, i jak najprędzej weszły pod ster jednego wodza siły zbrojnej.

8. W pomoc naczelnikowi dano dwóch komisarzy, Władysława Krasickiego i J*** S***. Powaga ich nie miała żadnych wyraźnie określonych granic.

Ten ostatni punkt uchwały zmieniał bardzo kształt władzy zlewanej w jedną rękę: rozpinał ją na formę komitetu tak ulubioną, tak nałogową we wszystkich u nas jawnych i tajemnych instytucjach obywatelskich. Osłabiała się przez to sprężyna wyrabiana na ten koniec, aby powstanie skupić swoje siły i raźnie dźwignąć się mogło; osuwał się też znacznie z głowy naczelnika na jego radzców ciężar soli-

darności moralnej. Ani wszakże niedowierzanie ze strony wyborców, ani żadna rachuba ze strony wybranego, nie miały tu miejsca. Dobroduszność staropolska, braterstwo rozrzewnione miłością ojczyzny, szlachecki obyczaj formowania urzędów, idąc za instynktem, który wskazywał potrzebę zwierzchniej mocy, ufnie, prędko, dorywczo, improwizowały organ powszechnej woli, polegając z resztą, że Bóg, że dobra sprawa i gorliwość patrjotyczna doprowadzą rzecz do szczęśliwego końca.

Po zatwierdzeniu ustawy Tyszkiewicz oświadczył, iż jako nie mający wiadomości i doświadczenia pod względem wojennym, przywodzić powstaniu w polu podjąć się nie może; wspomniał z tego powodu o Sanguszce. Zostawiono jemu zupełną wolność wyboru wodza dla siły zbrojnej, z warunkiem iż będzie odpowiedzialnym za jego postępki. Naczelnik tedy miał być właściwie tylko przewodnikiem w zmowie i przygotowaniach, miał być najwyższym organizatorem w gubernji, do dnia podniesienia broni upatrzonego przez jegoż samego. Czynnością tą zajął się niezwłocznie i wydał rozkazy, żeby organizatorowie powiatowi starali się oswajać lud prosty z myślą powstania, a na ręce Krasickiego w przeciągu dni 14 przesłali: 1. składki pieniężne, 2. wiadomości o sile jaką każdy powiat wystawić może, 3. doniesienia o liczbie i stanowiskach oddziałów moskiewskich.

Od połowy lutego do połowy marca, w tym perjodzie pełnym huku dział z pod Stoczka, Wawru i Grochowa, przy zorzy rozwidniającej się dla Polski nad Wisłą, powstanie gotowane między Bugiem i Dnieprem uczyniło krok wielki. Rzesza zmawiających się patrjotów była już spojona w rozległe okręgi. Ukraina cała stanowiła jeden związek, Podole miało dwa znaczniejsze ogniska, w Juncie i w domu Jełowickich; Wołyń tylko, rozdzielał się jeszcze na wiele kółek tworzonych przez pojedyńczych obywateli; bo ani wpływ Prażmowskiego oparty na tradycjach towarzystwa Kosynierów, ani powaga Sanguszki szanowana powszechnie, nie śmiały wystąpić z obrębu ostrożnej ambicji i biernego patrjotyzmu.

Tymczasem skutki rozmaitych wypadków zaszłych na głównym teatrze sprawy polskiej, oblężonej przez Dybicza, poczęły wymykać się za linję wojsk moskiewskich i zbliżały się w te strony. Jedne z nich z razu ledwie widzialne, drugie głośną poprzedzone sławą, wkrótce wpłynęły potężnie na rozwiązanie wewnętrznych usiłowań w prowincjach południowych. Żeby ten wpływ lepiej zrozumieć, trzeba cofnąć się nieco do jego źródła.

VII.

Denisko otrzymał od Chłopickiego tę odpowiedź pamiętną póki pamięć nieszczęść naszych trwać będzie: «dla Podola i Wołynia ani jednej skałki dać nie myślę — siedźcie cicho!» Zrażony taką odpowiedzią chciał już opuścić Warszawę; ale zatrzymał go ks. Czartoryski dając mu do zrozumienia, że wkrótce ważne zmiany zajść mogą. Dyktatura upadła, pokazał się manifest izb sejmowych, adres obecnych w Warszawie mieszkańców ziem zabranych, został dobrze przyjęty; emisarjusz wszakże nic miał z czem wracać. Wszystko zdawało się być w zawieszeniu do walnej rozprawy w polu, spodziewanej co moment. Dopiero po bitwie grochowskiej, na radzie wojennej, do której wchodzili i członkowie rządu, wytoczyła się kwestja względem prowincji. Lelewel i Prądzyński utrzymywali, że chociażby na pierwszy raz 200 tylko ludzi było gotowych do zaczęcia powstania za Bugiem, powstać należy; wszyscy inni przeciwne mieli zdanie. Przytomny tej naradzie Denisko usłyszał ostatecznie rezolucję: iż wódz naczelny i rząd narodowy mniema, że powstanie tylko pod zasłoną wojska regularnego udać się może; jenerał Dwernicki będzie wysłany na Wołyń. Ponieważ zaś usposobienie mieszkańców i okoliczności miejscowe nie są dobrze znajome, sumiennemu przekonaniu obywateli stron tamtych zostawuje się decyzja, powstać lub nie powstać.

Są atoli ślady dawniejsze, troskliwości urzędowej względem ziem zabranych. Niejaki Chróściechowski, piszący się dzisiaj «Majorem — szefem sztabu organizacji Województwa Płockiego — posłannikiem narodowym w kilku politycznych misjach» *), na początku grudnia zajmował się już sprawą publiczną w okolicach Brześcia Litewskiego. Okazywał dowody poleceń danych mu od Dyktatora; upewniał iż jest upoważniony przez książąt Czartoryskiego i Lubeckiego; objeżdżał tajemnie domy obywatelskie; za doświadczoną pomoc zostawiał na piśmie patrjotyczne podziękowania; wiódł jakieś sekretne negocjacje z osobami tak cywilnemi jak wojskowemi, otaczającemi carewicza w Wysokiem Litewskiem, zniknął z tych stron na krótką chwilę przed nadejściem głównej armij nieprzyjacielskiej **).

Tenże Chróściechowski, niedługo potem uzyskał w sztabie Radziwiłła list otwarty następującej formy i treści:

---

*) W ogłoszeniu na dwa dzieła, pisanem w Paryżu 21 lipca 1835, a drukowanem w Wersalu u Kleffera, in-4to strona 3.

**) Patrz w Pamiętniku Emigracji, w broszurze pod tyt. Bolesław V. artykuł K. E. Wodzińskiego.

«No. 2289. W Warszawie d. 3 lutego 1831 r.
Sztab Główny.

Wzywam wszelkie władze wojskowe i cywilne, aby Panu Majorowi Chróściechowskiemu, któren się udaje z rozkazem wyższej władzy w województwa Augustowskie, Podlaskie i Lubelskie, nie odmawiały pomocy, jaką on od wymienionych władz żądać może.

(podpisano) Szef Sztabu Głównego
Gał Bdy Mroziński.»

Radziwiłł był także wyprawił na Wołyń oficera Nykę. O ile rząd narodowy wpływał do tych czynności poprzedzających odprawę Deniski? jaki był cel misji, jak brzmiały instrukcje dla emisarjuszów? dotąd zostaje to w tajemnicy. Chróściechowski przesyłał foliały raportów wodzowi naczelnemu, prezesowi rządu i marszałkowi sejmu, u którego był w szczególnem zachowaniu; brał później nowe zlecenia i dowody posłannictwa w głównym sztabie Skrzyneckiego; ale to wszystko nie wyświeca ani przedmiotu, ani granic jego powagi. Cokolwiek bądź, mając otwartą drogę do działania jak i gdzieby mu się podobało, skierował lot swój na południe, nie dał się wyprzedzić nikomu, wpadł do Galicji pod koniec lutego, i założywszy sobie dogodne siedlisko w punkcie równie zbliżonym do Podola jak Wołynia, począł działać.

Tak to było rzeczą naturalną, w każdej części polskiego kraju spodziewać się i oczekiwać wpływu władzy narodowej, zawiązanej w pierwszym ognisku powstania, w stolicy; że lada agent przysłany z Warszawy, miał od razu w prowincjach moc sprężystszą, niżeli miejscowe, za dobrowolną umową podnoszące się zwierzchnictwa. Otaczał go jakiś urok. Nikt nie myślał kontrolować jego praw, rozbierać jego zdolności osobistych. Rozumiało się samo przez się, że powiernik narodowego rządu, zasługuje na zupełną ufność, wie wszystko, potrafi wszystko.

Junta podolska przyjęła Chróściechowskiego w dobrej wierze: uwiadomiła zaraz stowarzyszonych po powiatach o przybyciu męża zaszczyconego poleceniami najwyższej władzy, kazała śpiesznie gotować się do ogólnego wystąpienia z bronią. Rozeszła się wieść że dzień 3 (15) marca *), miał być terminem powstania naznaczonym przez emisarjusza. Dzień ten spełzł na niczem. Junta dała znowu wiedzieć, iż dla ważnych przyczyn wstrzymać się jeszcze należy. Jednak w okolicach nadgranicznych mianowicie, ruch był już obu-

*) Być może iż Chróściechowski termin ten stosował do wyprawy z Zamościa na Uściług; prócz zbliżenia dat wszakże, nie masz innego na to dowodu.

dzony zbyt mocno. Wielu wydobyło broń z ukrycia, lekceważyło baczność policji moskiewskiej. Kto więc sądził się być skompromitowanym, lub uniósł się zniecierpliwionym zapałem, biegł do Galicji.

Galicja dla prowincji sąsiednich stała pod bokiem jak schronienie od niebespieczeństwa, i jak przysionek do wnijścia na plac toczącego się boju. Chytrość gabinetu wiedeńskiego dozwalała jej odegrywać tę dziwną rolę w walce, która koniecznie musiała odbudować całą Polskę albo zakończyć się klęską. Bogdajbyśmy, kiedy nam przyjdzie jeszcze raz powstać, nie mieli żadnej cząstki naszego kraju niezajętej pożarem wojny; żadnej granicy wewnątrz, żadnej neutralnej potęgi w sąsiedztwie! Wszystko było inaczej wówczas. Podług dyplomatychnych widoków przyjętych u steru narodowej sprawy, wierzono nawet, iż przez spokojny zabor austrjacki, bardzo dogodnie przemycać insurekcję w zabor moskiewski. Aleksander Wereszczyński obywatel z Podola, obecny w Warszawie i czynnie wpływający na formację legji Litewsko-Wołyńskiej, został upoważniony formować w Galicji legję Podolską. Miał on tajemnie nawerbować ludzi, zakupić broń, amunicję, konie, i w zanadrzu austrjackiego rządu ukształciwszy swoje hufce, wnieść chorągiew powstania na Podole; nim wszakże tego dokazać zdołał, stał się nowym powodem do emigracji tak szkodliwej zamiarowi patrjotów zbierających siłę u siebie.

Obok tych misternych zachodów celem zajęcia gubernji południowych w tok ogólnej sprawy, został też dotknięty prosty środek, z którym wszystkie inne w ścisłym powinny były być związku, który sam jeden użyty przezornie i dzielnie, mógł sprawić zupełny skutek.

Dnia 1 marca, jenerał Dwernicki w marszu z Kozienic do Puław otrzymał rozkaz iść na Wołyń. Żeby temu rozkazowi uczynić zadość, trzeba było najprzód przejść Wisłę i znieść Krejca, który w sześć pułków jazdy i 19 dział pozostałych mu z 24 po świeżej porażce pod Nową Wsią, mógł bronić przeprawy na drodze do Lublina; trzeba było potem mieć dostateczną siłę przeciw wojskom nieprzyjacielskim za Bugiem. Należało więc spodziewać się, że szczupły korpus, co dopiero pod Stoczkiem zdobył dla siebie artylerję, zostanie pomnożony na to wielkie przedsięwzięcie. Wódz naczelny zamierzał podobno przeznaczyć na ten cel świeżo formowany oddział jenerała Sierawskiego; ale gdzie miały połączyć się dwie oddzielne siły i kiedy niewątpliwie rozpocząć wyprawę, tego zdaje się nie przewidywał i nie naznaczał wyraźnie. To pewna tylko iż zalecał jenerałowi Dwernickiemu, po dojściu do Zamościa, zostawić w twierdzy resztę korpusu, a wziąwszy 1500 jazdy i 4 armatki trzyfuntowe, dotrzeć do granicy na

zwiady i wedle okoliczności pomknąć się dalej albo wrócić. Jenerał Dwernicki, którego serce staropolskie, od początku rewolucji wyrywało się za ciasny okres kongresowy, zdaje się że także nie zajmował się ani ścisłym rachunkiem ile mu potrzeba było, ani myślą ścisłego wykonania rozkazów wodza. Polegając na 4000 swoich towarzyszów sławy, śpiesznie ruszył najprzód, przebył Wisłę, dognawszy Krejca pod Kurowem zabrał mu cztery działa, całą baterję tylnej straży zniszczył, i bez przeszkody wszedł do Lublina. Krejc przepłoszony za Wieprz, zostawił drogę na Wołyń otworem; ale wiosenna rozwodź zaskoczyła Dwernickiego w Krasnymstawie. Wysławszy szefa swego sztabu pułkownika Osińskiego do głównej kwatery, z raportem szczegółowym o sile korpusu, z przełożeniem iż potrzeba powiększyć tę siłę, i z żądaniem dokładnej instrukcji względem operacji za Bugiem, zwinął się pod Zamość i 13 marca stanął w Nowem Mieście.

Tegoż dnia datowany raport Dybicza okazuje, że feldmarszałek zgadł od razu dążność korpusu awansującego na prawym brzegu Wisły. Świetną tę garstkę, wedle jej czynów i wedle doniesień porażonych swoich jenerałów, rachując na 15,000, odkomenderował przeciw niej 20,000 pod dowództwem Tola; nie zaniedbał zapewne przesłać stosownych rozkazów Rydigerowi, który jak pokazało się później, potrafił zgromadzić 13,000. Wódz naczelny polski, mógł widzieć że wyprawa na Wołyń posługiwała szczęśliwie do kartowanej wycieczki z stolicy; co zaś dalej miało ją spotkać, to zdaje się zostawiał losowi, to było zagadką, nad której rozwiązaniem musiał myśleć jenerał Dwernicki.

W tem trudnem zadaniu, jedna tylko zachodziła ogólna pewność: że wojsko regularne niosąc powstańcom wsparcie, polegało całkiem na wzajemnem wsparciu od nich. Taki stosunek między korpusem a prowincją, wymagał przedewszystkiem jasnego pojęcia o stanie rzeczy za Bugiem.

Obecny w Zamościu pewien Wołynianin nie wiele mógł oświecić w tej mierze; zaręczał ogólnemi wyrazami, iż duch mieszkańców jest najlepszy i wszyscy gotowi są chwycić się do broni. Drugiego dnia przybył z nad granicy inny obywatel wołyński. Ten siłę nieprzyjaciela podawał na 9000 i 4 baterje artylerji, udzielał wiele dobrych, lecz zawsze nie dość pewnych nowin. Jenerał dodawszy mu oficera Wereszczyńskiego, odprawił z listami do kilku znakomitych osób, żądając od nich dokładniejszych wiadomości tak pod względem sił moskiewskich, jako i przysposobień do powstania. Wnet potem 16 marca, stawił się w głównej kwaterze w Nowem Mieście major Chróściechowski i okazał dowody swojego posłannictwa. Urzędowy jego charakter wzbudzał ufność, ale z tego co mówił, a o czem wiadomo było rzetelniéj, da-

wało się postrzegać, że nie zapuszczał się w głąb kraju, że zbierał pogłoski nad granicą. Jenerał Dwernicki napisał odezwę do obywateli Wołynia, w której zapowiadał iż przyniesie im pomoc, skoro tylko drogi podeschną; zachęcał do zgody i jednomyślności, zalecał bez zwłoki sposobić się do boju, radził bardziej skompromitowanym ukrywać się do tej niedalekiej chwili, żądał tylko żeby kilkadziesiąt koni przygotowanych pod działa, czekało go u granicy, i dodał, że przez wysłanego majora Chróściechowskiego dalsze stosunki z nim utrzymywane będą. Tę odezwę obejmującą bardzo mało instrukcji, wręczył Chróściechowskiemu z poleceniem, aby pośpieszył na Wołyń, wywiedział się o wszystkiem doskonale, i powzięte informacje dostarczył jak najrychlej. Chróściechowski wyjechał natychmiast.

Odtąd obowiąski emisarjusza urzędowego były wyraźne i określone, a niezmiernie ważne. On szczególniej (bo największy miał kredyt) powinien był całą usilność w to położyć, żeby między wodzem wyprawy, a naczelnictwem gotującego się powstania, zaszło ścisłe porozumienie. Obaczymy zaraz że mimo licznych zawad, gorliwość i roztropność dopiąć tego celu mogła.

VIII.

Wieść o przybyciu jenerała Dwernickiego pod Zamość, rozmijała się na Wołyniu z wojskami moskiewskiemi, bez względu na złą drogę spiesznie dążącemi ku Bugowi. Wśród ruchu nieprzyjaciela, obudzał się niespokojny ruch patrjotów. Od dawna z różnych niedocieczonych źródeł pogłoski, miejscowe domysły, a nieraz nawet własne życzenia brane za nadzieje, upowszechniły tu wiarę, że waleczny i szczęśliwy wódz, niechybnie w tym celu przebył Wisłę, żeby na ziemię rodzinną przodków swoich ujarzmionym braciom przynieść znamię swobody. Skoro więc stanął o mil 10 od granicy, nikt nie wątpił że lada dzień ukaże się za Bugiem. Ale nie był to już ów szczególny moment powszechnego entuzjazmu, kiedy jeden wystrzał działa mógł cały kraj poruszyć. W naszym narodzie nic nie wyrówna potędze pierwiastkowego zapału; lecz trzeba na gorącym razie użyć tej siły, bo później żadne rozmyślne sposoby, żadne systematyczne roboty zastąpić jej nie zdołają. Długie zmowy zwykle czynią zamiar trudniejszym do wykonania przed założonym kresem przygotowań, niżeli był w początku. Obywatele Wołynia, nie sprzężeni jeszcze pod ster jednej władzy, słyszeli wszakże że są jacyś naczelnicy, którzy zajmują się interesem powstania;

widząc nieprzyjaciela poruszającego się spiesznie i bacznie, poglądali jedni na drugich, czekali poki ktoś z góry nie da objaśnienia, rozkazu, hasła. W ogólności strony dalsze zwracały oczy ku nadgranicznym. Nieszczęście tak chciało że właśnie nad granicą kongresową najmniej znalazło się potrzebnego usposobienia. Wszyscy ci, którzy tu trzymali przodek, nie odpowiedzieli swoim obowiąskom. Jednych oziębłość, drugich przewrotność, innych przy najlepszych chęciach mylne albo słabe pojęcie rzeczy, sprawiły ten skutek, że między korpusem posiłkowym a powstaniem, wisiała ciągle jakaś mgła dla obu stron zasłaniająca przyszłość.

Chróściechowski nawiedził ten szczupły odcinek Wołynia przed Styrem, ogarnięty już wojskami Rydigera, i nie śmiał przemknąć się dalej. Osiadłszy tu w domu zacnego i możnego patrjoty, nie umiał nawet jego wpływu skierować do istotnego celu; puszczał tylko w najbliższe ręce pismo jenerała, nie szczędząc z własnego natchnienia bardzo retorycznych, a w gruncie próżnych odezw. Co wtenczas czynił Prażmowski ze swoją władzą odziedziczoną po mistrzu kosynierów? tego nie masz śladu; lecz grający rolę naczelnika w powiecie krzemienieckim, marszałek Bobr, nie pozostał bezczynnym: komentował odezwę Dwernickiego. Spodziewać się rychłego przyjścia korpusu, ukrywać się w razie prześladowań ze strony rządu, dostarczyć konie nad granicę; podług niego znaczyło, że jenerał widocznie ma zamiar, dopiero wkroczywszy w prowincję stosownie do swoich planów urządzić i ruszyć powstanie. Uwagi te łatwo trafiały do przekonania, kiedy nikt lepiej nie nauczał.

Na Polesiu wszakże, skoro doszedł jeden z okólników emisarjusza zapowiadający rychłe przybycie wojsk polskich, poczęto jawniej niż ostrożność pozwalała gotować się do wystąpienia z bronią: kuto piki, osadzano kosy, zgromadzano strzelców po dworach. W dobrej nadziei przyśpieszaną czynność, przerwał wnet inny skrypt Chróściechowskiego, który donosił, że jenerał Dwernicki dla złej drogi ruszyć z pod Zamościa nie może. Trzeba było w wielu miejscach sprzątnąć czemprędzej oręż, a zwrócić wszystkie zabiegi do uciszenia rozruszonej policji. Olizar natenczas w swoim domu ostawionym strażą niby przeciw cholerze, a istotnie przeciw żandarmom, których spodziewał się co moment, zajął się ułożeniem pism do jenerała Dwernickiego, w których malował mu moralny stan prowincji i podawał nawet projekt kodeksu tymczasowego, jakiby należało przyjąć w pierwszych chwilach powstania. Pisma te gdyby były doszły, mogły sprawić bardzo dobry skutek; lecz nie dość troskliwie obmyślone pierwej środki komunikacji tajemnej, upadły zupełnie w natłoku wojsk moskiewskich. Oddalenie Polesia od sie-

dliska głównego naczelnika, powodowało jeszcze do innych starań Olizara. Widział potrzebę dla tej części kraju osobnego dowódzcy militarnego, któryby zależnie od rozkazów Prażmowskiego miejscową siłą zbrojną mógł obracać. W tym celu porozumiał się z pułkownikiem M***, oficerem z czasów Napoleona, posiadającym dobre imię i ozdobionym wielu krzyżami. Pułkownik przystał na podaną mu propozycję. Insurekcja zatem w tej stronie miała taki skład wewnętrzny, że nie trudno było zastosować ją do ruchu wyprawy.

W głębi Wołynia, jakokolwiek postępowali sobie domniemani naczelnicy i organizatorowie najwyżsi, to pewna jednak że nie zbywało ani na dzielnych patrjotach, ani na środkach użycia ich wpływu. Ponieważ później rozkazy Chróściechowskiego mogły rozejść się i wywrzeć swój skutek, ponieważ znajdowali się tacy ludzie jak Różycki i Hołowiński; niewątpliwie, rzecz dobrze prowadzona nad granicą, uwolniłaby całą prowincję od zarzutów, które spadły na nią niesłusznie.

Z braku też trafnej i żywej czynności nad Bugiem wynikało, iż dwie inne prowincje południowe, postępowały dalej w swoich urządzeniach wewnętrznych, jak gdyby nic nie zaszło, co kierunek i kres ich krokom spiskowym wytknąć powinno było. Oprócz chwilowych wstrząśnień sprawionych przez pierwsze zjawienie się Chróściechowskiego w okolicach Kamieńca, Podole i Ukraina spokojnie rozwijając organizm na wielką skalę zamierzanego powstania, coraz ściślejsze między sobą zawięzywały stosunki.

Wkrótce po dopełnionym wyborze naczelnika w gubernji kijowskiej, przybyła do niego deputacja w imieniu Podolan zapytując, jak daleko Ukraina posunęła swoje przygotowania; ponieważ Podole dostatecznie już jest usposobione i żąda porozumiawszy się z sąsiednią prowincją, wspólnie przystąpić do rzeczy. W tym celu miał jakoby odbyć się zjazd ogólny patrjotów podolskich 12 marca, na który zapraszano wysłanników z Ukrainy. Deputacja właściwie była dziełem kilku młodych ludzi, nie mających od nikogo upoważnienia; lecz dała powód do ważniejszych wypadków. Tyszkiewicz przybywszy na miejsce zapowiedzianego zjazdu, prócz gospodarza domu zastał tylko jednego obywatela, który znajdował się tu przypadkiem. Widząc wszakże potrzebę zjednoczenia usiłowań dwóch gubernji, napisał odezwę do Podolan zachęcając ich, żeby celem porozumienia się zobopólnego, przysłali wybranych z pomiędzy siebie na dzień 22 marca do Michałówki, wsi znanego patrjoty Wyrzykowskiego w powiecie winnickim.

Komunikacje wewnętrzne na Podolu były już tak przez związkowych ułatwione, że pomimo wszelkie zawady jakie rząd stawił, pismo Tyszkiewicza powierzone dwóm obywa-

telom, którzy z nim naradzali się 12 marca, rychło obiegło cały okręg zawisły od junty, i sprawiło swój skutek.

W dniu naznaczonym zjechali się do Michałówki delegowani ze wszystkich powiatów Podola, oprócz południowych: bałckiego, olhopolskiego i hajsyńskiego. Między delegowanymi był i członek junty.

Po długich rozprawach o Sulatyckim, gdy przekonano się że daremnie więcej nań nalegać, powołano Tyszkiewicza na takiegoż naczelnika gubernji podolskiej, jakim był w kijowskiej; przyjęto razem uchwałę Kijowian, i podług roty przez nich ułożonej wykonano z obu stron przysięgę. Stosownie do tej uchwały naczelny organizator miał sobie dodanych dwóch komisarzy: Stanisława Raciborskiego i Karola Marchockiego; wybór zaś organizatorów powiatowych zostawił samym Podolanom, i zaleciwszy żeby mu przysłali listę ich imienną, oraz wykaz sił zapewnionych w każdym powiecie, wrócił w kijowskie.

Tym sposobem oddana władza jednemu, nie mogła jednak stać się od razu powszechnie wiadomą i uznaną w całej gubernji podolskiej.

Powiaty południowe, które nie miały reprezentantów w Michałówce, dwoma dniami pierwej (20 marca) odbyły zjazd w Hubniku u Jełowickich. Zgromadzeni tu obywatele zastanawiali się także komu by powierzyć ster powstania. Na wniosek Wacława Jełowickiego, prawie wszyscy obecni życzyli mieć naczelnikiem Sulatyckiego, i polecono Aleksandrowi Jełowickiemu udać się do nowowybranego w imieniu zgromadzonych.

A. Jełowicki spełnił poselstwo nazajutrz, Sulatycki tym razem nie okazał się nieprzystępnym; owszem z zapałem i rozczuleniem przyjął ofiarowany mu zaszczyt; oświadczał że jeśli dotąd odpychał wszelkie propozycje, to jedynie dla tego iż nie miał dosyć ufności w tych, którzy mu je czynili; dodał nareszcie, iż będzie starał się odpowiedzieć włożonym nań obowiąskom, aczkolwiek musi postępować bardzo ostrożnie, bo jest pilnie przez policję strzeżony. Jełowicki wracając z pomyślnym skutkiem, dowiedział się w drodze o tem, co zaszło na zjeździe w Michałówce, i pośpieszył zaraz do Tyszkiewicza, żeby go uprzedzić iż Sulatycki przyjmuje urząd naczelnika gubernji podolskiej. Tyszkiewicz idąc za radą szlachetnego swego serca oświadczył, iż gdy tylko ci którym zaprzysiągł obowiąski, zechcą uwolnić go od przysięgi, chętnie ustąpi miejsca, owszem ile to w jego mocy, będzie się starał skłonić Podolanów do posłuszeństwa Sulatyckiemu, jako mającemu najlepszą opinję pod względem zdolności i charakteru.

W istocie wziętość tego człowieka była tak wielka i

powszechna, iż cała gubernja długo nie mogła zrzec się nadziei opieranych na jego osobie, i od czasu zjazdu w Michałówce na wielu jeszcze zgromadzeniach wszczynano mowę o nim. Zgromadzenia te w północnej części Podola odbywały się ciągle pod przewodnictwem junty. Po dokonanym wyborze Tyszkiewicza w obecności kilku członków towarzystwa patrjotycznego i nawet jednego z zasiadających w juncie, właściwie komitet ten powinien był już złożyć swoją władzę; używał jej wszakże raz że żaden artykuł uchwały spisanej w Michałówce nie sprzeciwiał się temu, powtóre że wpływ dawno nabyty nie mógł być łatwo zastąpiony przez nowy porządek rzeczy. Nadto, ponieważ Tyszkiewicz był mianowany członkiem junty i wszystkie polecenia rozsyłał za pośrednictwem ułatwionych przez nią komunikacji, mniemali mniej świadomi zaszłej zmiany, że w juncie zcentralizował najwyższą władzę.

Junta na posiedzeniu swojem dnia 9 kwietnia, nakazała zjazd do Strugi dóbr Wincentego Stępowskiego w powiecie uszyckim, celem ustalenia wyboru naczelnika i ogólnego naradzenia się w interesach powstania. Stawili się tu dnia 11 kwietnia wysłańcy z powiatów: kamienieckiego, mohylowskiego, łatyczowskiego, lityńskiego i płoskirowskiego, oraz uczestnicy zjazdu w Michałówce i członkowie tak junty, jako też związku wolnych synów Podola. Mimo dostateczną wiadomość o zapadłych formalnie postanowieniach, podniosły się jeszcze głosy za Sulatyckim. Nakoniec kiedy wszyscy, którzy mieli zręczność bliżej go wyrozumieć, zapewnili iż powoływać jego jest to tylko czas tracić, zgodzono się jednomyślnie na uchwałę przyjętą w Michałówce i wykonano przysięgę, powstać za pierwszym rozkazem Tyszkiewicza.

Po zjeździe w Hubniku, Izydor Sobański, chciał przeświadczyć się osobiście o usposobieniu Sulatyckiego i znalazł go mniej gotowym, niżeli był w odpowiedzi na poselstwo A. Jełowickiego. Wymawiał się teraz że jest pilniej strzeżony przez policję i dla tego musi cofnąć dane jemu przyrzeczenie. Sobański z tą wiadomością udał się do Tyszkiewicza, i w obecności Aleksandra Jełowickiego, który nadjechał za innym interesem, powtórzywszy doniesienie o Sulatyckim, wykonał przysięgę na posłuszeństwo Tyszkiewiczowi i przyjął od niego obowiązek organizatora w powiecie olhopolskim. Odtąd nie było już wątpliwem dla żadnej strony Podola, kto jest naczelnikiem obywateli gotujących się do powstania, i od kogo należy czekać rozkazów.

Tak tedy przeszło we cztery miesiące od chwili kiedy wszystkie członki dawnej Polski, za pierwszem uderzeniem pulsu w królestwie przebiegło życie, a myśl sterująca jej siłami zatrzymała się u granic kongresowych; Ziemie Ruskie

ledwo zdołały usposobić swój wewnętrzny organizm, żeby już własnym popędem dźwignąć się i z własnego rozmysłu na drogę ogólnych losów ojczyzny wejść mogły. Dokazał tego niezmordowany patrjotyzm. Starannie kleił on wolę do woli i przez liczne szczeble zwierzchnictwa prowadząc budowę z dołu w górę, nieznacznie zgięte sklepienie zawiązał władzą. Jedna ręka miała teraz moc Ukrainę i Podole wsadzić na koń, mniej spojony Wołyń pociągnąć cały, ich przykładem. Dziwna jest a godna pilnego rozważania w każdej garstce naszego narodu praca społecznego ducha. Od dziesięciu wieków wielokroć Polskę (że użyję słów Lelewela) «to starożytne w Sławianszczyznie mrowisko, potratował napastnik i burze do szczętu prawie rozdęły, zawsze wspólna mieszkańców usilność gromadziła swój kopiec tęgą narodowości wonią przejęty.» — Któreżby z mocarstw dzisiejszych, Rosja, Austrja, Prusy, raz roztrzaskane pod walącym się tronem, choćby nazajutrz nikt nie przeszkadzał, wróciło do poprzedniego bytu? — Różnym częściom ojczyzny naszej, po rozmaitych kolejach ucisku, po wieloletniej niewoli, przyszło w rewolucji przeminionej dać próbę mrówczego instynktu. I wszędzie, w Królestwie, na Litwie, w Ziemiach Ruskich, rzuciło się zaraz obywatelstwo znosić do kupy skarb najpotrzebniejszy, szczątki zatraconej władzy. W tej trudnej robocie, każdy odłam kraju, okazał różne usposobienie robotników, różną czystość domowego materjału, ale jednaką gotowość do poświęcenia dla ogólnego dobra interesów szczegółowych. Królestwo na wzór cudzoziemski rozwijało swoją konstytucję świeżej daty. Litwa z wieśniaczym gminem poruszająca się nagle, doryweczo dawne formy godziła z obecną potrzebą: w kościołach zaprzysięgała swoje konfederacyjne akta, w powiatach stanowiła patrjarchalne tymczasowe rządy, w obozach tylko szukała ogólniejszego naczelnika. Szlachta Ziem Ruskich nie napojona obcą nauką, przez religijny przedział odcięta od innych klas ludności, pod moskiewskiem berłem zakrzepła w starym obyczaju, skoro ją ogrzał promień ojczystych nadziei, wystąpiła z najmocniejszem piętnem przedrozbiorowych czasów. Tylko w kierunku jej rozigranych uczuć swobody, tylko w pojęciach wolności, zaszła szczęśliwa zmiana. Pełna wigoru, pochopna do burzliwych uniesień, hojna, śmiała, nie rada zimno ważyć i rachować, z tym samym szyrmem sejmikowym, z tem ostrem ścieraniem się osobistego znaczenia, jak niegdyś przodkowie jawnie rozbierali moc rzeczypospolitej, tak ona w licznych zjazdach, w wielomównych naradach, tajemnie wydobywała z siebie publiczną siłę, i jednozgodnie dążyła do najskuteczniejszego środka równie powstania jak bytu — do jedności władzy. Ten zwrót umysłów stanu okrzyczanego za gniazdo bezrządu u

nas, ten postęp jego w sztuce tworzenia własnego naczelnictwa, jest bardzo pocieszającym owocem niedoli. Oby jeszcze tylko nieprzerwana nędza, nauczyła go lepiej sztuki posłuszeństwa!

Naczelnik Ukrainy i Podola lubo dopiero w drugiej połowie kwietnia został uznany zupełnie, był jednak czynnym od momentu przyjęcia obowiąsków w gubernji kijowskiej 8go, a w podolskiej 22go marca.

Przemieszkiwał on ciągle, prawie na granicy dwóch prowincji w powiecie lipowieckim, we wsi brata swego Oczeretnej. Z tego punktu środkowego wydawał dla obu instrukcje i rozkazy; stąd też wybiegał na krótko w tę lub ową stronę ilekroć wymagała tego potrzeba. O milę od Oczeretnej w Czerniawce u Krasickiego koncentrowały się interesa Ukrainy. Tu często odbywano narady, tu przysyłano raporta i pieniądze. Powiaty: lipowiecki, humański, zwinogrodzki i machnowiecki, w którym Herman i Józef Potoccy szczególniej dokładali starań, najprzód uczyniły zadość uchwale. Wyprawieni później z upomnieniem od naczelnika obywatele, pobudzili gorliwość innych. Rychło kąty jednego pokoju w Czerniawce zasypano rublami, z raportów zaś wszystkich organizatorów okazywała się pewność, iż każdy powiat mógł mieć na pierwsze zawołanie, najmniej 500 uzbrojonych ludzi. Niedługo potem, komisarze dodani Tyszkiewiczowi z Podola, przybyli z doniesieniem, że i u nich także na różnych miejscach zgromadzano podatek przepisany uchwałą, że każdy powiat gubernji podolskiej miał również w pogotowiu do 500 powstańców. Liczba ta wszędzie składała się tylko z jezdców albo strzelców zapewnionych po dworach. Dziedzic wsi przyrzekał siąść na koń ze swoją służbą domową i z drobną szlachtą w sąsiedztwie — to były hufce, które organizatorowie kładli w rachunek. Włościanie mieli być później użyci; nie zaniedbywano wszakże oswajać ich z myślą i celami powstania. Poruszenie mas należało do dalszych widoków zawsze opieranych na pomyślności pierwszego wybuchu. Były nadzieje z Galicji, z Kamieńca, z Bałty, otrzymać broń i amunicję: rozważano sposoby nadstarczenia tego niedostatku: instrukcja dla kosynierów roku 94, przepisywana skwapliwie, szła w obieg.

Podług więc najsurowszej rachuby, w dwudziestu czterech powiatach dwóch gubernji, od razu wystąpić mogło 12,000 niewyćwiczonych wprawdzie, ale pełnych zapału i męstwa ludzi. Nieprzyjaciela prawie nie było. Całe siły moskiewskie skupiły się nad Bugiem. Rydiger tak spiesznie sprowadzał do siebie Kajzarowa, że jego piechotę transportowano na wozach; Rot po nad granicą ciągnął z Mołdawji; dywizja Buska ułanów na posieleniu, nie miała jeszcze rozkazu zebrać

się w szeregi. Wyjąwszy Kijów i Kamieniec osadzone mocniejszym garnizonem, w każdem mieście powiatowem znajdowało się tylko po paręset inwalidów utrzymywanych zwykle do posługi policyjnej, a zatem po paręset karabinów dla powstańców.

Drobne załogi albo pułkowe rezerwy jazdy i piechoty, rzucone w Bałcie, w Tulczynie, w Białej Cerkwi, w Machnówce, w Skwirze i Radomyślu, były także raczej łatwą zdobyczą, niżeli przeszkodą dla powstania.

O tem wszystkiem czyliż jenerał Dwernicki nie miał potrzeby wiedzieć? — Poczty prywatne z każdego punktu przewoziły bez zawady pisma i posłańców aż do granic Galicji i Wołynia: powikłanie dawnych związków i nowej organizacji było tak wielostronne, ruch patrjotycznych zabiegów tak żywy, zjazdy obywateli a mianowicie w stronie bliższej Kamieńca tak mnogie; czyliż emisarjusz, który ocierał się już o juntę i pierwej samowolnie za jej wpływem chciał prowincję poruszyć, teraz mając prosty obowiązek dać wodzowi wyprawy sposobność porozumienia się z naczelnictwem powstania, nie mógł trafić na żadną żyłkę insurekcji ukraińsko podolskiej?

Odezwa jenerała Dwernickiego datowana 16 marca ledwo ostatnich dni tegoż miesiąca przywałęsała się do Oczeretnej. Tyszkiewicz na początku kwietnia wysłał Józefa Tomaszewskiego za Bug z doniesieniem o przygotowaniach i z prośbą o rozkaz jak ich użyć. Przez pięć tygodni w ręku naczelnika dwuch gubernji jedna tylko odezwa, która mu nic wskazać nie mogła. Nawzajem jeden tylko emisarjusz do wodza korpusu, który choćby podróżował najszczęśliwiej, dość w porę wrócić nie mógł! Otóż to jest przyczyna główna smutnych następstw i dla regularnego wojska i dla powstańców, które już poczynały rozwijać się jak z kłębka.

IX.

Jenerał Dwernicki zamiast spokojnego wytchnienia pod Zamościem, znalazł tylko trudy i niebespieczeństwa. Twierdza we wszystkiego rodzaju zapasy źle była opatrzona, cholera nawiedziła załogę i obóz, nieprzyjaciel coraz bardziej ścieśniał okręg kwaterunku i furażowania. Tol przeszedłszy Wieprz, rozciągnął się od Krasnegostawu ku Turobinowi; usiłując przeciąć drogę nad Wisłę i razem nie dopuszczać do Buga, z lewej ręki swojej posunął pułk jazdy z dwoma działami do Skierbieszowa. Korpus polski, którego koń prawie od bitwy pod Stoczkiem nie był rozsiadłany, a młoda piechota nie

zrzuciła z pleców pakunku, musiał wycieńczać się na wyprawy po żywność, na podjazdy i utarczki z plądrującem kozactwem. W zimnej i wilgotnej porze najczęściej pod gołem niebem, w szczupłym okręgu koło murów ubogiej twierdzy, trzeba było mnóstwo przełamywać przeszkód, żeby polepszyć wewnętrzną organizację i stan materjalny oddziałów. Przy tych codziennych kłopotach i pracach, przez dwa tygodnie drogiego czasu, zdaje się że jenerał Dwernicki nie miał wolnej godziny, zastanowić się dostatecznie, w jaki sposób powstaniu, a powstanie jemu może być wsparciem. Młodzież z Galicji i z Wołynia przybiegała pod chorągwie narodowe: w jej oczach i w jej słowach płonął zapał dający otuchę, że gdzie tylko wojsko nadwiślańskie stąpi na dawną ziemię polską, wszędzie znajdzie nie odrodnych braci. Oficerowie i żołnierze korpusu, słodzili sobie przykre chwile lepszemi nadziejami za Bugiem. Wódz także całem sercem pragnął zaprowadzić ich na to nowe pole sławy: mawiał że choćby z jednym żołnierzem poniesie hasło swobody prowincjom ujarzmionym. Ale co się w tych prowincjach działo, czego w pierwszej potrzebie złamania trzykroć silniejszego nieprzyjaciela, po nich samych mógł się spodziewać, o tem nie więcej wiedział jak jego żołnierze, oficerowie, i młodzi ochotnicy, którzy z nadgranicznych okolic przybywając, nie wiele umieli powiedzieć o stanie rzeczy w głębi kraju. Czekał więc nim drogi podeschną, nim nie powrócą posłańcy, do głównej kwatery i na Wołyń wyprawieni. Tak upłynęło dni piętnaście.

Nakoniec doniósł pułkownik Osiński listem z Zawichostu, że wiezie odpowiedź z Warszawy i tylko dla przeciętych komunikacji sam do obozu dostać się nie może. Rząd Narodowy przysyłał jenerałowi 200,000 w listach bankowych na jego imię wydanych. Wódz naczelny posiłków w ludziach zupełnie odmówił, a zalecał niezwłocznie za Bug ruszać. Z tej strony tedy upadły już wszelkie nadzieje: powstanie zostało jedyną podporą korpusu.

Nadbiegł też 31 marca Chróściechowski z Wołynia. Przywiózł on od znanego dobrze obywatela z nad Styru zapewnienie na piśmie, że jest gotowość do powstania i że konie dla artylerji będą nad Bugiem. — Więcej dowódzca korpusu nie żądał. Ale jak tę gotowość emisarjusz znał i przedstawiał, jakie podawał środki zastosowania jej do ruchów wyprawy? — tego z późniejszych wypadków dostrzedz nie można. Zresztą naglejsze względy militarne nie dozwalały już oglądać się na bardziej oddalone widoki. Jenerał Dwernicki musiał albo iść szukać nieprzyjaciela na Wołyniu, albo lada moment bronić się od niego w królestwie. Ponieważ więc wiatry wiosenne podsuszyły cokolwiek rozwódź, postanowił zaraz marsz rozpocząć, i polecił Chróściechowskiemu

żeby po Wołyniu i Podolu rozniósł wiadomość, że za dni dziesięć korpus polski stanie na prawym brzegu Buga. Czy jenerał wskazywał wyraźnie, co ta wiadomość miała sprawić, czy zastosowanie się do niej zostawiał przenikliwości insurekcyjnego naczelnictwa; zawsze jednak znowu cała sprawa związku między korpusem a powstaniem trzech prowincji, zawisła na majorze Chróściechowskim.

Tegoż samego dnia emisarjusz opuścił obóz, a oddziały stojące w okolicach Zamościa, odebrały rozkaz przymaszerowania nazajutrz do Nowego Miasta. Uprzednie demonstracje w stronie zachodniej twierdzy, kilka utarczek pod Starym Zamościem i rozkazy dane wójtom gmin Turobina i Gorajca żeby przygotowali żywność dla wojska narodowego, zwróciły uwagę Tola ku Wiśle. Tymczasem korpus polski 3 kwietnia stanął pod bronią i ruszył w pochód na Zwierzyniec, skąd 5 po uroczystem nabożeństwie z powodu otrzymanej wiadomości o zwycięstwie pod Dembe, ruszył dalej przez Niemirówkę i Tyszowce. 9 o drugiej z południa, czoło kolumny zbliżyło się pod Kryłów. Marsz tak był dobrze ukryty, iż zachwycono tu sotnię kozaków, z których kilku ledwo wpław uszło na drugą stronę do Krzeczowa.

Jenerał Dwernicki miał piechoty 1346, jazdy 2523 i artylerji dwie baterje: ogółem 4088 ludzi, co składało cztery brygady. Nieprzyjaciel jeszcze nie wyszedł był z błędnego mniemania o tych siłach. Tol nie śmiejąc działać zaczepnie, we 20,000 pozostał rozciągnięty nad Bystrzycą: Rydiger cofnął się od Buga do Chobułtowy ku Łuckowi, żeby całe swoje 13,000 skoncentrował. Dnia 10 kwietnia poczęto most robić i nazajutrz równo ze świtem spełniła się obietnica Dwernickiego — korpus jego stanął na ziemi Wołynia.

Wypadek ten w walce 1831, równie pod względem politycznym jak militarnym jest jednym z najważniejszych. Dopiero pierwszy raz rewolucja listopadowa dowodnie pokazała i Europie i Moskwie, że idzie rzecz nie o kartę przez Aleksandra podpisaną; ale o byt dawnej Polski. Huczne słowo «Nie masz Mikołaja» i wymównie żalący się światu manifest izb sejmowych, pozostałyby pamiątką pięknej obywatelskiej odwagi i pięknych patrjotycznych uczuć wynurzonych w czterech ścianach sali zamkowej, pozostałyby może wystawione na urągowisko jak czcze przechwałki, gdyby nie wsparł ich krok wojenny, który czczym zapędem śmiałości nie był. Nie wchodząc w rozbiór, z jakich to przyczyn wynikło, przypomnijmy sobie tylko ówczesne powodzenie sprawy naszej w polu. Szczęśliwą wycieczką naczelnego wodza, Dybicz uszkodzony i odparty od stolicy, donosił carowi że rozruchy w guberni wileńskiej wszczęte, zmuszały go skoncentrować główną armję ku granicom cesarstwa, trzymać się zatem linji

operacyjnej nad Bugiem. Tymczasem jak niewiele brakowało żeby i ta linja stała się nie podobną do utrzymania. Na północy gwałtownie rozwijające się powstanie Litwy, lada okolicznością pomyślną wsparte, mogło teatr wojny przeciągnąć nad Niemen; na południu Dwernicki był już za Bugiem. Tol musiał wracać do Dybicza, Krejca Sierawski miał na wodzy; od pobicia Rydigera przeto zależało przeniesienie boju po nad brzegi Dniepra.

Wyobraźmy teraz gdyby naprzykład dzień ukazania się polskiego korpusu na Wołyniu przed Styrem, w obliczu tego wszystkiego, czem Moskwa mogła tu opierać się Polsce zdobywającej własną ziemię, żeby ten dzień wielki, uroczysty, był dniem powstania reszty gubernji wołyńskiej, całej Ukrainy, całego Podola! Czy w takim razie Rydiger, któremu ani Rot, ani znaczna część oddziałów Kajzarowa nie mogłyby pośpieszyć w pomoc, który później niczem nie zagrożony z tylu, bez skutku jednak stoczył bitwę pod Boremlem, zdołałby nie puścić Dwernickiego w głąb kraju?

Oto jest w jaki sposób powstanie powinno było i mogło dopomódz wyprawie. Nowe pułki, konie pod artylerję, pieniądze, wszystko by znalazło się potem, pierwej zaś było daremnem marzeniem.

Okazałem w powyższych rozdziałach jak daleko organizacja insurekcyjna Ukrainy i Podola doszła w połowie kwietnia, jak jej naczelnik miał władzę i ułatwione środki dwie gubernje rozkazem, trzecią przykładem powołać do broni. Niechby tylko w każdym powiecie 500 zapewnionych powstańców jednego dnia rzuciło się na swoją gałęź carskiego rządu; niechby z dwudziestu czterech powiatów, dwunastu tylko udało się zgnieść u siebie siłę moskiewską, jużby nie mal cały cel był osiągnięty. Jeśli powaga Tyszkiewicza nie miała dosyć mocy, jeśli ziemiańska nieznajomość rzeczy wojennej, przygotowaniom zakładała kres nieoznaczony; rozkaz jenerała polskiego wyraźny i przysłany wcześnie, usunąłby wszelką wątpliwość.

Oto jest w czem wódz wyprawy powinien był i mógł najgłówniejszą przysługę uczynić powstaniu. Instruktorowie, zasiłki w amunicji, przepisy porządkowe, wszystko to stałoby się bardzo użytecznem później: pierwej myśleć o tem było daremnie.

Wyprawa nie dość silna żeby mogła sama znieść nieprzyjaciela za Bugiem, powstanie zawsze oczekujące wypadku, któryby mu wskazał dogodną porę, czemuż teraz w tej jedynej, najdogodniejszej chwili nie podały sobie ręki? Ledwie nie trzeba przypuścić że jakiś duch nieprzyjazny sprawie naszej, starał się o to aby tyle dobrych chęci, tyle gorących uczuć, poszło za nic, aby wszystko co powinno było działać

wspólnie, rozsypało się na mnóstwo osobnych, próżnych wysileń.

Major Chróściechowski siedział w Galicji; patrjoci okolic nadbużańskich nie wiedzieli nawet na kiedy mają dostawić obiecane konie; na Polesiu i w głębi Wołynia zupełna panowała cisza; emisarjusz Tyszkiewicza po za linją wojsk Rydigera szukał przesmyku do dalszej podróży jak mniemał aż pod Zamość; Ukraina i Podole krzątały się wewnątrz zwykłym trybem; gorliwy, hojny dla ojczyzny Wereszczyński, nie wiem na jaki czas sposobił także swoją legję niewidomą. Jenerał Dwernicki z garstką okrytą wawrzynami zwycięstw, ufny w narodowego ducha, który jego serce tak żywo przejmował, powierzając się szczęściu nie odstępnemu dotąd, rzucił się wśród niebespieczeństw przewidywanych od dawna, i rzekł braciom ujarzmionym: «oto jestem między wami — teraz albo nigdy.» Słowa te odbiły się o szeregi moskiewskie i zostały bez skutku. W ciasnym zakresie przed Styrem, chociażby tysiące rolników zbiegło się pod chorągiew polską, małoby na to zważał nieprzyjaciel; sam odgłos wybuchającego powstania po całym kraju za nim, odjąłby mu przytomność i odwagę.

Stało się inaczej. Odtąd pamiętne, wielkie czyny dzielnego wodza i czterech tysięcy najwaleczniejszego żołnierza, są zupełną epizodą w dziejach i kampanji i powstania, aż nim po szesnastu dniach, smutny ich koniec nie wpłynie znowu na ogólny tok rzeczy. Odtąd w prowincjach południowych, wiele współczesnych zdarzeń trzeba rozważać osobno. Poczną najprzód od wspomnień, które z bohaterskiemi kośćmi braci nadwiślańskich zostały na ziemi Wołynia *).

X.

«Jakie miał wyobrażenie Rydiger o korpusie Dwernickiego i z jakiemi siłami przeciw niemu występował, dowodzą następujące słowa rapportu Dybicza.» — Dnia «28 (v. s.) marca, oddział buntowników pod dowództwem jła. Dwernickiego, attakował naszę przednią straż pod Kryłowem, a 29 zaczął siłami bardzo znacznemi przechodzić Bug między Uściługiem a Latowiżem. Jł. Rydigier dow. 4 korpusu kawalerji rezerwowej, nie mogąc wzbronić przeprawy z siłami, które zgromadził pod Włodzimierzem, cofnął się nad Styr,

*) Następny opis umieszczam w skróconym wyciągu z artykułów Anastazego Dunina, drukowanych w Pamiętniku Emigracji Polskiej.

a to w celu skoncentrowania wszelkich oddziałów korpus jego składających, tudzież pułków pieszych 3 korpusu oddanych jego dowództwu, i posiłków dążących od pierwszej armji, dla dania tym sposobem dzielnego odporu buntownikom i rozpoczęcia kroków zaczepnych skoro tylko będzie można. W celu ułatwienia tych przedsięwzięć, naczelny wódz czynnej armji dał rozkaz jłowi. Kreutz, rzucić się z 5 korpusem kawalerji na tył korpusu Dwernickiego.»

«Siły nieprzyjaciela o których ten rapport wspomina, oprócz posiłków z 1ej armji wynosiły do 13,000 ludzi ze stosowną ilością artylerji. Jeszcze w królestwie przewidywał jł. Dwernicki jak mocnego przeciwnika spotka na Wołyniu.»

Że Gejsmar, Krejc, i Dybicz nawet, mieli zawsze korpus Dwernickiego za kilkunasto-tysięczny, że ten ostatni szczególniej stosował do tej mylnej opinji ogólne poruszenia głównej armji, na to mieliśmy liczne dowody. Rydigier był w tym samym błędzie; nie śmiał bronić przeprawy, jak powiada, i potwierdzał tę opinję cofaniem się na Chobułtowę i trzymaniem się pozycji leśnych. Rzucić się na mocniejszego przed sobą Rydigiera nazajutrz po przejściu Buga, byłoby to ze strony Dwernickiego stawić na kartę całą wyprawę. Po przegranej bitwie w cóżby się była obróciła insurekcja, którą protegować przybył, i której współdziałanie z korpusem było (to jest być powinno było) zasadą jego postępów? — Wypadało więc unikać bitwy, a że i wielkie składy moskiewskie i zamożniejsze przysposobienia znajdowały się za Styrem, najważniejszą było rzeczą, ubiedz Rydigera u przeprawy, lecz również i nie podobną; Rydigier bowiem zawsze był o dwa marsze naprzód, miał żołnierza niepotrzebującego wypoczynku i wszędzie gotowe przeprawy. Styr przecina granicę Wołynia z Galicją, płynie ku Łuckowi przez okolice mniej leśne, od Łucka do Prypeci ciągnie bieg Polesiem. Dwie były drogi do Styru: leśna na Chobułtowę i Torczyn, odkryta na Horochow i Boremel. Przewagę korpusu polskiego stanowiła jazda; Rydiger miał całą dywizję piechoty i dobrą artylerję. Iść na Chobułtowę byłoby to narażać swoją stronę słabszą, a uderzać w mocniejszą nieprzyjaciela; Dwernicki udał się przeto na Horochów.»

«Dnia 11 kwietnia korpus maszerował z Krzeszowa na Lotawiż, Zabłocie, Iwanicze do Porycka. W Lotawiżu pierwszy raz żołnierz królestwa, ujrzał włościan wołyńskich przeznaczonych na rekrutów do wojska moskiewskiego. Byli w dybach i kajdanach. Rozkuto ich natychmiast przed frontem. Jł. Dwernicki rzekł do uwolnionych: «Wolność którą odbieracie jest dziełem żołnierzy polskich, których przed sobą widzicie; oni wam ją przynoszą, powitajcie ich.» —

Zaraz wydał rozkaz do okolicznych wiosek aby wszędzie wypuszczono rekrutów, a władza miejscowa w Latowiżu natychmiast go w koło rozesłała.»

«Dochodząc do Porycka, jł. Dwernicki postrzegł za miastem ciągnący od lasu pluton kawalerji nieprzyjacielskiej. Był to patrol pułku kargopolskiego dragonów, sam pułk stał przy ogrodach za miastem. Idące w awangardzie korpusu polskiego dwa szwadrony: jeden 4 strzelców, drugi 2 ułanów, odebrały rozkaz przecięcia drogi do lasku i uderzenia na pułk. Piechota poszła zająć Poryck. Dragoni postrzegłszy kłusem idące do nich szwadrony, siedli na koń, lecz dopędzeni przez szaserów, zaraz swój cały czwarty szwadron z bagażami utracili: w rezerwie idący ułani nadbiegli na bój, i pozostałe trzy szwadrony o milę przeszło gonili; tak niepodobnem było dla oficerów wstrzymanie zapału żołnierza. Wszystko zostało rozbite: na placu padło przeszło sto ludzi, w niewolą dostało się dwieście kilkadziesiąt i 240 koni. Pułk kargopolski dragonów wsławiony w wojnie tureckiej, o trzy plutony kawalerji polskiej, rozbił swoją zabałkańską reputację. Mężny jego dowódzca, pułkownik Głazanap, zawsze ostatni w odwrocie, odebrawszy kilka ran zaledwie z niedobitkami uciec zdołał. Tak tedy pierwszy dzień wyprawy wołyńskiej korzystnie był rozpoczęty. Korpus stanął na noc w bok o wiorstę od Porycka zajętego przez część piechoty. Dywizjon kawalerji pomaszerował w rezerwie za ścigającemi dwoma szwadronami. Nade dniem wróciła kawalerja prowadząc jeńców i przynosząc razem wiadomość, iż znaczne siły nieprzyjacielskie znajdują się w Markostawach o mil dwie od Porycka. Dnia 12 zrana nowe patrole wysłane ku linji nieprzyjaciela, widziały jego kolumny ciągnące od Markostaw ku Skurczom, gdzie przenieść się miała główna kwatera moskiewska. Rydiger złudzony zrazu rekonesansem posłanym od Buga pod Włodzimierz, cofnął się był z Chobułtowy do Łokacz, żeby stosownie do poruszeń Dwernickiego, w tę lub ową stronę łatwo się mógł obrócić; teraz zaś spiesznie obchodząc prawe skrzydło korpusu polskiego, starał się zastąpić mu drogę do Styru.»

«Tegoż dnia w Lachowcu jł. Dwernicki wydał proklamację do Wołynian w następujących słowach: «Już za boską pomocą na ziemi waszej udało się nam pobić nieprzyjaciela. Pułk kargopolski dragonów dwoma swadronami naszej jazdy rozbity, w połowie jest w naszych ręku. Ufni w świętość sprawy powstawajcie wszyscy razem. Korona i Litwa walczą i zwyciężają. Przynoszę wam narodowość i dawne swobody. Teraz albo nigdy.»

«Po dostatecznem rozpoznaniu pozycji nieprzyjaciela, w d. 13 kwietnia, ruszył korpus z Lachowca dwiema ko-

lumnami. Wierzchlejski ze swoją brygadą udając się w lewo na Zawidów, Podberezie i Mirków do Horochowa; jenerał z resztą na Milatyn, Pieczychwosty i Ochłopów do Drużkopola.»

«W Drużkopolu zebrani obywatele czekali na jła. Dwernickiego; miał się z nimi porozumieć względem insurekcji, utworzenia dla kraju najdogodniejszej organizacji, słowem względem energicznego rozwinięcia zasad rewolucyjnych. Powitawszy w imieniu ojczyzny zebranych obywateli, zapytał jł. Dwernicki, czemu nie zastał koni pod artylerję, których był żądał, i w jakim stanie znajduje się insurekcja? Obywatele z swej strony oświadczyli, iż wcale nie byli uprzedzeni o czasie jego wkroczenia na Wołyń; co się zaś tyczy insurekcji, mała ich część oświadczyła się z gotowością do boju. Przytłoczeni przeważnemi siłami Rydigera nie mieli czasu czynić należytych przygotowań, nadbiegli w tajemnym zamiarze policzenia owych dwudziestu tysięcy ludzi, które według upewnień emisarjusza urzędowego, miały składać korpus obozujący pod Zamościem. Szczupła garstka wzniecała smutne przeczucie w rozpoczynających śmiertelną walkę z mściwym i potężnym wrogiem. Widać było w umysłach obywateli wielką niespokojność, którą wzmagała już radość z widoku braci, już niepewność wynikająca z braku jedności między naczelnikami powstania. Jenerał Dwernicki w imieniu rządu narodowego ustanowił 14 kwietnia władzę krajową wołyńską. M. Czackiego mianował regimentarzem województwa wołyńskiego, inni odebrali rozkaz udania się do przeznaczonych sobie okręgów dla sprawowania władzy administracyjnej, organizowania na wszystkich punktach powstania, z prawem nakazywania obywatelom dostawy koni, żywności, i t. d. Te tymczasowe rozporządzenia miały być uzupełnione po stoczonej bitwie, której się lada dzień spodziewał.»

Poczytuję za rzecz potrzebną wtrącić tu ogólną uwagę nad pojęciem, jakie podczas przeszłej wojny naszej miano o ziemiańskiem powstaniu. Sądzę bowiem że to objaśni niektóre wątpliwości względem Wołynia.

Zdobywał Napoleon kraje i zaraz stanowił w nich administrację, która dostarczała mu nowych sił zdobywczych, mógł nawet częstokroć czynić to bez wzgędu na przychylność lub nieprzychylność opanowanego narodu, kiedy jego armja zasłaniała w ślad postępującą organizację. Tak zamierzył sobie Dyktator zdobywać Polskę we 30,000 wojska, odpierając od stolicy pięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela. Naród, jego duch, i materjalne środki za linję bojową moskiewską, nie wchodziły inaczej w widoki kampanji, tylko jako zasiłek dla regularnych szeregów w miarę ich zwycięstw mający

przybywać. Zwykle po wielkim genjuszu, wreszcie po wielkich wypadkach, zostaje na długie lata dla tłumu naśladowców blask niebespieczny jak lampa dla ćmów wieczornych.
Rewolucja listopadowa, praprawnuczka lechickiej wolności, z kolebki nad którą unosił się sztandar trójkolorowy na szczerbcu Bolesławów zawieszony, dziwnie sprzecznym popędem poszła do szkoły, którą wzniósł najdoskonalszy despota, realizując wszystko co z wojennej i politycznej sztuki od Cezara do Fryderyka, od greckich sofistów do Machiawellego, celem ujarzmienia ludów wyciągnąć potrafił. Rozwinięto jej przed oczy napoleonowskie plany, kazano po napoleonowsku zdobywać i organizować, choć nie miała czem organizacji zasłaniać. Chwilowe, świetne, wcale może z innych niż mniemano przyczyn, wynikające powodzenia, przyłożyły się jeszcze bardziej do powagi błędu. Dziś nawet, dziś kiedy Polska nie ma ani jednego bataljonu, uczona teorja oburza się na tych, co szukają dla niej sposobów jakby razem i walczyć i wojsko regularne tworzyć mogła. Przeciwne tak naturalnemu prawidłu dla powstającego narodu owczesne pojęcie rzeczy, mniej było niebaczne, bo oparte na jakichkolwiek środkach, mniej występne, bo powszechne. Wódz naczelny nie wiedział nigdy coby zrobić z masami powstańców w kraju nie zajętym militarnie; jenerałowie przybywający do prowincji, myśleli tylko o formacji pułków; insurekcja sama najbardziej po instruktorów, kadry i armaty, wyciągała ręce do Warszawy, szykowała się u siebie w korpusy, kreśliła plany operacji ogólnych, szukała bitew strategicznych. Z karabinami i guzikami po zmarzłych Francuzach, ukazała się w powstaniu litewskiem jakaś mara kolumn i obrotów wojennych widzianych w 1812 roku. Wszędzie świeższe wzory ćmiły tradycję pospolitych-ruszeń, konfederackich ruchawek i dawniejszej jeszcze taktyki kiedy cały naród był wojskiem. Nikomu w czas nie przyszło do głowy, że rozsypane, przelotne albo z zasadzek czatujące garstki, mogły stać się prawdziwą odsieczą dla oblężonej armji polskiej, wybornym zakładem pułków dla niej. Nie czynię przez to zarzutów jenerałom, którzy okazali, że mieli w piersiach ducha co prędko zgadywał naturę narodowej walki, którym obozowe powietrze, koń i szabla dostarczały zawsze natchnienia. Postrzegł prędko Dembiński że lasom litewskim należało zwrócić wywabionych strzelców, ale nie zdołał uprzedzić bitwy wileńskiej. Uczuł zaraz Dwernicki że na stepach południowych, powstanie mogło rozbujać się jak wicher, ale pierwej trzeba było przełamać Rydigiera.
Cóż więc tedy przed niepewnym wypadkiem tej rozprawy, mieli uczynić regimentarze, okręgowi administratorowie, i w ogólności obywatele cząstki Wołynia przeciętej szybkim

marszem korpusu? Co właściwie znaczyły te wyrazy organizować powstanie: czy do formacji regularnych pułków zbierać lud i rekwizyta, czy tworzyć hufce partyzantów? Pierwsze potrzebowało czasu i bespieczeństwa, drugie sposobności działania, która za linję nieprzyjaciela, nie zaś w tyle korpusu polskiego znaleźć się mogła. Jeśli więc nic tu nie uczyniono, to nie dla tego że zbywało na chęciach. Było kilku ludzi, którzy zgrzeszyli jako naczelnicy spisku, zaniedbaniem wczesnych porozumień z jenerałem Dwernickim, jako patrjoci nieśmiałością osobistą, jako dawni wojskowi zawodem nadziei położonych w ich doświadczeniu; ale całą prowincję o brak gorliwości albo odwagi obwiniać nie ma słusznej przyczyny. Skoro taki obrót wzięły rzeczy, że tylko zwycięstwo mogło krajowi rozwiązać ręce, kraj musiał czekać skutków bitwy.

«Już z Drużkopola d. 15 kwietnia ruszył Dwernicki przeciw nieprzyjacielowi, i nazajutrz z całym korpusem o południu stanął w Boremlu.»

«Boremel jest małe miasteczko na lewym brzegu Styru połączone ze wsią, zabudowane na wzgórzach ciągnących się wzdłuż tej rzeki. Na pochyłościach gór są ogrody wieśniaków; na jednej z nich w stronie południowej miasta, stoi dom o piętrze, panujący nad całą okolicą, przodem obrócony do miasta, tyłem do rzeki. Ogród łączy budynek z rzeką. Główna kwatera była w tym domu, kawalerja rozłożyła obóz za miastem, piechota zajęła miasto i brzegi rzeki nad mostem przez nieprzyjaciela spalonym. Styr w tym miejscu ma do 30 sążni szerokości. Za mostem ciągnie się długa grobla na trzysta kilkadziesiąt sążni, rzucona na bagnach; dalej idzie wprost wycięta przez lasek droga do Jarosławic i Dubna. Kilkunastu strzelców przeprawiwszy się przez rzekę spędziło z grobli placówkę kozaków; na tarasie ogrodowym zatoczone trzy działa mogły ostrzeliwać groblę.»

«Rydiger tego dnia, 16 kwietnia, stał na prawym brzegu Styru w Łęcznej, w punkcie średnim na przecięciu dróg do Dubna, Łucka i Krzemieńca, w Beresteczku o 2 mile powyżej Boremla miał pułk jazdy, pułk piechoty i baterję artylerji. Niepewny miejsca przeprawy korpusu polskiego, czekał na pierwszy jego krok. Jł. Dwernicki ze swojej strony zająwszy wprost Boremel, zdawał się nie mieć innego zamysłu jak przejść rzekę po moście, który w oczach kozaków stanął przed południem 17 kwietnia.»

«Tegoż dnia rozesłał jł. Dwernicki nowe proklamacje w rozmaite strony kraju.»

«Równo ze dniem 18 kwietnia, uderzył nieprzyjaciel na posterunek polskiego korpusu w lasku za mostem i groblą. Oddział miał rozkaz cofać się do miasta w razie silnego

ataku; lecz zapał ogarnął małą garstkę naszych: młoda piechota ledwo nie pierwszy raz w rozprawie, rzuca się na przemagające siły i utarczkę zamienia w czyn bohaterski. Skoro zdołano walecznym nakazać odwrót, Moskale posunęli się za nimi na groblę. Wtedy stojące na tarasie działa dały ognia tak celnie, że wszystkie granaty pękły w gęstych kolumnach nieprzyjacielskich, które rozpierzchnione w największym nieładzie skryły się częścią do lasu, częścią za browar stojący nad błotami. W tejże prawie chwili baterja moskiewska wystąpiła z lasu i bić zaczęła na pałac boremelski, który po kilku godzinach kanonady zamienił się w piękną ruinę i miłą pamiątkę dla kraju, okrytego już tylu podobnymi pomnikami. Jeden granat wpadłszy do sali gdzie znajdował się sztab korpusu, ranił lekko majora Szymanowskiego. Moskale dwakroć zmieniali swoje baterje: cztery ich działa były zdemontowane i trzy jaszczyki wyleciały w powietrze.»

«Tymczasem coraz nowe kolumny Rydigera przybywając na drogę za rzeką kierowały się ku wsi Chrynikom. O południu pewien obywatel przybiegł z oznajmieniem że kozacy wpadli do Chrynik i spędzają ludzi do stawiania mostu. Wtedy jł. Dwernicki rzekł do otaczających go oficerów: po jutrze Styr przejdziemy.»

«Zamysł Rydigera przeprawienia się na lewy brzeg Styru zuchwały z pozoru, był tylko skutkiem przekonania się o słabych siłach korpusu Dwernickiego. Położenie wzajemne dwóch wodzów nader było ważne: Rydigier chciał położyć koniec działaniom korpusu polskiego; Dwernicki przyjął wyzwanie i pozostał pod Boremlem.»

«Dnia 19 kwietnia o 6tej zrana nieprzyjaciel zaczął umacniać się na lewym już brzegu Styru, i tyralljerami swymi osadził dębinę za wsią Nowosiłkami, gdzie stała polska piechota. Dwernicki musiał mieć się na baczności równie od Chrynik jak od Beresteczka, a nawet przewidywał że należy spodziewać się ataku przez groblę boremelską. Po 11 przed południem, kolumny moskiewskie wystąpiły na pola pod Nowosiłkami i zatrzymały się tyłem o las oparte. Postrzegł jł. Dwernicki wahanie się nieprzyjacielskiego wodza, lecz że miejsce nie było dogodne do działań kawalerji, chcąc zatem wywabić go na równinę, posunął się zrazu naprzód, a po kilku przyjętych wystrzałach działowych rozpoczął odwrót w szachownicę. Nieprzyjaciel ośmielony ruszył za nim całemi siłami, które zawierały 4 pułki huzarów, 2 pułki dragonów, dywizję piechoty, 40 dział i 2 pułki kozaków. Artylerja moskiewska spiesznie wybiegłszy, silnym ogniem raziła ustępujące kolumny. Odwrót jednak odbył się w porządku aż do pierwiastkowej pozyji pod Boremlem.»

«Obszerna równina przedzielała dwa wojska walczące. Nieprzyjaciel zajął Nowosiłki swoją dywizją piechoty i dwie baterje przed wsią postawił, drugie dwie w polu po prawej stronie wsi: za niemi w dwóch linjach dwie brygady jazdy; w rezerwie pod dębiną zatrzymał jednę baterję z brygadą huzarów, a na każdym skrzydle rezerwy miał po jednym pułku kozaków.

«Zaraz stanąwszy na pozycyj jł. Dwernicki rozkazał otworzyć ogień swojej artyllerji, i gdy jazda moskiewska śmiało następująca zmięszała się od skutecznych strzałów, nakazał ogólny atak pierwszej linji. Cztery dywizjony uderzyły na nieprzyjaciela: ruch ten wykonany był z taką natarczywością, iż w mgnieniu oka rozbite obie linje huzarów, odsłoniły dwie baterje artyllerji, które po jednym wystrzale kartaczowym, jazda polska przeleciawszy, uderzyła już za linją działową na brygadę dragonów. Nic nie zdołało oprzeć się zapędowi: nieprzyjaciel kłuty lancami pierzchał aż pod dębinę. Tu dopiero baterja rezerwy rozwinęła ogień kartaczowy, a wsparta nagłem natarciem będącej przy niej brygady huzarów, zmusiła naszych do odwrotu. Rozbite poprzednio pułki huzarów i dragonów szybko formując się po bokach, usiłowały odciąć cofające się dywizjony: wszczęło się wielkie zamięszanie: waleczność żołnierza polskiego uczyniła nieprzyjacielowi kosztownym chwilowy tyrumf, lecz nie zdołała utrzymać swojej zdobyczy. Baterje moskiewskie odbiegły do swoich i jedna stanąwszy w środkowej pozycji, druga połączywszy sie z rezerwą, rozpoczęły rzęsisty ogień.

«Wówczas posunął się jł. Dwernicki z drugą linją, i zasłoniwszy odwrót pierwszej, uderzył na kawalerję nieprzyjacielską pomykającą się całą masą. Po krótkiem starciu się, złamały się szeregi moskiewskie. Pierwsza linja polska sformowana, natychmiast wsparła drugą: nieprzyjaciel tył podał uchodząc częścią w dębinę, częścią na błota. Pułk szczególniej księcia Oranji będący w arjergardzie trupem usłał plac bitwy. Baterja środkowa dostała się w ręce naszych; trzy działa zdemontowane pozostały na miejscu: zwycięstwo wzniosło było sztandar nad szczupłą garstką walecznych. W tem pada koń pod Dwernickim rażony w nogę: dragoni obskakują jenerała wołającego na swoich «żołnierze do mnie!« Dywizjon 4go ułanów rzucił się z prawego skrzydła i odbił dowódzcę korpusu: porucznik Baum podał mu swego konia; ale przerwany zapęd nie odniósł zupełnego skutku. Jazda polska prowadząc jeńców mimo wsi Nowosiłek, wytrzymała jeszcze ogień artylerji i sformowała się na zwyczajnej swojej pozycji. Taki był koniec dwóch pierwszych uderzeń między głównemi stanowiskami stron walczących.»

«Tymczasem wzmagał się bój nad groblą. Zaraz od początku bitwy, baterja nieprzyjacielska z za browaru zaczęła działać na pałac boremelski. Kule jej ciężkiego kalibru dochodziły aż za kościół i szkodziły prawemu skrzydłu korpusu polskiego. W momencie zaś rozprawy na polu, zapewne skutkiem skombinowanego ataku, brygada jegrów leżąca za browarem, pod zasłoną swej artyllerji, uderzyła na most. Dwernicki wysłał na ten punkt majora Szymanowskiego, z plutonem artyllerji porucznika Sobańskiego. Szymanowski zastał już piechotę moskiewską rzucającą kładki na pale mostowe, mimo gęsty ogień bataljonu broniącego przeprawy. Chwila była bardzo ważna. Dwa działa polskie uderzyły kartaczami w ściśnioną kolumnę moskiewską na grobli; brygada uciekła zostawując trzecią część swoją trupem.»

«Na placu boju krótką przerwę poruszeń zapełniał nieprzyjaciel ogniem armatnim. Jł. Dwernicki dał rozkaz majorowi Wierzchlejskiemu stojącemu w stronie Beresteczka, zostawiwszy szwadron na pozycji, połączyć się z korpusem. Wkrótce kawalerja nieprzyjacielska wystąpiła znowu w szyku bojowym na linję wsi Nowosiłek, i w ściśniętych kolumnach rozpoczęła trzeci atak. Dwa plutony artyllerji polskiej podbiegły w odstępy szwadronów, aby nadchodzącego nieprzyjaciela przyjąć kartaczami. Lecz i piechota moskiewska dotąd nieczynna, wyruszyła z wioski na drogę do Boremla. Zdaje się że tem poruszeniem Rydigier chciał zdecydować bitwę i wziąść Boremel. Wówczas gdy na łamiące się od ognia kartaczowego szeregi pułków, szczególniej Archyrskiego i Olhopolskiego huzarów, uderzyły obie linje Dwernickiego, jenerał wziąwszy dwa dywizjony jazdy, osobiście poprowadził je na piechotę. W mgnieniu oka rozbity został pierwszy bataljon, inne bliższe wsi, spiesznie z dział moskiewskich rozwinęło do nacierających dywizjonów morderczy ogień kartaczowy, który trwał kwadrans. Niewłaściwość broni nie dozwalała zamyślać o wzięciu Nowosiłek, chociaż w tym momencie linja jazdy polskiej znajdowała się po raz trzeci pod dębiną, rozpędziwszy jak zwykle nieprzyjaciela na błota i lasy. Mięszająca się do walki burza z ulewą i gradem poczęła uciszać się razem z ogniem armat. Nieprzyjaciel postrzegłszy Wierzchlejskiego zajmującego pozycję pod Boremlem, pozostał w miejscu; jazda polska uszykowała się na pobojowisku; dzień już był przy schyłku kiedy jenerał Dwernicki wracając do Nowosiłek ukazał się przed frontem swych linji i dziękował wojsku za ścisłe wykonanie rozkazów. Okrzyki: niech żyje ojczyzna! niech żyje jenerał! tłumiły słowa dowódzcy. Trębacze zagrali pieśń narodową. Tej uroczystej radości słuchał nieprzyjaciel w milczeniu, o strzał armatni od placu bitwy oddalony.»

«W nocy z 19 na 20 kwietnia, korpus polski cichym marszem udał się do Beresteczka i przeprawił na drugi brzeg Styru. Kawalerja i artyllerja w bród przeszły. Tym sposobem Dwernicki prawe swoje skrzydło zabespieczył; Rydiger nie dotrzymał obietnic wcześnie posłanych Dybiczowi, sam pozostał na tej stronie Styru, na której przeciwnika miał zniszczyć. Taka zamiana pozycji była już prawdziwą wygraną i świetnym czynom oręża pod Beremlem nadawała wagę zwycięstwa.»

«Zbliżenie się ku granicy galicyjskiej, które wynikało przed bitwą z kierunku odpowiedniego składowi korpusu słabego w piechocie, po bitwie zaś z konieczności, było nadto dopełnieniem instrukcji naczelnego wodza. Kazał on jłowi. Dwernickiemu aby przeszedłszy Bug, trzymając się granicy dążył jak najśpieszniej do Kamieńca. Na tej drodze, którą za mniejsze złe uważać można, znalazł się rzeczywiście korpus, lecz wtedy, kiedy po przejściu Styru, zmieniając systema zaczepne na zaczepno-odporne, już nie wspierał powstania, ale sam od niego wsparcia potrzebował. Jeśliby się zdawało komu, że pierwej Krzemieniec koncentrujący siły powstania na Wołyniu, powinien był pociągnąć, ku sobie jła. Dwernickiego, należy zważyć, czy mógł Dwernicki z Beresteczka zmierzać do tego punktu, kiedy Rydiger miał do niego z Boremla prostszą i o połowę bliższą drogę. Gdyby podobna było w nocy z 19 na 20 naprawić most pod Boremlem, Dwernicki byłby przeszedł rzekę w oczach Rydigiera i flankowego marszu uniknął. Lecz przypuściwszy nawet iżby gwałtowny marsz zdecydował w tej mierze, nikt nie zaprzeczy, że utrzymanie miasta leżącego jak gniazdo między górami, przeciwko nierównie liczniejszej artyllerji, było niepodobieństwem. Co do insurrekcji, lubo wszędzie na Wołyniu zjawienie się żołnierza polskiego wzniecało najżywszy entuzjazm, wiara wszelako w możność powstania stygła, szczególniej na przestrzeni tych mil kilkanastu, na których mierzyły się dwa wojska. Na Podole wzywały świetniejsze nadzieje, tam zmierzał spiesznie Dwernicki i w tym celu d. 20 kwietnia, to jest nazajutrz po bitwie, zrobił marsz 48 werstowy.»

Nie jest tu miejsce roztrząsać krytycznie wszystkie obroty jła. Dwernickiego, na każdym kroku oznaczone męstwem żołnierza, przytomnością wodza w boju. Ale muszę napomknąć że z kierunku jaki wziął od Boremla, głównie wynikły następne nieszczęścia. Instrukcja naczelnego wodza mogła być najmniejszą zawadą: umiał jł. Dwernicki przestąpić wyższy rozkaz, kiedy zamiast 1500 ludzi, cały swój korpus poprowadził, gdzie potrzeba ojczyzny tego wymagała; jakiekolwiek więc inne powody znagliły go, czy od samego Boremla, czy od Beresteczka zmierzać nad granicę Galicji,

zawsze przez to spotkał się z Rotem. Przeciwnie gdyby był zdołał przemknąć się w stronę Łucka, albo Żytomierza, nie miałby koło siebie tyle nieprzyjaciela, odciągając siły moskiewskie od Kamieńca, największą dałby pomoc powstaniom Podola i Ukrainy które chciał wspierać; walcząc w głębi kraju, nie uległby nigdy boleśniejszej ostateczności nad tę która go czekała.

«Dnia 20 kwietnia korpus przybył do Chocimia, 21 przeszedł Radziwiłłów, 22 wieczorem stanął w Podlisicach o dwie mile od Krzemieńca, gdzie się już Rydiger znajdował. Awangarda moskiewska ukazała się wkrótce o pół mili tylko od polskiego obozu w Wiśniowcu. Z Podlisic wysłał jł. Dwernicki z odezwą na Ukrainę Stefana Zapolskiego, obowiązując go nadewszystko do ciągłych z korpusem korrespondencji, sam zaś 23 na noc stanął w Kołodnem. Wnet przybył tu M.*** S.*** dawny oficer gwardji strzelców konnych, i oznajmił, iż część korpusu Rota, z Kamieńca na Satanow i Manuczyn ciągnie ponad Zbruczą, a sześć pułków piechoty i pułk kirasjerów korpusu Kajzarowa, na Międzyborz i Stary Konstantynów, i że z ostatniemi rozminął się o trzy mile przed Kołodnem. Te wieści sprawdzone, komplikowały bardzo położenie korpusu i zapowiadały przecięcie drogi ku Podolowi. Gdyby Dwernicki z Podlisic nie na Kołodno, lecz bliżej był omijał Krzemieniec, jużby 23 znajdował się między Rydigerem i Kajzarowem, nie mogąc ich połączeniu się zapobiedz. — Dnia 24, drogą którą przyszedł korpus polski od Starego Oleksinca, podstąpiła kawalerja nieprzyjacielska w znacznych kolumnach. Po uczynieniu rozporządzeń od strony nieprzyjaciela jł. Dwernicki wróciwszy do obozu, zaprosił do siebie obywateli znajdujących się w Kołodnem, i wezwał aby podpisali akt narodowego powstania; chciał bowiem opuszczając Wołyń, zostawić w nim rewolucję i wojnę. Ta myśl zadziwiła upadłych na duchu (naturalnie): porównywając siły numeryczne dwóch wojsk, policzono prawie na godziny byt korpusu polskiego, aktu nie podpisano.»

«Po słabej demonstracji, jazda moskiewska zatrzymała się na swojem stanowisku przed Kołodnem, korpus zaś pociągnął spiesznie nad wieczorem i po całonocnym marszu, 25 kwietnia o 10tej zrana przeszedłszy wieś Koślaki, zatrzymał się przy karczmach lulinieckich. Wnet kozacy poczęli turbować straż tylną, a na lewem skrzydle ukazywały się liczne kolumny moskiewskie, szybko dążące do małej wioski o wiorstę odległej. Jł. Dwernicki dał rozkaz do marszu, sam zaś przebiegłszy dębinę, postrzegł dogodną pozycję i sformował się na niej do przyjęcia bitwy. O parę wiorst od tego miejsca rzeka Zbrucz bierze początek i obszernemi błotami oddziela Galicję od Podola; pół godziny przeto mar-

szu naprzód, skompromitowałoby korpus. Nieprzyjaciel dwakroć rozwijał swoje kolumny, lecz jak się pokazało nie myślił zaraz wydać bitwy. Główny jego korpus przeszedł Lulińce i po krótkiej demonstracji cofinął się do Moskalówki. Jenerałowie moskiewscy zdaje się że chcieli zastraszyć dowódzcę polskiego okazaniem roztasowanych na równinie sił swoich, a razem wywabić go z mocnego stanowiska. Rot i Kajzarow byli już połączeni z Rydigerem. Rot stał nad Zbruczą na drodze do Kamieńca o milę od Luliniec; część korpusu Rydigera i korpus Kajzarowa składały środek, reszta korpusu Rydigera dotykała granicy galicyjskiej, przecinając we wsi Koślakach drogę napowrót do Kolodna; w nocy jednak środkowy oddział usunął się z Moskalówki i zostawił wolne przejście w tę stronę. Obóz polski noc tę i dzień następny przepędził w niedostatku żywności i furażu. Jł. Dwernicki dawszy rozkaz aby jeden dywizjon jazdy był gotów do marszu, wezwał do siebie dowódzców oddziałów. Pierwsza to była rada wojenna w korpusie od początku kampanji. Korpus był w oblężeniu: głód, słota i cholera uderzyły na niego pod Lulińcami; nadto dawał się przewidywać brak amuncji. Smutny stan rzeczy przedstawiali dowódzcy oddziałów na radzie, dodając iż są gotowi spełnić wszelkie rozkazy. Jenerał ze swojej strony oświadczył im wdzięczność za gotowość do bitwy, której się na dzień jutrzejszy spodziewał.»

«Jakiż w tej chwili mógł mieć zamiar dowódzca korpusu polskiego? Opuścić pozycję i rzucić się w głąb kraju na Moskalówkę, było to pójść tam właśnie gdzie go nieprzyjaciel wyciągnąć pragnął. Marsz ponad Zbruczą był już niepodobnym. Jedna więc tylko pozostała droga nazad do Kołodna na Koślaki, zajęta już przez dywizję kawalerji i brygadę piechoty moskiewskiej. Ten ruch mógłby się udać o tyle, o ile był oddalony środek aby na czas bitwy nadbiedz nie mógł. W tym celu wysłał Dwernicki na zwiady pod Moskalówkę Lewińskiego, który przed północą wróciwszy, już cofał się przed awangardą moskiewską spiesznie następującą; cały więc środek zmierzał nazad ku Lulińcom. Ten ruch zdecydował położenie korpusu polskiego. Dwernicki pozostał na pozycji i nieprzyjaciela przyjąć postanowił. Ledwie upłynęło kilka godzin, zaszła nowa okoliczność zmieniająca zupełnie postać rzeczy. Strażnicy nadgraniczni i posłaniec od pewnego obywatela z Galicji, przybiegli z oznajmieniem, iż znaczne oddziały jazdy moskiewskiej przeszły granicę austrjacką po obu skrzydłach korpusu, i że kilkunastu kosynierów broniących im przejścia ubito. Wkrótce przybyli oficerowie wojsk austrjackich z wyrzutami, iż oparcie się korpusu polskiego o granicę, zniewoliwszy Moskali

do przejścia jej, stać się jeszcze może powodem do wojny Austrji z Rosją. Jł. Dwernicki odpowiedział, iż jakiekolwiekby stąd nieporozumienia między dwoma dworami mogły wyniknąć, z miejsca nie ruszy. W tem nadbiegł od frontu trzeci rapport, że dwóch parlamentarzy moskiewskich żąda mówić z dowódzcą korpusu. Był to tylko wybieg ze strony nieprzyjaciela dla zwłoki. O godzinie 6tej zrana zaledwie mgła opadła, dały się widzieć rozwinięte kolumny moskiewskie w około szczupłego zakresu, który zajmował korpus polski. Skrzydła jego mocno były zagrożone: w środku lasek dębowy stanowił punkt oporu ledwo na kilka minut, odwrót mógł być łatwo stracony. Przeważny nieprzyjaciel stał nieczynnie przeszło 20 minut, nareszcie dywizja strzelców moskiewskich ruszyła do ataku na dębinę. Jł. Dwernicki rozkazał odwrót i przejście granicy galicyjskiej. Cofniono się w porządku bez straty; tylną dopiero straż dopadłszy dywizja huzarów już na ziemi galicyjskiej, kilkudziesiąt ludzi zrąbała. Sformował więc natychmiast swoję jazdę Dwernicki i lancami kazał odeprzeć nieprzyjaciela. Nakoniec nadbiegł pułkownik austrjacki z szwadronem kawalerji węgierskiej i wstrzymał kolumny moskiewskie.»

«Ten jest opis wypadków 27 kwietnia kończących zawód korpusu jła. Dwernickiego. Świetne jego powodzenia przeminęły jak piękny sen rewolucji listopadowej. Po przejściu Buga mając cały korpus Rydigera, mocny szczególniej w piechotę w Włodzimierzu o 2 mile od przeprawy, musiał zaniechać projektu rzucenia się na Polesie. Wybór Boremla do przejścia Styru, dowodzi że jenerał Dwernicki myślał o środkowych powiatach Wołynia; lecz z pod Beresteczka nie mógł pójść na Krzemieniec, a tem mniej na Dubno. Od utopienia Rydigera w Styrze zależał los ogólnego powstania, a w dniu 19 kwietnia kilka tylko bataljonów piechoty brakowało do tego. Nie mogąc pobić nieprzyjaciela w samem ognisku przysposobień insurekcyjnych, korpus polski oddał jednak usługę dla Wołynia, Podola i Ukrainu, ściągając na siebie wszystkie siły, jakie Moskwa miała nie tylko w prowincjach południowych polskich, ale i w północnych tureckich. Przyczyn więc niepowodzenia insurekcji w tych prowincjach, szukać będzie historja w obojętności, z jaką wódz naczelny uważał korpus przeznaczony im w pomoc, i w nieszczęśliwym wyborze agenta urzędowego.»

XI.

Smutny los korpusu, po którym Polska i Europa nawykły spodziewać się więcej, niż w miarę sił jego oczekiwać należało, zadał pod względem moralnym niezmierną klęskę całej ojczyznie naszej, bezpośrednio zaś dotykał Ziem Ruskich. Co dzień jedenasty kwietnia przyniósł dla nich bezużytecznie, tego dwudziesty siódmy nie mógł odebrać bez zgubnych skutków. W dniu tym zrywała się nagle nić utrzymująca na wodzy kilkanaście tysięcy nieprzyjaciela, który mniej był szkodliwy dawniej w odległych swoich stanowiskach, niż teraz, gdy z jednego punktu miał dowolny kierunek na wszystkie strony. Nadto nie pękały razem ogniwa, któremi wódz korpusu starał się ciągle insurekcją przywiązać do swoich obrotów. Równie wkroczenie jła. Dwernickiego na Wołyń, jak jego wejście do Galicji, było dla prowincji południowych zaocznem, że tak powiem, przywołaniem i roztrzygnieniem ich sprawy. Dopiero po zapadłym wyroku, większa część stron interesowanych dowiadywała się, że były wzywane; dopiero tryumf ciemiężców oznajmił im, że obrońca broń złożył.

Jedno tylko Polesie wołyńskie dźwignęło się w porze właściwej; lecz że i w tej okolicy wypadki nie miały związku z działaniem korpusu, powiem o nich w następnej części poświęconej opisowi poruszeń zbrojnych.

W środku Wołynia, ledwo na widok rannych Moskali wiezionych z pod Boremla domyślano się że Dwernicki Bug przeszedł: czekano więc póki się zbliży, zakładano powstaniu termin, przed którym wybiła ostatnia godzina wyprawy, a wtedy inne okoliczności burzące nagle porządniejszą organizację w prowincjach sąsiednych, rzuciły i tutaj zamięszanie, które wielu przewodnikom zmowy odebrało resztę odwagi.

Podole i Ukraina, bardziej oddalone od teatru zdarzeń, które powinny były kierować krokami ich wielkiego spisku, szły ciągle raz obranym torem, aż nim nieprzewidziane wypadki nie położyły kresu planom i namysłom.

W połowie kwietnia — w tych kilku dniach, kiedy najwłaściwsza nastręczała się pora zmowę w czyn zamienić — robota związków była już wprawdzie całkowicie skończona przez powszechne uznanie jednego naczelnika (patrz wyżej); lecz jak naczelnik obejmował po większej części gotowe przysposobienia, tak też z oddaniem jemu najwyższego steru, nie mogła od razu ustać potrzeba cząstkowych narad i zabiegów. Stąd wynikło, że mianowicie w północnych powiatach Podola, gdzie przędzej dosięgał wpływ wszelkich

wypadków majacych źródło w Warszawie, troskliwość pojedyńczych osób poruszała nieraz kwestje, wedle ścisłego pojęcia nowej organizacji, wyłącznie podległe decyzji Tyszkiewicza. Junta ciągle powoływana do czynności, nie tylko nie myśliła o rozwiązaniu swego składu, lecz działając w małym komplecie uważała nawet za rzecz przyzwoitą starać się o siódmego członka do wielkiej swojej rady na miejsce Sulatyckiego, który należeć do towarzystwa i jego komitetu odmówił. Od zjazdu w Michałówce do chwili kiedy machina spisku rozprzęgła się na wielu punktach, to jest od 22 marca do 27 kwietnia, nic nie zaszło ważniejszego w czem by junta nie miała bezpośredniego udziału; dopiero potem tłum zwikłanych i sprzecznych okoliczności zwalił się ryczałtem na głowę samego tylko naczelnika.

Skoro ostatnich dni marca poczęły przybiegać wieści w okolice Kamieńca, że jł. Dwernicki stanął pod Zamościem, wprzód nim Tyszkiewicz otrzymał w Oczeretnej pierwszą jego odezwę i w skutek tego wyprawił od siebie emisarjusza, junta zajmowała się już widokami blisko dotykającemi sprawy podniesienia broni. Powołano z liczby stowarzyszonych Podolan wszystkich dawnych wojskowych, i polecono im naradzić się wspólnie względem ogólnegu kierunku i szczególnego urządzenia siły zbrojnej. Miejsce zjazdu naznaczono dla nich we wsi Gliniańcu w powiecie bracławskim, aby podobniż delegowani z Ukrainy, mogli łatwo połączyć się z nimi. Komisarsze podolscy wysłani do Tyszkiewicza z obrachunkiem sił podanym przez organizatorów powiatowych, .donieśli mu o tem.

Dnia 31 marca, naczelnik z kilku oficerami z Podola i Ukrainy przystąpił do tej ważnej narady: w jaki sposób rozpocząć i dalej prowadzić powstanie, żeby na rozległej przestrzeni ruch zbrojny razem obudzić, do pewnego planu zastosować, i z ziemian po domach swoich ukrytych, prędko złożyć regularną, stałą kraju i następnych w nim formacji zasłonę? — Były rozmaite projekta i zdania; ściślejsze wszakże rozważenie środków dało poznać, iż należy zrazu rachować tylko na obliczone najściślej siły, temi uderzyć w każdem miejscu na załogi i władze moskiewskie, a później dopiero oddziały w gromadniejsze hufce ściągać i stanowiska militarne zajmować. Jeden z obradujących, członek junty i pierwszy niemal twórca towarzystwa patrjotycznego na Podolu, a przytem oficer niegdyś kwatermistrzowstwa, wypracował plan stosowny do tak uporządkowanych widoków. Podług tego planu, główny korpus powstańców miał zająć pozycję wzdłuż Dniestra od Żwańca do Małego Mohylowa. Jedno skrzydło oparte o granicę austrjacką ułatwiałoby dowóz broni i prochu z Galicji; drugie zajmując gościniec bra-

cławski utrzymywałoby kommunikacje z Ukrainą; środek stawiłby czoło przeciw wojskom moskiewskim spodziewanym z nad Pruta. Rydigier bowiem wyciągnął już był zupełnie na Wołyń, a Rot jeszcze nie znajdował się na Podolu. Kraj górzysty i leśny odpowiadał wybornie zamiarowi. Nadto, autor planu nie spuszczał i tego z uwagi, iż w tej okolicy lud prosty jest po większej części katolickiego wyznania; w jego zatem niewątpliwej przychylności ku sprawie polskiej, i w pomocy licznych klasztorów, upatrywał rozsądnie niemałe korzyści. Plan został przyjęty.

Dla rozpoczęcia powstania w każdym powiecie albo nawet w kilku osobnych punktach każdego powiatu, potrzeba było najprzód dowódzców cząstkowych; dla skupienia później wielu oddziałów w jeden korpus i komenderowania armję mającą już swoje skrzydła i środek, trzeba było ogólnego wodza. Wybór dowódców cząstkowych zostawiono powiatom; mianowanie wodza należało wprawdzie do atrybucji naczelnego organizatora, ale ponieważ chciał w tem zasięgnąć zdania wojskowych, podawano więc różnych kandydatów: między innymi, Wacława Rzewuskiego sławnego ze swoich wędrówek rycerskich po Arabji; Kozłowskiego jenerała wojsk ros. znamienitego partyzanta, zamieszkałego na Ukrainie, i jak się zdawało życzliwego sprawie polskiej; Kołyszkę starego towarzysza Kościuszki, jenerała znajomego w powstaniu 1794. Za tym ostatnim było najwięcej głosów. Tyszkiewicz w czystem swojem uczuciu patrjotycznem, zawsze z największą radością wyobrażał tę chwilę, kiedy oddawszy władzę w ręce doświadczonego wojownika, sam jako prosty powstaniec wejdzie pod jego rozkazy; lecz gdy na nim miała pozostać odpowiedzialność za wybór takiego męża, ociągał się z wyrzeczeniem swojego zdania. Wstrzymywała go przytem nadzieja, że może lada moment jenerał Dwernicki w skutek próśb posłanych przez Tomaszewskiego, zaradzi wszystkiemu; w ostatku, rachował wiele na samegoż autora planu, spodziewał się, że dodany za szefa sztabu komukolwiek, naprzykład Rzewuskiemu, całą rzecz szczęśliwie poprowadzi. Spokojny więc z tej strony, dobierał w myśli rząd cywilny, który miał zasiąść w Kamieńcu, deputowanych na sejm do Warszawy wyprawić, i tymczasową administrację w imieniu rządu narodowego ustanowić. Wszystko tedy dosyć dobrze było ułożone; lez kiedy miało stać się na jawie? — tego zapytania rada wojenna nie umiała jeszcze rozstrzygnąć: rozjechała się, odkładając namysły w tej mierze do wyraźniejszych jakich wypadków, do nowych wiadomości z nad Buga.

W tymże czasie, dwóch ludzi, po których można było spodziewać się albo nawet wymagać takich nowin, znajdowało się już nad granicami prowincji południowych. Dnia

31 marca Chróściechowski wyjechał powtórnie z obozu pod Zamościem; tegoż dnia Denisko wracający z Warszawy przemknął się z Galicji na Podole. Zaprawdę, jeśli los czterech tysięcy starego żołnierza i czterech miljonów własnego narodu, nie był obojętną rzeczą dla ojczyzny; jeśli wyprawa za Bug i powstanie między Bugiem a Dnieprem, zasługiwały na pieczołowitość naczelnego wodza, i rządu narodowego Polski — obadwa emisarjusze powinni byli nieść tak jasne, troskliwie rozmyślone i zgodne z sobą polecenia, iż którykolwiek by z nich przybył, powstańcy mogliby już wiedzieć czego się trzymać, do czego swoje przedsięwzięcia stosować. Jednak Chróściechowski miał tylko rozkaz od jenerała Dwernickiego donieść, że 10 kwietnia korpus wkroczy na Wołyń; Denisko ze stolicy, skąd temuż jenerałowi dawano rozkazy, wracał jeszcze z ową tylko odpowiedzią: radźcie się swego sumienia. Pierwszy ugrzązł nad Styrem; drugi stanąwszy przed juntą, opowiedział szczerze jak był przyjęty od Dyktatora, co słyszał na radzie wojennej po litwie grochowskiej, i za cały skutek swego poselstwa złożył egzemplarz proklamacji do mieszkańców ziem zabranych, drukowanej w Warszawie.

Junta uwiadamiając swoich związkowych o powrocie oczekiwanego niecierpliwie wysłannika, nie chciała rozgłaszać wszystkich jego doniesień. Ciekawość powszechną zaspakajano ogólnem zapewnieniem o dobrym stanie rzeczy i zmyśloną pogłoską, iż rząd narodowy przysłał chorągwie z orłem białym i pogonią. Tajemnica wszakże poczęła zwolna wydobywać się na jaw: sąd względem potrzeby powstania zostawiony sumiennemu przekonaniu, stawał się powodem niewczesnych rozpraw. Mimo przeważną większość takich, którzy mieli już dawno ustaloną wolę, wkrótce jednak kiedy sama zwłoka i różne rozterki poczęły niepokoić umysły, trwożliwi tem łacniej upadali na duchu, odważni a zniecierpliwieni, tem pochopniej rzucali się do Galicji.

Nim zewnętrzny wpływ sprawił żywsze wstrząśnienia w obrębie toczącej się zmowy, delegowani na radę wojenną do Gliniańca, przywieźli i puścili w obieg jej uchwały. Po wszystkich powiatach północnych Podola, organizatorowie zgromadzali stowarzyszonych, dla wyboru dowodzców cząstkowych, obliczenia szczegółowego sił w każdej okolicy, wytknięcia dla nich na chwilę podniesienia broni punktów schadzki, i t. d.

Dnia 11 kwietnia, w podobnym celu odbył się jeden z liczniejszych zjazdów w powiecie uszyckim, w Strudze (str. 322). Oprócz zatwierdzenia władzy Tyszkiewicza, roztrząsano tutaj kwestje organizacji miejscowej. Lubo obrachunek posłany w końcu marca naczelnikowi, pokazywał tylko 500 ochotników pewnych w każdym powiecie, marszałek Leon

Stempowski, naznaczony dowódzcą sił uszyckich, oświadczał, iż do 1000 ludzi poruszyć zdoła.

Tegoż dnia, organizatorowie powiatu latyczowskiego, zgromadziwszy swoich współobywateli, przystąpili do obrad. Rozdzielono powiat na okręgi, mianowano dozorców, którzyby objeżdżając domy w każdym okręgu naocznie przeświadczali się o postępie przygotowań; zebrano na listę niewątpliwych sił 696 koni; dowództwo w polu całego powiatu oddano Jakubowi Nagórniczewskiemu, porucznikowi w w. pol., który ciężko ranny pod Lipskiem w 1813, porzucił służbę i mieszkał na Podolu.

W dniu więc kiedy już jł. Dwernicki odnosił korzyść na Wołyniu pod Poryckiem, Podolanie oczekując jeszcze nowin o nim z pod Zamościa, urządzali się do walki na moment spodziewany prędzej lub później, ale niewiadomy. Pewniejszego coś w tej mierze miało dopiero ułożyć się na walnej naradzie, do której podawała się bardzo dogodna i bliska sposobność. Uciążliwe rozkazy Dybicza dostarczenia dla armji działającej z samego Podola mnóstwa rekwizytów, a mianowizie 10,000 wołów karmnych, oraz 5000 powózek z zaprzęgiem i pogońcami, były powodem, iż marszałek gubernjalny musiał zwołać do Kamieńca wszystkich marszałków powiatowych i po dwóch delegowanych z każdego powiatu, celem przedsięwzięcia środków, jakby i rządowi dogodzić i ulgę u niego wyjednać. Wielu marszałków należało do spisku; jeśli z nich który nie miał udziału w sprawie powstania, starano się związkowych wyprawić w delegacji przy nim. Tak więc obok publicznych narad administracyjnych, miały odbyć się tajemnie ostateczne układy patrjotów. Zjazd ten, w opowiadaniach powstańców zwykle wołowym zwany, nakazany był na dzień 18 (6. v. s.) kwietnia.

Tymczasem naczelnik, do którego szczególniej należało upatrzyć porę i naznaczyć termin powstania, niewięcej był świadom odległych a ważnych wypadków. Zaraz po naradzie wojennej usłyszawszy o przybyciu Deniski, rozesłał wprawdzie po Ukrainie rozkazy, żeby wszystko było w pogotowiu, i pełen nadziei iż emisarjusz przynosi z Warszawy instrukcje najlepiej zastosowane do ogólnego toku walki, pośpieszył ku granicy austrjackiej dla widzenia się z nim osobiście; lecz w Międzybożu dowiedział się dokładnie iż nie miał poco jechać dalej. Tomaszewski wysłany do Dwernickiego, z drogi swojej przez Wołyń dawał częste doniesienia; później, skoro trafił na linję Rydigera i nie mogąc przedrzeć się prosto, przedsięwziął okrążyć wojska moskiewskie żeby aż przez Galicję dostać się do korpusu polskiego, nie było już żadnej o nim wiadomości. Wśród tej niepokojącej ciszy (około 15 kwietnia) z różnych stron przybiegali

do Oczeretnej organizatorowie i znakomitsi patrjoci, pragnąc upewnić się w rzeczach obchodzących każdego, kto swoje starania chciał zastosować do ogólnych widoków. Częstokroć wedle miejscowych okoliczności podawane uwagi, z przypuszczeń wyciągane wnioski, w potocznej rozmowie kreślone na prędce układy, musiały zastępować do czasu brak stałej rachuby, i mogły nieraz dać powód do mylnych albo niezgodnych z późniejszemi postanowieniami wyrozumień.

Izydor Sobański po przyjęciu obowiąsku organizatora powiatu olhopolskiego, wracał od Tyszkiewicza z przekonaniem (którego dziś nie odstępuje) «że pierwsza dokładna wiadomość o wejściu Dwernickiego na Wołyń będzie hasłem powstania dla Ukrainy i Podola.» — Obok zaś jest dowód, iż Tyszkiewicz, jak jeszcze nie przewidywał kiedy mu przyjdzie wezwać podwładnych do broni, tak też innym przewodnikom powiatów, pogłoski mogącej od przypadku prędzej lub poźniej dolecić w różne okolice, nie wskazywał za hasło powszechnego wybuchu. Przytaczam jego własne słowa.

«W tym czasie przybył do mnie Gałecki marszałek i naczelnik powiatu radomyślskiego. Powiat radomyślski rozciągający się po nad Dnieprem za ujście Prypeci, ma naturę kraju zwanego Polesiem. Okryty lasem i bagnistemi zaroślami, różni się od reszty gubernji kijowskiej, która jest otwartą płaszczyzną. Ludność tej okolicy składa się po większej części z mniej możnych właścicieli ziemi i szlachty czynszowej. Mieszkańcy powszechnie bawiąc się myśliwstwem, oswojeni są z bronią palną, a nienawiść ku Moskalom i miłość Polski znamienuje ich charakter. Stąd więc należało spodziewać się najwięcej piechoty i wybornych strzelców dla konnej Ukrainy. Nadto przyległy powiat Wołynia owrucki, zupełnie pierwszemu co do gruntu i ludności podobny, otwierał nam drogę na Litwę i ułatwiał możność podania ręki braciom Litwinom, od miesiąca już będącym w stanie zupełnej insurekcji. Gałecki słusznie uważał tę stronę niejako za twierdzę i klucz naszego powstania: przyrzekał mi, że jeśli zostawię mu cztery tygodnie czasu, na każdy dzień po tym terminie wyznaczony, wystąpi w 3000 pieszych i 800 jezdnych ochotników; prędzej zaś nie obiecywał więcej nad 300 ludzi uzbroić. Łatwo pojąć skąd pochodziła ta ogromna różnica. Zbliżaliśmy się ku wiośnie; trudno w tej porze rolnika od gospodarstwa oderwać, później zaś i czas wolniejszy i lasy okryte liściem, sprzyjałyby zamiarom naszym. Uwagi Gałeckiego tak zdrowe i logiczne, trafiły do mego przekonania. Pożegnałem go zapewniając, iż jeśli nadzwyczajne wypadki nie zmuszą nas do rychlejszego działania, rad jego usłuchać i zastosować się do nich nie omieszkam.»

Do rzędu takich nadzwyczajnych wypadków, miało może

liczyć się i wkroczenie jenerała Dwernickiego, ale w stronach nawet bliższych granicy królestwa, nic jeszcze nie wiedziano o tem że ruszył z pod Zamościa. Naród nasz dawno ćwiczący się w sztuce związków tajemnych, powinien był przynajmniej od Żydów swoich nauczyć się sekretu komunikacji rychłych i niewidomych, któremu podziwia się zawsze. Większa jednak część niepowodzeń i klęsk w powstaniu tak Litwy jak Ziem Ruskich, wynikało z braku tej umiejętności. Szeroko roztaczano ogniwa hierarchji spiskowej, starannie urządzano poczty, często zgromadzano się na rady, jeżdżono i gadano niezmiernie wiele; a najczęściej o ważnych zdarzeniach dowiadywano się po czasie, najczęściej nieprzyjaciel ubiegł zmawiających się, albo zszedł niespodziewanie stojących już pod bronią. Z takim trudem sklejona władza, tak gorliwe chęci piastującego tę władzę, tyle poświęceń się, tyle gotowych już sił i zebranych pieniędzy dla ojczyzny, kiedyż lepiej mogło być użyte jak teraz? Żeby to wszystko obrócić w niwecz, zdaje się że szatan przychylny Moskwie wszędzie uchylał z pod oczu patrjotów widok obecnego stanu rzeczy, a natomiast podsuwał nieskończony szereg projektów i zamiarów nadal.

Dnia 19 kwietnia — w chwilach walki pod Boremlem — odbywała się pierwsza sesja zjazdu wołowego. Rząd świadomszy okoliczności, okazywał niezwykłą sobie powolność: obywatele zagrzani uczuciem własnej siły, śmiało stawiali mu czoło; cieszyli się tryumfem, a czas drogi upływał. Skoro sowietnik delegowany od wicegubernatora Girsa, na posiedzeniu u marszałka gubernjalnego przeczytał rekwizycję Dybicza, hucznie podniosły się jednomyślne głosy, że gubernja zubożona przez wojnę turecką i nieurodzaj, ani w części żądaniom odpowiedzieć nie może; że wreszcie nie ma obowiąsku dawać produktów na rachunek podatków, gdyż te w marcu jeszcze zostały złożone. Niepodobna było przyjść do jakiegokolwiek końca; Girs zawiesił obrady i wyprawił raport do wojennego gubernatora Lewaszowa. Nazajutrz kurjer przywiózł z Żytomierza odpowiedź, iż rząd przez swoich liwerantów zakupi woły, ale koniecznie domaga się prowiantu i powózek. I na to nie było zgody. Marszałek gubernjalny Przezdziecki i marszałek powiatu kamienieckiego Rakowski, wzięli na siebie negocjację w interesie rządu, przekładali iż trzeba przecież podać jakikolwiek sposób wzajemnych układów. Po długich targach przyrzeczono dostarczyć ledwo czwartą część żądanych produktów, pod warunkami ile tylko można było obmyślić najdogodniejszemi dla obywateli. Kurjer znowu poleciał do Lewaszowa i we 48 godzin wrócił z przyzwoleniem na wszystko.

W ciągu tych zwycięskich sporów z władzą moskiewską,

wysłannicy od powiatów miewali często swoje patrjotyczne narady. Oprócz uchwał stosownych do przyjętego dawniej trybu organizacji, rozkazów naczelnika, i planów nakreślonych w Gliniańcu, coraz nasuwające się nowe a ważne względy, zmuszały już wziąść pod rozwagę ostateczny kres tajemnych knowań. Przybiegła najprzód cicha wieść o wkroczeniu Dwernickiego na Wołyń; tuż za nią doszedł szerzący się szmer o bitwie nad Styrem. Zwykle pogłoski pomyślne dla powszechnych życzeń, im dalej od źródła, tem więcej nabierają w siebie przyjemnych bajek. Rozbicie pułku dragonów pod Poryckiem i świetna ale bezskuteczna walka pod Boremlem, brzmiały w szeptach patrjotów, jak wielkie zwycięstwa. Wiara w nie umacniała się jeszcze bardziej, gdy członkowie junty otrzymali prosto z ust Chróściechowskiego wychodzącą wiadomość, że korpus polski liczył kilkanaście tysięcy starego żołnierza. W tem nadciągnął do Kamieńca 22 kwietnia Rot z przednią częścią swojej kolumny. Nazajutrz rano po odbytej paradzie wojskowej przed wymarszem w dalszą drogę, zabrał głos do sproszonych umyślnie na plac obywateli, i zalecał im żeby spokojnie trwali w wierności dla tronu, ponieważ śpieszył zadać ostatni cios oddziałowi buntowników, który wtargnął z za Buga. — Niepłonne, jak się pokazało później, przechwałki jenerała moskiewskiego, bynajmniej wszakże wówczas nie odejmowały serca Podolanom. Widziano posępność i trwogę figur rządowych, uważano, że czynownicy carscy starali się mieć gotowość do ucieczki, rodziny swoje wyprawiali do Galicji; śmiejąc się więc w duchu z dobrej miny Rota i z zakłopotanych dygnitarzy, w najlepszej nadziei prowadzili do końca spiskowe układy. Wypadek ich był stosowny do tego, co zdawało się być pewnem, albo wynikało z jasnej rachuby. Ponieważ nikt nie wątpił, że jł. Dwernicki mając kilkanaście tysięcy wojska i odniosłszy zwycięstwo nad Rydigerem, niezawodnie pierwszych dni maja zbliży się już ku Podolowi; ponieważ właśnie na ten czas miały być zgromadzone po miastach powiatowych rekwizyta, które dopiero obowiązano się dostarczyć dla armji Dybicza; ponieważ nakoniec od obecnej chwili do tego czasu pozostawało jeszcze dni dziesiątek na rozesłanie wszędzie rozkazów i dopełnienie wszelkich formalności; postanowiono przeto podnieść broń powszechnie w dniu 3 maja (21 kwietnia, v. s.). Równo z tym momentem, towarzystwo patrjotyczne podolskie, miało zerwać tajemny swój związek, a zamienić się w ogólną konfederację Podolan, i ogłosić manifest, którego redakcję wykończono: dalszy ster rzeczy, wedle dawniej zapadłych uchwał, zostawując naczelnikowi organizacji i wodzowi siły zbrojnej. Dla tego też polecono zaraz pewnym osobom, żeby uwiadomiły Tyszkiewicza i Ko-

łyszkę o wszystkiem co zaszło. Lubo bowiem Kołyszko właściwą drogą, to jest z woli naczelnika nie był mianowany dowódzcą, gdy wszakże większość głosów odzywała się za nim na radzie wojennej, gdy przytem jeden z jego bliskich powinowatych będąc teraz delegowanym na zjeździe w Kamieńcu, mógł szczególnych w tej mierze dokładać starań, opinja powszechna zwróciła oczy na starego powstańca, jak na naturalnego wodza dla powstania.

Jeśli ten krok zjazdu wołowego rozmijał się tylko z nieustaloną jeszcze myślą naczelnika, naznaczenie terminu daleko wyraźniej sprzeciwiało się ustawom zapadłym w Michałówce. Ale troskliwość licznie zgromadzonych patrjotów, obudzona naglącym tokiem wypadków, mogłaż dla formy rzecz samą poświęcić? Tyszkiewicz czy że nie otrzymał wezwania do Kamieńca, czy że pierwej rozesławszy listy od siebie, spodziewał się na ten sam czas zgromadzenia Podolan w innem miejscu o dwadzieścia kilka mil odległem, nieobecność jego w gronie, które i ze wszystkich powiatów miało reprezentantów i obradowało bliżej granic królestwa, stała się prawdziwem nieszczęściem dla sprawy powstania. Zajmowała przy tem naczelnika w tej chwili inna niespokojność. Pewien młody człowiek uwijając się nieostrożnie po różnych stronach, ściągnął na siebie oko policji: zachwycono jego papiery, w nich jakąś listę spiskowych, na której znajdował się między innymi autor planów wojennych. Ostrzeżony o tem wcześnie przez tajemne swoje stosunki Tyszkiewicz, kłopotał się znowu o urządzenie steru dla sił zbrojnych, i wysłał Seweryna Pilichowskiego na Wołyń ofiarując dowództwo ogólne Karolowi Różyckiemu.

Umowy w Kamieńcu, zgodne czy nie zgodne z układami naczelnika, odesłane wszakże do niego żeby je zatwierdził i wykonać rozkazał, mogły jeszcze w porę i bez rozterki być poprawione lub zmienione; lecz z powodu nieprzytomności władzy postawionej nad spiskiem, wdała się w rzecz inna powaga, której wpływ sprawił daleko ważniejsze skutki.

Miesiąc już niemal ubiegał od czasu, kiedy major Chróściechowski powinien był jako posłaniec jenerała Dwernickiego donieść Podolowi i Ukrainie, że korpus polski wkroczy za Bug dziesiątego kwietnia; teraz ukazał się on nagle w roli cale innego rodzaju. Obaczmy jak rozumiał swoje posłannictwo i jak z niem pośpieszał.

Dopiero 15 kwietnia, członek junty podolskiej i związku patrjotycznego na Wołyniu, Jakób Malinowski, odebrał w Krzemieńcu list podpisany cyframi liczbowemi, z którego zawiłej treści domyślając się tylko, iż to zapewne emisarjusz zalecony przez uprzednie odezwy jła. Dwernickiego żąda z nim mówić, udał się niezwłocznie na wskazane miejsce

nad granicą. Zaszła scena, której każdy szczegół zasługuje na uwagę.

Przy pierwszem spotkaniu, autor tajemniczego listu zapytał Malinowskiego: «czy mię poznajesz? czy odgadłeś mój podpis?»

Malinowski który pierwszy raz w życiu widział i osobę i jej pismo, odpowiedział że z cyfer bez klucza trudno dociec nazwiska; lecz radby teraz czem prędzej wiedział, z kim i o czem ma mówić.

Na te słowa emisarjusz porwał się przerażony i krzyknął: «zdradzono mnie!»

Malinowski uspokoił go zapewniem, że chociaż równie mógłby z nieufnością przystępować do nieznajomego, spodziewa się jednak iż między nimi z niczyjej strony nie masz zdrady, i prosił znowu o wzgląd na niepotrzebną stratę czasu.

Wtedy Chróściechowski rozszrubował cybuch, wydobył z niego swój talizman i ową kartkę daną mu w głównej kwaterze 3 lutego — i razem z prawdziwem nazwiskiem objawił urzędowe swoje znaczenie.

«Tego dosyć majorze — rzekł Malinowski — ale cóż teraz chcesz przedsięwziąść; lękam się czy przybycie twoje nie jest zapóźne. Z trwogi urzędników i z ruchu wojsk moskiewskich wnoszę, że jł. Dwernicki musi zbliżać się do Buga, a lepiejby było żeby powstania nasze na wszystkich punktach uprzedziły jego wejście. Nie wiem czy wystarczy nam czas na rozesłanie nowin, albo rozkazów które przynosisz?»

«Jenerał Dwernicki nie zbliża się do Buga, ale już jest nad Styrem!» zawołał emisarjusz, i w gwałtownem wzruszeniu dobywszy sztylet, począł zapowiadać zemstę tym, co jego działania sparaliżowali.

Jeden z naczelników związku patrjotycznego nad Bugiem i kilku innych Wołynian, mieli jakoby być przyczyną, że major Chróściechowski nie rozwinął swoich działań, to jest wyraźnie mówiąc, nie dopełnił prostej powinności dwakroć włożonej nań przez jła. Dwernickiego.

Uśmierzywszy niewczesny zapęd emisarjusza, zapytał go Malinowski, jak mocny jest korpus polski?

«To sekret — odpowiedział — a jak się panu zdaje, wiele mieć może?» — Po różnych wnioskach ze strony odgadującego, rzekł wreszcie — «ponieważ widzę w panu szczerą chęć działania, powiem otwarcie: jł. Dwernicki ma 5000 najpiękniejszej piechoty i 3000 wyborowej jazdy, a 2000 piechoty miał jeszcze zabrać z Zamościa.«

Lubo wiadomo było że siły Rydigera przewyższały tę liczbę; nie mniej wszakże znano upadek ducha w Moska-

lach, tak na odgłos zbliżania się wojska wsławionego zwycięstwy, jako też z obawy przeczuwanego powstania wszystkich prowincji południowych. — Pozostawało zatem całą usilność w to położyć, żeby mimo czas stracony Ukrainę i Podole do broni powołać. Malinowski podał myśl, napisać do Dwernickiego z oznajmieniem, iż nic zaniedbanem nie będzie w tym celu, dobrze by więc było gdyby jenerał mógł oszczędzając swój korpus, trzymać nieprzyjaciela na wodzy jakich dni dziesięć, nim ogólne poruszenie się kraju nie przyjdzie mu w pomoc do pewniejszej wygranej. Takiej treści pismo, Chróściechowski zaraz przez Galicję wyprawił.

Nazajutrz obadwa puścili się w drogę pod Kamieniec, dokąd Malinowski był wezwany przez wysłannika, i gdzie spodziewali się zastać Tyszkiewicza zaproszonego na zjazd wołowy. W nadziei że za widzeniem się z nim nastąpią niezwłocznie rozkazy powstania dla Ukrainy i Podola, Malinowski zaprosił kilku Wołynian w okolice Konstantynowa i Płoskirowa, aby mógł ich rychło uwiadomić o terminie jaki będzie naznaczony, i dać przez to sposobność sąsiedniej prowincji do jednoczesnego rozpoczęcia kroków zbrojnych. Nadzieja ta omyliła. W domu jednego członka junty nie daleko Kamieńca, podróżni powzięli wiadomość że Tyszkiewicz na zjazd nie przybędzie. Tegoż dnia otrzymano tu nową pogłoskę o zbliżaniu się Rota; lecz znakomity i mający z rządowemi figurami stosunki obywatel, który ją przywiózł, wysłany napowrót do miasta żeby się dokładnie w tej mierze oświecił, doniósł nazajutrz iż nic pewnego nie dociekł. Ponieważ więc należało mniemać, iż zgromadzeni w Kamieńcu związkowi, bez naczelnika żadnych postanowień ostatecznych uczynić nie będą mogli, a zapowiedź prędkiego nadejścia wojsk z za Dniestra, wielekroć już powtarzana, zdawała się płonnym postrachem przez władze moskiewskie wymyślonym; Malinowski przedsięwziął udać się z emisarjuszem w północną stronę Podola, raz żeby mieć łatwiejszą sposobność zniesienia się z Tyszkiewiczem, powtóre żeby przekonać się naocznie o poczynionych przygotowaniach. Ruszywszy z pod Kamieńca 18 kwietnia, w ciągu dni pięciu zwiedzili znaczną część czterech przyległych powiatów, wszędzie znajdując zupełną gotowość i zapowiadając patrjotom iż niechybnie za dni kilka przyjdzie chwila siąść na koń.

W końcu tej objażdżki 23 kwietnia, w pewnem miejscu niedaleko Międzyboża złożyła się liczna rada celniejszych związkowych. Znajdowali się tu obywatele powiatów: kamienieckiego, płoskirowskiego, latyczowskiego i lityńskiego, oraz przyległej okolicy Wołynia. Biorąc pod rozwagę wszystkie naglące okoliczności i razem potrzebę zachowania przyjętych porządków, uchwalono posłać natychmiast do Tyszkie-

wicza z prośbą, żeby wydał rozkazy ogólnego powstania; a miarkując iż cztery dni wystarczy na to, czekać spokojnie tego kresu. W tem nadbiega goniec i przywozi Mailnowskiemu list z polecenia Dwernickiego pisany. Treść jego była: że jenerał zbliża się już do Kołodna, lecz zdziwiony czemu wojsko polskie wśród rodaków nie znajduje wsparcia, ostatnie nadzieje pokłada w Podolu. Przybyły uwiadomił także że korpus liczy niepełnych 5000 znużonego żołnierza, i opowiedział szczegóły bitwy pod Boremlem, jak o nich słyszał w obozie.

Malinowski obrócił się do Chróściechowskiego z wyrzutami za fałszywe podawanie sił korpusu. Ten odpowiedział, iż mu tak jego obowiązek czynić nakazywał; a wybuchając znowu przeciw Wołynianom których oskarżał o zdradę, z żalem i rozpaczą rzucił się na kolana i wołał: «ratujcie braci co za was krew toczą!»

Bez pomocy tragicznych wykrzykników emisarjusza dawała się czuć ważność chwili. Nie było czasu do tracenia. Nie odkładając już rzeczy do skutku przełożeń, które miały być posłane naczelnikowi, o świtaniu 24 kwietnia wygotowano okólnik powołujący wszystkich Podolan do broni za trzy dni, to jest w dniu 27 (15 v. s.) kwietnia. Malinowski wziął na siebie całą odpowiedzialność za ten postępek, i wspólnie z majorem Chróściechowskim podpisał odezwę.

Owóż w jednym czasie, delegowanie wszystkich powiatów w Kamieńcu powstać 3 maja; członek junty i emisarjusz wzywali do broni daleko prędzej. Naczelnik mógł przyjąć układy zjazdu wołowego jako wyraz powszechnych życzeń; odezwa 24 kwietnia nie zostawiała mu nic do wyboru.

Akt ten surowie go sądząc, był śmiałym ciosem zadanym budowie czteromiesięcznego spisku. Nie chodzi o to jaki nosił tytuł: odezwy, czy rozkazu. Jeśliby nie miał mieć tej mocy co rozkaz, byłby lekkomyślnym pobudzaniem siły, której skuteczność zależała na całkowitym i jednoczesnym ruchu. Z tego też względu był jeszcze hazardownym krokiem: pismo powiem od daty wyjścia, do terminu który zapowiadało, całego kraju obiedz nie mogło.

Ale są zdarzenia gdzie łatwo przebaczyć zapałowi złamanie postanowień zimnej rozwagi. Nieraz w rzeczach ludzkich, żywy poped uczucia niebespieczną próbą szczęścia wydźwiga z toni bardzo zachwiane sprawy, nagradza mylki albo niedostateczność rachunku. I trzeba później sądząc skutki, oceniać słusznie powody. Była przytem pewność że goniec natychmiast wysłany, tegoż dnia lub nazajutrz stanie u Tyszkiewicza, razem z odezwą złoży mu wiadomości które skłoniły do niej. Zdawało się że Tyszkiewicz ani chwili wahać się nie będzie, poprze ją swemi rozkazami;

a różnica kilkudziesiąt godzin w poruszeniu punktów dalszych, istotnie mało by znaczyła. Dla dopięcia zaś celu w stronach przyległych, użyto wszelkich środków. Okólnik opatrzony podpisami agenta przybyłego z Warszawy, i członka junty znanego równie ze stosunków obywatelskich, jak z udziału w związkach patrjotycznych, miał niewątpliwą powagę. Nadto rozwiezienie jego powierzono ludziom, których osobista wziętość dodawała mocy pismu. Wręczono im także instrukcje wskazujące dla powstańców okolicy główne punkta pierwszych zgromadzeń i poruszeń zbrojnych. Wszystko więc jakkolwiek nagle poczęte, mogło pójść dobrze. Co wreszcie porwany gorącem wzruszenim patrjotyzm uczynił, to usprawiedliwiał traf szczęśliwy — termin naznaczony w odezwie, przypadł na dzień ostatni z dni dogodnych dla powstania.

Czy los korpusu Dwernickiego mógł się jeszcze zmienić, czy był nieodzownym, to pewna jednak, iż gdy prowincje zamierzały o własnych siłach wystąpić do walki, tylko przed tym kresem podawała się im pora uczynić w podobnych zdarzeniach rzecz najważniejszą, pierwszy krok zwykle stanowiący wiele na przyszłość. Równo z wejściem oddziału polskiego do Galicji, rozwiązywały się ręce skupionym koło niego wojskom moskiewskim; każdej chwili później, przerażający odgłos tryumfów nieprzyjaciela mógł pomięszać dobrą myśl patrjotów. Lecz pierwej nim czas korzystny upłynął, zjawiło się między nimi ziarno smutniejszego jeszcze zamięszania.

Malinowski podpisawszy odezwę, zostawił Chróściechowskiego na miejscu, żeby w tym punkcie bliskim zetknięcia się trzech powiatów czekał dnia naznaczonego, na który przeszło 2000 powstańców miało się tu zebrać; sam zaś pojechał zwiedzić dalsze okolice. Inni rozjechali się także, już dla rozwiezienia odezwy, już dla urządzenia się u siebie. Jakiś zły duch nie dał emisarjuszowi dosiedzieć spokojnie. Nazajutrz wybiegł do pewnego domu, dokąd na parę godzin przed nim udali się dwaj znakomici związkowi. Jeden z nich był organizatorem powiatu, drugi miał sposobność dostarczyć bardzo znaczną liczbę ludzi. Chróściechowski chciał jeszcze roztrząsnąć z nimi niektóre plany obrotów zbrojnych. Ponieważ dla takiej narady potrzeba było liczniejszego zgromadzenia, posłano zaraz po kilku sąsiadów. Tymczasem o zachodzie słońca przybyli trzej obywatele wracający z Kamieńca; tym sposobem zebrało się razem z Chróściechowskim ośm osób. Członkowie zjazdu wołowego, opuszczając Kamieniec z ułożonym terminem powstania na dzień 3 maja, spotkali w drodze wieść o rozkazie powołującym do broni na dzień 27 kwietnia,

co tem bardziej zdawało się im dziwnem i niepodobnem do wiary, iż widzieli kolumny Rota w marszu ku Tynnie, skąd idzie gościniec do Płoskirowa, Międzyboża, Latyczowa i t. d. Przy pierwszem więc spotkaniu wpadli z góry na emisarjusza, jakim prawem i dla jakich powodów, mimo wiedzę władz spiskowych, wtrącił się w nieznajome sobie rzeczy, wydał tak niestosowne rozkazy? — Zakłopotany, i nie pomału przerażony nową dla niego o wejściu Rota wiadomością, agent, nie umiał się tłumaczyć, stracił przytomność umysłu, wpadł w zwykły sobie szał gorączkowy; klął, rozpaczał, porywał się do sztyletu. Tylko dwaj obecni podpisaniu odezwy obstawali za nim, inni milczeli, przybyli zaś z Kamieńca domagali się natarczywie, żeby co najrychlej postępek swój cofnął i wydał drugą odezwę wstrzymującą skutki pierwszej.

W ciągu tych rozpraw przybył do zgromadzenia jeszcze jeden członek niezmiernie wielkiej wagi. Był to posłaniec wracający od Tyszkiewicza. W jego słowach, władza naczelnika stawała nagle między stronami, które obracały już po ręku najgłówniejsze jej prawo. Teraz więc, wola właściwa miała zająć swoje stanowisko, wyrzec zdanie niewątpliwie roztrzygające losy całej sprawy powstania. Ale przedstawiały się jej tylko dwie konieczne drogi do wyboru, i ten wybór przed dwudziestu czterma godzinami był już ustalony. O godzinie 11 w nocy 24 kwietnia, Tyszkiewicz otrzymał odezwę podpisaną przez członka junty i emisaryusza rządowego, wespół z kopją listu z Kołodna. Równie on, jak obecny komisarz dodany mu od Podolan, uznali list prywatnej osoby za niedostateczny do tak porywczych kroków; mniemali iż odezwa pochodząca z niespodziewanego źródła, nie poruszy związkowych; rozprawiali o potrzebie dłuższego czasu dla dźwignienia powstań przyzwoitym porządkiem. Posłaniec odjechał przekonany, iż naczelnik zamierza naznaczyć termin późniejszy o dni dziesięć, bez żadnych wszakże wyraźnych poleceń lub rozkazów.

Takie doniesienie zwiększyło gwałtowność nastających na strapionego agenta.

Po długim oporze Chróściechowski rzekł nakoniec: «Panowie, jako obywatele i urzędnicy tego kraju, sami najlepiej możecie wiedzieć co czynić wypada; ja nie chcę brać na siebie odpowiedzialności i pójdę za waszą wolą chociażby przeciw memu przekonaniu: niech każdy da swój głos.» — Zebrał tedy zdania przytomnych ośmiu osób, i gdy okazało się, że sześć było za odwołaniem rozkazu, siadł i zawsze z największą niechęcią napisał okólnik następnej treści — «Ponieważ z powodu wejścia korpusu jenerała Rota na Podole, trudno jest teraz wykonać uprzednio powzięte zamysły; więc stosownie do woli znakomitych obywateli, termin powstania

naznaczony na dzień 27 kwietnia, odracza się do dnia 7 maja.»

Działo się to 25 kwietnia wieczorem, w 36 godzin po wyjściu w obieg pierwszej odezwy. Wyprawiono natychmiast gońców we wszystkie strony. Jeden posłaniec przed świtem pobiegł znowu do Tyszkiewicza, inny pośpieszył do Kołyszki.

Możnaż było mniemać bespiecznie, że dwa przeciwne pisma nie rozminą się nigdzie, że odroczenie wydane na półtory doby przed dniem, kiedy związkowi kilku powiatów mieli być pod bronią, niechybnie w czas uprzedzi wszystkich, nikogo nie zastanie otwartym już powstańcem? Przecież żeby w terminie naznaczonym być na punkcie zbiorowiska, każdy musiał przynajmniej dniem pierwej odkryć się zupełnie w swoim domu: zwołać ludzi, rozdać im broń, powiedzieć ostateczne słowo. I cóż miał ten czynić, ktoby dopiero siadłszy na koń dowiedział się że rozkaz powstania cofnięty, że z mnóstwa spodziewanych towarzyszy, może nikt równie się nie pośpieszył? Gdyby choć jedna głowa, jedna rodzina tylko mogła w ten sposób stać się pastwą mściwego rządu, należało już współobywatelom postępować przezorniej; lecz chodziło tu o więcej, lada ofiara bowiem narażała na szwank tajemnicę całego związku, los całej sprawy.

Trudno jest pojąć wreszcie, dla czego dokładna wiadomość o położeniu korpusu Dwernickiego, którą Chróściechowski miał w tej chwili i musiał przekładać nie świadomym, nie zachwiała ich uporu; dla czego i nieznającym rzeczy wojennych i majorowi mianowanemu w głównej kwaterze zdawało się zarówno, że Rot w kilka swoich tysięcy jak chmura gradu może natychmiast spaść na kilkaset kwadratowych mil kraju? Zdaje się tylko iż termin 7go maja odpowiadał rachubom naczelnika; zgodził się bowiem z późniejszem jego postanowieniem.

Jakaś fatalność ciążyła nad gronem roztrzygającem z przypadku kwestję niezmiernie delikatną. Obojętnie pominione w Oczeretnej ziarno wielkich zdarzeń, miało tu wydać pierwszy owoc. Nieszczęsna myśl agenta żeby większością głosów uprzątnąć wątpliwość, tak do reszty skrępowała zabałamucone umysły, iż uszanowanie dla teorji wotów, wzięło górę nad wszelką trwogą rozsądku i serca. Zaraz po zapadłym wyroku dwaj obecni, z których jeden sam nawet wotował za odroczeniem, zwątpiwszy o wszystkiem, puścili się w drogę do królestwa przez Galicję. Emisarjusz także myślał tylko jakby przemknąć się w tęż stronę; inni pozostali na świadków nie dalekiego następstwa swojej zarozumiałej nierozwagi, albo prostodusznej słabości.

Malinowski tymczasem dokładał wszelkich starań, żeby hasło do broni rozeszło się jak najobszerniej i wzięło naj-

zupełniejszy skutek. Zaraz po wyjeździe z miejsca gdzie był wydany pierwszy okólnik, dowiedział się on również o marszu Rota traktem kamienieckim; lecz będąc pewnym iż korpus ten ciągnie ku granicom Wołynia, nie przeraził się pozornem niebespieczeństwem, owszem czuł tem większą potrzebę i dogodność sprawienia dywersji na korzyść wojsk narodowych. Dla tego też napisał nazajutrz do jenerała Dwernickiego donosząc mu o wszystkiem co było przedsięwzięte, i upewniał że w dniu naznaczonym Podole broń podniesie. Tylko co taki raport miał pójść przez Galicję, nadbiega posłaniec od Chróściechowskiego z biletem, że powstanie odwołał i prosi o przybycie po niego, ponieważ nagła ta okoliczność wymaga udania się do obozu polskiego, a sam puścić się w podróż już nie śmie. Malinowski otworzył przygotowane pismo, włożył karktę emisarjusza i dodał te słowa: «Po takim postępku agenta rządowego, przyjdzie nam podobno z rozpaczą widzieć cofające się szeregi bratnie, których oczekiwaliśmy z wyciągnionemi rękoma.» *)

Wkrótce Chróściechowski niecierpliwy zwłoki, przybył sam do Malinowskiego i skłonił go pośpieszyć w stronę gdzie spodziewali się znaleźć wojsko narodowe. Rot przecinał już drogę; łańcuch pikiet moskiewskich rozciągał się od granicy w głąb kraju. Ostrzeżeni o niebespieczeństwie, w nocy z 26 na 27 kwietnia przeprawili się przez Zbrucz do Galicji, dokąd w kilka godzin później schronił się i korpus polski.

Emisarjusz dopiero nie chciał już odwiedzić obozu w Chlebanówce; powiadał «że jest wysłannikiem narodu a nie jenerała Dwernickiego, i tylko póki ten działał, póty był winien utrzymywać z nim stosunki.» — Niekiedy jednak wewnętrzne przekonanie zdawało się zaprzeczać spokojnie wyrzeczonym słowom. Wtenczas wpadał w zwykłą sobie słabość. Miotając się i rozpaczając, ze łzami przemawiał do Malinowskiego: «ratuj mię; wszakże widziałeś żem życzliwie dla ojczyzny pracował — Dwernicki kazałby mi w łeb strzelić; jedźmy zdać sprawę przed rządem i wodzem w królestwie.» Widząc wreszcie że Malinowski pragnął tylko czem prędzej zobaczyć się z Dwernickiem, opuścił go i sam jeden udał się do Warszawy.

Taką koleją zszedł ze sceny spraw powstania ziem południowych ten człowiek, którego nazwisko nabyło smutnej sławy przez żale i skargi do dziś dnia towarzyszące każdemu o nim wspomnieniu. Ukazuje się on w dziejach zabużańskich jakby jakieś złowrogie widmo. Zjawił się w chwilach brzemiennych najpomyślniejszymi wypadkami; zniknął równo

---

*) Raportu tego jl. Dwernicki nie otrzymał.

z momentem kiedy okropnie zmieniała się dola. Wszędzie od Styru do Dniepru, gdzie tylko pierwej czy później przewrócił się na wspak właściwy porządek rzeczy, wpływ jego miał swój udział; ostatecznego zamięszania północnych powiatów Podola on stał się głównem narzędziem.

Niesłusznie wszakże byłoby nieszczęsnemu agentowi przypisać wyłącznie wszystkie przyczyny złego. Najcięższy zarzut dotyczący wprost jego osoby polega w tem, że nie pojął, albo spełnić zaniechał poleceń jenerała Dwernickiego; późniejsze bałamuctwa, wyjąwszy kłamstwo o siłach korpusu, nie sprawiły wielkiej szkody; co zaś do zgubnych skutków cofnięcia rozkazu powstania, moralna odpowiedzialność spada na innych. Jego imię, jego imponujący podpis, poszły pod zarząd cudzej woli, której miał powód ufać i ulegać. Nierozumiejąc machiny przez mnogich robotników ustawionej w kraju, jak nie wiedział czy godziwie pomagał ją ruszyć, tak też zgłuszony hałasem dotkniętych sprężyn, znowu na obcy sąd dał rękę żeby ją zatrzymać, i niewinnie wyrządził straszną psotę.

Pewnie chęci jego były czyste, uczucia dla ojczyzny szczere. Ci co go znali wówczas, widzieli nieraz jak w troskach o los sprawy narodowej gorącemi zalewał się łzami; oddają mu także sprawiedliwość, iż mimo śmieszną pychę ze swego emisarjuszowskiego znaczenia, istotnie ani widoków osobistej korzyści, ani pretensji do władzy lub przewodnictwa nie miał. Ale cóż po najlepszych chęciach, bez jasnego pojęcia celu; ale czyliż owa manja działania aby tylko działać, nie jest również pretensją występną, gdy idzie o rzecz tak wielkiej wagi? — Są ludzie dla których rola konspiratorów, dyplomatów, polityków, a szczególniej tych figur tajemniczych, co to niby piastują niezmiernie głębokie zamiary, ma powab niezwyciężony. Mężowie ci w najlepszej wierze łudzą innych i samych siebie. Wiecznie z ich czoła grozi światu milcząca zapowiedź: parturiunt montes . . . zawsze mają pełno ciekawych wiadomości i dających do myślenia wyrazów; nic u nich nie dzieje się po prostu, do najprzystępniejszego kresu dążą misternym manowcem; byle sprawka, muszą wymyślać cyfrowe charaktery, zmieniać nazwiska i układać koniecznie potrzebne kłamstwa. Tak pojąc się nektarem swego znaczenia, można powiedzieć iż nie troszczą się o resztę: wszystko badają nieufnie, wszystko przewidują bystro, tylko końca swych robót nie widzą. W pospolitym trybie życia pozbawieni swego elementu, bawią lub nudzą bliskich znajomych; w zdarzeniach otwierających każdemu obszerne pole, stają się prawdziwą plagą publiczną. Podczas wojny naszej, koło każdego sztabu, koło każdego oddziału powstańców, iluż to snuło się tych niespracowanych działaczy dla dobra powsze-

chnego; w emigracji znamy nie małą liczbę różnych animuszów podobnego rodzaju, ogólnie zajętych w klasę tak zwanych mistifikatorów. Oby ich nigdy nie było na scenie, gdzie chodzi o krew i los narodu, gdzie przedewszystkiem zdrowego rozsądku i zupełnego zaprzania się miłości własnej potrzeba. Oby też ojcowie ojczyzny lepiej umieli wybierać posłanników w jej sprawie.*)

Do wpływu odezw podpisanych przez Chróściechowskiego, przymięszały się jeszcze dwie inne okoliczności bardzo zaostrzające ich przeciwne skutki.

Poszlaka w ręku policji; bądź ze złapanej listy, bądź z innego źródła, była powodem, że kiedy zgromadzenie wołowe

---

*) Chróściechowski za przybyciem do Warszawy, otrzymał znowu jakieś polecenia względem prowincji południowych i nowy skrypt w następnych wyrazach:

«N. 633. W. Kwaterze Głównej w Miłośnie, 13 maja 1831 r.

Sztab Główny.

Wódz Naczelny Wojska Polskiego, dawszy szczególne polecenia W. Majorowi Chróściechowskiemu, wzywa niniejszem wszystkie władze Polskie, tak cywilne jak wojskowe, gdziekolwiek one się znajdują, ażeby temuż Majorowi udzielały wszelkiej pomocy jakiej potrzebować może, i ażeby z nim się znosiły, celem uskutecznienia nader ważnych Jego poleceń, tyczących się dobra powszechnego.

Kwatermistrz Generalny:
(podpisano) J. Prądzyński, Gł. Bdy.»

Z takiem pismem i z głębokiemi zamiarami swemi, urzędowy agent wróciwszy do Galicji, zbierał wieści o tem co zaszło po jego odjezdzie z Podola, i układał raport do prezesa rządu, którego egzemplarz przeznaczony dla marszałka sejmu, a własnoręcznie przez emisarjusza podpisany, ma następny tytuł:

Służba wojskowa.
Wydział szczególnych zleceń.
Nr. 53.

Dan w Iwanczanach,
dnia 6 czerwca 1831.

Do Jaśnie oświeconego Księcia J. M. C. J. Adama Czartoryskiego Prezesa Rządu Najwyższego Narodowego.

Od Chróściechowskiego Majora W. P. w szczególnych zleceniach komendowanego. Raport ważne i wiaro-godne okoliczności w sobie obejmujący.»

Z tej kilko arkuszowej gadaniny, pełnej kadzideł dla ludzi piastujących wówczas władzę, a niezmiernie retorycznej i zawiłej, dostrzedz można co za usposobienie miał poważny agent. Jeśli zdarzy się komu ją czytać, niechaj się nie dziwi znajdując wyrazy autora, które zdają się świadczyć, iż nie tylko przyznaje sobie samemu czyn cofnięcia powstań, ale nawet szuka stąd niejakiej zasługi. Pisał to po wypadkach, kiedy powstańcy świeżo wparci do Galicji, w nieukojnym jeszcze żalu, na różne przyczyny mniej istotne składali swoje nieszczęście; a że głos powszechny obwiniał Sobańskich o samowolny pośpiech, więc zdawało mu się, iż odraczając termin współczesny ich pierwszym krokom, postąpił bardzo mądrze. Podobnież można tam dowiedzieć się o wielu rzeczach nigdy nie byłych: o planach Rota, który cały zaprzątniony Dwernickim, miał jakoby swoją jazdą ubiedz powstańców na wszystkich punktach, gdzie się zgromadzać postanowili; o 7000 piechoty wysłanej z Oczakowa na odcięcie Ukrainy od Podola i t. d. Wiarogrodny raport majora Chróściechowskiego wzbudza tylko tę wiarę, że emisarjusz co usłyszał, to za dobrę monetę przyjmował i bez skrupułu opłacał tem ufność w nim położoną.

rozjeżdżało się z Kamieńca, horodniczy dostał już rozkaz zatrzymać niektórych obywateli i osadzić w twierdzy; po innych kazano sprawnikowi udać się do ich domów. Dwaj członkowie junty tajemnie uwiadomieni o tem, pieszo wymknęli się z miasta i pośpieszyli na wieś do pewnego kolegi, któremu także zagrażało niebespieczeństwo. Tym sposobem zebrał się mały komplet przerażonej rady, i tylko co zaczął zastanawiać się nad przykrym stanem rzeczy, przybiegła odezwa powołująca do broni na dzień następny po jutrze, a nim ochłonięto z podziwienia, inny goniec przywiózł nie mniej ważną nowinę.

Wereszczyński od dawna zbierający w Galicji o milę od Husiatynia, materjały do legji podolskiej, zamyślił nakoniec złożyć w całość ukryte cząstki sztucznej roboty i wystąpić z nią w pole. Miał on kilku oficerów i parę set ludzi, najwięcej młodzieży z Podola, zachowanych po domach w sąsiedztwie; miał tyleż koni i odpowiedni zapas oręża. To wszystko postanowił zgromadzić nagle, przejść granicę, ubiedz Kamieniec i dać popęd powstaniom, które aby zastosowały się do jego widoków, wyprawił posłańców do junty i do Tyszkiewicza.

Taki posłaniec Wereszczyńskiego, w dniu 25 kwietnia zastał trzech członków rady w trudnem ich położeniu. Jakkolwiek rozważając zimno, zamiar opanowania Kamieńca bardzo przewyższał środki, ale przez długi czas krążące pogłoski o legji, nazwyczaiły wyobrażać ją sobie w olbrzymiej postaci; rozogniona w owej porze imaginacja najwytrawniejszych ludzi, łatwo chwytała się lada nadziei; nie było wreszcie nic pożądańszego do wyboru. Zastraszonym przez policję doławiającą się już na tropie związku, zdawało się że niebo samo zsyła ze wszech stron rychły ratunek. Błogosławiąc emisarjuszowi, którego rozkazy tak szczęśliwie przypadały do miary z chwilowemi wypadkami, uchwalono przyjąć je i poprzeć jak najskuteczniej. Dwaj skompromitowani mieli zaraz przemknąć się do Galicji dla dokładnego porozumienia się z Wereszczyńskim, trzeciemu pozostawało tylko godzin kilkanaście ukrywać się koło domu. Radość zajęła miejsce smutku, lecz nie trwała długo. Druga odezwa Chróściechowskiego od rana była już w drodze i szerząc się na wszystkie strony jak mroźny powiew, warzyła rozkwitające uczucia tej uroczystej chwili, kiedy każdy po raz pierwszy odetchnął swodobnie.

Można powiedzieć że nim oschło pióro agenta, nie jedna łza gorzka skropiła ziemię Podola. Przez dwa dni poprzedzające termin naznaczony, fatalne pismo po rozległej części kraju roznosiło zwątpienie, rozpacz, a nawet i zdradę. Byli tacy co wnet po rozkazie lub przed nim jeszcze otrzymali

odwołanie: ci otrętwieli w tej chwili, później wielu z nich nic poruszyć nie mogło. Byli tacy co ostrząc pałasze, osadzając groty, albo już szykując się pod bronią, usłyszeli okropną nowinę: tym pozostowało tylko ratować się ucieczką. Byli nakoniec tacy, którzy nieuprzedzeni w domach przez powtórną odezwę, wyprowadziwszy dopiero swoje małe hufce w pole, ujrzeli się zawiedzionymi zdradliwie: ci błąkając się czas niejaki, albo przedarli się do granicy austrjackiej, albo poginęli w nierównym boju: niewielu doczekało na koniach, odnowionych usiłowań powstania i liczniejszych szeregów bratnich.

Stopniowana ta szkodliwość cofnięcia terminu, działała prawie w prostym stosunku odległości od punktu, skąd wyszły obie odezwy. Dla tego powiat latyczowski ucierpiał najmniej; prócz bowiem dwóch związkowych co opuścili Podole zaraz po zdecydowanem w ich obecności odroczeniu, jeden tylko obywatel z synem musiał tajemnie wyjechać z kraju, ościenne zaś: płoskirowski, kamieniecki, uszycki, mohylowski, winnicki i lityński, zaburzyły się w najdziwniejszy sposób. Gdyby kto mógł w ówczas z góry patrzeć razem na wszystko co się tu działo, widziałby zamęt trudny do wypowiedzenia. W jednych domach ze ściśnionem sercem chowano już broń czem prędzej, wybierano się nagle w podróż, żegnano na nieokreśloną pielgrzymkę, mężów, ojców braci, albo w gronie całej familji opuszczano rodzinną zagrodę. W drugich miejscach, tejże godziny, brzmiał jeszcze szczęk oręża, z najlepszą otuchą siadano na koń, musztrowano ochotników, którzy dziś pierwszy raz stawali w szereg, jutro mieli składać liczne pułki i walczyć za ojczyznę. Płacz i wesołość, trwoga i zapał rozsiane od przypadku, krążyły koło siebie o kilkanaście kroków, trącały się w niespodzianem spotkaniu. Na bliskich ścieszkach, rozmijali się powstańcy spieszący rzucić niebespieczny swój ubiór, i spieszący przypiąć do grotów narodowe proporce. Na wielu drogach goniec który wiózł nowinę, że Dwernicki nadchodzi, że Wereszczyński lada moment wkroczy, spotykał gońca, który zwiastował, że emisarjusz rządowy zmienił postanowienie, że korpus Rota rozlewa się po kraju. Plątanina sprzecznych pobudek wywierała swój wpływ dni kilka; lecz w dniu co miał oświecić tysiące chorągiewek na zapowiedzianych punktach powiewających w porządku, w dniu tym feralnym, przewaga niepomyślnych okoliczności była już widoczna, i powszechny ruch skierował się do jednego celu — do starań o bespieczeństwo osobiste.

Dwa powiaty rozciągnione wzdłuż granicy galicyjskiej, kamieniecki i płoskirowski, wypróżniły się natychmiast ucieczką za Zbrucz, gdzie prócz spokojnego schronienia wabiła

nadzieja połączenia się z legją. Od rana 26 do nocy 27 kwietnia, wszystkiemi drogami spieszyli tu emigranci różnego rodzaju. Jedni w powozach z żonami i dziećmi, drudzy pieszo lub oklep na koniach, inni w zbrojnych i szykowych gromadach. Cały związek wolnych synów Podola, przemknął się niezwłocznie; tuż za nim ukazywały się w Galicji oddziałki członków ogólnego spisku. Nim wieść o podobnym losie Dwernickiego wybiegła na Podole, przeszło 500 zupełnie gotowych do boju Podolan, było na szlaku przeznaczonego dla nas tułactwa.

Z powiatów leżących głębiej w kraju, nie tak łatwa podawała się zręczność przekradać się w tę stronę. Wielu szukało ocalenia w śpiesznym wyjeździe do Kijowa lub Odessy, wielu musiało poprzestać na ukryciu się po lasach i wkrótce przeszło do więzień.

Zgubne skutki dwóch przeciwnych odezw, dotknęły nawet środkowe okolice Wołynia i przyległy im zakąt Ukrainy.

Wiadomość o naznaczonym terminie dla Podola, zwróciła Karola Różyckiego z drogi do Tyszkiewicza. W okolicach domu swego niedaleko Żytomierza, miał on zapewnionych i tajemnie uorganizowanych 800 fabrykantów leśnych; sąsiedzi i znajomi, oddawna pokładali w nim ufność jak w przyszłym naczelniku swoim. Pośpieszył więc do siebie żeby odpowiedzieć swemu powołaniu, i kiedy kazał wbijać żelaza na lance, kiedy wezwał towarzyszy, zaskoczyło go jak wielu innych, powtórne pismo emisarjusza.

W powiatach rowieńskim i zwiahelskim, gdzie już oddawna rozpoczęte powstanie sąsiedniego Polesia, wywierało naturalny popęd, pierwsza odezwa przypadała bardzo szczęśliwie do potrzeb i okoliczności miejscowych, druga zadała cios tem dotkliwszy. Naczelnicy stron tutejszych nie mogąc ściśle odpowiedzieć wezwaniu, naznaczyli sobie termin nieco poźniejszy, to jest dzień 2 maja (20 kwietnia). Przed tym dniem dowiedziawszy się o zdarzeniach zaszłych na Podolu, jedni opuścili ręce, drudzy pośpieszyli do Galicji.

Powiat owrucki, i z położenia podobny jemu, a należący do gubernji kijowskiej powiat radomyślski, nie poniosły wprawdzie rzeczywistej szkody; lecz poruszenia swoje, które teraz mogły rozwinąć się w dogodniejszej porze, odłożyły do czasu nieszczęśliwie wskazanego przez akt wstrzymujący okolice bliższe bojowiska wojsk regularnych, a tem samem, jak słusznie należało wnosić, przeznaczone przodkować innym.

Kiedy tym sposobem wschodnio-północna część kraju, przeniknionego nitkami wielkiej zmowy, targniona i zahamowana nieopatrznie, padała w odmęt; południowa tegoż czasu doświadczała lubo z innej przyczyny nie mniej podobnego w skutkach wstrząśnienia.

Powiaty podolskie niezajęte wpływem junty, równie jak pierwej tak i po przyznaniu władzy jednemu naczelnikowi dwóch gubernji, w urządzeniach i zmowach swoich celem powstania, odnosiły się do domów znakomitszych obywateli, a mianowicie Jelowickich i Sobańskich. Organizacja tu wolniejsza od form tajemnego towarzystwa, toczyła się po prostu łańcuchem sąsiedztwa; mniej było osób w ruchu, mniej punktów zbierania się dla narad. Każdy spokojnie gotując się u siebie, wiedział kto jest na czele rozleglegszej okolicy i od niego oczekiwał poleceń wyższej zwierzchności. Wśród cichych, regularnych zachodów insurekcyjnych tej strony, obudzał dotkliwą troskę los Aleksandra Sobańskiego zostającego pod sądem wojennym. Z interesem prywatnym łączył się interes publiczny. Chodziło o to, żeby ocalając dla krewnych członka familji, dla współziemian zacnego obywatela, zachować dla ojczyzny gorącego potrjotę, dla powstania dzielnego powstańca. Zabiegi w tej sprawie były już nie tylko skutkiem dotkniętych uczuć serca ludzkiego, ale nadto uczuć wyłącznie narodowych. Insurekcja zmuszona hamować swój zapęd, w skromnej, udanej postawie, wydzierała rządowi krwawą ofiarę; rząd rozsrożony, pragnący draźnić, zgłębiać i przerażać insurekcję, domagał się głowy buntownika.

Dnia 10 kwietnia, Edward Jełowicki marszałek hajsyński otrzymał najsurowszy ukaz w imieniu cara, ażeby bez żadnej zwłoki ukończył śledztwo, którego kilka terminów minęło już dla wyszukanych zawsze powodów prawnych. Marszałek naznaczył dzień 22 kwietnia na rozpoczęcie czynności śledczej w Bundurówce, dokąd też miał zjechać kapitan wojsk moskiewskich, do zasiadania w komisji komenderowany. Obecność oskarżonego nie była tem bardziej tu potrzebna, iż śledztwo to równie jak poprzednie musiało zejść na niczem. Mógł więc spokojnie pozostać w Hajsynie i oczekiwać chwili kiedyby powstanie położyło koniec jego procesowi; lecz wolał być odesłanym do domu. Przekładał marszałkowi, że korzystając z tej zręczności chce poczynić niektóre przynajmniej przygotowania, aby miał z czem wystąpić obok innych, skoro czas przyjdzie. Jełowicki uznał słuszność powodów, i Aleksander Sobański przed 20 kwietnia znajdował się już u siebie na wsi, w powiecie olhopolskim, o milę od swego brata Izydora mieszkającego w Piątkówce.

Dnia 24 kwietnia, marszałek hajsyński przybywszy do Bundurówki z ułożonym projektem dalszej zwłoki śledztwa, znajduje rzeczy w cale niespodziewanym stanie. Aleksander Sobański pokazuje mu przygotowany oręż, prowadzi do kuźni gdzie jawnie kuto groty, oświadcza że tegoż wieczora uwięzi kapitana, a nazajutrz wspólnie z bratem broń podniesie. Zdziwiony tak samowolnym zamiarem Jełowicki, przedstawia

złe skutki jakie krok ten ściągnąć może; przypomina że Izydor Sobański przysiągł posłuszeństwo naczelnikowi; przekłada, że powstać bez wiedzy i rozkazu naczelnika, jest to wszystkie umowione plany pomięszać, zepsuć całą siłę powstania leżącą w jednoczesności wybuchu na każdym punkcie kraju. Gdy wszelkie perswazje i prośby były daremne, opuszcza Bundurówkę, udaje się do krewnych Sobańskiego, zaklina ich aby starali się go odwieść od zgubnego przedsięwzięcia. Nikt się nie podjął przełamywać woli, której znano nieugiętość; wraca więc nazad, zabiera samegoż Aleksandra Sobańskiego i jedzie z nim do Piątkówki, w nadziei że Izydór Sobański, jako organizator powiatu, łatwiej usłucha rad zgodnych z jego obowiąskiem. Wjeżdżając w nocy do wsi, znajduje już wartę u wrót, a przy dworze kilkudziesiąt ludzi zbrojnych w piki.

Trzeba wiedzieć, że w tym czasie Tyszkiewicz spodziewając się lada moment powrotu Tomaszewskiego z rozkazami od jenerała Dwernickiego, rozsyłał polecenia zupełnej gotowości na hasło do powstania. Drugi z rzędu posłaniec dnia 24 kwietnia zjawił się w Piątkówce i zaręczał, że może w pół godziny po nim wyjechał już trzeci z ostatecznem słowem. Nadto przyszła razem wiadomość o zbliżaniu się korpusu polskiego przez Kołodno ku granicom Podola. Izydor Sobański przed dwoma tygodniami będąc u Tyszkiewicza, bądź z potocznej rozmowy, bądź z wyraźnie zaszłych między nimi postanowień, miał to przekonanie, iż pewność o wejściu jenerała Dwernickiego na Wołyń, zdecyduje termin powstania na Podolu i Ukrainie. W obecnych więc okolicznościach łatwo uległ bratu, którego porywał zniecierpliwiony zapał. Aleksander Sobański radząc się tylko własnego serca, sądził że czekać dłużej było to czas marnować, że za danym przykładem pójdą wszyscy, że wreszcie wahających się z pistoletem w ręku przekona. Taki śmiały i azardowny środek, w niedostatku porządnie rozgałęzionej zmowy jednałby słusznie chlubę pierwszeństwa w niebespiecznym zawodzie; teraz bez względu jakiekolwiek inne mogły być jeszcze przyczyny, wina zepsucia rozważnych układów spadała na tego, kto pierwszy przeciw nim postąpił.

Marszałek Jełowicki podawał rozmaite sposoby zakrycia przedwczesnych poruszeń, jednak tyle tylko dokazać zdołał, iż Sobańscy w przytomności znajdującego się wówczas w Piątkówce Wacława Rzewuskiego, przyrzekli trzy dni czekać na miejscu, nim by Tyszkiewicz o ich niezłomnem postanowieniu uwiadomiony nie został. Marszałek Jełowicki przybywszy nazajutrz do Hubnika, opowiedział kilku zgromadzonym sąsiadom zdarzenia których był świadkiem. Wyprawiono Aleksandra Jełowickiego do Tyszkiewicza.

Nazajutrz po odesłaniu gońca, który był przywiózł godną troskliwszej uwagi odezwę Chróściechowskiego, miał naczelnik drugą wiadomość wyraźniej już grożącą zamiarom układanym w taki sposób, że byle cząstka ich odkryta, pozostawał tylko ratunek, zrzucić natychmiast resztę zasłony. — Wszystkie spiski mają to do siebie, że najmniejszy zamach z ich łona, musi wytoczyć w pole, albo rozprządz wewnątrz całą przygotowaną siłę. Jednak ta prawda nie dawała się czuć ani organizatorowi, ani związkowym Ukrainy i Podola. Mniemali, że powstanie które sami starali się w jeden łańcuch spoić, do jednego uderzenia nakierować, raz jakimkolwiek bądź przypadkiem zapalone, można jeszcze było bez szkody przytłumić, można było nawet poświęceniem, odcięciem kilku członków, rzecz powszechną zbawić.

Wczoraj na radzie w powiecie latyczowskim przemogły takie zdania; dziś w Oczeretnej nie mniej szczupłe grono znajdujących się przypadkiem u Tyszkiewicza obywateli, sądziło podobnież. Oburzono się na Sobańskich: wołano że nie dla nich, ale dla ojczyzny prowincje broń podnieść przedsięwzięły; że jeśli kto przez samowolność gubi ogólną sprawę, niech raczej sam ginie.

Jełowicki nie wiedząc co działo się w innych stronach Podola, a mając słowo Izydora Sobańskiego, iż do trzech dni będzie czekał na odpowiedź Tyszkiewicza, przedstawiał że jeszcze niebespieczeństwu zapobiedz można, że rozkaz naczelnika powściągnie zapewne zobowiązanego przysięgą podwładnego. Tyszkiewicz nie miał już prawie czego się zastanawiać: jego wola przed dwudziestu czterma godzinami uczyniła krok nieodzowny. Jakkolwiekby teraz postąpił sobie, część tylko złego mogła być odwrócona; postąpić zaś musiał stosownie do myśli i rachub, na których się zatrzymał odprawując posłańca w powiat latyczowski: inaczej te myśli, te rachuby, okazałyby się nieoparte na dość mocnych powodach do usunięcia precz odezwy wołającej o rychłą pomoc korpusowi Dwernickiego.

Poleciwszy więc Jełowickiemu, żeby w towarzystwie dwóch lub trzech obywateli udał się do Sobańskich i usiłował wymódz na nich posłuszeństwo, napisał kartkę w wyrazach: «Na miłość Boga i Ojczyzny zaklinam was, nie powstawajcie przed naznaczonym terminem, którym dla nas wszystkich będzie dzień 7my maja (25 kwietnia v. s.).»

W kilka chwil po odjeździe Jełowickiego, przybiegł do Oczeretnej drugi goniec z pod Międzyboża, i uwiadomił, że Chróściechowski odroczył powstanie, właśnie na dzień 7 maja. Wszystko zdawało się być dobrze załatwione. Przybyły doniósł wprawdzie, że w szybkiej swojej podróży słyszał, iż dwóch obywateli skompromitowanych musiało uciekać z do-

mow; ale ponieważ sam był jednym z tych co najmocniej przyczynili się do odroczenia, bynajmniej stąd nie wróżył nic złego, i całą rzecz wystawił wedle swego pojęcia w najlepszem świetle.

W dniu więc 26 kwietnia, kiedy od świtu rozpoczęte zamięszanie, grasowało po północnej części Podola, kiedy w południowej wszystko można było zatrzymać, prócz pogłoski dostatecznej na przestrogę dla nieprzyjaciela, kiedy nareszcie korpus posilkowy stał przyparty do Galicji; tego dnia wieczorem naczelnik rozległej zmowy, mniemał jeszcze mieć w ręku całe dzieło swojej organizacji, patrzał ufnie w przyszłość oddaloną na dni dziesięć, spodziewając się nawet przed tym kresem pomyślnej odpowiedzi od Dwernickiego, wysłał znowu do niego z prośbą o dowódzcę, instrukcje i rozkazy. Drugi dopiero emisarjusz od organizatora powstania do wodza wyprawy, wyjechał po zachodzie słońca, które chyląc się za Karpaty wskazało już i powstaniu i wyprawie przeznaczoną drogę.

XII.

Perjod dni dziesięciu od 27 kwietnia do 7 maja, w dziejach będących przedmiotem niniejszego pisma, kładzie głęboką przerwę między tem co być miało i mogło, a tem co się później stało: oddziela on porządnie snowane zamiary, od improwizowanych wypadków. Czteromiesięczna zmowa Podola, Ukrainy, i znacznej części Wołynia, zostawiwszy w duszących gruzach swojej roboty kilka wytrysłych zarodków siły zbrojnej, poszła zająć miejsce w rzędzie tych wielorakich knowań tajemnych, co napełniają historję porozbiorową Polski. Najdawniejsze z nich zdaleka krążyły koło jedynego dla wszystkich celu, ostatnie wprost położyły rękę na broni. Po związku podchorążych warszawskich, tuż występuje na scenę podobny z tego względu związek obywateli Ziem Ruskich. Miał on tylko krótką ścieszkę do drogi, którą pierwszy otworzył; zadanie dla jego pracy było zupełnie jasne, materjał przygotowany w ogniu powszechnie płonącego ducha. Prędko też wywikłał się z drobiazgowych formułek, wpadł na tor wojennego szyku, i ogromne swoje zasoby tak urządził w tajemnicy, że za skinieniem jednej upoważnionej do tego woli, cały kraj południowy aż do Dniepra, powinien był powstać w sposób najskuteczniejszy. To co tu powiadam, nie jest bynajmniej zapędem złudzonej imaginacji.

Ktokolwiek bez uprzedzenia wpatrzy się pilnie w splot

wszystkich wątków zmowy, przyznać musi że w połowie kwietnia była dostateczną ile być mogła. Mimo mitręgę niektórych osób w uznaniu naczelnika, władza jego już nie ulegała wątpliwości; mimo rozwlekłe, ociężałe, ale nie przeciwne uchwałom zapadłym w Michałówce, czynności junty, główne przedmioty organizacji szły nieprzerwanym i szybkim krokiem; mimo nakoniec nietrafne albo niedostateczne plany narad wojennych, sposób pierwszego wybuchu, był najnaturalniej obmyślony. W owej porze, same tylko Ukraina i Podole, miały już złożonych gotówką do miljona złotych, zapewnionych najściślejszym rachunkiem, 12,000 dzielnych jezdzców, wskazany dla wszystkich ten pierwszy cel: rzucić się jednocześnie na każdy punkt gdzie rezydowała jaka władza, albo załoga moskiewska. Sądzę, iż na tem można było poprzestać co do istotnej potrzeby. Pozostawało wprawdzie zebrać jeszcze od związkowych 7,000,000 zł. dobrowolnego podatku, i organizator nie miał upatrzonego ogólnego wodza; ale miljony i ogólny wódz, należały już właściwie do tych widoków, których tam był początek gdzie się kończył zawód tajemnego spisku. Powstanie ruszone wówczas, niewątpliwie oswobodziło by szeroką przestrzeń ziemi z jej pieniędzmi, z jej ludem; jeśli kiedykolwiek mógł znaleźć się pożądany talent do wojennego steru, znalazłby się dopiero najłatwiej.

Czemuż to wszystko tak pewne, tak obiecujące, rozchwiało się jak czcze marzenie? Dla nas, cośmy wielu próbowali sposobów dźwignienia się z pod jarzma, i wielu jeszcze próbować gotowi, nie próżną jest ciekawością dociekać tego najgłębszej przyczyny.

W nieskończonym łańcuchu przyczyn pomyślności albo nieszczęścia każdej sprawy ludzkiej, zwykle jeden jaki wypadek wynurza się na powierzchnią widzialnych rzeczy, i to częstokroć drobniutkie ogniwo, zdaje się być pierwszem źródłem wszystkich dalszych następw. Doskonały malarz ziemskiego świata, Walter Scot, w jednym z najpiękniejszych romansów, długi wątek złych przygód swego bohatera ciągnie od tego, że mu koń rozkuł się w drodze. Browar niezapalony na Szulcu, rozpoczyna podobnie cały szereg ściśle powiązanych z sobą niepowodzeń rewolucji 29 listopada. Wpływ Chróściechowskiego i pośpiech Sobańskich, dotykalniej zmieniają dolę powstań prowincji południowych. Ale taki klucz dostateczny dla czytelników romansu, nie prowadzi dosyć daleko umysłu roztrząsającego dzieje, w których ważył się los wielu miljonów ludzi, była w grze przeszłość i przyszłość wielu pokoleń. Fatalizm, przypadek, samowolność nawet pojedyńczych osób, nic tu jeszcze nie tłumaczy.

W narodzie ujarzmionym, każdy związek mający na celu sprawę jego niepodległości, a tem bardziej związek tak oby-

watelski wojenny razem, jakim było przygotowane powstanie Ziem Ruskich, jest zapewne wypływem myśli i uczuć powszechnych, ma w sobie treść wszystkich sił moralnych i cnót narodu. Jeśli więc lada okoliczność może te wielkie sposoby zawodzić, mięszać, niweczyć; to albo z natury swojej są niewłaściwemi narzędziami do dźwigania ojczyzny, albo w samym narodzie są jeszcze takie słabości i wady, że go żadna sztuka skutecznie podnieść nie zdoła.

Nie znamy dotąd w historji przykładu dzielnego powstania za pomocą systematycznej zmowy. Z nabrzmiałej lecz milczącej nienawiści ludu, wylała się krwawa powódź sycylijskich nieszporów. Na głos kilku porwanych zapałem, na przemowę dającą się zebrać w dwóch słowach, cała Wandea sypnęła się do broni. Bez organizacji, bez planów, w różnych dalekich punktach Hiszpanie rzucili się na wojska Napoleona. Coś podobnego mieliśmy świeżo i na własnej ziemi. Spisek podchorążych nic nie wykonał, nic nie nakierował jak sobie zamierzał; jego tylko poświęcenie się czyste, jego patrjotyczne bohaterstwo, znalazły odpowiedź na zuchwałe hasło i w nienamówionej stolicy, i w nieprzygotowanym kraju. Podobnym jeszcze sposobem, wyprzedziwszy namysły swoich tajnych naczelników, z wsi do wsi, z powiatu do powiatu szerzyła Litwa zbrojne poruszenie. Ale jak biada tym, którzy choćby przez najmądrzej urządzoną machinację, podnieśli chorągiew niezgodną z uczuciem narodu; tak stokroć większa biada narodowi jeśli jego powszechne uczucie, musi szukać wsparcia w mądrości rachuby, i zapał jednych, spotka się z zimnym rozumem albo z zimniejszym jeszcze interesem drugich. Nie przez co innego zachwiała się i upadła cała rzecz poczęta 29 listopada, nie inna też przyczyna leżała na dnie wszystkich słabości w poruszeniach zabranego kraju.

Skoro przyszło do tego, że rozum miał przewodniczyć zapałowi, trzeba było wziąść każdą pojedyńczą wolą pod zarząd jednej władzy, trzeba było tę władzę oprzeć na czemś świętem, niewzruszonem, coby dla każdego rozumu, dla każdego serca było niezłomnem prawem. Nieznacznie otwierała się przepaść aż do głębi, gdzie spoczywa zakryta tajemnica najdoskonalszego związku jakim jest naród, skąd wypłynęły te wszystkie węzły, któremiśmy stali dziesięć wieków.

Obywatele Ziem Ruskich ogólnie, w ciągu swojej zmowy złożyli dowody wielu dochowanych cnót, i wielu poprawionych przywar narodowych. Szczera hojność dla ojczyzny, nie z dzisiejszej teorji zakupienia dla sprawy polskiej mas ludu za kawałki ziemi, lecz z świętszego źródła pochodzący wzgląd na włościan jako braci i współrodaków, znacznie nakoniec upowszechnione przekonanie o potrzebie ładu i władzy, były to liczne oznaki, że zbliża się czas wyjścia z domu

pokuty. Bez wątpienia, zbyteczna lekość, fantazja porywcza i zmienna, niekiedy duma albo raczej próżność, upór w swojem widzimi się, i dziecinna prawie skłonność do przekory — wady nie dość przytarte w krewkim i młodzieńczym narodzie naszym, jeszcze ostro występowały na scenę. Nie im wszakże wyłącznie przypisać należy złe, które poświęcenie się i odwagę naraziły na bardzo ciężką próbę. Sztuczny węzeł spisku krępował tylko dowolność rozumów; w sumieniach nie było dla niego silnej podstawy, i skoro nie odpowiedział pierwszemu warunkowi, musiał upaść nieodzownie.

Ponieważ związek z natury swojej mógł tylko mądrą rachubą dojść do tego, co zapał odgaduje instynktem, głowa postawiona najwyżej miała powinność, nic nie stracić z widoku, wszystko wyrachować jak najściślej. Na drodze bowiem matematycznego rozwiązywania jakichkolwiek bądź zadań, lada myłka całą robotę w niwecz obraca. Ponieważ władza naczelnika związku, tylko w trafności swoich czynów mogła znaleźć sankcję dostateczną, taka myłka jeszcze groziła jej wypowiedzeniem posłuszeństwa. I zdarzyło się nie przewidzieć niektórych rzeczy, nie wyrachować dobrze kiedy była najdogodniejsza, a nawet konieczna pora z przygotowań przejść do czynu. Mimo nieszczęśliwe czy nie dość pilne zabiegi jenerała wyprawy i organizatora powstania o porozumienie się wzajemne, naturalna wspólność dwóch sił mających jeden cel, jednego nieprzyjaciela, nie mogła być zaniedbana bezkarnie. Naczelnicy dwóch korpusów, z których pierwszy niósł hasło do boju, drugi czekał nań rozsypany w tajnych leżach, dziwnym trafem zamienili swoje role. Ten co powinien był wszystko obliczać porządnie, zaufał ślepo zapałowi, ten który w istocie nic nie mógł uczynić bez szczęśliwej chwili dla zapału, poległ całkiem na rachubie. Oba stąd doświadczyli szkody. Chorągiew polska na prowincje polskie musiała niezależnie od sztucznych układów, wywrzeć swój wpływ, swoje parcie atmosferyczne; wszelka też organizacja niezastosowana do tego wpływu, musiała stawić pewny opór. Orzeł biały wznosząc się nad ziemią Jagiellonów, zajaśniał jak księżyc nad morzem. W szybkim jego przelocie i po niskim łuku, wszędzie jednak zjawiło się wezbranie ducha, ile gdzie nań wystarczało, wszędzie węzełki systematycznej roboty przyczyniały tylko zawad; skoro zbliżył się do granic Podola, groble urządzone dla silniejszego wylewu, pękły jedynie przez to, że ręka co powinna była otworzyć śluzy, znajdowała się zbyt daleko.

Kruche jest i bardzo dotkliwe wszelkie dzieło ludzkiego rozumu; niebespiecznie opierać na niem tak wielkie sprawy. Zmowa, która zdawała się ciągle niedojrzałym owocem, miała już w łonie swojem poczynającego toczyć ją robaka, policji

moskiewskiej; nieroztrącona gwałtownie, któż wie czyby nie spadła cicho w ciemnice więzień, czy wreszcie dotrzymawszy w swoich klubach wyrywający się zapał, potrafiłaby go również samowładnie wzbudzić za dni dziesięć? Cokolwiek bądź, przed tym kresem, część zwiąskowych poszła w rozsypkę, część wystawiona na sztych z orężem w ręku, wyglądała niepewnych swoich losów; inni albo radzili jeszcze co czynić, albo dotknięci plagą jaką zadał całej sprawie naszej pierwszy przykład złożenia broni, słuchali tylko własnej trwogi. Właściwie mówiąc, nie było już ani spisku ani jego władzy. Powstanie bez walki doświadczyło skutków najokropniej przegranej bitwy; naczelnik bez grzechu w sercu, stał przed sądem swoich podwładnych. Ostatnia chwila jego powagi wybiła niemal z ostatnią godziną wyprawy: pierwej mogło znaleźć się kilku nieposłusznych, i złamanie zaprzysięganych ustaw było skutkiem zapału; teraz rzadko kto z dobrej woli dotrzymał posłuszeństwa, i wierność posłuszeństwa, i wierność przysiędze wymagała bohaterstwa.

W trudnych, bardzo trudnych okolicznościach, przyszło patrjotom Ukrainy i Podola, przypomnieć owe słowa: powstaniemy, choćby dla tego żeby zginąć. Trzeba było wielkiego ducha poświęcenia się, najczystszej ofiary z miłości własnej, gorącego uczucia braterstwa. W tych cnotach jest jedynie pewny żywioł wszystkich spisków narodowych, w nich ostateczna nadzieja i spiskujących i całego narodu, do nich zawsze ucieczka zawiedzionych rachub rozumu. Bez nich żadna organizacja nie utworzy skutecznego powstania, żadna władza nie zbawi ojczyzny; lecz ognisko ich tam właśnie, skąd bierze świętość przysięga, która okazała się dopiero lekkiem słowem.

Byli wszakże tacy co dotrzymali i Bogu i ojczyznie i swoim ustawom. Kto się rozgrzeszył przez brak odwagi, niech w ciszy rozmawia z swojem sumieniem; kto sobie obrał przez roztropność, czekać lepszych czasów, kiedy inni nieśli życie za wszystkich, niech im nie śmie zarzucać, że walczyli daremnie. Oni z ziemi przodków zdarli prawo przedawnienia rosnące dla carów, oni świetnemi zwycięstwy w małych garstkach dali przykład, czego mógł dokazać kraj cały. Im należy się nauka, że nie masz tak złej pory, kiedyby żywa i powszechna chęć nie mogła zbawić narodu; tej zacną krwią zapieczętowanej nauce, następna część niniejszego pisma.

CZĘŚĆ DRUGA.

ZBROJNIE PORUSZENIA.

I.

Pobrzeże Wołynia nad Bugiem i granicą Galicji od Kryłowa do źródeł Zbrucza, odkreślone wielkim gościńcem idącym przez Włodzimierz, Łuck, Dubno, Krzemieniec, było placem, na którym korpus wojsk nadwiślańskich, przeznaczony być gwiazdą polarną wszystkich poruszeń zbrojnych w prowincjach południowych, wszedł, zajaśniał i zniknął. Przeciąg dni szesnastu — od 11 do 27 kwietnia — obejmuje jego zabużańskie dzieje.

Około tej wąskiej przestrzeni, opasanej jeszcze niemal tem wszyskiem co Moskwa z sił swoich mogła tu postawić, leżały cztery główne okręgi przygotowanych powstań: Polesie wołyńskie, środek Wołynia, Ukraina i Podole. Dwa pierwsze mniej uorganizowane, z sobą i z innemi słabo były połączone; dwa drugie miały wspólne ognisko, szybkie komunikacje, dostateczne usposobienie do jednoczesnego wybuchu. Polesie tylko wszakże odegrało swą rolę w perjodzie między wkroczeniem na Wołyń, a wejściem do Galicji wojska regularnego.

Te same przyczyny co resztę tutejszego kraju zostawiły w zaniedbaniu za szeregami nieprzyjaciela, były także powodem, że ruch rozpoczęty na Polesiu, prócz jednoczesności nie miał innego związku z działaniem korpusu, w niczem mu nie dopomógł, szedł bez pewnego kierunku i upadł.

Główny ster rzeczy w tych stronach zależał od Prażmowskiego; pułkownik M*** później powołany, miał wyłączniejsze polecenie dowództwa nad siłą zbrojną w chwili już jawnego powstania; Stanisław Worcel, Narcys Olizar i Ksawery Godebski, stali na czele miejscowych związków w powiatach: kowelskim, łuckim, i w znacznej części rówień-

skiego. Skoro major Chróścicchowski nie dopełnił włożonych nań obowiąsków; skoro obojętność, a nawet dwuznaczność i nikczemność niektórych naczelników nad granicą, zatamowała porozumienia, jakie powinny były uprzedzić wejście korpusu, odezwy i proklamacje jenerała Dwernickiego, gęsto rozrzucane na prawej stronie Bugu pod nogi forpoczt nieprzyjacielskich, nie mogły ani dostać się za linję Rydigiera, ani nagrodzić niepoczynionych rozporządzeń. Z pomiędzy pism jenerała, najbliżej trafił swego celu list prywatny do pułkownika M*** jako do dawnego znajomego, pisany z wyraźnem poleceniem, żeby się starał jak najrychlej i jak na najliczniejszych punktach zapalić powstanie. Pułkownik z razu wziął się gorliwie do czynności: ponapisywał od siebie proklamacje, dołączył do nich kopje listu i wraz ze szczegółowemi instrukcjami porozsyłał główniejszym związkowym.

Czwartego dnia po wkroczeniu za Bug wojska polskiego, Worcel w Kaszówce otrzymał ekspedycję M***, przesłał ją dalej, i zaraz wziąwszy kilkunastu konnych, pośpieszył zdjąć poczty na gościńcu kowelskim. Na jednej ze stacji pocztowych zachwycono dwóch oficerów moskiewskich, wyprawionych od Rydigera do głównej kwatery armji działającej. Adjutant jego, baron Kruzenstern, miał przy sobie raport, którego część udało mu się zniszczyć. Z pozostałego urywku można jednak było wyczytać jak dalece jenerał moskiewski był przerażony. Liczył on siły Dwernickiego na 20,000; spodziewał się tuż za nim Sierawskiego w 30,000; duch prowincji uważał za nader niebespieczny; oprzeć się z tem co miał nie obiecywał, o spieszne i mocne wsparcie błagał Dybicza. Lubo powstańcy wiedzieli że liczba wojsk polskich w raporcie była niezmiernie przesadzona, trwoga jednak Rydigera pokrzepiała bardzo ich nadzieje. Jeńców i raport posłano Dwernickiemu.

Właśnie kiedy Worcel wracał z pierwszej swojej wyprawy, spotkał go Olizar jadący w strony bliższe granic królestwa, dla powzięcia wieści o dawno oczekiwanym korpusie z pod Zamościa. Dowiedziawszy się o tem co zaszło, i że się rozminął z gońcem, który powiózł mu od Worcela pisma pułkownika M***, pośpieszył do domu, wyprawił natychmiast kopję ekspedycji do Godebskiego i dał odpowiedź pułkownikowi, iż się stanie zadość jego wezwaniom. Godebski zajął się niezwłocznie poruszeniem związkowych w okolicy Włodzimierza i oznajmił Olizarowi dzień, w którym z oddziałem swoim miał przyciągnąć do niego, do Rafałówki. Takim porządkiem obudzane powstanie nie miało sprężystości jednoczesnego wybuchu na rozległej przestrzeni, ani wytkniętych punktów do zdobycia pierwiastkowemi siłami. Ale ponieważ

polowe wojska moskiewskie usunęły się zupełnie ku południowi, mogło rozwinąć się zwolna, ogarnąć miasteczka strzeżone przez nieruchome załogi, i cały swój kraj opanować podług kolejno obmyślanych planów.

Tegoż czasu (około 15 kwietnia), bądź w skutek rozsyłanych proklamacji, bądź na sam odgłos przybycia wojsk polskich, zjawiło się poruszenie zbrojne w stronie bliższej głównego teatru walki. Ludwik Stecki, który przedtem i później tyle złożył dowodów patrjotyzmu, pierwszy tu z zapałem młodego wieku i z nieograniczonem poświęceniem się wylanego na usługi dla ojczyzny obywatela, wziął się do broni. Ogromna fortuna, szczęśliwość domowa z pełną cnót i wdzięków małżonką, życie w kwiecie lat otoczone widokami trwałej pomyślności, te były ofiary szlachetnego powstańca, rzucone odrazu w odmęt wojny, na przykład dla innych. Odpowiedniej tym wielkim darom, bespośrednio skutecznej pomocy sprawie powstania, ziemianin jednej chwili przemieniający się na żołnierza i wodza, przynieść nie mógł. Zebrawszy naprędce ledwo 30 jezdnych i 100 strzelców, ruszył do Włodzimierza. Orszak jego powiększał się po drodze, w mieście garnizon inwalidów nie stawił oporu. Lecz niedoświadczony dowódzca nie wiedział co miał dalej czynić; zajął się najprzód ustanowieniem rządów insurekcyjnych, i bezpotrzebnych środków bespieczeństwa, oddał się uniesieniom radości.

Krejc postrzegłszy zapóźno jaki kierunek wziął jenerał Dwernicki i nie mogąc doścignąć go w królestwie, posłał w ślad za nim jenerała Dawidowa z pułkiem dragonów i z kilku sotniami kozaków. Oddział ten postępując o dwa marsze za korpusem polskim, znalazł most niezniszczony na Bugu i dla zawiązania komunikacji z prawem skrzydłem Rydigera, udał się wprost pod Włodzimierz. Wśród wesołej uroczystości na cześć pierwszego dnia swobody, nagle ukazał się nieprzyjaciel w mieście. Strzelcy utrzymywali się czas niejaki w ogrodzie u adwokata Tarkowskiego, gdzie była główna kwatera powstańców: ubili kilkunastu kozaków i jednego oficera; jazda nie mogła stawić żadnego oporu; wszystko nareszcie musiało ocalać się ucieczką. W domu zapalonym podczas utarczki, żona Steckiego tylko co nie zginęła od płomieni. Patrjotyzm w sercu tej młodej Polki stłumił słabość płci jej właściwą; do ostatniej minuty zaprzątniona wyporywaniem pilści z krzeseł i kanap na kłaki dla strzelców, zachęcając przez okno walczących, i w dymie prochu śledząc tylko troskliwie męża, zapomniała o sobie, nie postrzegła że ogień obejmował już ściany. Ręka litością zdjętego nieprzyjaciela wyrwała ją z pożaru. Dwaj obywa-

tele, Faustyn Dobrzyński i Leon Moszyński dostali się do niewoli. *)

Oddział Dawidowa niewynoszący 1000 ludzi, złożony z samej jazdy, nie powinien był zastraszać rozległej i leśnej okolicy: ale położenie i czas nadawały mu wielką wagę. Znajdował się z tyłu korpusu polskiego, odcinał od niego Polesie, niszczył w samym zarodzie powstanie włodzimierskie, inne mógł ubiegać i roztrącać nim się rozwinęły, bo wewnątrz większa dotknęła je klęska — były już bez właściwego steru, w oczekiwaniu rozkazów i w zupełnej niewiadomości odleglejszych wypadków, zostawione same sobie.

Prażmowski pierwszy opuścił wszystko, wyjechał do Galicji; a powód jakim krok ten niegodny chciał osłonić, odjął ducha i drugiemu po nim naczelnikowi. Pułkownik M*** zamiast poparcia rozpoczętego dzieła, napisał do powstańców poleskich żeby się wstrzymali; sam zaś pobiegł widzieć się z jenerałem Dwernickim, którego w dniu 17 kwietnia zastał już pod Boremlem. Naoczny świadek tak opowiada to widzenie się: «O godzinie 2-ej z południa przybył pułkownik M***, obywatel z Polesia, stary żołnierz, ozdobiony krzyżami, i dobrze znany dowódzcy korpusu. Nic jeszcze nie wiedział jenerał Dwernicki o powstaniu Worcela, Steckiego i innych, oczekiwał niecierpliwie wysłanych w te strony gońców; zjawienie się przeto w głównej kwaterze oficera mogącego powstaniu przewodniczyć niemało go zdziwiło. Zapytał pułkownika czemu tu, czemu nie z bronią w ręku na swojem miejscu? — «Ja — rzekł pułkownik — zebrałem pewną liczbę strzelców i przybyłem zapytać jenerała, czyli mam z nimi do korpusu przymaszerować; bo co się tyczy ogólnege powstania, to zupełnie sparaliżowane zostało. Pułkownik Prażmowski odebrał wczoraj własnoręczne pismo od wodza naczelnego, aby obywatele Wołynia nie powstawali. W tej chwili rozstałem się z Prażmowskim, który mi to oświadczył i już zupełnie rzecz opuścił: pismo to przywiózł gońcem z Warszawy Michał W*** (Walewski).» Jenerał Dwernicki odpowiedział: «Dla prawych obywateli kiedy idzie o ojczyznę, zakazy wodza naczelnego są niczem; masz przed sobą 4000 Polaków, których już znają Moskale, i którzy tu za was na waszej

---

*) Dobrzyński gorliwy patrjota, pierwej jeszcze narażał się na niebespieczeństwa jeździć do Zamościa dla skomunikowania się z jenerałem Dwernickim. Wzięty we Włodzimierzu z bronią w ręku, okuty był w łańcuchy i odesłany do Bobrujska. Moszyński, lubo kilkakroć ranny, zdołał umknąć z więzienia i dostać się do Warszawy; z Francji zaś zaciągnąwszy się do służby portugalskiej, zginął pod Oporto. Dawidów obchodził się srodze ze swymi jeńcami, prześladował wszytkich podejrzanych, i pojmawszy obywatela Czarnołuskiego, oskarżonego tylko o stosunki z oddziałem Steckiego, dozwolił swemu żołdactwu męczyć go i znieważać, a potem kazał urzędownie powiesić.

ziemi umrzeć przyszli. Wróć pan, i powiedz to tym, którzy usłuchają tego zakazu; ale wątpię żebyś takich znalazł.» Pułkownik zaręczał że nikt temu nie uwierzy, że sam to ma za nic, jak równie że proklamacje jego i innych obywateli obiegły już okolice i że wszyscy wkrótce będą pod bronią.» *)

Nazajutrz w czasie walnej bitwy z Rydigerem, przybyli do Boremla Stecki i Z... z kilkudziesiąt ludźmi. To było pierwsze i ostatnie zetknięcie się powstania z korpusem. Dziedzic Boremla i naczelnik oddziału włodzimierskiego, odznaczyli się zaraz w boju jak waleczni żołnierze; z hufcami uzbrojonemi przez siebie, ze szczupłem gronem szlachty współobywateli, byli przy wojsku regularnem jak reprezentanci patrjotyzmu swojej prowincji: zawód ich jako naturalnych i bardzo możnych przewódzców w miejscowych usiłowaniach, został zawieszony i przecięty. Odtąd jenerał Dwernicki ciągnąc za sobą główną siłę nieprzyjaciela, dążył na Podole; a w miarę jak pogorszało się jego położenie, Dawidów mogł szerzyć się swobodniej. Upadek wszakże rozpoczętego ruchu w tutejszych okolicach był już pierwej przygotowany. Pułkownik M*** nie tak postąpił sobie, jakby przynajmniej po jego ostatecznem słowie danem jenerałowi Dwernickiemu spodziewać się należało. Wróciwszy do domu (mil 12 od Boremla), pożyczył u sąsiada parę pistoletów i tajemnie puścił się w drogę — do Galicji. Dopiero z pierwszego miasteczka za granicą napisał do powstańców poleskich, że jeśliby tego koniecznie wymagali po nim, połączy się z nimi, ale chyba tylko aby umrzeć razem; bo im samym nic nie pozostaje jak rozpuścić ludzi i popowracać spokojnie do domów. List ten otrzymano w chwili, kiedy już spełniwszy uprzednie rozporządzenia naczelnika, po stracie dni kilku, z niecierpliwością oczekiwano dalszych jego rozkazów, kiedy z rozległego okręgu obywatele w jeden punkt skupieni, polegali zupełnie na rozsądku wyższej władzy.

Jeszcze w instrukcji przyłączonej do pierwszej swojej odezwy, pułkownik M*** wskazał był za dowódzcę wspólnego dla oddziałów Worcela, Olizara i innych, kapitana Bogdanowicza. To nadało od razu silniejszy popęd natural-

---

*) Patrz w Pamięt. Emigr. Pol. w Broszurze Władysław IV., Opis bitwy pod Boremlem przez Anastazego Dunina. — Czy Prażmowski do słabości swego charakteru przydał jeszcze nikczemność kłamstwa, czy może tylko istotnie otrzymane od wodza jakie rady ostrożności i rozwagi wytłumaczył wedle usposobienia własnego umysłu, tego nikt dotąd nie objaśnił. To pewna wszakże, iż nikomu z podrzędniejszych naczelników, choćby dla ocalenia swego honoru listu nie komunikował, a są w Emigracji osoby, które już po skończonej wojnie słyszały z ust pułkownika M*** to samo, co jenerałowi Dwernickiemu mówił.

nej skłonności niedoświadczonych powstańców zbierania się w tłumne gromady. Worcel przejął znaczny transport mąki prowadzonej dla armji moskiewskiej, zdobyte i miejscowe zapasy żywności odsyłał do puszczy; w uroczysku zwanem Czerewacha zakładał obóz, wzywał tu dalszych obywateli. Godebski, Władysław Moszyński i inni związkowi, w 500 ludzi przeciągnęli przez Rafałówkę i wraz z Olizarem pomaszerowali na umówione stanowisko. Teodor Pociej przyprowadził kilkudziesiąt dobrze uzbrojonych strzelców: dalsi obywatele przybywali z garstkami swoich włościan lub zebranych ochotników. Wszędzie kędy przechodziły pierwiastkowe orszaki powstańców, dawało się widzieć żywe wstrząśnienie kraju. W każdej wsi witano je z radością i błogosławieństwem, z każdego niemal dworu nadsyłano wozy ładowne chlebem, mięsiwem i wódką. Ale przychylność włościan nie była zupełnie wolna od nałogowej bojaźni, jaką wzbudzał nieobalony jeszcze rząd moskiewski; zresztą bezbronne ich ręce na mało mogły się przydać. Pożyteczniejszym nabytkiem byli pojedyńczy ochotnicy: młodzież szlachecka, oficjaliści i sługi z domów obywatelskich. Kto miał odważne serce i jakikolwiek oręż łączył się do hufców, które zostawując za sobą ciszę i obawę, unosiły w głąb lasów ledwo rozniecające się iskry zapału i nadziei, żeby tam spłonęły daremnie.

Dnia 21 kwietnia wszystko już znajdowało się w Czerewasze. Nazajutrz przybył kapitan Bogdanowicz w trzydzieści porządnych koni, i zajął się zaraz uszykowaniem gromady. Cała siła składała się przeszło z tysiąca ludzi. W tej liczbie było 300 jazdy, 160 strzelców celnych, reszta kosyniery. Nadto przyprowadzono parę set rekrutów odbitych na drodze do Kijowa. Byli to włościanie niedalekich okolic przez ostatni nabór wydarci rodzinom, w szarych jeszcze mundurach i bez broni, pod strażą prowadzeni w głąb Rosji. Prócz naturalnej skłonności, interes osobisty pociągnął ich do sprawy powstania; mocniej jednak wstrzymywała przysięga wykonana na wierność carowi. Dopiero kiedy kapłan obrządku unickiego rozwiązał te przymuszone śluby, z miłą ochotą przysięgli posłuszeństwo rządowi polskiemu. W ogólności lud tu zebrany był wyborowy i najlepszego ducha. Jazda, miała dobre konie, porządne osiodłanie; strzelcy byli dostatecznie, a nawet wymyślnie mniej więcej w uniformowe ubiory odziani; brakowało tylko większego zapasu amunicji dla nich, a oręża dla innych. Obozowanie na puszczy zaradzić temu nie mogło. Kapitan Bogdanowicz, człowiek ze wszech miar zacny, pełen zapału i odważny, potrafiłby zapewne dzielnie przewodniczyć obrotom patryzanckim, w tym jednym żywiole ziemiańskiej wojny czerpać dla swojego oddziału zasiłek; ale jako stary żołnierz, sam przez się już pochopny rozpoczynać

rzecz od organizacji regulaminowej i musztry, musiał nadto czekać rozkazów wyższego dowódzcy. Czas drogi upływał, w tem nadszedł ów nieszczęsny list pułkownika M*** pisany z Galicji.

Opuszczeni od naczelników powstańcy, w trudnem położeniu uczuli najprzód potrzebę ustanowienia dla siebie jakiejkolwiek władzy. Zawód ufności położonej w pojedyńczych osobach, miał jeszcze to zgubne następstwo, że wywoływał sejmiki i obudzał skłonność do zbiorowych rządów. Utworzono Radę cywilno-wojskową, jednemu jej członkowi Olizarowi, dając tytuł prezesa, drugiemu Bogdanowiczowi, dowództwo siły zbrojnej. Ani jednak prezes, ani wódz nie mógł nic przedsięwziąść bez woli większości w Radzie. Dziwnem jakiemś zrządzeniem, formy przyjęte w Warszawie powtórzyły się na drobną skalę wśród bagien wołyńskiego Polesia: z podobnych przyczyn, podobne wynikały skutki.

Rada Cywilno-wojskowa wzięła się czem prędzej do pióra. Wyprawiono gońców do jenerała Dwernickiego, z prośbą przynajmniej o kilku oficerów; porozsyłano odezwy do obywateli, równie napróżno. Jenerał Dwernicki był już daleko; obywatele słyszeli więcej o Dawidowie. Osłabienie ducha zbliżało się i do obozu. Od czasu od czasu przybywało kilku ochotników, każdej nocy niknęło kilkunastu kosynierów. W takim stanie rzeczy było widocznem, iż nie można dłużej obozować bezczynnie. Na to wszyscy członkowie Rady zgadzali się jednomyślnie; ale kiedy przyszło do zapytania: dokąd ruszyć, gdzie uderzyć? każdy podawał i utrzymywał swój projekt, a nikt nie miał powagi jednym głosem położyć końca rozprawom.

Ponieważ gromada składała się najwięcej z obywateli powiatów kowelskiego i łuckiego, główne też ważyły się dwa zdania. Pierwsi chcieli iść do Kowla, drudzy do Łucka. Tymczasem Olizar zastanawiając się, że oba te miasta leżące w otwartem polu, nie łatwo mogą być opanowane przez siłę szczupłą i niewyćwiczoną, a pierwsza przeciwność mogłaby ją rozproszyć zupełnie, zwracał myśl w inną stronę; z uwag nad ogólnem położeniem armji moskiewskiej, z wiadomości o zaszłych już, albo przygotowanych wypadkach w powiatach i prowincjach sąsiednich, tworzył sobie plan obszerny, który daje miarę ówczesnych nadziei powstańców, wszędzie zawiedzionych, może niekoniecznie dla tego że były zbyt wyniosłe. Oto są słowa samego autora planu.

«Dybicz był blisko Warszawy, Rydigier na południowem pograniczu Wołynia; tym sposobem powstanie nasze znajdowało się z tyłu głównych wojsk moskiewskich. Litwa od dawna już walczyła, Podole czekało tylko hasła. Z przyległych nam okolic, powiat rowieński dobrze usposobiony go-

tów był podnieść się, bylebyśmy podali mu rękę; powiat piński obiecywał także wziąść się do broni za naszem przybyciem, i donosił, że w jego mieście powiatowem są wielkie magazyny żywności, które lada moment mogą być wywiezione. Nadto, wiedziałem że pułkownik Przezdziecki, mój powinowaty i przyjaciel, dowódzca znacznego oddziału powstańców litewskich, rachował na stosunki z nami, i wysłał nawet pewną osobę dla porozumienia się ze mną. — Z tych powodów zamierzałem: pójść do Pińska, zabrać magazyny, zapalić powstanie; posuwając się potem ku Kobryniowi i dalej, kolejno poruszać sąsiednie powiaty aż do zetknięcia się z Przezdzieckim, który jak należało wnosić, szerzył się na wzajem ku nam. Wracając dopiero dźwignęlibyśmy powiaty: rowieński i konstantynowski; a że ten ostatni graniczy z Podolem, zawiązalibyśmy niejako łańcuch powstań od Kowna do Kamieńca! — Cała ta operacja nie zajęłaby nad trzy lub cztery tygodnie. Przez ten czas, wódz naczelny oraz jenerałowie Dwernicki i Sierawski, zatrudnialiby główne siły nieprzyjaciela; garnizony Kijowa i Kamieńca mając dosyć do czynienia koło swoich stanowisk, nie mogłyby także nic znacznego przeciw nam wyprawić. Zresztą, łatwo było unikać większych potyczek, a po drogach i gościńcach rozrzucając ruchome oddziałki, przez drobne korzyści lud zaprawiać, przez pochody w różnych kierunkach, cały kraj zapalać. Wyniklby stąd najcelniejszy, i może jedyny skutek, jaki sprawić mogliśmy: niedostatek żywności i przerażenie w działającej armji moskiewskiej. Jeśli moje widoki były nietrafne, zdawało mi się przynajmniej żem je opierał na pewnych zasadach, i kosztowałem prawdziwego szczęścia, kiedy mi się udało zrazu wyjednać stosowne do nich poruszenie naszego oddziału.»

Olizar zwierzył się zupełnie ze swoich myśli kapitanowi Bogdanowiczowi, ujął go i zapewnił sobie przeto większość w Radzie. Sądząc jednak iż roztropność wymagała nie rozgłaszać całego zamiaru, reszcie zgromadzonych członków przełożył tylko powody wyprawy do Pińska. Projekt został przyjęty.

W istocie, opanowanie tego punktu, poruszenie okolicy zawierającej nierozwikłany labirynt naturalnych twierdz dla powstańców, obiecywało niewątpliwą korzyść. Nadto, droga w tę stronę była najswobodniejsza. Co się tyczy dalszych nadziei, tylko niedokładna znajomość obecnego stanu rzeczy dozwalała im ufać. Gdyby mnóstwo poprzednich błędów i nieszczęść nie stanęło na przeszkodzie, zapewne łańcuch powstań od Kowna do Kamieńca nie byłby zuchwałem marzeniem. Ale nie stumilowe wędrówki, nie apostolstwo jednego oddziałku z Polesia, mogło to spełnić. W owej chwili los

korpusu Sierawskiego i Dwernickiego był już rozstrzygniony; Litwa po pierwszych doświadczeniach, zrzekając się strategicznych poruszeń masami, wchodziła na właściwą drogę partyzanckiej wojny. Między Pińskiem, a wsią Rumem w powiecie oszmiańskim gdzie się znajdował Przezdziecki, leżała wielka i trudna do przebycia przestrzeń. Od domu do domu, od parafji do parafji podawać przykład, wszędzie turbować nieprzyjaciela, nigdzie nie wyjść z nim w otwarte i niepewne zapasy, to był tryb, którym powstanie rozpościerać się i trwać mogło. Powstaniec w rodzinnym swoim okręgu, nie przeto jedynie jest najdzielniejszy że zna manowce i kryjówki, ale że zna i ludzi, ma przedmioty blisko dotykające jego serca, ma nawet, powiedzieć można, miejscowe namiętności. Plan Olizara, jak wiele jemu podobnych, wychodził nie w porę za obręb właściwy, i stąd wynikła główna przyczyna jego upadku.

Po ośmiu dniach strawionych daremnie, cały tabor wyruszył nareszcie z Czerewachy i przyciągnął na nocleg do Grodka. Nazajutrz rano kiedy zabierano się maszerować dalej, zjawił się jakiś szlachcic w kapocie płóciennej z miny wyglądający na ekonoma albo pisarza prowiantowego, i mieniąc się być posłańcem od obywateli kowelskich, począł najprzód opowiadać ucisk i bezprawia jakich się dopuszczał w powiecie horodniczy Łaszewski; zaklinał potem będących pod bronią, żeby przed wszystkiem zajęli się losem własnej okolicy, uwolnili ją od tyranji policyjnej, rozwiązali ręce bezbronnym. Rzecz sama czyniła go wymownym: przekonał, wzruszył wszystkich; powszechnie dawał się słyszeć głos: «idźmy do Kowla!» Rada cywilno-wojskowa zebrała się jeszcze dla namysłu; lecz i w niej sam Olizar tylko utrzymywał dawny projekt; kapitan Bogdanowicz nawet, który miał sobie odkryte najświetniejsze jego widoki, oświadczył wyraźnie, że wzięcie Kowla uważa za pierwszą potrzebę, że choćby mu przyszło odłączyć się od innych, ze swoimi ludźmi przyprowadzi to do skutku. Prezes rady widząc się opuszczonym od dowódzcy siły zbrojnej, a nie chcąc przed resztą kolegów wyjawić całej tajemnicy planu opartego na wędrówce do Pińska, ani być odpowiedzialnym za przeciwne jego zdaniu obroty, złożył swój urząd i wyszedł z koła. Echo sporów w radzie, rozlegało się już po obozie. Jedni z Pociejem zapowiadali że nie odstąpią Olizara; drudzy że pójdą z Bogdanowiczem. Wedle ówczesnych wyobrażeń, rozerwanie oddziału zdawało się największem nieszczęściem jakie tylko przytrafić się mogło. Przerażony Olizar wraca do grona naczelników, przekłada jeszcze wodzowi ważność swoich zamysłów, domaga się o pierwszeństwo dla nich. Wzajemnie Bogdanowicz obstaje przy swojem, na później przyrzeka wszelką powolność.

Dalsi członkowie na wniosek Worcela, obiecują mu nawet dać potem władzę nieograniczoną, byleby teraz nie sprzeciwiał się ogólnej woli. Większość przemogła. Olizar nie przyjmując żadnego zwierzchnictwa, dla dobra zgody ofiarował się towarzyszyć wyprawie do Kowla.

Zaraz rozpoczęto stosowne przygotowania. Wybrano 200 najlepszych jeźdźców i 100 najporządniejszych strzelców; resztę ludzi i tabor posłano w lasy Włodzimierza, gdzie do powrotu oddziału zalecono robić ładunki, naprawiać broń i organizować szeregi. Worcel wyjechał na ten przeciąg czasu w stronę Wołynia dla posłuchu i poruszenia powiatu rowieńskiego. Godebski, Olizar, Pociej, Moszyński i kilku innych obywateli, z oddziałem wyborowym pod dowództwem Bogdanowicza, ruszyli w pochód z południa 29 kwietnia, przeszli na lewy brzeg Turji w Niesuchojżach i nazajutrz o ciemnym zmroku zbliżyli się pod Kowel. Mały strumień wpadający do Turji przecina drogę przy samem mieście, zjazd do mostu jest bardzo spadzisty. Kiedy przednia straż powstańców znajdowała się już na grzbiecie wzgórza, zatrzymał ją niespodziewanie głos moskiewski: kto idzie? Któś z najbliższych odpowiedział w tymże języku, dwaj kozacy stojący na widecie pozdrowili przychodniów, i nie poznając ich bynajmniej, prowadzili dalej rozmowę. Była nadzieja otoczyć i zdjąć cicho widetę. W tem wyrywa się pewien obywatel i daje ognia ze strzelby. Jeden kozak upadł, drugi zemknął. Pogoń za nim postrzegła placówkę nadbiegającą od miasta: zamieniono kilka strzałów daremnych. Nim nadciągnęła cała kolumna powstańców, usłyszano już stuk deszczek zrywanych z mostu, i wkrótce potem turkot bębna na ulicach Kowla.

Kapitan Bogdanowicz cofnął swój oddział na przyległy pagórek pod cegielnię, rozstawił czaty, i wozami, na których nigdy nie zbywało powstańcom, obwarował obóz. O północy straż dała znak że się nieprzyjaciel ukazał. W mgnieniu oka wszystko siadło na koń: podjazd kozacki pierzchnął w nieładzie; ścigając uciekających znaleziono pałasz oficera ze znakiem honorowym na gifesie — za męstwo.

Kiedy już dzień poczynał świtać, dwóch mieszczan kowelskich przybyło do obozu z oznajmieniem, że Moskale opuścili miasto, a mieszkańcy z radością czekają na swoich wybawicieli. Bogdanowicz nie zawierzając im zupełnie, zapowiedział że w przypadku jakiej zdrady, będą powieszeni; mimo to powtórzyli uprzejme zaprosiny. Oddział uszykował się więc i ruszył z miejsca. Na drodze stał u spodu góry stół zakryty obrusem, na nim chleb i sól; ale most był rozrzucony i rogatka zaraz za rzeką była zamknięta. Godebski i Szulc przeprowadzili piechotę po balach i zaledwo zbliżyli

się do rogatki, ukazało się na ulicy kilku kozaków, a z okien i z za węglów najbliższych domów sypnęły się gęste strzały. Powstańcy w skupionych kolumnach na 50 kroków od zakrytego nieprzyjaciela, ujrzeli się nagle w trudnem położeniu; nie opuściła ich jednak odwaga. Strzelcy zwaliwszy rogatkę śmiało posunęli się naprzód; jazda z pobliskiego parkanu rzuciła kilka dylów na most i przebiegła galopem. W tym ogniu jeden tylko powstaniec, pełen żarliwego ducha i męstwa Golejewski utracił życie, dwóch było rannych; niektórzy mieli pokaleczone konie; kule moskiewskie najwięcej szkodziły chorągiewkom przy lancach. Moskale tylnemi wyjściami spiesznie opuścili zasadzkę, i dopiero o parę set kroków zbierali się do gromady, lecz nie stawiąc więcej oporu cofnęli się gościńcem włodzimirskim. Część jazdy szła za nimi z pół mili i wróciła do miasta. Horodniczy i insi urzędnicy skarbowi, wcześnie pomyśleli o sobie; wyciągnięto tylko kilku kozaków którzy uciec nie zdołali *), zabrano skład ubiorczy całego pułku piechoty, magazyn amunicji i żywności.

Wyprawa zakończona zwycięstwem, nie przyniosła wszakże natychmiast użytecznych owoców. Żeby wzięcie Kowla mogło sprawić swój skutek, trzeba było kilka dni zatrzymać się w mieście, albo w jego okolicach; szczupłość sił i obawa nieprzyjaciela, który mógł wrócić mocniejszy niż wyszedł, nie dozwalały tego uczynić. Dowódzca i naczelnicy uradzili, niezwłocznie maszerować do gromady zostawionej w lasach. Mieszczan użytych do zdrady, przez litość nad żonami i dziećmi puszczono bezkarnie; magazyn kazano mieszkańcom rozebrać. Po kilku godzinach wypoczynku na prawym brzegu Turji, sprowadziwszy podwody dla strudzonej piechoty, oddział Bogdanowicza pociągnął napowrót do Grodka. Działo się to 1 maja, w dzień wielkiejnocy ruskiej.

Tegoż dnia, tabor obozujący pod Włodzimierzem, wbrew wszelkim przewidzeniom, miał także do czynienia z nieprzyjacielem. Dawidów nie przedsiębrał kroków zaczepnych

---

*) W jednym domu żydowskim, schronił się był kozak olbrzymiego wzrostu. Skoro powstańcy uwiadomieni o tem weszli tłumnie do izby, strach wzbudził w nim pewien rodzaj ślepej odwagi. Wylazł z pod łóżka i bezbronny szedł prosto do drzwi. Młody chłopak poleski pchnął go lancą; lecz ta złamała się bez zadania mu rany. Rozjuszony kozak rzuca się na swego przeciwnika i porywa go za włosy; ten nawzajem obejmuje go rękoma: poszli w dążki. Obecni ostąpili pasujących się do koła i czekali z ciekawością jaki koniec weźmie walka, chociaż siły zdawały się być bardzo nierówne. Po długiem borukaniu się, kozak ugiął nareszcie powstańca i podniósł pięść żeby mu zadać raz ostateczny. Nie było prawie czasu pośpieszyć z pomocą. W tem pędem błyskawicy zmienia się stan rzeczy. Polesiak z niewymowną szybkością dobył i otworzył nóż składany, który włościanie tej okolicy zawsze noszą u pasa, chwycił jedną ręką za szyję kozaka, a drugą przerżnął mu gardło.

przeciw powstańcom; posławszy tylko po secinie kozaków do Kowla, Łucka i innych ważniejszych punktów dla wzmocnienia garnizonów inwalidnych, z resztą swojej komendy usunął się ku południowi. Lecz dwa szwadrony strzelców konnych z zapaśnego zakładu w Machnówce idące do korpusu Rydigera, zwrócone zostały na plądrowanie Polesia, i wsparte przez komendę z różnych ułamków piechoty, poszły prosto w miejsce, gdzie policja mniemała zastać całe zbiorowisko obywateli zbrojnych.

W jednej chwili przedsięwzięte z obozu stron zaczepne wyprawy rozminęły się w drodze, i kiedy wyborcza siła powstania bez użytku zdobywała Kowel, oddział moskiewski niszczył wszystko na czem przeciwnicy opierali swoje nadzieje. Drużyna niespodziewanie napadnięta w lesie, z razu broniła się mężnie, ale nakoniec poszła w rozsypkę i opuściła wszelkie zapasy.

Nazajutrz po odejściu z Kowla, hufiec kapitana Bogdanowicza, spotykał już w drodze pogłoski o jakiejś bitwie zaszłej w stronie Rafałówki; za przybyciem do Grodka otrzymał z zupełnemi szczegółami smutną nowinę. Rzeczywiście nie było czego rozpaczać; ale te same pojęcia, które przywięzywały pomyślność powstania do rozległych planów, gromadnych oddziałów, i regularnej organizacji, kazały widzieć w utracie pierwiastkowego zakładu nieodzowny upadek wszystkich zamiarów. Wyprawa przez Pińsk ku Litwie musiała być zaniechaną; w inny sposób, w bliższych stronach utrzymać i rozszerzyć ruch rozpoczęty, zdawało się niepodobieństwem. Naczelnicy oddziału znajdującego się w Grodku, zważając że po prawej ręce mieli kozaków wypartych z Kowla i załogę równejże siły w Łucku, a po lewej oddział grasujący w okolicach Włodzimierca, wyobrazili sobie że są opasani do koła. Z dalszej narady wypadło, iż tylko lepsze okoliczności, nowe jakie wsparcia od wojsk regularnych, mogą podźwignąć w obecnym razie daremne usiłowania. Postanowiono więc bezużytecznie nie wycieńczać kraju, nie pomnażać ofiar, dla będących pod bronią szukać bezpieczeństwa w połączeniu się z jenerałem Dwernickim. Ponieważ zaś lud pieszy utrudzałby szybkie pochody, a włościanie, słudzy dworscy, i wszyscy niskiego stanu mieszkańcy, bez obawy mogli skrycie popowracać do domów, rozpuszczono strzelców. Obywatele głośno skompromitowani, wziąwszy samą jazdę, puścili się ku południowi.

Z owej tedy niemal półtora tysięcznej gromady, która przed tygodniem wzbudzała wielkie nadzieje w patrjotach, i nie mały przestrach w Moskalach, 200 ledwo koni trzymało się teraz w kupie, i towarzyszło kilkunastu osobom, które w domowych zagrodach nie mając już przytułku, na nie-

szczęście miały gdzie indziej widoki ochrony i działań. Pierwej nim ten ostatni ułamek powstania, rozwiązanego nie z rozpaczy, bo ta popchnęłaby do zbawienniejszych środków, lecz dla mylnych rachub na potem, ruszył z miejsca w daleką drogę, już cel jego wędrówki był dawno zniszczony.

W czterech milach marszu z Grodka nie zdarzyło się nic zatrważającego; nazajutrz (3 maja) rano pogłoska o pogoni nieprzyjacielskiej była mylna: hufiec uszedł spokojnie jeszcze mil pięć i ku wieczorowi zatrzymał się na nocleg niedaleko wsi Hulanik. Ciągła puszcze Polesia kończyły się już prawie w tem miejscu; następnego dnia trzeba było ukazać się w otwartych równinach Wołynia, i prócz napaści nieprzewidzianej spodziewać się prędzej czy później trudnej przeprawy za linję Rydigera. Cały obraz niebezpieczeństw z bliska stanął przed oczyma i szczególnie dowódzcom dał do myślenia. W tem właśnie kiedy roztrząsano rozmaite przypadki zdarzyć się mogące, nadbiega pewien młody obywatel i przywozi Olizarowi list pułkownika M*** znowu z Galicji przysłany. Treść tego listu zamykała się w słowach: «Starajcie się zatrzeć coście uczynili; na teraz przynajmniej, wszelkie wasze usiłowania są daremne: jenerał Dwernicki broń złożył.»

Taka wiadomość zadałaby cios okropny w dobrem nawet powodzeniu będącym powstańcom; łatwo więc sobie wyobrazić czem była dla tych, którzy na jednej drodze ratunku ujrzeli nagle przepaść, a do powrotu — można powiedzieć, sami popalili okręty. Olizar wziął na stronę dowódzcę i kilku zaufańszych towarzyszy, pokazał im list i oddał pod rozwagę smutny stan rzeczy. Narada ta naturalnie musiała dalej rozwinąć rozumowania przyjęte w Grodku. Powiedziano znowu, że ludzie mniej znani łatwo mogą wrócić pojedyńczo do domów i poświęcenie się swoje zachować na lepsze czasy; a bardziej skompromitowani, nie wyciągając innych bespotrzebnie z kraju, powinni, powierzywszy się własnemu przemysłowi dążyć tam, gdzie była jeszcze nadzieja służąc osobiście ogólnej sprawie ojczyzny, oddać wyłącznie posługę swojej prowincji — przemawiać w jej imieniu, być jej reprezentacją.

Ta wiara w moc reprezentacji, w skuteczność słów po nieskutecznych czynach, co tyle razy tysiące Polaków wyprowadzała na tułactwo po cudzych krajach, w ostatniej wojnie unosiła się jeszcze jak mgła nad naszym narodem i ogarniała najprzód głowy postawionych wyżej. Wszystko nie mal co stolica rewolucji ukazywała w wielkich rozmiarach, często z uderzającem podobieństwem powtarzało się w tych lub owych cząstkach powstań prowincjonalnych. Pojęcia równie w rzeczach wojennych jak politycznych, poniekąd wspólna

puścizna przodków, poniekąd nabytek królestwa udzielony ziemiom zabranym, wszędzie mniej więcej wyraźnie wyszły na jaw. Rozszarpani pod różne jarzma, nie przestaliśmy być jednem ciałem, jeden duch nas ożywia, powszechne mamy cnoty i wady narodowe. To powinno łagodzić sąd w ocenianiu postępków pojedyńczych osób.

Od czasu jak strategiczne plany Olizara upadły przez wyprawę do Kowla, objęło go smutne przeczucie upadku wszystkich usiłowań, i począł zaraz myśleć, jakby przynajmniej poświęceniu się swoich współobywateli nadać wagę manifestacji zbrojnej przeciw głoszonym po Europie prawom carów moskiewskich. Złożywszy obowiąski prezesa Rady cywilno-wojskowej, byłby nawet niezwłocznie zajął się poselstwem do Warszawy, gdyby uczucie honoru nie kazało mu towarzyszyć oddziałowi idącemu do boju. Teraz zawód tego oddziału zdawał się być nieodzownie skończony.

W skutek układów zaszłych między naczelnikami, Olizar, Bogdanowicz, Moszyński i J. C*** jednym powozem, a inni zabrawszy się także jak komu wypadło, różnemi drogami puścili się w podróż do Galicji.

Ostateczna rozsypka głównego zawiąsku powstania na Polesiu, zaszła w chwili, kiedy w różnych punktach tej okolicy, tylko co zabierano się do broni. Wielu obywateli dążyło gromadnie do obozu pod Włodzimierzem; Dubiecki z kowelskiego w 50 koni spiesząc połączyć się z oddziałem Bogdanowicza, szedł za nim w ślad od Grodka i dał powód owym fałszywym pogłoskom o pogoni moskiewskiej. Pierwsi dowiedziawszy się że obóz był zniesiony, rzucili broń i osłaniając się pozorem jakoby jechali na pogrzeb Cieciszowskiego do Łucka, wrócili do domów, lub udali się do Galicji; drudzy spotykając rozpuszczonych pod Hulanikami, nie stracili serca, z garstką swoją przerżnęli się do Zamościa.

Długo jeszcze potem, tlały tu i ówdzie iskierki zgaszonego ognia; ale już czujność wzmocnionej policji moskiewskiej nie dozwoliła im na nowo zająć się płomieniem. Z pomiędzy innych, zmowa na opanowanie Dubna wykryta wcześnie, pomnożyła tylko liczbę prześladowanych. Julian Jużwikiewicz i Reces Wątróbka, uratowali się ucieczką.*)

We wszystkich powstaniach, które za Bugiem odpowiedziały hasłu danemu w Warszawie, poczynano mniej więcej od porządnie snowanych spisków, we wszystkich przyszło prędzej lub później opuścić tę drogę. Wtenczas wytrwałość pierwiastkowych hufców była jedyną podporą omylonych

*) Juljan Jużwikiewicz, regent aktowy łucki, wysłany z Galicji do Ameryki, w sierpniu 1835 wrócił do Francji, a 16 lutego 1837 umarł w Wersalu.

zrazu nadziei, przykład naczelników stawał się jedynym wzorem: wszędzie w miarę ich charakteru i talentów, zajaśniał duch powszechny. Na Polesiu wołyńskiem, naczelnicy sami zwinęli chorągiew ledwo rozpoczętej walki. Od pierwszych, co bezecnie zawiedli ufność w nich położoną, do ostatnich którzy porzucili zbrojne szeregi, rozciąga się acz bardzo słabiejąca stopniami wina, że ta cząstka kraju tak patrjotyczna jak inne, nie więcej od nich obciążona nieprzyjacielem, z położenia swego szczęśliwsza od wszystkich, krótko i nie silnie występowała w narodowej wojnie.

Nim jeszcze wieść żałobna o korpusie Dwernickiego rozszerzyła się w głąb lasów ponad Turją i Styrem ciągnących się do nieprzebytych bagien Prypeci, już była w nich cisza i domowa żałoba; a w chwili kiedy ten niezrównany plac dla strzeleckich, pieszych oddziałów, przechodził w ręce dragonów i kozaków moskiewskich, na otwartych błoniach stron południowych, w nieprzewidziany sposób rozpoczynał się zawód dla innych, dla konnych hufców Podola, Ukrainy i samego Wołynia.

II.

Z poruszeń obudzonych i zahamowanych przez sprzeczne odezwy, po przejściu za granicę albo zakryciu się w domach wielkiej liczby związkowych, zostały tylko dwa lub trzy drobne oddziałki daleko jeden od drugiego błąkające się na przestrzeni sześciu powiatów w środku Podola.

Pierwszym i najnieszczęśliwszym z nich był hufiec uszycki. Marszałek i organizator tego powiatu, Leon Stempowski, otrzymawszy w dniu 27 kwietnia za pośrednictwem junty, pismo Chróściechowskiego powołujące do broni, zajął się tem spieszniej wypełnieniem dołączonych do okólnika instrukcji, że to wszystko doszło go zapóźno. Dla tejże jeszcze przyczyny, odpowiedział przez posłańca, że jeśli w przeciągu 48 godzin junta nie da mu nowych rozkazów, weźmie to za znak, iż zwłoka nie miesza jej rozporządzeń i trzeba je wykonać ściśle. W tej chwili mały komplet junty zgromadzony pod Kamieńcem, musiał już tylko myśleć o zabespieczeniu swoich osób, posłaniec zaginął w powszechnym rozruchu, a Stempowski nie wiedząc o niczem, z zapałem i gorliwością wziął się do dzieła. Instrukcja zalecała mu, we dwa dni zebrać siły powiatu uszyckiego i przyciągnąć w powiat płoskirowski do miasteczka Szarawki, dla połączenia się z oddziałami innych powiatów stykających się niedaleko tego punktu. Uwiadomiwszy przeto współobywateli za pomocą

oddawna wypróbowanych środków szybkiej komunikacji, o terminie naznaczonym dla ogólnego powstania, wezwał ich, aby natychmiast ogłosili włościanom wolność i prawa własności, a sami z ludźmi podanymi na rejestr zbrojnych zebrali się koło dowódzców okręgowych, i maszerowali do Szarawki. Powiat był podzielony na trzy okręgi, a każdy okręg mógł od razu dostarczyć 200 koni. Część, w której znajdował się sam marszałek, miała zgromadzić się w Wonkowcach, gdzie dziedzic dóbr Ludwik Czerkas i pewien jego sąsiad, wedle obietnic uprzednich trzymali w pogotowiu kilkudziesiąt jeźdzców.

Skoro więc dwa dni upłynęły bez nowych od wyższej władzy rozkazów, zacny naczelnik uszycki począł od dopełnienia u siebie obowiąsków powstańca: zwoławszy do dworu gospodarzy z wiosek, oświadczył im, iż od tego momentu ich osoby, dobytek i grunta, należą tylko do nich; bo Polska cała odzyskuje wolność, i jenerał Dwernicki z wojskiem przychodzi już na Podole. Poczciwi włościanie łzami oblewali ręce pana i wszyscy którym wiek pozwalał, chcieli iść za nim. Ale wiele było lanc i siodeł, tylu już równie ochoczych mołojców siedziało na koniach. Marszałek w wielką sobotę (v. s.) 30 kwietnia, połączył się ze swoim bratem Wincentym we wsi Strużce nad rzeką Strugą, i wspólnie z nim na czele 57 jeźdzców pomaszerował do Wonkowiec. Ten dzień był dla nich ostatnim dniem wesela i nadziei. W Wonkowcach, na miejscu spodziewanych 120 ludzi zbrojnych, nie znaleźli nikogo. Miasteczko było spokojne i ciche jak zawsze, we dworze pustki: pan zniknął, słudzy jedni opuścili dom, drudzy nie umieli wytłumaczyć co się stało. Do hufca zmitrężonego na drodze, przybyło tylko siedmiu pojedyńczych ochotników. Po kilkunastu godzinach przykrej niepewności, rozesłane w rozmaite strony zwiady, przyniosły przykrzejszą jeszcze i niewątpliwą wiadomość, że powstanie odwołane, obywatele doświadczają już prześladowań od policji ziemskiej, a oddział znaczny wojsk moskiewskich przyciągnął do Zinkowa, kędy koniecznie trzeba było przechodzić chcąc dostać się do Szarawki.

W takim stanie rzeczy, marszałek Stempowski przedsięwziął nie taić swoim towarzyszom zawodu i niebespieczeństwa, dozwolić mniej wytrwałym żeby wrócili do domu, a z garstką niezachwianych w odwadze, przedrzeć się ku Szarawce, gdzie mogli znajdować się również na sztych wystawieni współobywatele, i z nimi, albo choćby i bez nich, dążyć do Dwernickiego. Uszykowawszy więc hufiec, przemówił, stosownie; lecz jeden powszechny okrzyk był odpowiedzią, że lepiej zginąć niżeli raz wziętą broń porzucić. Szlachetny naczelnik oświadczył wtenczas, iż nie będąc wojskowym, przewodniczyć

dalej nie może, i oddawszy dowództwo kapitanowi dawnej służby Marchockiemu, sam z bratem wszedł do szeregu. Marchocki, obecnych 64 ochotników rozdzielił na trzy części. Pierwszą oddał Wojciechowi Moniuszce, drugą Bandrowskiemu, trzecią młodszemu bratu Moniuszki. Amunicję i kasę na jednym wozie złożoną, powierzono Wincentemu Majerowi. Tak urządzony hufiec, wykonawszy przysięgę nieodzownego poświęcenia się dla ojczyzny i uległości dla dowódzcy, ruszył w zamierzoną drogę — do celu, którego już nie było.

O pół mili od Zinkowa, dognali maszerujących dwaj obywatele powiatu mohylowskiego i donieśli, że Dwernicki broń złożył, a wojska moskiewskie wracają od granicy i ciągną w południową stronę Podola, ponieważ słychać że tam Sobańscy i Jełowiccy poruszyli ogromne powstanie. Z takich doniesień i porady tych co je przywieźli wypadło, nie iść już do Szarawki, ale wziąść się w prawo i dążyć w powiat olhopolski. Pochód ten kilkadziesiąt milowy przez kraj wolny od nieprzyjaciela, obiecywał jeszcze niektóre korzyści: mógł w wielu miejscach obudzić sparaliżowane siły, a przynajmniej zwiększyć wędrowny hufiec, podając zręczność do łączenia się z nim pojedyńczym ochotnikom, albo drobniejszym oddziałkom. Jakoż w istocie po niejakim przeciągu wstecznego marszu, zdarzyło się znowu spotkać pewnego obywatela, który uwiadomił, że z powiatów mohylowskiego i jampolskiego miało także zebrać się 120 koni, i przyrzekł ułatwić zejście się z tą gromadą w miasteczku Szarogrodzie.

Oddział prowadzony przez kapitana Marchockiego, przechodząc blisko Baru wzrósł do liczby 87 jeźdzców. Żyje tu jeszcze silnie przemawiająca tradycja o patrjotycznych konfederatach, i wspomnienie ich nastręczało powstańcom myśl, żeby wejść do miasta, aktem solennym powołać współobywateli do broni i utrzymując się czas niejaki w okolicy, dać im sposobność zbierana się pod zatkniętą chorągiew. Ale umówiona schadzka na drodze, i chęć powszechna wówczas jak najrychlejszego zlewania się w wielkie gromady, nagliły dążyć ku południowi. Odłożywszy więc zamiary barskie do lepszej pory, oddział wędrowny szedł dalej i dnia 5 maja stanął między wsią Romankami a Szarogrodem.

Pośpiech ten był bardzo nieszczęśliwy. Właśnie tegoż dnia nadciągnęły dwa pułki ułanów moskiewskich, i jeden wypoczywał w Romankach, drugi w Szarogrodzie. Obywatel, którego obietnice sprowadziły tu powstańców uszyckich, nie zawiódł ich ufności, sam pierwszy przybiegł z doniesieniem, że jampolscy i mohilowscy znajdują się niedaleko, lecz dla ciągłych przechodów nieprzyjaciela, i nie mogli zebrać się wszyscy, i teraz są odcięci przez ułanów. Zwykle nie-

oswojonym z wojną, lada pogłoska, lada widok żołnierza, daje pochop do niezmiernie wybujałych urojeń. Wieść o mocnem wybuchnięciu powiatów południowych, które ledwo jeszcze rozpoczynały swój zawód, i wyobrażenie o liczbie wojsk moskiewskich, które pchnięto gasić ten pożar, równie były przesadzone. Ale nic tak często nie mięszało szyków naszym zbrojnym ziemianom, jak ich nieumiejętność albo łatwowierność w oświecaniu się względem ruchu i sił nieprzyjaciela. Dwa hufce powstańców pragnące połączyć się w Szarogrodzie, nazajutrz miały by już otwarte dla siebie pole, oba nie śmiały czekać. Pierwszy mniemając, iż jak przedrzeć się w powiat olhopolski niepodobna, tak też najlepsza podaje się pora wrócić do swego powiatu i szerzyć miejscowe powstanie, cofnął się od nieprzyjaciela który przeminął, a poszedł spotkać się z tym co jeszcze nadciągał; drugi rozumiejąc iż domowe okolice są nazawsze zalane od Moskali, opuścił spodziewanych tutaj towarzyszy i w 60 koni pobiegł w stronę, gdzie krążył trzeci podobnymże sposobem osamotniony oddziałek.

Piotr Wyrykowski jeden z najgorliwszych patrjotów, dziedzic wsi Michałówki, pamiętnej walnym zjazdem odbytym w marcu, otrzymawszy d. 30 kwietnia pierwszą odezwę z podpisem Chróściechowskiego, zebrał natychmiast i uzbroił swoich ludzi, a że słabość zdrowia i wiek podeszły nie pozwalały mu siąść na koń, powierzył ich Kurowskiemu, kapitanowi ozdobionemu krzyżem legji honorowej. Garstka ta w początkach swojego zawiąsku miała do czynienia z szwadronem strzelców konnych, których zakład zapaśny był w Machnówce, i i odniosła zwycięstwo. Major moskiewski z kilkunastu żołnierzami, poległ na placu.*) Wkrótce potem przyłączyli się do niej skompromitowani sąsiedzi i Ludwik Chłopicki b. porucznik saperów, z ludźmi danymi mu także przez pewnego obywatela, co wszystko złożyło oddział powiatu winnickiego, zawierający kilkudziesiąt jeźdźców i 30 pieszych. Hufiec powstańców jampolskich i mohylowskich, miał niedaleką drogę do tego oddziału, połączył się z nim niezadługo.

W całym przeto okręgu północnym Podola, gdzie wywarł się skutek dwóch odezw, w chwili kiedy zbliżał się termin odroczonego powstania, związkowi powiatów zachodnich byli już w Galicji; z kilku powiatów wschodnich paręset ludzi

---

*) W utarczce tej odznaczali się męstwem obywatele Szczeniowscy. Najmłodszy z braci Stanisław Szczeniowski siedmnastoletni chłopiec, własną ręką zabił oficera i dwóch żołnierzy, dostawszy się później do królestwa, służył w wojsku regularnem, całą kampanję odbył prostym żołnierzem, ciężko raniony w nogę wrócił do domu i w parę lat później zakończył życie. Zdrowie młodzieńca zabrała służba w obronie ojczyzny; smutek nad jej losem wtrącił go do grobu.

z bronią w ręku, błąkało się wśród swoich. Jedyna ich nadzieja polegała na tem, że jeszcze w którejkolwiek cząstce kraju może podniesie się większa siła i podźwignie resztę. — Pod tym względem, powiat latyczowski zdawał się być najbliższą i najmocniejszą rezerwą. Położony w środku innych, jak był kolebką przyczyn szkodliwszych dla stron odległych, tak też sam najmniej ucierpiał od nich. Rzeczywiście, gdyby prócz okoliczności, w której figurowało imię Chróściechowskiego, nic więcej nie przyłożyło się do nieszczęścia powstań, zostawałby tu znaczny obręb nie zepsutej organizacji i nie strwonionej siły. Ale ogólniejsza klęska przygniotła patrjotycznego ducha. Do dnia 1 maja całe północne Podole okryło się żałobą po bolesnym upadku korpusu Dwernickiego. Organizatorowie latyczowscy wnet to postrzegli, iż przyrzeczenia dawniejsze związkowych, nie dawały obecnie żadnej rękojmi: nie jeden co po przejściu zamieszek z powodu cofnięcia terminu, znowu spokojnie i w dobrej myśli wyglądał lepszej pory, teraz już nie chciał ani mówić, ani słyszeć o powstaniu. Zniósłszy się więc z dowódzcą obranym dla siły zbrojnej, przedsięwzięli zwiedzić w przeciągu dni czterech różne okolice swego powiatu, i przekonać się naocznie o gotowości na zbliżający się dzień 7 maja. Po dopełnieniu objażdżki, trzej z licznych niegdyś robotników patrjotycznej zmowy, Aleksander Gołyński, A*** B*** i Nagórniczewski, zebrali się w domu pewnego sąsiada, żeby zdać sobie sprawę. Gospodarza już nie było: usunął się jak mógł najdalej od miejsca, gdzie każdy kąt zdawał mu się niebespiecznym świadkiem jego słów i czynów. Policja rozruszona uwijała się po wszystkich dworach obywatelskich: dzwonek nadjeżdżających dwóch asesorów sądu niższego, przerwał ledwo poczętą rozmowę patrjotów: wymknęli się przez ogród do lasu, i tam kończyli swoje obrady. Treść wszystkich doniesień była krótka: rejestr na którym miano 696 najściślej wyrachowanych jeźdzców, został nieużytecznym papierkiem; własne tylko organizatorów sposoby, i cząstka przygotowań czynionych w kluczu międzyborskim, obiecywały na początek niewątpliwych 65 koni. Cóż z tem można było uczynić? Zasmuceni naczelnicy daremnie szukali słów na pokrzepienie upadających nadziei: mowa o środkach rychłego werbunku, o wpływie na całą prowincję żywszego ruchu powiatów południowych, o posiłkach wreszcie spodziewanych od Wereszczyńskiego, lub może z czasem i z królestwa, stygła w ustach jak niezręczne kłamstwo przeciw własnemu rozumowi; musieli umilknąć, lecz w milczeniu pełnem goryczy, zabrała tkliwy głos miłość ojczyzny, jednomyślnie podali sobie ręce i rzekli z ufnością: poczynajmy w imię Boga!

Począć, jest to częstokroć rozwiązać najtrudniejszą zagadkę dzieła, które ma wagę dla ludzkiego umysłu i serca. Dziś kiedy nie zbywa między nami na teoretycznych rozprawach o powstaniu, pospolicie masy ludu, interesa socjalne, taktyka partyzancka, są przedmiotami rachub i widoków; nikt prawie nie zatrzymuje się myślą nad drobną ale najpierwszą rzeczą, nad trybem w jaki obywatel rolnik, siebie i swoich jednej chwili zamienia w wojowników. Godna pilnej ciekawości rewolucja co się natenczas odbywa w piersiach i w wiejskiej zagrodzie powstańca: śmiem mniemać że oko umiejące szukać tajemnic, dostrzegłoby tu końce wszystkich tych nerwów, od których zależy moc i słabość całego ciała narodu. Takie sceny trudno dostatecznie skreślić piórem; najbliższe prawdy są jednak proste podania, spisane za świeżej pamięci przez samychże aktorów. Dla tego dalszy ciąg powieści o początku ruchu zbrojnego w powiecie latyczowskim, dopełnię wyjątkiem z pamiętnika, który wedle mnie, prócz rzetelności ma jeszcze zaletę dokładnego malowidła szczegółów.

«Przysiągłszy powstać bez względu na żadne przeszkody, — powiada jeden z trzech członków ostatniej zmowy — uradziliśmy zebrać się z naszymi ludźmi w lesie między Jabłonówką a Bucniową. Punkt ten leży prawie w środku leśnej i bagnistej okolicy, którą otaczają znaczniejsze miasteczka: Daraźnia, Międzyboż, Latyczów, Bar, Wonkowce, Zinków, Michałpol; nadto, znajduje się blisko wsi Wołkowinicc, Rudziejowiec, Popowiec, Jatłuch i Szelechowa, które przez samą niemal szlachtę ogrodową są zamieszkałe. Spodziewaliśmy się więc tutaj i licznych ochotników z młodzieży szlacheckiej, i łatwości ukrycia sił własnych, a korzystnych zdarzeń do napastowania nieprzyjaciela, gdyż ten małemi oddziałkami zajmował już miasteczka.»

«Nazajutrz, w dzień ś. Jerzego (v. s.) będąc na jarmarku w Międzybożu, uwiadomiliśmy o wszystkiem jednego z oficjalistów miejscowych, który był z nami w ścisłem porozumieniu. Za powrotem do domu, zastałem list przysłany sztafetą z ostrzeżeniem, że sprawnik otrzymał tajemny rozkaz żeby mnie aresztował i pod strażą do Kamieńca dostawił; lecz nie śmiejąc bez dostatecznej eskorty zawitać do mnie, i nie mogąc dostać żołnierzy ze szczupłego garnizonu latyczowskiego, udał się dopiero jeszcze do jenerała Szeremetjewa będącego w Zimkowie z prośbą o ułanów. Przyjaciel który mię ostrzegał, był znakomitym urzędnikiem w powiecie, i za pomyślnych dni dobrym patrjotą związkowym; ale strach go ogarnął: zaklinał mię na wszystko, żebym dał pokój próżnym zamiarom i nie tracąc czasu zmykał do Galicji. Bardzo winszuję sobie iż ta życzliwa rada nie uczyniła na mnie wra-

żenia. Zabespieczając się tylko od nawiedzin sprawnika, kazałem natychmiast broń przygotowaną spakować i schronić w lesie na futorze, a sam dosiadłszy mojego białego czerkiesa, pobiegłem prosto do domu przyjaciela, który w Latyczowie troszczył się o mnie, i chciałem zabrawszy jego ludzi, inaczej sobie poradzić: siłę odeprzeć siłą, a sprawnika schwytać i powiesić. Zastawszy we dworze matkę nieobecnego pana, powiedziałem jej bez ogródek czegom żądał. Staruszka, z której synem wychowałem się od małych lat, kochała mnie niegdyś jak własne swe dziecko; teraz odsunąwszy czułość na stronę, tak mię przyjęła, iż nie mając czego bawić dłużej, wskoczyłem na koń i czwałem poleciałem na powrót. Ponieważ nie mogłem już myśleć o obronie u siebie, dałem więc potrzebne instrukcje ekonomowi, pojechałem na wieczerzę do pewnego sąsiada, a stamtąd na nocleg do lasu. W pasiece pod stogiem siana trzymając cugle w ręku przedrzemałem do dnia. Około dziewiątej rano przybiegł mój ekonom Buczyński z uwiadomieniem, że sprawnik mając przy sobie dwóch żołnierzy weteranów, był przed godziną we dworze, pojechał teraz do Michałpola i obiecał być znowu wieczorem, albo jutro rano, bo jak powiadał ma ważny inters i koniecznie musi widzieć się z panem. — Wróciłem tedy spokojnie do domu; lecz zaledwie wszedłem do pokoju, postrzegłem z okna, maszerujący traktem od Międzyboża oddział kawalerji. Dla wszelkiej ostrożności posłałem zaraz jednego człowieka z moim koniem za wieś, a drugiego na drogę żeby się przypatrzył oddziałowi. Ten ostatni prędko przyniósł mi raport, iż niewątpliwie idzie jakieś wojsko «ale zdaje się że to Polaki» — Czekałem więc aż hufiec wszedł na dziedziniec i porządnie stanąwszy szeregiem zsiadł z koni. Poznałem naszych międzyboskich towarzyszy, którzy wystąpili dniem pierwej przed umowionym terminem. Podawała mi się teraz sposobność stawić czoło napaści; ale na przypadek jeśliby sprawnik przyprowadził znaczną siłę, nie chcąc narażać zawiąsku naszego powstania, wolałem 30 jeźdźców nowo przybyłych wyprawić do lasu pod Jabłonówkę dla połączenia się z Nagórniczewskim. Sam zaś nie mogłem pójść wraz z nimi, gdyż wszystka broń moja była zakopana w lesie, a inne przygotowania pochowane po chatach włościan. Potrzebowałem koniecznie kilkunastu spokojnych godzin, a że co moment należało spodziewać się nieprzyjemnych gości, chcąc czemprędzej mieć jakąś pewność z tej strony, pobiegłem tegoż dnia na wzwiady za sprawnikiem. W Michałpolu powiedziano mi iż dowódzcy moskiewscy odmówili mu pomocy, dając za przyczynę że w czasie wojny niepodobna rozrywać komend dla łapania pojedyńczych osób. Przenocowawszy zatem u bliskiego sąsiada, czekałem na osta-

teczną wiadomość z domu. O zachodzie słońca przyleciał Buczyński z doniesieniem, że sprawnik przyjechał znowu tylko z dwoma żołnierzami i zatrzymał się na noc w karczmie. Poleciłem tedy memu ekonomowi, wziąść dwóch ludzi i brykę, pojechać na futor, wydobyć nasze zapasy wojenne, i pod największym sekretem sprowadzić je do dworu, gdyż tej nocy siądziemy na koń. Skoro zmrok zapadł byłem już w domu i wszystko zostałem w gotowości; ale dziwiło mię niemało, iż nie znalazłem nikogo z Latyczowa, kiedy wczoraj jeszcze kilku młodzieży palestranckiej miało przybyć do mnie dla wejścia do naszego oddziału. Widząc wszakże niepodobieństwo dalszej zwłoki, zwołałem moich ludzi zdolnych do oręża, na których poczciwość i przywiązanie ku mnie mogłem rachować, a względem ochoty do boju nie raz miałem zręczność zbadać, że pójdą bylebym tylko ich prowadził. Przemówiłem do nich tym razem po prostu, lecz z zupełną otwartością; wyłuszczyłem że celem naszej wojny jest odzyskać Ojczyznę, to jest wypędzić Moskali z ziemi Polskiej, która jeśli za pomocą Bożą zostanie wolną, każdy człowiek na niej będzie wolny. Nie taiłem wszakże, ile do tego ofiar, trudów potrzeba, jakie cierpienia i niebespieczeństwa czekają wszystkich, co się odważą walczyć i nieść życie, nie za swoje własne tylko, lecz za powszechne dobro. Tak wystawiwszy rzecz z obu stron, rzekłem nakoniec: «wiecie tedy o co idzie, wiecie co każdego z was spotkać może, i macie wolą wybierać: ja do was nie mam już żadnego prawa, przestaliście być moimi poddanymi; odpowiedzcież mnie śmiało i szczerze, jak równemu sobie, czy chcecie iść ze mną na wojnę, czy nie?» Z siedemnastu zgromadzonych młodych parobków, trzech oświadczyło iż nie mogą być żołnierzami, dla przyczyn w których rozbiór wchodzić nie chciałem; inni stanęli gotowi do przyjęcia wszelkich rozkazów, a na ich czoło wystąpili zaraz ekonom Buczyński i pisarz folwarczny Kwiatkowski. Ci żądali najprzód, żebym uwolnił ich od kontraktów służby, ponieważ jako szlachta muszą wypełnić rodowite obowiąski każdego polskiego szlachcica; oświadczyli potem, iż mając swoje konie, strzelby i karabelki, o nic więcej mię nie proszą, tylko żebym im pozwolił do końca wojny, w jakimkolwiek losie wszędzie i zawsze być ze mną. Po nich z podobnąż przemową odezwał się kucharz Kasper Romer; lecz ten ponieważ miał tylko strzelbę, prosił mię o konia, pałasz i lancę. Widząc zapał ludzi młodych, zbliżył się też sześćdziesiątletni mój strzelec Aleksander Prokopowicz. Nigdym nie myślał ruszać go z miejsca, raz dla wieku, powtóre że miewał takie perjody, w których trochę zanadto trunek lubił. Rozśmiałem się, skorom postrzegł że wybiera się na ochotnika. Ale on rzekł z poruszeniem: «cóż to pan

myśli sobie, czy w moich żyłach krew nie polska, czy zupełnie już zastygła? Wszak i ja panie tak dobry szlachcic jak inni, a znam się cokolwiek i z wojną. Bywałem w ruchawkach w Galicji, sześć lat służyłem u huzarów nim ożeniłem się i do państwa przystałem na służbę. Dzieci nie mam, poczciwa moja starucha dzięki Bogu umarła nie dawno, czegóż mam siedzieć za piecem. Kiedy teraz wiosna i polowania nie masz, ot może zamiast zająca albo bekasa jakiego Moskala zwalę. Panie; ja pana maleńkiego zaprawiałem do myślistwa, ja pana uczyłem strzelać, nie odpychaj mię od siebie: przydam się choćby furgon powozić, a w zdarzonej okoliczności dokażę swojej sztuki....» Rozgadał się stary wyga, aż musiałem mu przerwać, i zgodzić się na wszystko czego żądał. Z czternastu chłopaków poddanych, którzy ciągle powtarzali iż mię nie opuszczą, trzeba było trzech wyłączyć, ponieważ koni i oręża miałem tylko na 12 ludzi. Wybrawszy więc najtęższych jedenastu na szeregowych, jedno jeszcze przeznaczyłem do furgonu, a dwóch wcale niezdatnych, bo jeden był chory na febrę a drugi bardzo młody, pocieszyłem zapewnieniem iż przyjdzie z czasem i na nich kolej. Dodałem wreszcie obracając się do wszystkich, że ich czystych chęci, poświęcenia się dla ojczyzny, i przywiązania do mnie, nigdy nie zapomnę; a jeśli Bóg da po skończonej wojnie wrócić w zdrowiu do domów i majątków naszych, przysięgam na Boga, ojczyznę i honor, że z tymi co w obecnej chwili oświadczyli się iść ze mną do powstania, podzielę się moją ziemią: każdemu darem daruję na wieczne czasy chatę z ogrodem i gruntem pojedynkowym, rozciągając to zarówno tak do ludzi wolnych w służbie u mnie będących, jak do tych, którzy poddanymi moimi byli. — Słowa te uczyniły żywe wrażenie: łzy stanęły w oczach u wszystkich. Ekonom jeszcze raz zabrał głos i wezwał całą gromadkę, żeby wzajemnie w obecności mojej złożyła przysięgę, iż nie porzuci broni, póki cel powstania nie będzie osiągnięty. Uścisnąłem i ucałowałem każdego z prawdziwie roskosznem rozrzewnieniem.»

«Po tej czułej scenie poszliśmy do stajni. Kazałem zaświecić latarnie, poznosić siodła i wszelki rynsztunek, poprzeznaczałem konie stosownie do zdolności i siły jeźdźców. — Kiedy ludzie moi zajęci byli siodłaniem koni, przypasowaniem tłumoków i dobieraniem broni do ręki, ja tymczasem wezwałem do siebie starego gracjalistę zastawnika, mieszkającego u mnie i powierzyłem mu dom z całą gospodarką, pozbawiony już jakiegobądź dozoru. Napisałem potem ostatni list do matki, prosząc o błogosławieństwo i żądając żeby jak najrychlej przysłała wozy po ruchomość, i t. d.»

«Nim ukończono przyrządzać się w stajni, posłałem czterech pieszo do karczmy na wzwiady o sprawniku; zamyślałem bowiem ruszywszy z miejsca ostąpić karczmę, zabrać go i z jeńcem przybyć do oddziału. Ale doniesiono mi wkrótce, że przed półtora godziny wyjechał, ostrzeżony podobno przez żyda, który z wieczora parę razy przychodził do dworu.»

«Gdy konie były już posiodłane i furgony zaprzężone, zrobiłem ścisły przegląd każdego w szczególności człowieka i jego broni; a ustawiwszy wszystkich w szereg, dałem każdemu po dwa dukaty, jako niby żołd miesięczny z góry. Po tem wypiliśmy po kieliszku wódki, i wykrzyknąwszy wesoło: nich żyje Polska! śmierć Moskalom! siedliśmy na koń. Przy wsiadaniu było nieco ambarasu, bo niektóre konie młode, dziarskie i zuchwałe, nieoswojone z brzękiem oręża i widokiem proporców, zwłaszcza gdy pochwy szabel zaczęły łechtać po bokach, dokazywały szalenie. Ale przebiegłe na wszystkie sposoby z koniem chłopcy, prędko dały sobie radę. Równo ze świtem, uszykowani dwójkami wymaszerowaliśmy w pochód. Buczyńskiego i Kwiatkowskiego nazwałem podoficerami: jeden szedł przy pierwszej rocie, drugi za ostatnią, ja prowadziłem oddział.»

«Tego ranku przechodząc mimo dworu pewnego sąsiada, chciałem mu pokazać się, żebym przypomniał co także powinien był uczynić. Zostawiwszy ludzi sformowanych w front na dziedzińcu, wszedłem do sieni. Znajduję cały dom otworem: w sypialnym pokoju ogień na kominku, świeży dym tureckiego tytuniu, i w szklance gorąca herbata ze śmietanką; lecz ani żywej duszy. Dzwonię, wołam, aż nakoniec zjawia się stary lokaj i powiada że pan wyjechał. Domyśliłem się co to znaczyło; wypiłem herbatę, i nic nie mówiąc opuściłem dom, który jego panu był milszy niż ojczyzna.»

«Dowiedziawszy się że powstańcy nasi z pod Jabłonówki pociągnęli do Hohol, puściłem się za nimi, i wkrótce powziąłem wiadomość, że przeszedłszy Żeniczkowce, stanęli obozem w lesie. Przybyli tu spodziewani z Latyczowa: Brzozowski, Podfilipiński i Pyszyński, a nazajutrz przymaszerował ostatni z naszych trzech oddziałów. Tym sposobem zebrało się nas wszystkich, dowódzców i żołnierzy 70 konnych.»

Taki był początek powstania powiatu latyczowskiego, na który w północnej części Podola można było rachować najwięcej. Siła zbrojna tej części, zawierającej ośm nie mal powiatów, zlała się później w jeden oddział, i dopiero przy końcu wszystkich usiłowań orężnych weszła w związek z innymi; w terminie zaś kiedy cały kraj powinien był stanąć pod bronią, składała się ledwo z 250 ludzi rozdzielonych na

cztery garstki. Hufiec uszycki wracał od Szarogrodu do Strugi, winnicki i jampolsko-mohilowski krążyły koło Brahiłowa, latyczowski formował się w lasach żeniczkowieckich.

Tym czasem część południowa tej prowincji, nie dotknięta ani wpływem Chróściechowskiego, ani smutną wieścią o Dwernickim, rozwinęła już liczniejsze ale nie mniej zmitrężone i nie zupełne swoje siły. Dni dziesięć między dwoma terminami nie upłynęło i dla niej bez trudnej do powetowania szkody, a wątek przeciwności zaczepił się najprzód o delikatną i drażliwą sprawę Sobańskich.

III.

Ruch poczęty w Piątkówce, musiał być albo stanowczo wstrzymany, albo śmiało poparty; nie było w tem pośredniej drogi do wyboru. Ponieważ Sobańscy w nocy z 24 na 25 kwietnia przyrzekli marszałkowi Jełowickiemu, trzy dni czekać na odpowiedź od Tyszkiewicza; mieli więc obowiązek tak wszystko utaić i tak spokojnie zachować się do nocy 27 kwietnia, żeby nic ich skompromitować nie mogło. Lecz, bądź zaufani że wola Tyszkiewicza niezawodnie zgodzi się z ich krokiem natchnionym przez ważne pobudki, bądź gotowi nawet w przeciwnym razie, wziąść na siebie rozpoczęcie ogólnego powstania, bynajmniej nie przerwali swoich czynności, owszem zgromadzali ludzi, wzywali do broni przyjaciół i znajomych.

Sprawnik powiatu uwiadomiony przez szpiegów, czy przez samą wieść, w podobnych razach rozchodzącą się dziwnie szybko, przybiegł na zwiady i został przytrzymany. Oddział żandarmów ukazał się na drodze o kilkaset kroków od dworu zamienionego w obóz, i chociaż bez pozoru patrolowania poszedł dalej, mógł wszakże mieć zamiar patrolu, albo i nieumyślnie powziąść wiadomość, co tem bardziej groziło niebespieczeństwem, że pułk piechoty moskiewskiej znajdował się o pół mili. Nareszcie, skoro trzeci dzień nadszedł, Aleksander Sobański nie czekając wieczora, ruszył zdejmować pobliższe stacje pocztowe. Przy jednej z nich, kurjer moskiewski dobiegający w tej chwili, postrzegłszy powstańców zdołał zawrócić konie i umknąć do Bałty.

Właśnie kiedy się to działo, Aleksander Jełowicki za powrotem z Oczeretnej, w towarzystwie trzech innych obywateli około południa 27 kwietnia, na kilkanaście zatem godzin przed końcem trzydniowego terminu, stanął pod Piątkówką. Deputacja przybywająca z rozkazem naczelnika spisku pamiętając na zapowiedź Aleksandra Sobańskiego: iż

pierwszy powstaniec będzie naczelnikiem powstania, i zmusi innych do pójścia za jego przykładem, nie chciała udać się do samego obozu, lecz zatrzymawszy się w pewnej odległości, posłała do dworu żądając rozmowy. Wkrótce przyjechał Izydor Sobański z Ksawerym Sabatynem i zdjąwszy z siebie broń, zbliżył się do posłanników.

«Wręczyłem mu rozkaz i oznajmiłem powód naszego przybycia» — pisze Aleksander Jełowicki skreślając szczegóły tego spotkania — «Już zapóźno, odpowiedział. — Wszakże jeszcze trzy dni nie upłynęło, zawołałem. — Nie mogliśmy dłużej odwlekać, rzecze; przygotowania nasze były zbyt głośne: w tej chwili mój brat miał zabrać pocztę! — Rażeni takiem wyznaniem, przedstawialiśmy całą wielkość nieszczęścia, na które los powstania, a razem i sprawy narażają. Oświadczyłem że żadnej pomocy, żadnego wspólnictwa od nas mieć nie będą, że sami zginą i wszystko zgubią. Izydor Sobański z całą szlachetnością człowieka, który swą winę wyznaje, zawołał: jeżeli tyle złego mam ściągnąć, każcie, to w waszej obecności w łeb sobie wypalę: na to jedynie wziąłem pistolety. To na nic się nie przyda, rzekłem; radźmy jak złe odwrócić. Proponowałem schronić ich do dnia powstania. Odpowiedział: że swoich ludzi opuścić i na ofiarę poświęcić nie może. Mowa Izydora Sobańskiego odznaczająca się ciągle szlachetnością, tak dalece rozczuliła nas wszystkich, że jeden z pomiędzy nas chciał już na stronę Sobańskiego przechodzić. — Nie czas do romansów, powiedziałem, posłannictwo nasze z całą surowością spełnić powinniśmy. — Zapytuję jak daleko rzeczy zaszły? — Sobański powiada, że już sprawnik został przysłany z Olhopola, żeby się o istocie rzeczy przekonał, i naturalnie wypadło go aresztować. — Tem lepiej, rzekłem; każże mu napisać raport, że znalazł wszystko spokojnem, że całe doniesienie było fałszywe, że dla słabości zdrowia, a razem dla lepszego wyjaśnienia tego co pisze, musi parę dni zatrzymać się. Potem ludzi rozpuść, oświadczając im że byli zebrani z powodu wieści o rabunkach. — Izydor Sobański oświadczył, że uczyni co będzie można dla zastosowania się do woli Tyszkiewicza; nic wszakże nie przyrzeka, z powodu że nie wie co Aleksander Sobański już zrobił, a w żadnym razie brata nie odstąpi. Obiecał przytem, dla porozumienia się z Tyszkiewiczem wysłać do niego Sabatyna, który jadąc przez Hubnik miał uwiadomić nas o wszystkiem coby do tej chwili zajść mogło. Na tem skończyło się nasze poselstwo, a nazajutrz dowiedzieliśmy się od Sabatyna o zdjęciu poczt, i zawieszeniu dalszych działań do nowej odpowiedzi Tyszkiewicza.»

Z powyższego opisu pokazuje się, iż w dniu 25 kwietnia, nie było sposobu cofnąć tego co się stało, a środek obrany

między tą lub ową ostatecznością, najgorzej zaradzał złemu. Jełowicki przejęty tem przekonaniem, że na jednoczesnym wybuchu, na ścisłem wykonaniu planów układanych przez sternika zmowy, polegała cała pomyślność dzieła, nie wiedząc ani o wypadkach w północnych stronach Podola, ani nawet o krokach Aleksandra Sobańskiego za obrębem obozu, miał jeszcze rację i obowiązek domagać się posłuszeństwa rozkazowi Tyszkiewicza, i podawać rady, które wówczas zdawały się jedynie zbawiennemi. Sobańscy przeciwnie, skoro raz odważyli się wystąpić samodzielnie, tylko i dalej nie oglądając się na żadną władzę mogli dowieść, że mieli słuszność zawierzać więcej własnym pobudkom, niżeli rachubom spisku. Ponieważ nie chcieli czy nie zdołali przeczekać trzech dni spokojnie, powinni byli już nie czekać niczego i dłużej. Jeśli ich pośpiech pochodzący z pełności zapału, lepiej trafiał do celu niż termin wyliczony w Oczeretnej, zwłoka niszczyła wszelką korzyść pośpiechu, a szkód zrządzonych dla spisku, nagrodzić już nie mogła.

Sobańscy mając 250 ludzi, zamierzali najprzód za otrzymaniem posiłków od innych obywateli, uderzyć na Tulczyn lub Bałtę; teraz dom ich stał się zbiorowiskiem, bezużytecznie na oko Moskalom wysunionego powstania. Rzewuski uzbroił w Sawraniu 40 kozaków, u Sabatynów zgromadziło się z sąsiedztwa 90 koni: oddziałki te przyciągnęły do Piątkówki i razem z większą siłą musiały stać bezczynnie. — Tymczasem pogłoska o wybuchnięciu powiatów południowych rosła i rozchodziła się daleko. Nie tylko w stronach północnych Podola, ale na Wołyniu, i nawet koło Radomyśla, prawiono baśnie wybujałe potwornie ze szczupłej prawdy. To wszakże podobno było powodem, że Rot z większą połową swego korpusu zwrócił się tak śpiesznie ku południowi. Rząd moskiewski widział zapewne lepiej obecny stan rzeczy; lecz i jego imaginacja wówczas, nie dotrzymywała w karbach zimnej rozwagi. Przerażony rozruchem zaszłym około Kamieńca, miał aż nadto pobudek nie mniej i tutaj być czujnym i surowym. Zaraz poczęto wzmacniać miasteczka przeciw napadowi powstańców, i więzić podejrzanych patrjotów; posłano rozkazy do osad dywizji buskiej ułanów, żeby się zbierała w szeregi, a co znajdowało się wojska pod ręką, użyto do zaczepnych kroków.

Dnia 2 maja, kilkunastu żandarmów i półtorasta piechoty przywiezionej na wozach ukazało się pod Piątkówką. Moskale zdjęli jedną pikietę, lecz po kilku strzałach z obu stron, cofnęli się w przestrachu. Pułk piechoty postępujący zdala za swoją przednią strażą, zwrócił się także aż do Bałty, a komendant wyprawy dał raport, że znalazł Sobańskich na czele 4000 ludzi.

Jeśli lękliwość rodziła przed oczyma nieprzyjaciela trwożące mary, nie mniej też i ziemianie, w duchu zbuntowani a jeszcze bezbronni, łatwo mogli zadrżeć na lada zamach ze strony moskiewskiej. Pierwszy łysk ognia pod Piątkowką, przeraził obszerną okolicę powiatu olhopolskiego, wstrząśnienie dało się uczuć w sąsiednim powiecie hajsyńskim. Jedni przysyłali z prośbą o pomoc, drudzy zapytywali co czynić, inni szukali bespieczniejszego przytułku. Nazajutrz zgromadziło się wielu obywateli na radę do Jełowickich, w liczbie ich byli: jenerał Kołyszko i major Orlikowski.

Jak było przykre położenie tych, co wziąwszy się do broni zostali zahamowani na miejscu, tak równie trudne a bardziej dolegliwe tych, którzy uważali sobie za niezłomną powinność, dotrwać cicho do czasu. Kto raz siadł na konia, mógł poledz w boju, lecz kto u progu swego czekał lada moment napaści, tego odwaga musiała staczać smutną i ciągłą walkę z tłumem niewidomych niebespieczeństw. Jełowiccy już od dni kilku ostrzeżeni, że szwadron żandarmów był komenderowany żeby ich zabrał, nie chcieli jednak szukać ratunku dla siebie w przyśpieszonem poruszeniu swego powiatu. Wydobyli broń z kryjówek, każdej nocy czuwali w pogotowiu do obrony, i postanowili raczej sami jedni zginąć we własnym domu, niżeli powołując współpowietników zmięszać ułożone plany ogólnego powstania. Pokazało się nakoniec, że te plany zupełnie już były pomięszane. Emisarjusze z dalszych nawet powiatów przysłani donieśli, iż rząd nie tylko ubiegł punkta, które miały być celem pierwszego uderzenia, lecz powstańcy nie mogli nawet sformować porządnych hufców, bo policja ma na oku znaczniejszych patrjotów, pilnuje ich w domach i chwyta po drogach. — Wypadło więc z narady, dla wszystkich przeznaczyć jedno miejsce zebrania się w powiecie hajsyńskim, we wsi Krasnosiołce nad Bohem, u Henryka i Leona braci Lipkowskich zacnych i gorliwych patrjotów, a dla ukucia lanc i dopełnienia reszty przygotowań, zebrać się na dni dwa przed terminem. Dano zaraz znać o tem Sobańskim, i natychmiast wyprawiono Aleksandra Jełowickiego z wiadomością do Tyszkiewicza.

Od świtu 5 maja, różne cząstki roztargnionej siły, poczęły ściągać się do Krasnosiołki. Dzień ten datuje powstanie powiatu hajsyńskiego, który jeden w całym okręgu zmowy, lubo najpóźniej przyjął jej prawa, dotrwał im najwierniej; lubo to posłuszeństwo dobrowolne, niezaprzysiężone nawet, w nieprzewidzianym zamęcie rzeczy obracało się tylko na szkodę, mocą jednak wewnętrznych swych obywatelskich, domowych spojni, wytrzymał wszystkie próby, podniósł się najraźniej, najliczniej. Chorągiew w nim zatknięta, stała się

z czasem ogólną, jedyną: powiewała w boju roztrzygającym los obu województw, zajaśniała w najgłówniejszych zwycięstwach, upadając zgasiła wszelką nadzieję. Dzień więc piąty maja, jest jeszcze właściwie dniem, od którego się poczyna zbrojne powstanie najprzód zwane powstaniem hajsyńskiem, wraz Jełowickich i Sobańskich, później Kołyszki, nakoniec podolsko-ukraińskiem, albo wprost ukraińskiem tylko, ponieważ powiaty południowe gubernji podolskiej należą właściwie do Ukrainy.

Z wieczora przed tym nowym terminem była już w Hubniku prawie cała młodzież palestrancka z Hajsyna. Urzędnicy nawet skarbowi dali dowód, że węzły nikczemnego interesu, które jedynie zapewniają ich wierność dla cara, łatwo mogą być zerwane przez wpływ bardziej ludzkich, szlachetniejszych stosunków, jakie w naszem nie oschłem jeszcze, nie zamienionem w automat administracyjny społeczeństwa, dobry obywatel bardzo rozszerzyć i do widoków patrjotycznych użyć może. Wielu z gałęzi władzy wprost rządowej, przybiegło teraz ufnie i szczerze pod rozkazy marszałka powiatu obieralnego naczelnika szlachty. Pewien zasidatel, to jest członek policji ziemsko-moskiewskiej, na jego polecenie, zabrał ze wsi Bubnówki trzy dawne szwedzkie działa wkopane u bramy, i pod pozorem że je do Hajsyna konfiskuje, przywiózł do Hubnika. Jedno zaraz osadzono na żelaznym spodzie od kocza, drugie miały być podobnież urządzone w ciągu marszu. Trzy beczki prochu i znaczny zapas ładunków ręcznych stanowiły zapas amunicji. Koło tej pierwszej artylerji uszykowało się 140 jeźdźców porządnie uzbrojonych i umontowanych kosztem domu Jełowickich. Kiedy marszałek ze swoim hufcem wybierał się w pochód, zaszła mu drogę gromada włościan z popem na czele. Lud okolic południowych, właściwie ukraińskich, bardziej niżeli w północnych stronach Podola, nie pojmował przyczyn i celu powstania: rozumiał że panom grozi niebespieczeństwo i biorą się do broni na własną ochronę. W prostodusznej troskliwości, z wylaniem się serc pełnych przywiązania, chłopi hubniccy przyszli do dworu oświadczyć swoim dziedzicom, że gotowi są zasłonić ich własnemi piersiami, że nie dozwolą aby ktokolwiek dotknął ich osób lub ich dobra. Usłyszawszy dopiero wzajemnie uroczystą zapowiedź, że wojna przedsięwzięta za ojczyznę, za Polskę, jest dla nich samych największym interesem, że od tej chwili powinni uważać się za wolnych, równych swoim panom, i wieczystych właścicieli wydzielonych im gruntów, że na obronę tych praw wkrótce powołani będą, podnieśli głosy wdzięczności i rozrzewnienia łączone zawsze z prośbami żeby pan ich nie opuszczał, żeby został z nimi. Pop pobło-

gosławił nowemu hufcowi powstańców, a tłum łkających włościan długo szedł za nim.

Mniej więcej podobnym sposobem tejże chwili wszyscy prawie obywatele powiatu hajsyńskiego opuszczali swoje domy, i wszyscy na umówiony czas zebrali się do Krasnosiołki, w liczbie przeszło 700 ludzi.

Sobańscy i Rzewuski przyprowadzili tu swoich 340 zbrojnych. Z nimi przymaszerowało 80 ochotników z powiatu bałckiego; osobno nadciągnął oddział jampolski 70 koni.

Ogółem złożyło się górą tysiąc jazdy i więcej półtora sta piechoty.

Jezdni wszyscy mieli najwyborniejsze konie, osiodłanie dostateczne, lance z proporcami barwy narodowej, w znacznej części pałasze, niektórzy i pistolety; strzelcy byli uzbrojeni w broń myśliwską od przepychu.

Oprócz czoła tej przedziwnej stadniny, która głównie remontowała wiele pułków moskiewskich i wojsko królestwa, ukazały się dopiero razem ozdoby najcelniejsze bogatych stajen, i między niemi owe sławne arabskie konie Rzewuskiego, a czerkieskie Jełowickich. Ze zbiorów amatorskich, z mahoniowych szkatułek, zabłysnęły w jednym szeregu dubeltówki za osobliwość sprowadzone niegdyś od najgłośniejszych puszkarzy francuskich i angielskich. Zbrojna drużyna, byli to obywatele dziedzice obszernych włości, młodzież szlachecka i służba dworska, okrzesana, roztropna, w odzieży porządnej, niekiedy całemi hufcami jednostajnej.

Widok zastępu tworzącego się tak nagle i pięknie, był zjawiskiem zdziwiającem niemal oczy, które długo wyglądały, nieraz w umysłach zamglonego już obrazu powstania. Uczucie własnej siły ożywiło powoli zwłoką i rozterkami przygnębioną ufność. Nadzieja, radość, wrodzona iskra rycerskiego ducha, rozniecając się stopniami, rzuciły wkrótce na wszystkie twarze blask zapału i patrjotycznej dumy.

W wesołym, gwarliwym obozie, myśl naczelników sprzężona powszechną potrzebą i zgodą, czyniła tymczasem porządek. O godzinie 9 z rana, zebrali się na radę, której cały niemal program mógł zawrzeć się w słowach: wyszukać wodza. Lecz wódz w podobnych razach znajduje się sam przez się, i był już między powstańcami. Jenerał Kołyszko bowiem, opuściwszy liczną rodzinę, pierwszy prawie przyniósł pod chorągiew powstania swoje ostatnie siły, swoją sędziwą głowę. Jeśli kto nie upatrywał w starcu, czego życzyć należało, nie mógł też podać na jego miejsce kandydata, odpowiadającego lepiej tylu rozlicznym warunkom, powagi, wziętości, doświadczenia. Po krótkiej namowie ogłoszono weterana najwyższym zwierzchnikiem siły zbrojnej. Wybór ten odbył się bez żadnych form, bez żadnego aktu piśmien-

nego. Moc jego nigdy nie była podana w wątpliwość; lecz kiedy klęski dotknęły powstanie, kiedy wódz istotnie acz niewinnie przyłożył się do nich; wyborcy oskarżali jedni drugich za przychylne głosy; chęć zwalenia zawsze na kogoś każdej przyczyny złego, przypisywała niektórym wyłączne przewodnictwo w tej mierze *). Kołyszko zapewne jak na wodza powstańców, naczelnika siły niezmiernie organicznej, a nie podatnej, którą że tak powiem trzeba było chwyciwszy w mocne kleszcze, rozpalać ciągle ogniem bojowym i kuć bez znajomego wzoru w kształt odpowiedni okolicznościom, Kołyszko jedną największą widoczną zaraz miał wadę — miał lat 80, z których połowę przeleżał na zebranych wawrzynach. Ale i w tem łudzący pozór mógł jeszcze omamić; stary wojak skoro przypasał szablę i dosiadł konia, echo dawnego życia odbiło się głośno w jego duszy, gorąca miłość ojczyzny rozprostowała mu żyły; gotów był do boju jak młodzieniec, trudy i niewczasy obozowe znosił jak wdrożony żołnierz. Tylko zastygła pamięć w towarzyszu Kościuszki, przywalała grobowym kamieniem źródło wszelkich nowych pomysłów; tylko rozrzewniona serdeczność zacnego obywatela rolnika, stopiła w jego piersiach wszelką tęgość woli. Patrzał na swoje wojsko okiem brygadjera i smucił się że nie miało szyku i wprawy brygady; czuł cenę poświęcenia się swoich współrodaków synowskiego pokolenia, i miał dla nich troskliwość ojca, nie wodza: nic bystro obmyślić, śmiało przedsięwziąść, surowie rozkazać nie umiał. Pozostawało młodszym przezorniejszym, odważniejszym w duchu, wspierać go i popychać — kolej w całym toku przeszłej naszej wojny powszechna i nieszczęśliwa, nie dla tego jedynie, iż biada z sztukowanymi wodzami, ale że częstokroć jak zastąpić tak i dosztukować ich czem nie było.

Za szefa sztabu jenerałowi Kołyszce dodano majora artylerji Orlikowskiego, człowieka w kwiecie lat męskich, gorliwego patrjotę, dobrego oficera na placu saskim, ale bez najmniejszego doświadczenia w ogniu. Resztę miejsc sztabowych z różnymi tytułami zajęli młodzi obywatele; dawni wojskowi, ile ich mogło się znaleźć, potrzebniejsi byli w szeregach.

Całą siłę obecną wówczas, podzielono na 11 szwadronów, podług regulaminu byłej niegdyś kawalerji narodowej. Do-

---

*) Oparty na mylnem podaniu Spazier napisał (T. III. str. 31 wyd. pols.) że Jełowiccy szczególnie przyłożyli się do wyboru Kołyszki. Każden z nich wówczas prędzej byłby za nim niżeli za kim innym; ale żaden nie miał udziału w wyborze. Ojciec jeszcze się nie znajdował w obozie, dwaj synowie, Edward i Eustachy, nie wiedząc że się narada odbywała, wypoczywali po całonocnym marszu; trzeci, Aleksander, przybył z Oczeretnej dopiero w godzinę później.

wódzca szwadronu rotmistrz, miał pod swemi rozkazami kapitana, porucznika, dwóch podporuczników, chorążego, dziesięciu podoficerów, i stu żołnierzy. Pierwiastkowe te szwadrony były niejako zakładami pułków dla spodziewanej liczby ochotników, i zwyczajem używanym w Polsce, zostały oznaczone nazwiskami obywateli, którzy głównie przyczynili się do ich utworzenia. Jeden tedy szwadron nazywał się pułkiem imienia Jełowickich, drugi Izydora Sobańskiego, czwarty Aleksandra Sobańskiego; inne nosiły tylko numer porządkowy z dodatkiem nazwiska powiatu, skąd wzięły swój początek. Pierwszym dowodził Edward Jełowicki, drugim Izydor Sobański, trzecim Lipkowski zięć Kołyszki, dziedzic Krasnosiółki, czwartym Aleksander Sobański, piątym Wacław Rzewuski, szóstym Zwizda, siódmym Pobiedziński, ósmym Teodor Korzeniowski, dziewiątym i dziesiątym N*** N***, jedenastym Juljusz Korsak. Zwizda, Pobiedziński i Korzeniowski, byli dawni wojskowi.

Pułk Jełowickich, miał cały jednostajne płaszcze, a raczej burki z sukna bronzowego; oba pułki Sobańskich miały taratatki szare; pułk numeru trzeciego miał spodnie sukmanki białe, zwierzchnie czarne i pasy skórzane tegoż koloru; w innych były rozmaite ubiory, lecz ogólnie chorągiewki amarantowe z białem i takież kokardy przy czapkach. Oficerowie nie odróżniali się żadnemi znakami.

Piechota ze swoim myśliwskim ubiorem i rynsztunkiem, złożyła jedną kompanję strzelców.

Trzy armaty Jełowickich stanowiły artylerję. Oprócz amunicji przywiezionej z Hubnika, ponieważ każdy obywatel przysposobił się do powstania przynajmniej jak na obławę, rozchodziło się po oddziałach dosyć ręcznych nabojów. Furaż i żywność dostarczali pobliżsi dziedzice dóbr, a tymczasem formowały się przy głównej kwaterze intendentura, szpital, obozowa apteka i t. d.

Dwa dni upłynęły na tych urządzeniach wojskowych, trzeciego przystąpiono do części uchwał bardziej cywilnej. Sejmik zbrojny wybrał dla siebie reprezentantów powiatowych i powierzył im staranie o fundusze na koszta wojny, dał władzę stanowić potrzebnych urzędników w oswobodzonym kraju, i mieć głos doradczy przy wodzu. Każdy powiat umocował dwóch reprezentantów, z których drugi, na przypadek śmierci pierwszego był jego następcą, a tymczasem pomocnikiem w radzie i czynnościach. Takimi reprezentantami zostali z powiatu hajsyńskiego Wacław i Aleksander Jełowiccy; z olhopolskiego Izydor i Aleksander Sobańscy; z bałckiego Karol Potocki, i Teofil Obniski; inne powiaty, dopiero za liczniejszem zgromadzeniem się ich oddziałów do obozu, miały dopełnić toż samo. Wybory odbywały się po-

wiatami, a w powiatach szwadronami. Szwadron obierał dwunastu delegowanych oficerów i żołnierzy, a połączeni razem delegowani szwadronów jednego powiatu, obierali reprezentantów.

Kasa powstania miała już naówczas 600,000 złotych. Postanowiono dawać z niej niemajętnym żołnierzom, oprócz zwyczajnych potrzeb życia, po 20 groszy dziennie. Oficerowie nie brali żołdu.

Obrady powstańców skończyły się rano 7 maja, i w dniu tym który miał być dniem powszechnego rzucenia się na nieprzyjaciela, oddział najliczniejszy, jedyny co mógł przeważnie działać, po raz pierwszy wystąpił w kształcie wojennego zastępu. Poformowane szwadrony przeciągnęły najprzód przed jenerałem, uszykowawszy się potem głębokiemi kolumnami w półkole, jakby z amfiteatru słuchały mszy odprawiającej się na balkonie pałacu. Po nabożeństwie, wódz chciał przemówić do wojska; lecz że od kilku lat ciężka chrypka tamowała mu głos, wyręczył go Aleksander Jełowicki odczytując odezwę, która w mocnych wyrazach ogłaszała cele i obowiąski powstania: niepodległość ojczyzny, wolność bez wyjątku wszystkich mieszkańców, bespieczeństwo praw i własność każdego, poszanowanie wszelkich wyznań religijnych. Następnie powstańcy powtarzając słowa za czytającym rotę, wykonali przysięgę wierności i nie ograniczonego poświęcenia się dla sprawy narodowej, a posłuszeństwa dla swego wodza. Wzajemnie wódz przysiągł gorliwie piastować włożone nań dostojeństwo. Okrzyki: niech żyje Ojczyzna! niech żyje Kołyszko! zakończyły ten uroczysty obrzęd. Naczelnicy i reprezentanci udali się do swoich prac, żołnierze do obozu.

Przez dwa dni następne, czekając jeszcze żeby szwadrony wyćwiczyły się cokolwiek w musztrze i urosły bardziej, pisano i rozsyłano proklamacje do wszystkich stanów: do szlachty, do włościan, do duchowieństwa greckiego. Szlachtę powoływano do broni, przypominając jej święty obowiązek pospolitego ruszenia; włościanom dodawano śmiałości i ochoty wystawując im, że równie są synami ojczyzny, równie od jej niepodległości zależy ich wolność i szczęście; popów starano się ująć tolerancją i obietnicą zamienienia ich nędznych i niepewnych dochodów, na uczciwe i stałe, grożono wreszcie surowymi sposobami w razie doświadczonych przeszkód z ich strony.

Szlachta równie uboższa jak możniejsza, codzień dawała dowody najgorętszych chęci, nią ciągle napełniał się obóz. Ponieważ bogatsi obywatele, na dni kilka przed powstaniem, pod różnymi pozorami, a mianowicie dla sprowadzenia koni z dóbr swoich ukraińskich, powołali do siebie wiele mło-

dzieży szlacheckiej i tym sposobem nieznacznie wyprowadzili ją z domów rodzicielskich, ojcowie tak zawerbowanych ochotników, przyprowadzili nowych i żal swój wynurzali w ten sposób: «A czyż się to godziło, żebyście panowie wykradali nam synów? A czyż to my nie Polacy? Czyż my nie byli warci sami ich do powstania wyprawić i dać im błogosławieństwo? Darujcie panowie ojcom te wymówki; a my teraz synom naszym błogosławim i zalecamy, niech się biją za ojczyznę, niech idą gdzie panowie ich poprowadzą.» —

Co do włościan i innych stanów, życzliwość ich nie miała jeszcze pola do okazania się w symptomatach powszechnych. Wszystkie okólniki i akta powstania, opatrzone w podpisy wodza, szefa sztabu i sześciu reprezentantów, nosiły już niejaką cechę urzędową; nie były wszakże i być nie mogły niczem więcej tylko głosem patrjotyzmu, oświadczeniem woli obywatelskiej, obietnicą właścicieli dla poddanych. Wpływ tych pism nie został daremnym i ufać należy że trwa do dziś dnia; ale pióro wówczas niedostatecznie wyręczało szablę. Trzeba było bić się i przemawiać, trzeba było podawać rękę i powoływać. — Do tego, na nieszczęście, ani rady reprezentantów, ani prośby podwładnych nie potrafiły skłonić jenerała. Większość w radzie wojennej była zawsze za tem, żeby coś przedsięwziąść, żeby nie stać próżno na miejscu; instruktorowie szwadronów ciągle przedstawiali, iż zręcznie upatrzone napady, podjazdowe wyprawy, lepiej niżeli musztra usposobią żołnierza. Kołyszko odpowiadał wszystkim, że nie chce tak szacownych hufców narażać na przedsięwzięcia niebespieczne, a z wojskiem nie wprawionem do porządku i nie wyćwiczonem należycie, każde przedsięwzięcie jest niebespieczne. — Oddział tedy powstańców przybrał minę regularnego korpusu i został szkołą kantonistów, wśród gnębionego kraju, wśród skrzętnie obracającego się nieprzyjaciela.

Kiedy tak całe Podole, przez różne koleje i dla różnych przyczyn, wbrew spiskowym układom rozwijało swoje siły nie jednocześnie i nielicznie, zbliżała się też pora dla Ukrainy, gdzie organizacja nie poniosła widocznie żadnego uszczerbku, gdzie znajdował się sam organizator. — Bez wątpienia, gdyby tylko te podrzędne wypadki, które zdawały się dotykać samą gubernję podolską, miały stanowić o losie powstania, gubernja kijowska, nie skompromitowana w oczach rządu, nie obciążona wojskiem moskiewskiem, powinna była wykonać dzielnie swoją część ogólnego planu. Lecz jak jedno główne nieszczęście zadało klęskę wszystkim trzem prowincjom południowym, tak też i tu wpływ jego musiał wywrzeć swoje skutki.

IV.

Wracając jeszcze raz do owych ostatnich dni kwietnia, w których tyle powikłanych zdarzeń grupowało się dziwnie, nie można podnieść wątka powieści zostawionego w Oczeretnej, bez targnienia mimowolnie pasem mających swój koniec w Chlebanówce. Granica galicyjska nie przecięła naturalnych i staraniem naczelników nasnowanych spójni między losem wyprawy i powstania. Ale pierwsze z nich działały swoją prostą drogą, drugie poczęte zapóźno, krzyżując się za obrębem wypadków, obie strony wprawiały w błąd nawzajem.

Wyobraźmy sobie wszystko, co w przeciągu kilkudziesiąt godzin działo się na szczupłej przestrzeni za Zbruczem, gdzie Dwernicki ze swoim korpusem oczekiwanym na Podolu, Wereszczyński z legją nastrojoną do wymarszu pod Kamieniec, i obywatele mający dać im pomoc zbrojną, znaleźli się razem — zdziwieni niespodziewanem spotkaniem, gotowi jedni drugim wymawiać zawód. Przypomnijmy także, gońców z dwóch punktów organizowanego kraju donoszących naczelnikowi o nagłych wstrząśnieniach, jego uwagi, jego ostateczną wolę. Był to kres, przed którym wyprawa, legja i powstanie, szły osobnym torem, aż póki nie padły wspólnie; teraz rozpoczynał się między nimi jakiś zwodniczy, pośmiertny rozhowór. Tłómacze potrzeb i życzeń powstania hurmem cisnęli się do Chlebanówki; wysłańcy od korpusu i legji, kolejno przybiegali do Oczeretnej. Pierwsi wymagali tego po Dwernickim, co drudzy chcieli wyjednać u Tyszkiewicza.

Skoro Malinowski przybył do obozu w Galicji, pierwsze słowa jenerała były: «dla czegoście nie powstali, dla czegoście mię nie wsparli? jam tyle rachował na was.» — Naturalna odpodwiedź, po wyłuszczeniu sprawek Chróściechowskiego, musiała skończyć się wzajemnem zapytaniem: «dla czego jenerał jesteś tutaj, cóżby teraz było z naszem powstaniem?» — «Jeszcze broni nie złożyłem, mogę być między wami» rzekł Dwernicki. — «Jeszcze kraj cały sił swoich nie stracił, może powstać» dodał Malinowski. Rozmowa wtoczyła się na obłędne koło: korpus potrzebował powstania, powstanie korpusu. Kwestja nie rozwiązana przez cały czas, kiedy chodziło o pomoc do zwycięstwa, zadzierżgnęła się jeszcze trudniej, kiedy przyszło ratować się wspólnie z ostatecznej toni. Naczelnik prowincji ciągle oglądał się na wodza wyprawy, czekał od niego hasła, wyraźnego rozkazu, sam nie śmiał nic uczynić, nie ufał swojej władzy i wstrzymał powstanie. Wódz wyprawy ciągle oglądał się na prowincje, rozrzucał odezwy, pisał listy, wymawiał obywatelom

ich oziębłość, nigdy nie użył swojej powagi, nie dał wyraźnego rozkazu, i dopiero do jedynego kroku jaki mu zostawał, czekał na hasło do powstania.

W takim sporze zaocznym między dwoma najwyższymi sternikami sił narodowych za Bugiem, którzy spychali jeden na drugiego, co każdy z nich w swoim czasie miał prawo i mógł uczynić, rzecz wspólna koleją opierała się na obu, i nie przyjęta całkowicie przez żadnego, musiała upaść.

Ostatnia kolej Tyszkiewicza była w chwili, kiedy popierając pierwszą odezwę powołującą Podolan do broni, w ich zapale znalazłby najlepszą rękojmię posłuszeństwa, ich hufcami zatrudniłby Rota, i reszcie kraju i korpusowi i legji, wywiesiłby chorągiew powszechnej nadziei.

Ostatnia kolej Dwernickiego była teraz, kiedy rzucając się zuchwale na lewy brzeg Zbrucza, tłum emigrantów zbrojnych i legję pociągnąłby za sobą, roztargnionemu krajowi i zbierającym się powstańcom najskuteczniej dałby popęd, przywróciłby zepsutą jedność i odebranego ducha.

Tymczasem dwaj emisarjusze Tyszkiewicza, jeden wysłany przed miesiącem, drugi przed trzema dniami, wpadli razem do Galicji, dopominali się jeszcze o rozkazy; Dwernicki uczynił im zadość i poprzestał na tem.

W parę dni później, wysłańcy wracający z kartką, która nie wiem co już mogła sprawić, byli jeńcami Rydigera; jenerał był jeńcem Austrjaków. Drugi akt dramatu zabiegów po czasie, rozwiązywał się dopiero na Ukrainie.

Dnia 29 kwietnia przybył do Oczeretnej posłaniec Dwernickiego wyprawiony z Podlisic w d. 23 t. m. List dany jemu zawierał wyrazy: «Posyłam oficera mojego sztabu W. Stefana Zapolskiego, który ma obowiązek porozumieć się z dobrze myślącymi obywatelami Ukrainy, za radą ich wyznaczyć punkta zbierana się dla sił miejscowych, i donieść mi gdzie powstanie najpierwej wybuchnie, żebym powstającym mógł jak najrychlej dać pomoc.» — Ustnie zaś jenerał zalecając obywatelom przygotowanie koni zdatnych pod kawalerję i artylerję, sporządzenie znacznej liczby lanc, i zabespieczenie na rzecz publiczną wszelkiej własności skarbu moskiewskiego, dodawał przestrogę największej ostrożności, zwyczajem przyjętym we wszystkich swoich odezwach, radził skompromitowanym ukrywać się przed rządem.

Widocznie tedy do ostatniego momentu wódz korpusu nie znał ani organizacji, ani naczelnika powstania dwóch prowincji, którym obiecywał pomoc, kazał jej czekać ostrożnie, a razem żądał tego, co tylko jawne powstanie przed jego nadejściem sprawić mogło. Zapytany wreszcie Zapolski, jaką drogą posuwa się jenerał, dokąd posłać mu wiadomość o wszystkiem co zaszło i co jest już ułożone na dal, wyznał

otwarcie, iż może wypadnie szukać go w Galicji, ponieważ opuszczając główną kwaterę słyszał w sztabie głośne rozmowy o koniecznej potrzebie tego ratunku dla korpusu.

Łatwo sobie wyobrazić nowy kłopot Tyszkiewicza, w jaki go wprowadziły trudne do pogodzenia wyrazy pisma i słowa posłańca. Jeśli jenerał Dwernicki mniemał, że powstanie tylko zlane z korpusem może wystąpić do walki, pocóż dopiero zagrożony niebespieczeństwem wywoływał w pole obywateli, obiecując podać im rękę; jeśli sądził że los korpusu może być polepszony przez dalekie, o własnych siłach podnoszące się powstanie, czemuż nie zalecał obywatelom powstać natychmiast? Mając przed oczyma tak jasne swoje położenie, jak było w dniu 23 kwietnia, należało jenerałowi Dwernickiemu, albo zgoła nie odzywać się do Ukrainy, albo posłać wyraźny, bezwarunkowy rozkaz. W pierwszym razie opuszczając prowincje, nie zostawiłby dla nich ze wszech miar skodliwej zagadki, w drugim przyłożyłby się szczęśliwie do wsparcia władzy naczelnego organizatora, którą upadek wyprawy najbardziej wydzierał mu z dłoni.

Tegoż dnia, wkrótce po przybyciu Stefana Zapolskiego, przybiegł do Tyszkiewicza Sabatyn wysłany od Sobańskich. Wszystko co zaszło w północnej i południowej części Podola nagliło do pośpiechu w ogólnem podniesieniu broni, nakazywało przynajmniej termin 7 maja mieć za nieodzowny. Świeże poselstwo od korpusu przeciwnie, nastręczało powód do zwłoki, powątpiewań, sporów.

W święto wielkiejnocy (1 maja, 19 kwietnia v. s.) kilkunastu obywateli zgromadzonych u Tyszkiewicza, nie wahało się jednak ani chwili przystać na zdanie naczelnika, że jakkolwiek niepomyślne okoliczności przewidywać można, nie zrażając się wszakże niczem, należy powstać w dniu naznaczonym.

Dalsze porozumienia się w tej mierze, miały zajść ostatecznie nazajutrz w Bukajówce u Szydłowskiego, marszałka powiatu taraszczańskiego, dokąd zaraz po otrzymaniu z Podola wiadomości o zamieszkach sprawionych przez Chróściechowskiego, był zapowiedziany zjazd organizatorów Ukrainy.

Tyszkiewicz z Krasickim, Sabatynem, i jeszcze jednym gorliwym patrjotą udał się do Buhajówki. Zgromadzenie było liczne: znajdowali się tu organizatorowie, i w gronie wielu obywateli najznakomitsi związkowi powiatów: taraszczańskiego, skwirskiego, czehryńskiego, wasilkowskiego, kijowskiego i machnowieckiego, nadto dwaj magnaci przejeżdżający z Wołynia do swoich dóbr ukraińskich. Ci ostatni udzielili najświeższych i najsmutniejszych nowin o złem położeniu, w jakiem jenerał Dwernicki był już przed kilku dniami. W zbiorze różnie usposobionych i przygotowanych

umysłów, odznaczały się dwa niejako stronnictwa. Jedni gorętsi, niecierpliwsi, a po większej części skompromitowani w oczach rządu moskiewskiego, i w obcych powiatach kryjący się przed szponami policji, radzili nie zważać na niepomyślne pogłoski i czemprędzej poruszyć ogólne powstanie-drudzy rozumowali, że w obecnych okolicznościach podnieść chorągiew, byłoby marnotrawstwem przygotowanych sił, daremnem zużyciem na lepszą porę zdatnego dzieła, szaleństwem niewczesnego zapału. Liczba zdań i powaga osób były z ich strony, a do prawych, choć może za nadto zimnych rachub, przyłączyły się mniej zacne pobudki prywatnej niechęci i obrażonej miłości własnej. Między głównymi przeciwnikami niezwłocznego powstania, gardłował najzawzięciej jeden, który jako najstarszy Templarjusz i syn sławnego w wojennych dziejach naszych pułkownika, miał pretensję do naczelnictwa związku, od czasu wyboru uczynionego w Michałówce, niechętnie już spoglądał na Tyszkiewicza. Póki organizacja rozwijała się spokojnie w swoim administracyjnym zakresie, póki władza nie mogła być oskarżona o żaden błąd, póty zawiść musiała milczeć; lecz skoro podała się zręczność przesądzać wolą naczelnika, w najważniejszym punkcie wytknąć mu nietrafność, cichy współzawodnik znalazł czas, pod godłem publicznego interesu dogodzić swojej osobistej zemście, w zachwianych złemi wieściami, w słuchających bardziej głowy niż serca, miał naturalnych sprzymierzeńców. Tyszkiewicz stanąwszy wśród tak usposobionego koła podwładnych, postrzegł zaraz, że same rozkazy jego byłyby niedostateczne; uciekł się przeto do perswazji, próśb, i zaklęć w imię ojczyzny, zaprzysiężonych uchwał, i uroczystych obietnic powstania choćby w najgorszym razie. Nie wielu przestawało na tem, mniej było tych co go wspierali: większość żądała żeby się jasno wytłómaczył, żeby okazał powody dla których powoływał do broni. Przypomniano iż miał obowiązek porozumieć się z rządem narodowym albo wodzem naczelnym i w skutek ich woli dać hasło: pytano czy otrzymał jaki rozkaz wyższej władzy. Przyszło tedy wystąpić z pismem jenerała Dwernickiego i w niem upatrywać takowy rozkaz. To nieszczęśliwe pismo dopełniło miarki złego: dawało się łatwiej wykładać na przeciwną stronę. Komentatorowie osądzili, iż jenerał widocznie nie myślił obudzać powstania pierwej, aż sam przybędzie na Ukrainę; podniosły się tem mocniejsze głosy: «czekać wojsk regularnych.»

Położenie Tyszkiewicza jako pośrednika między Warszawą a prowincją, istotnie było fałszywe. Stosunków przyzwoitych ani ze stolicą, ani z wodzem wyprawy nie zawiązał w swoim czasie, i teraz odnosząc rzecz powstania do działań korpusu

Dwernickiego, chybiał zupełnie celu, w żaden sposób nie mógł przekonać, iż trafnie obrał porę. Ale inny wzgląd usprawiedliwiał i niezłomnie wspierał jego postanowienie. Oto w samem gronie radzących, było już kilku skompromitowanych, wielu ich kryło się po różnych stronach własnej prowincji, a sąsiednie Podole całe wstrzęsło się jawnie. Nie dla posiłkowego korpusu zatem, nie dla zadość uczynienia jakim planom wojennym, lecz dla siebie samych, trzeba było koniecznie powstać co najrychlej. Jeśli kto mógł powiedzieć, że się godziło, że należało kilkudziesiąt współobywateli zostawić na pastwę rządowi, aby masę przygotowanych sił i zasobów ochronić, toć wreszcie powinien był widzieć, iż właśnie taki środek ratunku prowadził do nieuchronnej zguby cały związek powstańców. Sabatyn przemawiając w imieniu Sobańskich, wszelkich używał środków do zbicia w tej mierze przeciwnych mędrkowań: nic wszakże nie zdołało wzruszyć i przekonać zaciętych formalistów. Odpowiadali zawsze: «że kto powstał bez rozkazu, ten sam sobie winien.» Gorliwe usiłowania Krasickiego i innych którzy trzymali z naczelnikiem, również zostawały bez skutku. Po gorących sporach od południa do północy, przeciwni woli Tyszkiewicza skłonili się do pewnej koncesji, i oświadczyli: że skoro powstanie Podola rozszerzy się aż do nich, to i oni powstaną. Oświadczenie to właściwie tak należało wyrazić: że kiedy powstańcy podolscy przemogą nieprzyjaciela, my połączymy się z nimi; kiedy zaś wspólny nieprzyjaciel będzie ich gnębił, katował, na Sybir wywoził, my zostaniemy ocaleni — na lepszą porę dla ojczyzny. Niebaczni! bez miłości braterskiej, próżne odzywanie się z miłością ku ojczyznie. W cóż się teraz obracały wszystkie węzły zmowy, wszystkie plany jednoczesnego wybuchu? Przy oglądaniu się na własny interes każdej prowincji, okolicy, rodziny i w końcu naturalnie każdej osoby, daremnie marzyć powrót do bytu całej Polski: żadna pomoc ustronna, żadna organizacja spiskowa, nie dźwignie skutecznie powstania.

Naczelny organizator głęboko uczuł brak odwagi jednych, a prywatną niechęć drugich pod blichtrami rozsądnej ostrożności. Stały umysł i nieprzytłumiony zapał kilku, nie zdołał pocieszyć go i pokrzepić. Zwątpiwszy o duchu reszty związkowych, zwątpił zupełnie o swojej władzy i mordujące swary zamknął wydaniem okólnika następnej treści: «Ponieważ większość jest za tem żeby nie powstawać, składam mój urząd; skompromitowanych zaś wzywam, żeby się łączyli do braci Podolan.»

Pismo to było bardzo na rękę owym nazwanym większością; pochwycili je skwapliwie, pewni dopiero że istotnie będą mieli większość.

Po dobrowolnem zrzeczeniu się ostatka władzy, która od 27 kwietnia częściami wypadała mu z dłoni, Tyszkiewicz myślał z razu tylko o wypełnieniu własnych obowiąsków dobrego obywatela i gorliwego Polaka. Wzrok jego zwracał się z tem większą troskliwością ku Podolowi, gdzie spodziewał się jeszcze obudzić siłę przytłumioną ubocznemi zdarzeniami, skąd mógł przyjść żywy popęd dla Ukrainy roztargnionej wewnątrz, dokąd na ostatek mógł zanieść swoje poświęcenie się osobiste. Zastawszy nazajutrz w Czerniawce Majora Mikuszewskiego, doświadczonego żołnierza i zacnego patrjotę, proponował mu dowództwo albo szefostwo sztabu w oddziale mającym utworzyć się na Podolu. Mikuszewski przyrzekł ze swojej strony wszystko uczynić, lecz nie inaczej jak pod zwierzchnictwem jenerała Kołyszki. Wybór wodza równie jak wszelkich ogólnych środków, mógł tylko już prywatnie zaprzątać uwagę Tyszkiewicza, wkrótce atoli zaczęły zbiegać się pobudki wciągające go znowu na opuszczone stanowisko urzędowe.

Oganizator powiatu skwirskiego, spowinowacony z jednym najmożniejszym prawie stronnikiem oppozycji, dowiedziawszy się o tem co zaszło w Buhajówce, pośpieszył do naczelnika, błagał go na kolanach żeby się nie zrażał chwilowem zapomnieniem się kilku związkowych, obiecywał ich nawrócić, ręczył za swój i radomyślski powiat, a w machnowieckim podjął się zapewnić skutek rozkazem. Tegoż dnia 3 maja przybył do Oczeretnej Hieronim Raczyński od Wereszczyńskiego z Galicji, w nocy zaś Aleksander Jełowicki od ostatniego zjazdu w Hubniku. Raczyński wysłany przed 27 kwietnia, przywoził wiadomość o legji i zamiarach jej dowódzcy; Jełowicki donosił o powstaniach w tej chwili z kilku powiatów ruszających do Krasnosiołki. Obie nowiny równie jeszcze zdawały się pewne, obie uradowały Tyszkiewicza.

Ze wszech stron zagrzany nadziejami chciał znowu odzyskać swoją władzę, pobiegł do Czerniawki, i znalazłszy tu obudwóch dodanych sobie radzców czyli komisarzy, oświadczył że myśli jeszcze całą Ukrainę powołać do broni.

Krasicki napomknął, iż po złożeniu urzędu pismo naczelnika nie będzie miało właściwej mocy, nie chciał także przyzwolić, aby w jakiemkolwiek zmyśleniu szukać dlań powagi; lecz gdy drugi komisarz radził nie zważać na te szkrupuły, ufając w patrjotyzm całej gubernji, a znając gotowość i zapał swego powiatu w którym było wiele szlachty ogrodowej, zgodził się na wydanie powszechnego hasła. Tyszkiewicz napisał następujący rozkaz: «Otrzymawszy wiadomość od wyższej władzy iż potrzeba żebyśmy powstali, rozkazuję wszystkim powstać w dniu (25 kwietnia v. s.) 7 maja.» — Do tego rozkazu przyłączywszy stosowne polecenia dawniej

wyznaczonym dowódzcom hufców powiatowych, zostawił Krasickiemu potrzebną liczbę blankietów ze swoim podpisem, i powierzył mu wyrozumieć ostatecznie jenerała Kozłowskiego, czyliby nie przyjął dowództwa ogólnego siły zbrojnej, a sam przedsięwziął udać się zaraz do północnych powiatów Podola, gdzie z powodu obietnic Wereszczyńskiego, zdawał się otwierać najważniejszy plac działań.

Rano 5 maja, rozkazy Tyszkiewicza powołujące całą Ukrainę do broni, poszły z Czerniawki w różne strony, a tegoż dnia późno wieczorem, Krasicki przybył do Oczeretnej zdać sprawę ze swego poselstwa do Kozłowskiego.

Kozłowski syn jenerała polskiego, służył w wojsku rosyjskiem lat dwadzieścia; w r. 1812 nie chcąc walczyć przeciw wojskom gdzie tylu było jego rodaków, wziął dymisję; za ostatniej wojny tureckiej wszedł znowu do służby i odznaczył się jako dzielny partyzant. W obejściu się z domownikami ostry i surowy, w zwyczajach przejęty wielu nałogami moskiewskich panów, mieszkając na Ukrainie z nikim prawie nie miał bliższych stosunków, utrzymywał liczny dwór, wielkie myślistwo, i żył odludnie. Można jednak wierzyć że Polakiem nigdy być nie przestał, uczuć dla prawdziwej ojczyzny nigdy nie stracił. Po rewolucji listopadowej widząc ruch między obywatelami swojej okolicy, starał się mieć udział w sprawie narodowej. Z jednym Krasickim, jako sąsiadem, widując się częściej, wynurzył jemu swoje chęci, ofiarował dać pieniądze do składki, obiecał uzbroić swoich ludzi, których stu od razu mógł wsadzić na koń. Zjechawszy się nawet w pewnym domu z Tyszkiewiczem, gdy ten próbował go wyrozumieć, nie zdawał się dalekim od przyjęcia dowództwa, napomykał bardzo energiczne sposoby wojny eksterminacyjnej. Talenta jego, charakter tęgi i sława militarna, przyniosłyby niewątpliwie wielki pożytek szeregom ziemian. Skoro teraz Krasicki stanął przed nim, żądając ostatecznego słowa, przekładał najprzód niedogodność obranej pory do powstania: listami znajomych sobie jenerałów armji działającej przekonywał, że Dwernicki musi albo broń złożyć, albo wejść do Galicji; usłyszawszy wszakże iż powziętego zamiaru cofnąć już nie można, zapytał: «a czy Pan Henryk siądzie na koń?» to jest czy marszałek gubernji Henryk Tyszkiewicz stanie na czele obywateli? Takiej rękojmi powszechnego poruszenia się obywateli, słusznie mógł żądać człowiek przezorny i doświadczony, a w podeszłym wieku los własny i rodziny odważający na krok hazardowny. Krasicki upewnił go iż ma powody ufać w gorliwość marszałka. «Dobrze więc — rzekł Kozłowski — to i ja chociaż naczelnictwa nie przyjmę, ale jako obywatel siądę na koń.

Z piątku na sobotę w nocy (z 6. na 7. maja) każę kuć i osadzać lance.»

Z tą odpowiedzią przybywszy Krasicki, zastał w Oczeretnej Henryka Tyszkiewicza. Od jego tedy decyzji, od jego poświęcenia się zależało roztrzygnięcie kwestji ze wszech miar ważnej dla powstania Ukrainy. Ale jeśli Kozłowski chciał mieć rękojmię ogólnego ducha w odwadze pierwszego urzędnika szlachty, sam ten urzędnik potem wszystkiem co zaszło, po zdaniach mianowicie objawionych w Buhajówce, mógł nie dowierzać duchowi swoich współobywateli — i obrał sobie drogę, którą jakkolwiek dziś dostąpił wysokich łask cara, byłby może wstecz się udał, gdyby mu nie zabrakło ufności. Jest to delikatna rzecz ilekroć przychodzi dać wyrok o jednym, gdzie dzieło polegało na wielu, na wszystkich. Niewątpliwie wszakże, póki tylko powstawać będziemy, zawsze niżsi będą oglądali się na wyższych, zawsze ci ostatni powinni pamiętać, że do nich należy pierwszy przykład rzucenia się w odmęt niebespieczeństw, nie zaś pierwsze miejsce dopiero po rozpoczętej przez innych i pomyślnie idącej sprawie; bo zawsze ich słabości i winy zasłużą na bezwarunkowe potępienie.

Cokolwiek bądź, wszystko wzięło taki obrót, iż wybuch Ukrainy nie mógł być ani silny, ani pod zachęcającem godłem rozpoczęty. Marszałek gubernji wyjechał do Skwiry prezydować w naborze rekrutów; naczelnik spisku zostawując niepewne wypadki staraniom gorliwych, oddał pobliższych ochotników i ludzi swoich pod rozkazy Stefana Zana, zalecił mu połączyć się z dowódzcą powiatowym Janem Zapolskim, któremu osobiście przełożył uprzednio jak ma postąpić, i 6 maja rano pośpieszył na Podole. — Tymczasem rozkazy rozesłane dwoma dniami przed terminem, nie tylko nie mogły rozejść się wszędy, ale nadto spotykały się z przeciwnym im okólnikiem, wydanym w Buhajówce. Opozycja buhajowiecka była nie ugięta: głowy jej stronnik, organizator powiatu machnowieckiego, nie wzruszył się prośbami szwagra, który miał go nawrócić, w oczach jego spalił ekspedycje idące do trzech innych powiatów. — Kozłowski zmiarkował stan rzeczy, i zamiast do obozu powstańców, udał się do Berdyczowa; powstańcy zamiast zmienić całą prowincję w swój obóz, błąkali się szukając gromady i wodza.

Powiat lipowiecki, w którym ciągła pieczołowitość Tyszkiewicza i Krasickiego czuwała najbliżej, miał najwięcej przygotowanych i w czas uwiadomionych ochotników; lecz naznaczony dowódzca siły zbrojnej, dawny oficer Jan Zapolski, sam ją rozerwał i obrócił nie tak jak należało. Był zamiar zebrać się w Daszowie i stamtąd uderzyć na Lipowiec; tymczasem Zapolski mając osobiste zajścia ze sprawnikiem,

wpadł w płonną obawę żeby ten go nie uwięził, i uzbroiwszy swoich ludzi dworskich, w towarzystwie kilkunastu szlachty którzy się do niego przyłączyli, na dwa dni przed terminem, wymaszerował z domu i stanął obozem w lesie. Dowiedziano się o tem natychmiast w mieście powiatowem, o milę odległem. Pocztmejster Lipiński przychylny rządowi, poleciał do Machnówki i sprowadził parę szwadronów strzelców; dzierżawcy pobliższych stacji, które miały być zniesione przez powstańców, schronili wszystkie konie, tak że później ledwo jedną z nich Krasicki zachwycić zdołał. W dniu zapowiedzianym zgromadzające się po domach obywatelskich hufce, szukały już swego dowódzcy kryjącego się przed komendą wyprawioną z Lipowca. Stefan Zan, major Lepin i inni, przyprowadzili mu kilkudziesiąt jeźdzców. Zapolske nie pociągnął z nimi do Daszowa, ale chcąc znaleźć bliższi wsparcie, wieczorem 7 maja pomaszerował do Skały, wsi Hieronima Zbyszewskiego, gdzie Fortunat Morgulec również dawny wojskowy, zbierał obywateli taraszczańskich. Pierwszym złym skutkiem tak pomięszanych planów, był smutny los młodzieży palestranckiej w Lipowcu, która zapewniona przez Zapolskiego, spodziewając się nazajutrz ujrzeć w mieście jego oddział zbrojny, padła ofiarą zawiedzionej ufności; następnie wynikło stąd zgromadzenie się w jeden punkt wszystkich zarodków powstania Ukrainy. Nie tylko oddziałki lipowieckie pospieszyły w ślad za swoim dowódzcą, ale i z dalszych powiatów w których albo naczelnicy nie chcieli powstać, albo podwładni nie dopisali naczelnikom, różne garstki kierowały się tutaj. Z machnowieckiego Herman i Józef Potoccy, młodzi Abramowiczowie i wielu pojedyńczych ochotników; ze skwirskiego i humańskiego wszyscy, którzy będąc skompromitowani, od dawna domowe strony opuścić musieli; ze zwinogrodzkiego Bierzyński i inni z dowódzcą swoim Zwolińskim, znaleźli się w Skale. Ogółem zebrało się przeszło 250 konnych i około 100 pieszych. Sprowadzono kilka wiwatówek, których urządzeniem zajął się czynnie Józef Zapolski; przywieziono kasę z Czerniawki zawierającą 300,000 złotych, i podobnie jak na Podolu w Krasnosiołce, poczęto formować pewien rodzaj korpusu, z mniejszym jednak ładem i powodzeniem. Jan Zapolski przywłaszczył sobie jeneralne dowództwo, inni oficerowie nie radzi byli jemu podlegać, nikt zaś nie potrafił zaspokoić sporu. Obywatele widząc niesnaski i bezrząd, gdy Zapolski nie wzbudzał w nich zaufania, a ten komu dali prawo mianować wodza nie był obecny, poczęli tracić ducha: wielu najlepsze mających chęci cofało się z obozu. Trzy dni upłynęły na różnych projektach, rozprawach i radach, w końcu uchwalono całym taborem ruszać w powiat humański, który najludniej-

szy z powiatów gubernji kijowskiej i obfity we wszelkie zasoby, wzywał wsparcia z powodu najścia sił nieprzyjacielskich.

Oprócz oddziału zgromadzonego w Skale, obecnie na całej Ukrainie mało co więcej znajdowało się sił gotowych. Uzbrajał się w Daszowie Włodzimierz Potocki; formowali się obywatele humańscy w dwa od przypadku ugrupowane hufce; wyruszyło z domów kilku pobliższych patrjotów. Wszystkie te cząstki zamiast same zostać środkami miejscowego powstania, oglądały się już tylko na chorągiew lipowiecką, która podobnież nie mając mocy utrzymać się na swoim gruncie, szukała większej siły; a ponieważ droga obrana prowadziła ją ku głównemu obozowi Podolan, prędzej czy później musiała wlać się w korpus Kołyszki.

V.

Dzień 7 maja, termin urzędowy powstania, przeminął nieznacznie wśród różnych poruszeń, przez dwa tygodnie wykluwających się powoli. Organizacja insurekcyjnego spisku dotknięta upadkiem wyprawy Dwernickiego, skruszyła się nagle w północnych powiatach Podola, spełzła opornie w południowych, własnemi rękoma robotników została zniweczona do reszty na Ukrainie. Teraz żadna już cząstka sztucznej tkanki nie osłaniała skrytych sposobów, spodziewanych wybuchnień: wszystko było odarte z tajemnicy i nadziei, dawało się na przestrzeni dwóch prowincji zliczyć i ocenić. Trudno wyobrazić sobie większą niedolę, bardziej smutny wypadek tyle obiecujących, tak wyrachowanych zamiarów!

Powstanie miało jednej chwili na wszystkich punktach wynurzyć się najmniej we 12,000, opanować od razu rząd swego kraju, otoczyć i zgnieść rozrzucone w nim drobne załogi moskiewskie, powagą swojej mocy dać otuchę i popęd ludowi, złożyć wewnątrz szykowną siłę, wyglądać nadto zewnątrz wsparcia od posiłkowego korpusu. Wydobywając się na jaw długo i nie wszędy, urosło ledwo do liczby 3000, nie zdobyło żadnego siedliska władzy rządowej, żadnej korzyści; w słabych zarodkach rozproszone, tułające się, prześladowane, dążyło wszędy do większych gromad, pragnęło niejako skrystalizować się koło jednego środka. W tak przewróconym porządku rzeczy, zamieniła się rola dwóch stron przeciwnych. Hufce narodowe znalazły się zupełnie w położeniu gotowanem dla nieprzyjaciela.

Nieprzyjaciel bez przerwy rządził całym krajem, osiedział się w miastach i miasteczkach, za pomocą wewnętrznych

rezerw i garnizonów ścigał formujące się oddziałki powstańców, zewnątrz oczekiwał wsparcia od swoich wojsk polowych: w jego ręku była władza administracyjno-policyjna, zbrojna siła miejscowa, i część armji uwolnionej od zatrudnień z Dwernickim. Każdy z tych trzech środków trzeba ocenić ściśle, żeby zmiarkować na dal, czego jeszcze powstanie spodziewać się albo dokazać mogło.

Władza rządowa zwłaszcza nad narodem od dawna podbitym, jest bez wątpienia samym łękiem jarzma wprost dotykającym jego karku. Opiera się ona ostatecznie na swoim aparacie militarnym; ale jeśli nie wojsko gotowe przychodzi zepchnąć razem z wojskiem ciemiężców ich rządy, lecz naród sam o własnych siłach chce odzyskać wolność, pierwsze jego wstrząśnienie musi rozerwać najbliższe więzy, inaczej trudno mu miotać się przeciw dalszym. To bardzo jest naturalne, i daje się jasno wytłumaczyć. Rząd narzucony przez zwycięscę, wszystkiemi gałęziami, które idą z jego ramienia rozpościera po kraju prawdziwie moralną jego potęgę: czuwa, grozi, uprzedza, nareszcie kieruje siłą materjalną. Im bardziej miejscowy, im więcej zażyły z mieszkańcami, tym niebespieczniejszy. U nas gałęzie władzy carskiej były nieliczne, zupełnie odrębne od władz obywatelskich, napiętnowane wyraźnym charakterem, jedynie niemal trzymające w swem ręku wydział policyjny i skarbowy. W każdym powiecie dosyć było schwytać kilka osób i kilkunastu ich satelitów, żeby cały obieg moskiewskiego wpływu przeciąć od razu. Szpiegi i przychylni tronowi nie mieliby dokąd znosić usłużnej pracy; zwierzchność gubernjalna niezwalona nawet, zostałaby ślepa i niema; doświadczony, znający wszystkie zakąty przewodnik, nie przodkowałby żołdactwu jakie mogło znaleść się na podoręczu. Należało więc koniecznie ubiegać i zdobywać miasta powiatowe; choćby dla tego tylko, żeby spruć gniazda administracji nieprzyjacielskiej, i domowy gad o czerwonych szyjach tak wytępić, żeby już szkodzić nie mógł; bo trzeba pamiętać że złość swoją zataja zdradliwie, że mu ucięte członki odrastają łatwo; nowy zaś zapłodek tego rodzaju nie prędko rozpatrzyć się i zagospodarować może. W prowincjach gdzie systematyczna zmowa nie obmyślała trybu podniesienia broni, powszechny instynkt odgadł szczęśliwie co najprzód wymagało usiłowań i zabiegów. Dobry początek, mimo mnogich później błędów, przyczynił się nie mało do szerokiego rozlewu i trwałości powstań na Litwie. Organizacja insurekcyjna Ziem Ruskich, trafnie wprawdzie naznaczyła tenże sam przedmiot pierwszemu ciosowi swojej siły; ale kiedy w zamęcie niespodziewanych wypadków przyszło improwizować orężne dzieje, kiedy ta siła nie dźwignęła się raźnie i całkowicie, wszystkie jej

cząstki mniejsze i większe, wcześniejsze i ostatnie, dziwnym a spólnym popędem, chwyciły się jakoś za drugi koniec zniweczonego planu, zamknęły się w obozach, do których z pod bazyliszkowego wzroku władz moskiewskich nic swobodnie wymykać się nie mogło. Nie jeden co w terminie, albo nabrawszy ducha nie co później, wystąpiłby w pole, to był schwytany, to musiał ukrywać się koło własnego domu: wielu ledwo zdołało wpaść na koń i bez uzbrojenia, bez porządku, z ludźmi swoimi jakby uciekając przybiedz na miejsce zboru. Tego popłochu nabawiał częstokroć sam tylko sprawnik albo zasidatel snujący się w okolicy; a w ciągu dni dziesięciu od pierwszych wstrząśnień, na północy i południu Podola, policje ziemskie wszystkich powiatów w obu gubernjach, otrzymały już rozkazy pilnej baczności, i nawet wyraźne instrukcje nie raz z dodatkiem listy podejrzanych. Kto zna jak łatwo obywatela rolnika widokiem powózki z żandarmem przerazić, jak nałogowa obawa rządu, zwłaszcza po wsiach drobniejszych, wywiera u nas moc uroczą, ten nie zdziwi się, że kiedy powstanie żadnym głośnym krokiem nie dało otuchy, znaczna część szlachty przyciśniona zmorą carskiego cienia, nie miała mocy wydobyć się ze snu. Straszydło to daleko powszechniej i żywiej działało na umysł włościan. Lud prosty w podobnych rzeczach rozumuje zawsze a posteriori; dla niego co jest i trwa, ma już dostateczną przyczynę i zasadę bytu: widział, kto władał, kto panował, i próżno mu było prawić o nadeszłych zmianach, rzucać słowa najszczerszych obietnic. Dosyć że w czynach okazał się neutralnym, w życzeniach niewątpliwie przychylnym. Wszędzie gdzie przechodził jaki hufiec powstańców, gromady wiejskie witały go z chlebem i solą, spełniały chętnie wszelkie rozkazy, dostarczylyby nawet ochotników, gdyby nie trzeba było dostarczyć razem wierzchowych koni i oręża, na czem im zbywało. Ale wzajemnie oddział wojsk moskiewskich znajdował wszędzie bespieczne przejście, lada urzędnik pokorne posłuszeństwo: wybierano rekruta jak w najspokojniejszych czasach. Mówiąc o włościanach wypada nieodstępnie mieć wzgląd na niższe duchowieństwo greckie, na popów. Pierwsi i drudzy musieli być koniecznie razem pozyskani dla tej lub owej strony; razem też dają się widzieć niemal we wszystkich przykładach dwóch przeciwnych skłonności, z tą różnicą tylko, iż w oznakach dobrych chęci dla powstania, powszechnie instynkt włościan, w czynach pochlebnych carowi, wyłącznie interes popów szedł przodkiem. Póki los walki nie przeważył się jawnie, lud poddany najgorszym dziedzicom gotów był przebaczyć długoletnie winy, garnąc się do lepszych, z nadzieją, z pewną wiarą wyglądać skutku wypadków zapowiadanych przez obecne zdarzenia,

dawne wróżby*); dopiero później w niektórych miejscach uległ pokusom urzędowie podżegnionej zemsty i swawoli. Przeciwnie duchowieństwo etatowe, łańcuchem hierarchji przykute do tronu, wwiązane w tok machiny administracyjnej, prócz nie wielu wyjątków, musiało zostać rychło jej narzędziem. Od pierwszego momentu poruszeń zbrojnych, policja miała w popach mnogich donosicieli, czujnych stróżów szlachty, a nawet i szpiegów; później wpływ ich był użyty straszliwiej jeszcze. Rząd tedy dzierżący w swoim ręku wszystkie żyły komunikacji i władzy, uważać należy za prawdziwą, oporną przynajmniej potęgę. Jego nierozbite ogniska stały się niejako twierdzami, po za okręgiem których powstanie we własnym kraju przybierało postać wojsk obcych, zdobywczych.

W takim składzie rzeczy odrazu daje się uczuć ważność załog, czyli wszelkich miejscowych sił moskiewskich. Władza cywilna w wielu punktach ostała się bez ich pomocy; lecz prędko użyła je w pomoc sobie, rzucając zaczepnie na pomniejsze hufce i niekiedy na domy gotujących się do broni patrjotów. Właściwie pod nazwiskiem załog albo raczej garnizonów rozumieć by należało komendy weteranów pieszych i żandarmów, w czasie pokoju i wojny nieruchomie zostające po miastach i miasteczkach; ale te prawie nie zasługują wejść w rachunek. Gdzie nie znajdowało się nic więcej prócz takowej zwykłej osady, 50 koni powstańców

*) Szczególniej ważną rolę grało między gminem proroctwo Wernyhory. — Wernyhora sławny wieszcz ukraiński, według jednych był chłopem ze wsi Makiedan nie daleko Bohusławia, wedle drugich szlachcicem polskim. To pewna iż za młodu opuścił dom rodzicielski i udał się na Zaporoże, a po długich latach, dopiero w r. 1760 wrócił w strony rodzinne i żył bardzo dobrze ze szlachtą. Po zawiązaniu się Konfederacji Barskiej zachęcał wszystkich żeby przystępowali do niej; a kiedy we trzy miesiące później, w dzień Ś. Makoweja 1768 zaczęła się rzeź humańska, najgorliwiej osłaniał szlachtę i wykrywał zdrady moskiewskie. Umarł 1769 czy 1770, we wsi Parchomówce na Ukrainie, gdzie urodził się Seweryn Krzyżanowski. — Z wielu przepowiedni Wernyhory najznajomsza, a w czasach konfederacji wydana, jest tej treści: «Polacy teraz w swoich zamiarach upadną i Polska trzykroć będzie rozszarpana. Różni ludzie kusić się będą o jej odbudowanie, ale nadaremnie. Przyjdzie wielki mąż od zachodu: Polacy oddadzą się jemu na usługi; wiele im przyobieca, a mało uczyni: chociaż nazwą się znowu narodem, będą jęczeli pod jarzmem Niemców i Moskali. Potem zostanie ich królem człowiek zły i zacięty, który wiele krwi przeleje. Polacy powstaną przeciw niemu, i jeszcze upadną przez nieład i niezgodę. Długo niewola i ucisk rozciągną się nad nimi; aż nakoniec zajaśnieją błogie czasy, kiedy naród bogaty sypnie pieniędzmi, Mahometanie w Horyniu napoją swoje konie, i Moskale dwa razy na głowę pobici zostaną: raz pod Batowem około semi-mohił (siedmiu mogił), drugi raz pod Starym Konstantynowem w jarze Hanczarycha zwanym. Od tego czasu Polska zakwitnie od Czarnego do Białego morza i będzie trwała po wieki wieków.» — Przepowiednia ta lubo w r. 1831 nie zdawała się wskazywać początku błogich czasów, lecz póki wiodło się sprawie naszej, powszechnie niemal na pomyślną wróżbę wykładaną była.

mogło bez wystrzału opanować stolicę swego powiatu; i rzeczywiście z liczby trzydziestu przeszło miast powiatowych na Wołyniu, Podolu, i Ukrainie, w tyle korpusów moskiewskich pomknionych przeciw Dwernickiemu, dwadzieścia najmniej nie miało innej obrony. Załogami przeto istotnemi były cząstki i odłamki wojsk polowych, bądź jako rezerwy, bądź jako do szczególnych potrzeb zachowane oddziały. Trzy miasta gubernjalne: Kamieniec, Żytomierz i Kijów, były osadzone najobficiej; lecz Kamieniec i Kijów wychodziły za obręb początkowych działań powstania: pierwszy odcięty linją korpusów moskiewskich, pochłaniał tylko część ich siły, drugi dostatecznie opatrzony przeciw napaści, nic nie mógł udzielić na dalekie wycieczki. Sam Żytomierz zatem przez swoje środkowe położenie groził jedynie krajowi. Stały tu zostawione przez Rydigera 3 bataljony pułku welingtońskiego, 1 bataljon pułku Dybicza, pułk kozaków uralskich i dziesiątek armat. Niżej idąc ku południowi, w Berdyczowie i Machnówce znajdowały się zapasy kawalerji także korpusu Rydigera: kilkaset huzarów między którémi 200 ledwo miało konie, i 8 szwadronów strzelców konnych. Tym sposobem 4 bataljony piechoty, 9 szwadronów jazdy i pułk kozaków, formowały rezerwę wojsk walczących za Styrem, a razem straż przeciw miejscowym poruszeniom. Siła ta na pozór znaczna, musiała najprzód osłaniać rezydencję wojennego gubernatora Lewaszowa, rozpraszać się później na różne wyprawy, i z czasem zginęła niemal cała od ręki powstańców; wiele jednak, mianowicie w pierwszych chwilach narobiła im szkody. Dwa szwadrony strzelców odkomenderowane z Berdyczowa na Polesie wołyńskie, przyczyniły się najbardziej do rozbicia obozu pod Włodzimierzem; jeden szwadron wysłany z Machnówki w powiat winnicki, acz z własną stratą przeszkodził wzrostowi hufca, który formował kapitan Kurowski; inne dwa skierowane na Lipowiec, lubo nie śmiały zaczepić zbierających się w Skale, pojedyńczym jednak patrjotom dały się we znaki. Rząd chciał przerażać gwałtownością i okrucieństwem; policja dybała przed i za każdym oddziałem rozjuszonego sołdactwa, jak stado szakali koło lwa szukającego pastwy: wszędzie teroryzm moskiewski znajdował dla siebie męczeńskie ofiary. W powiecie winnickim, skoro powstańcy po zwycięskiej utarczce cofnęli się z Michałówki, sławny w okolicy łotr i łupieżca zasidatel Ciechanowski, wpadł do dworu, porwał i okuwszy w łańcuchy uwiózł szanownego starca Wyrzykowskiego. W bracławskim, tenże sam szwadron strzelców, zszedł obywateli Filanowiczów w trzydzieści koni wyruszających do powstania. Mężni młodzieńcy nie tracąc przytomności uderzyli na nieprzyjaciela i odparłszy go, w porządku wykonali odwrót do lasu: Moskale pomścili

się na synach, spaleniem ich chorej matki wraz z całym domem. W lipowieckim druga kobieta, siostra dowódzcy powiatowego, z Zapolskich Padlewska, stała się nie mniej bolesną ofiarą patrjotyzmu. Zacna ta Polka będąc wdową i matką piętnastoletniego syna, chciała własną odwagą i staraniem dopomódz dziecku do spełnienia powinności, którą jak mówiła, nieboszczyk mąż zostawił nie odłączną od dziedzictwa po nim. Zebrawszy więc dwudziestu kilku ludzi, z małoletnim ich naczelnikiem prowadziła do obozu powstańców. Zaskoczona w drodze i schwytana przez Moskali, doświadczyła barbarzyńskiego obejścia się władz rządowych w Lipowcu, gdzie ją trzymając w więzieniu złoczyńców, co piątek smagano rózgami. Te i tym podobne przykłady, naturalnie musiały rzucać postrach na słabe i trwożliwe umysły; powstanie wśród którego wróg pastwił się beskarnie, traciło wielu opóźnionych, albo nie dość śmiałych ochotników. Z czasem wszakże mogło powetować i nagrodzić sobie tę szkodę. Siła z linji rezerwowej korpusów moskiewskich, im więcej rozdzielała się na części, im dalej jej komendy odbiegały od środka, tem bardziej niweczyła się dobrowolnie, tem łacniej było zmasowanym hufcom narodowym kraj swój oprzątać i zdobywać. Prócz wojska w Żytomierzu, Berdyczowie i Machnówce, nieprzyjaciel do zaczepnego użycia nic nie miał. Był w Białej Cerkwi bataljon jedynie dla bespieczeństwa skarbów i osoby hetmanowej Braneckiej postawiony; obwarował się w Tulczynie zbiór rozmaitych szczątków piechoty wynoszący kilkaset ludzi; znajdowały się tu i owdzie drobne komendy piesze, dla asystencji przy naborze albo dla eskortowania rekrutów przeznaczone; ale to wszystko ani wystąpić przeciw powstańcom, ani bronić miast nie mogło. Do sił jakie im mogły być niebespieczne, wypada doliczyć tu z osad wojskowych dywizję ułanów buskich; lecz ta, że nie wspomnę innych przyczyn, dla okropnego zniszczenia podczas ostatniej wojny tureckiej i trudności rychłego uformowania się w pułki, z powodu że naczelnicy zwykli trzymać małą liczbę gotowych koni, nie ważyła znacznie na szali dwóch stron zrywających się do walki. Po rozkazie danym przez władze rządowe wtenczas już gdy na Podolu wszczęły się rozruchy, ledwo zebrało się kilka szwadronów, które nabawiwszy strachu w przyległych okolicach Ukrainy, musiały rozejść się na nieruchome załogi do Zwinogrodu, Humania, Czechrynia i innych miast powiatowych. Najlepszym zaś dowodem słabości Moskali w prowincjach południowych jest to, że feldmarszałek Saken wojenny ich rządca, wcześnie był zalecił, aby na przypadek ogólnego poruszenia kraju, wszelkie oddziały wojska, nie wdając się w żadne gonitwy spieszyły koncentrować się za Dnieprem. Powstanie

więc wybuchając powszechnie i przed upadkiem posiłkowej wyprawy z królestwa, ścigałoby nieprzyjaciela uciekającego do kupy; teraz samo ścigane, skoroby zdołało urosnąć w znaczne szeregi, mogło przeważnie uderzać na jego rozsypane części. Ale przeciw zgromadzającym się szeregom ziemian, dążyły już polowe kolumny moskiewskie. Pozostaje obejrzeć ich moc i położenie.

Trzy korpusy moskiewskie, które czterotysięczny hufiec polski ściągnął na siebie, wynosiły razem kilkanaście tysięcy rozmaitego wojska. W tej liczbie Kajzarów szef sztabu feldmarszałka Sakena, miał 9 bataljonów piechoty skompletowanych w Kijowie dla jenerała Krasowskiego; Rot zaś 4 pułki czyli 16 szwadronów ułanów, i 4 bataljony piechoty, ze stosowną artylerją. Dnia 27 kwietnia, kiedy Dwernicki party przez Rydigera na szerokie bagna u źródeł Zbrucza, wszedł do Galicji, ledwo część kolumny Kajzarowa przywieziona na wozach była już przy Rydigerze, reszta maszerowała gościńcem żytomierskim i dopiero nazajutrz, czy nawet trzeciego dnia dobiegła mety. Podobnież Rot, ani wszystkich swoich sił nie miał w miejscu, ani bezpośrednio nie zetknął się z Rydigerem i Kajzarowem. Wojsko jego w Besarabji stało rozrzucone: spiesznie powołany za Dniestr, ruszył w pochód jednocześnie z wszystkich punktów, i kiedy czołem na kilkanaście mil rozwlekłej kolumny dosięgał wysokości Satanowa, środek jej był jeszcze w Kamieńcu a koniec w Chocimie. Nadto, ponieważ połowa piechoty kwaterowała pierwej w Kiszeniewie, kazał więc jej krótszą drogą przez Bałtę i Olhopól dążyć na północ Podola, gdzie prędzej niżeli nad Zbruczem mógł przewidywać plac działań dla siebie. Ta to właśnie piechota transportowana także na wozach, ukazała się Sobańskim, i w przestrachu wróciła do Bałty. Do niej traf przyłączył 3 szwadrony żandarmów, w ostatecznem wysileniu wszelkich zapasów, pchnięte z Odesy do armji czynnej. Tym sposobem gdy dnia 27 kwietnia i pękł węzeł siły moskiewskie utrzymujący na wodzy, i w obu końcach Podola błysł płomień powstania, nieprzyjaciel mógł najprzód niedociągnione do swego środka ramiona puścić w głąb kraju, posunąć się potem za niemi całą masą. Bądź wszakże skład rzeczy na głównym teatrze wojny, bądź niespokojność jeszcze ze strony Dwernickiego, który za granicą trzy dni miał broń w ręku i otwarte koło siebie pole, bądź nareszcie później obawa nowych posiłków z królestwa albo wtargnień z Galicji, znacznie zahamowały potęgę tak straszną na pierwszy rzut oka. Rydigier zostawiwszy Kajzarowowi diwizję huzarów, i dwa pułki kozaków rozrzucone już po bliższych miastach Wołynia, musiał wkroczyć w województwo lubelskie. Kajzarów nie przedsiębiorąc żadnych kroków zaczepnych,

jakby nie pewien gdzie się mu obrócić wypadnie, rozciągnął się od Buga przez Uściług, Włodzimierz, Łuck, Dubno, Ostrog, Zasław, do Konstantynowa. Rot jeden był nieco wolniejszy w swoich poruszeniach; lecz dla wyżej wspomnionych widoków, trzeba mu było dopełnić linję od Konstantynowa do Dniestra, i zasilić osadę Kamieńca. Z reszty więc szesnastu szwadronów jazdy, dwóch bataljonów piechoty, i sześciu dział, które miał pod ręką, część oddał pod dowództwo jenerała Szeremetjewa, sam zaś wziąwszy ośm szwadronów i cztery działa pośpieszył na południe Podola. Szeremetjew znajdował się w okolicy zaburzonej świeżem wstrząśnieniem, opadłej w niemoc, ale drgającej na wszystkich niemal punktach; Rot biegł w stronę, gdzie wedle wieści bardzo głośnej i powszechnej, rozmagał się gwałtowny pożar. Pierwszy przez to samo że musiał obserwować kilka powiatów, nie mógł utrzymać się w mocnej kolumnie; drugi ponieważ spodziewał się zastać już szeroką część kraju pod bronią, nie mógł rozpraszać się na załogi. Jeśli zatem jenerałowie moskiewscy nie ruszyli od razu sił większych, widać że niezbędna konieczność nie dozwalała im tego uczynić: to bowiem wszystko co za łukiem zakreślonym po wielkim trakcie od Włodzimierza do Kamieńca, było w ruchu, nie odpowiadało potrzebie. Przeciw trzem tysiącom powstańców wewnątrz Podola i Ukrainy, obracało się mało co więcej jak trzy tysiące Moskali. Obie strony długo, można rzec do końca walki, nie miały o sobie nawzajem dokładnej wiedzy: na obszernej przestrzeni, przypadek z początku przynajmniej, rozdawał im stanowiska i nakazywał obroty. Ta niewiadomość i to przypadkowe sił położenie, były zrazu zupełnie na korzyść powstania. Nieprzyjaciel zawsze wyobrażał sobie szeregi ziemian liczniejsze we czwórnasób, stąpał lękliwie jak po gruncie wulkanicznym, nie ufał dosyć w skuteczność swoich środków rządowych; rycerstwo obywatelskie z dziwnem jakiemś zuchwalstwem młodzieńczego zapału, lekceważyło sobie moc nieprzyjaciela, wszędzie bespiecznie stawiło nogę, nie wiedząc o postronnych wypadkach, nie strachając się miejscowych przeszkód, ufało i w siebie i w ducha swoich. Drobniejsze hufce miały niezłomną nadzieję, że wzrosną i zwyciężać poczną; większe, że przez zwycięstwo przyjdą nagle do ogromnego wzrostu. Rachuba tych ostatnich zgodziła się z nakartowanym już stanem rzeczy: los całej sprawy zawisł na ich orężu, a ze zbiegu trafunkowych okoliczności wynikło, iż miały mierzyć się ze słabszym przeciwnikiem. We trzy dni po terminie który w sposób niespodziewany położył koniec organizacyjnym planom powstania, poczęła na zmięszanej szachownicy roztrzygać gra dorywcza i niekompletna.

VI.

Rot ze swemi dwoma pułkami ułanów i czterema działami spiesząc na południe, szedł z okolic Satanowa środkiem całego Podola przez Jarmolińce, Zinków, Wonkowce, Snitków, Szarogród, Dziuryłów, Tomaszpol, Markówkę, i t. d. Dnia 5 maja był w Szarogrodzie.

Szermetjew, 30 kwietnia jeszcze, stanąwszy w punkcie, gdzie trzema dniami pierwej miała zebrać się główna siła wezwanych do broni przez Malinowskiego i Chróściechowskiego, bawił w Michałpolu do 7 maja; później zaś rozstawiwszy w pobliższych miasteczkach swoją piechotę, działa, i część jazdy, z kilku szwadronami posunął się do Zamiechowa.

Pod bokiem tedy niemal załog porzuconych w Jarmolińcach, Zinkowie, Sołodkowcach, formował się oddział Nagórniczewskiego w lasach żeniczkowieckich; nic prócz szwadronu strzelców konnych nie mogło ścigać oddziałów krążących z Kurowskim i Chłopickim; lecz hufiec Stempowskich, prowadzony przez kapitana Marchockiego, wpadł nieszczęśliwie w ręce nieprzyjaciela. Cofnąwszy się od Szarogrodu, gdzie mu zdarzyło się spotkać Rota, przybył do Strużki właśnie, kiedy o milę stamtąd Szermetjew znajdował się w Zamiechowie.

Dnia 10 maja, powstańcy uszczyccy zaledwo wróciwszy na miejsce, które było ich gniazdem, wzięli się czynnie do wzmocnienia sił swoich i poruszenia powiatu. Marszałek Stempowski pewnym będąc, że owe straszne wojska moskiewskie, o których wszędzie słyszał po drodze, przeciągnęły w powiat hajsyński i znajdą tam, jak również wieść głosiła, ogromne zastępy, mniemał mieć najlepszą porę do rozwinięcia dawniej układnych planów: rozesłał tajemnych gońców do obywatcli, donosząc im o swojem przybyciu, i wzywając aby teraz gdy nic nie przeszkadza, spełnili zawieszone obowiąski. Tymczasem zbrojny hufiec krzątał się koło naprawy rynsztunku i opatrzenia koni zepsutych w kilkudziesiąt-milowej wędrówce. Cisnący się z radością do dworu ożywionego powrotem dziedziców lud wiejski, poczęto uzbrajać w kosy. Wśród tych pełnych zapału i nadziei robót, o godzinie 3 po popołudniu pikieta dała znak, że się nieprzyjaciel zbliża. Ujrzano zaraz w znacznej odległości szwadron jazdy moskiewskiej postępujący zwolna drogą, która go wiodła w przesmyk między rowy, płoty i zabudowania gospodarskie. Marszałek radził przejście to osadzić strzelcami, a wybór konnych skryć z boku za górą, aby gdy nieprzyjaciel pomięsza się od ognia zasadzki, skuteczniej nań uderzyć. Kapitan Marchocki nie

podzielał tego zdania, chciał mieć lepszy plac dla swojej jazdy w otwartem polu; wziąwszy więc połowę oddziału, poszedł za rzekę Strużkę, i na lewym jej brzegu czekał Moskali będących jeszcze o wiorstę. Reszta nie wiedząc jak się obrócić, ciągnęła śladem dowódzcy i połączyła się z nim na wzgórzu, gdy już pierwszy szwadron ułanów rozpoczynał utarczkę, a za nim dał się widzieć i drugi. Pozostawało zatem myśleć tylko o porządnym odwrocie. Moskale usiłowali współcześnie i przeciąć drogę do lasu, i wykonać atak. Powstańcy dają najprzód ognia, kładą trupem majora, kilku żołnierzy i kilka koni; a gdy pluton co zachodził im z boku, cofnął się dla zasłonienia pierzchających, pozyskali dosyć czasu dopaść bespiecznego schronienia.

Nieprzyjaciel mając samą jazdę, nie mógł zapuszczać się w ciasne i nieznajome manowce; byłby tego dnia musiał poprzestać na schwytaniu jednej nieszczęśliwej ofiary. Chorąży dawnych wojsk polskich Sułkowski, nie czując się zdolnym znosić dłużej trudów wojennych, na parę godzin przed utarczką pożegnał towarzyszy i wracał do domu. Ułani spotkawszy bezbronnego starca, zakrwawili na nim tylko swoje lance i pałasze. Prócz niego też, który resztę życia miał wyzionąć w lochach Kamieńca, nie pojmali na razie nikogo. Ale trwoga i nieroztropność, gotowały już innych męczenników w skutek tej wyprawy.

Popłoch opanował i rozproszył po lesie niedoświadczoną drużynę. Dowódzca nie przewidywał takiej rozsypki, nie uprzedził jej żadną ostrożnością, nie naznaczył punktu zbierania się na przypadek przegranej, co w każdem przedsięwzięciu z ruchawką, koniecznie jest potrzebne. Skoro więc dwóch czy trzech trwożliwszych, rzuciło broń i poczęło uciekać, wszyscy niemal poszli za tym przykładem. Ledwo kilkanaście koni zebrał i uprowadził Monjuszko.

Moskale opatrzywszy się jak się rzecz miała, sprowadzili piechotę, spędzili gromady włościan, i obławą przetrząsali okoliczne lasy. Upolowano tym sposobem kilku tułaczy, innych dośledzono w domach. Marszałek Stempowski mając ranionego konia, odbłąkał się także i trafił był do pasieki pewnego sąsiada, który jako związkowy i nawet jeden z siedmiu członków junty, zdawał mu się godnym zupełnego zaufania: posłał więc do niego pasiecznika z prośbą o pomoc. Posłaniec bądź z własnego instynktu, bądź ze słów przerażonego pana, powziął myśl, uwolnić jego i siebie od kłopotu; poszedł do Zamiechowa i wydał tajemnicę jenerałowi moskiewskiemu. Wkrótce odkomenderowany oddział wojska, przyprowadził tu skrępowanego jeńca. Szeremetjew zgromił sołdactwo za surowe obejście się z czcigodnym obywatelem, kazał go natychmiast uwolnić z więzów, i o ile tylko mógł

pogodzić katowską powinność sługi carskiego z uczuciami szlachetnego człowieka, starał się mu osłodzić okropną dolę: pozwolił żonie przyjechać do nieszczęśliwego męża i oddawszy pod lekką straż, wyprawił oboje do Kamieńca. W komitecie zajmującym się wybadywaniem i sądzeniem licznych już ofiar patrjotyzmu, nie było litości; nie było też innego środka chyba pieniędzmi okupić powolność dla jawnego przestępcy. Ten na którego sumieniu ciążyło, że przez obojętność, albo nikczemne tchórzostwo opuścił rodaka, współobywatela, sąsiada, kiedy łatwo mógł go zabespieczyć, chciał teraz przynieść mu pomoc w sposób odpowiedni swemu tylko charakterowi. Usiłował tak rzecz nakierować, aby komitet śledzczy uznał Stempowskiego za pomięszanego na umyśle, a potem w skutek tego wyroku pozyskać dlań w Petersburgu przebaczenie winy. Stempowski ze wzgardą odrzucił upadlający wybieg; zacne swoje poświęcenie się, zapieczętował mężną rezygnacją i nie ugiętą wytrwałością, w obliczu chytrych czynowników moskiewskich, wśród niezliczonych męczarni więzienia najprzód w Kamieńcu, później w Żytomierzu. Z barłogu zgniłej słomy, z ciemnej celi klasztoru OO. Bernardynów, ostateczny dekret wojennego sądu, kazał go prowadzić na rusztowanie, łaska Mikołaja przedłużyła mu drogę do śmierci, chciała żeby zaniósł swoje kości w głąb kopalni Nerczyńska. W kilka tygodni od chwili, kiedy siadając na koń kmiotków swoich obdarzał wolnością, pierwszy powstaniec Podola, przykuty łańcuchem do kryminalnego zbrodniarza, w odzieży wiecznego niewolnika, z głową i brodą ogoloną do połowy, szedł pod strażą tych, których nie zawiedzione i nie zepsute powstanie jednym zamachem zmieść miało. Bóg ulitował się nad cnotliwym mężem, zesłał mu zbawcę w osobie przyjaciela, kapłana. Niegdyś pleban w Uszycy, później zakonnik Kapucyn, ksiądz Trankwilian Romanowski, znajdując się w Kijowie, gdy przechodziła partja więźniów z marszałkiem Stempowskim, potrafił go wykraść i uwieść do Galicji.

Z towarzyszy broni zastał tu on, albo doczekał się po różnych kolejach przybyłych, swego brata Wincentego, Majera, Bandrowskiego i obu Monjuszków.

VII.

Kiedy Szeremetjew niszczył zawiązek powstania w powiecie uszyckim, Rot tegoż czasu dobiegał do stanowiska siły zbrojnej powiatów południowych.

Dnia 10 maja ku wieczorowi, dwa szwadrony ułanów uka-

zały się na prawym brzegu Boha przeciw Krasnosiołki. Było to zjawisko bynajmniej niespodziewane dla powstańców. Obóz w liczbie swoich wszelakiego rodzaju porządków, miał wydział szpiegostwa, miał bogatą kasę, najbardziej może przydatną na ten przedmiot godzien hojnego szafunku. Ale jak pierwej organizacja spisku szła sobie na oślep nie wiedząc co się około niej działo, tak teraz organizacja pod bronią, nie potrafiła wynaleźć środków oświecania się w szczuplejszym okręgu. Dziwno też, iż autorament wojskowy z Kościuszkowskich, Napoleońskich i Konstantynowskich czasów powołany do czynności, zaniedbał najpospolitszych prawideł służby polowej. Patrole prawie nie sięgały za łańcuch widet, w zwiady ani przednie straże nie były nawet posunięte na drogę zamierzoną dla korpusu. Ponieważ różne pogłoski naniosły do obozu tłum wieści, z których zdawało się że Dwernicki nie tylko nie upadł, ale nawet jest pod Kamieńcem, a w powiecie latyczowskim i przyległych, rozwinęło się silne powstanie, jenerał Kołyszko umyślił ciągnąć w północne okolice Podola. Ukazanie się ułanów moskiewskich pomięszało wszystko.

Boh pod Krasnosiołką ma szerokości ledwo 120 łokci. Moskale poczęli flankierować, powstańcy odpowiadali im strzałami. Broń myśliwska natychmiast wzięła przewagę: padło kilku żołnierzy nieprzyjacielskich. Zapał porywał ochotników, spodziewających się że cała siła rzuci się natychmiast przez wodę. Aleksander Jełowicki z drugim młodym obywatelem pobiegł na prom, z oddartych deszczek pokładu kazał złożyć na statku zasłonę, i tak ukryty zamierzał z garstką pieszych, przodkować w przeprawie. Nim to nastąpić mogło, naczelnicy improwizowanej fregaty powstańskiej, bawili się próbą donośności swoich dubeltówek. W tem, prosto naprzeciw nich zbliża się do brzegu wyższy oficer moskiewski z adjutantem, i w gniewie głośno pyta ułanów: «skąd te psy strzelają do was?» — Dwie kule z promu poniosły odpowiedź, i dwa konie oficerskie bez jeźdzców wierzgnęły z miejsca. Flankiery nieprzyjacielskie cofnęły się zaraz, obóz powstania usunął się już był na odległe od rzeki wzgórze, i jenerał kazał odwołać strzelców. Noc zapadła i przminęła spokojnie.

O świtaniu 11 maja, Kołyszko ruszył w pochód ku granicom Ukrainy. Uszykowane szwadrony i oddział piechoty szły w pięknym porządku. Ilekroć w marszu podała się zręczność, jenerał kazał robić rozmaite ewolucje, które wykonywano z radującą i wodza i samychże podwładnych sprawnością. Szef sztabu pełnił swoje obowiąski czynnie i gorliwie, nie zaniedbując drobnostek nawet militarnego pedantyzmu. Kontrola była utrzymana ściśle, rozkazy dzienne

wychodziły na piśmie: w nich ogłaszano dla przykładu i kary jeśli kto zasłużył na pochwałę lub naganę. Wypoczynki, furażowania, noclegi, odbywały się porządnie. Subordynacja jednak nie nader wiele dokazać mogła. Łagodny wódz perswadował towarzyszom broni żeby pozbyli się swoich wozów obciążających kolumnę, przekładał im jakie stąd zawady i niebespieczeństwa wynikać zwykły. Szlachta oburzała się na propozycję rozstania się z ostatkiem swojej własności: każdy mówił że poświęciwszy wszystko dla ojczyzny, ma przynajmniej prawo zachować sobie to bez czego obchodzić się nie przywykł. Prócz tedy furgonów z kasą, amunicją, apteką, i dalszemi potrzebami dla korpusu, ciągnął długi szereg rozmaitego rodzaju bryczek, koczów, i wozów, ładownych sprzętem kuchennym, naczyniem stołowem, i wszelaką zbytkową ruchomością. Rozciągłość taboru pomnażała jeszcze nie mała liczba koni powodowych i nie zbrojnej służby.

Imponujący orszak wzniecał wszędzie zdumienie i radość w mieszkańcach, lecz przechodząc szybko nie wielu zagarniał ochotników; zostawiał tylko po sobie korzystną pogłoskę o siłach daleko ogromniejszych niżeli miał istotnie.

Przenocowawszy pod Ziatkowcami nie daleko miasteczka Kublicza, powstanie podolskie zmierzało prosto do Granowa, dóbr ks. Czartoryskiego w powiecie hajsyńskim, gdzie spodziewano się znacznych zasiłków w ludziach i koniach, a razem bliższej komunikacji z powstaniem Ukrainy. Tym sposobem, wszystkie oddziały szukające się nawzajem, poczęły spotykać się i łączyć prędzej, niż każdy z nich mógł sobie obiecywać.

Przed Granowem jeszcze, Podolanie ujrzeli najprzód hufiec bracławski, kilkadziesiąt koni pod dowództwem J*** S*** młodego i majętnego obywatela; wkrótce potem powitał ich Włodzimierz Potocki prowadzący z Daszowa szwadron jazdy i 60 strzelców. Kołyszko przeszedłszy miasteczko Granów, stanął obozem i czekał na główny oddział Ukraińców.

Poruszenia różnych części powstania obudzonego w terminie ostatnim, tak były zgodne, że właśnie 10 maja Jan Zapolski wyprowadził swoich ze Skały, a maszerując na Żywotów i Łukaszówkę, nazajutrz już spotykał ciągle ze wszech stron oddziałki dążące ku niemu. Przyłączyli się najprzód obywatele powiatu taraszczańskiego, Tadeusz Iwaszkiewicz i Piotr Kopczyński, którego poświęcenie się i ścisłość w dopełnieniu obowiąsków powstańca, wznieciły miłe uczucia w sercach zbrojnych współobywateli. Od dawna słaby na zdrowiu, opuszczając rodzinę i dostatki żeby osobą swoją wypłacić dług ojczyznie, zwołał on pierwej gromady włościan i formalnym aktem zaręczywszy im wolność, a zobowiązawszy wzajemnie do walki przeciw Moskalom, stwierdził pismo

zobopólną przysięgą w cerkwi. Wkrótce potem, nadbiegli z dowódzcą swoim Franciszkiem Łozińskiem obywatele powiatu humańskiego Krechowiecki, Dzierżański i inni. — Czarkowscy zaś, Swięcki i dalsi z tegoż powiatu złożywszy osobny hufiec, byli już także w drodze. Między Żywotowem a Łukaszówką jeszcze, zabrano we wsi Stadnicy, 180 rekrutów prowadzonych z gubernji charkowskiej. Oficer eskorty został jeńcem, żołnierzy puszczono wolno, obdarzywszy pieniędzmi, rekruci zaś przyrzekli służyć sprawie polskiej i ochoczo szli za oddziałem pókiby zdarzyła się okoliczność broń dostać. Oddział Ukraiński przeto wzrósł do liczby przeszło 300 jezdnych podzielonych na cztery szwadrony, miał kompanijkę piechoty zbrojoną w karabiny i strzelby myśliwskie, wiódł stu kilkudziesiąt ludzi zdolnych do oręża. Lecz ponieważ większa część patrjotów z humańskiego, albo już była w obozie, albo lada moment miała nadciągnąć, pochód w tę stronę mógł obiecywać tylko prędszą niż gdzie indziej potyczkę z nieprzyjacielem, a nie większą łatwość pomnożenia szeregów. Nadto kapitan Wiwien, ostatni emisarjusz Tyszkiewicza do Dwernickiego, wracając z Galicji przybył do Łukaszówki i uwiadomił o smutnym końcu spodziewanego w pomoc korpusu. Uradzono więc nie iść już ku Humaniowi, ale zmierzać na Podole do jenerała Kołyszki. Orszak ukraiński nic nie wiedząc o obrotach Podolan, skierował się wprost na ich spotkanie i 12 maja nocował we wsi Lewuchach o pół mili od Granowa; pozostały hufiec obywateli humańskich szukając swoich trafił do tegoż punktu: cała niemal siła zbrojna dwóch województw spojonych zmową, bez rozkazów i porozumień się wzajemnych znalazła się w jednem miejscu. Radość stąd była wielka!

Dnia 13 maja rano, najprzód oddział humański, potem zastęp połączonych sił Ukrainy, stanęły w obozie Podolan za Granowem. Każde zejście się powstańców było dla nich powodem nie wypowiedzianego wesela. Żołnierze jednego monarchy, gdy się spotykają na wspólnem polu niebespieczeństw i sławy, nieznajomi sobie, częstokroć różni rodem i mową, witają się z uniesieniem jak bracia; cóż dopiero musiało dziać się w szeregach, gdzie nie mundur z mundurem, numer z numerem, ale w nowym stroju wojownika poznawał się rzeczywiście brat z bratem? Cała Polska była niegdyś jednym domem wielkiej rodziny: w rozerwanych jej częściach zachowały się jeszcze te ścisłe węzły domowego pożycia, które rozległym prowincjom nadają jakiś kształt skupionego sąsiedztwa: rzadko tu między współobywatelami zdarzy się twarz obca, niesłyszane nazwisko; znajomych panów znają się i słudzy. Teraz tylu towarzyszy szkolnych, kolegów w urzędach, przyjaciół, krewnych, powinowatych,

z dalekich stron zbiegało się razem, jakby na popis kto z nich potrafił najlepiej odpowiedzieć wezwaniu powstającej matki Ojczyzny! Wzajemna ciekawość wytężała wzrok zbliżających się do siebie różnobarwnych hufców: pewien rodzaj szlachetnej dumy podniecał w nich zawiść pierwszeństwa z dzielności koni, porządku szeregów i dostatku oręża — aż nakoniec oczy jednych i drugich zabiegły łzą mimowolną, uśmiech serdeczny rozpędził na czołach zmarszczki surowej powagi, radość wyrwała wszystkim z piersi głos powszechnego wzruszenia. Połączenie się z korpusem ostatniego oddziału, odbyło się w sposób uroczysty. Podolanie czekając w miejscu na przyjęcie chorągwi kijowskiej, z roskoszą przyglądali się foremnym jej szeregom; Ukraińcy postępując w szyku bojowym, z pełnem pociechy zadumieniem widzieli przed sobą niezmierny tabor rozsypany po szerokiej płaszczyznie: za każdym krokiem co zbliżał niecierpliwych podać sobie dłoń uzbrojoną dla wspólnej sprawy, w obu stronach rosło uczucie własnej potęgi, zapał wzmagał się i czarownym blaskiem ozłacał wspólne nadzieje. Skoro nowoprzybyli, uszykowawszy się w czworobok koło sędziwego wodza, który ze swoim orszakiem wystąpił przeciw nim z namiotu, złożyli mu przysięgę posłuszeństwa, wybuchnął na wszystkich punktach grzmot okrzyków: niech żyje Ojczyzna! niech żyje jenerał Kołyszko! — Świat natenczas mógł walić się z posad, złączeni powstańcy Ukrainy i Podola ufaliby jeszcze że go dźwigną swoją mocą!

Był to istotnie moment godzien największych wytężeń uczucia i myśli. Z obszernej przestrzeni kraju, zaledwo podnoszące się jego siły, zlały się już w jedniuteńkie ognisko. Każda ich cząstka zabrała z sobą treść ducha, znaczny zapas materjalnych środków, i całą stawkę przyszłej doli swego okręgu, powiatu, województwa. Wszystkie w przeciągu dni kilku różnemi promieniami jak błyskawice przeciąwszy nadbożańskie równiny, zamknęły się w jeden obóz, żeby z niego, wstrząśnionej, owdowiałej, oczekującej rozstrzygnienia niepewnych losów ziemi swojej, rzucić odrazu wieniec zwycięstwa, albo całun żałoby. Na tej żyznej ziemi, gdzie trawy i zboża wyciekają tak bujnie, zdaje się że i wypadki rzeczy ludzkich muszą rozwiązywać się gwałtownym pędem. Jutro miało spożyć owoc, który pod świeżem jeszcze kwieciem, dochodził w pełnię i dojrzewał dzisiaj! Mogliście dzielni bracia powstańcy ufać bespiecznie waszym siłom, oddawać się swobodnie radości serc mężnych i gotowych na wszystko: byliście w dwójnasób liczniejsi od nieprzyjaciela czychającego na was, a później o dwakroć słabsi znosiliście jego szeregi; ale tobie stary towarzyszu Kościuszki, i każdemu co koło ciebie zasiadł u steru, nie godziło się niedbale

polegać na łasce losu, bez ostrożności i rozmysłu przepuszczać godziny!

Korpus powstania podolsko-ukraińskiego liczył teraz 2500 ludzi zbrojnych, miał kilkuset którym brakowało oręża, i przeszło 200 wybornych koni bez siodeł. W kasie jego było 900,000 złotych rublami, co tak obciążało cztery bryki, iż więcej już datków w srebrze nie chciano przyjmować. Jazda składała 17 szwadronów, zdolnych przy stosownem użyciu, mierzyć się z regularnem wojskiem; piechota formowała nie mniej przydatne dwie kompanje strzelców opatrzonych w najlepszą broń myśliwską, po części w karabiny z bagnetami, a zresztą w kosy. Jedno działo osadzone na wasągu od kocza, i dwie wiwatówki, stanowiły artylerję, błahą zapewne gdyby przyszło zatoczyć ją przeciw baterji moskiewskiej, ale nie dopogardzenia w drobniejszych utarczkach, a szczególnie szacowną z tego względu, że dodawała otuchy nowotnym żołnierzom. Cóż z tem wszystkiem jenerał Kołyszko zamierzał czynić, gdzie się udać, czego doczekać? — Dwa pewniki wyjaśniały mu dostatecznie jego położenie. Wiedział że nieprzyjaciela zostawił za sobą, i musiał dowiedzieć się teraz od Ukraińców objaśnionych przez Wiwiena, że Dwernicki broń złożył, ani więc o spokojnem obozowaniu dla organizacji i werbunku, ani o marszu bez zaczepnych działań myśleć nie należało. Zdaje się jednak iż równie wodza jak podwładnych, ogarnął niepojęty jakiś zapęd entuzjazmu: wszyscy stracili z pamięci i nieprzyjaciela i fatalny koniec posiłkowej wyprawy; nie troszcząc się bynajmniej wiele było Moskali, gdzie się obracają, polegając zupełnie na własnych siłach, bezustanku zajmowali się tylko jakby pomnożyć swoje szeregi, jakby swoim zapałem, zapał powszechny obudzić.

Przez całą dobę nim nadciągnął oddział Ukraińców, Podolanie czynili w tej mierze troskliwe zabiegi. Ustęp ten propagacyjnych usiłowań wśród napiętych i bliskich już katastrofy wypadków orężnych, podobny do pięknego snu niedoświadczonych żeglarzy na wątłej łodzi bez kompasu szukających lądu, maluje dobitnie młodzieńczą odwagę i nieopatrzność powstania: umieszczam go jak jest w pamiętniku Aleksandra Jełowickiego.

«Dobra Granów sławne ze swoich kozaków, zawierają kilka tysięcy ludności bardzo przywiązanej do swego dziedzica ks. Czartoryskiego, z powodu łagodnych jego rządów; a pogłoska rozsiana między ludem, jakoby książe został królem polskim, bardzo przyjemne robiła wrażenie na włościanach całej okolicy. Umyśliliśmy przeto korzystając z tak przyjaznych okoliczności, w Granowie rozpocząć pospolite ruszenie chłopów. Rządca dóbr granowskich, jeszcze na

kilka dni przed naszem powstaniem otrzymał był ode mnie rozkaz, aby wszystko przygotował do tego celu, i lubo ozięble, przyrzekł jednak uczynić mu zadość. Mogliśmy więc obiecywać sobie pomyślne skutki. — Przyjęto nas tutaj podobnie jak wszędy kędyśmy przechodzili, z oznakami powszechnej radości: obóz nasz roztasowany szeroko, pełen zbrojnej rzeszy i bagażów, nadawał naszym siłom postać poważną, a tem groźniejszą, że mając już jedno działo osadzone na spodzie od naszego wiedeńskiego kocza, rano i wieczór dawaliśmy sygnał, po którym następowały długie okrzyki naszych żołnierzy. To samo żeśmy się już znajdowali w Granowie, zdawało się nam pewnym rodzajem tyumfu: spodziewaliśmy się wnet ujrzeć masy ludu spieszące do nas. Ale jakież było nasze zadziwienie, kiedyśmy spostrzegli, że pan rządca rodem Francuz, a nazwiskiem De l'Arbre, istotnie człowiek jakby z drzewa, głuchy był na głos nie swojej ojczyzny. Nie tylko żadnych posiłków dla powstania nie przysposobił, lecz nawet furażu dać nie chciał, dopókiśmy nie wydali mu stosownych rozkazów pod karą śmierci. Na wszelkie wyrzuty z naszej strony, odpowiadał krótko: «moja ojczyzna — to żona i dzieci! «Łatwo przeto pojąć jakiego zawodu doznaliśmy w oczekiwaniach naszych: nie zastaliśmy najmniejszych przygotowań, owszem wszystko w jakiemś otrętwieniu z powodu szkodliwego wpływu rządzcy, którego wszakże nie pozbyliśmy się jak może wypadało; a żeśmy go pod strażą trzymać, i po nieprzyjacielsku traktować musieli, zrażaliśmy tylko tych, co w jego osobie przyzwyczajeni byli widzieć tłumacza woli samego książęcia.»

«Te niespodziane trudności to sprawiły, że dopiero nazajutrz po naszem przybyciu do Granowa, już na własne wezwanie nasze, zebrały się gromady włościan ze swoimi popami. Uwiadomiony o tem, udałem się do nich w towarzystwie kilkudziesiąt obywateli na czele szwadronu złożonego z samych chłopów. — Oto widzicie swoich synów — rzekłem — zapytajcie ich czy z dobrej ochoty za broń chwycili? (Cały szwadron energicznym okrzykiem dał świadectwo prawdzie.) Oto są ludzie — mówiłem dalej — już wolni, już na zawsze równi dawnym panom swoim. My i wam wolność przynosim: będziecie wolni od ucisków którycheście dotąd pod jarzmem moskiewskiem doznawać musieli; będziecie wolni od pańszczyzny, od rekruta; ziemia którą na siebie uprawiacie będzie własnością waszą; dzieci wasze, aby się tylko uczyć chciały, będą mogły być urzędnikami, oficerami; będziecie podlegali jednym co i my prawom, będziecie Polakami. Ojcowie wasi powiadają że im było dobrze za Polski, wam teraz będzie sto razy lepiej. Panowie wasi dawno chcieli waszego szczęścia, ale im car tego zrobić nie pozwalał;

bo car znaczy nie to co Bóg, ale znaczy to co czort (djabeł). On jak sami widzieliście, wielu panów którzy chcieli waszej wolności, męczył i na Sybir powysyłał. Ale Bóg zmiłował się nad panami i nad wami. Polacy wypędzili cara rosyjskiego, który nazywał się królem polskim, i mają teraz swojego króla: wiecie że książe jest królem polskim, wiecie że car posłał do Polski na wojnę wszystkie swoje wojska: widzieliście jak szły, ale nie będziecie widzieli jak będą powracały; bo połowa ich już zginęła, a druga połowa zginie! Bóg błogosławi dobrej sprawie; Bóg kazał bić się za wolność, a kto się nie bije za wolność kiedy się drudzy biją, ten nigdy wolnym nie będzie. Wszakże wolno nam było was uciskać i co chcąc robić z wami; wszakżeśmy z pracy rąk waszych byli bogaci i zawsze bogaci być mogli; a jednak porzuciliśmy nasze domy i dostatki, ażeby was wyswobodzić, ażeby wam wrócić te prawa wolności, które Bóg dał, a car odebrał. Gotowi jesteśmy, chcemy zginąć za ojczyznę i za wspólną z wami wolność; ale sami nie potrafimy utrzymać swobody którą wam dajemy; wy jej także bronić musicie jeśli chcecie dzieciom waszym zostawić wolność, dostatki i szczęście. Chodźcież z nami tak jak już poszli ci synowie wasi! My was poprowadzim do zwycięstwa i razem wszyscy powrócim dziękować Bogu, że nam dopomógł wypędzić czorta!»

«Na tę moję mowę ożywioną obrazami ich nędzy i niewolnictwa, chłopi nie mogli wstrzymać się od płaczu: przerywali mię ciągłemi błogosławieństwami, a zakończyli najuroczystszem oświadczeniem, że wszystkich swoich synów nam przyszlą, że byliby ich z sobą przywiedli, gdyby rządca był ich pierwej o powstaniu uprzedził.»

«Przytomni popi ze skruchą słuchali moich słów, po czem przeczytałem im odezwę do duchowieństwa greckiego dawniej już napisaną i rozesłaną; a powtórzywszy wyrażone w niej zaręczenia że nie tylko religja ich będzie szanowana, lecz (o co głównie im chodziło) probostwa będą lepiej opatrzone, dodałem że nieprzychylność ku Polsce mogłaby im wyjść bardzo na złe. Popi nie mieli powiek zroszonych łzami, ale chcąc nie chcąc hojnie oblewali nas kropidłami.»

«Po tej popularnej i liberalnej scenie, wróciłem do obozu, zostawiając za sobą długo gwarzący z uniesieniem tłum poczciwych kmiotków. Tego samego wieczora, stawiło się w obozie kilkunastu młodych włościan i wnet przybyli prawie wszyscy kozacy folwarczni. Nazajutrz poczęło zbierać się więcej ochotników, i gdybyśmy mogli dłużej zabawić na miejscu, albo rozgospodarować się w okolicy, siły nasze byłyby się znacznie pomnożyły; przyszłoby może nawet do po-

spolitego ruszenia, do którego nic nam nie brakowało jak tylko pierwszego zwycięstwa. Tego los nam pozazdrościł!

Ponieważ niepomyślność propagandy w Granowszczyznie, wynikała z okoliczności miejscowych, naczelnictwo zbrojnego korpusu nie zrażając się bynajmniej, szukało tylko lepszego punktu dla swoich działań werbunkowo - organizacyjnych. Ułożono posunąć się o dwie mile wyżej w kierunku równoległym do koryta Boha, obrać mocne stanowisko przy Daszowie, i zabawić tu czas niejaki celem rozniecenia wojny narodowej w całej okolicy. Na pół drogi z Granowa do zamierzonego kresu, leży wieś Grodek; tuż za tą wsią przechodzi się granicę Podola: Daszów nad rzeką Sobem, jest już w gubernji kijowskiej. Powstanie więc podolsko-ukraińskie obie prowincje swoje mogło mieć pod ręką. Dobra daszowskie z attynencjami zawierają do 10,000 mieszkańców; właściciel ich Włodzimierz syn Włodzimierza Potocki, z hufcem uzbrojonym na prędce, był już w obozie; wszystkich oficjalistów i sług jego ogarniał dziedziczny w tym domu patrjotyzm, zagrzewał przykład młodego pana; nigdzie przeto pierwsza próba pospolitego ruszenia nie mogła udać się łatwiej. Nadto pozycja Daszowa obiecywała obronne stanowisko dla taboru, i wyborne pole dla jazdy w razie zaczepki przez nieprzyjaciela.

O tym nieprzyjacielu tylko wiedziano i myślano najmniej. Ostatnia noc pod Granowem przeszła już niespokojnie: na różnych brzegach obozu wszczynały się alarmy; ale skoro dzień zaświtał i nigdzie nie było widać Moskala, przypisano rozruchy fałszywemu popłochowi, nikt nie zadał sobie trudu śledzić pilnie ich przyczyny, dowódzcy i podwładni mniemali się być zupełnie bespiecznymi.

Rano 14 maja, jenerał Kołyszko wydał rozkazy do marszu: Włodzimierza Potockiego wysłał najprzód żeby uczynił potrzebne przygotowania u siebie; Edwardowi Jełowickiemu, jako byłemu uczniowi szkoły inżynierów w Wiedniu, polecił wybrać miejsce i wytknąć obozowisko nie daleko Daszowa; szwadronowi Rzewuskiego pod dowództwam kapitana Skurata, kazał udać się jeszcze wstecz za Granów do wsi Lewuch, gdzie znajdowały się stajnie ks. Czartoryskiego, dla zabrania zdatnych koni i kozaków; a sam na czele korpusu o godzinie 11 przed południem ruszył w pochód.

W drodze spotkali orszak wodza i reprezentantów powstania emisarjusze, o których posłannictwie naoczny świadek A. Jełowicki, pisze następnie.

«Pod wsią Grodkiem przybyli do nas dwaj oficjaliści z dóbr pani Braneckiej, nie słusznie nazywającej się Branicką, a sławnej z ogromnych bogactw, tyraństwa nad włościanami i nienawiści ku Polakom, jak jej mąż hetman

sławny jest z zaprzedania Polski. Hetmanowa wielekroć potrafiła dać niepospolite dowody przywiązania do carów moskiewskich, za co pozyskała u nich tytuł ciotki. Pod czas wojny Rosji z Francją i później z Turcją, czyniła znaczne ofiary pieniężne; po wybuchnieniu rewolucji w Warszawie, przesłała Mikołajowi na koszta wojny 2,000,000 zł. W nagrodę tej ostatniej przysługi miała co dzień kurjera z głównej kwatery Dybicza, i bataljon piechoty odkomenderowany umyślnie do strzeżenia jej skarbów. W niedostatku komunikacji między prowincjami a królestwem, Branecka była dla całej okolicy barometrem powodzenia naszej sprawy: jak tylko Dybicz poskarżył się że dostał w skórę, zaraz baba mdlała i konała. Nienawiść, którą zgrzybiała przyjaciołka tronu i despotyzmu moskiewskiego tchnęła ku nam, znajdowała słuszną odpłatę w nienawiści powszechnej. Rządcy i wszyscy użyci do administracji w jej majątkach, byli dobrymi Polakami, a chłopi mianowicie w Stawiszczyznie, często już dawniej buntowali się przeciw nieludzkiej ciemiężycielce tak dalece, że do uciszenia ich musiano nieraz wzywać siły wojskowej. Przy tych okolicznościach, nigdzie na Ukrainie nie nastręczało się więcej materjałów do rozwinięcia ogólnego powstania, jak w dobrach Braneckiej, mających kilkadziesiąt mil kwadratowych ziemi i kilkadziesiąt tysięcy ludności. Zbuntowanie Białocerkiewszczyzny grało zawsze wielką rolę w naszych powstańskich widokach i planach. Właśnie zbliżając się teraz w tę stronę, mieliśmy z Daszowa wysłać kilkaset koni do Białej-cerkwi, kiedy emisarjusze przybywający z prośbą o to, trafili się nam na rękę. Oświadczali oni że wszyscy oficjaliści i szlachta w całej Białocerkiewszczyznie czekają tylko na rozkaz do powstania, że są opatrzeni w broń i amunicję, a przeszło trzysta młodzieży przygotowało już sobie na mundury kurtki granatowe z amarantem; że chłopi ruszą się masami; że znajdziemy w kasie trzy miljony gotówką; że prócz załogi przy pałacu nie masz nigdzie blisko nieprzyjaciela, i dwa lub trzy szwadrony nasze dadzą dostateczną pomoc oczekującym hasła, zdobędą wszystko. Powiernicy przysłani od Białocerkwian, mieli być razem przewodnikami dla oddziału przeznaczonego na tę wyprawę, wymagającą nie więcej jak dwóch sporych marszów; za prawdę zaś wszystkiego co powiadali i za pomyślne skutki wyprawy, ręczyli swojemi głowami, oddawali się na zakładników.»

W zamiarach tedy poruszenia własnego kraju, otwierały się korpusowi zbrojnych ziemian co raz dalsze i bujniejsze widoki. Nie były one mamidłem zwodniczych nadziei. Pobyt kilkudniowy w Daszowie i wycieczka do Białejcerkwi, niewątpliwie przyniosłyby najpożądańsze owoce. Ale krótki

czas, którym powstanie bez dobycia oręża rozrządzać mogło, szafowany hojnie i nieopatrznie, wyczerpywał się do dna: para chwil ledwo osłaniało jeszcze przyszłość zupełnie zawisłą od rozprawy o nią w boju, od zwycięstwa! Nad taborem posuwającym się niedbale i spokojnie, brzmiał już w powietrzu niewyraźny hałas wszczętej gdzieś daleko zamieszki, jakby szmer sprężyn fatalnego zegaru który natężał się wybić niespodziewaną godzinę walki.

Jenerał Kołyszko po rozmowie z emisarjuszami, uradził w marszu, posłać nazajutrz sześć szwadronów do Białejcerkwi. Kazał potem wojsku ciągnąć prosto, a sam ze sztabem udawszy się w prawo dla obejrzenia pozycji, okrążył Daszów i pierwszy stanął w obozowisku wytkniętem przez Edwarda Jełowickiego, które uznał za bardzo dogodne. Rzeka Sob rozlana w staw szeroki przecina miasteczko na dwie połowy. Część na prawej stronie nazywa się starym, a część na lewej nowym Daszowem. Przyjeżdżając od Grodka wjeżdża się na rynek Nowego Daszowa, z którego jedna ulica prowadzi prosto na groblę i most u południowego końca stawu, druga idąc równolegle wstecz koryta Sobu, przedłuża się w drogę do Białejcerkwi. Drogę tę przecina mały strumień przybiegający od lasu, za którym ciągnie się sławny pochodami Tatarów Szlak Czarny. W trójkącie między drogą do Białejcerkwi, strumieniem i Szlakiem Czarnym, na prawo od Daszowa przed Sobem, był obóz wyznaczony przez Jełowickiego. Trzy szwadrony przeszedłszy miasteczko, znajdowały się już na obranym placu, reszta kolumny zajmowała milę drogi między Daszowem a Grodkiem. Hufce zbrojne szły poprzedzielane od przypadku natłokiem zawad: bryki z pieniędzmi, karety przeznaczone na ambulanse łazaretowe, furgony podwożące warsztaty kowali, rymarzy i innych rzemieślników, tabuny luźnych koni, nieźliczone mnóstwo korpusowych i prywatnych bagażów, kompanja strzelców i piesza gromada zabranych rekrutów, wszystko to wśród migających się chorągiewek jazdy, niezmiernym smokiem winęło się po otwartej płaszczyźnie. Na końcu dwa szwadrony pod dowództwem dzielnego oficera Pobiedzińskiego, któremu zawsze jenerał tylną straż powierzał, zamykając karawanę, opuszczały Grodek. O parę tysięcy kroków za niemi, na prawo od wioski, widać było szwadron Rzewuskiego z zabranymi końmi wracający z Lewuch, ale już nie regularnym ruchem i w tumanie kurzu z którego łyskał ogień. Tylna straż poznała zaraz napaść i stanęła w miejscu; wkrótce huk dział ledwo słyszany w obozie ostrzegł wodza, że się bitwa zaczęła, że się nieprzyjaciel ukazał.

Tym zapomnianym i nagle zjawiającym się nieprzyjacielem, był jenerał Rot. Dobiegłszy on w powiat olhopolski,

otrzymał przez Berszadę jeden szwadron kontyngensu z dywizji buskiej; w dziewięć szwadronów i 4 działa szukał powstańców, zawsze jednak ostrożnie i z nieufnością w swoje siły. Po zwiadach do Krasnosiołki, udał się w górę Boha, o trzy mile od ówczesnego stanowiska Podolan przebył rzekę w Ładyżynie, i maszerując na Hajsyn, chciał jak się zdaje ubiedz tylko miasto powiatowe. Później pisał w raportach swoich o śmiałości flankowego marszu, który wykonał dla zajścia w oczy buntownikom, o wielkiem ich mnóstwie przenoszącem 5000 i t. d. To pewna zaś, że obie strony nie miały o sobie dokładnych wiadomości, posuwały się ciągle w kierunku równoległym, zetknęły się trafem. Z różnych punktów zlewające się oddziały powstańców, napełniły okolicę pogłoskami, które musiały bałamucić Rota. Nie śmiał nagabać obozu pod Granowem, chociaż miał do tego dwa dni czasu, i każdej nocy mógł zadać klęskę lada napadem; nie myślał zapewne w dniu 14 maja stoczyć walnej bitwy, kiedy małą drogą przerzynając się od Hajsyna wprost do Grodka, nie korzystał z flankowego marszu nieprzyjaciół, ale począł ścigać oddzielną ich cząstkę.

Gdyby jenerał Kołyszko wyruszył był z Granowa, jak zamierzał, o godzinie 5 rano, Moskale znaleźliby go w mocnem stanowisku za błotnistym strumieniem na którym zniesione mostki od Daszowa, zatrzymałyby ich kroki; gdyby się jeszcze był cokolwiek więcej spóźnił, czoło kolumny Rota wysuwając się z lasu leżącego w stronie zachodnio południowej wsi Grodka, uderzyłyby w lewy bok rozwlekłej karawany. Łaskawszy przypadek zdarzył, że szpica moskiewska dopiero wtenczas wyjrzała na pole, kiedy szwadron Rzewuskiego pomijał już niemal wioskę. Było to o godzinie 4 ku wieczorowi.

Skurat postrzepłszy nieprzyjaciela, odesłał czem prędzej luźne konie i transport furażu naprzód, wyprawił jednego kozaka z uwiadomieniem do jenerała, a sam z kilkunastu ludźmi odwrócił się dla bliższego rozpoznania siły moskiewskiej. Ułani Rota debuszując z lasu, formowali się w kolumny szóstkami, szwadron jeden odłamał się w prawo i posławszy pluton kłusem, posuwał się za nim stępo ku oddziałowi powstańców. Skurat uderza na pluton, rozpędza go i widząc nadchodzącą spiesznie resztę szwadronu, wraca do swoich, całą siłą odpiera atak. Po dwóch lub trzech z obu stron natarciach przy strzałach pistoletowych, hufiec wracający z Lewuch, zostawił daleko za sobą szwadron nieprzyjacielski i w porządku dostał się na równinę, gdzie już Pobiedziński gotował się do boju. Właśnie w tym czasie Rot przechodził Grodek.

Na pierwszy szwadron ułanów, który wyciągnął z wioski,

Pobiedziński uderzył także szwadronem, przewrócił Moskali i sformowawszy się rychło, rozpędził następny ich szwadron; lecz potrzeba mu było dla zebrania szczupłej swojej garstki cofnąć się zaraz pod zasłonę szwadronu, który zostawił w rezerwie. Plac utarczki posuwał się tedy w stronę Daszowa, nieprzyjaciel co raz większą siłę wyprowadzał na równinę.

W tej chwili mogło jeszcze zależeć od woli Kołyszki przyjąć bitwę, albo wzmocniwszy tylko straż tylną ustąpić za Daszów. Nieszczęściem, jenerał trudniący się wówczas rozstawianiem trzech szwadronów, które doszły już do zakreślonego stanowiska, był daleko; hufce rozerwane nieporządnym marszem, nie miały nadto związku między sobą przez podział rzeczywisty korpusu na brygady, pułki, dywizjony. Każdy szwadron pilnował się tylko swego dowódzcy; każdy dowódzca szwadronu nie wiedział już kogo się pilnować. Wielu rozwoziło i dawało rozkazy; lecz mało kto chciał ich czekać albo nawet i słuchać. Wszystko poczęło improwizować się w ogniu: bitwa rozpłomieniała się samopas.

Z taboru ciągnącego drogą wyplątał się najprzód ze swoim szwadronem Aleksander Sobański i puścił się na odgłos utarczki; za nim pośpieszył szwadron Jełowickich, z powodu oddalenia się Edwarda Jełowickiego prowadzony przez kapitana Podhorskiego. Dwa te szwadrony złączyły się z oddziałem Skurata, znalazł się przy nich Wacław Rzewuski i począł szykować front do boju. Wkrótce nadbiegł tu szef sztabu Orlikowski.

Pobiedziński widząc przybywające wsparcie, rzuca się znowu na nieprzyjaciela, roztrąca jego awangardę, zapędza się aż pod las przytykający do Grodka. Padło kilkunastu ułanów, powstańcy ścigali rozproszonych po polu, schwytali dwóch żywcem. W zamieszce tych gonitw, waleczny Pobiedziński ugodzony trzema lancami w piersi poległ na placu. Trwoga ogarnęła blższych, poczęli tył podawać, i cały szwadron jak był rozsypany w pogoni, tak rozsypany usuwał się na powrót od lewego skrzydła nieprzyjaciela.

Tymczasem kolumna moskiewska szwadronami rozwiniętemi do boju, posuwała się przeciw powstańcom szykującym się na płaszczyznie: za pierwszym szwadronem szły w odstępie między dwoma innymi, wszystkie cztery działa.

Major Orlikowski, wziąwszy dwa szwadrony ruszył kłusem na Moskali tak strwożonych widokiem imponującym taboru, który pokazał się im teraz w całym swoim ogromie, że nie pomknęli się na przyjęcie szarży, lecz czekali jej w miejscu z osłupiałemi oczyma, z otwartemi ustami. Powstańcy nie zdołali jeszcze po drugi raz lanc swoich wytężyć, kiedy już szereg moskiewski złamał się i pierzchnął, a zaledwo odsłonił drogę, stojące na niej działa grzmotnęły

do nich. Naboje przeniosły górą, huk armat i świst kartaczów nie przeraził nowych żołnierzy rozgrzanych zapałem: na głos dowódcy ścisnęli szyk i stanęli jak wryci. Zwycięstwo zawisło nad nimi i zdawało się czekać żeby je porwali: jedno śmiałe rzucenie się najprzód mogło teraz dać zupełną wygranę; lecz jeden króciutki moment pod ogniem działowym zostawał do namysłu. Bystry wzrok Orlikowskiego dostrzegł w tej ważnej chwili, że jenerał Kołyszko prowadził już na plac bitwy całą swoją siłę: przytomny i zimnej krwi oficer prędko porachował minuty, widział że natychmiast wspartym być nie mógł, nie chciał przed ogólnym atakiem narażać zuchwale garstki walecznych, woląc cofnąć ich w porządku od strzałów artylerji, nakazał odwrót. Powstańcy nie zrozumieli komendy, poglądali jeden na drugiego jakby zapytując co to znaczyło; skoro zaś jaśniej im rzecz tłumacząc zawołał «nazad!» i kilkakroć ten wyraz powtórzył z przyciskiem. skoro ujrzeli po prawej ręce swojej nieładem wracające szwadrony Pobiedzinskiego, para trwożliwych głosów, odezwało się w szeregu: «zginęliśmy! uciekajmy!» W mgnieniu oka, hufiec co tak mężnie nadstawiał piersi kartaczom, rażony fatalną mocą słowa, zwinął się jak chorągiewka i pierzchnął czwałem. Nic go już zatrzymać nie mogło. Zwycięstwo odbieżane niemal dobrowolnie, padło pod nogi Moskalom; popłoch podniósł się z ziemi i straszne swoje skrzydła roztoczył nad całem powstaniem!

Jest coś niepojętego w tej sile moralnej, która nakształt atmosfery otacza każde wojsko, i w uderzeniu szczęśliwem pierwej niżeli oręż dosięga przeciwnika, w klęsce pierwej niżeli nieprzyjaciel pchnie swoich do zguby. Możnaby powiedzieć że los walki rozstrzyga się nie na polu bitwy, ale w duchu własnym każdej ze stron walczących. Tu jakaś niewidoma władza kładzie na szali wszystkie elementa dobrej lub złej doli, a kto większą przewagę dobrego ma u siebie, ten pewnie otrzyma ją i w boju. Taki rachunek sumienia odbywa się częstokroć na gorącym razie nie poścignionym pędem, lada nic przechyla balans, a wypadek dotyka całe masy. Im mniej sztuka organizacji, mechanizm taktyki, poddają oddział zbrojny pod zarząd jednej myśli i woli, tem więcej ogólny jego instynkt odegrywa dziwną rolę, tem trudniej pewnej osobie, oczewistej przyczynie, przypisać pomyślność lub klęskę. Powstańcy byli mało urządzonem wojskiem: świeże zlepki kształcącego się korpusu, słaba ręka starca sama wypuściła z karbów, nieprzyjaciel zaskoczył pod Daszowem niesforną drużynę. Jednak miała ona swoję całość w duchu; jak wszystko niezłomnym parciem posuwało się najprzód, tak teraz wszystko wzięło zwrot w przeciwną stronę.

Dziesięć szwadronów postępując we wschody zbliżało się z jenerałem; trzy ostatnie nawet, które były w obozie, przeszedłszy na powrót strumień i Daszów, dążyły niby w rezerwie. Strzelcy znaleźli się tuż przy głównej sile jazdy, armata Podolan i wiwatówki Kijowian pod dowództwem Wojciechowskiego, śpieszyły także na pozycję. Kołyszko miał zamiar czołem swojej kolumny wziąść tył a środkiem uderzyć na prawy bok Moskali. W tem od frontu pędząca wstecz gromada opanowanych próżnym strachem, wpada na pierwszy szwadron, roztrąca go, zagarnia z sobą i wali się na drugi, który dodał mocy zawrócić trzeci, a ten posypał się na czwarty, i w miarę zwiększającej się ciżby, niknęły w niej następne hufce. Wyciągnięty ukośnie szereg, jak sztuka płótna porwanego wichrem zwijał się w kłąb i toczył po równinie. Czarny kurz ukraińskiej ziemi, osłonił to smutne widowisko: z półtora tysiąca jeźdźców zrobiła się jedna burzliwa chmura i hucząc niosła się na Daszów. Nieprzyjaciel osłupiał, nie mógł pojąć co się stało; postrzegłszy nakoniec opuszczoną na polu biedną artylerję i garstkę piechoty powstańców, pomknął się zabrać tę zdobycz, a na resztę począł sypać kartacze.

W mięszaninie uciekających, prawie wszyscy dowódzcy, dawni wojskowi i obywatele, parci natłokiem, starali się wstrzymywać rzeszę, zostawali jak kamienie na łożysku osiękłej powodzi. Ostatni niemal ustępował Kołyszko. Rozesławszy całą przyboczną świtę na skupianie szeregów, sam tylko z synem swoim Tytusem, obserwował nadchodzącego nieprzyjaciela. Rozpacz ogarniała starca: rwał sobie włosy i chciał się dać zabić. «Jenerale uspokój się, radź co czynić» zawołał A. Jełowicki znajdując go w takim stanie. «Bież i mów im, niech się, dla Boga, zastanowią — odpowiedział Kołyszko — niech się sformują za budynkami cegielni i odeprą Moskali; bo ani noga nasza nie ujdzie.» To rzekłszy, cofnął się pod cegielnię stojącą po prawej stronie drogi u wrót miasteczka, i kogo mógł złapać, słał roznosić rozkazy, których już nie było sposobu wykonać.

Niebespieczeństwo groziło co raz bardziej. Gdyby wódz moskiewski działał natarczywiej, gdyby tuż za spłoszoną gromadą wpadł do Daszowa, rzeczywiście ani noga by nie uszła. Ale Rot zdaje się że ucieczkę brał za jakiś fortel powstańców, mniemał że ich dwoje tyle było jeszcze na drugiej stronie rzeki, nie pomknął jazdy w pogoń, lecz tylko ilekroć zbliżał się do gęstszej garstki zmitrężonych albo mniej skorych w odwrocie, wysuwał swoją artylerję i grzmiał tryumfalnie. Tak parę godzin maszerując z przestankami, dochodził wszakże pod same miasteczko: Kołyszko stracił ostatnią

nadzieję, nie doczekawszy się nikogo przy cegielni, zawrócił konia w tłum swoich.

Tymczasem w Daszowie działo się okropne zamięszanie: nikt nie wiedział dokąd spieszył, a wszystkich nieszczęśliwy instynkt poprowadził większą drogą. Tabor bagażów zostawiony sam sobie bez rozkazu i dozoru, wziął się najprzód prosto na drugą stronę rzeki i stamtąd kierował się do lasu. Skoro wozy przecisnęły się przez groblę i most, polała się jazda i płynęła tymże torem. U rogatek, w ulicy, i na rynku nowego Daszowa, rozrzadzało się co raz bardziej, zostawali ci wszyscy co innych wstrzymać chcieli. Jak byli piersiami obróceni do swoich, tak sami tylko twarz w twarz widzieli zbliżających się nieprzyjaciół. Między nimi dopiero począł rozlegać się głos: najprzód! najprzód! ratujmy naszych! — Stąd i z owąd przybiega pojedyńczy jeździec, zbiera się kilkadziesiąt koni i skupiona na prędce gromadka bez szyku, ale z niezrównanem zapałem puszcza się w pole.

Był to dziwny hufiec. W herbarzach polskich przy najświetniejszych herbach zapisane wszystkie jego imiona. Wiele mil dziedzicznej ziemi, wiele tysięcy poddanych należało do tych, co teraz mogła objąć jedna mogiła — i za jakąż sprawę? za dobro i wolność wszystkich! Ta garstka najważniejszego ziarna z rozwianego powstania, ta kropla szlachetnej krwi zasłużonych ojczyznie przodków, miała w sobie potęgę cudowną. Pałając poświęceniem się i nagle rozdętą iskrą wrodzonego rycerstwa, na ścisnione, karne, bydlęcem posłuszeństwem dźwigane szeregi sołdatów carskich, wpadła jak piorun. Los obecny tysiąca współtowarzyszy polegał na niej, tysiąc nieprzyjaciół było przed nią — wygrała ostatnią najazardowniejszą stawkę.

Moskale postępowali w gotowości do boju. Drogą szły działa, po obu jej bokach dwa szwadrony frontem, za temi drugie dwa także rozwinięte, na prawem skrzydle jeden. Nieco dalej cztery inne maszerowały w plutonowych kolumnach.

Powstańcy rzucają się w środek, łamią pierwszą linję ile jej zająć mogli, obskakują działa, rąbią i kolą kanonierów. Każdy walczył przeciw kilku, każdy dokazywał cudów waleczności. Towarzysze chwały i niebespieczeństwa, zachowali niektórym z pomiędzy siebie szczególniej chlubne wspomnienia. Aleksander Sobański zdumiewał nieprzyjaciół i swoich nadzwyczajną odwagą. Brat jego Izydor chociaż mocno cierpiący na zdrowiu, w dniu tym dosiadł konia i odznaczył się niepospolitem męstwem. Eustachy Jełowicki, młodzieniec wielkiej siły, zabił kilku ułanów, pierwszy przedarł się do armat i w pędzie wziąwszy kanoniera na lancę przerzucił go za działo; a że nie przyjmując żadnego zwierz-

chnictwa chciał zawsze być tylko szeregowym, odtąd zwano go pierwszym żołnierzem. Borzęcki, siedemdziesięcioletni starzec, gdzie się obrócił rozmiatał koło siebie szeroką przestrzeń. Byli w tym sławnym boju Jełowiccy, Herman i Józef Potoccy, dwaj bracia Pokrzywniccy, Orlikowski, Iwaszkiewicz, Bierzyński, Dąbrowski i inni, których imion pamięć tułaczy zebrać nie zdołała, albo pióro tułacza wymienić nie może.

Wrząca walka trwała cały kwandrans, zapamiętała, wściekła prawie waleczność wzięła zrazu gwałtowną przewagę: wielu moskali padło, wielu rzucając broń prosiło o życie. Ale szczupły hufiec utonął w głębokiej masie, ogarniały go z boków końce złamanych szeregów, szwadron skrzydłowy zbiegł z tyłu. Wkrótce trzeba było zwycięscom myśleć tylko o ratunku. Każdy znowu musiał dobywać całych sił i torować sobie drogę. Wszyscy prawie wybili się i uszli szczęśliwie, tylko Bierzyński, Dąbrowski i Pokrzywnicki polegli na placu, drugi Pokrzywnicki okryty ranami dostał się w niewolę. *)

Kiedy bohaterowie dnia pełnego świetnych czynów i smutnych zdarzeń dla powstania, cofali się w ulice Daszowa, słońce zachodziło już pod poziom, wilgotne obłoki rozwlekając się po niebie przyspieszały ciemność: mrok czarny i chłodny okrył pobojowisko. Rot nie śmiał posunąć się dalej ani kroku: stając w miejscu czas niejaki, słuchał hałasu rozlegającego się po wszystkich stronach, kazał potem zapalić ognie obozowe i cicho odszedł o milę w tył aż do wsi Grodka, gdzie przed pięcią godzinami rozpoczynała się bitwa. W raportach jego ogłoszonych przez dzienniki, widać że się lękał przeważnej liczby, prawił o wielu tysiącach rozgromionych i pobitych pod Daszowem, resztę obiecywał ścigać i zniszczyć; w innych pismach przejętych przez powstańców, przyznawał się że miał do dwóchset ludzi poległych i rannych; w pierwszych i drugich szczególniej rozwodził się nad wściekłą rozpaczą garstki, która spotkała go u wnijścia do miasteczka. Dla tego też podobno najbardziej — nie wszedł, i zwycięstwa rzeczywiście nie odniósł.

Co do strat ze strony moskiewskiej, można zawierzyć rachunkowi jej wodza; powstańców daleko mniej zginęło od kul i żelaza, więcej dostało się w niewolę. A lubo szkody były dla nich dotkliwe, cała jednak rozprawa w polu skoń-

*) Adolf Pokrzywnicki ranny pod Daszowem, tamże został jeńcem Moskali. Kiedy go do Tulczyna prowadzono, oficera moskiewskiego naigrawającego się z nieszczęścia jeńców Polskich w twarz uderzył; za to stawiony przed sądem wojennym skazany był na powieszenie wyrokiem jenerała Rota; ale oficerowie moskiewscy przejęci szacunkiem dla Pokrzywnickiego, sami mu ucieczkę ułatwili.

czyła się bez klęski; w czynach waleczności i odwagi mieli nawet wygranę. Oprócz Pobiedzińskiego i trzech obywateli poległych w ostatniem spotkaniu, ludzie użyci do grzebania trupów, znaleźli pułkownika Hnatowskiego i czterdziestu prostych żołnierzy. Major Mikuszewski ciężko skłuty i zabrany, dokonał życia w więzieniu: Florjan i Tytus Jełowiccy także ranni, zostali jeńcami. W dniu tym zniknął na zawsze Wacław Rzewuski, o którego śmierci długo krążyły wątpliwe pogłoski. *) Najznaczniejszy niby uszczerbek w korpusie

---

*) Jednym z tych ludzi oryginalnych a razem niepospolitych, jacy u nas wśród mnóstwa ciekawych animuszów zjawiają się od czasu do czasu, i zostają na długo głośnymi po całym kraju, był Wacław Rzewuski, syn hetmana Rzewuskiego znajomego w historji rozbioru Polski. Przyrodzenie obdarzyło go wielu bardzo świetnemi przymiotami umysłu i ciała; imię i fortuna dawały mu już stanowisko, skąd łatwiejsza droga do ukazania swojej wielkości; ciągle też miotał nim jakiś instynkt wyjścia za obręb powszedniego życia; lecz w niczem wysokiego szczebla dopiąć nie zdołał, z wielu miar nadzwyczajny człowiek, wielkim człowiekiem rzeczywiście nie został. Zdaje się że mu brakowało w duszy czegoś jednego, coby tyle dzielnych jej władz sprzęgło w harmonję, niesfornym siłom wskazało pewny kierunek, różne promienia gienjuszu zebrało w płodne ognisko. Rzewuski miał niezmiernie bujne zarody talentów, z których powinien był wyjść znamienity artysta, literat; posiadał przytem najszczęśliwsze usposobienie na dzielnego żołnierza: w obu tych zawodach próbował stawić nogę; ale lekko, niedbale, niby z przypadku i od niechcenia, do żadnego nie przylgnął całem sercem, na każdym zrywał go i unosił jakiś nieustanny pęd fantazji, mętnej niespokojnej, chorobliwej, lecz potężnej, poetycznej. Najprzód za młodu przykładał się do sztuk pięknych i nauk, i w tych przedmiotach rozwinął daleko swoje zdolności: znał muzykę doskonale, śpiewał prześlicznie, był dowcipnym krytykiem, pisał wybornie prozą i wierszem nierymowym, mógł nawet liczyć się między znakomitszych erudytów. Wszedł potem do wojska austrjackiego i słynął jako niezrównany jeździec, mistrz w użyciu wszelkiej siecznej i palnej broni. Na upał i zimno do zadziwienia był wytrwały: w najtęższe mrozy wychodził obnarzony i kazał sobie zlewać głowę konewkami wody. Dosłużywszy się stopnia rotmistrza, rzucił żołnierkę, ożenił się z księżną Lubomirską i przesiadywał to na Wołyniu, to w Opolu w województwie lubelskiem. Wkrótce jednak cisza i jednostajność domowa poczęły go nudzić: znowu odezwała się w nim żyłka rycerska. Gdy w r. 1815 za powrotem wojska polskiego z Francji, zanosiło się na nową organizację, pragnął przywdziać mundur narodowy, ofiarował się uformować pułk strzelców. Traktat wiedeński położył koniec ówczesnym oczekiwaniom: w. k. Konstanty został organizatorem i panem armji królestwa, horyzont polityczny zapowiadał długi i posępny pokój. Rzewuski, obrócił się w inną stronę, szukając ochłody sercu trapionemu czczością, której niczem zapełnić nie mógł. Dla takich piersi oddychających trudno w atmosferze pospolitego toku rzeczy, dla takich imaginacji wyciekłych w nieokreśloną przestrzeń marzeń, Wschód ma szczególniejszy pociąg. Jeszcze za pobytu swego w Wiedniu, Rzewuski powziął smak do orjentalizmu; uczył się po turecku i arabsku, wspierał możnie pismo wydawane pod tytułem Miny Wschodu. Skoro więc teraz ogarnęła go tęsknota, rzucił żonę, dzieci, Polskę, Europę, i puścił się farysować na Wschodzie. Bawił jednak nie na pustyniach piaszczystych, ale w Alepie i Bagdadzie. Summa 60,000 dukatów, którą zaciągnął w Stambule na dobra będące pod dożywociem matki, dozwalała mu prowadzić życie świetne i zbytkowe. Dawał wystawne uczty, skupował konie i osobliwości, a jako zwykle cudzoziemca rozrzucającego pieniądze, uczczono tytułem Emira. Dopiero po kilku leciech Emir wróciwszy do rodzinnego kraju, przedsięwziął wieść żywot prawdziwie koczowniczy i przybrał zwyczaje Beduina. Mieszkając w Sawra-

powstania, czyniła zguba tak zwanej artylerji, i szczególnie całej piechoty. Ale istotnie, wiwatówki mogły tylko grać jakąkolwiek rolę w biuletynach moskiewskich; strzelców zaś z ich kosztowną bronią, nikt tu wysoce nie cenił i nawet pomnażać nie myślił. Natura kraju i mieszkańców ciągnęła do konia; a gdy nieprzyjaciel miał samą jazdę, tem bardziej jazda stanowiła wszystko. Siedemnaście szwadronów, acz zmięszanych, było teraz na bespiecznem miejscu za rzeką Sobem, pozostawało zebrać je, żeby nazajutrz powetować przygodę, znając już siłę przeciwnika, rozważnie przedsięwziąść zaczepne lub odporne kroki. Nieszczęściem, rozsypka nie skończyła się z dniem i widokiem Moskali, miała w sobie zaród wad śmiertelnych.

Powszechną i może główną przywarą naszego narodu, jest straszny brak wytrwałości zawsze, w niepowodzeniu zaś naturalnie najbardziej. To zgubiło całą sprawę przeszłej wojny, to we wszystkich cząstkach sił walczących, regularnych i nie regularnych, dawało się ujrzeć wyraźnie. Z pomiędzy powstań, południowym zupełnie zbywało na uporze. Jeszcze nikt nie zdołał ocenić wypadku potyczki Daszowskiej, kiedy już wielu, co gorsza obywateli, szlachty, pożegnawszy wszelkie nadzieje, myśliło tylko o kryjomym powrocie do domów. Bliskość własnych zagród, mianowicie dla Ukraińców, dla powietników lipowieckich, stawiła tem ponętniejsze sidła; przykład panów jak mógł dodać serca, tak dodawał

---

niu, ze stadem swoich arabskich koni i ze świtą kozaków obozował pod gołem niebem, wędrując po stepie dokopywał się skarbu, który znaleść miał urojenie. Często też wyprawiał się z całym taborem do sąsiadów lub odleglejszych znajomych, pod ich domami rozpinał namioty, a wszędzie był przyjemnym i pożądanym gościem. W zawoju i w pąsowej todze, ze złotawą brodą Arab-Polak, rozweselał wszystkich swoim dowcipem francuskim, zajmował nauką europejską, zachwycał śpiewem włoskim przy fortepianie, dziwił opowiadaniem ciekawych rzeczy o Arabji, a ciekawszych jeszcze o sobie. Te rycerskie powieści których sam był poetą i bohaterem, ta pretensja do azjatyckiego stroju i sposobu życia, która łatwo mogła być policzona na karb dziwactwa, miały wszakże taki ton poważny, taki odbłysk wznioślejszego umysłu, że nigdy nie szły w pośmiewisko. Rzewuski należał do rzędu rzadkich ludzi, co bez usterku umieją utrzymać się na delikatnej granicy między podziwem a śmiesznością. Dla tego też wielu z najlepszą wiarą mniemało o nim bardzo wysoko, i kiedy poczęto myśleć o powstaniu, powszechnie niemal spodziewano się że Emir arabski będzie miał najlepszą porę wystąpić ze swoją sztuką rycerza Beduina. Wypadek zawiódł oczekiwania: Rzewuski stanął jak dobry patrjota, ale jako kandydat na wodza powstańców, nie dał żadnego dowodu talentów i wątpić można czyliby je okazał kiedykolwiek. Zgon jego długo był niepewny. Myślano z razu, że z rozsypki uszedł szczęśliwie i dopadł bespiecznego schronienia; nie słysząc później jego nazwiska ani w liczbie więźniów ani w poczcie tułaczy za granicą, tuszono że swoim szlakiem puścił się znowu na Wschód; ostatnie nakoniec poszukiwania krewnych przyniosły tę najpodobniejszą do prawdy wiadomość, że podczas obław na rozproszeńców w lasach, przez chciwych zdobyczy obdarty i zabity został.

trwogi służebnym drużynom. W podobnym stanie rzeczy, przytomność i tęgość władzy mogła jedynie zaradzić złemu.

Ale najwyższy wódz, uległ także zwątpieniu, nie chwycił się śmiałych i przezornych środków; gorliwość niektórych niższych oficerów i naczelników, została bez kierunku, bez dobrze oznaczonego celu. Zamiast pozrzucać mosty, rozstawić po za rzeką czaty, nie oddalając się z miejsca, koło garstki jaka snuła się pod ręką skupiać i organizować rozproszeńców, jenerał Kołyszko, powiedział kilku osobom że trzeba ciągnąć do miasteczka Liniec o dwie mile wyżej Daszowa, i sam niezwłocznie udał się w tę stronę; powstańcy zaś, i ci co go wyprzedzili i ci co byli za nim, mieli zupełnie w innej stronie naturalną ponętę dla nowych a strwożonych wojowników. W części miasteczka za Sobem jest także rynek: z tego rynku rozchodzą się dwie ulice, w prawo na drogę do Liniec, w lewo na trakt do Bracławia. Pierwsza wyprowadza na otwarte błonia, druga zaraz do lasu ciągnącego się aż za Sitkowce. Las, zwłaszcza dla jazdy był najniebespieczniejszą pastką w podobnym razie. Prawdziwa klęska, samobójstwo powstania, rozpoczęło się z ciemną i dżdżystą nocą. Ci nawet którzy mieli najlepsze chęci, rozbłąkani, osamotnieni, niepewni czy Moskal tuż nie goni za nimi, tracili odwagę i rozum, rzucając broń i konie biegli w głąb lasu. Trudno sobie wyobrazić okropniejszą scenę, jaka wtenczas o milę od nieśmiałego nieprzyjaciela, odbywała się na szerokiej przestrzeni za Sobem. Cząstkę tego obrazu najlepiej przedstawi następny wyjątek z pamiętnika naocznego świadka.

«Po ostatniej szarży wracając przez Daszów, już około godziny dziewiątej, szukałem jenerała i swoich, naturalnie w miejscu przeznaczonem na obóz; ale z wielkiem zdziwieniem i przerażeniem mojem, nikogo nie znalazłem. Długo od błąkających się tu i owdzie powstańców niczego dowiedzieć się nie mogłem: noc bardzo ciemna nie pozwalała rozpoznawać położenia i przedmiotów; nakoniec usłyszawszy że była mowa o Lińcach, i że widziano jenerała maszerującego w tamtą stronę, pośpieszyłem co prędzej drogą ku Lińcom. O dobre pół mili, albo może o małą milę od Daszowa, dopędzam go idącego w towarzystwie prawie tych wszystkich, którzy odznaczyli się w ostatnim boju. Było ich ze sześćdziesiąt koni. Między Daszowem a tym hufcem nikogo nie spotkałem. Jenerał i znajomi ucieszyli się postrzegłszy mnie, sądzili bowiem żem był zginął. Zapytuję jenerała, czy idzie w ariergardzie? on mi odpowiada że nikogo ani przed, ani za sobą nie widział; że żadnym sposobem więcej ludzi z Daszowa wyprowadzić nie mógł; że tam wszystkie bagaże, kasa i amunicja zostały. Struchlałem na tę wiadomość; powie-

działem że tak rzeczy zostawiać nie możemy, że powinniśmy wracać. Kołyszko utrzymywał iż to byłoby już daremnem, tak jak wszystkie jego uprzednie usiłowania; że zapewne Moskale weszli już do Daszowa i naszych albo zabrali, albo rozpędzili. Natenczas oświadczyłem jenerałowi że się poświęcę na to aby stan rzeczy rozpoznać, zebrać powstańców i uprowadzić kasę. Gdym zyskał zezwolenie, odezwałem się do przytomnych: — Bracia kto że mną pójdzie? A kto to nas wzywa? zapytało kilku. Aleksander Jełowicki, odpowiedziałem. — Wszyscy pójdziemy, zawołali. Moi bracia Edward i Eustachy wysunęli się pierwsi; ale uprosiłem ich żeby pozostali przy naszym ojcu, mówiąc, że na stracenie i na raz jeden, dosyć z nas jednego. Wziąwszy potem około 20 ochotników, ruszyłem spiesznie do Daszowa. Jenerał miał ze swoim małym oddziałem oczekiwać naszego powrotu w pewnej odległości od drogi. Zbliżając się do miasteczka postrzegliśmy blask rzęsistych świateł, następnie począł nas dochodzić coraz wyraźniejszy gwar wielkiego tłumu ludzi. To wszystko zdawało się zapowiadać, że już zastaniemy nieprzyjaciela. Lada drzewo, lada bydle spotkane, braliśmy za piechotę moskiewską. Moi towarzysze ciągle mi czynili zatrważające uwagi. Bojąc się przeto żeby nie stracili ducha, i chcąc aby mniej było ofiar w razie nieszczęścia, kazałem oddziałowi zatrzymać się o parę tysięcy kroków, a sam w towarzystwie Stefana Zana i nie pomnę kogoś jeszcze drugiego, udałem się do Daszowa, idąc zawsze przed nimi, i z odwiedzioną dubeltówką odbywając delegację do każdego krzaku lub wołu. Tym sposobem weszliśmy w ulicę. Światła widziane z daleka, były to świeczki szabasowe, jak wiadomo rzęsiście oświecające polskie miasteczka w każdą sobotę. Gwar słyszany był gwarem naszych. Kilkuset mężniejszych, których popłoch opuścił prędzej, zatrzymawszy się w miasteczku od strony lesnej, snuło się z hałasem. Jedni szukali pożywienia, drudzy swoich naczelników i znajomych. Wołano gdzie ten, gdzie ów, gdzie jenerał? Moje przybycie uradowało ich niewypowiedzianie. Rozkazałem jak najrychlej wychodzić drogą ku Lińcom. Bagaże nasze skierowane zupełnie w przeciwną stronę bo do lasu, bardzo utrudzały ruch nieporządnej gromady: wozy łamały się pod ciężarami i zawalały drogę. Gdy jednak wymarsz rozpoczął się jakkolwiek, jechałem w las przytykający do Daszowa, dokąd mię prowadził ślad najsmutniejszy, broń rzucana przez płochliwych powstańców. Doszedłszy do obszernej płaszczyzny, znalazłem na niej wiele powozów i koni luźnych z ludźmi, którzy schronili się tu podczas rozpoczynającej się bitwy, i z krwią najzimniejszą oczekiwali rozkazów, nie wiedząc jak się rozprawa skończyła. Gdy mi powiedzieli, że przechodzących dalej nie widzieli,

wyprowadziłem ich nazad przez Daszów ku Lińcom. Tym sposobem udało mi się uratować całą kasę, wszystkie prawie wozy obozowe, i co najważniejsza przeszło pięciuset dzielnych powstańców, którzy jedynie dalszy ciąg powstania utrzymywali.»

«Nieszczęście chciało, żeby jenerał strudzony, czekając nas z kilku towarzyszami, usnął w małym gaiku nie daleko drogi i nie postrzegł kiedyśmy go pomijali. Ja pilnując porządku szedłem na końcu oddziału, ci co byli na początku nie spotykając nikogo szli coraz najprzód; myśliłem więc że ich jenerał prowadzi i tak maszerowoliśmy noc całą, aż nadedniem 15 maja stanąwszy w Lińcach, postrzegliśmy że nie masz jenerała i niektórych z pomiędzy tych co byli przy nim. Zebrało się tu nas do 580. Odpocząwszy parę godzin, gdyśmy wodza naszego doczekać się nie mogli, poczęliśmy radzić co robić. Krążyły wieści pomiędzy Żydami, że Moskale ze wszech stron ciągną na nas; niektórzy chcieli więc żeby zapytać powstańców kto z nich odważa się na wszelkie niebespieczeństwa i z takim wyborem przebijać się do królestwa. Uczyniłem uwagę, iż nikogo od działań naszych wyłączać, ani też na pastwę zostawiać nie wolno: to zdanie przemogło. Ale którędy iść, kto ma prowadzić? — Byliśmy gotowi każdego słuchać, byliśmy gotowi na wszystko. Jan Zapolski podjął się objąć dowództwo, starać się połączyć nas z innemi częściami powstania i działać. Myśmy zaraz przyrzekli sluchać Zapolskiego, lecz z warunkiem, że za przybyciem jenerała Kołyszki, wszystko wróci pod jego rozkazy.»

«Pierwszą czynnością było obrachować i uporządkować siły nasze. W zbiorze ułamków z rozmaitych hufców, jeden tylko szwadron Jełowickich znalazł się cały. Złożony po większej części z obywateli, urzędników i szlachty, a z resztą z sług dworskich, celował męstwem i porządkiem; brakowało mu tylko tych, którzy zostali na polu bitwy. Inne albo poznikały całkiem ze swoimi dowódzcami, albo uszczupliły się niezmiernie. Trzeba było dopełniać je i zlewać. Dwa tedy szwadrony Sobańskich, trzeci Rzewuskiego i czwarty Bracławski, uformowały teraz szwadron drugi, sześć szwadronów ukraińskich zamieniło się na trzeci, resztki powstania hajsyńskiego i bałckiego utworzyły czwarty. Tym sposobem, nie straciwszy w boju więcej jak kilkudziesiąt ludzi, z niewypowiedzianym smutkiem ujrzeliśmy, że nam z siedmnastu szwadronów pozostało cztery!»

«O godzinie 8 rano wyruszyliśmy z Liniec ciągnąc jeszcze za sobą prawie nic niezmniejszony tabor wozów. Szliśmy ku Winnicy w nadziei połączenia się z powstaniem winnickiem, o którem doszły nas były pomyślne wieści. Deszcz

silny nie pozwalał maszerować prędko; o parę mil dognał nas przed wieczorem jenerał Kołyszko, który równo ze dniem opuściwszy miejsce gdzieśmy go pominęli, w kilkanaście koni przybył szczęśliwie.»

We 24 godzin dopiero po skończonej bitwie daszowskiej, wypadek jej okazał się widocznie: była, albo raczej stała się okropną, trudną do nagrodzenia przegraną. — W tym czasie, około połowy maja, na wszystkich punktach orężem dźwiganej sprawy naszej, zachodziło zgubne przesilenie. Szczęście głównej armji narodowej, zwichnęło się w przerwanym zamachu na gwardje cara; zastępy zbrojnych ziemian w prowincjach, wszędy uczuły rękę przeciwnego losu. Dla Litwy pod Połągą na Żmudzi, i pod Głębokim w gubernji mińskiej, rozstrzygnęły się niepomyślnie dwie wielkie próby; dla Ziem Ruskich zgasła ledwo wschodząca zorza na błoniach Daszowa. Korpus Kołyszki jak był jedyną podporą wszystkich nadziei Ukrainy i południowych powiatów Podola, jak mierząc się z największą w tych stronach siłą moskiewską, zwycięstwem mógł od razu wzniecić ogromny zapał, tak też upadek jego obalił wszystkie podnoszące się usiłowania, przytłoczył ciężko powszechnego ducha. Tysiąc apostołów trwogi rozleciało się w różne okolice głosić straszliwą klęskę; tysiąc wyłapanych po lasach i wioskach rozproszeńców, poszło w ręce tyrańskie przerażać jękiem struchlałych braci*): reszta z wodzem, na szlaku niepewnej

*) Pomiędzy innymi padł smutną ofiarą Gotard Sobański, syn Michała Sobańskiego jednego z magnatów ukraińskich, człowiek młody, i pełen przymiotów. Odbył on szkoły pod okiem Czackiego w Krzemieńcu, kończył nauki w Edymburgu. Powróciwszy z wojażu został kamerjunkrem i bawił w Petersburgu właśnie w czasie, kiedy brat jego Ludwik jako członek związku patrjotycznego dostał się do twierdzy tego miasta, w skutek śledztw 1826 r. Starania około brata, czy też jakie nieostrożne słówko, skompromitowały Gotarda: wtrącono go także do więzienia. Lecz gdy żadnej poszlaki odkryć nie zdołano, Mikołaj dał się ubłagać i kazał niewinnie więzionemu prosić o przebaczenie. Gotard nie chciał tego uczynić, i siedział jeszcze parę miesięcy, aż nakoniec przyszedł od cara rozkaz, żeby go wydalić ze służby i odesłać do ojca pod dozór. Na parę tedy lat przed rewolucją, mając 32 lata wieku osiadł w Ładyżynie i rozpoczął cichy zawód obywatela gospodarza. Hasło wojny narodowej zastało go gotowym powstańcem: był jednym z tych co radzili za pierwszą wiadomością o wypadku w Warszawie, rzucić się do broni. Kiedy później rzeczy inny obrót wzięły, w terminie naznaczonym wystąpił w 30 koni i przybywszy do Krasnosiółki, razem ze swymi ludźmi jako prosty żołnierz zaciągnął się do szwadronu Rzewuskiego, w którym miał wielkie zaufanie. Pod Daszowem widziano go walczącego mężnie, lecz gdy nieszczęśliwy popłoch spędził wszystko z pola, odbłąkał się od swoich w lesie, i nazajutrz dostawszy wieśniacze odzienie starał się dognać oddział, który poszedł ku Lińcom; lecz chłopi schwytali go w drodze i zaprowadzili do wsi Starego Żywotowa. Dziedziczka tej wsi Marcianna z Jakubowskich Krasuska, na nic nie chciała mieć względu. Dał się jej poznać kim był, zaklinał w imię ojczyzny i miłości bliźniego, ofiarował ogromne dary, groził zemstą krewnych i patrjotów: nic nie pomogło. Nikczemna kobieta

wędrówki czuła koło siebie żałobę rozwlekającą się po kraju, straciła ufność we własne dzieło: męstwo jej było niezachwiane, ale ponure, nie miało pocieszającej otuchy, wyraźnego nawet celu. Tyle bliskich korzyści, tyle świetnych widoków znikło razem! wiele nieznanych, ledwo później dosłyszanych strat, śmiertelnie dotknęło powstanie.

W ciągu dni ośmiu, od pierwszych poruszeń w terminie ostatecznym przez naczelnika zmowy naznaczonym do opłakanej rozsypki pod Daszowem, skupiały się tu i owdzie nowe elementa siły zbrojnej. Nie jeden rozmyślał się lub nabrał serca, nie jeden dla przeszkód chwilowych nie mogąc wystąpić z innemi, gotował się pospieszyć do nich. Podróż Tyszkiewicza do północnych powiatów Podola nie była zupełnie bez skutku. Kilku patrjotów w Lityńskiem zaczęło czynnie krzątać się w swojej okolicy. Za powrotem do domu, nie znalazłszy oddziału Zapolskiego, sam także starał się zgromadzić i zaprowadzić do korpusu Kołyszki kilkadziesiąt koni: z pewnym obywatelem powiatu taraszczańskiego, który w dniu 7 maja nie był obecny, poczynił już do tego przygotowania. W stronach południowych Podola formował się podobnież jeden mały oddziałek, o którego obrotach i końcu nie doszły nas pewne wiadomości. Wszystkie te zarodki wzmagającej się powoli wojny ziemiańskiej, stłumiła nieszczęśliwa przygoda głównego zastępu.

Rot bawiąc czas niejaki w okolicach pobojowiska, zajmował się polowaniem na rozbłąkanych powstańców. W pomoc wojsku spędzone gromady włościan, musiały przodkować w obławach. Wtenczas to dało się widzieć jak te masy są dla tego, przy kim zwycięstwo. Gdyby się noga potknęła Moskalom, chłopi niewątpliwie rzuciliby się na nich; teraz lubo bez ochoty, łapali i panów i równych sobie. Wtenczas także okazało się dowodnie, że mimo pokusy i łatwości do swawoli łupiestwa i zemsty, lud ten poniżony i ciemny ale poczciwy, więcej zostawił tkliwych przykładów cnót, które szlachta na pożytek sprawy ojczystej użyć może, niżeli złych skłonności, z których tu zawsze polityka petersburgska korzystać usiłowała. — W miarę jak napełniały się więzie-

---

czy przez samolubną troskliwość o własną spokojność, czy przez chęć zasługi w oczach moskiewskiego rządu, kazała go zaprowadzić w ręce policji powiatowej. Sąd wojenny skazał jego na śmierć, car zwolnił wyrok na 5 lat więzienia w twierdzy i wieczne potem wygnanie na Sybir. Wytrzymując tę karę, a cierpiąc razem nad nieszczęściami ojczyzny, Gotard Sobański wpadł w spokojne lecz ponure obłąkanie umysłu. Termin co mu otworzył bramy pokutnej fortecy nie zdołał otworzyć duszy zamkniętej na zawsze dla tego świata. Ojciec odumarł go pierwej, a matka tyle ledwo potrafiła wyjednać, że jej pozwolono połączyć się z synem, który za życia wstąpił do grobu.

nia nieszczęśliwemi ofiarami, władze moskiewskie jaśniej poznawały stan siły zbrojnej powstańców, przedsiębrały tem skuteczniejsze i ogólniejsze przeciw nim środki. Podchwycono i zabrano prawie wszystkich nieostrożnie gotujących się w domach, na ułamek uszły z pod Daszowa ruszono dalekie oddziały. Rot puścił się w pogoń; Szeremetjew z okolic Zamiechowa pośpieszył nad Boh; trzy ostatnie szwadrony strzelców konnych z Machnówki pomknęły się ku Winnicy. Kołyszko miał tedy ze wszech stron przeważnego nieprzyjaciela, który pilnie go trzymał na oku i trafnie zastępował mu drogę. Przeciwnie, garstka powstańców wędrująca bez wiedzy, bez przewidzenia na jutro, tylko w swojej waleczności mogła znaleść ratunek. Ta jedna w najzuchwalszych próbach nie zawiodła ich nigdy: wszystkie plany, rachuby, środki organizacyjne, od początku do końca grzeszyły zapędem wyobraźni, brakiem rozwagi, niedoświadczeniem i niedołęstwem.

Dnia 16 maja, jenerał Kołyszko stanąwszy wcześnie na nocleg w rzadkiej dębinie pod wsią Obodnem, pomyślał dopiero przed spodziewaną nazajutrz przeprawą za Boh, przyjść cokolwiek do lepszego porządku. Dnia tego w marszu jeszcze, zniszczono przecie część wozów; ale w lustracji szwadronów pokazało się ze smutkiem, że z 580 ludzi obecnych w Lińcach, znikło do 200. Było wprawdzie kilkudziesiąt rekrutów, którzy w czasie bitwy przez nikogo nie pilnowani, ile mogli zorjentować się w rozsypce, z własnej ochoty i skłonności przyłączyli się znowu do karawany, i wytrzymując trudy pochodu szli nieodstępnie za nią. Było prócz luźnego tabunu nie mało powodowych koni z osiodłaniem. Rzucając resztę nieużytecznych koczów, bryczek i wozeczków, uwolniłoby się wiele rąk zdatnych do oręża i cugów pod siodła, które acz nie łatwo, przy troskliwej jednak pamięci na potrzebę, znajdowałyby się w marszu. Po Rzewuskim pozostał furgon ładowny przepyszną bronią; nie bez tego żeby ten i ów z obywateli przynajmniej, nie miał zbywającego oręża. Uszczerbek więc w hufcach mógł być dopełniony; nie zbrojni nawet jeźdzcy byliby przydatniejsi od zawadzającego taboru. Lecz miękkość starego wodza, nieprzemyślność otaczających go oficerów, niedoświadczenie ziemian, i jakaś powszechna ślepota na niebespieczeństwo, zostawiły rzeczy niemal po dawnemu.

Cztery szczupłe i tylko szykowniejsze nieco szwadrony, zawsze z ogromnym ciężarem bagażów, rano 17 maja ruszyły ku Bohowi. Pomijając miasteczko Woronowicę, Kołyszko posłał pluton dla zdjęcia stacji pocztowej. Oddział ten zabrawszy konie, złapał kryjącego się w kościele pod ołtarzem zasidatela Ciechanowskiego, który w tej stronie był postra-

chem patrjotów, i zasłużonego sprawie powstania Wyrzykowskiego wtrącił do więzienia. Nazajutrz z wyroku jenerała, nikczemny ten prześladowca rodaków zawisł na drzewie przy wielkiej drodze w swoim mundurze urzędowym.

Za powrotem oddziału z małej jego wyprawy, powstańcy będąc już tylko o trzy wiorsty od Boha, dowiedzieli się że mieli nieprzyjaciela przed sobą. Droga prowadziła do wsi Michałówki położonej prawie nad brzegiem; naprzeciw niej z drugiej strony rzeki o małe pół mili w prawo od Michałówki jest miasteczko Tywrów. Szeremetjew z trzema szwadronami ułanów stał w Tywrowie, dwa szwadrony były w Michałówce: wąski lasek przedzielał powstańców od Moskali. Kołyszko kazał zatrzymać się swoim, i zebrawszy oficerów pytał, coby czynić wypadało. Niektórzy radzili unikać boju z powodu świeżej przegranej; lecz Edward Jełowicki odezwał się z zapałem, iż właśnie dla tej przyczyny należy szukać bitwy, nagrodzić poniesioną klęskę i podnieść ducha żołnierzy. Wspierany mocno przez porucznika swego szwadronu Borzewskiego, prosił jenerała żeby mu pozwolił wziąść na się całą tę rozprawę, i otrzymawszy pozwolenie ruszył najprzód. Do szwadronu Jełowickiego przyłączyło się wielu ochotników, między innymi kapitan Lepin; reszta oddziału szła zwolna kierując się na prawo.

Ułani rozsypani po wsi, postrzegłszy powstańców, dosiedli koni niemal wszyscy i wybiegłszy na pole w stronę Tywrowa, uformowali się do boju. Z przodu zasłaniała ich wieś z wąską ulicą, którą nadbiegał Jełowicki; z lewego skrzydła mieli rowy na błocie przecinające drogę innym szwadronom Kołyszki. Hufiec Jełowickiego nie mógł mieć pomocy od swoich i musiał dwójkami wysuwać się ze wsi w obec uszykowanego nieprzyjaciela. Dowódzca jednak zagrzał słowem i przykładem, pierwszy puścił się pędem i utonął w środku nieprzyjacielskiego frontu, a żołnierze śmiało rzucili się za nim. Już Jełowicki utracił konia i bronił się pieszo, kiedy cały jego szwadron przeciągłym szeregiem wycisnąwszy się na równinę, coraz szerszym tłumem wpadał między lance i kule moskiewskie. Parcie wzrastającej siły przez chwilę nieznacznie brało górę, aż nakoniec ułani zmięszali się i tył podali. Natenczas poczęły się gonitwy: Moskale bici i ścigani uciekali do rzeki, która nie wszędy dawała się zgruntować: wielu ginęło w nurtach.

Tymczasem reszta oddziału powstańców, okrążywszy trzęsawiska, zbliżała się tutaj. Niektórym udało się przebrać się wprost przez rowy i zaskoczyć zbiegów u przeprawy. Aleksander Jełowicki z Borzęckim stanąwszy na tamie młynu, strzelali do tłoczących się w to miejsce najwęższego koryta. Borzęcki zniecierpliwiony nabijaniem strzelby, wołał

użyć swoich ramion niezrównanej mocy: chwytał Moskali za piersi i rzucał do wody.

Szeremetjew widząc porażkę swoich, wystąpił z Tywrowa we trzy szwadrony, ale bez dział nie mógł nic uczynić: zbliżywszy się tylko nad rzekę dla przyjęcia szczęśliwych w ucieczce, poprzestał na flankierowaniu, bardzo niekorzystnem w rozprawie z powstańcami, którzy jeszcze w Krasnosiołce dali dowód celności oka i dubeltówek.

Moskale stracili w poległych, rannych i utonionych do sta ludzi: kapitan szwadronowy, kilku podoficerów i kilkunastu żołnierzy dostało się do niewoli. Powstańcy opłacili wygranę ranami dziesięciu walecznych: jeden tylko z nich zginął od kuli przypadkiem po skończonej już bitwie.

W nagrodę odwagi i świetnie odniesionego zwycięstwa, Kołyszko na placu boju mianował Edwarda Jełowickiego rotmistrza szwadronu, pułkownikiem kawalerji narodowej.

Korzyść w nabytych koniach i rynsztunku była znaczna, większa jeszcze w pokrzepionem uczuciu własnej dzielności. Położenie jednak całego oddziału, bynajmniej się nie polepszyło; zakryte przed oczami i wodza i podwładnych niebespieczeństwa, otaczały zewsząd.

Przeciw pospolitym i jasnym prawidłom partyzanckiej wojny, przeciw wymaganiom samej naturalnej ostrożności, jenerał Kołyszko nie starał się umknąć rychło i skrycie od podrażnionego nieprzyjaciela, którego atakować nie mógł, a lękać się miał powody: cofnął się tylko do wsi Michałówki i myśląc nazajutrz blisko placu utarczki znaleść dogodną przeprawę, stanął na noc obozem. Rot znowu był zupełnie zapomniany, o strzelcach konnych nadchodzących z innej strony, nikomu ani się śniło. Szeremetjew wziął na siebie oświecić lepiej swoich zwycięsców, że nie powinni byli zasypiać spokojnie na świeżych wawrzynach. Przysłał prosząc, aby się mógł widzieć z dawnym swoim znajomym Aleksandrem Sobańskim. Kołyszko dodał Sobańskiemu szefa sztabu i jednego obywatela: schadzka odbyła się na promie daleko od obu brzegów rzeki.

Jenerał moskiewski, począł w sposób pełen delikatności i po przyjacielsku sklaniać powstańców do poddania się carowi. Chwalił ich bohaterskie poświęcenie się i męstwo, zdawał się nawet mieć jeszcze bardzo przesadzone wyobrażenie o ich siłach, kończył wszakże zastraszającemi uwagami. Mówił o wejściu Dwernickiego do Galicji, powiadał że wie jak ciężką klęskę ponieśli pod Daszowem, ostrzegał, że zewsząd są ścigani i prędzej czy później będą pobici; radząc więc żeby dla zasłonienia siebie i kraju od smutnych następstw broń złożyli, los ich brał na swoją odpowiedzialność, obiecywał wyjednać najłaskawszą amnestję. Propozycja ta została

przyjęta jak zasługiwała. Sobański równie grzecznym i dworskim tonem odpowiadał najprzód, że w obecnej chwili do niego raczej należało by podawać warunki układów, oświadczył nareszcie z powagą, że on i jego współbywatele walczą w sprawie, która się żadną przegraną nie zamyka, i wzięli w rękę oręż nie na to, żeby go oddali za przebaczenie. Szeremetjew był jednym z tych dowódzców wojsk moskiewskich, co w przeszłej wojnie pełnej przykładów srogości i barbarzyństwa ze strony zwolenników cara, zasłużyli sobie u Polaków na dobrą pamięć i szacunek. Szlachetny jego charakter musiał zapewne trzymać się w ciasnych karbach obowiąsków; rozmowa parlamentarska z powstańcami wszakże więcej może dogadzała jego sercu niżeli surowej powinności. Nie była bynajmniej chytrym wybiegiem na ich szkodę, a mogli odnieść z niej korzyść, lepiej otworzyć oczy na kierunek swojej wędrówki.

Dnia 18 maja, Kołyszko nie mogąc przejść Bohu pod Tywrowem, szukał przeprawy nieco niżej, a wszędzie znajdując czujność nieprzyjaciela, po stracie dwunastu godzin czasu, umyślił ciągnąć w górę rzeki do Janowa. Żeby zaś uniknąć wielkiej drogi, zwrócił się znowu na wieś Obodne, blisko której wypoczywał zaprzeszłej nocy. Maszerowano aż do świtu 19 maja. Przed wschodem słońca, kiedy oddział przecinał gościniec pocztowy idący z Bracławia na Winnicę, Aleksander Sobański schwytał kurjera wyprawionego z depeszami do korpusu Rota. Jenerał Szczucki raportował jenerałowi Rejternowi, iż stosownie do otrzymanych poleceń, we trzy szwadrony strzelców konnych i dwa działa stanąwszy pod Obodnem, zamknął buntownikom ostatnią drogę do ucieczki.

Nim zdołano przejrzeć papiery i zastosować się do powziętej z nich wiadomości, wychodząca z lasu na pole Obodnego kolumna powstańców, znalazła się w obec nieprzyjaciela. Liczba z obu stron była prawie równa, lecz wszelką widoczną wyższość mieli Moskale.

Deszcz padał, po kilku dniach ciągłych trudów i po całonocnym marszu, oddział Kołyszki szedł opieszale; zmęczone konie utykały często, jeźdzcom kleiły się do snu powieki, trudno było utrzymać w porządku rozwlekły i przerywający się szereg. Jeden tylko szwadron Jełowickich postępował na przedzie nieco w lepszym szyku. Zdawałoby się niepodobieństwem stoczyć bitwę, a tem bardziej myśleć o wygranej. Szczucki miał świeże siły, wyćwiczonych żołnierzy na spasłych koniach, stał w gotowości do boju, rozwinięty front błyszczał polerowną bronią, zawczasu odprzodkowane jego działa przebudziły drzemiących przeciwników. — Ledwo wszakże pięć ładunków wystrzelił, utracił wszystko i sam był jeńcem.

Powstańcy nie mieli czasu rozpatrzyć się i sformować: huk armat moskiewskich porwał ich do boju jak zastał, natchnienie rozdzieliło na trzy hufce i każdemu pokazało drogę. Edward Jełowicki ze swoim szwadronem rzucił się w prawo, Jan Zapolski na czele drugiej garstki w lewo, Aleksander Jełowicki wezwał kilkunastu ochotników i środkiem pomknął prosto na działa; reszta spóźniła się po zwycięstwo, przybiegła tylko zabierać zdobycz.

Ze szczupłej chorągwi rycerstwa polskiego, zapał niósł do walki mniejszą połowę, sto pięćdziesiąt koni leciało uderzyć na trzysta, sto kilkadziesiąt sążni świeżo zoranej i od słót rozmiękłej roli, leżało przed frontem i działami nieprzyjaciela. Moskale puszczali najprzód kule, potem kartacze, o trzydzieści kroków plutonami dali ognia z karabinków. Trzech tylko powstańców, a między nimi kapitan Skurat, zginęło od kartaczy; strzały ręczne przestrach obrócił wszystkie w niebiosa: nim ucichł ich turkot, łamały się już po obu skrzydłach szwadrony moskiewskie, w środku artylerzyści padali na lawetach. Aleksander Jełowicki, dobiegając w chwili kiedy kanonier zbliżał lont do panewki, wstrzymał go krzycząc: nie strzelaj bo zginiesz! i tym sposobem jedno z dwóch dział nie wypaliwszy w trzeciej kolei swego naboju, dostało się zwycięscom. Józef Borzęcki, Tomasz Ciechanowski, Stefan Zan, Józef Potocki, Aleksander Sobański, Ulatowski, Dębczakowski i kilku innych, oskoczyli zaraz służbę i zaprząg armat. Wymierzone cięcia i pistolety nie zdołały wstrzymać się natychmiast: kanonier który pierwszy rzucił lont i odpasywał szablę, padł przeszyty kulą z ręki Borzęckiego. Pogoń za pierzchającym nieprzyjacielem trwała godzinę, skończyła się o milę od pobojowiska. Wielkie i pozorne konie ciężkiej kawalerji moskiewskiej, nie mogły ujść od zwinnych biegunów ukraińskich; kilkunastu starych sołdatów Jego Carskiej Mości, rzucało liczny swój rynsztunek przed jedną lancą powstańca, przed chorągiewką szytą tajemnie, ciepłą jeszcze prawie od westchnień i łez patrjotycznych Polek. — Umknął tylko lekarz, który był za frontem, i udało się uciec trzem lub czterem żołnierzom. Przeszło sześćdziesiąt różnego stopnia Moskali poległo trupem; jenerał, pułkownik, jedenastu oficerów i 299 strzelców z końmi, dostało się do niewoli. Dwa działa z najpiękniejszym zaprzęgiem i pełnymi jaszczykami, oraz wszystkie bagaże pomnażały wartość chlubnej i korzystnej zdobyczy. Pozyskała ją sama niezrównana odwaga i waleczność: wódz miał udział w zwycięstwie tylko jako mężny żołnierz. Widziano starca z odkrytą siwą głową w najgęstszym tłumie rąbiącego nieprzyjaciół.

Rozprawa pod Obodnem, była dla oddziału Kołyszki

kwestją życia lub śmierci; wygrana przyniosła mu tę najpierwszą korzyść, że miał otwartą drogę. Nie bawiąc przeto na miejscu, tegoż dnia jeszcze uszedł trzy mile, nazajutrz pominął Przyłukę, a 21 maja stanął naprzeciw Janowa. Do wyciągnienia wszelkich innych pożytków ze zwycięstwa, brakowało czasu; urządzano się w marszu i na wypoczynkach, bez wielkiego skutku.

Jeszcze na placu bitwy, jenerał przemówiwszy z podziękowaniem do Edwarda Jełowickiego, oddał pod jego dowództwo zdobytą artylerję *); lecz że nie było własnych ludzi usposobionych do służby przy działach, musiano zatrzymać część kanonierów moskiewskich. Nie przyszła nawet nikomu na myśl ta ostrożność, żeby pomiędzy posłusznych, ale nie w duchu nawróconych nieprzyjaciół, wmięszać pewną liczbę swoich. Reszta jeńców, jak zwykle była dla powstania tułającego się we własnym kraju, prawdziwym kłopotem. Przed pierwszym noclegiem puszczono wolno wszystkich żołnierzy

---

*) Oto jest świadectwo, które jenerał Kołyszko po wejściu już do Galicji przesłał marszałkowi Jełowickiemu, jako zasłużoną nagrodę od zwierzchnika, dowód szacunku od współobywatela i miłą pamiątkę od towarzysza broni w powstaniu. Umieszczam tu wierną kopję z oryginału:

Naczelnik siły zbrojnej Powstania Podolsko Ukraińskiego,

do W. Pułkownika

EDWARDA JEŁOWICKIEGO.

Kiedy w ciągu krwawych bojów wszystkie papiery zatracone zostały, a stanąwszy w Galicji z boleścią serca broń złożyć przymuszeni jesteśmy, — miło mi, oddając hołd zasługom i waleczności WPana, powtórzyć to podziękowanie, które w dniu 7 maja 1831 r. jako jeszcze Marszałkowi Powiatu Hajsyńskiego złożyłem, za prace i gorliwość nad zbieraniem Powstania w Powiecie Hajsyńskim, któremu przewodniczyłeś, jako też i poświęcenie się, którego dałeś dowody przez uformowanie swoim kosztem pięknego szwadronu jazdy, a którego z mianowania mojego zostałeś dowódzcą w randze rotmistrza z przeznaczeniem do pułku 1go imienia Jełowickich.

Świetną wygranę pod Tywrowem, którą WPan odniosłeś na czele swojego szwadronu, miałem przyjemną powinność wynagrodzić mianowaniem Go w dniu 18 maja 1831 r. w obozie pod Michałówką Pułkownikiem, z zachowaniem dowództwa tego samego szwadronu.

Gdy odniesione w dniu 19 maja 1831 r. zwycięstwo nad nieprzyjacielem pod Obodnem, które się w znacznej części waleczności P. Pułkownika należy, dało nam w zdobyczy dwa działa; zaczynając mieć artylerję, mianowałem P. Pułkownika dowódzcą onej.

Pamięć walecznych czynów Obrońców Ojczyzny Kolegów moich zawsze mi obecną będzie. Nie mogę przenieść, abym dziś po złożeniu broni, jako Dowódzca nie przesłał mu dowodu Jego zasług dla Ojczyzny, i nie powtórzył podziękowania, jako też szczerej mej wdzięczności.

Dowódzca Powstania Podolsko-Ukraińskiego

Benedykt Kołyszko, Głm. Generał major W. Pol.

Dan w Skałacie, 27 Maja 1831 r.

(M. P.)

i podoficerów, biorąc tylko od nich słowo że się przeciw Polakom bić nie będą, a przy hojnym datku pieniężnym obdarzając serdeczną nauką o wolności; oficerowie zostali w niewoli, albo raczej w uprzejmej gościnie wędrownego taboru. Wszędzie obchodziliśmy się podobnie z wrogami, których los walki podał w ręce nasze. Nie jeden z nich pałał drapieżną nienawiścią ku nam, wielu tylko bicz despoty napędzał do boju; wszyscy jednak zarówno służyli przeciw nam carowi — i tyle krwi, tyle łez polskich zlewało ciągle ojczystą naszę ziemię, tyle jęków wydzierało się z więzień do uszu braci mających oręż i karki schwytanych ciemiężców na użycie praw odwetu — zemsta jednak była od nas daleko. Zdaje się że naród tak długo będący męczennikiem, nie miał jeszcze powołania orężem pozyskać tryumfu dla swojej sprawy: powszechnie umieliśmy przebaczać zwyciężonym, nie umieliśmy korzystać ze zwycięstwa. Wspaniałomyślność i chrześciańska cnota odpuszczenia winy, zostały kwiatami w cierniowym wieńcu Polski: może nasiona z nich nie padną na opokę i powschodzą kiedyś! Co więc wzniosłych uczuć było dziełem, nie kładźmy tego w karb błędów; nabłądziliśmy dosyć z mniej zacnych powodów.

Po rozrządzeniu artylerją i jeńcami, wypadało jenerałowi Kołyszce i wszystkiej starszyźnie oddziału, zająć się najtroskliwiej pomnożeniem swojej siły, do czego nowa zdobycz nastręczała szacowną sposobność. Trzysta przeszło zabranych koni, można uważać na czas niejaki przynajmniej, za mało pożyteczny nabytek, gdy było dosyć i lepszych swoich; ale trzysta wybornych karabinków, tyleż par pistoletów i pałaszy, tyleż siodeł wreszcie, to należało cenić rzeczywiście jak otrzymany w pomoc oddział trzystu powstańców. Zwycięstwa pod Tywrowem i Obodnem rozgłaszały się prędko w okolicznych stronach: przybywali nowi ochotnicy, dawniejsi straceni w rozsypce, wracali z domów; werbunek powstański mógł iść szybko, a teraz była najwłaściwsza pora oderwać od wozów wszystkich zdatnych do oręża ciurów i uzbroić doświadczonych już w wierności rekrutów. Ale jakiś psotny duch nie dozwalał niczemu wyjść na pożytek. Wozów liczba pomnożyła się niemal we dwojnasób, w szeregach nic nie przybyło; cała zdobycz w umontowaniu i rysztunku rozpełzła się po ręku, nie przyniosła najmniejszej korzyści, owszem obróciła się na zgubną szkodę. Powstańcy złudzeni zwodniczym pozorem, rzucali swoje dzielne konie i zwycięskie lance, przesiadali na spasłe rumaki strzelców, wieszali na siebie ile mogli broni palnej — wiatronoga jazda ukraińska, zamieniała się w ciężki a nie umiejętny hufiec dragonów. Wielu oficerów i dowódzców przewidywało już złe z tego skutki; ale na ich przestrogi panowie wolontarjusze wykrzykiwali

z obruszeniem: «jakto! nie wolno nam używać broni którąśmy zdobyli?» — Jenerał próbował rozkazywać, a w końcu mówił swoim zwyczajem: «nie mam serca postępować surowie z tymi, co się tak pięknie za ojczyznę poświęcili, co są warci największej wdzięczności i nagrody.»

Dla zapobieżenia cokolwiek niesubordynacji i nieporządkowi, tudzież dla ułożenia nadal obrotów, d. 21 maja przy odpoczynku porankowym odbyła się w obozie rada wojenna. Widocznie mdłość u steru była najbliższą przyczyną wewnętrznych niepowodzeń oddziału; starając się więc podeprzeć miękką wolę zgrzybiałego wodza, dodano mu na wykonawców jego poleceń dwóch ludzi, których tęgi i żywy charakter obiecywał nieugiętość i pośpiech we wszystkiem. Odtąd jenerał miał tylko wydawać na piśmie rozkazy, sąd na przestępnych, i marszruty każdodzienne; a Jan Zapolski i Aleksander Sobański, odziani najwyższą władzą wykonawczą, mieli czuwać nad organizacją, przywodzić do skutku wyroki karne, rozpoznawać drogi i pilnować porządku w pochodzie. Za ogólny punkt dążenia naznaczono okolice Baru, gdzie spodziewano się znaleść inne oddziały powstańców, pod ich zasłoną wypocząć i uorganizować się lepiej.

Korpus podolsko-ukraiński, od samego początku wzdychał ciągle do wypoczynku i zaprowadzenia u siebie ładu; obu tych rzeczy nie mógł osiągnąć nigdy. Hufiec partyzantów, zwłaszcza w wojnie narodowej ziemian, powinien po wszystkie czasy mieć to na pamięci, że ruch jest dla niego jedynym przytułkiem, bój jedynym sposobem wyćwiczenia się i wzrostu. Lecz do pomyślnych skutków w tym trudnym zawodzie, potrzeba niezmiernie ześrodkowanej władzy, jasnej i opatrznej myśli na czele, ślepego posłuszeństwa i niezachwianej wytrwałości wewnątrz: słowem trzeba wodza, któryby był śmiałym wojownikiem i mądrym organizatorem, trzeba podwładnych którzyby umieli nie tylko poświęcić życie, ale do szczętu wyzuć się z osobistej dumy. Kołyszko do późnych dni swoich zachował odwagę żołnierza, lecz talentu, co w każdym wyższym naczelniku jest niemal szacowniejszym, a bez wątpienia rzadszym przymiotem, talentu tworzenia sił i korzystania ze wszelkich środków, może nigdy nie miał, może pozbył się z laty. Obywatele Podola i Ukrainy obok najpiękniejszych ofiar, przynieśli do powstania wiele niepoprawionych jeszcze wad szlachty naszej: namiętność do urzędów i tytułów, zgiełk ścierających się wiecznie pojedyńczych usiłowań, i nakoniec zupełny brak wytrwałości. W całej hierarchji rozgałęzionego na mnóstwo odnóg naczelnictwa, nikt nie pilnował się ściśle swojego miejsca i nie pojmował wyraźnie swego obowiąsku: wszyscy działali gorliwie i czynnie, ale wszyscy nie widzieli jasno ani co najprzód należało

przedsięwziąść, ani do czego szczególnie dążyć. Zbrojna gromada, która z natury rzeczy powinna była stać się polotnym hufcem i ciągle krążyć po kraju, w miarę swego wzrostu wydawać z siebie ukształcone zarodki nowych oddziałów, zamieniła się w ciężką i niepłodną narośl, pragnęła przyspoić się do spokojnego gruntu i ssać z okolicy pożywne soki, na nieokreślony jakiś koniec. Ogromny tabor, niby zakład regularnego korpusu, i razem niby prowincja ukonstytuowana na wozach, trwał z dnia na dzień, wędrował od punktu do punktu, spotykał nieprzyjaciela zawsze niespodziewanie. Klęska pierwszej potyczki, rozwiewając jego liczbę i na niej zasadzone nadzieje, nie zwróciła go jeszcze do właściwego toru; świetne i szczęśliwe powodzenia dwóch innych rozpraw, nie zdołały dosyć podnieść w nim raz straconej ufności. Jakiś defekt śmiertelny był w tem ciele, i nic mu nie mogło wyjść na pożytek: zwątpienie ogarniało wszystkich, zwycięstwa obudzały tylko żal, zgryzotę i wzajemne wymówki za przeszłe błędy, za grzechy pierworodne i późniejsze powstania. Powszechny sąd zwalał na przedwczesne poruszenie się Sobańskich wszystkie dalsze przyczyny złego; Sobańscy nie śmieli usprawiedliwiać się wówczas, odpowiadali tylko że nie z ich winy przeważył się los pod Daszowem. Znowu następowały boleśne uwagi nad tem, jak wygrana była prawie w ręku, jakby nieporachowane przyniosła korzyści, i znowu opinja szukała najbliższego winowajcy. Szlachetny Orlikowski pokornie poddawał się pod wyrok publicznego głosu, surowie oskarżał i potępiał sam siebie — za nieszczęsne słówko nazad! Słuszne perswazje rozsądku i tkliwe usiłowania przyjaźni nie mogły go uspokoić i pocieszyć. Po Tywrowie i Obodnem, szef sztabu powtarzał zawsze: «cóż z tego żeście zwyciężyli? na cóż przyda się wasza bohaterska waleczność, kiedy ja całą rzecz zgubiłem w bitwie daszowskiej!» Papiery znalezione przy jenerale Szczuckim objaśniły powstańców o rzeczywistym stanie sił moskiewskich; co zaś wzajemnie im samym przybywało w pomoc, o tem nie mieli żadnej wiedzy. Pocieszano się więc słowami, ale w duchu każdego zamraczał się widok przyszłości. Powody smutku i trwogi, jakby umyślnie nasłane, zgromadzały się co raz bardziej.

Pod wieczór 21 maja, kiedy Kołyszko przeszedłszy Boh w Janowie, stanął na nocleg, przybyli do obozu najprzód Józef Tomaszewski, a w godzinę potem Wincenty Tyszkiewicz. Pierwszy wracając z Galicji, schwytany był przez Moskali, stawiony przed Rydigerem, i odesłany pod strażą do Żytomierza. Umknąwszy szczęśliwie z rąk nieprzyjaciół, szukał swoich, i przyniósł im dokładne wiadomości o wypadkach, które towarzyszyły przejściu Dwernickiego za gra-

nicę austrjacką. Drugi, skoro popłoch rozsypki daszowskiej sparaliżował nowe przygotowania sił zbrojnych, pragnąc przynajmniej osobą swoją wypłacić ostatni dług sprawie ojczyzny, starał się dostać do oddziału Kołyszki. Droga była niepewna, nikt swobodnie podróżować nie mógł; naczelnik spisku oddawna już będący w podejrzeniu u policji, tem więcej miał niebespieczeństw przed sobą; nic go jednak wstrzymać nie zdołało; patrjotyzm zacnej i odważnej Polki przybył mu w pomoc. Przebrany za woźnicę Panny Wisłockiej (która udając że spieszy odwiedzić śmiertelnie chorego brata, udała się wprost do jenerała Rota z prośbą o kartę na wolny przejazd) bawił kilka godzin w obozie moskiewskim w Woronowicy i przywiózł do Janowa ostrzeżenie o tuż nadchodzącym nieprzyjacielu. To wszystko do reszty przygniotło i strwożyło zachwiane już umysły. Powstańcy zerwali most na Bohu, wymierzyli działa ku rzece, a jak tylko o zachodzie słońca ujrzeli z drugiej strony ułanów moskiewskich, puścili się na całą noc w pochód.

Dzień następny i jeszcze jednę noc trwała mozolna wędrówka krętemi manowcami przez powiat lityński. Kołyszko uchodząc od Rota i lękając się spotkać Szeremetjewa, dążył skwapliwie w okolice Baru, dokąd prosto idąc miałby tylko sześć mil drogi; posyłał częstych gońców na wyszukiwanie spodziewanych tu zasiłków, swój oddział wycieńczył forsowanym marszem, i o świtaniu 23 maja stanął na wypoczynek pod wsią Majdankiem pułkownika Belkiego, niedaleko Kalnej Deraźni w powiecie latyczowskim. Skołatanemu troskami wodzowi zdaje się że już nie świeciła żadna nadzieja: za Barem i za tem wszystkiem co tu mógł znaleść w pomoc sobie, w Galicji przewidywał najpewniejszy ratunek. Korpus zmęczony błąkaniną po lasach nieznajomej strony, roztarty ciężarem własnego taboru, stracił ostatek ładu, upadł bardzo na duchu. Chwila rozwiązania jego losu była bliska; lecz mając tuż za sobą nieprzyjaciela, miał także o jeden marsz przed sobą rzeczywiście silne wsparcie. Przez ten czas powiem kiedy połączone hufce południowego Podola i Ukrainy, puściwszy się na kampanję w otwartem polu, z poważnego korpusu redukowały się do szczupłej gromady: zawiązek powstania latyczowskiego krążąc na miejscu, ściągnął do siebie wszystkie oddziałki zbrojne północnych powiatów podolskich, i stawał się nowo wzrastającym korpusem. Wypada teraz przebyć jego dzieje.

VIII.

Powstańcy w liczbie 70 koni pod dowództwem Nagórniczewskiego zgromadzeni w lasach Zeniczkowice, poczęli sobie od kroków najwłaściwszych formującemu się oddziałowi partyzantów ziemian. Staraniem ich było zataić się jak najściślej przed okiem nieprzyjaciela, a pomnażać, uzbrajać, i ćwiczyć swoje siły. Bez ustanku przeto zmieniając stanowisko, obracali się po domowej okolicy między Deraźnią i Barem. Połowa oddziału zwykle odbywała patrole i ostrożne wycieczki do przyległych obozowi wsi i dworów. We wsiach szlacheckich werbowano ochotników, w dworach mianowicie bogatych właścicieli, zabierano konie zdatne pod żołnierza, siodła, wszelki oręż i żywność, dając na to kwity z ocenieniem rekwizytów. Obywatele życzliwi sprawie narodowej, jeśli sami osobiście nie mogli jej służyć, mieli sposobność datkiem bespiecznie wspierać powstanie; przymus pozorny zasłaniał ich od prześladowań moskiewskiego rządu. W miarę wzrastającej wieści o mocy oddziału, który między gminem uchodził za komendę z korpusu Dwernickiego, co raz prędzej zwiększała się jego liczba. Szlachta i włościanie pojedyńczo i po kilku, zbrojno i bez broni ściągali się do obozu. Z rozbitków uszyckich Moniuszko przyprowadził kilkunastu jeźdzców; z Płoskirowa i Starego Konstantynowa przywędrowała prawie wszystka młodzież palestrancka. Trzech nawet kleryków pewnego zakonu żądało zamienić sukienkę na ubiór wojenny. Sam przeor wyprawił ich z klasztoru, mówiąc: «jesteście młodzi, idźcie bić się za ojczyznę, bo i to powinność święta; nam starym zostawcie tymczasem służbę bożą. My będziemy modlili się za was, my będziemy prosili Boga żeby błogosławił sprawie, która jest razem sprawą wolności i wiary. Nie raz Polska znajdowała zasiłek na wojnę w kościołach i klasztorach swoich, znajdzie go i teraz: powiedzcie braciom zbrojnym, że wszystkie zapasy naszego zakonu, wota z obrazu cudownego Najświętszej Matki i skarby kościelne, w potrzebie oddamy na ratunek ojczyzny.» — W przeciągu dni pięciu od 10 do 15 maja, hufiec powstańców liczył już niespełna 300 ludzi. Bagaże jego były zawsze szczupłe. Kuźnia i warsztat rymarski, głównie obciążały ruchawą kolumnę. Skoro tylko zdarzyła się sposobność rozłożyć narzędzia, robota majstrów pod pilnym dozorem szła szybko. Każdy przybysz natychmiast mógł mieć lancę, a chociaż trudniej było sporządzić siodło, byle munsztuk albo tręzla, wolał choćby siedząc na worku wypchanym sianem stanąć w szeregu jazdy, niżeli służyć w piechocie. Ta powszechna skłon-

ność tutejszych mieszkańców do konia, ta ich nieufność w sposób wojowania pieszo, nie dozwalały utworzyć oddziałku strzelców bardzo przydatnego w okolicy dosyć lesnej. Tylko dla zupełnego niedostatku koni, kilkudziesiąt ludzi składało do czasu kompanję pieszą, z warunkiem wszakże iż za pierwszą zdarzoną sposobnością wszyscy przejdą na jezdnych; jazda obecna zawierała uzbrojonych w lance, pałasze, i po części w broń palną, 220 żołnierzy.

Kiedy połowa oddziału z kolei swojej była w czynności, druga tego dnia ćwiczyła się w musztrze, rano na piechotę, a wieczorem konno. Jedynym dawnym wojskowym, jedynym instruktorem był sam dowódzca Nagórniczewski. Ale ten człowiek cichy, skromny i łagodny, przy niezmordowanej czynności okazał wielką moc charakteru, trafną prostotę w wyborze środków i rzadki talent łatwego zaprowadzenia porządku. Ze stopnia swego tylko porucznik, ze znaczenia między współobywatelami niemajętny dzierżawca dóbr, umiał jednak taką sobie zapewnić powagę, że władza najwyższa rzeczywiście leżała w jego ręku. Najbliższą podporą i pomocą byli dla niego Aleksander Gołyński chorąży powiatu, i drugi znakomity wziętością organizator zmowy. Ogólnie przytem młodzież szlachecka dawała dowody gorliwości, zrzeczenia się miłości własnej, i przejęcia się obowiąskami żołnierza: słudzy i włościanie tem ściślej i milej spełniali powinność obok swoich dawniejszych panów. Harmonja, zaufanie i powszechna ochota panowały w obozie: nikt prawie nie czuł ciężaru trudów i posłuszeństwa, chociaż zwierzchnicy pracowali szczerze, podwładni ulegali ściśle.

Z początku 70 jeźdzców dzieliło się na dwa plutony, każdy po rot 15: pierwszym dowodził Gołyński, drugim jego współorganizator przygotowań w powiecie. Wkrótce oba plutony napełniając się ochotnikami zamieniły się w dwa szwadrony, a każdy z ośmiu plutonów miał rot 12. Rozsądek naczelnika instruktora, potrafił ze zwykłego regulamiu wojsk regularnych wyłączyć drobiazgowe i pedantyczne prawidła, a istotnie potrzebnych ułatwić pojęcie. Improwizowany dywizjon w kilka dni przebiegłszy szkołę plutonu, z zadziwiającą sprawnością wykonywał już główne obroty szwadronowe. — Jest to przykład, który powinien ośmielać ziemian zastraszających się zbytecznie niedostatkiem czasu i sposobów do tworzenia porządnych hufców w razie narodowego powstania. Inny oddział powstańców tejże prowincji, mniej szczęśliwy w organizacji, zostawił świetną naukę, jak trzykroć liczniejsze zastępy wiele lat musztrowanych sołdatów carskich, nie zdołały oprzeć się zapałowi i odwadze. — Gdyby na całej przestrzeni kraju patrjoci podnieśli się razem, gdyby nie cisnąc się w tłumne gromady wszystkie, strony

napełnili ruchomemi oddziałkami, hufce te właściwym trybem mogłyby prędko obracać się w umiejętne szwadrony; z takich szwadronów dopiero mogłyby składać się pułki, korpusy. Nieprzyjaciel musiałby albo w masach trzymać się stanowisk strategicznych, albo rozsypać się podobnież na drobne komendy. Nieruchomy, coraz w przykrzejszem oblężeniu, doczekałby się rozprawy z porządnie zebraną koło niego siłą; rozsypany, wyginąłby niezawodnie. Lecz właśnie że powstanie nie było powszechne, kilka tu i owdzie wszczętych jego zawiąsków znajdowało się w trudnem położeniu: jedne od razu wpadły na drogę wielkiej wojny, inne prędko zmuszone zostały w azardownych przedsięwzięciach próbować szczęścia.

Oddział latyczowski wyczerpał już swoją gniazdową okolicę z zapasów, ściągnął na nią oko nieprzyjaciela, dla dalszego wzrostu potrzebował koniecznie zaczepnej wyprawy. Głos współobywateli wzywał go do miasta powiatowego, gdzie cała załoga składała się z 18 ułanów i zwyczajnego garnizonu weteranów, a Duchowieństwo katolickie i pospólstwo oczekiwało powstańców ze wszelką gotowością na ich wsparcie. Komunikacje z obozem odbywały się przez podeszłych w lata patrjotów, a najczęściej przez kobiety, krewne i przyjaciołki koczujących wojowników. Zacne te Polki odważnie puszczając się na przykre i niebespieczne podróże, przywoziły zbrojnym braciom proch, kule, proporce, kokardy, szarpje, bieliznę i wiadomości o nieprzyjacielu. Nagórniczewski mając doniesienie, że właściciel wsi Wonkowiec, Ludwik Czerkas, którego Stempowski spodziewał się zastać pod bronią, wystąpił nareszcie w kilkadziesiąt kozaków i strzelców, ułożył był połączyć się z nim i 18 maja uderzyć na Latyczów; dwoma dniami przed tem świeże nowiny skłoniły go ruszyć z miejsca niezwłocznie.

Kilka dam z różnych stron razem przyniosło do lasów żeniczkowieckich następne podania o ruchu sił moskiewskich. Reszta garnizonu z Międzyboża wyszła do Starego Konstantynowa. W Barze straż miejscową składał tylko szczupły oddział weteranów. Wojska przeznaczone do pilnowania powiatów: latyczowskiego, uszyckiego i przyległych, trzymały się zawsze prawie na linji wielkiego traktu. We wsi Hremiaczce stał pułk kozaków, w Zinkowie bataljon piechoty z dwoma działami, w Sołodkowcach i Wonkowcach dywizjon ułanów. (Szeremetjew z resztą ułanów był już w Tywrowie). — Tegoż dnia 16 maja, przybył do obozu obywatel najusilniej starający się pociągnąć powstańców do Latyczowa. Przywiózł on im na sztandar chorągiew kościelną z obrazem Matki Boskiej na dnie amarantowem, lamowaną srebrnym galonem, a równie pełen wiary religijnej jak gorący patrjota,

błagał braci żeby pod tym znamieniem wystąpili do boju, gdyż ma głęboką ufność iż to zapewni szczęście ich orężowi. Dwaj dowódzcy szwadronów, ludzie młodzi i polerowanych wyobrażeń, nie chcieli przyjąć ozdoby, która wedle ich uwagi, miała być tylko próżnym ciężarem odrywającym na straż kilku żołnierzy pożytecznych z lancą. Ale pobożne rycerstwo skwapliwie wyciągnęło dłonie po ten znak święcony: wielu prosiło o zaszczyt dźwigać go i bronić. Naczelnik podzielał ich uczucia, a nadto rad był ze wszystkiego co jego hufcowi mogło nadawać jakikolwiek pozór regularnego wojska. Przyjąwszy więc chorągiew wyprowadził zaraz cały swój oddział na pole, piechotę rozstawił do koła na czatach, a jeździe nakazał dać próbę ćwiczeń.

Uszykowane porządnie szwadrony, robiły rozmaite poruszenia stępo i kłusem, biegły jak do szarży raz całym frontem, drugi raz osobno, potem stanęły w czworobok koło swego wodza. Nagórniczewski przemówiwszy krótko, wezwał księdza Belkiego, żeby wysłuchał ogólnej przysięgi rycerstwa na wierną i wytrwałą służbę ojczyznie. Ksiądz uprzedzony wcześnie miał stosowną przemowę; po niej z podniesionym krucyfiksem odczytał rotę przysięgi. Dowódzcy i podwładni z odkrytemi głowami powtórzyli uroczyste śluby, w końcu wykrzyknęli wszyscy: «niech żyje ojczyzna i wolność! śmierć ich nieprzyjaciołom!»

Parada odbywała się w obecności dam i sędziwych obywateli, którzy przyjechali odwiedzić obóz. Zapał i wewnętrzne ukontentowanie malowały się na twarzach wojowników; radość i otucha napełniły widzów. Żołnierze nie mieli jednakiego ubioru, ale mieli jednostajne chorągiewki przy lancach, kokardy narodowe u wszystkich czapek; dzielność koni, rycerska postawa jeźdzców i zręczność obrotów, nadawały szeregom takie podobieństwo do regularnego wojska, że patrzący z daleka wpadali w miłe złudzenie, gotowi byli prawie powątpiewać, czy nie cudem jakim zjawiły się nagle przed nimi, tylekroć myślą witane i myślą pożegnane hufce z nad Wisły. Głosy pochwał i zadziwienia, podniosły jeszcze bardziej pierś zbrojnej braci; w sprawiedliwych sercach obok szlachetnej dumy obudziło się zaraz uczucie wdzięczności; zagrzmiał jednomyślny okrzyk: «niech żyje nasz dowódzca Nagórniczewski!»

Powstańcy pociągnęli na swoje stanowisko przygotować się do marszu pod Latyczów; goście rozjechali się głosić w powiecie najpomyślniejsze nowiny o jego sile zbrojnej.

Skoro tylko popasły się konie i ludzie zjedli wieczerzę, oddział ruszył na całą noc w pochód, i o wschodzie słońca stanął obozem niedaleko Derażni w lesie zwanym Wodziany. Ponieważ kolej służby przypadała na szwadron Gołyńskiego, dowódzca rozstawiwszy czaty i placówki, zwykłym porząd-

kiem rozesłał resztę i sam udał się na furażowanie i werbunek. Patrole te odwiedziły Kalną Deraźnię, Bucniowę, Karaczyńce i wiele okolicznych dworów, wsi i majdanków. Kilku młodych obywateli z uzbrojonymi ludźmi zaciągnęło się do szeregów, zebrano dziesiątek koni z osiodłaniem i kilkanaście sztuk broni palnej; ale za to upadła nadzieja spodziewanego zasiłku z Wonkowiec. Gołyński wracając do obozu postrzegł na trakcie z Deraźni do Baru przemykających dwóch jeźdzców. Posłana za nimi pogoń w krótce przyprowadziła do placówki obywatela Czerkasa z jego towarzyszem Czuchralskim: oba byli bezbronni i tułali się po lesie szukając własnego bespieczeństwa, bo skompromitowani w czasie zamieszek z powodu okolników Chrościechowskiego, później gdy Szeremetjew nadciągnął, nie mogli jak powiadali, ani odkopać oręża, ani zebrać przygotowanej siły.

Bynajmniej to jednak nie osłabiło dobrej myśli w idących zdobywać miasto, a wieść o tej wyprawie rozgłaszała się już po okolicy i zapalała przyjemne nadzieje. Znajdowali się już nawet ludzie troskliwi o administrację powiatu, który spodziewano się jutro widzieć oczyszczony z władzy moskiewskiej. Pewien znakomity urzędnik przybył z oświadczeniem że nie mogąc służyć wojskowo, chętnie poświęca się na usługi cywilne, i obejmie rządy w oswobodzonym mieście. Powstańcy przyrzekli uczynić mu zadość i zamówili tylko sobie, żeby czekał na nich z obiadem. Nominowany rządca pośpieszył zabrać się z kuchnią i winem do Latyczowa. — Tuż za nim wyprawił Nagórniczewski młodego adwokata Czerwińskiego, który nastręczył się do pilniej potrzebnej usługi. Miał on obaczyć co się działo w mieście, i jeśliby nadciągnął jaki nowy nieprzyjaciel albo zaszło co ważnego, po północy osobiście lub przez kogokolwiek dać o tem wiedzieć do karczemki będącej w lesie na drodze z Latyczowa do Warynki; jeśliby zaś wszystko było w dawnym stanie, uprzedzić mieszczan o przybyciu nazajutrz powstańców. Nieobecność żadnego emisarjusza w karczemce, miała być znakiem iż nic nie stawało na zawadzie przedsięwziętemu zamiarowi.

O godzinie 4 po południu 17 maja, Nagórniczewski ruszył w dalszy pochód, i późno wieczorem stanął na błoniu w śród lasów starostwa latyczowskiego, między Zharkiem, Majdankiem Belkiego, i wsią Kozaczkami.

Werbunek ochotników tak był rzeczą nałogową w tem prawdziwie po powstańsku obracającym się oddziale, iż żadna wieś pomijana nie uniknęła wojenno-apostolskich nawiedzin. W kraju naszym rolniczym, rzadko zamieszkałym, najszczęśliwsza okoliczność nigdy może nie zdoła od razu wszystkich wywołać do broni; lecz pewnie hufiec braci zbroj-

nych, zawsze w każdym domku znajdzie serdeczny datek, albo ochoczego towarzysza. Często też trafiały się piękne i tkliwe przykłady uczuć patrjotycznych, obudzających się nagle na widok współobywateli wojowników. W drodze z lasów deraźnieńskich do latyczowskich, Gołyński postrzegłszy dwór Zharek, mieszkanie dwóch braci Monkiewiczów znajomych nieco jemu, wziął parę żołnierzy i zboczył do nich. Od czasu zwichniętych pierwszych poruszeń do powstania, panowała tu jak w wielu innych miejscach głucha cisza: niewyraźne pogłoski o utworzonym w powiecie oddziale zdawały się baśniami, broń poszła w głębokie ukrycie, gospodarze znowu wzięli się do spokojnych zatrudnień wiejskich, wiosna roztoczyła im przed oczyma zwykłe powaby swoje, marzone obrazy wojny usunęły się dalej. W domu był tylko brat starszy Jerzy, od miesiąca dopiero żonaty z młodą i piękną małżonką. Skoro jednak ujrzał powstańców, skoro usłyszał jak i dokąd ciągną, nie dał sobie więcej mówić, kazał natychmiast dobyć oręż i siodłać konie. Żona nie ustępowała mężowi w patrjotyzmie; pogodą twarzy, słowami pełnemi zapału i dobrej nadziei starała się owszem pokrzepiać jego męstwo. Miłość młodego stadła ze świątobliwą rezygnacją uległa miłości Ojczyzny; oboje dziękowali Bogu za szczęśliwe zdarzenie, oboje serdecznie ucałowali dowódzcę wojujących powietników, oświadczając mu wdzięczność, że lubo mało znajomy, nie wątpił iż w ich domu znajdzie prawe uczucia polskie i nastręczył przeto sposobność wypłacić dług, któryby pozostał dla nich bolesnym ciężarem. Dopiero kiedy przyszła chwila ostatecznego pożegnania i mąż wyrwawszy się z objęć żony dosiadł konia, czułość kochającej kobiety wzięła górę nad bohaterstwem Polki. — Może przeczucie ostrzegło ją w duszy. — Zalała się łzami i padłszy na ręce Gołyńskiego zawołała ze smutkiem: «pamiętaj że on jest małżonkiem, że ma być ojcem: bądź dla niego w każdym przypadku bratem, aniołem stróżem!» Człowiek przyrzekł co było w jego mocy, reszta należała do Boga.

W obozie, dowódzcy opatrzyli broń każdego żołnierza, rozdali im ładunki po większej części z luftek, koniom kazali dać podwójną miarę owsa. Rycerstwo posiliwszy się żołnierską strawą, czekało przy ogniskach do północy; mila tylko bowiem drogi przedzielała obóz od miasta. Między pierwszą a drugą godziną, oddział ruszył z miejsca i wkrótce przymaszerował do umówionej karczemki. Czerwińskiego, ani żadnego posłańca z Latyczowa nie było; zmięszany Nagórniczewski, wziął się do rozporządzenia ataku.

Latyczów leży na wzgórzu, od zachodu i południa oblany szerokim i błotnistym stawem, przez który rzeka Wolk przepływa. Tylko gościńce z Nowego Konstantynowa i Litynia

idą suchym gruntem; z Międzyboża i Baru trzeba przejeżdżać przez groble i mosty. Ponieważ powstańcy przybywali od strony Baru, i rozciągłe błota przedzielały ich od traktu lityńskiego, Nagórniczewski umyślił fałszywym atakiem od Międzyboża ułatwić sobie wstęp do miasta przez długą groblę. W tym celu kazał Gołyńskiemu wziąść dwa plutony, z których jeden był karabinierski, udać się w lewo, przeprawić się w Rudni za rzekę, i wpadając z przedmieścia Zawołku, opanować most, rogatki i hauptwacht u wjazdu do miasta, a potem czekać dalszych rozkazów; sam zaś zsadził drugi pluton karabinierów na piechotę, konie ich razem z furgonami ukrył w lesie, pozostałych pięć plutonów rozdzielił na trzy części i zalecił dowódzcom, żeby skoro strzelców poprowadzi naprzód, szli za nim kolumną aż do poczty listowej, a stamtąd trzema rozchodzącemi się ulicami, osobno debuszowali na rynek.

Ścisły w każdej czynności i zawsze zimnej krwi naczelnik, urządzał się pomalu: rozdzielonej jeździe kazał jeszcze wykonać próbę przejścia w szereg do marszu i formowania się do boju. Tymczasem Gołyński mając 10 wiorst drogi, z obawy żeby się nie opóźnił, dołożył tyle pośpiechu, że daleko prędzej niż główna siła przybył do miasta. O świtaniu przebiegając Zawołk spotkał i zabrał 8 weteranów eskortujących więźniów do Kamieńca, schwytał kurjera, który wiózł na śledztwo oficjalistę porwanego z domu, gdzie Malinowski i Chróściechowski pisali odezwę; uciąwszy potem skobel opuszczonej rogatki miejskiej, wpadł na hauptwacht, rozbroił szyldwacha, i nim reszta straży zdołała wybyć z izby, już powstańcy mieli w ręku 18 karabinów znalezionych na słupkach przed drzwiami, i chwytali bezbronnych. Zdawało się wszystko powodzić jak najlepiej. Dowódzca kazał zamknąć jeńców, swoim stanąć frontem w szerz ulicy, a cieślom zgromadzającym się do naprawy przyległego młynu, popodruszać deszczki na mostach dla prędszego ich zrzucenia w razie potrzeby. Lecz dzień zajaśniał, a jeszcze nie było widać oddziału z drugiej strony i nikt nie przynosił wiadomości od naczelnika. Niecierpliwość i tęsknota ogarniała dowódzcę i żołnierzy. W tem uderzyły na gwałt dzwony kościelne i dał się słyszeć w mieście turkot bębnów moskiewskich. Żydzi z powodu swoich zielonych świątek całą noc modlący się w synagodze, wypadli tłumnie i z okrzykami podziwienia otaczając oddział zbrojny, wrzeszczeli że Polacy przyszli. Niektórzy z nich poznawszy Gołyńskiego poczęli wołać: «nu! co Pan chorąży tu robi? czemu tak mało ma z sobą Polaków? wszak to w mieście chmara Moskalów!» — Gołyński zabronił swoim ludziom wdawać się w rozmowę i na krok ruszać z miejsca, a wziąwszy na stronę kilku starszych ży-

dów, rozpytał się u nich jak się rzecz miała. Pokazało się że trzy kompanje polowej piechoty, przyprowadziły w nocy 1000 rekrutów transportowanych do Kamieńca. Moskale mieli odbywać dniówkę: rekrutów z jedną kompanją umieszczono na przedmieściu od strony Litynia, a dwie kompanje rozkwaterowano koło rynku. Nagle tedy znikła pewność zwycięstwa; położenie oddziału było widocznie niebespiecznem, główna siła zaś w ogniu dopiero miała postrzedz niespodziewaną liczbę nieprzyjaciela. Ogień karabinowy rozpoczął się rychło.

Nagórniczewski wiodąc piechotę przeszedł szczęśliwie groblę, spędził jeden posterunek u rogatki i po małym oporze drugi przy poczcie listowej; a gdy oba cofnąwszy się razem na rynek, uformowały łańcuch tiraljerów, rozsypał podobnież swoich celnych strzelców. Podczas tej utarczki, kolumny moskiewskie zebrane pod ratuszem, rozwinęły się frontem do trzech ulic, z których jazda powstańców wybiegała kłusem. Oprócz dwóch kompanji eskorty, były dwie kompanje weteranów. Pierwsze z nich, jedna po drugiej ogniem bataljonowym przyjęły debuszującą jazdę; następne rozpoczęły zaraz rzęsisty ogień rotowy. Powstańcy jednak uszykowali się szybko i porządnie. Nagórniczewski ściągnął natychmiast strzelców, a cały oddział konny poprowadził do szarży. W mgnieniu oka ucichły strzały, rozległ się w powietrzu krzyk wołających litości nieprzyjaciół. Szczątki skruszonej kolumny próbowały jeszcze zamykać się w domach i dawać opór: nasi zsiadłszy z koni wpadli za niemi, przez okna wyrzucali trupów, siekli i kłuli zbiegów po ulicach. Młody żołnierz zaufał prędko zwycięstwu, rozpalony powodzeniem nie umiał zachować miary w gonitwach: rozleciał się po mieście i drobnemi garstkami tłoczył się w różne zakąty. W tem ruch od strony Litynia ostrzegł o świeżym nieprzyjacielu. Ostatnia kompanja Moskali ciągnęła swoim na pomoc, wiodąc nawet rekrutów opatrzonych w drągi. Powstańcy, ile ich mięszało się na rynku, poczęli trwożyć sobą i z ust do ust siać popłoch. Pierwszy Czerkas który dowodził częścią jazdy i odważnie przodkował jej w ataku, stracił przytomność umysłu, nieroztropnie zawołał na całe gardło: «zginęliśmy! uciekajmy gdzie kto może, bo noga nasza nie ujdzie, otaczają nas ze wsząd!» Bóg wie jak przywidziało się komuś że z wojskiem dążyła artylerja! powszechny głos chwycił się baśni: każdy wrzeszczał «armaty! ćma Moskalów!» i każdy nie oglądając się zmykał.

Nagórniczewski postrzegł natenczas swój błąd, że nie zostawił rezerwy. Wszelkie jego usiłowania były teraz daremne: ledwo zdołał zgromadzić piechotę i kilkunastu jezdców, z czem cofając się wolniej zasłaniał ucieczkę reszty.

Powstańcy jednak różnemi przesmykami wybiegając za miasto, ochłaniali z przestrachu i zatrzymywali się pod lasem. Wkrótce wszyscy niemal zgromadzili się na miejscu skąd oddział ruszał do szturmu; wielu nawet uniosło z sobą broń zdobytą. W tej chwili nic jeszcze prócz zwycięstwa nie było stracone.

Skoro strzały ucichły w mieście, Gołyński nie otrzymując żadnych rozkazów od naczelnika, posłał dwóch żydów dla dowiedzenia się co się tam stało. We dwadzieścia minut żydzi powrócili ze smutną nowiną, a niedługo potem i sam postrzegłszy jeźdźców nieładem wybiegających z grobli pod górę, zabrał się także do odwrotu. Na przemian jednym plutonem stawiąc front nieprzyjacielowi, a drugim przechodząc mosty, cofał się stępo aż do Rudni, dalej zaś pośpieszył kłusem.

Gromadzący się przy lesie powstańcy patrzyli spokojnie na odwrót Nagórniczewskiego, który ścigany tylko do rogatki, z garstką swoją porządnie przyszedł do nich i kazał tłumowi formować się w zamiarze nowego ataku. Lecz raz zachwiana odwaga nie ukrzepiła się jeszcze we wszystkich, a Czerkasowi nie wrócił rozum. Przerażony samą myślą powtórnej bitwy, dowodził głośno że to nic nie warto, że trzeba rejterować czem prędzej, postrzegłszy nakoniec plutony Gołyńskiego zawołał: «oto już ułani biegą za nami od Rudni i tył nam zajmą; uciekajmy! uciekajmy!» Tak krzycząc spiął konia i z nieodstępnym swoim Czuchralskim, skoczył pędem w las. Za nimi kopnęło kilku, w inną stronę rzucili się inni, i wnet mało kto zastał na miejscu.

Kiedy Gołyński przymaszerował do tego punktu, Nagórniczewski znowu miał tylko lud pieszy i kilkunastu jeźdźców. Razem z plutonem karabinierów, który wrócił dopiero do swoich koni zostawionych przy furgonach, z szwadronów liczących przeszło 230 żołnierzy, dorachowano się ledwo 80 jazdy. Z taką garstką trudno już było przedsiębrać co innego, jak tylko zbieranie rozproszeńców. W tym celu naczelnik kazał ciągnąć na stanowisko gdzie wypoczywano ostatniej nocy. Znaleziono tu czekających już kilkunastu błędnych rycerzy, do wieczora zebrało się ogółem 140 koni, nazajutrz i później przybyło więcej.

W miarę jak wracały rozproszone siły, strata z wyprawy na Latyczów okazywała się co raz mniejszą. W boju poległo trzech tylko. Jerzy Monkiewicz, który na kilkanaście godzin przed walką pożegnał żonę i przyłączył się do powstania, padł przeszyty kulą; od strzałów także zginęli dwaj szeregowi. Ranni byli: młody Tomasz Dobkiewicz i pewien stary szlachcic niegdyś jeszcze konfederat barski. Pierwszy ledwo dający znak życia wyciągnięty z pomiędzy trupów,

po wyleczeniu się uszedł z rąk moskiewskich; drugi ugodzony w udo bagnetem, tegoż dnia przyjechał do obozu przeprosić, jak powiadał, towarzyszów że musiał ich opuścić. «Wybaczcie WPaństwo — mówił — że wracam do domu; ale ja mam spokojne sumienie, bom w każdej wojnie narodowej wypłacił dług ojczyźnie. Służyłem pod Puławskim i Kościuszką, biłem się w ośmset szóstym i ośmset dziewiątym roku, stanąłem z bracią i teraz. Bóg chciał, żebym za każdym razem w pierwszej rozprawie odniósł ranę; przy dawnych więc bliznach i świeżym bolu, zwłaszcza w moim podeszłym wieku, potrzebuję wypoczynku.» — Prócz pięciu tym sposobem straconych rycerzy, oddział nie odzyskał nigdy 40 popłochem rozegnanych w nieznajome im i odległe strony, gdzie niektórzy znaleźli przytułek, inni wpadli w paszczę policjantów. Stracił nadto swoją chorągiew dziwnym przypadkiem. Koń pod żołnierzem, który ją niósł na czele hufca idącego do szarży, draśnięty postrzałem zwierzgnął jeźdzca, a w biegu wlekąc za sobą chorągiew ustrzegłą w tuleju, pokruszył i zszarpał ją na szczątki. Nieprzyjaciel nie mógł chlubić się tryumfem: miał wielu zabitych, a więcej jeszcze poranionych od pchnięć niewprawnego do lancy żołnierza. Wśród trupów na rynku znaleziono komendanta garnizonu kapitana Dunejkę i dwóch innych oficerów. Powstańcy mimo rozsypkę, zyskali półtorasta karabinów i tyleż ładownic z nabojami.

Obozując resztą dnia 18 maja w lasach latyczowskich, Nagórniczewski przyprowadził do porządku uszczuplony swój oddział, i z dwoma najwytrwalszymi pomocnikami złożył radę względem dalszych działań. Postanowiono posunąć się najprzód między wsie szlacheckie, żeby wzmocnić się nowym werbunkiem, dla ożywienia ducha przedsięwziąść potem łatwiejszą wyprawę na miasto Bar, i jeśli szczęście posłuży, idąc lasami po nad rzeką Zharem wpaść do Litynia, a stamtąd znowu uderzyć na Latyczów i Międzyboż. Głównym widokiem tych obrotów być miało przecięcie komunikacji Kamieńca z Żytomierzem i z Rotem, o którym wiedziano że ścigał Kołyszkę na Ukrainie.

W skutek takowego planu, tegoż dnia oddział pomaszerował wstecz swoją drogą w las Wodziany, przeprawił się przez Wołk, i nazajutrz stanął pod Jabłonówką przy trakcie z Deraźni do Baru; lecz że wypadła potrzeba zbliżyć się do wsi Szyiniec, przed wieczorem przeszedł na drogę wiodącą do tegoż miasta od Michałpola i Bebech. Roztasowawszy obóz przy ogrodzie dworu szyinieckiego, Nagórniczewski zamierzał przepędzić tu dni parę, tak dla powzięcia dokładnych wiadomości o nieprzyjacielu, jako też dla wypoczynku żołnierzy, przemokłych w ciągu kilku dni słotnych, a pod-

musztrowania świeżo zebranych ochotników. Drugi dowódzca szwadronowy, zbłąkany w czasie rozsypki, znalazł się pod Jabłonówką i oba szwadrony miały już po sto trzydzieści kilka koni: piechota uzbrojona w karabiny liczyła przeszło 60 szczęśliwie zahartowanego w pierwszym ogniu żołnierza.

O południu 20 maja, przyjechało do obozu dwóch obywateli z doniesieniem, że asesor sądu niższego Dołgutowicz, zebrawszy bandę kacapów i gromady włościan ze starostwa latyczowskiego na łowienie powstańców rozpierzchłych po lasach, wpadł do osady szlacheckiej Hałuziniec i rabuje szlachtę za to, że wielu ich poszło do powstania. Przybyli, zaklinali naczelnika żeby dał ratunek ciemiężonym. Nagórniczewski nie rad był użyć swojej siły w rozprawie, gdzie mogła być rozlana krew biednych chłopków gwałtem pędzonych do czynności przeciwnej ich życzeniom; chcąc wszakże pojmać łotra usłużnego Moskalom, umyślił o zmroku otoczyć wieś i pojmać albo pobić asesora z kacapami, a włościan oszczędzając jak najtroskliwiej, puścić wolno, lub którzyby mieli ochotę wcielić do swego oddziału. Kiedy już wszystko było gotowe do marszu pod Hałuzińce, nowa wiadomość zapowiedziała bliższą i z ważniejszym nieprzyjacielem potyczkę.

Właśnie tego czasu dowódzcy wojsk moskiewskich pilnie zważając obroty Kołyszki, starali się otoczyć go zewsząd. Co tylko znajdowało się komend rozstawionych w tych stronach przez Szeremetjewa, ściągneli w jeden punkt dla zastąpienia mu drogi. Doniesiono więc Nagórniczewskiemu, że tegoż ranku w miasteczku Deraźni o półtorej mili od Szyinicc zebrała się siła złożona z bataljonu piechoty, dwóch dział, dywizjonu ułanów i sotni kozaków, a po południu wyprawione patrole udały się w różne strony. Szwadron ułanów poszedł pod Latyczów, kozacy zaś idą ku Barowi, i zapewne o zmroku albo w nocy będą w Szyińcach.

Stosownie do tej wiadomości zmieniły się plany powstańców i nastąpiły wypadki, które dokładnie przedstawi poniższy wyjątek z pamiętnika Gołyńskiego.

«Nagórniczewski widząc tak łatwą sposobność zaprawić młodego żołnierza, bez narażenia go na wielkie niebespieczeństwo, nie chciał cofnąć się przed nieprzyjacielem, owszem postanowił przyjąć go z gotowością, która nam tem pewniejszą zaręczała wygranę. W tym celu, skoro tylko słońce zaszło, zrobiwszy naprędce przegląd broni żołnierskiej, kazał ściągnąć placówki, zebrać obóz, i furgony pod strażą odprowadzić nieco w tył na drogę ku Hałuzińcom. Oddział zaś swój rozporządził w taki sposób. Staliśmy na wzgórzu przy drodze do Hałuziniec pod ogrodem dworskim okopanym rowem. W koniec okopu przychodziła droga od Szelechowa

i Jabłonówki, a kozazy nie mogli inną ciągnąć ku nam z Deraźni: drogę tę o kilka staj od ogrodu przerzynał strumień płynący w głębi jarku: na strumieniu był wąski mostek. Między jarkiem a ogrodem po prawej stronie otwierało się równe pole, po lewej leżały zabudowania folwarczne, a za niemi rzeczka rozlewała się w szerokie i grzęskie błoto. Nagórniczewski więc korzystając z położenia, postawił najprzód szwadron mój z plutonem karabinierskim na czele, przy końcu ogrodu wzdłuż drogi haluzinieckiej, a frontem do tej co wiodła od Jabłonówki: tu był nasz środek. Przeprowadził potem kilkudziesiąt pieszych za mostek, i umieścił ich w burzanach i krzakach na prawem skrzydle o strzał karabinowy od drogi: w tyle piechoty o pół staja na zakręcie jarku również ukrył w cieniu pagórka dwa plutony jazdy pod dowództwem Moniuszki. Resztę drugiego szwadronu z jego plutonem karabinierskim uszykował na skrzydle lewem pod zabudowaniami folwarcznemi, frontem do boku pilnowanej drogi; w końcu zaś zabudowań nad błotkiem utaił jeszcze kilkunastu strzelców. Placówka posuniona na górę za strumień otrzymała rozkaz, jak tylko się nieprzyjaciel zbliży ustępować bez strzału, a piechota nie pierwej strzelać, aż Moskale przejdą mostek i plutony karabinierskie dadzą do nich ognia. Wówczas dopiero piechota powinna była wziąść im tył, a jazda Moniuszki kłusem wyskoczyć na górę i zająć grobelkę od lasu, z którego droga wychodzi. Środek prosto w oczy, lewe skrzydło z boku dawszy najprzód ognia, miały przypuścić szarżę. Rozporządzenie takowe lubo nie zupełnie ściśle wykonane, dosyć pomyślny sprawiło skutek. Uszykowani czekaliśmy w największem milczeniu przeszło godzinę. Z razu noc była jasna, ale wkrótce chmury powlekły księżyc i ciemność osłoniła całą zasadzkę. Tentent koni uwiadomił nas nakoniec że się już placówka cofała: ujrzeliśmy ją spiesznie wbiegającą w szereg lewego skrzydła. Hufiec kozaków zwolna spuszczał się w głąb jaru, a zatrzymawszy się nad mostkiem, jeden z nich kilka razy powtórzył głośno: «kto idiot?» Gdy na to nikt nie odpowiadał, kozacy widząc chorągiewki sądzili że się zeszli ze swoimi ułanami i mówiąc między sobą: «eto naszyje» poczęli mostek przechodzić. Nagórniczewski stojąc obok mnie przy plutonie karabinierskim, zapowiedział że jego strzał będzie hasłem do bitwy. Jakoż skoro cała kolumna wyciągnęła z parowu i zbliżyła się dobrze, pierwszy palnął z dubeltówki, ja za nim wziąwszy na cel jadącego na białym koniu starego z siwą brodą dowódzcę powaliłem trupem, i wnet huknął z naszej strony rzęsisty ogień. Kozacy zmięszali się mocno; niektórzy jednak zaraz odpowiedzieli nam z janczarek. Wtenczas poprowadziłem mój szwadron

do szarży, a cała masa kozaków nie dotrzymawszy w miejscu, rzuciła się ku wsi. Tam znowu przywitani ogniem strzelców i szarżą półszwadronu uszykowanego pod oborami, zwrócili się pędem na mostek, a widząc że ten zajęty przez piechotę i na górze od lasu skąd przyszli stoi nasza jazda, nie zważając już na strzały biegli w strumień i błoto. Jedni osadziwszy konie w bagnie zmykali dalej pieszo, inni wybrnąwszy szczęśliwie pojedyńczo i kupkami dążyli w las. My także okrążyliśmy błoto i w rozsypce ścigaliśmy uciekających. Każdy pędził za swoim. W tej gonitwie postrzegłem na wzgórzu kilku kozaków, między którymi dwóch trzymało pod ręce trzeciego na małym ciemnym koniu w burce i kaszkiecie ceratowym. Z podobieństwa konia i stroju, zdało mi się że to był nasz dowódzca drugiego szwadronu, jakimś przypadkiem daleko od swoich oskoczony i pojmany przez nieprzyjaciół. Zwoławszy czemprędzej czterech żołnierzy puściłem się w pogoń, i doścignąwszy uchodzących wpadłem między nich we środek: do jednego strzeliłem z pistoletu, drugiego ciąłem na odlew w twarz pałaszem. Ten waląc się na tył mojego konia nie wiem czy go tylko przestraszył, czy piką swoją uderzył; ale rozegrzany koń tak się rozhukał że mię uniósł o kilkadziesiąt kroków naprzód. Gdy w tymże czasie ludzie będący ze mną, w pojedyńczej walce mieli do czynienia każdy ze swoim, mniemany mój kolega któregom chciał ratować rzucił się gdzieś w stronę i zniknął mi z oczu. Przekonany więc żem mu dał sposobność uwolnić się z rąk kozackich, nie długo szukałem go wzrokiem i wróciłem prosto do żołnierzy zajętych rozprawą na miejscu. Trzech kozaków leżało już skłótych, czwarty zsadzony z konia nie chciał poddać się i bronił się pieszo. Nadjechałem właśnie w momencie kiedy tak mocno uderzył drzewcem piki naszego podoficera, że tylko co go nie obalił na ziemię. Korzystając z tej chwili natarłem nań ostro, i gdy mi się zręcznie wymknął z pod piersi konia, ciąłem go w odkrytą głowę. Dopiero teraz chwyciwszy mię za nogę prosił o pardon, lecz nim zdołałem go zasłonić, rozezłowany podoficer sprawił się po odebranym ciosie i przeszył go lancą, na gniew mój odpowiadając: «co pan tego psa żałujesz, on by panu nie darował życia.» — Po skończonej utarczce pokazało się z obrachunku, żeśmy nic nie stracili, jeden tylko nasz był lekko raniony; mieliśmy zaś w zdobyczy 21 koni z rynsztunkiem i kilku jeńców, między którymi znajdował się porucznik. Kozaków, prócz ranionych, zostało na placu ubitych przeszło dwudziestu, a w ich liczbie kapitan. Złapany koń jego i zdjęte z piersi dekoracje, co wszystko porucznik będący w niewoli poznał, przeświadczyły nas o tem. Żołnierze przynieśli mi nazajutrz jego krzyże i medale,

powiadając iż do mnie należą, ponieważ ja go pierwszym strzałem zabiłem. Od porucznika jeńca dowiedzieliśmy się także, że całym oddziałem dowodził adjutant jenerała Rota Czeczagów i na początku bitwy odniósł ciężką ranę. Z opisania jego ubioru poznałem, że to był ten sam, któremu dopomogłem do ucieczki, biorąc go za mego przyjaciela. Pozdzierane z kozaków czapki, ładownice, pałasze, janczarki i tureckie pistolety, oraz długie ich dzidy, przyozdobiły i uzbroiły naszych żołnierzy.«

Odniosłszy pożyteczną zdobycz, a większą jeszcze korzyść moralną dla swego oddziału, Nagórniczewski uważał roztropnie, iż nie wypadało bawić w bliskości podrażnionego nieprzyjaciela. Zrzekając się więc wyprawy do Haluziniec, postanowił okrążyć Bar i ukrywszy się z drugiej strony tego miasta, wywiedzieć się dokładnie, jaka w niem była załoga, i jeśliby pokazała się niesilną, uderzyć na nią. Oddział niezwłocznie ruszył w pochód i rano 21 maja stanął obozem w lesie między Czerniatyniem a Hołodkami w powiecie lityńskim, o dwie mile na wschód Baru. Wkrótce przyszła tu wiadomość, że oddziałki powstania z powiatów winnickiego, jampolskiego i mohylowskiego, połączywszy się z sobą w lasach koło Brailowa i Noskowiec, formują jeden znaczny hufiec, który żąda działać wspólnie z latyczowskim. Nie zdawało się to przeciwnem radzie złożonej naprędce w obozie; owszem ciesząc się z przybywającej pomocy, ukartowano nazajutrz Bar opanować. Skoro doniesiono o południu że bracia zbrojni nadciągają, Nagórniczewski uszykował swoich, i w kilkanaście koni wyjechał na spotkanie. Przyprowadzeni przez niego, przy wzajemnych-okrzykach radości, przemaszerowali w porządku przed frontem oczekujących, i rozłożyli się obok nich obozem.

Oddział nowo przybyły, zawierał 113 koni i 30 strzelców. Jazda dobrze umontowana składała jeden dzielny szwadron, piechota wszystka miała piękną broń myśliwską. Ponieważ było tu kilku dawnych wojskowych, ludzie doskonale umieli musztrę i w szeregach panowała wielka szykowność; ale za to niełatwo dawało się zgadnąć, kto istotnie sprawował najwyższe dowództwo: każdy ze starych żołnierzy rościł do tego pretensje. Legjonista kapitan Kurowski, który przywodził hufcowi uformowanemu w Michałówce, i z pierwszym jego zawiąskiem odbył chlubnie potyczkę, jako rzeczywiście najstarszy stopniem, miał podobno najbliższe prawo do ogólnego naczelnictwa; lecz że widziano w nim nałogowe przywary, inni nie chcieli mu się poddać. Dymisjonowany porucznik saperów Chłopicki, mianował się majorem dowódzcą całego oddziału; Olszewski podobnież dawny oficer, uważał się za równego jemu; nadto niejaki podoficer wykreślony

z kontroli drugiego pułku ułanów, był instruktorem i de facto kapitanem szwadronu, a pewien metr rysunków z Kamieńca, przybierał sobie tytuł kapitana płatnika. Obok tak rozstrychnionej władzy wojskowej, obywatele, którzy najwięcej przyczynili się do złożenia siły zbrojnej, znamienici urzędami, majątkiem i nawet bardzo sędziwym wiekiem, składali coś nakształt sztabu; nazywano ich adjutantami, w naradach zaś i sporach ciągniono na tę lub ową stronę: jedności ani zwierzchniej powagi nie było. Oddział latyczowski bez tytułów i licznych radzców, nawykły do ścisłej subordynacji i familijnej zgody, z niemiłem uczuciem postrzegł zaraz taki stan rzeczy; później miał widzieć przykrzejsze zgorszenie. W pierwszych chwilach jednak, wszystkich głównie zajmował widok korzyści, jakie spodziewano się łatwo odnieść połączonemi siłami: uchwalono wspólnie następnego dnia wkroczyć do Baru.

W skutek tego postanowienia, obadwa oddziały o wschodzie słońca 22 maja ruszyły z miejsca. Szwadron zbiorowy trzech powiatów szedł na czele. Za zbliżeniem się do miasta cała kolumna puściła się kłusem i wbiegłszy na rynek uformowała front przed ratuszem; stąd dopiero rozsyłane były komendy dla zajęcia rozmaitych punktów. Słaba załoga złożona z samych weteranów, nigdzie nie stawiła oporu i składała broń pokornie, dowódzcy jej pouciekali zawczasu. Tym sposobem wnet zostały zajęte: odwach, dom kabakowy, składy artylerji moskiewskiej i magazyny żywności. Dla utrzymania żołnierzy w porządku, Nagórniczewski kazał Gołyńskiemu natychmiast otoczyć strażą kabak, a sam wyprowadził kolumnę za miasto i postawił koło szop artylerji. Gołyński zabrawszy na rzecz powstania z kasy kakabowej 1500 r. sr. 800 papierowych i 50 miedzią, rozpisał się na tę summę w księdze i zalecił zarządzającemu odkupem trunków, dostawić do obozu także za kwitem pewną ilość wódki, araku i miodu. Gdy w tem kapitan Kurowski i Olszewski nadbiegli, przynosząc mu niby od naczelnika nowe polecenie, żeby dostarczył furażu; powierzywszy więc w ich ręce zabrane pieniądze, pośpieszył do magazynów żywności. Było tu para tysięcy beczek owsa, wiele mąki, sucharów, i znaczny zapas kożuchów baranich. Powstańcy wziąwszy ile na raz potrzebowali, resztę kazali brać i rozwozić pospólstwu zgromadzonemu na targ jako w dzień niedzielny i jarmarkowy. Z wielką tedy radością gminu wszczął się ruch powszechny: jedni z magazynów ładowali wory na wozy, drudzy z składów artylerji wlekli do wody amunicję działową. Tymczasem w mieście wesoła drużyna zdzierała orły i w sądownictwach portrety cara, bawiła się widokiem płonących archiwów administracji moskiewskiej. Wszystkie papiery policyjne i kahalne

szły na stos; zachowano tylko w całości księgi miejskie i akta magistrackie, do których ręka obywateli zbrojnych przydała jeszcze dokument ciekawy. Dowódzcy szwadronów latyczowskich, mając przy sobie egzemplarze manifestu, przygotowanego niegdyś przez radę centralną towarzystwa patrjotycznego Podolan czyli juntę, kazali regentowi takowy manifest ogłaszający powstanie i ogólną konfederację mieszkańców Podola i Ukrainy, wciągnąć do akt miasta Baru. Żydzi cieszyli się bardzo ze spalenia ich ksiąg i rachunków poborowych; powszechnie przytem okazali wielką przychylność dla sprawy polskiej. Mnóstwo ich natrętnie prosiło naczelnika żeby pozwolił sprowadzać do miasta i częstować żołnierzy; a pewien bogaty kupiec, chciał ofiarować na potrzeby oddziału 1000 rubli, i ze łzami w oczach wynurzając swoje uczucia, zaręczał, że Izraelici podolscy mają przygotowane znaczne składki, które przyniosą w ofierze dla kraju skoro tylko rząd moskiewski zostanie w nim zwalony. Nagórniczewski nie przyjął pieniędzy, lecz prosił o wskazanie mu dwóch sprawnych i wiernych żydków, którzyby za dobrą opłatę podjęli się na faktorów i szpiegów oddziału. Starszyzna niezwłocznie wyszukawszy ochoczych i zdatnych do tej posługi, stawiła ich z uroczystą poręką, że nie zawiodą zaufania. — Z mieszczan chrześcian i z młodzieży szlacheckiej zaciągnęło się pod chorągiew przeszło 60 ochotników. Konie zabrane na poczcie i w stajniach zbiegłych urzędników moskiewskich, oraz karabiny weteranów, posłużyły zaraz do uzbrojenia nowozaciężnych. Było między nimi dwóch z muzyki kościelnej, tych użyto na trębaczy dla szwadronów.

Nawiedziny Baru, prócz szkód wyrządzonych nieprzyjacielowi, przyniosły powstańcom wszelką korzyść, jaka w podobnej wojnie z napadów na miasteczka u nas wynikać może. Wiele powodów znaglało ich do rychłego odejścia z tego miejsca. Pewna dama przysłana umyślnie od patrjotów z pod Litynia, wzywała żeby jak najśpieszniej ciągnęli w tę okolicę, gdyż za dni dwa z jednej strony hufce przygotowane przez sąsiednich obywateli, z drugiej Różycki mieli brać Lityń. Co raz bardziej okazywało się przytem, że nocleg blisko miasta, mógłby stać się szkodliwym dla karności i bespieczeństwa oddziału. Nagórniczewski umyślił więc niezwłocznie ruszyć na powrót ku Hołodkom. Przed wymarszem rozpuszczono wszystkich jeńców nowych i dawniejszych. Kozakom zabranym pod Szyińcami dano po rublu sr. na drogę, a oficerowi ich 25 r. as. Obejście się, jakiego doświadczali w niewoli, słowa które słyszeli ciągle z ust szlachetnego rycerstwa, i nakoniec wspaniałomyślność w ostatnim postępku, uczyniły głębokie wrażenie na tych ludziach nieszczęściem

tylko wprzężonych w jarzmo carów. Czule żegnali powstańców, badani później przez komisję śledczą w Kamieńcu, życzliwe dawali świadectwo tak charakterowi dowodzących jako też sile i waleczności szeregów.

Skoro zatrąbiono na koń, szwadrony latyczowskie wystąpiły zaraz, lecz szwadron trzech innych powiatów nie mógł się zebrać, ponieważ oficerowie jego zasiedli sobie przy butelkach w mieście. Obywatele będący w tym szwadronie chcieli już wyłączyć z niego swoich ludzi i przejść pod dowództwo Nagórniczewskiego; ale ten nie rad psuć zaprowadzonej organizacji, prosił ich żeby byli cierpliwi, a dla łatwiejszego zgromadzenia nieobecnych, kazał swojej placówce stojącej od Latyczowa, rzucić fałszywy alarm, w obozie zaś puścił pogłoskę że Moskale nadciągają, śpiesznie wioząc piechotę na wozach. Wybieg ten posłużył dobrze. Wkrótce zjawił się Chłopicki i uszykowany doryweczo hufiec poprowadził w pochód. Za nim, pilnując porządku i zbierając powózki maroderów, szły szwadrony latyczowskie. O wiorstę od Baru, nadlecieli czwałem Kurowski i Olszewski podchmieleni mocno, a wyprzedziwszy kolumnę wstrzymali ją, krzycząc, kto śmiał bez ich rozkazu ruszyć szwadron z miejsca. Wszczęła się gwałtowna zwada. Chłopicki wziął się do pistoletów, jego współzawodnicy także: każdy z panów oficerów wołał na powierzonych sobie ludzi i gotów był siłą rozstrzygnąć kłótnię: szwadron powstańców rozrywał się na garstki, szykujące się jedna przeciw drugiej. — Zgorszeni takim widokiem dowódzcy oddziału latyczowskiego przekładali swemu naczelnikowi, iż lepiej rozstać się z niesforną siłą, niżeli mieć z niej zły przykład dla żołnierzy. Nagórniczewski kazał pominąć kłócących się i maszerował dalej. Pod Hołodkami dognali go najprzód trzej obywatele z żołnierzami, których mieli prawo odjąć od zaburzonej gromady; niedługo potem nadciągnęła reszta i nieładem szła za tylną strażą Latyczowian. Obadwa oddziały zatrzymały się na noc w lesie niedaleko Hołubówki i osobno rozłożyły swoje obozy.

Wieczorem przybył tu Włodzimierz Potocki i dwaj inni obywatele, którzy po rozsypce daszowskiej nie mogąc połączyć się ze swoim oddziałem, w chłopskiem odzieniu przemykali się do Galicji. Od nich dopiero powziąwszy pierwszą dokładną wiadomość o losie korpusu Kołyszki, chciał Nagórniczewski tem spieszniej dążyć pod Lityń i po krótkim wypoczynku ruszyć w pochód; lecz powstańcy trzech sąsiednich powiatów błagali go, żeby się zatrzymał na miejscu przez dzień następny i dopomógł przywrócić porządek w ich szwadronie. — Nazajutrz tedy upływały godziny na godzeniu wewnętrznych zamieszek, a mitręga z tego powodu wynikła,

przyczyniła się dziwnie do fatalnej zmiany w dalszych kolejach obu hufców.

Wielkiem jest to nieszczęściem dla każdego oddziału rycerstwa w wojnie narodowej, jeśli znajdą się w nim ludzie stawiący pod święte godło walki za ojczyznę, niskie swoje chuci i widoki; nieszczęściem bardzo powszechnem w powstaniu prowincji naszych było, że z dawnych wojskowych tak istotnie potrzebnych i tak skwapliwie powoływanych na czoło, wielu przynosiło w głowach swoich tylko ciasne wyobrażenia, a w sercach zepsucie żołdactwa, jakiemi despotyzm monarchiczny i niemoralność ostatnich wieków, skaziły najszlachetniejsze powołanie stanu żołnierskiego, zamieniając je w służebne rzemiosło, w sposób dorabiania się fortuny. W kraju mającym rząd ustalony i silny, w wojsku uorganizowanem i regularnem, nagroda i kara mogą w znacznej części wyręczyć brak moralniejszych pobudek; ambicja i wzgląd na opinję, mogą do wysokiego stopnia podnieść waleczność i charakter żołnierza; ale w kraju gdzie i władza i zbrojne szeregi tworzą się dopiero mocą samego ducha, w którym jest źródło życia narodu, ten duch niebieski, czysty, nie cierpi przymieszki najsubtelniejszych nawet pierwiastków samolubstwa i podłego interesu. Kogo ten święty ogień nie zapalił, kto na polu krwawem, gdzie miała odrodzić się Polska, szukał dla siebie sławy, sutszych szlif, albo złota, ten może był dobrym żołnierzem jakich niemało miał i Mikołaj, ale jeszcze przeto dobrym Polakiem nie był. Podobni rycerze fortuny, w złej doli najpierwsi zwykli zwijać chorągiewkę, w powodzeniu prędzej czy później musi ich zobojętnić sytość. Zdarzało się widzieć między nimi takich, których ambicja albo chciwość przestawały na bardzo małem.

Do waśni rozrywającej szwadron połączonych powiatów, mięszała się jeszcze cięższa kwestja rachunku z pieniędzy kabakowych, w znacznej części zatraconych po ręku tych, którym Gołyński był je powierzył. Kapitan Kurowski zamykając swoję karjerę, zrzekł się wszelkich tytułów i praw naczelnictwa, byleby mu pozwolono dla osobistego bespieczeństwa na własnym wózku jechać przy oddziale; inni ulegli perswazjom zacnych i poważnych współtowarzyszów broni. W skutek rozsądnie zaspokojonych sporów, deputacja wysłana do Nagórniczewskiego prosiła go, żeby cały oddział wziął pod swoje dowództwo i urządził jak się podoba. Nagórniczewski zrazu wzbraniał się tego, lecz gdy dano mu na piśmie przyrzeczenie bezwarunkowego posłuszeństwa i prawo karania śmiercią nawet, kazał wystąpić oddziałowi, dowódzcą szwadronu mianował Chłopickiego, plutony rozdał Olszewskiemu, Haustetenowi i dwom obywatelom, a strzelców wcie-

liwszy do swojej piechoty, utworzył kompanję, której komendantem naznaczył Leduchowskiego.

Kiedy tym sposobem, z całej północnej połowy Podola zbrojne hufce zlewały się w jeden zastęp, Kołyszko z resztkami powstania powiatów południowych i Ukrainy, dążąc tu dla zagarnięcia wszystkiego w swój korpus, rozprawiał się niedaleko z nieprzyjacielem. Taż sama niemal okolica, w której przed miesiącem ogólna zmowa Ziem Ruskich odebrała najpierwszy cios nieszczęścia, była teraz placem ostatecznej rozprawy w boju. Dziwnym trafem wprawdzie los powstania i nieprzyjaciel przywiązał się głównie do imienia starego jenerała; lecz na szalę walki, z narodowej strony ciążyły różne odległe wypadki, a mianowicie: poruszenia zbrojne wschodniej części Polesia i środkowego Wołynia. Potrzeba na moment odwrócić do nich uwagę.

IX.

Jeszcze w owych dniach lepszych nadziei i na nowo obudzającego się ruchu, którym rozsypka daszowska położyła koniec, razem z usiłowaniami ożywionemi w różnych punktach gubernji kijowskiej, powiat radomyślski, najpółnocniejszy jej zakąt między Wołyniem, Prypecią i Dnieprem, wziął się do broni. Duszą patrjotycznych narad i później naczelnikiem związku w tym powiecie, był marszałek Onufry Gałecki. Człowiek ten umiarkowany i rozważny, posiadał ufność współobywateli, a razem rządowi nie zdawał się być niebespiecznym. On umysły powietników sprzągł jednem ogniwem, wstrzymywał zagorzałych, pobudzał oziębłejszych; pod pozorem urządzeń przeciw cholerze, zwiedzając wszystkie okolice, przygotowywał powstanie, dla łatwiejszego porozumienia się związkowych uzyskał od władz gubernjalnych wczesne zdjęcie kordonów zdrowia, mając dobrze napięte sposoby wewnątrz, chciał je zastosować do układów w sąsiednich stronach i do wypadków zewnętrznych. Wysłańcy jego dojeżdżali do granic królestwa, znosił się z Wołyniem i właściwą Ukrainą, osobiście naradzał się z Tyszkiewiczem. Ostatnich dni kwietnia, wedle powszechnie wówczas zaleconych przepisów, powiat jego dzielił się już na okręgi, każdy z okręgów miał wytknięty punkt zbioru i wojskowego dowódzcę, dla całej siły zbrojnej był upatrzony naczelnik. Lecz gdy wnet razem doszły tu wiadomości o usuwaniu się Dwernickiego ku Galicji i wstrzymaniu powstania na Podolu, a rozkazy Tyszkiewicza naznaczające dzień 7 maja, zostały przejęte i spalone przez niechętnych, wszystko upadło znacznie na duchu, za-

wisło w niepewności. Gałecki dopiero widząc, że ogólny plan nie mógł być przyprowadzony do skutku, a słysząc o powtórnych umowach w powiecie owruckim i kijowskim, postanowił zastosować się do nich. Zebrawszy więc radę gorliwych obywateli, naznaczył termin powstania na dzień 15 maja, i uchyliwszy poprzednie instrukcje, kazał ze wszystkich okręgów sile zbrojnej ściągać się do miasteczka Czarnobyla.

Tymczasem w rozmaitych punktach trzech prowincji wynikłe poruszenia, albo odkryte ślady przygotowań, uderzyły w oczy władzom moskiewskim. Rząd chwytając drobne wątki rozerwanej zmowy, uczuł pod palcami tkaninę leżącą w całym kraju, wszędzie pocisnął gwałtownie swoje policyjne sprężyny. Sprawnik powiatu radomyślskiego, postrzegając częste zjazdy u Gałeckiego we wsi Słobodce blisko Radomyśla, miał już go w podejrzeniu; gdy przytem jeden oficjalista w Brusiłowie, tocząc szablę nieostrożnie, odezwał się, że ją ostrzy na Moskali i wzięty do turmy mógł wygadać co wiedział, a Złotnicki targowiczanin, mieszkający w dobrach darowanych przez Katarzynę (któremu młodzież często przysyłała w listach rysowane szubienice), naglił sprawnika do środków czujności, ten niezwłocznie doniósł wojennemu gubernatorowi o złym duchu obywateli i niebespiecznych rządowi knowaniach marszałka.

W nocy 12 maja Gałecki otrzymał już przez żandarma rozkaz stawienia się natychmiast przed gubernatorem w Kijowie. Treść pisma i sposób w jaki było przysłane nie zostawiały mu wątpliwości o co rzecz chodziła. Nazajutrz więc wyprawił bilety do sąsiadów z oznajmieniem, że musi nie czekając dwóch dni do terminu, z bronią w ręku wystąpić w pole, zalecił im uwiadomić resztę związkowych, a sam zebrawszy domowników w towarzystwie kilku młodych ludzi którzy bawili u niego na ten koniec, wyruszył do Czarnobyla.

Sprawnik pilnie trzymający na oku Słobodkę, tejże godziny powziąwszy wiadomość o tem, zalecił zaraz sześciu zasidatelom żeby z żandarmami rozjechali się po powiecie i pochwytali obywateli podejrzanych, a sam wziąwszy oddział kozaków puścił się w pogoń za marszałkiem.

Gałecki wstąpił po drodze do Ksawerowa, wsi swojego brata Mikołaja, i chociaż nie zastał jego w domu, zatrzymał się na obiad. Tylko co zbrojni goście usiedli do stołu, wpadł sługa i ostrzegł, że niedaleko dworu pokazali się kozacy. Natychmiast cały orszak pośpieszył do koni i puścił się przez wieś Kuchary do Wołczkowa, gdzie chorąży powiatu Lipoman jako związkowy, przyjął towarzyszy, kazał ludziom swoim dobyć broń i wspólnie z przybyłymi gotował się do odporu napaści.

Wkrótce nadciągnął nieprzyjaciel. Sprawnik zatrzymawszy się u bramy, posłał na dziedziniec kozaków ze swoim kancelistą niejakim Węgrzynowiczem, żeby ten przemówił do marszałka i jego towarzyszy, nakłaniając ich do złożenia broni i zdania się na łaskę monarszą. Skoro parlamentarz, znajomy dobrze obywatelom z przebiegłości w podłych usługach policyjnych, stanąwszy przed gankiem ze swoją asystencją, zabrał głos po moskiewsku, posypały się z okien gęste strzały luftkami. Węgrzynowicz padł ciężko poraniony, kilku kozaków legło trupem, inny porwawszy omdlałego parlamentarza pierzchnęli nazad; sprawnik nie czekając ich, pomyślał o sobie tak troskliwie, że go już nikt nie widział. Powstańcy rzucili się z razu w pogoń, lecz nie postrzegając sprawnika, którego szczególnie pragnęli schwytać, wrócili do domu i poczęli radzić co dalej czynić.

Był pierwej projekt, złapawszy w Wołczkowie sprawnika, powieszeniem jego dać hasło powiatowi, a rozbiegłszy się potem małemi hufcami przyśpieszyć ruch powszechny. Ponieważ to się nie udało, uchwalono teraz założyć obóz w lesie, czekać tam na zebranie się powstańców i ze zgromadzoną siłą udać się do Kijowian albo Owruczan. Na stanowisko obrano wieś Białosorokę nad Prypecią wyżej Czarnobyla.

Wieść o wypadku w Wołczkowie rozeszła się po sąsiedztwie: obywatele gromadzili się koło swego marszałka, i nazajutrz hufiec dosyć już znaczny ciągnąc do obozu, nawiedził Czarnobyl, małe lecz handlowe miasteczko. Mieszkańcy różnego stanu i wyznania ze szczerą radością powitali rycerstwo, wedle powszechnego zwyczaju wyszli na spotkanie z chlebem i solą. Następnego dnia w niedzielę 15 maja, Gałecki odprawiwszy uroczyste nabożeństwo, z wielu nowozaciążnymi ochotnikami wyszedł do Białosoroki.

Jak sama myśl obozowania była skutkiem instynktu wspólnego wszystkim naszym niedoświadczonym ziemianom, mianowicie okolic leśnych, tak też porządki i organizacja w obozach wszędzie rozwijały się podobnym sposobem. Poczęto w Białosoroce od odezw i ustanowień władzy. Gałecki napisał energiczną proklamację do powietników i wyprawił z nią Jakubowicza, a mianowany prezesem tak zwanej najwyższej rady, naznaczył komisarzy, którzyby siłę zbrojną opatrywali w żywność, konie i rynsztunek. Ponieważ nie było nikogo z dawnych wojskowych, dowództwo powierzono Lipomanowi.

Koło tak założonego ogniska, usiłowania patrjotyczne rozpromieniały się powoli. Co tylko gorliwość obywatelska dostarczyć mogła, składano tu w ofierze obok poświęceń się osobistych. Kobiety miały wielki udział w pracach i niebezpieczeństwach swych mężów i braci. Komunikacje z po-

wiatem, dowóz broni i prochu, werbunek ochotników nawet, odbywały się za pośrednictwem tych zacnych Polek. Pomiędzy niemi odznaczała się szczególniej zapałem i bohaterską odwagą Aniela Pieńkowska. Ośmnastoletnia ta panienka, pełna wdzięków i wychowana starannie, w czasie zmowy służyła związkowi jak najtroskliwszy konspirator, w czasie obozowania powstańców na puszczy, odwiedzała ich ciągle jak duch opiekuńczy. Wielu młodzieży i sług z sąsiednich domów na jej głos wzięło się do broni, wiele nabojów i potrzeb dla żołnierzy, przeszło przez jej śliczne ręce. Niezmordowana w staraniach, powołała sobie w pomoc swoje rówiennice, założyła towarzystwo młodych patrjotek, które miało za cel gromadzić zapas bielizny, chorągiewek, szarpi, i tym podobnych rzeczy. Z takim ładunkiem, często małym wózkiem tajemnie udawała się do lasu i znowu biegła napowrót, żeby braciom zbrojnym przywieść korzystną przestrogę, albo pocieszającą nowinę.

W kilka dni od przybycia do Białosoroki, orszak powstańców liczył już przeszło 250 jeźdźców i strzelców. Lipoman własnym przemysłem nagradzając brak umiejętności, szykował i ćwiczył tę siłę. Tymczasem sprawnik i cała jego szajka policjantów pracowała swobodnie po powiecie. Porwano z domów mnóstwo obywateli, schwytano Jakubowicza z odezwami; dowiedziawszy się z tych papierów o planie i urządzeniach, przecięto drogi do obozu, poaresztowano komisarzy powiatowych. Co raz smutniejsze doniesienia poczęły zatrważać patrjotów zbrojnych, ochotnicy przestali przybywać, dawał się czuć nawet niedostatek furażu i żywności. Rada uchwaliła natenczas iż potrzeba szukać wsparcia w którymkolwiek z powiatów sąsiednich, gdzie były albo być miały poruszenia zbrojne. Posłano emisarjusza do Owruczan, proponując im połączenie się w jeden hufiec, z warunkiem, że strona mniejsza do liczniejszej przejść będzie powinna.

Owruczanie nieco pierwej jeszcze od Radomyślan, także pod przewodnictwem swego marszałka Wilhelma Hołowińskiego, rozwinęli chorągiew powstania. Zgromadzeni najprzód o pół mili od miasta powiatowego, uorganizowali się naprędce, pozdejmowali poczty i przejęli znaczną partją rekrutów, których eskorta broń złożyła, a wielu ich dobrowolnie przystało do swoich oswobodzicieli. Wszedłszy potem do Owrucza pojmali sprawnika, zabrali kasę skarbową zawierającą 60,000 rubli asyg. i razem z wielką liczbą nowozaciążnych, wyprowadzili napowrót do obozu niemało pożytecznych rekwizytów. Klasztor Bazyljanów, którego przełożony Sierociński dał dowody najgorętszego patrjotyzmu, dostarczył dwie armaty czterofuntowe i cztery moździerze; księża, ile

ich było zdolnych oręż obok krzyża podnieść, poszli dzielić trudy i niebespieczeństwa z bracią zbrojną.

Wszystkie atoli początkowe powodzenia i korzyści prędko obróciły się niemal w niwecz. Marszałek Hołowiński poświęcał się z całej duszy; składający radę przy nim, obywatele Antoni Pausza, podkomorzy Rapsztyński, Kazimierz Zagórski, dwaj bracia Zielenieccy i inni, byli ludzie zacni i gorliwi; mimo to powszechny brak doświadczenia, brak jednej tęgiej woli i następnie nieład, sparaliżowały zgromadzoną siłę. W gwarze obozowym rozwinęły się bardzo nałogi sejmikowe, niektórzy przypomnieli sobie czasy augustowskie; myśl o głównym celu i czujność wojenna zagłuszone niewczesnem rozprawianiem i weselem, nie mogły być nagrodzone obfitością odezw. Zebrało się wszakże przeszło 500 zbrojnych ochotników: piechotą dowodził sam marszałek Hołowiński, jazdą Zieleniecki. Ponieważ liczba ta przewyższala siłę Radomyślan, wypadlo z układów że tabor z Białosoroki miał przyciągnąć pod Owrucz.

Kiedy tak dwa obozy w stronach poleskich leżąc na miejscu, zwracały ku sobie uwagę nieprzyjaciela, tymczasem koło Żytomierza powstawał ten hufiec ruchomy, polotny, który z dzielnym swoim dowódzcą Karolem Różyckim, jednej niemal godziny zbiegł się w szyk umiejętny i zaraz szukając boju, znalazł piękną sławę, nad Wisłą, a pułkiem znanym z waleczności i zwycięstw kończył świetny swój zawód. — Po zamknięciu całej naszej wojny, pułkownik na tułactwie zdając swoim towarzyszom broni rachunek z tego co wspólnie z nimi czynił, obdarzył naszą literaturę historyczną krótkim lecz ze wszech miar szacownym pamiętnikiem. *) Nad to co w tej książeczce zawarte, nie mam żadnych wiadomości, a treść jej wyrażając innemi słowy, nie potrafilbym być zwięzlejszym i tylko zatarłbym ten koloryt obrazu, który taką świeżością uczucia i myśli jaśnieje. Przedsiębiorę więc dzieje oddziału od początku do końca umieścić tu jak są opisane przez jego dowódzcę. Wypadnie mi tylko rozdzielić je na dwa ciągi.

«Towarzysze moi!» — odzywa się pułkownik, tłumacząc powód i cel swego pisma — «Nieraz przy ognisku obozo-

---

*) Powstanie na Wołyniu, czyli Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej, uformowanego w czasie wojny narodowej polskiej przeciw despotyzmowi tronu rosyjskiego, 1831 roku; pisany przez dowódzcę tegoż pułku Karola Różyckiego. Bourges, drukarnia P. Souchois et Cie. Ulica Jacques-Cœur, N. 10.—1832. in-8vo stronic 33. Na pierwszej stronicy znajduje się lista imienna oficerów pułku jazdy wołyńskiej, na ostatnich Pieśń pułkowa. Taki jest tytuł i skład broszurki, wydanej z mnóstwem błędów drukarkich, które pozwolę sobie poprawić wedle pisowni, jaką w całem dziele zachowuję.

wem, wieczorem, chciałem wam powtórzyć początkowe szczegóły, tyczące się działań naszego pułku, od chwili zawiązania onego; ale utrudzeni co dzień marszem, albo krwawą rozprawą z wrogiem naszej ziemi, szukaliśmy spoczynku we śnie krótkim, albo też zaledwo posileni pokarmem, rzucaliśmy nasze ognie, aby nieprzyjaciela znaleść przy jego. — Tak zszedł czas znojów miłych, czas nadziei szczęścia! Przeminął on jak gody wesoło, bo my trwogi nie znali! Smutnie czujemy obecne nasze położenie, w którem starali się nasi nas postawić, i teraz niestety! nadto mamy czasu przypomnieć o tem co było.»

«Zgasły ognie obozowe! rozsiodłane konie nasze! groty naszych lanc rdzewieją! — My smutni! ale tyran zwycięstwa nie ma, koszt na kupny tryumf swój wygrabia on z fortun naszych. — Tysiące naszych braci katuszy jego uległo, ukuł na dzieci nasze kajdany; ale miłość kraju, ale nadzieje bytu naszego, wyrwie chyba z każdem z osobna sercem. — Nie zapominajmy więc obozu jak cnoty narodowej!»

«Wiadomość o rewelucji narodowej w prowincjach nazwanych królestwem polskiem, przyjęliśmy na Wołyniu z taką radością, jakiej doznaje dziecko na widok matki obudzonej z letargu, które się już miało za osierocone. — Odwiedzaliśmy się wzajemnie w domach naszych, a wzrok każdego przy pierwszem spotkaniu się był obrazem uczuć, jakiemi serca napełnione były. Nadzieja wskrzeszenia ojczyzny, praw narodowych i wolności, jaśniała na licach młodzieży. Starcy nasi zdawali się odzyskiwać zdrowie, a kobiety nasze złorzeczyły swojej płci i siłom. Mało mówiliśmy z sobą, niema radość przepłynęła wszystkie serca krwią polską żywione, a uściśnienia rąk odtąd mocniejsze się zaczęły. — Postępy rewolucji stopniowo do nas dochodziły. Dużo młodzieży naszych prowincji udało się pojedyńczo do obozu pod Warszawę. Zimowa pora była. — Ja, jak wiecie moi koledzy, po dwudziestoletniej blisko wojskowej służbie i długiej słabości, nie byłem jeszcze w stanie dzielić tych pierwszych trudów walecznego wojska naszego. Czekałem wiosny abym mógł zanieść resztę sił, ostatek życia, tam gdziem je zanieść był powinien. Zdawało się przytem, że uzbrojeni w miejscach naszych rodzinnych, użyteczniejsi stać się możemy powszechnej sprawie naszej. — Czas płynął dla naszych chęci zbyt leniwo, a rząd narodowy z Warszawy nie wyrzekł nic stanowczego, jakiego rodzaju chce mieć poświęcenie się z nas.»

«W tym przeciągu starałem się wyrozumieć fabrykantów leśnych, zawołanych strzelców, i z pociechą znalazłem, że nie mniej jak ja kochają Polskę. — Powiększyłem natychmiast u siebie wyrobek leśny, i rachowałem w okolicy trzech

mil, że na pierwszą wiadomość, pod pozorem polowania w borach, ośmset przeszło strzelców stanie. Kilkunastu z nich wiedziało już o moich zamiarach, nie wiedząc o sobie; ci mieli swoje sekcje. Ale wiecie koledzy moi, że w tym samym czasie wielu z was pojedyńczo odwiedzaliście mnie w mojem ustroniu, i nakoniec podobało się wam zaszczycić mnie waszem zaufaniem, oddając mi tymczasowe naczelnictwo nad sobą. Nie odmawiałem wam mojego towarzystwa, towarzystwa mówię, bo wy mnie znacie, i wierzycie zapewne, że oprócz szczęścia kraju innych żądań nie miałem. Interes własny w tej epoce czarniejszą był zbrodnią nad wszystkie inne, a miłość własna o tyle tylko przebaczana, kiedy przez nią przewyższaliśmy innych poświęceniem siebie. — Zostawiałem żonę i pięcioro dzieci. Ukazy krwawe tyrana wydane w tym właśnie czasie, wszystkie podobne sieroty z domów przeznaczały na Sybir. — Podły mąż! stokroć podlejszy człowiek! któryby takiemi ofiarami dopuścił się kupować jakiekolwiek widoki dla siebie na ziemi. Ojczyzna sama tylko ma do nich prawo, przy jej tylko ołtarzu te drogie sercu mojemu istoty zostawiłem. Taką mieliście rękojmię mojej bezinteresowności: z śmiałością pytam was, czyście w czynnościach moich ją wyśledzili?»

«Wiosna i nadzieja szczęścia naszej ziemi zasiliły zdrowie moje. — Zazdrościlismy bohaterom Grochowa i tylu innych bitew; a względem nas jeszcze nic nie wyrzeczono. Nienaznaczono wodza, ani czasu, w którym mogliśmy zacząć działać, a wojska ciemiężcy naszego, z najwidoczniejszym przestrachem, obsiadały jednak ważniejsze punkta naszych prowincji. Korzystano z czasu cholerycznego: każda wieś miała wartę aby utrudzić przejazd, a tem samem zerwać komunikację mieszkańców. Broń wszelką, kosy, noże, siekiery nawet odbierano; a do męczenników dawnych z pod sądu sejmowego, dodawano bez przekonania, bez pozoru samego, co raz nowe ofiary i wywożono do Kurska.»

«Jak kiedy nocą zbłąkanego wędrowca wschód słońca uradował, tak uradowała nas wiadomość, że nasz sławny, nasz waleczny Dwernicki, przeszedł Bug i krwawą drogą ku nam maszeruje. Wiadomość ta doszła mnie po zwycięstwie pod Boremlem. Dwadzieścia pięć mil, i wojska moskiewskie dzieliły nas od tego bohatera: drżącemi sercami czekaliśmy chwili działania. Ni przestrzeń miejsca, ni korpusy najemne i niewolne, nie były przeszkodą dostać się nam do niego.»

«Z 13 na 14 (26) kwietnia, W*** P*** syn znanego wam z patrjotyzmu i waleczności pułkownika, komunikował mi polecenie pana Chrościechowskiego powstania na dzień 15 (27) tegoż miesiąca. Krótki ten termin zwrócił mnie z drogi

w której byłem dla widzenia się z hrabią Wincentym Tyszkiewiczem: zwrócił mnie do domu, abym wezwał was towarzysze moi, na czas, na ten dzień wspólnego naszego wesela. Ale zaledwo wyprawiłem rzemieślników do wbicia grotów na drzewca przygotowane w borach, a tem samem odkryłem się z zamiarem naszym, smutna przygotowała się wiadomość, która ścisnęła serca nasze, jak mróz grudniowy ściska nasze wody; ale on ściska tylko powierzchnię, a rzeki płynąć nie przestają: tak równie uczucia nasze smutnie obciążone były, ale miłość ojczyzny pałać w sercach nie przestawała. — Bohater nasz, syt sławy, której nie przeżyją Polacy, łamiąc się korzystnie z pięć razy większą od swojej siłą, a widząc nowoprzybywającego nieprzyjaciela, chciał ocalić zasłużone krajowi, waleczne swoje wojsko, wszedł z niem w granice Austrji. Pan Chróściechowski odwołuje powstanie naszych prowincji, a nieszczęśliwe to odwołanie dochodzi nas tegoż samego dnia 15 (27) kwietnia w wieczór, kiedy wielu już było skompromitowanych. — Komu występek ten przypisać? jak go nazwać· zbrodniczym, czy nierozsądnym? nie wiem; złorzeczyć mu jednak muszę, bo widziałem okropne skutki, i z wami byłem bliski paść jego ofiarą. Więcej on nam jeszcze złego zrobił, bo zawiesił działania naszych, a odkrył wrogom zamiar w dowodach, i w całą przygotowaną rewolucję naszych prowincji zaszczepił niesprężystość i zadał pytanie: czy nie jesteśmy zaniedbani zupełnie? Czyn ten i uwagi nad nim zachwiały mniej odważnych, a srogość rządu żelaznego śledziła wszystkich tych, na których padało najmniejsze podejrzenie poruszenia, i na nowo więzienia po powiatach dopełniano ofiarami.»

«Sobańscy, Wincenty Tyszkiewicz, Jełowieccy, Potoccy, Korsak, Rzewuski, Dobek, Bernatowicz, Nagórniczewski, Gołyński, Pobiedziński, i wielu innych obywateli Podola, wyszło uzbrojonych w pole, a wkrótce szesnaście szwadronów kawalerji i znaczny oddział piechoty uformowano pod naczelnictwem dawnych wojsk jenerała Kołyszki. — Każdy z tych synów ojczyzny pałał zemstą i chęcią bronienia swojej ziemi. — Dla nas koledzy moi naznaczyłem dzień 17 maja*) do wystąpienia zbrojnego. — Przy zawiązaniu się naszego oddziału, wykonałem przysięgę, którą pamiętacie: «Nadeszła chwila jaśniejąca litością Boga, nikną zastępy tyrana przed nielicznemi rotami walecznych braci naszych! Ja, Karól Różycki, przysięgam P. B. W. w T. Ś. J., że obrany tymczasowym

---

*) W tekście kładzione są daty podług kalendarza ruskiego, przy nich czasem rzymskie w nawiasach. Dla uniknienia niejednostajności, odtąd będę kładł same tylko rzymskie, czyli nowego stylu.

naczelnikiem oddziału, władzy mojej nie użyję inaczej jak ku dobru Ojczyzny naszej! Od czego mnie nie odstręczy żadna moc, bojaźń prześladowania; nie ujmą wszystkie skarby wroga, ani żadne widoki osobiste; tak mi Boże dopomóż i niewinna męka Ch. Pana.» — Podobnąż każdy z was wykonał przedemną, albo upoważnionym, z dodatkiem: «że na czas i miejsce wyznaczone przez tymczasowego naczelnika stanę, i cokolwiek mi poleci wykonam.»

Z 16 na 17 zebraliśmy się w lasach Korowiniec małych, o mil cztery od Żytomierza miasta gubernjalnego Wołynia, osadzonego działami i wojskiem; ale zebraliśmy się nie wszyscy. — Bo wiecie, że ze spiskowych naszych, jedni jęczeli od tego dnia w kajdanach, a niektórzy odcięci byli nieprzyjaciołmi naszymi; niektórzy zaś przerażeni odwołaniem dawniejszem, haniebnie pozostali w domu, i zamiast wyrachowanych 480 koni, stanęło 130. Ubolewaliśmy nad tymi, którzy zostali ujęci, a mało odważnymi pogardzili.»

«Nie wiele palnej broni i pałaszów uzbrajało nas; ale uzbrajały nas lance, ta odwieczna polska broń, której każda inna ustąpić musi. — Pod okiem trwożliwego tyrana rządu nie mogłem wam dostarczyć zwykłych grotów, ukute więc zęby bronowe i podostrzone zastąpić je miały. Nieraz u nas narzędzie rolnicze przekute było na broń; naszej zaś broni, na oswobodzenie ziemi, o jak mile użylibyśmy do roli!»

«Na miejscu zbioru podzieleni byliście na cztery plutony. Przeznaczyłem komendantów plutonowych, podoficerów; ustawieni zostaliście w szereg; kilka mniejszych poruszeń było pierwszą naszą musztrą. — Uprzedziłem was, że uległość i ścisłe wypełnienie poleceń, niewchodzenie w zamiary moich dążeń marszowych, jest koniecznem. — Do szanowania spokojności i własności mieszkańca nie potrzebowałem was zachęcać: samiście to czuli równie jak ja; a tak furaż, żywność, przewodnik, i wszystko zgoła płacone było. — Wskazana wam była na prędce służba obozowa, służba placówek i widet, której pierwszej już nocy w porządku zajęły miejca swoje. — Związki przyjaźni, sąsiedztwa, pokrewieństwa tam zaraz zawieszone były; szacunek wzajemny pozostał, a węzeł sprawy świętej wiązał nas silniej nad wszystkie inne. — Jedne uczucia, jedne cele nasze były, tak jak my byliśmy dziećmi jednej ziemi. Słowa: Sława Bogu, w miejsce dzikiego hurra, zaleciłem wam powtarzać przy ataku. — Rozesłałem szpiegów w różne strony dobrze zapłaconych, i zamierzyłem sobie kilka szybkich marszów zrobić w różnej dyrekcji tejże okolicy, żeby pod zasłoną naszą mogli wyjść z nami inni gotowi ziomkowie nasi. Po czem mieliśmy się udać na Podole, wesprzeć powstanie Kołyszki, i w miarę naszego powodzenia, zamierzałem powrócić, zebrać moich strzelców pieszych, osa-

dzić nimi nieodstępne miejsca w lasach między Romanowem a Zwiahlem; te chciałem mieć za punkt oparcia się, a jazdą przecinać mieliśmy bliskie traktaty transportowe, prowadzące z głębi kraju do armji czynnej nieprzyjacielskiej. — Oddaliliśmy się natychmiast w prostej dyrekcji na Lubar, a z 18 na 19 w nocy, odmiennym kierunkiem zbliżeni byliśmy od Żytomierza o dwie i pół mili, zawsze jednak na prawym brzegu Teterowa. Stamtąd w kierunku Ułanowa 20 z rana przeszliśmy dwa trakty żytomierskie. Zwiększył się nasz oddział, a nieprzyjaciel miał trzy różne strony do szukania nas. Kilka dni unikać spotkania się z nim konieczną było potrzebą, już to dla pomnożenia sił naszych, już dla wprawienia ich w dokładniejsze ruchy frontowe, które w marszu ile razy pozwalało położenie, powtarzane były. — W Koroczenach odebrałem wiadomość, że znaczny transport rekrutów, z niewielkim pieszym konwojem prowadzony do armii nieprzyjacielskiej, przechodzić ma natychmiast przez Cudnow. W otwartej pozycji doszła mnie ta wiadomość; wsią więc zakryty stanąłem, i w kilka godzin pod samym Cudnowem 560 rekrutów uwolnionych błogosławiło nam, rozsypując się w stronę lasów. Oficer konwoju wylękły, na kolanach dziękował za zostawione mu życie, które mniej może cenił od bumażek, jakie mu kazałem powrócić. Pięćdziesiąt karabinów z bagnetami i tyleż z ładunkami ładownic, było pierwszą naszą zdobyczą; a ośmdziesiąt czapraków nowych huzarskich robionych w Cudnowie, przykryło siodła naszych jeźdźców. — Oddział kozaków ucierał się z moją ariergardą i odkrył mój marsz. Dla nieokazania więc siły małej i strony dążenia, przeszedłem w Dubiszczach na lewy brzeg Teterowa w stronę leśną. Nocowaliśmy pod futorami Muraczyńskiego, jak wiecie, w sąsiedztwie nieprzyjacielskiej piechoty: ale ona o nas nie wiedziała.«

«Z poruszeń oddziałów nieprzyjacielskich od Żytomierza wysłanych, poznałem, że one chciały nas szukać koło mojego domu, położonego w brzegach lasów o dwie mile od Cudnowa. — Z tego stanowiska nazajutrz o 3 rano, poszliśmy w ciągły marsz na Podole. — Bagażów żadnych mieć nie wolno było: bryka mocna z amunicją i kasą, uprząż i konie dobre, nie przeszkadzały nam jakkolwiek złe przebywać drogi. — Już miałem niemiłą wiadomość, że jenerał Kołyszko po znacznej stracie pod Daszowem, zbliżał się nad rzekę Bug podolski ku Janowowi; ale oraz w kilka godzin, jeden z moich wysłanych doniósł mi, że szwadrony jenerała mężnie starłszy się z nieprzyjacielem, miały w niewoli jenerała moskiewskiego, i działa. — Oddział nasz rachował już przeszło 200 koni. Podzielony był, jak wiecie, na dwa szwadrony;

szyk bowiem bojowy był w jeden szereg, dla łatwiejszych poruszeń i dla łatwiejszego użycia każdego grotu.»

«Nie pretendujmy moi koledzy, żeby szyk jednoszeregowy mógł być naśladowany przez kawalerję; nam zaś był on właściwy: czas późniejszy miał was o tem przekonać, a ja służąc ciągle dawniej u ułanów, w samem uderzeniu na front nieprzyjacielski nigdy nie widziałem dobrze zachowanych dwóch szeregów. Stawały się one często jednym wtenczas, kiedy ułani uderzali odważnie w front wytrzymujący, nigdy inaczej wtenczas, kiedy złamany pierzchał przeciwnik; w nieśmiałem zaś uderzeniu na front nieprzyjacielski, nieraz z dwóch robiło się trzy i więcej szeregów, a groty lanc te tylko były czynne, te swoją robiły powinność, które mężniejszem ramieniem niesione były w pierwszym szeregu, a zatem w jednym.»

«W szyku zwyczajnym dwuszeregowym, dość jest, żeby pierwszy szereg pierzchnął, a wtenczas choćbyśmy przypuścili że drugi nie chciał go naśladować, to nie możemy wymagać po nim, żeby mógł zachować porządek i wstrzymać nieprzyjaciela, kiedy już był rostrącony i popchnięty przez swoich. — Te uwagi i wiara w waszą odwagę, doradziły mi w jednym szeregu mieć szyk bojowy; mieliśmy front dłuższy i łatwiejszy do wykonania poruszeń, a w razie potrzeby wolałem pluton za plutonem postawić, żeby się wspierały, jak ściskać szeregi i odebrać drugiemu szeregowi sposobność użycia swoich grotów. Mieliście zawsze rozrachowane plutony na dwóch, trzech, i sekcje czyli półplutony, żeby można było rotami, trójkami, lub półplutonami, w miarę miejscowości maszerować.»

«W Ułanowie dla przecięcia komunikacji zabrana była poczta. Konie pocztowe niezdatne pod jeźdźców użyto do wiezienia karabinów, których przybywało na każdej prawie mili; gdyż często awangarda nasza, albo małe poboczne patrole, znajdowały po kilku przechodzących maruderów moskiewskich, i rozbrajały. Właściciel koni pocztowych ocenił sam one, dostał kwit i 90 rubli srebrnych kazałem mu z kasy wypłacić. — W tem miejscu placówka przejęła kurjera z papierami, między któremi znalazłem raport jenerała Rota do swego cara opisujący bitwę daszowską z powstaniem Kołyszki. Donosił on między innem, że oficer charkowskiego pułku zabił Izydora Sobańskiego, który jednak miał później udział w walecznych szeregach naszego wojska i dotąd żyje. W drugiej ekspedycji do jenerała gubernatora Lewaszowa, znalazłem tenże sam raport w kopji, ale już zwycięstwa te nierównie w niej zwiększone były. Wiedziałem, że to będzie w kursorji jak wiele innych fałszów, i nie dziwiłem się, że szef sztabu świadczył wierność kopji. Wiele różnych mniej

znaczących raportów spłonęło i rozgrzewało nasze kociołki, a ośmset rubli wiezionych, stało się własnością naszych jeźdzców.»

«Oddział znaczny kozaków przez Troszczc, a strzelce konni z działami od Berdyczowa ruszyli przeciwko nas; żytomierskie zaś komendy błądziły za nami, a my w tym czasie dwa marsze zyskali. — Rot z pod Chmielnika ciągnął na Latyszów, my między Chmielnikiem a Janowem przeszliśmy na prawy brzeg Bugu (Boha), i stanęli na wysokości Litynia w dyrekcji Ksawerówki, skąd lewem skrzydłem korpusu Rota, jednym forsowym marszem zamierzałem dostać się do Kołyszki.» —

W tem miejscu muszę zawiesić opowiadanie pułkownika Różyckiego, ponieważ teraz właśnie jest pora rzucić wzrok na ogólny stan rzeczy.

V.

Wszystko cokolwiek w trzech prowincjach południowych, po nieszczęśliwym upadku ich ogólnego spisku, poruszając się osobno, miało pomyślnym bojem rozpłomienić powstanie, albo niedolą swoją zamknąć walkę, było już teraz pod bronią. Jednaki skutek tych samych przyczyn paraliżujących przygotowania, jednoczesność ponowionych usiłowań, wzajemne nakoniec poszukiwanie się garstek skupionych w dalekich okolicach Podola, Ukrainy i Wołynia, pokazują że zachodził ścisły związek między cześciami kraju określonego Bugiem, Prypecią i Dnieprem. Jak przed miesiącem cały ten kraj dźwignąłby się razem, tak w obecnej chwili którakolwiek z jego okolic mogła stać się wspólnem ogniskiem powstania, którykolwiek z hufców zbrojnych wzrastając przeważnie, mógł podeprzeć wspólną sprawę. Rozrzucone więc w różnych punktach gromadki ziemiańskiego rycerstwa, godzi się podciągnąć pod pewien ogólny widok, uważać je za cząstki jednej siły.

Powstanie Ziem Ruskich, w kilku dniach około 20 maja, liczyło dwa obozy i trzy oddziały ruchome. Owruczan było 250, leżących taborem w lasach. Kołyszko wiódł 400 w boju zahartowanych i zdobyczą obciążonych jeźdzców, Nagórniczewski po złączeniu się z hufcem sąsiednich powiatów, miał przeszło 500 porządnego żołnierza; Różycki rospoczynał swój zawód w 200 koni. Ogółem tedy 1,850 ludzi stanowiło tę siłę, na której polegał dalszy tok wojny ziemiańskiej, i cały ciężar nieprzyjaciela obracającego się wewnątrz kraju.

W pierwszych dniach poruszeń zbrojnych, około 7 maja, powstańców rozsianych jeszcze szerzej, było wprawdzie do

3,000; ubytek wszakże numeryczny trzeciej części, bynajmniej nie okazuje odpowiedniego pogorszenia się losu na stronie narodowej. Ognisko działań przeniosło się z południa na północ, i w tej zmianie placu, więcej niż połowa pierwiastkowych ochotników wyszła z pod chorągwi: nowi przybyli. Ale nie każdy z tych co pożegnali szeregi, był stracony bez powrotu. Bardzo mało poległo w boju, więcej dostało się do więzień, najwięcej przysiadło cicho we własnych domach, albo tułało się po okolicy, gdzie zdarzyła się rozsypka. Nie jeden powtórnie stanął już w swoim, lub innym oddziale; nie jeden wydobyłby znowu broń z ukrycia, byleby nadciągnął jaki orszak zbrojny. Wojna prawdziwie narodowa, ziemiańska, ma to do siebie, że musi jak pożar rozdymać się wichrem. Nie szkodzi jej, że tu i owdzie wszczęty ogień rozpryśnie się na iskry; ale biada, jeśli wsteczny powiew iskier nie roznieci w płomień. Siła powstania, kiedykolwiek chcąc ją ocenić, daje się rzetelniej postrzedz w ogólnem rozgrzaniu mieszkańców, niżeli w liczbie obecnych hufców. Pod tym względem krótki przeciąg walki, wychodził już na znaczną korzyść dla Ziem Ruskich. Kraj poczynał oswajać się ze stanem wojny; wrażenie jakie sprawiły przeciwności i klęski stygło zwolna, a echo killku powodzeń i zwycięstw, obudzało nadzieję. Z rozproszeńców i opóźnionych związkowych, formowały się gdzie niegdzie małe oddziałki; w stronach skąd oddalił się szczęk oręża, zmowa ośmieliła się po raz drugi otworzyć usta zawsze skorsze od ręki: rachowano zdolnych do broni, zbierano powtórnie składki pieniężne. Czynnościom tym szczególniej nadały popęd odżywione nadzieje pomocy z Galicji i z Królestwa.

Legja w Galicji zaskoczona na wymarszu pod Kamieniec przez wejście Dwernickiego i emigrantów z Podola, przyczaiła się w swoich kryjówkach; przeznaczenie jej wszakże i zamiary dowódzcy nie zostały przerwane. Wereszczyński starał się z nieszczęśliwych przygód wyciągnąć jaką mógł korzyść. Dla pokrycia swoich widoków puścił był pogłoskę, że każdy przybywający z Podola może udawać się do Zamościa, i niedostatnim dawał po cztery czerwone złote na drogę; lecz tak Podolan, jakoteż oficerów i żołnierzy z korpusu Dwernickiego, usiłował co najwięcej schronić u obywateli: w tym celu także pospieszył wziąść z rozbrojonego korpusu 150 koni i umieścił je o pół mili od granicy. Przyczyną zwłoki w jego zabiegach, była naprzód strata broni zakupionej w Wiedniu, której transport tajemny zawierający 6,000 karabinów, Austrjacy przejęli w Buczaczu; później sam zachorował ciężko na cholerę, i zdał interesa legji świeżo przybyłemu z Podola członkowi junty, który był założycie-

łem patrjotycznego związku i twórcą planów wojennych w Gliniacu.

Zastępca Wereszczyńskiego wziął się czynnie do rzeczy: umyślił wkroczyć na Podole ostatnich dni maja, ściągał już wszystko nad Zbrucz i zamierzał nagłym napadem podchwycić oddział moskiewski w Zbrzyziu, gdzie batalion piechoty z 4 działami i sotnią kozaków strzegł granicy. Wiadomości o tem rozchodziły się między patrjotami w stronach bliższych Kamieńca, i miał je Tyszkiewicz przed przybyciem do obozu Kołyszki w Janowie.

Tegoż czasu, daleko większej jeszcze otuchy dodawała wieść o zbliżaniu się jenerała Chrzanowskiego ku Bugowi. Chrzanowski w 5,000 wojska, to jest siedm bataljonów piechoty, ośm szwadronów jazdy i ośm dział, istotnie miał polecenie wesprzeć Dwernickiego na Wołyniu; lecz w drodze otrzymawszy wiadomość o jego wejściu do Galicji i razem rozkaz z głównej kwatery, żeby opierając się o Zamość służył za punkt zbioru dla żołnierzy spodziewanych od granicy austrjackiej, a jeżeli będzie można wkroczył na Podole, dnia 11 maja stanął w twierdzy. Znaczne siły moskiewskie zwrócone od armji głównej, i uwolnione od zatrudnień z Dwernickim, przy tem niedość powszechne poruszenie w prowincjach, na długo zatrzymały Chrzanowskiego w miejscu.

Stało się tedy, jak najczęściej bywa, że pomoc
z ubocza, nie dopisywała nadziei
prędzej mógł dopomódz sa
na ducha mieszkańców, b
mian zbrojnych, a na
nia korzyść, że nie
i Zbruczem.

Linje przet
tynowa i od
ciły swój fr
krążących
do szkód
Prawie
szwadr
roztr
cie s
tak
R
p
1

zatrudnień na Polesiu koło Styru, musiały spieszyć pod Owrucz, część jakaś trzech ostatnich ruszyła przeciw Różyckiemu, za którym błąkało się jeszcze, co załoga żytomirska w pole wyprawić mogła. Rot tylko i Szeremetjew mieli prawdziwie ważne siły: pierwszy 9 szwadronów ułańskich w jednej kolumnie, drugi 5 szwadronów przy sobie, a dywizjon z bataljonem piechoty i kozakami w powiecie tatyczowskim.

W takim składzie rzeczy, naturalnie zależało powstańcom niezmiernie wiele na tem, żeby ich nigdzie nie zszedł i do bitwy nie zmusił liczniejszy nieprzyjaciel; a starając się niszczyć jego drobne komendy i zręcznie wymykając się w strony swobodniejsze, powinni byli dźwigać tam nowe oddziały patrjotów, zmuszać przeto ostatek mas moskiewskich do rozerwania się na cząstki, lub przynajmniej do dalekich i daremnych pochodów. Tym sposobem, ożywiony duch kraju i uboczne pomoce, mogły wkrótce wyjść im na bardzo znaczną korzyść.

Nikt zapewne nie może wymagać po kilku garstkach zbrojnych ziemian, żeby ich działania na obszernej przestrzeni, odpowiadały jednemu planowi, trafnie zgodziły się choćby chwilowo końcem wspólnych przedsięwzięć na zebranego nawet w jeden środek nieprzyjaciela. Ale łatwiejszym a niezbędnym warunkiem powodzeń w powstaniu było, żeby ka-
... sam dla siebie miał trafne widoki, w swoim
... sąsiednim okolicom i dalekim
... potrzeba było dzielnych
... wzniesionych uczuć do
... sprężystość władzy
... ocowałyby się na

... d miesiącem
... jąc obrady
... podobnie.
... kroków,
... dla po-
... czasu
... tania,
... zyja-

... en
... ć

były skromne; lecz pilnie patrzał koło siebie, mocno ufał w skuteczność przedsięwziętego dzieła. Obok zalet dobrego instruktora, jaśniały w nim przymioty zacnego gospodarza rolnika; obok odwagi oficera, miał dowcipną roztropność myśliwca. Oddział też latyczowski kształcąc się na stopę wojskową, nie tracił nic z cechy obywatelstwa. Był to pułk powiatu, który wyrastał z rodzinnego gruntu; tu zbierał się zaraz po rozsypce, tu orzeźwiony powodzeniem, jeśli wybiegał w sąsiedztwo to dla tego aby wrócił do gniazda, i z czasem wszystkich współziemian zdolnych do oręża skupił pod swoją chorągiew. Trwoga i zwątpienie były od niego daleko. Taki hufiec najwłaściwiej należało formować w każdym powiecie, a takich hufców kilkadziesiąt czyliżby nie dopięło już całego celu powstania? — Major (wówczas) Różycki powołany przez braci, przyniósł im w zamianę nieograniczonego zaufania wysokie zdolności wojenne, długie doświadczenie, wielką moc zapału i woli. Bystry wzrok jego na obszernej przestrzeni szukał zawodu, ręka nawykła do żołnierskiego rygoru, umiała wziąść i trzymać tęgą władzę. Jednej chwili stworzony szwadron, stał się postrachem wielokroć liczniejszego nieprzyjaciela: ta mała, lotna chmurka z błyskawic była znaczną, że w niej leżały pioruny; mogła w szeroką roztoczyć się burzę. — Jenerał Kołyszko, znamienity niegdyś wojak, postawiony na czele licznej a bogatej w zasoby wszelkiego rodzaju gromady, zupełnie przeciwną odbył z nią kolej. Ani myśl, ani dłoń starca nie mogły już objąć steru: mnożna hierarchja władz podniosła się pod nim, traf nasuwał ciągle dorywcze plany, nieład sprowadzał klęski i marnował korzyści. Szczątek nakoniec wspaniałego zastępu, złożywszy dowody rycerskiej odwagi, zebrawszy świetne wawrzyny, opuścił się bezwładnie na los szczęścia, za zgrzybiałym swoim wodzem wpadł w przepaść zwątpienia. Trwoga i przeczucie zguby rozciągnęły już całun nad taborem, który jednak był zawsze arką nadziei dla kraju, głównym przedmiotem trosków dla nieprzyjaciela.

Nieszczęściem jeszcze, powszechna skłonność powstańców do szukania się nawzajem, nastrajała tak wypadki, że klęska wisząca nad jeneralskim oddziałem, musiała z bliska dotknąć i inne. — Radomyślanie wybierali się ciągnąć do Owruczan; Nagórniczewski tylko co połączył się z hufcem sąsiedzkich powiatów; Kołyszko na oślep spieszył do Nagórniczewskiego; Różycki szukał Kołyszki. Gdyby kilka dni upłynęło bez potyczek, wszystkie powstanie zlałoby się w jeden obóz pod Owruczem i w jeden korpus w okolicach Baru. Korpus ten musiałby albo przyjąć walną bitwę, albo dla uniknienia jej rozczłonkować się znowu; Kołyszko bowiem ściągnął za sobą w te strony wszystko, co Moskale obracali po kraju. Rot od

Janowa idąc na Chmielnik i Międzyboż, zachodził mu z prawego boku, Szeremetjew spiesząc z nad Boha chciał przeciąć drogę do Baru; siła zgromadzona w Daraźni czekała na przodzie. W nocy 22 maja, kiedy Kołyszko spoczywał pod wsią Majdankiem między Daraźnią, Latyczowem i Barem, Rot był już niedaleko Latyczowa, a Szermetjew wpadłszy na trop taboru, szedł do Majdanku. Tegoż czasu Różycki z tyłu Rota stał między Lityniem i Ksawerówką, Nagórniczewski z tyłu Szeremetjewa obozował w lesie Hołubówki. Pierwszy i drugi na jeden marsz tylko byli oddaleni od Kołyszki, który wpadł w matnię. W takiem powikłaniu stron walczących, poczęła się nagle i ostatecznie rozwiązywać się dola wszystkich powstańców Ziem Ruskich.

XI.

Po krótkim wypoczynku rano 23 maja, obóz ukraińsko-podolskiego korpusu dźwigał się już z miejsca w dalszy pochód, kiedy Szeremetjew doścignął go z tyłu. Majdanek leży w głębokim parowie wśród lasu przeciętego wąską i przykrą drogą idącą przez wioseczkę. Cała niemal siła powstańców będąc na przodzie, miała za sobą ciasną ulicę zapchaną taborem i na końcu jego szczupłą straż tylną. W tak niebespiecznej chwili ukazał się nieprzyjaciel. Ułani moskiewscy występując z lasu, formowali się w kolumny szwadronowe na wzgórzu, u stóp którego winął się jeszcze koniec karawany. Dowódzca moskiewski wysłał flankierów, którzy usiłowali łamać płoty, żeby z boku otworzyć przystęp do wozów. Tylna straż powstańców dawała mężny odpór i parę razy odegnała flankierów. Tymczasem na przeciwległym nieprzyjacielowi krawędziu, czoło wędrownych szeregów poczęło zwracać się do boju. Spieszyli wszyscy, wyprzedzał innych kto mógł: nikt nie uchwycił komendy i nie zdołał porządnie obmyślić planu obrony. Działa jednak stanęły wybornie na pochyłości wzgórza za wioską, i rozwinęły szybko kartaczowy ogień. Jednem kierował Edward Jełowicki, drugiem Wojciechowski, Orlikowski był także przy nich; jenerałowi pozostawało zbierać i szykować zmięszaną lecz ochoczą ciżbę jeźdzców. Nim secina ich zgromadziła się około swojej artylerji, los bitwy się już przeważał.

Moskale rozproszywszy garstkę tylnej straży, wpadli do wsi i zachwycili część taboru z kasą, jeńcami i lazaretem. Pierwszy szwadron ułanów utonął w swojej bezbronnej zdobyczy, zajął się łupieżą droższych sprzętów i pieniędzy, morderstwem ciurów i nieszczęśliwych rannych leżących na wo-

zach; lecz inne natychmiast poparły się w porządku przez uprzątniony nieco tłum na ulicy i przez ogrody wiejskie. Teraz dopiero artylerja powstańców miała porę wytężyć całą swoją czynność. Z dwóch dział Szeremetjewa jedno tylko i dla złej pozycji nieskutecznie biło na nią; zwracając więc wszystek ogień przeciw kolumnom wysuwającym się o kilkadziesiąt kroków, poczęła razić je potężnie. Każdy strzał niechybiał celu, mięszał i wstrzymywał Moskali. Ilekroć ułani przyjęci kartaczami na chwilę tył podali, powstańcy przy swoich działach skupieni, rzucali się w pośród nich bez rozkazu i szyku. Bywał moment takiego zamięszania się walczących pod wioską, że ogień działowy musiał być przerwany, żeby razem z nieprzyjacielem nie niszczył swoich. Ale ponawiane parcie porządnej i karnej siły moskiewskiej wzięło górę; zdrada przyszła jej w pomoc.

Kanonierowie zebrani pod Obodnem a zbyt ufnie do posługi dział użyci, upatrzywszy porę z przodkarami i amunicją zemknęli w stronę. Jełowicki i Wojciechowski własnymi rękoma nabijając działa, wystrzelili kilka ostatnich ładunków i usiedli na lawetach oczekując mężnie nieuchronnego zgonu. Karabiniery ułanów, pieszo zaszedłszy lasem, z boku poczęli razić ogniem ręcznym; wkrótce wir ścierającej się jazdy otoczył zamilkłe i nieruchome armaty. Tu uparta i mordercza walka kończyła się na pojedyńczych zapasach.

Z czterechset wojowników, których mniejsza połowa jednem uderzeniem rozstrzygła potyczki Tywrowa i Obodnego, ledwo trzecia część miała udział w ciężkiej rozprawie pod Majdankiem. Nieregularny żołnierz na otwartem polu, w zaczepnym boju, samą dzielnością własną odnosił zwycięstwa; naczelnicy byli winni, że nieład, brak zupełny wiedzy o nieprzyjacielu, spieszny bez potrzeby a nieopatrzny pochód przez lasy, przywiodły oddział do próby męstwa w nagłej i odpornej bitwie. Wielu rozwlekły tabor nie dopuścił na plac utarczek, wielu strach niespodziewanej napaści zatrzymał w lesie, z pomiędzy skorszych i odważniejszych nie jeden co siedział na zdobytym pod Obodnem koniu, albo miał w ręku karabinek strzelecki, wkrótce postrzegł się prawie bezbronnym przeciw ułanom. Widziano jak ten i ów dzielny Ukrainiec przeskoczywszy na stepowego bieguna, albo porwawszy z ziemi lancę, z nowym zapałem wracał do boju i dokazywał cudów waleczności. Prędko jednak zapał i odwaga stały się tylko bohaterską rozpaczą: każdy bił się aby drogo sprzedał życie; uratował się kto był szczęśliwy.

Wszyscy prawie, którzy męstwem i wrodzonym duchem polskiego rycerstwa zajaśnieli w poprzednich potyczkach, zapieczętowali hojnie krwią swoją lub nieprzyjacielską ten ostatni akt głównego zastępu powstania. Z pomiędzy nich

Dębczakowski z każdej rozprawy mający bliznę na piersiach, zakończył razem z życiem poczet chlubnych tych znaków. Sędziwy a sławny z olbrzymiej postaci i siły Józef Borzęcki, położywszy trupem kilku ułanów, gdy mu szabla pękła, porwał dwóch za barki i tłoczył pod konia, kiedy dwie kule największych może tchurzów rzuciły go na stos trupów. Hieronim Zaleski otoczony tłumem nieprzyjaciół, walczył do ostatka z takiem męstwem, że jenerał moskiewski w oczach którego poległ, podawał go za wzór swoim oficerom i zwłoki jego przy grzebaniu ciał kazał uczcić wojskowemi honorami. Skoro walka odbywała się koło armat, Orlikowski widząc niewątpliwą klęskę, rzucił skrwawioną szablę i jeszcze raz oskarżając się za początek wszystkich nieszczęść pod Daszowem, z pistoletu odebrał sobie życie. Wojciechowski stojąc przy swoim dziale, bronił się pałaszem, aż póki upływ krwi sił mu nie odjął. Podjęto go okrytego przeszło czterdziestu ranami, z których jednak ozdrowiał w Galicji. Edwardowi Jełowickiemu brat jego Aleksander ocalił życie, wśród nieprzyjaciół podając konia z pod oficera moskiewskiego. Tejże chwili nieco dalej na prawem skrzydle, ojciec ich poległ przed samym szeregiem Moskali, całemi kolumnami zajmujących już pobojowisko.*)

---

*) Nekrolog który winienem tu umieścić, jako wspomnienie należne znakomitemu powstańcowi poległemu w boju, jest jeszcze pod pewnym względem dodatkiem objaśniającym same dzieje powstania, dzieje tak bezpośrednio wysnowane ze wszystkiego co u nas stanowi siłę obywatelską, a co częstokroć ma wielki węzeł w jednym znakomitym obywatelu. Nekrolog ten przeto musi być nieco obszerniejszy. — Wacław Jełowicki urodził się r. 1773 w Łanowcach na Wołyniu, gdzie jeden z przodków tej familji pod koniec wieku XV miał nadane obszerne włości za odparcie napadu Tatarów. Podczas rozbioru Polski, Katarzyna zalecając swoim rządzcom pilnować ściśle patrjotów, z pomiędzy Wołynia kazała szczególniej mieć na oku Lubomirskich i Jełowickich. Dziedzic Łanowiec był wyzuty z dóbr swoich; a nim mu je imperator Paweł przywrócił, małoletni synowie jego: Konstanty, Wacław, i Stefan, odbywali nauki we Lwowie i zostawali pod opieką starszej swej siostry, szambelanowej Jaroszyńskiej, mieszkającej w województwie podolskiem. Za młodu więc przywykłszy do tej okolicy, wyprzedali później swoje majątki galicyjskie i wołyńskie, prócz Łanowiec; i osiedli na Podolu. Odtąd żywot Wacława Jełowickiego był pasmem spokojnych zatrudnień domowych i usług obywatelskich. W obu tych skromnych zawodach, przymioty jego osobiste zjednały mu szacunek powszechny. Najlepszy ojciec, rządny i przemyślny gospodarz, surowy lecz dobry pan, w pożyciu prywatnem był prawdziwym zabytkiem tych coraz już rzadszych patrjarchów, których tak szanowny wzór przedstawiał niegdyś każdy możny a cnotliwy szlachcic staropolski. Dom jego zawsze otwarty dla przyjaciół i sąsiadów, gościnny, zapaśny, celował takim ładem, że wszystko w nim obfitowało i szło jakby samo przez się. W licznych i rozległych dobrach, na pierwszy rzut oka dawały się postrzedz gust i staranność właściciela. Lubił mieć piękną wieś, ogrody, wielkie myślistwo, udoskonalone stada i obory. To też nigdzie nie zbierano się na liczniejsze polowania, nigdzie nie było widać piękniejszych koni i owiec; a przejeżdżających uderzał widok jego folwarków powabnych porządkiem budowli i ogromem stodół pełnych kilkoletniego plonu. Te zapasy zboża taką miały sławę, iż urosło przysłowie w okolicy: że nie masz

Zwycięstwo to bardzo drogo kosztowało Szeremetjewa, lecz było zupełne. Powstańców ubitych i rannych zostało

czego lękać się głodu, póki Jełowicki swoich toków nie wymłóci. Co tylko w rolniczem gospodarstwie obiecywało korzyść, starał się u siebie i włościan swoich zaprowadzić; z jakiem zaś uczuciem zajmował się włościanami, najlepszym tego dowodem troskliwość w zakładaniu dla nich szkółek Lankastra, póki ukaz moskiewski nie zniósł ich w całym kraju. Być dobrym rolnikiem, uczciwym obywatelem, jest u nas rzeczą tak istotnie pożyteczną dla wszystkich, iż opinja współziemian nagradza to jak zasługę; gdy przytem imię lub fortuna pozwalają zaletom prywatnym ukazywać się wydatniej, głos powszechny oddaje im cześć popularną. Wziętość Jełowickiego stała się rozległą: na całem Podolu nie było nikogo, ktoby o nim nie słyszał i wysoce nie trzymał. Dobrzy lubili go; źli wspominali niechętnie, ale się lękali. Co pierwsi uznali słusznie za szlachetne uczucie własnej godności, to drudzy chcieli przypisać cierpkiemu humorowi i dumie. Ścisły bowiem w pojęciach obowiąsku i uczciwości, niezmiernie trwały w zdaniu, szczery i otwarty w słowach, zimno traktował mało znajomych, nie łatwo dawał do siebie przystęp, bez względu na bogactwa i tytuły pomiatał każdym, kto w oczach jego zasługiwał na naganę; tylko kogo raz pokochał, nie znał dla niego granic wylania się i uczynności. Tylko w towarzystwie dobranem bywał wesół, uprzejmy, i z staroświecka bardzo mile dowcipkował. Ostrość i nieugiętość jego charakteru okazywała się szczególniej na publicznem polu. Będąc dwa trzylecia marszałkiem powiatu, przy każdej okoliczności stawał harde czoło władzom fiskalnym. Opozycja w tej mierze, uprawniona obroną słuszności, gruntowała się głębiej na patrjotycznym wstręcie ku moskiewskiemu rządowi. Zacny obywatel nosił w swojem sercu tak czyste uczucie własnej narodowej dostojności, że wszelkie łaski lub zaszczyty od tego rządu uważał za poniżenie. Gdy mu się zdarzyło w r. 1818 zajechać dla interesów do Petersburga, kiedy heroldja zasiadała nad rozbiorem wywodów szlachty prowincji naszych, proponowano mu, żeby się legitymował jako potomek książąt ruskich, oświadczając, iż to bardzo łatwo okazane być może. Odpowiedział wtenczas: «wolę być dobrym szlachcicem jak kiepskim książęciem.» — I w istocie był najlepszym szlachcicem, najlepszym patrjotą polskim. Dom, kraj rodzinny, ojczyzna, ogarniały wszystkie jego widoki, wszystkie żądze na ziemi. W wychowaniu dzieci, w pracach rolniczych, w posługach współobywatelskich, głównie zwracał myśl na pożytek ojczyzny, którą widział zawsze w swojej wierze i nadziei, którą ujrzał na koniec powstającą z pod jarzma. Teraz przyszła mu pora złożyć na jej ołtarzu wszystkie owoce życia, i miał je dojrzałe. W gronie trzech synów, otoczony powszechnem zaufaniem, stanął wśród zmawiających się jak stanąć pod bronią. — Przez cały czas narad w Hubniku, jego wziętość była najcelniejszem ogniwem garnących się tutaj obywateli, jego rozsądek i powaga przewodniczyły im w trudnych zagadnieniach, męstwo i wytrwałość pokrzepiały ich w bolesnych przeciwnościach. Skoro jednak zbliżał się czas powstania, synowie chcieli go usunąć od trudów uciążliwych podeszłemu wiekowi. Udało się zataić termin i pod zręcznie wyszukanym pozorem uprosić, żeby pojechał w powiat bałcki do dóbr swoich zwanych Trzydęby. Lecz gorliwość ojca, nie dała się wyprzedzić miłości synowskiej. Zaledwo poczęto zbierać się do Krasnosiołki, niespodziewanie zjawił się w obozie, i darmo synowie błagali żeby uważał ich za swoich zastępców, darmo współobywatele przekładali, że poświęciwszy majątek i dzieci, ma prawo uwolnić się od służby z orężem, powinien nawet zachować się na właściwsze jemu usługi dla sprawy narodowej. Synom odpowiadał: «Wy za siebie wypłacicie dług ojczyznie, a ja za siebie wypłacić muszę.» Przyjaciołom mówił: «Ojczyznie wszystko się należy; a w tej chwili nie potrzebuje ona innych ofiar, jak ofiar z życia, i póki ktokolwiek będzie się od tego uwalniał, póty ojczyzny mieć nie będziemy. Krzywdzicie mnie, krzywdzicie moich synów powiadając, żem ich ojczyznie poświęcił; oni sami się poświęcili i ja sam szukam zaszczytu umrzeć za ojczyznę.» — Wierny temu postanowieniu czcigodny patrjota, w każdej bitwie walczył jak żołnierz. Pod Daszowem znajdował się w hufcu,

na placu tylko kilkadziesiąt, ale stracili wszystko: całą zdobycz poprzednich bitew — działa, jeńców i broń, większą część bogatych swoich zapasów, a co najgorsza całą nadzieję. Najwytrwalsi i najodważniejsi obywatele albo polegli, albo ostatni schodząc z pola, odbłąkali się od reszty. Izydor Sobański i kilku innych, pojedyńczo musieli szukać schronienia. Edward i Aleksander Jełowicki w dwadzieścia zebranych po lesie koni, nie wiedząc gdzie Kołyszko, wzięli oddzielny kierunek; wielu prostych żołnierzy nie mogąc znaleść dowódzców, w nieznajomej okolicy zmarnowało się bez własnej winy; bitwa bowiem pod Majdankiem jakkolwiek nieszczęśliwa, okazała wielki postęp wojennej wprawy, skończyła się porażką w zaciętym odporze, nie zaś płochliwą rozsypką jak na błoniach Daszowa.

Z pomiędzy bohaterów dnia, Aleksander Sobański równie zuchwały w boju jak zawsze dodający serca w radach obozowych, trafił szczęśliwie na drogę, którą cofały się znaczniejsze ułamki taboru i szeregów. Jego staraniem szczególniej restaurował się oddział koło jenerała Kołyszki. Szeremetjew bądź że otrzymał inne rozkazy od Rota, bądź że nie śmiał zapuścić się dalej w manowce, pozostał na miejscu. W lasach więc Kalnej Daraźni o milę od Majdanku, zebrało się przeszło 200 koni. Ocalało jeszcze wiele wozów i z kasy kilka worków rubli uniesionych przez sprawnych a wiernych Ukraińców. W liczbie wszakże skupionych na nowo jeźdzców, mało było zbrojnych: karabinki i nawet szable strzelców mo-

---

który zuchwałem uderzeniem zasłonił nieszczęśliwy odwrót; a zagrzewając płochliwych, co rzuciwszy broń uciekli z placu, oddał im swoje pistolety, na koniec jednemu pochwę żelazną z tem napomnieniem: «kiedyś rzucił pałasz, odzyskajże go pochwą;» sam zaś z dobytą szablą pozostał na cały ciąg powstania i mawiał: «dobyłem raz oręża abym go nie schował.» — Tak się też i stało: schowano oręż razem z wojownikiem. Z pomiędzy tych co najzaciętszy dawali opór pod Majdankiem, Wacław Jełowicki na czele małej garstki ostatni usuwał się od lewego skrzydła Moskali. Przy nim walczył syn najmłodszy i kilka razy dzielnem ramieniem życie mu ocalił. Ale gdy główny atak nieprzyjacielski zwrócił się na działa powstańców, gdy bój w tej stronie zwolniał, czuły ojciec poruszony niebespieczeństwem które dwom starszym synom groziło, zapomniał o sobie i prawie głosem wymówki zawołał: «Eustachy, ty tutaj, a bracia twoi tam giną!» Wyrazy te rozdarły serce młodzieńca na dwoje: skłonił się jednak w stronę gdzie bój wrzał potężniej. Nim zdążył, skończyła się bitwa przy działach: nie znalazłszy braci wraca do ojca, i znajduje tylko nieprzyjaciół. Nowy oddział ułanów uderzył był w to miejsce: garstka walecznych jeszcze raz rzuciła się na nich z bohaterską rozpaczą, i zginęła! — Wacław Jełowicki zapieczętował swoją krwią smutny koniec usiłowań, którym dodawał tyle zachęty i mocy. Sędziwa głowa możnego obywatela spoczywa w nieznajomym zakącie ojczystej ziemi; synom niebo odmówiło pociechy oblać łzami jego zwłoki. Obce ręce zagrzebały go w spólnej mogile z towarzyszami broni, a niejeden z tych towarzyszy był jego sługą, jego poddanym. Taki pogrzeb zbiera treść całego żywota w jeden wyraz wymowniejszy nad wszelkie pochwały i wystarczy cnotliwemu Polakowi za przepyszny nagrobek.

skiewskich, rzucone zostały jako nieużyteczny ciężar: ledwo gdzieniegdzie powiewała chorągiewka lancy, niezrównanej naszej broni, którą po czasie doświadczenie nauczyło ocenić.

Z taką resztą swojego korpusu jenerał Kołyszko, równie jak większa część będących przy nim obywateli, zdaje się że nie miał już nic na celu, jak tylko przemknąć się do Galicji. Bądź wszakże niewyraźna jakaś otucha odnowienia orężnych przedsięwzięć, bądź sama troskliwość o bespieczniejsze przejście do granicy austrjackiej, podżegały w nim niecierpliwą żądzę spodziewanych posiłków. Ciągle wysyłał gońców, żeby mu znaleźli i przywiedli oddział latyczowski. Oddział ten znajdował się niedaleko.

Dnia 33 maja rano, w chwilach bitwy pod Majdankiem, Nagórniczewski stojąc obozem w lasach hołubowickich, urządzał się ze świeżo nabytym hufcem trzech połączonych powiatów. Gdyby nie ta mitręga, byłby już tego ranku przesunął się szczęśliwie ku Lityniowi, i tam za kolumnami Rota i Szeremetjewa zwróconemi w przeciwną stronę, albo zszedłby się z Różyckim, albo sam znalazłby swobodny i korzystny plac dalszych działań. Do zgubnej dla niego zwłoki przyczyniła się jeszcze jedna drobna okoliczność. Ponieważ doniesiono mu, że niejaki Biernacki posesor zastawny w Bucniach, denuncjował wielu patrjotów, a złapawszy powstańca z oddziału latyczowskiego trzyma go pod strażą i chce odesłać do Mohilowa, polecił Gołyńskiemu, żeby z kilkunastu ludźmi udał się do Bucniów i schwytał zdrajcę. Ostrożny przyjaciel moskali pospieszył uciec z całą swoją rodziną. Gołyński dognał tylko na drodze prowadzonego już w więzach powstańca, a z raportów znalezionych przy strażniku przekonawszy się, iż Biernacki zasługiwał na szubienicę, kazał wszelką jego własność skonfiskować lub zniszczyć: zapasy żywności zabrano na fury, szpichlerze i sklepy otworzono zwołanym włościanom.

Zaledwo pluton wrócił z tej wyprawy do oboru, fatalny traf przyniósł tu gońca, który zmienił zamiary i można powiedzieć, zapieczętował całą przyszłość działania. Był to emisarjusz jenerała Kołyszki wyprawiony jeszcze zaraz po zwycięstwie pod Obodnem. Miał on rozkaz zalecić powstańcom jakich tylko znajdzie, żeby najspieszniej dążyli na spotkanie jenerała w okolicy między Latyczowem a Barem. Wszystko co opowiadał wróżyło najpiękniejsze nadzieje, obudzało żywą radość; lecz niestety sam nie wiedział, że wszystko było już anachronizmem. Przed niewielu godzinami istotnie korpus podolsko-ukraiński liczył 400 jeźdźców obwieszanych rynsztunkiem, prowadził z sobą parę set koni luźnych, wiele zapasów i dwa działa. Przywykli małemi środkami tworzyć swoją siłę, rządni i wprawni do werbunku towarzy-

sze Nagórniczewskiego, mając w swoich szeregach przeszło 350 jazdy i 150 pieszych, rachowali na pewno, że za kilka dni znajdą ochotników ile było zapaśnych koni, dobiorą strzelców ile karabinków wisiało niepotrzebnie przy siodłach; a tak wnet dziesiątek szwadronów, z dwoma kompanjami piechoty i artylerją złożą zastęp, któremu żaden nieprzyjaciel obecny w kraju strasznym nie będzie. Te powabne widoki, te bardzo rozsądne rachuby, kilka upłynionych godzin obróciło w cień zwodniczy, w marę prowadzącą do zguby.

Nagórniczewski odprawił emisarjusza z oznajmieniem do jenerała, iż odpowiadając jego życzeniom natychmiast wyrusza w pochód i nazajutrz albo go spotka, albo będzie czekał w lesie niedaleko Szyiniec.

Oddział ten, który miał udać się na wschód Baru, skierował się w stronę zachodnią, i po całonocnym marszu, równo ze świtem 24 maja stanął na wypoczynek w dębinie blisko Żeniczkowiec, skąd do punktu umówionej schadzki było ledwo pół mili. Około godziny dziewiątej rano; wrócił tu emisarjusz odprawiony z wieczora, w towarzystwie drugiego gońca. Kołyszko donosił już o swojej porażce i poniesionej stracie, a oznajmując że pominąwszy Karaczyńce, przez lasy Hohol i Borzykowiec na Ochrymowce ciągnie do Zinkowa; wzywał pomocy i ratunku!

Nagórniczewski wiedząc, że w Zinkowie zawsze trzymała się część siły moskiewskiej rozstawionej na linji od Płoskirowa do Kamieńca, polecił emisarjuszowi czem prędzej uprzedzić o tem jenerała, a sam kazał zaraz szwadronom siąść na koń i kłusem pospieszył ku Ochrymowcom. W Żeniczkowcach powiedziano mu, że Kołyszko pociągnął już tędy, a nieco dalej tuman kurzu na drodze dał poznać bliskość dościganej kolumny. Lecz w miarę jak szwadrony Nagórniczewskiego przysparzały kroku, orszak strwożonych rozbitków, biorąc je za pułk ułanów moskiewskich, unosił się od pogoni. Musiano dwóch żołnierzy posłać cwałem dla zaspokojenia popłochu. Z nimi przybiegło na powrót kilku z korpusu: w liczbie ich byli Aleksander Sobański i Eustachy Jełowicki. Ci skreślili krótko stan rzeczy i na zapytanie dokąd idą, odpowiedzieli, iż podobno do Galicji. Jenerał tak skwapliwie dążył w zamierzonym kierunku, że pomimo powtórne poselstwo do niego z karteczką od Sobańskiego, nie przerwał marszu. Nagórniczewski przyszedłszy na koniec do lasu, zatrzymał swój oddział, i zwoławszy dowódzców szwadronowych zapytał ich, co uczynić radzą, gdyż widocznie jenerał Kołyszko spieszy do granicy, a w Zinkowie wpadnie na Moskali? Wszyscy byli jednego zdania, żeby nie wychodząc z lasów stanąć obozem, popaść konie od dwudziestu godzin niekarmione, a tymczasem porozumieć się

z jenerałem, i postąpić stosownie do jego ostatecznej decyzji. Sobański pojechał do Kołyszki, który skłonił się wreszcie cofnąć swój oddział od Zinkowa, rozłożył tabor przy karczmach Ochrymowskich o wiorstę od Nagórniczewskiego, i przysłał zapraszając go z innymi dowódzcami na radę.

Skoro naczelnik i komendanci szwadronów północno-podolskich, przybyli do taboru, smutny przedstawił się im widok resztek korpusu, o którego sile, świetności i zwycięstwach, słyszeli tak pochlebne wieści. Drużyna zmięszana i prawie bezbronna stała posępna, obywatele zwierzchnicy snuli się jak poważeni. Kilkunastu rannych leżało na wozach, konie były chude, lud znużony. Mimo to dzielny rumak stepowy miał jeszcze postawę rzeźwą, i dzielny kozak ukraiński poglądał hardo. Trochę obroku, parę set nowo ukutych grotów, przy kilkunastu godzinach wytchnienia, przy dobrym porządku i szczerej usilności dowódzców, mogły naprawić wszystko. Ale właśnie w oczach tych dowódzców nie błyszczała już ta iskra ufności i zapału, która jest nieodstępną jutrzenką każdego dzieła, spoczywającego w umyśle człowieczym jak słońce pod poziomem. Ich poświęcenie się, ich miłość ojczyzny, nie były zniszczone bynajmniej, lecz nakształt ziaren stłumionych na domowym gruncie, zdaje się że potrzebowały koniecznie innej ziemi, żeby znowu wzejść mogły. Wśród grona tak usposobionej starszyzny, jenerał Kołyszko siedział nad mapą. Po pierwszych przywitaniach, odezwał się do świeżo przybyłych: «Panowie jako tutejsi, najlepiej mi powiecie kędyby najprościej i najbespieczniej przejść do Galicji?» — Umartwieni takiem zapytaniem, odpowiedzieli, że nie chcą myśleć o tej drodze, i gdyby konieczność zmusiła ich kraj własny opuścić, to szukaliby sposobów przedrzeć się do królestwa. — Starzec smutnie potrząsł głową i rzekł: «Nie pozostaje nam nic innego jak spieszyć do Galicji: tam połączymy się z korpusem jenerała Dwernickiego, i razem z nim albo wrócimy na Podole, albo rząd austrjacki przepuści nas do Polski. Mamy przy tem wiadomość, że legja Wereszczyńskiego już sformowana i w tych dniach stanie nad Zbruczem; zawsze więc trzeba nam przynajmniej zbliżyć się w okolice Kamieńca.»

Powstańcy latyczowscy lepiej świadomi w tej mierze, objaśnili go, że korpus Dwernickiego rozbrojony i odesłany do ziemi Siedmiogrodzkiej, a legja Wereszczyńskiego dotąd gra rolę tylko w obietnicach i w swoich kryjówkach. — Nie wiele zważając na te słowa Kołyszko mówił dalej: «po wczorajszem nieszczęściu, z garstką strudzonego i zdemoralizowanego żołnierza, otoczeni zewsząd przez nieprzyjaciela, nie zdołamy utrzymać się tutaj, prócz Galicji nie widzę innego ratunku. Powiedzcie wszakże panowie, jakie jest wasze zda-

nie?» — Nagórniczewski zabrał głos i począwszy od uwag na obecnem położeniem sił własnych i nieprzyjacielskich, stosownie do tego podawał projekta. Nie taił on, że wyjście z okolic leśnych pogorszyło bardzo stan rzeczy, wskazywał jednak dwie drogi do wyboru: albo na Wołyń, albo na Ukrainę, do obu celów wyjaśniając możność przemknięcia się w tył ścigających kolumn, i jeśliby się zwróciły, pozyskania najmniej dwóch dni marszu. — Pokazało się później, że jenerałowie moskiewscy, starając się odciąć powstańców od królestwa, a przeć do Zbrucza, oskrzydlali ich z daleka. Rot spieszył z gościńcem do Płoskirowa, Szeremetjew z Majdanku udał się do Baru. Między Płoskirowem a Barem, dywizjon ułanów, bataljon piechoty i dwa działa, ściągnięte do Daraźni, stanowiły środek. Ponieważ Nagórniczewski radził, tejże nocy ciągnąć wstecz od Zinkowa przez Michałpol i Kołybanie ku Międzybożowi, a stamtąd dopiero prosto na Wołyń, lub lasami lityńskiemi w stronę Ukrainy, wedle wszelkiego podobieństwa, ruch ten acz azardowny, mógł się udać. Ale cokolwiek najzbawienniejszego przezorność i gorliwość zdołałaby obmyślić, wszystko już było daremne, bo nie było z kim tego wykonać. Kołyszko odwołał się do większości zdań, i ogromna większość przychyliła się na jego stronę. Tylko Aleksander Sobański, Eustachy Jełowicki, Herman i Józef Potoccy, oraz Wincenty Tyszkiewicz, przebrany jeszcze po chłopsku jak przybył do Janowa) mocno trzymali za Nagórniczewskim; reszta obywateli i oficerów korpusu, a z nimi i Chłopicki odstępując swoich, głosowali za wejściem do Galicji.

Z zadziwieniem i boleścią widząc taki upadek ducha, Nagórniczewski oświadczył jenerałowi, iż zostawi go na obranej drodze, a ze swoim oddziałem będzie sobie szukał innej. W tym celu dowódzców szwadronu odesłał zaraz do obozu, żeby kazali ludziom siąść na koń; ponieważ zaś Sobański, Jełowicki, Potoccy i Tyszkiewicz, chcieli przyłączyć się do jego oddziału, zatrzymał się na chwilę z nimi, spodziewając się jeszcze albo wymódz co na jenerale, albo zebrać więcej ochotników.

Zanosiło się tym sposobem na to, co najlepszego stać się mogło. Gdyby jenerał Kołyszko ze swoją nieszczęsną powagą, z nieużytecznym taborem i nieużyteczniejszym jeszcze orszakiem ludzi pozbawionych ducha, ciągnąc ku granicy austrjackiej, zatrzymał parę dni baczność nieprzyjaciela zwróconą w tę stronę, niewątpliwie Nagórniczewski miałby przeto zupełnie otwarte sobie wrota za linją moskiewską. Ale złe przygotowane od wielu przyczyn, mających źródło w powszechnych słabościach i wadach kraju, nie łatwo mogło być napra-

wione przez lada trafunek pomyślny; przeciwnie jedna drobna okoliczność przyspieszyła smutny koniec rzeczy.

Zaledwo szwadrony latyczowskie poczęły kiełznać konie, widety ich stojące od strony Baru dały kilka strzałów, i placówka cofnęła się z doniesieniem, że moskiewska piechota przybywa na wozach. Wysłany rekonensans wkrótce poznał własnych strzelców, którzy nie mogąc zdążyć za jazdą w nagłym marszu z lasów hołubowieckich, nabrali sobie po wsiach furmanek, i gdy dowódzca Ledochowski, dla ogrzania przejętych chłodem zimnego ranku, kazał dać po kilka kieliszków wódki, podweseleni nieco jechali wyśpiewując swoje ruskie piosnki. Próżny ten alarm stał się powodem zetknięcia się dwóch oddziałów, a to zetknięcie się sprawiło bardzo ważne skutki.

Kołyszko nadciągnąwszy ze swoją drużyną w pomoc niby zagrożonym szwadronom, nie chciał już oddzielić się od nich: skłonił się zejść z drogi zinkowskiej, obiecał we wsi Bebechach pomówić ostatecznie względem dalszych planów wspólnego działania, i prosił żeby Latyczowianie uformowali przednią i tylną straż kolumny. Za przybyciem do Bebech, Nagórniczewski radził jenerałowi przeprowadzić tabor ukraiński na drugą stronę jaru do Faszyjówki i tam osobno stanąć obozem; lecz rada jego była już zapóźna. Powstańcy ukraińsko-podolscy ucieszeni bespieczeństwem pod cudzą zasłoną, czem prędzej mieścili się po chatach i stodołach, zdejmowali siodła z koni i zabierali się do wygodnego wczasu. Nim naczelnik oddziału latyczowskiego zdołał rozmówić się z liczną a zmięszaną hierarchią korpusu, pierwszy szwadron jego musiał zająć się rozstawieniem widet i placówek, drugie zaś dwa zbliżyły się jeszcze bardziej do zaraźliwej gromady. Demoralizacja, ta straszna w każdem wojsku choroba, ma tę własność, że dobry duch świeżego żołnierza nigdy nie bierze góry nad nią, lecz zawsze sam jej ulega. Zrazu karni i pełni zaufania we własnych siłach towarzysze Nagórniczewskiego, z zadumieniem i zgrozą poglądali na bezład i niesforność niedobitków jeneralskich; ale wkrótce nadstawili ucha na ich rozmowy, poczęli wchodzić z nimi w znajomość i gawędkę. Przy ogniskach obozowych, rozwlekające się jak dym, żale, narzekania i trwogi jednych, ćmiły odwagę i nadzieję drugich. Starszyzna trzymała przodek w tem apostolstwie zwątpienia, a gdzie była jaka słabość lub skaza pod względem moralności powszechnej, tam i demoralizacja wojenna przyczepiła się najprędzej. Oficerowie szwadronu trzech powiatów połączonych, chciwi naczelnictwa i tytułów za lepszych czasów, okazali się najmniej pochopnymi do trudnych zasług. Chłopicki naprzód przylgnął do głosujących za widokiem najrychlejszego ubespieczenia własnych osób; ci któ-

rzy nie wyrachowali się jeszcze z pieniędzy barskich, pragnęli najusilniej końca całej sprawy powstania; inni w dobrej wierze rozumowali fałszywie. «Cóż my w małej liczbie potrafimy uczynić — mówili sobie — kiedy korpus ukraiński tak znaczny oprzeć się nieprzyjacielowi nie mógł? Jenerał i naczelnicy co są przy nim, wiedzą zapewne lepiej jakie jest położenie rzeczy: idźmy z nimi, jeśli chcemy zachować na dal nasze kości.» Tym sposobem od wyższych do niższych, od szwadronu do szwadronu szerzyła się zaraza. Nagórniczewski tymczasem jeszcze raz w gronie rady jeneralskiej probował zwrócić umysły na drogę powinności; lecz zgłuszony przez większość, opuszczony od wielu swoich, musiał nareszcie uledz ogólnemu popędowi, i poszedł najwytrwalszemu ze swoich towarzyszy Gołyńskiemu, zanieść smutną nowinę. Kilka słów z pamiętnika tego ostatniego, najlepiej zamknie przykry obraz samobójstwem kończącego się powstania.

«Skorośmy przymaszerowali do Bebech, mój tylko szwadron, na który kolej służby przypadała, został pod bronią. Połowę jego rozstawiłem na czterech placówkach w koło wsi, zajmując traktaty od Zinkowa, Michałpola, Deraźni i Hremiaczki; resztę trzymałem w miejscu przy koniach. Ponieważ szpieg nasz doniósł, że Moskale nocują o 15 wiorst za nami, prosiłem Nagórniczewskiego, żeby kazał drugiemu szwadronowi być w gotowości i z szwadronów ukraińskich dostał nam cokolwiek w pomoc do zapełnienia łańcucha straży. Odesłał mnie do szefa sztabu jenerała Kołyszki, u którego nic nie wskórawszy, musiałem spuścić się na opiekę Boga i na własną czujność. Jakoż gdy wszyscy wypoczywali, ja całą noc przepędziłem patrolując widety. Około północy wróciwszy z patrolu, siadłem przy ogniu i dla odpędzenia snu cisnącego się na powieki, zapaliłem sobie lulkę. Wtem przyszedł do mnie Nagórniczewski i opowiedział ostatnią naradę z jenerałem. Kołyszko zdawał się już odstępować zamiaru wejścia do Galicji i chciał puścić się z nami na dalszą partyzantkę; ale cały jego sztab silnie oparł się temu, zakrzyczał jenerała i Nagórniczewskiego. Natenczas jenerał rzekł: «Widzisz Pan sam, że z takim duchem większości niepodobna nic zrobić. Jeśli Pan bierzerz na siebie odpowiedzialność za swoje plany, to możesz odłączyć się od nas i udać w swoję drogę, a my pójdziemy do Galicji.» — «Po takiej odpowiedzi — mówił dalej Nagórniczewski — chciałem natychmiast wziąść nasz oddział i ciągnąć w lasy za Michałpol; lecz na moje rozkazy, oświadczyli, że ten szwadron nie życzy sobie oddzielać się od Kołyszki i chce przejść z nim za granicę. Pozbawieni trzeciej części sił naszych, bylibyśmy bardzo słabi; mamy przy tem i u nas nic

mało chorych i znużonych. Wszak to oficerowie (których wymienił) ledwo zdołają jutro siąść na koń; jakże tu odważyć się na nowe a daleko większe trudy? To mię skłoniło, że wróciłem do jenerała i powiedziałem iż poddajemy się wspólnemu przeznaczeniu. . . . Kołyszko prosił mnie, żebyśmy odtąd w całym marszu aż do granicy przednią i tylną straż trzymali; polecił nam przytem obrać najdogodniejszą drogę. Ty więc jako znający najlepiej tutejsze strony, bądź przewodnikiem całego korpusu.» Odpowiedziałem, że z punktu w którym jesteśmy, najprościej będzie maszerować na Zaińce, Szarawkę, Aleksiniec, Kupin, do Satanowa, i spodziewam się że prócz straży u granicy nigdzie nie spotkamy nieprzyjaciela. — Nagórniczewski stał zamyślony i poglądając na obóz rzekł do mnie: «Patrz jak wszystko śpi spokojnie, jak za dobrych czasów! A przecież w Zinkowie, w Dębowych karczmach nocują Moskale, w Hremiaczce są kozacy. Gdyby para sotni ich tu wpadło, wielużby nas bronić się albo ujść mogło? I nie szkodziłoby może żeby tych bezładników i opalców przetrzepali trochę nahajkami. Dla naszego jednak bespieczeństwa trzymaj ludzi na koniu, placówki i widety często odwiedzaj, a jeśliby się cokolwiek zdarzyło, zaraz daj mi o tem wiedzieć. Znajdziesz mię tu przy ognisku.» Nie puszczając więc cugli z ręki, czuwałem do ranka, a skoro dzień świtać począł, kazałem zbudzić obór i wnet cały korpus ruszył w pochód ku Zaińcom. Pierwszy wypoczynek odbył się za Jarmolińcami; przeszedłszy później Kupin, po całonocnym marszu równo ze dniem stanęliśmy koło karczmy Bębnowieckiej. Tu uszykowawszy kolumnę plutonami, z bronią do ataku zbliżyliśmy się pod Satanów. Bagaże i tylną straż wyprawiliśmy przez miasto na most; jazda zaś, której czoło składał mój szwadron, w bród przebyła rzekę, i tym sposobem, dnia 26 maja rano weszliśmy do Galicji. Wkrótce nadciągnął pułk huzarów austrjackich i zaprowadził korpus nasz do Skałatu, gdzie rozbrojonych i strażą otoczonych jeńców umieszczono w obozie za miastem.

Pogoń nieprzyjacielska nie była równie spieszna jak dwónastomilowy pochód Kołyszki; nadto jenerałowie moskiewscy zbyt ostrożnie ostępując swoją zdobycz, ułatwili jej ucieczkę. Szeremetjew w dziesiątek godzin po wyjściu powstańców od Baru do Bebech, Rot nie zdołał prędzej skierować się od Płoskirowa w lewo na Karpowce. Oba rozstrychnieni pierwej daleko dla przecięcia dróg na północ i południe, gdy Kołyszko prosto pomknął ku zachodowi, zetknęli się z sobą o cały marsz za nim. Na przedzie zaś nic mu nie sprawiło mitręgi. Krążyła wieść, że w Satanowie znajduje się kilka set kozaków; lecz powstańcy zastali tylko i rozbroili dziesięciu żandarmów.

Podobnież udało się garstce 20 ludzi z Edwardem i Aleksandrem Jełowickimi odbłąkanej po bitwie pod Majdankiem, przerżnąć się szczęśliwie. Pamiętnik A. Jełowickiego, tak opisuje ten ustęp malujący położenie rozproszonych powstańców. «Po bitwie pod Majdankiem, ja z moim starszym bratem schodząc ostatni z placu, zostaliśmy odcięci od reszty sił naszych. Zatrzymawszy się cokolwiek w lesie i opatrzywszy broń, wychodziliśmy na wszystkie strony, lecz widząc wszędzie nieprzyjaciela, a nigdzie swoich, postanowiliśmy sami we dwóch dostać się do wojska polskiego. W kilka godzin usłyszeliśmy koło nas szelest: przekonani że nieprzyjaciel drogę nam zaszedł, przysięgliśmy sobie raczej zginąć jeden obok drugiego, niżeli się poddać. Lecz zamiast nieprzyjaciół, spostrzegliśmy kilku naszych, którzy nieco pierwej schronili się do lasu. «Zbawieni jesteśmy! — zawołali — kiedy z panami jesteśmy.» Zapytaliśmy ich czy więcej naszych nie masz? Powiedzieli że jeszcze kilkunastu zatrzymało się trochę dalej. Tak więc znaleźliśmy się z 22 ludźmi, między którymi był kapitan Korzeniowski i pułkownik ***. Wszyscy prosili nas, żebyśmy ich przeprowadzili do Galicji, poddając się nam zupełnie. Czuliśmy całe niebespieczeństwo przebywania kilkunastu mil kraju zapełnionego wojskiem moskiewskiem, z dwudziestu ludźmi prawie nieuzbrojonymi; trzech tylko bowiem miało lance, a przytem kilku było rannych, konie wszystkie wycieńczone, zapasów żadnych, prócz pieniędzy króreśmy mieli przy sobie. Jednakże poświęciliśmy nasze własne bespieczeństwo i nasze ostatnie zasiłki: przyjęliśmy dowództwo, a raczej służbę około tego małego oddziałku walecznych. W nieznajomej okolicy, mało można było spuszczać się na wybór tajnych manowców: woleliśmy pogardzać niebespieczeństwem; szliśmy przeto po większej części wielką drogą, udając przednią straż dwutysiecznego korpusu powstańców. Tym sposobem nie tylko pierzchały przed nami oddziały kozaków, aleśmy nawet odciągnęli część wojska z komend, które ścigały jenerała Kołyszkę. Teodor Korzeniowski wspierał nas bardzo w usiłowaniach naszych. Dnia 25 przeszliśmy po pod same miasto Felsztyn, w czasie walnego jarmarku w tem mieście zajętem przez wojsko moskiewskie. Nazajutrz przebyliśmy granicę pod Wołoczyskami o mil dwie od Satanowa, gdzie się tej chwili znajdowała reszta naszego korpusu z jenerałem.» — Izydor Sobański i wielu innych, rozproszonych pojedyńczo przybyło później do Galicji. Taki był koniec dwóch oddziałów zbrojnych, które w liczbie 800 powstańców przeniosły na dalszy plac patrjotyczne usiłowania i nadzieje Podola i Ukrainy. Wybierająca się w pomoc im legja Wereszczyńskiego, powtórnie doczekała się emigrantów za Zbruczem. Przed miesiącem

wejście jenerała Dwernickiego, teraz wejście jenerała Kołyszki, zaskoczyło ją na wylocie z misternego powicia. Odtąd szczątki posiłkowej wyprawy, zbrojnych powstań i uzbrajanej legji, zmięszały się razem i płynęły w stronę, gdzie ognisko zapalone w nocy 29 listopada, ściągało na powrót wszystkie swoje promienie. Zamość, niedawno punkt zbiorowy sił co miały roztoczyć się za Bugiem, stał się dopiero pierwszą przystanią wszystkiego co z za Buga unosiło się nad Wisłę. Walka powstającej Polski ledwo rozniecona w ziemiach ruskich, dogorewała szybko.

Około tegoż czasu rozwiązał się los obozów powstania, nieruchomie utkwionych na wschodnim końcu Polesia.

Pułkownik Lewicki, z dwoma szwadronami strzelców konnych jeszcze ostatnich dni kwietnia komenderowany przeciw powstańcom kowelskim, zwróciwszy się w okolice gdzie wszczynały się nowe poruszenia, dostał w pomoc sobie bataljon piechoty, dwa działa, oddział kozaków, i z temi siłami uderzył na Owruczan. Bój był zacięty. Nieostrożni i nierządni powstańcy dali dowody męstwa, które pod dobrym sterem mogłoby zapewnić im wygranę. Lecz nagła obrona w lesie, pomimo wytrwały opór musiała skończyć się rozsypką. Nieprzyjaciel lubo ze stratą kilkadziesiąt ludzi, opanował stanowisko, i wszystkie zapasy: zabrał moździerze i chorągiew, która, posłana do Petersburga, była tryumfalnie prezentowana poddannym carskim jako znak wydarty zastępowi 5,000 buntowników! Patrjotów poległo tylko czterech, ale wielu na placu bitwy, więcej z kryjówek dostało się w ręce moskiewskie. Marszałek Hołowiński do ostatka nie ustępując kroku, padł okryty kilku ciężkiemi ranami. Zawleczony naprzód do Żytomierza, potem do Kijowa, w gubernji włodzimirskiej dokonał żywota. Z towarzyszy jego Antoni Pausza także prowadzony na Sybir, nie zdołał oprzeć się rozpaczy, i w drodze własnymi kajdanami rozsadził sobie czaszkę. Kobyliński z synem, Zielenieccy, Rapsztyński, Baranowski, Zagórski i kilkunastu innych obywateli, wzięci z bronią w ręku, po męczarniach więzienia i śledztwa, zostali rezesłani na dalsze katusze do kopalni Nerczyńska, do Wiatki i do Kurska.

Właśnie kiedy Radomyślanie wybierali się w pochód z Białejsoroki pod Owrucz, nadbiegła wieść, że powstańcy owruccy znajdują się w ciężkiem położeniu. Trzeciego dnia po tem, kilkadziesiąt rozbitków przyniosło im dokładną wiadomość o klęsce i przestrogę, żeby się gotowali do obrony. Świeże doświadczenie sąsiedniego oddziału nie natchnęło lepszej myśli: postanowiono w miejscu czekać nieprzyjaciela. Gałecki kazał spuszczać drzewa, robić zasieki około obozowiska; Lipoman gotował się z jazdą wystąpić za twierdzę

i atakujących wprowadzić na zasadzkę. Nieprzyjaciel spodziewany ukazał się wkrótce: jazda pomyślnie zaczęła utarczkę na przyległej niwie; lecz to samo powodzenie zmięszało dalsze plany i przyniosło zgubę. Pierwszy szwadron strzelców konnych moskiewskich został rozbity, drugi pierzchnął. Zapalona młodzież rzuciła się mordować i ścigać, a zamiast co miała fortelem zadać cios Moskalom, sama ujrzała się w nieprzewidzianej przygodzie. Artylerja i piechota moskiewska zbliżyły się pod obóz: huk dział i gęstych strzałów karabinowych zmienił prędko chwilowy trjumf w powszechną trwogę, ufortyfikowany tabor stał się placem walki. Odwaga i męstwo podały zaraz w ręce zwycięsców najszlachetniejsze ofiary; ucieczka zbawiła tych tylko, których później szukać nie chciano. Pomiędzy walczącymi najodważniej, pierwszy poległ marszałek Gałecki: lekarz który przybiegł go ratować, martwemu już wydobył z piersi kulę z grajcarem od laszdtoka. Lipoman śmiertelnie raniony, dokonał życia w więzieniu. Walery Waksman i F*** P*** nie pierwej dali się pojmać, aż póki upływ krwi sił ich nie pozbawił. Stępkowski możny obywatel, Jaroszewicz starzec sześćdziesięcioletni i Karol Klinka, na polu bitwy dostali się do niewoli. — Michał Kozieracki, Paweł Zaleski, brat marszałka Mikołaj Gałecki z synem Franciszkiem, Stanisław Fiedorowicz, Henryk Zmijewski, Edward Bojarski, Antoni Rudnicki, Salezy Giersztold, dwaj bracia Zubowscy i liczni inni obywatele, złowieni w lasach albo porwani z domów, poszli za miłość ojczyzny pokutować w pustyniach carstwa. Z pomiędzy nie wielu, którym udało się ujść rąk moskiewskich, Jan Ludwik Jastrzębski, młodzieniec pełen patrjotycznego zapału, raniony, przemknął się do Galicji i dziś z nami podziela tułactwo. Mściwość i okrucieństwo moskiewskiego rządu nie przepuściły nawet płci niewieściej. Pani Stępkowska, przedtem wdowa po księciu Jabłonowskim, schwytana przy mężu w obozie, wycierpiała długie więzienie w kazamatach kijowskich, wśród łotrów osadzonych za kradzież i rozboje. Pani Pieńkowska, starościna Przemyślska, dama majętna i pełna szanownych przymiotów, doświadczyła podobnież barbarzyńskiego obejścia się, z powodu, że w dobrach jej znaleziono w kościele kilka moździerzy i kilkanaście kul armatnich. Kuzynka starościny, młoda Aniela Pieńkowska, znajoma szczególniej z usług oddawanych powstańcom, piękne swoje poświęcenia się zapieczętowała śmiercią. Dniem przed rozbiciem powstania jadąc z obozu dla przywiezienia z pewnego domu zebranej broni i amunicji, trafiła na czaty kozackie. Przelękniona wyskoczyła z wozu i chciała naprzód ratować się ucieczką; lecz postrzegłszy tuż za sobą pogoń, machinalnie chwyciła za mały pistolet, który nosiła za paskiem

u piersi, i zuchwale stanęła do obrony. Strzał — przypadkiem może — był trafny; kozak spadł z konia. Dopiero huk wystrzału, widok trupa, tentent nadbiegających drogą nowych nieprzyjaciół i razem myśl, że niespodziewane niebespieczeństwo grozi braciom, porwały jakby na skrzydła pozbawioną już przytomności dziewczynę: puściła się przez gęstwę drzew i zarośli napowrót do obozu. Ale wkrótce zabrakło jej tchu, zawróciła się głowa i mrok zaskoczył błąkającą się w lesie. Ledwo nazajutrz wyszedłszy na pole, zdołała rozpoznać miejsce i o północy przybyła do własnego domu, znużona, przeziębła, objęta gorączką. Wiadomość o klęsce powstania wzmogła niezmiernie symptomata choroby; kiedy Moskale wlekli swoich jeńców do lochów Kijowa, krewni młodej bohaterki, prowadzili jej zwłoki na smętarz.

Kraj w imię carów moskiewskich, jako buntowniczy, zdeptany przez ich sołdactwo, jest najsmutniejszem pobojowiskiem. Błogosławiony, kto służąc sprawie ojczystej przed jej upadkiem zamknął powieki: żywym bez względu jak dalece zawinili nieprzyjacielowi, pozostaje upokorzenie, ucisk, ciągła bojaźń i żałoba. Skoro po kilku tygodniach, nieszczęśliwie i nieudolnie rozpalającej się wojny ziemiańskiej, pogasły koleją różne zarodki powstania, cała Ziemia od Zbrucza do Dniepra, od Prypeci do Kodymy, stała się w obliczu zwycięsców zarówno zdobytem polem. Garstki powstańców były nieliczne i rozsiane rzadko; ale każda z nich, przez nieporachowane żyłki ścisły miała związek z rozległą przestrzenią kraju. Wróg czuł dobrze, ile najmniejszy z oddziałów mógł poruszyć i nabrać siły: dla tego nie odetchnął spokojnie, nie oddał się swobodnie roskoszom zemsty i łupiestwa, aż póki nie stłumił lub nie pozbył się wszystkich. Do bitwy pod Majdankiem przewaga jego była wątpliwa, do przejścia Kołyszki za granicę austrjacką, nie uważał walki za skończoną. Od tej chwili dopiero rozpoczęło się na Podolu, Wołyniu i Ukrainie to powszechne i nieprzerwane panowanie Moskali, które trwa do dziś dnia. Wśród zgrai tryumfalnie snujących się oprawców, wśród brzęku kajdan i płaczu mnóstwa rodzin, ozwał się wszakże kilka razy jeszcze straszny głos dzielnych powstańców. Z trzech oddziałów, co między Barem, Latyczowem i Winnicą, szukały się nawzajem, po smutnej przygodzie, która dwa z nich rzuciła do Galicji, jeden pozostał osobno i obrawszy sobie inną drogę, znaczył ją krwią moskiewską.

W tem, co hufiec 200 koni potrafił dokazać, co niezmuszony spieszyć ciągłym marszem, byłby nadto uczynił, jasno przeświadczy się czytelnik ile jeszcze powstanie nie rzucając oręża i domowych zagród, sprawić mogło.

Teraz więc wracam do pamiętnika szanownego Różyckiego, który przerwałem w miejscu, gdzie mowa, że 24 maja stanąwszy ze swoim oddziałem na wysokości Litynia w dyrekcji Ksawerówki, zamyślał jednym forsownym marszem dostać się do Kołyszki.

«Tam — pisze dalej pułkownik — kiedy wysłańcy moi dają mi dokładną wiadomość, koło 12 po południu, o ruchach Rota i Kołyszki, widziałem że ostatni ma kierunek na Sołodkowce, wiedziałem, że od Płoskirowa, przez Stary Konstantynów, Zasław, Ostrog, Łuck, wyciągnięta była linja nieprzyjacielska; łatwo więc wnosiłem, że Kołyszko nie zechce wzdłuż linji i granicy austrjackiej zmieniać dyrekcji, ale raczej udaje się do Galicji. — Jenerał Szczucki, jeniec uwolniony od Kołyszki, odpoczywał tej nocy z bataljonem piechoty, która rozebrana spała o ośmset sążni od nas; mogłem go mieć na nowo jeńcem, z korzyścią nad piechotą znużoną i śpiącą; wszystko już było do tego przygotowane, kiedy stosując się do ruchów naszych braci pod Kołyszką, nie należało nam wprzęgać się w tej okolicy w bitwę. — Zwołałem więc was. Oświadczyłem, że zdaje się, iż Kołyszko zmierza ku Galicji: w tem położeniu pomocy mu nie zaniesiemy. Puśćmy się zatem zuchwalszą, ale nadziei drogą. Puśćmy się tam, gdzie nie będzie Chróściechowski nakazywać i odwoływać powstań. aby nas w nieporozumienie wprawiał, rozrywał na cząstki nie mające wiadomości o sobie, i na pastwę wrogom naszym, pod wrotami domów naszych zostawiał. Idźmy do królestwa! — Nie taiłem wam niebespieczeństw i trudów jakie przebyć mieliśmy; owszem pamiętacie zapewne żem mówił: połowa nas zginąć może, ale reszta stanie w szeregach wojska narodowego, ażeby dała znać tym walecznym zastępom, że nasze prowincje jedno z nimi czują, jedno myślą; niech się dowiedzą, że nie masz nikogo, ktoby nas razem wezwał, prowadził, czas i drogę wskazał; niech się dowiedzą o tem smutnem naszem położeniu, i niech powiedzą nam, czy jest tam dla nas litość? czy są tam tacy, którzyby chcieli po nas godniejszych ofiar nad te, które dotąd wróg z nas sobie wybiera?»

«Noc była, wiatr przez księżyc pędził chmury, światło migało; zakurzone lica wasze chwytałem tylko wzrokiem, ale dość widziałem żebym was poznał. Tak widzi ojciec w ciemną i dżdżystą noc przy błysku pioruna, dzieci, które prowadzi. Poznaje znajome mu rysy, tak ja was poznałem; poznałem że chcecie tego co ja chcę, a wkrótce głosy powtórzyły com widział. — Idźmy.»

«Zwróciłem marsz nasz ku Winnicy, aby tem poruszeniem nie dać poznać nieprzyjacielowi strony, w którą prawdziwie zamierzałem, i żeby uniósł się w stronę przeciwną. I tak

było. Rot rozumiał zapewne, że my go z daleka oskrzydlając do Galicji dążyć mamy, bo wysłał kawalerję z działami na Bar, która szybko ten punkt ubiegła; a my w zmienionym przykro kierunku, w trzydziestu czterech godzinach, przez Boh przeprawiwszy się, stanęli w Janowie, o jeden wielki marsz od Rota, dalej jeszcze od Baru, gubiąc razem na naszej lewej stronie oddziały kozaków i strzelców, które nas wprzód ścigały o trzy wielkie mile. Oddziały te, wnosząc widać, że na środek korpusu Rota wpędziły nas, a tem samem dopełniły swojej powinności, spoczywały.»

«Oddział nasz zwiększył się o jeden pluton. Każdemu przybywającemu ochotnikowi, wystawiałem w obec frontu ważność naszego poświęcenia się, trudy które przeciążać mogą siły człowieka, i niebespieczeństwo wśród którego żyliśmy; a tego tylko przyjmowałem do naszych szeregów, który się takiemi uwagami nie odstręczał. Cześć naszym współziomkom: Nie potrafiłem przerazić żadnego szczerością obrazu naszego położenia. Pamiętacie zapewne jeźdzca w okularach? — On jeden prosił o uwolnienie; więc je dostał.»

«Ogólny mój zamiar wiedzieliście, komendantom szwadronów wskazałem główniejsze punkta mojego dążenia, i zastępstwo po sobie przeznaczyłem w razie gdybym poległ.»

«Z Janowa, przed wymarszem wysłałem trzech z osobna Żydów bez wyboru, dając każdemu pieniądze, aby w Chmielniku zamówili furaż i żywność, choćby za najdroższą cenę. Polecenie to odebrali w obec wielu, spieszyli zarobić na cenie, i usłużyli nam dobrze, zawożąc wiadomość do Chmielnika że my tam idziemy, kiedy po popasie, jednym marszem stanęliśmy w Krasnopolu.»

«Pierwszą bitwę życzyłem mieć sobie z niezbyt większą od naszej siłą, żeby niezawodną odnieść korzyść i stopniami was oswoić. Unikaliśmy więc siły wielkiej; ale postanowiliśmy raczej zginąć na raz wszyscy, jak przed największą uciekać. Przeszedłszy Krasnopol 27 maja, popasaliśmy konie i samiśmy się skromnym obozowym obiadem posilali. Tam odebrałem wiadomość od moich wysłanników, że dwa oddziały nieprzyjaciół idą ku nam. Jeden z prawej naszej strony i z tyłu miał przybyć przez Krasnopol, a drugi z przodu przez Mołoczki. Na lewo były błota, a na prawo bagnista rzeczka. Poznałem się na prędce z naszem położeniem, i zalewo po ukończonym popasie kazałem siąść na koń i być w pogotowiu, kiedy wedety nasze za Krasnopolem stojące, które już miały rozkaz wejść na miejsce, przez wystrzały ostrzegały nas o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Wychodziliście w porządku w równiny, a ja obserwowałem nadchodzących przeciwników. Widziałem oddział piechoty niemocniejszy półbataljon, i 40 kozaków wchodzących do Krasnopola. Wy-

słałem podoficera z kilku ludźmi spatrolować Mołoczki, wieś przez którą była droga naszego dążenia, konieczna, i dla przeszkód wyżej wzmiankowanych jedyna. Wkrótce powrócił podoficer i raportował, że piechota stoi pod tą wsią. Zatrzymałem was frontem do Krasnopola, żeby nie ośmielić stamtąd idącego przeciwnika, zatrzymał się i on na widok nas; a wtenczas odstępując we wschody pół szwadronami, zbliżaliśmy się ku Mołoczkom, od których chciałem odciągnąć drugi oddział Moskali, gdyż chciałem, żeby wyszedł w otwarte pole. Jakoż dostrzegłem, że drogą wysadzoną posuwał się ku nam. Dla drzew dużych i fos wzdłuż drogi nie mogąc go frontem szwadronowym atakować, kazałem z obudwóch stron drogi po trzy plutony ustawić, a dwa plutony stanęły w alejach. Powtórzyłem przestrogę, że wtenczas tylko atak jazdy jest dobry, jest skuteczny, kiedy się całym pędem konia wytęża. Plutony po bokach drogi ustawione pod rozkazami komendantów szwadronowych, miały odciąć nieprzyjaciela od wsi i zwróciwszy się uderzyć z tyłu; z dwoma zaś plutonami, Seweryna Pilichowskiego i Michała Czajkowskiego, postanowiłem środkiem atakować od czoła. W tym porządku zbliżaliście się stępo ku niemu, kiedy ujrzałem, że się w czworobok zwinął i stanął. Od 150 kroków kazano wam iść kłusem, a od 80 usłyszeliście gwiżdżące kule. Puszczaj cugle! zawołałem, i zabrzmiały pierwszy raz słowa: Sława Bogu! a konie nasze całą siłą pędu wniosły nas w szeregi niewolników! — Padają, krzyczą pardon! — Pierwszy, który o życie prosił, utracił je od własnego komendanta: wyrwał mu z rąk waleczny kapitan karabin, przebił pardonu wołającego żołdaka, i zawołał: bagnetami dzieci kłuć! (sztykami rabiata). Ale późno już było. Szeregi roztrącone konały na zębach naszych bron; kapitan jednak nie przestawał być mężnym: chybił celu jego bagnet, bo suknie tylko na piersiach moich przeszył, a szóstą zadając ranę koniowi mojemu, już nie miał w ręku bagneta, bo już życia nie miał. Kilka strzałów i zębów bronowych utonęło razem w jego łonie: padł godzien pamięci, gdyby godniejszej swojego męstwa bronił sprawy. — Pamiętacie koledzy moi, że mała ta kolumna poplynęła posoką. Litość by odwracała niewinne oczy wasze od tego widoku, a uszy przenioslyby szybko do serc waszych błagania; ale młode oczy wasze widziały dużo łez, a uszy słyszały jęki waszych rodzin, które wyciskało bożyszcze tej tłuszczy. Pamiętacie jak bracia nasi ścisnęli ich, i z czworoboku w piramidę zrzucili. Pamiętacie kiedy jeźdźce płochliwszych koni, pieszo deptali po głowach, i siłą obudwóch rąk wtaczali groty po drzewca w swoje ofiary.»

«Kazałem doboszom bić odbój: do nogi broń, żeby drugi oddział blisko stojący w Krasnopolu słyszał ten apel. — Oba-

dwa te oddziały były z pułku imienia księcia Welingtona. — Rozwleczono nakoniec kupę, i na jej dnie znaleziono oficera, który klęcząc prosił życia: zostawiono mu tem chętniej, że utrzymywał: «za ojczyznę moją całą krew moją oddam; ale wy z carem naszym wojnę macie.» — Dogodziło się temu młodemu oficerowi, bo tak na dnie w cudzej krwi wychował się, że swojej ani kropli nie uronił. Płaszcz mój okrył przemokłe jego ramiona, jednym chlebem żył z nami, a po kilku marszach uwolnionym został. — Stanęliście potem w kolumnę plutonową, a ja drugiego wyglądałem oddziału nieprzyjacielskiego, kiedy nadbiegł i doniósł podoficer plutonu asekuracyjnego przy koniach powodowych, kasie i broni, że oddział ten nie wychodzi z Krasnopola, i po odboju w bębny, słysząc że broń złożona, obsadza stodoły, a kozacy na widok ataku unieśli się w stronę z której przyszli. Nie naszą więc rzeczą było atakować ich w takiem położeniu, a nadto należało nam ubiedz szybko wysokość Zasławia i Żytomierza, i stać się wcześnie panami drogi wielkiej z Nowogród-wołyńska do Ostroga prowadzącej, żebyśmy nie byli przymuszeni trzymać się prawego brzegu Słuczy, strony bagnistej i coraz odleglejszej od naszego dążenia. Co prędzej zatem zebrano na wozy 230 karabinów, tyleż ładownic z ładunkami i pałaszami pieszemi, oraz bębny jako naszą zdobycz; a słowa Sława Bogu! na znak wdzięczności po trzykrotnie wykrzyknęliśmy.»

«Pamiętacie żeśmy winni szybkości naszego ataku, że tylko jeden Rosołowski od dwóch kul był ranny; bagnetami zaś dziewięciu innych jeźdźców naszych ranionych było i szesnaście koni, między któremi konie Czajkowskiego i Pilchowskiego Seweryna po kilka ran odniosły. Zabraliśmy naszych rannych; a Moskale dostali kilkadziesiąt złotych na wódkę, lecz mało było takich, którzyby z temi pieniędzmi mogli powrócić do karczmy w Mołoczkach, gdyż oprócz zabitych, z całego tego oddziału, jeden oficer tylko, dobosze i trzech frontowych, nie byli ranni. Trzech ostatnich, na usilne ich prośby zabraliśmy z sobą i w nasze wcielili szeregi. W Wiśle dopiero mieli oni spłukać posokę, która ich płaszcze zafarbowała.»

«Pamiętacie że z Krasnopola czyli Mołoczek, puściliśmy się prostą dyrekcją na Cudnow, gdyż chciałem, żeby się tam na nas przygotowano, a w nocy przykro zmieniwszy marsz nasz na Lubar, obok tego miasta szybko stępo przeszliśmy i nazajutrz stanęli w Miropolu. Czuję razem z wami nieprzyjemne przypomnienie posiadacza tego miasteczka, i nieponawiałbym żalu naszego; ale kiedy powinnością jest hołd cnocie narodowej składać, występkiem byłoby pokrywać milczeniem zbrodnię popełnioną w sprawie ojczyzny. Pan Mi-

ropola oświadczył kilku naszym kolegom, że chcąc mieć oczyszczone swoje dobra z buntowników, daje natychmiast znać Moskalom o nas. Ocalenie swoje winien on przykładnemu porządkowi jakiście zachowywali: porzuciliście go w jego domu, a przy raporcie żądaliście odemnie ukarania. Pogardźmy, mówiłem, szpiegiem moskiewskim; wszakże roty którym on usługuje, cała potęga tyrana, nie przeraża nas, a cóż jeden potwór wylęgły na tej ziemi może nas zajmować? Niech żyje owszem, jak zły Polak z obciążonem sumieniem, niech służy naszemu ciemiężcy, niech czeka od niego orderu, tej cechy hańby i upodlenia w teraźniejszym czasie.»

«Po popasie koni i ugotowaniu jedzenia, udaliśmy się w dalszy marsz, trzymając się jeszcze prawej strony Słuczy. W pięć godzin po nas, pan Miropola miał już u siebie żądanego jenerała moskiewskiego, któremu wystawiał swoje doniesienie jak nowy dowód wierności. A później w kilka tygodni tłómaczył się przed naszymi ziomkami, że nas miał za Kozaków Dońskich, bo podług niego, nadto mieliśmy być porządni na powstanie. Ale tłumacząc się, zapomniał zapewne dodać, że widział z pomiędzy nas sąsiadów swoich, znajomych, i z nimi mówił: widział Omiecińskiego, Czajkowskiego, Pilchowskich, Szaszkiewicza, i wielu innych.»

«W przechodzie za Ulcho, konwój armat kościelnych i moździerzów rozbrojony, a kilka wozów tych narzędzi zagrabionych z przed domów Bożych, zatopiono w Słuczy. — Drugiego dnia po wyjściu z Miropola, pod Baranówką przeszliśmy na lewy brzeg Słuczy. Prom i mosty kazałem poniszczyć, ażeby oddziałowi sprowadzonemu przez pana z Miropola utrudzić przejście. O pięćset sążni za Baranówką gotowano jeść i pasiono konie. Wiedziałem że nieprzyjaciel, który ku nam w czasie noclegu nie śmiał się zbliżyć, stanął na prawym brzegu Słuczy. Popas nasz kończyliśmy spokojnie, gdyż byłem pewny, że promów nie może sprowadzić chyba w sześć godzin, albo musi krążyć na Rogaczew. W marszu przed wieczorem uwiadomiony byłem, że część Moskali przeprawiła się do Baranówki i rabowała dom szanownego obywatela Mejzera, ale godziny miałem porachowane. Mówiłem już, że trakt wielki z Nowogród-wołyńska przejść nam trzeba było nim zajęty zostanie; nie mogłem więc pomścić się nad zbójcami, nie mogłem pomocy ponieść ziomkowi. — Maja 30 przebywaliśmy trakt wielki wspomniany. Uprzedziliśmy Moskali od Ostroga ruszonych, w nagrodę szybkich kilku marszów, zabraliśmy transport prowadzony do armji, prochów i różnych pocisków czterdzieści dziewięć wozów, z których dwie beczki tylko prochu kazałem zostawić, resztę zaś rozbić z beczek i pak i zatopić w stawie kilkijowskim.»

«Na tejże drodze zabraliśmy sto dziesięć wozów nieprzyjacielskich wyprawionych z Nowogród-wołyńska do głównej armji z żywnością i owsem. Konie pociągowe z wozów, których było 231, zdatniejsze kazałem zabrać w szeregi na miejsce odsednionych i rannych; owies, krupy i suchary, a oraz wozy kute, na części rozrzucone rozdawano w marszu mieszkańcom tej okolicy. Wchodząc w leśną pozycję, poleciłem zatrzymać dwadzieścia wozów z owsem, i kilka wziąść pod broń zdobytą i rannych. W najporządniejszym korpusie, wozy w czasie wojny opóźniają marsz, a często stają się zgubną zawadą; dla tego chociaż kazałem ariergardzie zasłaniać nasze, ale byliśmy zawsze od nich naprzód ośmset sążni. Ranni tylko, broń z amunicją i kasą, ciągnęli zaraz za kolumną; bo ta strata byłaby dla nas interesującą. — Od tego punktu marsz nasz zaczął być nie tak nagły i mniej bezsenne nocy, żebyście nabrali nowych sił na nowe i wielkie jeszcze trudy. Łuck był dosyć na lewo, żeby nam mógł grozić.»

«Wchodziliśmy w widła dwóch rzek: na prawo był Słucz: a na lewo Horyń. Tem niebespiecznem przejściem chciałem zwrócić uwagę jenerał gubernatora Lewaszowa, że zamierzam udać się na prawo ku Owruczowi, gdzie miało być powstanie. Z drogi tej także, na wszelki przypadek, dostać się nam można było do Litwy, gdzie wiedziałem z pewnością, że powstania działały.»

«Maja 31, weszliśmy do Międzyrzecza; okrzyki radośne powitały nas. Były tam szkoły Pijarów: zastaliśmy młodzież naszą, nadzieję kraju, nadzieję Polski! — W kilka minut, każdy drzewiec naszych lanc ściskały dłonie młode, nie zdolne jeszcze grubości ich okrążyć; ognisty wzrok tonął w naszym wzroku i rzeźwił uczucia pracą sfatygowane; każdy nasz koń widział przy sobie nowego jeźdźca, który zaledwo koniec grzywy z pyłu mógł mu oczyścić. — «Pójdziemy z wami» — zawołali wszystkich klas uczniowie, a głos ten bezwątpienia słyszeliście całą mocą dusz waszych. Zwołałem ich do porządku, starszych przeznaczyłem w szeregi, w które z uniesieniem i chlubą wstąpili, a młodszym radziłem czekać aż ich wiek uzdolni. Słyszeliście każdego z tych jak rachował swoje lata, a rachunek ten nie z wiekiem, ale z miłością ojczyzny był zgodny. Stajnia Steckiego nie była zamknięta, i razem z służbą dworu tego znakomitego Polaka, poszła powiększyć liczbę naszą. Trzeci szwadron był dopełniony, a my po odpoczynku ciągnęliśmy dalej. Oficerowi ariergardy poleciłem, żeby z wszelką grzecznością nie pozwalał małym naszym ochotnikom iść za kolumną; ale uprzedzili oni nas, i przy drodze zastawaliśmy zadyszałe dzieci z płaczem i prośbą aby ich zabrać. Nie było ani dość sil-

nych, ani dość przerażających uwag, któreby wszystkich zwróciły: niektórzy z nich zatrzymali się i bez wiadomości mojej poobsiadali wozy ze zdobytym furażem idące.»

«Na drugi dzień, szwadrony w tym samym porządku przechodziły przez Berezno jak wyszły z Międzyrzecza, a pod wsią Tyszycą, o milę za Bereznem, oficer prowadzący ariergardę raportował mi, że kawalerja rosyjska zbliża się za nami tąż samą drogą, i że on po małym odporze, podług instrukcji opuścił wozy z furażem, a zasłonił konie powodowe, rannych, kasę i broń. — Pozycja była leśna. Awangarda nasza wchodziła do wsi Tyszycy, za którą widać było pole, i na prawo rzekę Słucz. Rozkaz mieliście iść kłusem, żeby wcześnie postawić się można było. Wychodząc zaś ze wsi, widziałem zaraz za nią fosę, na prawo w brzeg Słuczy wkopaną, a na lewo wyciągniętą w głąb lasu: mostem przez nią przechodziliśmy. Przypatrzyłem się jej, i chciałem z niej korzystać. O sto kroków za tą przeprawą, uformowaliście odwrotnie front ku wsi. Trzeci szwadron odebrał rozkaz uformować się przy drodze za dwoma pierwszymi, o trzysta kroków z tyłu na prawo pod lasem, który za niewielkim kwadratem pola znowu się zaczynał, już to dla asekurowania nas, a równie dla tego był oparty o las, żeby nieprzyjaciel nie mógł sił naszych ocenić. Za tym szwadronem stała kasa, ranni i broń; my dwoma szwadronami pierwszymi uszliśmy jeszcze ku fosie kroków dwadzieścia, usuwając front w lewo, żeby jego lewe skrzydło oprzeć o rzekę. Tak przygotowani widzieliśmy kłusem zbliżających się nieprzyjaciół. Wychodzili oni ze wsi, i między wsią a fosą formowali się do frontu. Były to dwa szwadrony strzelców konnych Derbskich, pod komendą Petersa pułkownika. Oficer ten stojąc na moście w interwalu swojego dywizjonu, kazał rozpocząć ogień karabinowy, nie mając przeciw sobie ani jednego strzału, gdyż chciałem go ośmielić przez to do przeprawienia się przez fosę. Trwał ogień — pamiętacie — ciągły. Broń drżącą ręką niewolnika kierowana, o ośmdziesiąt kroków, nie niosła nam szkody. Lulkiśmy nasze dopalali, a Peters jeszcze nie śmiał przejść fosy; trzeba go było więc sprowadzić na jedną z nami stronę, i dla tego kazałem szwadronowi drugiemu Michała Grudzińskiego kłusem zajść plutonami w koło, aby rozumiał że zaczynami rejteradę. Jakoż w tym samym momencie usłyszeliście moskiewskie hurra! a mostem i wąskiemi kilku ścieszkami przeprawili się Moskale i stawali do frontu. Czekaliśmy aż się przeprawią wszyscy: hurra trwało. Szwadron nasz drugi galopem plutonami do frontu powrócił, las powtórzył nasze Sława Bogu! — ucichło hurra; a lance nasze już tłoczyły wrogów w fosę. — «Ratujcie się dzieci» (Spasajtieś rabiata) zakomenderował Peters, przebił się na

most przez swój front ciśniony, i ucieczką ocalał. — Ofiary niewoli, jedne zaległy fosę i pola Tyszycy, kilkunastu w głębi Słuczy wieczne znalazło schronienie, 48 z dwoma szwadronowymi wachmistrzami w niewoli naszej było, a oficerowie za pomocą swoich koni, wiernie Petersa spełnili komendę, oprócz jednego kapitana zabitego. — Nic łatwiejszego nie było jak ściągając małą resztkę z przestrachem uciekającą w lasach, pobić albo zabrać w niewolę, i w każdym innym czasie opuszczać taką sposobność byłoby nieroztropnością, występkiem komendanta; ale my goniąc za wylękłym Petersem, cofnęlibyśmy nasz marsz zamiast go kontynuować. Z miłych pól Wołynia zalanych wrogiem, wydrzeć się nam potrzeba było, a nie szukać w samych nawet zwycięstwach korzyści. — Rozrządzenie Chróściechowskiego w takim nas stanie postawiło. — Goniony był jednak Peters kilkaset sążni za wieś, i cały prawie furaż dostał się nam napowrót. Pamiętacie koledzy, że na odbitych wozach znaleźliśmy powiązanych młodych naszych ochotników międzyrzeckich, których omijając Peters w swojej ucieczce, w takim stanie dopuścił rąbać, a może i sam rąbał: bo żołnierz, który na placu lęka się zajrzeć w oczy swojemu przeciwnikowi, bezbronnemu nie przebacza, i na bezbronnym bez strachu wywiera całą swą srogość, bo innych laurów nie godzien. Prócz odebranych z jego mocy sześciorga, zabrał on jeszcze goniących za nami dziesięcioro dzieci, cnotą tylko i chęcią dojrzałych; zabrał także podoficera Porczyńskiego z dwoma ludźmi, któremu pozwolono było na moment zostać w Bereznem. Pamiętacie dwóch młodych studentów? Goniąc Moskali zastaliśmy ich we wsi, w ciasnem przejściu między budynkiem a smętarzem: tam oni z wozów zsiadłszy bronili się Moskalom, kilku z karabinów swoich ranili, nakoniec jeden z nich ranny, a drugi obok swego towarzysza spał snem wiecznym, snem cnoty i miłości ojczyzny. Przeniesiony za ścianę pod którą walczył i krwią swoją oblał, spoczywa pod nią pałaszami zagrzebany. Było jeszcze z naszej strony pałaszem rannych sześciu, i Adolf Pilchowski. Tam pod Stanisławem Duninem, komendantem pierwszego szwadronu padł także koń od kól. Siedmdziesiąt ośm koni, sto trzydzieści karabinów, kilkadziesiąt pałaszów i pistoletów, było naszą zdobyczą.»

«Peters tłumacząc się ze swojej straty i ucieczki, rozniósł wiadomość, że nas znalazł dziesięć tysięcy, i tem na później usłużył nam bardzo.»

«Przez Łuck, Torczyn, Włodzimierz, Korytnice, Lubom, Opalin i Włodawę, wzdłuż Buga wyciągnięta była linja nieprzyjacielska. Kowel najbliżej na naszej lewej stronie położony, osadzony był działami i piechotą. Dochodziliśmy do

Dąbrowicy. Punkta położenia Wojska nad Bugiem już mi dobrze były wiadome, widziałem że przejście do królestwa jest trudne, ale niepodobnem nie było, boście wy mężni byli!»

«Wysłani moi, w Dąbrowicy donieśli mi, że Petersa wiadomość o naszej sile doszła do Kowla. Chcąc zatem z niej korzystać, po spoczynku przez 24 godzin, i rozgłoszeniu, że składamy awangardę tylko powstania, przeszliśmy na lewy brzeg Horynia; przez Bereznicę, Włodzimierzec, byliśmy w Rafałówce, gdzie z rozbitego powstania Olizara, przybyło nam kilku konnych i ośmdziesiąt pieszych ludzi. Ostatni zaraz byli uzbrojeni. Tam przeprawiliśmy się na lewy brzeg Styru, zanosząc wiadomość że zamierzamy zdobywać Kowel. Niewolników kazałem Styrem spławić do Pińska, żeby umniejszyć sobie ciężaru, a zarazem oddalić w stronę przeciwną, gdzieby ich zeznanie o siłach naszych nie było nam szkodliwe.»

«Jeden zasidatel, szpieg, z pod Litynia prowadzony, z ogoloną głową powrócił do domu; drugi ujęty na rabunku domu obywatelskiego, z swoim pisarzem, po odbytym sądzie zostali na gałęzi.»

«Koło Hulewicz dowiedziałem się, że siła zbrojna kowelska zdjęła mosty, barykaduje ulice, i osadza wyższe miejsca za miastem działami. Takie przygotowania dwóch tysięcy blisko nieprzyjaciół, zapewniały mnie, że się oszukują mniemaniem o naszej sile, a z tego wnosiłem razem, że wezmą na swoją pomoc wojska nad Bugiem stojące i odsłonią mi granicę. Wolnym marszem przebywaliśmy przestrzeń ku Kowlowi, żeby mu dać czas zakomunikowania się i wciągnienia w ruch wojska. Turję między Kowlem a Niesuchojżami przebyliśmy. W ostatniem miasteczku zebrać kazałem pocztę, a kurjer z depeszami Dybicza dostał się w ręce naszej awangardy. Za Turją poczęliśmy robić półkole koło Kowla, utrzymując zawsze Moskali w uprzedzeniu, że mamy zamiar uderzyć na niego. Odebrawszy zaś wiadomość, że wojska z nad granicy ruszyły już i są w marszu, zmieniłem przykro na prawo naszą dyrekcję. Rozminęliśmy się z jedną kolumną o kilkaset sążni pod Maciejowem: przeszliśmy koło niej bez drogi ze spuszczonemi na dół chorągiewkami. Przechodziliśmy popod Lubom, mając go na lewo, skąd kilku godzinami wprzód wyciągnął nieprzyjaciel, na wezwanie pomocy. W Lubomiu były bagaże wojenne, ale nie mieliśmy czasu do stracenia. Zmieniliśmy jeszcze raz kierunek na lewo za Lubomiem, ominęli ciągnących Moskali z Opalina, ominęli rozstawione szwadrony huzarów między jeziorami Szatzka a szybkim marszem o ćwierć mili niżej Dorobuska nad Bugiem we wsi Przewozach stanęli. Zastaliśmy tam ga-

lary. Szwadrony stały nad brzegiem, piechota była w ulicy, a wedety zajęły odległość dość wzgórki, żeby wcześnie mogły ostrzedz o nieprzyjacielu, który mógł się zwrócić z drogi ku Kowlowi; ale my całą noc forsowny zrobiwszy marsz i do pierwszej po południu w przeciwną z nim idąc stronę, oddaliliśmy się wzajemnie. Spokojnie zatem pierwszy szwadron przeszedł Bug wpław, a tymczasem ustawiano galary w poprzek rzeki, i drugie dwa szwadrony, wozy z bronią, rannymi, kasą, i piechotą po nich przeszły.»

«Nowa radość zabłysła na waszych czołach, dłonie na nowo ściskały się wzajemnie, a okrzyki wesołe rozległy się po równinach lewego brzegu Buga! — Mnież tylko nie czuć trzeba było tej chwili? — Jak kropla rosy nie odwilży wnętrza głazu mchem nasępionego, tak radość ożywić nie mogła uczuć moich. Czytałem depesze Dybicza, o których wy nie wiedzieli: nic on nie miał korzystnego w nich dla siebie, ale dość było przykrem, dość zasmucającem, dowiedzieć się że główna kwatera tego jenerała była dotąd w okolicy Pułtuska!»

«Galery kazałem rozprządz, z wodą puścić, albo poniszczyć. Rozesłałem w okolice Krasnostawu, Zamościa i Hrubieszowa, dla zapewnienia się o położeniu i sile nieprzyjaciół; a dochodząc wysokości Chełma, w Woli Czerniejowskiej stanęliśmy na noc, skąd także wysłałem kilku ludzi pod różnemi pozorami, dla przejrzenia potrzebniejszych punktów od strony Zamościa. Po ośmnasto-godzinnym wypoczynku byliśmy w marszu. Zostałem uwiadomiony, że naszą drogą przez Bug przeszedł mały oddział huzarów, kazałem go śledzić i doniesiono mi, że z daleka nas krążył i mijal Chełm; wniosłem więc z pewnością, że o naszem przejściu donosi Rydigerowi. Odebrałem także wiadomość dokładną że Krasniczyn, Wojsławice, Uchanie i Jarosławice, zajęte przez Korpus tego jenerała; przez Hrubieszów zatem zostawała tylko droga przejścia do Zamościa, ale dalsza i łatwo być mogła przecięta od Jarosłowic, albo też od Włodzimierza przez korpus Kajzarowa. Uchanie, punkt prawie pośredni na linji naszego dążenia, zajęte były przez samą kawalerję, i chociaż punkt ten w pół godziny mógł być z Wojsławic posiłkowany, obrałem go jednak do naszego przejścia, gdyż nie miał tyle wąwozów i nizin ile Hrubieszów, droga była bliższa, a nadzieja złamania nieprzyjaciół pod bokiem naszych braci zachęcająca. Przewodnicy mieli rozkaz prowadzić nas na Hrubieszów, w samym zaś marszu wieczorem zwróciliśmy na Uchanie. O dwie mile od Uchań uprzedziłem was o moim zamiarze; odebraliście potrzebne informacje. Ponieważ zaś w nocy mieliśmy napaść na obóz, po czem śpiesznie trzeba było sformować się, żeby nowych sił uniknąć,

a trębaczów nie było; mieliście więc rozkaz, żeby po napadzie, moją komendę: Stój! każdy komendant szwadronu i plutonu i każdy podoficer powtórzył, po której jeźdzce zbierać się mieli w plutony i spiesznie stawać we front szwadronowy. Droga od Chełma ku Uchaniom, na którąśmy weszli byli, ciągnie się lasem, a ten o kilkaset sążni od miasta się kończy. Obóz nieprzyjacielski stał na wzgórzu przy drodze z Uchań do Wojsławic prowadzącej. Przewodnicy nasi położenia obozu dobrze nie znali, żeby w ciemną noc naprowadzić nas na niego mogli z pewnością; ogniów zaś nie palono. Dowiedziałem się że w brzegu lasu przy naszej drodze mieszkał gajowy: tego zatem jako sąsiada obozu na przewodnika postanowiłem zabrać, żeby nam go wskazał: jakoż był wzięty. O kilkanaście sążni od mieszkania gajowego stała wedeta nieprzyjacielska: za zbliżeniem się naszem uszła ona bez strzału do placówki, którą dostrzegłem idąc na czele. Mieliście rozkaz do wedet i placówek nie strzelać, żeby przez to nie ostrzedz nieprzyjaciela. Placówka ta była złożona z czterech tylko koni: dwóch naszych braci, za pomocą języka rosyjskiego zbliżyło się ku niej i bez strzału także z jej strony razem zniknęły w ciemności nocnej. Żeby więc nie spóźnić się po zaalarmowaniu obozu którego spodziewałem się, kazałem wam iść kłusem, a przebywszy most wąski na błotach, uformowaliście front spiesznie i jak można najciszej.»

«Ranni nasi, kasa, broń i konie powodowe, zostały przy drodze pod zasłoną piechoty i szwadronu asekuracyjnego; dwoma zaś szwadronami poszliśmy wpaść na obóz, ale go szukać jeszcze trzeba było, gdyż wiecie, że gajowego podoficer Wielobyski przez nieostrożność upuścił. Nie zachęciły go dwieście złotych, które mu za tę usługę ofiarowałem: nikczemnie z przestrachu uciekł gajowy. Szliśmy więc spiesznie choć nie na pewno, ale strzałów jeszcze nie słychać było. Stanąć zatem kazałem, a ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, szczęściem znalazłem obóz, i w tym momencie wpadło do niego dwóch konnych z placówki; która uciekając przed naszymi zbłądziła. Jeden z nich natrącił się na mnie i był cicho zsadzony z konia, a drugi zwrócił się w tył i równie przyjęty został przez naszego jeźdzca, goniącego za nim od lasu. Powróciłem do was i przepowiedziałem czem być mieliście później, komenderując donośnie żeby zwieść nieprzyjaciela: «Półk naprzód! dyrekcja na prawo galopem» — a hasło nasze Sława Bogu! trwało bez przerwy i budziło śpiących wrogów. Ale budziło nie na długo, bo nowym snem usypiali: konie ich rozpierzchły się, nie unosząc żadnego jeźdza; wielu na pieszo broniło się strzałami, bo nas nie wystarczało żeby każdy z nich miał przeciwnika: żadnego jednak kolej

nie minęła, a strzały choć gęste lecz z przerażeniem i w nocy niesione, nie zrobiły nam szkody. Pułkownika, komendanta tego obozu, w jego namiocie kazałem pilnować: chciał on się ucieczką ratować, i sobie winę przypisze, że strzałem w nogę i lancą w bok zatrzymany został. Kilku oficerów przyprowadzono także do tego namiotu; ale jeden z tych nikczemnie strzelił do naszego kolegi Czajkowskiego, który mu życie zostawił, i stał się przyczyną, że wszyscy skonali na grotach jak wielu innych, nim w to miejsce nadbiegłem. Przebiegając obóz wzdłuż, widziałem, że za kilka minut skończy się skutecznie nasz napad, i kiedy na ustroniu upatrywałem miejsca do zebrania frontu, i między potrzebą wydania do tego umówionej komendy, a chęcią nieopuszczenia choć jednej jeszcze korzystnej chwili wahałem się, dał mi się słyszeć szczęk broni od strony Uchań. Natychmiast więc posłałem po szwadron asekuracyjny, dwom pierwszym kazałem się formować, a z sobą wziąwszy ośmiu jeźdźców i starszego Ostaszewskiego, udałem się dla rozpoznania nowo przybywającej siły. Mały mój oddział frontem wchodził w ulicę ogrodzoną i prawie ją całą zajął. Przypuszczałem ciągnącą się kolumnę przy sobie, i usłyszałem komendę w ruskim języku: «Półk czwarty Uralski naprzód!» — Pod zasłoną nocy i ściśniętym miejscu, dość jest czoło kolumny konnej choćby najgłębszej złamać, a zwrócone dwie lub trzy szóstki wstecz, potrącają następne i zostawiają za sobą korzyść, najsłabszemu nawet przeciwnikowi. Mając więc przed sobą o piętnaście kroków czoło kolumny kozaków ośmiu grotami i dwoma pałaszami uderzyłem, a pułk siłą własną i siłą przestrachu wtłoczył się na powrót w miasto, i z korzyścią naszego oddziału był ścigany. Ale mnie trzeba było powrócić i zasłonić trzecim szwadronem dwa pierwsze, żeby się coprędzej uformowały. Zatrzymałem zatem mój mały oddział, poleciłem Ostaszewskiemu obserwować i uwiadomić mnie spiesznie, gdyby powracali kozacy, bo chciałem ich z ulicy nie wypuścić na pole.»

«Szwadronu asekuracyjnego nie było jeszcze: patrol kawalerji idący z Wojsławic i uciekający od zniszczonego obozu, wlazł na niego; Przyborowski więc, komendant tego szwadronu, był czynny. Pamiętacie jak pułk kozacki powrócił i na nowo zatrzymany w ulicy, był party przez całe miasto ze stratą, w której rachował pułkownika dowódzcę poległego na ulicy od lancy jeźdźca Alfreda z Czartorji, i jednego kapitana. — Szybkie uformowanie szwadronów, przez walecznych zawsze komendantów Dunina i Grudzińskiego, do odparcia tej siły przyczyniło się znacznie.»

«Opuszczaliśmy pobojowisko; pułkownik i stu trzynastu

strzelców konnych Siwierskich, byli naszymi jeńcami, z których kilkunastu z ran umarło, albo dla słabości zostawiono w wioskach. Pułkownik Bogdanów nasz jeniec, miał przy sobie ekspedycję swego jenerała korpusu, w której cytowane było wezwanie Lewaszowa gubernatora wołyńskiego, żeby nas starać się koniecznie zbić, albo ujętych i okutych pod ścisłą strażą do Żytomierza dostawić. Tłumaczyłem mu, że twierdza nasza położona od jego obozu o trzy tylko mile, że nam do Żytomierza wracać daleko, i że gościnniejsze znajdzie przyjęcie od przygotowanego dla nas w Żytomierzu. Jakoż pułkownik ten i ośmdziesiąt przeszło żołnierzy oddani zostali w twierdzy.»

«Konie, kilkaset karabinów, pałasze i pistolety, były naszą zdobyczą. Baraki pełne zrabowanych rzeczy i trunków kazałem zapalić, żeby spłonęły z bronią i rynsztunkami, których niepodobna było zabrać bez obciążenia siebie. Czternastu jeźdźców naszych, ubranych było w ładownice oficerskie. Dzień się zaczynał, kozacy na wzgórzach za miastem stojąc, rozpoznawali nasze siły. Piechota nasza mając polecenie zająć ulicę główną i osadzić punkt, w którym przez nią w poprzek przechodzić mieliśmy, przyjęła ogniem nadchodzący patrol huzarski od strony Horodła, odparła go, a przepuściwszy kolumnę naszej jazdy, sama przeprowadzona była przez ogrody w pole, i zasłoniona została ariergardą kawalerji.»

«Z pomiędzy nas, dziesięciu było rannych od pałasza, zabity nikt nie był. Dążyliśmy do Grabowca, mając ciągle przed naszą awangardą i za sobą kozaków; chcieli oni opóźnić nasz marsz, gdyż kawalerja z artylerją od Wojsławic spieszyła przeciąć nam drogę. W Grabowcu ustawili się kozacy nad wąwozem, którym nam trzeba było przechodzić; ale wkrótce po słabym oporze odstąpili, uciekli na lewo, przepuścili nas, złączyli się w jedną masę z tymi co byli za ariergardą, i następowali ją razem. Ariergarda komenderowana przez konstantego Bernatowicza, wytrzymała ogień ciągły z janczarek: Seweryn Pilchowski i Adam Domaradzki, ze zwykłem ich męstwem, na przemian wspierali ją swoimi plutonami. Konie nasze od dwudziestu godzin nie jadły i zmęczone były; zebrałem więc półszwadron na nowo zdobytych koniach o milę po przejściu Grabowca, i przepuściwszy kozaków przez rudę, którąśmy przeszli, kazałem razem z ariergardą natrzeć na nich. Po czem uciekli bez powrotu kozacy, a my odpoczywali i poili konie. Jana Omiecińskiego z kilku ludźmi wysłałem do gubernatora fortecy Zamościa z raportem o naszem zbliżaniu się. Zastał on w tej twierdzy jenerała Chrzanowskiego z korpusem, który będąc wprzód przez kogoś źle uwiadomiony o naszem położeniu, spieszył

nam na pomoc i zszedł się z nami, w łańcuchu wedet o tysiąc kroków od twierdzy. Szwadrony krakusów, kolumna piechoty i artylerja, witały nas okrzykami. Ah! jak te życzenia były nam miłe, jak ten język narodowy mówił do nas. a narodowe kolory ciągnęły ku sobie oczy nasze! — Powitaliśmy ich wzajemnie trzykrotnem Sława Bogu!»

«Tak skończyliśmy marsz przeszło czterotygodniowy: w stu trzydziestu dwóch milach krętej drogi, wśród obozów wojsk naszego ciemięscy; opieka Boga nas osłaniała. — Oprócz zabranych na wozach pod Tyszycą w niewolę, jeden także, Dominik Strumiłło ranny pod Grabowcem, został jeńcem, a dwóch tylko mieliśmy zabitych, i dwudziestu ośmiu w ogóle rannych było, którzy później wykurowani zostali.»

«Dżdżysta zimna wiosna i trudy przeciążające niewprawne natenczas jeszcze siły wasze, były przyczyną, że prawie połowa ludzi miała spuchnięte nogi, tak że butów wdziać nie mogli. Ale kilkodniowy odpoczynek pod twierdzą i nadzieja że użytecznymi będziemy, powracały nam zdrowie.»

«Raport mój posłany był sztafetą do Naczelnego wodza: czekaliśmy naszego przeznaczenia, żebyśmy wcieleni zostali do któregobądź pułku jazdy; ale wkrótce uwiadomiony zostałem, że nam nadano tytuł pułku jazdy wołyńskiej.»

«Każdy oficer, każdy żołnierz załogi i korpusu Chrzanowskiego, cieszył się naszem przybyciem, które choć nie wiele, zwiększało jednak siły narodowe; cieszył się, bo każdego z nich życzenia były przychylne dla ojczyzny. Widzenie się zaś moje codzienne z jenerałem, nie mogło w nim odkryć tych uczuć, aż na koniec przekonał on mnie i zasmucił, że ich wcale nie miał.»

«Do skromnego naszego umundurowania jakie zamierzałem, chciałem mieć dziesięć, a najwięcej dwanaście dni czasu. Przywieźliśmy z sobą pieniądze składkowe, i te nam miały wystarczyć, nic biorąc nic ze skarbu narodowego. Przeciąg ten czasu był potrzebny jeszcze dla ugruntowania nas w mustrze, dla odpoczynku i wygojenia koni; szło także o miejsce spokojne, z którego dostaćby można było potrzebnych szczegółów i rzemieślników. Prosiłem zatem jenerała o ten czas, i o przeznaczenie na lewym brzegu Wisły miasta Zawichostu, lub innego, skąd po dwunastu dniach stanąć mieliśmy gdzie tylko rozkaże. A na to odebrałem taką odpowiedź: «Te wszystkie powstania więcej mi robią niepokoju swojemi żądaniami jak pożytku. Tomaszów panu przeznaczam; należysz pan do moich rozkazów, tam odpoczniesz i umundurujesz się.» — Wiem że uległość i spełnienie ścisłe rozkazów, jest pierwszem obowiąskiem żołnierza, jest nawet cnotą od męstwa pierwszą: widziałem niebespiecznem to przeznaczenie i niestosownem; ale jeżelim był przyzwoi-

cie uległy przez cały ciąg dawniejszej mojej służby, to w teraźniejszej przejąłem się tem bardziej tą powinnością: bez ogłoszenia więc wam tak nieprzychylnego rozporządzenia, spełniłem je. — Pamiętacie, stanęliśmy w Tomaszowie o dwie stacje pocztowe od Zamościa, a o trzy mile od korpusu Kajzarowa, który się w tych dniach przez Bug przeprawił, o pół mili zaś od granicy austrjackiej. Konie nasze posiodłane zawsze, ludzie ciągle uzbrojeni, na noc występowaliśmy na plac, patrole nieustannie zmieniały się, a mundury nasze szyto na wozach, żeby w potrzebie zebrać się ze wszystkiem.»

«Czwartego dnia tego odpoczynku i tej spokojnej organizacji, droga którąśmy przyszli od fortecy, przecięta już była; a więc mieliśmy z dwóch stron nieprzyjaciół, z trzeciej granicę Austrji. Emisarjusze i patrole uwiadomili mnie, że Moskale się zbliżają; ale nie ruszyliśmy wprzód z Tomaszowa, aż odebrałem odpowiedź na moją sztafetę. Odpowiedź tę robił mi gubernator twierdzy, gdyż Chrzanowskiego nie było w Zamościu. Wyszliśmy, pamiętacie, o 10 rano, a we dwie godziny w Tomaszowie trzy tysiące moskali na naszem miejscu stanęło, z dwóch stron wpadając na niego. Przez Józefów zostawała nam droga, którą drugiego dnia stanęliśmy pod twierdzą.»

«Znał dobrze Chrzanowski zgubne położenie Tomaszowa, i jemu zapewne lepiej wiadomo, dla czego nam go przeznaczał. Nie zastałem tego jenerała w twierdzy: przeszedł on lewy brzeg Wisły z korpusem, i stamtąd dopiero dał mi rozkaz, żebym się także przeprawił; uwiadomił mię że do jego należę korpusu, kazał niezwłocznie szyk bojowy zmienić na dwa szeregi, a Solec miasto do dalszej organizacji przeznaczył.»

«W Solcu odebrałem z komisji wojny potrzebne druki do organizacji: zaprowadzona była kancelarja i rada gospodarcza: kilkuset krawców i różnych rzemieślników pracowało; wy odbywaliście musztrę. Listę oficerów do zatwierdzenia przedstawiłem. Chrzanowski znowu tu bez rozkazu nas porzucił i przeprawił się na prawy brzeg Wisły, a ja dziesiątego dnia raportem przez sztafetę pytałem się Naczelnego wodza o przeznaczenie nasze na linji bojowej, donosząc mu żeśmy gotowi, donosząc że broń mamy zdobytą i kompletną, ładunki wymienione w twierdzy za proch zdobyty, a lance równie nowe jak oporządzenie sprawione z kasy, którąśmy z sobą przywieźli: prosząc go oraz, żeby szyk jednoszeregowy zachować raczył. Umiał Wódz naczelny Skrzynecki ocenić nasze szczere chęci: oświadczył ukontentowanie ze śpiesznej organizacji, a pułk wyszedł na linję bojową.»

«Jednostajność ubrania i uzbrojenia, stan koni poprawio-

ny, porządek do któregoście sami się przyczynili, wspólną nam wszystkim robił przyjemność. Nie zadziwialiśmy widza prostym ubiorem naszym, ale chimeryczne nawet oko, nie mogło zrażać się nieregularnością. Czapka biała z barankiem czarnym i małem na orle piórkiem, czamarka krótka granatowa, z wypustkami białemi i kołnierzem, rajtuzy granatowe wygodne z wypustką i skórą, odziewały jeźdzców i oficerów. Ich szarfka sukienna, a nas pasy białe z frenzlą srebrną zmięszaną z amarantem przepasywały. Do białych łosiowych pendentów zdobytych, wszyscy jeźdzcy na lewej stronie mieli przytwierdzone małe olsterka z kartuzą na ładunki, a w nich nakryte pistolety. Pałasz każdego uzbrajał: po czterech skrzydłowych w plutonach, mieli sztucce, albo skrócone karabinki z flintpasami; a lance z chorągiewkami narodowego koloru, główną stanowiły broń naszą. Siodła bez olstrów, i jak można najlżejsze, z małym mantelzakiem i płaszczem, nakryte czaprakami granatowemi z zielonych moskiewskich przefarbowanemi, albo też nowemi tego koloru, rzemiona do nich z surowcu i trenzle surowcowe z werblikami. Paradne mundury oficerów, z rozprutymi były rękawami: na spodzie kaftan biały atłasowy.»

«Po ukończeniu umundurowania i osiodłania, zostające karabinki i pistolety zostawione były z oddziałem przeznaczonym do rezerwy, gdzie razem mieliśmy kilkaset lanc nowych; nasze zaś domowe lance rozdane były pospólstwu w Solcu.»

«Pieniądze składkowe, któreśmy przywieźli z sobą, wyszły były zupełnie, i resztę potrzeb z małych moich funduszów załatwiłem. A że kasa ta była własnością publiczną, i do bezpośredniego mojego zozporządzenia zostawioną, wezwałem więc was, żebyście z niej jak najściślej kasjera pułkowego obrachowali, a wezwanie to załączam tu*). Załączyłbym tak-

---

*) Wojsko Polskie, Sztab Pułku,
Pułk jazdy Wołyńskiej. Solec, 28 czerwca 1831 r.
Różycki Major, dowódzca Pułku Jazdy Wołyńskiej, do korpusu oficerów tegoż pułku.

Wśród domów waszych jeszcze na Wołyniu, powierzyliście mi tymczasowe naczelnictwo powstania. Rząd narodowy przyznał mi je nadal, a przyznał, wierzycie zapewne, bez mojego o to ubiegania się.

Czy dotąd dopełniłem mojej powinności, do waszego odwołuję się przekonania, i w niem tylko chcę mieć świadectwo; co zaś do pieniędzy, które składały kasę naszą, złożonych przez dobrowolne ofiary Wołynianów, z tych winienem publicznie zdać rachunek. — Tym więc celem wzywam was koledzy moi, żebyście z pośród siebie wybrali: jednego kapitana, trzech poruczników, trzech podporuczników, dwóch podoficerów i dwóch jeźdzców, którzy zajmą się obrachunkiem kasjera pułkowego podp. Wyhowskiego, na którego ręce wszystkie fundunsze były składane. — Prawo bezpośredniego rządzenia pieniędzmi było przy mnie, a te były własnością narodową, i dla tego komisja obrachunkowa wybrać się mająca, odbędzie czynność swoją ściśle i z dokładnością. Niech przyszłość mnie obwiniać nie może, że fundusze tak święte źle użyte zostały. K. R.

że szczegółowy wasz rachunek naszej kasy, ale cnotliwe polskie serca co ją złożyły, spokojnie zaczekają na czas, w którym winny im hołd publicznie będziemy mogli oświadczyć.»

«Odtąd przestaliśmy zależeć od siebie, zaczęliśmy wspólnie działać z innymi korpusami. A czyśmy godnie powołaniu naszemu odpowiedzieli, nie do nas należy sądzić; ja tylko zamilczeć nie mogę szacunku mojego dla was: nabyliście do niego prawa waszem męstwem, staraniem w służbie wewnętrznej, troskliwą opieką nad żołnierzami, godnymi naszej przyjaźni. Waszą nieinteresownością ustępowaliście chętnie prawa waszego do krzyżów dla żołnierzy; byli między wami co prosili żeby ich zostawić w szeregu jako podoficerów, nie żądali wdziać znaków oficerskich, i przy końcu dopiero kampanii przyjęli nominacje. Listę oficerów do krzyżów w skutek powtarzanego rozkazu jenerała korpusu przedstawiłem. Chowajcie te drogie pamiątki, godnieście one nabyli; nic zniży ich ceny ciemiężca jak żąda. W zemście swojej ukazem rozdał on polskie krzyże Moskalom na znak że niemi pogardza; a biedne narzędzia samowładzy, przyjęły je w równej pokorze, jak przyjmują na czoła wypiekane piętna przed Sybirem. Nasze krzyże, nasze stopnie, ojczyzna nasza nam dała.»

«Winienem jeszcze wam podziękować za utrzymanie karności w szeregach, za wzory dla żołnierzy odwagi waszej: widziano was w każdej bitwie na przodzie; w sto piętnaście koni łamaliście cały pułk pod Iłżą. Tam w czasie ataku kiedym wołał «puszczaj cugle!» żołnierz szwadronu trzeciego dał mi się słyszeć: «ja mojego konia wykiełznałem». — Po tej bitwie przyznano nam nasz szyk jednoszeregowy i pochlebnie powiedziano, żeśmy sami sobie na to prawo napisali. Umieliście się formować pod kartaczami; wspólnem zaufaniem ożywialiśmy się, nic nadto nawet wymagałem zimnej krwi po was wtenczas, kiedy umyślnie odwróciwszy front od nieprzyjacielskich dział, zakazałem patrzeć na granaty rozrywane za ogonami waszych koni, nic nadto mówię, boście to ściśle i z pogodą wypełnili. Nad Wisłą, pierwszy mój szwadron oddzielnie stojący wołał na mnie, żebym go prowadził do szarży na 16 szwadronów rozwiniętych nieprzyjaciół i w miejscu krzyczących hurra. Nie śmieli oni na trzysta koni

---

Odpowiedź. — Szanowny majorze. Winniśmy ci ocalenie naszego życia, winniśmy ci honor jaki mamy służenia naszej Ojczyźnie. Twoja prawość jest rękojmą twoich czynności, których my jesteśmy świadkami. Wiadomo nam jest jak zostały użyte fundusze nasze; lecz kiedy taka jest jego wola, ulegamy jej i raportujemy, że z pomiędzy nas obrani do komisji obrachunkowej kapitan Przyborowski; porucznicy, Faliński, Omieciński i Domaradzki Józefat; podporucznicy, Budzyński, Zakrzewski i Topoczewski; podoficerowie, Olszewski i Wielobyski; jeździcy, Zakrzewski i Piotrowski. — D: podpisy.

naszych uderzyć, bo każdy z tych pułków, w różnych czasach, miał z osobna z wami do czynienia. Nie przyznałbym się do nieprzyjęcia walecznego wyzwania mojego szwadronu; ale wierzycie zapewne, że nie osobista bojaźń od tego mnie odstręczała: chciałem ten atak wykonać trzema szwadronami, którychy się powiódł zapewne, ale te natenczas podzielone były przeszkodami, a w poprzek kartaczowego ognia sprowadzając, mógłbym je zniszczyć.»

«Nie wystawą ubiorów naszych ani zwierzchnią postacią, której my się zrzekli, chcieliśmy przerażać naszego przeciwnika: patrzał on na ostrza naszych lanc, które nieraz wprzód dały mu się uczuć nim je zoczył.»*)

XII.

Powyższe opowiadanie zaprowadza uwagę czytelnika w owe miejsca i czasy, gdzie się już wszystkie pasma traktowanej tu rzeczy, znajdowały blisko głównego węzła całej sprawy naszej.

Każdy, co rojąc sobie neutralność gabinetu wiedeńskiego przychylną dla Polski, spodziewał się znaleść w Galicji błogą przystań obok reszty krain naszych zaburzonych wojną, prędko wychodził z błędu. Wiele rycerstwa, któreby nawet ginąc z bronią w ręku przyniosło pożytek ojczyznie, utonęło marnie w tym zdradliwym porcie. Ostatni zastęp powstańców Ziem Ruskich wchodzący z jenerałem Kołyszko, zaraz też mógł żałować, iż nie dość wierzył pogłoskom o losie korpusu Dwernickiego. Niedaleko od siebie, jednakim trybem

---

*) Umieszczając w niniejszej książce dosłownie Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej, poczytuję sobie za obowiązek nie opuścić dwóch dodatków, z których pierwszy otwiera, a drugi zamyka pomienione dziełko.

1. Lista imienna oficerów pułku jazdy Wołyńskiej.

Pułkownik, dowódzca pułku, Różycki Karol, ozdobiony krzyżem kawalerskim. — Major komendant pierwszego szwadronu, Dunin Stanisław. — Kapitanowie, komendanci szwadronów: Grudziński Michał, krzyż złoty. Przyborowski Tadeusz, kr. zł.. Dłuski Jan kr. zł. — Porucznicy: Pilchowski Seweryn, Czajkowski Michał, kr. zł. Omieciński Jan, ks. zł. Pilchowski Adolf, adjutant pułku, kr. zł. Domaradzki Józefat, kr. zł. S*** A***, kr. zł. Faliński Stanisław, Bernatowicz Konstanty, H*** R***. — Podporucznicy: Wyliżyński Marcin, kr. zł. S*** A***, Budzyński Michał, Budzyński Wincenty, kr. zł. Domaradzki Adam, Zakrzewski Erazm, Wyhowski Antoni, kasjer pułku, Topczewski Antoni, ubiorczy pułku, Kulikowski Florjan, S*** T***, kwatermistrz, Ostaszewski Krzysztof, Wielobyski Franciszek, Paszuta Mikołaj, Raczyński Ludwik, Morgulec Ksawery, Krzyżanowski Eustachy. — (Przybyli do Solca): Porucznik Niemojewski Jan N. kr. zł. — Podporucznicy: O*** A***, Bogdanowicz Antoni, Berzewicz Jan, Podołecki J. Kanty. — Kapelan ks. Kołomyjski. — Doktór pułkowy Terlecki.»

skończyły się dzieje i wyprawy posiłkowej, i powstania. O parę mil od Chlebanówki, w miesiąc okrągły stanął pod

---

2. Pieśń pułkowa.

Hej kozacze, w imie Boha!
Wże holosyt w cerkwi dzwin!
Komu miły dim, neboha
Za proklatym na wzdohin.
Razom, razom na wraha!
Hurra ha, hurra ha!

Z Witsy hora a tam staw,
Idy teper kuha hocz!
Czerez wodu można w pław,
Czerez horu pereskocz.
Dalej bratia na wraha,
Hurra ha, hurra ha!

Kopniś koniu kopytom,
Chotiaj piana potecze;
Ja zaklawsia korołom,
Szczo bis Moskal newticze,
Szczo zjuszit sia rid wraha,
Hurra ha, hurra ha!

Nyzom spisy, nyzom spisy,
Bo wże tanec sia naczaw:
Propadete czorny bisy,
Kozak nowy kożuch wdiaw,
Kozak letyt w strim wraha,
Hurra ha, hurra ha!

Kozak pana neznaw z wika,
Win zrodiw sia na stepach;
Ptakom staw sia z czołowika,
Bo zris w kińskich stremenach.
Razom, razom na wraha,
Hurra ha, hurra ha!

Jeho słoza ne wspyniaje,
Win neterpyt dowhih słow!
Szczo tam w nebi win neznaje,
A na zemli znaje krow!
Dalej bratia na wraha,
Hurra ha, hurra ha!

My nelubym dowho żyty,
Szabli sywy wus neznaw:
Nam najlipsze tak kińczyty,
Jakby duszu czort chwataw.
Razom, razom na wraha,
Hurra ha, hurra ha!

U nas woroh nezahostyt,
Naszym switom cily myr,
Nasza spisa nezapostyt,
Szczoraz maje swiży żyr.
Dalej bratia na wraha,
Hurra ha, hurra ha!

Oj radby ja teje znaw,
Czy na swity takij zrys

Skałatem drugi obóz jeńców, zmuszonych broń polskę złożyć w ręce niemieckie. Austrjak najukładniejszy z naszych śmiertelnych nieprzyjaciół, pomału, w miarę jak psuliśmy własną dolę, wysuwał utajone pazury. Było to atoli jeszcze w dniach nie zupełnie straconych nadziei, i bagnety austrjackie otaczające obóz pod Skałatem, nie krzyżowały się tak ściśle, a tuż za ich łańcuchem biły w około serca polskie i bracia wyciągali ręce do braci. Od początku walki narodowej zapalonej w Warszawie, Galicja złożyła mnóstwo patrjotyzmu. Młodzież stąd jak z innych stron biegła do szeregów królestwa; ale w nieszczęśliwym składzie rzeczy, gdy rozerwanym cząstkom Ojczyzny przyszło różne odegrywać role, dla całej prowincji przypadła smutna i tkliwa powinność siostry, w domowych kątach dającej przytułek i opatrzenie bratniemu rycerstwu. Nim ostatnia katastrofa rzuciła na jej łono massę wojowników, przywiedzionych do pielgrzymiego kija, okolice na wschód Lwowa leżące, miały już często sposobność wystąpić z patrjotyczną usługą. Trzeba było pielęgnować tajne zarodki legji podolskiej, przytulać różnemi czasy pojedyńczo i gromadkami wpadających emigrantów z za Buga i Zbrucza, wykradać nareszcie z pod straży i przemycać do królestwa podkomendnych Dwernickiego i Kołyszki. Obywatele galicyjscy nie szczędzili w tej mierze starań, kosztów i nawet własnego bespieczeństwa; lecz kobiety szczególniej były czynne. Co tylko niewieścia zręczność i odwaga, natężona mocnem uczuciem wymyślić i dokazać może, to wszystko teraz patrjotyzm w grę prowa-

---

Ktoryb zdala newtykaw
Pered lisom naszych spis?
    Razom, razom na wraha,
    Hurra ha, hurra hp!

Niebijte sia Lacki dity,
Pyjte wyno u stoła;
Teper możete sedity
Jak pid kryłom anheła.
    Bo stnił chmara na wraha,
    Hurra ha, hurra ha!

Zatrepetaw orel strachu,
I dywyt sia z hory łaso.
Postyj, postyj miły ptachu,
Budesz isti skwerne miaso;
    Bo my idem na wraha,
    Hurra ha, hurra ha!

Hodi tobi w Polszczy hraty,
Tutki marne propadesz,
Hodi tobi panowaty,
Ne wijdesz! ne wijdesz!
    Siczy koły riz wraha,
    Hurra ha, hurra ha!»

dzał. Obóz skałacki ciągle nawiedzany przez tłum serdecznych gości, wypróżniał się każdej nocy. Przez parę tygodni kwarantany zniknęły prawie dwie trzecie części jeńców: do Ziemi Siedmiogrodzkiej nie spełna 300 wywieziono. Kilku znakomitszych obywateli, a między nimi jenerała Kołyszkę i Dobka zamknięto w Czortkowie.

Starcy ci po sześciu miesiącach ścisłego więzienia zostali wypuszczeni na wolność; lecz dotknięci boleścią nad losem ojczyzny, w krótce jeden po drugim przenieśli się na lepszy świat, gdzie złość ludzka nie może już deptać praw dobrotliwego Boga.*)

---

*) Zygmunt Dobek dziedzic miasta Murafy w powiecie jampolskim i innych dóbr na Podolu, posiadający więcej dwóch miljonów majątku, liczył lat 70 życia, kiedy sprawa narodowa młodsze pokolenie powołała do broni. Szanowny ten patrjota na pierwsze hasło wojny ziemiańskiej, z dwoma synami i kilkudziesiąt ludźmi wyszedłszy w pole, dzielił losy oddziału, który pod dowództwem dawnych oficerów Chłopickiego i Kurowskiego, połączył się z Nagórniczewskim, a razem z nim wlał się w dogorywający korpus jenerała Kołyszki. — Dolegliwości wieku pomnożone ciężką chorobą astmy, nie pozwoliły Dobkowi myśleć o wymknięciu się z Galicji na dalsze usługi dla ojczyzny.

Wycierpiał więzienie w towarzystwie jednego z synów, a potem przybywszy do Lwowa na kurację, umarł w maju 1832 r. Pogrzeb zacnego obywatela był skromny i cichy jak pogrzeb każdego tułacza; lecz całe miasto wyszło oddać cześć zwłokom cnotliwego męża, który wytrwał do końca, bo nigdy nie pożałował poświęcenia się swego, i obok religijnej wiary przodków, wiarę w przyszły tryumf sprawy naszej, dochował do ostatniej ckwili życia.

Benedykt Kołyszko ukazuje się w dziejach wojennych naszych, jako jenerał brygady z 1794. Nie masz prawie raportu z owego czasu, w którymby książe Józef Poniatowski, albo inni jenerałowie, nie oddawali mu najchlubniejszych pochwał tak za waleczność, jako też przytomność i trafność w rozrządzeniach. Po nieszczęśliwie zakończonej wojnie, jenerał Kołyszko razem z wielu innymi patrjotami opuścił kraj, i przez Drezno, Paryż, Wenceję, przybył do Rzymu, skąd później udał się przez Węgry do Wołoszczyzny, właśnie gdy emigranci tutaj przebywający zamyślali o podźwignieniu orężem sprawy narodowej. W skutek konfederacji zawiązanej w Krakowie 6 stycznia 1796 i obietnic w marcu tegoż roku otrzymanych od Dyrektorjatu francuskiego, zebrało się już w Multanach i Wołoszczyznie kilka tysięcy Polaków. Dowództwo nad nimi było powierzone Kołyszce. Lecz wahania się Porty i zabiegi Austrjackie rozchwiały te zamiary. Kołyszko przesiedział czas niejaki w Turcji, potem wrócił do kraju i zamieszkał na Wołyniu w powiecie konstantynowskim we wsi Sewrukach. Piękna sława żołnierska, zasługi patrjotyczne, koleżeństwo i przyjaźń Kościuszki, jednały mu powszechny i wysoki szacunek: wszyscy ubiegali się o jego znajomość, u Sanguszków był poufnym domownikiem. Lubo nie majętny i wkrótce otoczony pięciorgiem dzieci, żył jednak gościnnie i przyzwoicie, a czcząc pamięć Kościuszki, trzy jego ubogie synowe wziął na wychowanie. Do późnej starości nie opuściła go czerstwość: lubił namiętnie polowanie i wzrok miał zawsze doskonały, tylko w ostatnich leciech głos utracił. Głównym znamieniem jego charakteru były nieskazitelność i gorąca miłość Polski. Z religijnem poszanowaniem i rzewnem uczuciem poglądał na pierścień z napisem: Ojczyzna obrońcy swemu, którym go obdarzył wiekopomny Naczelnik pierwszego powstania naszego. Krzyż kawalerski «virtuti militari» zdobiący jego piersi, był mu nie mniej miłą pamiątką. — W sercu tego staropolskiego żołnierza, był ów trafny instynkt, co podobnym jemu nie dopuścił zaślepić się blaskiem bohatera wieku. — Kołyszko w zieleńszej porze swego życia nie

Car moskiewski przysłał do Galicji bezwarunkową i ogólną amnestję dla wszystkich mieszkańców gubernji, jeśliby chcieli powrócić i zasiąść spokojnie w swoich domach. Nikt jednak nie kwapił się z takiej łaski korzystać: kto tylko zdołał, spieszył ku granicy królestwa. Oficerowie korpusu Dwernickiego i niektórzy powstańcy, prowadzili po kilku, kilkunastu i kilkudziesiąt żołnierzy, manowcami wskazanymi przez Galicjan.

Wszedłszy na ziemię królestwa, jedni udawali się wprost do Warszawy, drudzy gromadzili się w okolicy Zamościa. Przez cały ciąg zmowy do powstania, i później z bronią w ręku, mieszkańcy prowincji zabranych, mieli jednę główną dążność, jednę myśl powszechną i wyraźną: stać się jak najrychlej nierozdzielną częścią narodu polskiego dźwigającego dawną swą ojczyznę; to jest, wejść bezpośrednio pod zarząd władzy i w skład siły zbrojnej królestwa, które miało w sobie ognisko i chorągiew sprawy naszej. Dla tego wszelkie zwierzchnictwa i organizacje u nich były tak momentalne,

poszedł za tryumfalnym wozem Napoleona. Później kiedy sam naród wstrząsł swoje kajdany, ośmdziesiątletni starzec z zapałem rzucił się do broni. Mieszkał on natenczas w powiecie hajsyńskim blisko swego zięcia właściciela Krasnosiółki, i jeden z pierwszych stanął w obozie zbrojnych współziemian. Nie ambicja go tu przywiodła; bo jakiż nowy tytuł mógł uświetnić dawne jego zaszczyty, chociaż chlubne dowództwo nad tysiącem obywateli należało mu się jakby z prawa? Odtąd, przed pół wiekiem zasłużony wawrzyn, na ubielonych skroniach jenerała, zmieniał się co dzień w wieniec cierniowy patrjoty męczennika. Rzadki jest taki szczęśliwy człowiek, coby w podobnie dalekich odstępach czasu, wychodził na scenę wielkich zdarzeń z równym powodzeniem. Kiedy naród niepodległy regularnym ruchem posuwa się na swojej drodze, służąc mu ciągle i ciągle idąc z nim razem, można bez usterku przebiedz bardzo długi zawód publiczny; ale w narodzie ujarzmionym i wielokroć chwytającym się powstań, po rozerwanym szeregu rewolucji, trudny jest przeskok. Dla tego wiele wysokich imion potknęło się u nas niżej. Gdyby wzgląd na własny interes miał być głównym przewodnikiem, roztropność częto radziłaby raz uwielbionym mężom nie wychodzić z zacisza weteranów ojczyzny. Jeśli kto nie znał tej rachuby i czuł tylko powinność Polaka, nie przeto my Polacy mniej go cenić winniśmy. — Za każdym krokiem hufca powstańców podolsko-ukraińskich, dawało się postrzegać widocznie, że sędziwy naczelnik nie odpowiadał potrzebie. Wyniosła i marsowa postać, wytrwałość na trudy, odwaga osobista i siła w boju, pozwalały mu jeszcze zajmować miejsce żołnierza, ale już przezorności i energji wodza w nim nie było. A jak zwyle wódz odbiera największą część sławy z odniesionych powodzeń, tak też w przeciwnym razie surowy sąd naprzód go dotyka. — Dla tego karty niniejszej książki mogą zdawać się zbyt niekorzytnemi dla reputacji, której wschód i zachód przywiązany jest do historji dwóch wielkich powstań naszych. Opisującemu wypadki nie podobna było zagłębiać się w rozbiór wszystkich przyczyn, i nieraz musiał całą winę zostawić na jednej głowie. Czytelnik potrafi domierzyć sprawiedliwości, jeśli bolejąc nad nieudolnem postępowaniem, zachowa cześć poświęceniu się i najczystszym chęciom. — Kołyszko resztę życia zatrutą goryczą przepędził we Lwowie: umarł w r. 1833. — Rząd austrjacki kazał przy pogrzebie oddać honory należne jenerałowi. Współrodacy będą go zawsze wspominali jak dzielnego wojownika w młodszych lecicch, jak wzorowego obywatela i patrjotę do zgonu.

przygotowawcze tylko i warunkowe; dla tego jakby lękając się okazać najmniejszy ślad udzielności, nie śmieli nigdy polegać dosyć na samych sobie. A kiedy umknęły się im te ogniwa, za które chwycić się spodziewali, opuściwszy podniesione ramiona, pognali za niemi aż do samego środka władzy i siły narodowej, żeby stanąwszy w rządzie, w wojsku, rząd i wojsko Polski przyciągnąć znowu na własną ziemię. — Element przeto, jaki poruszenia instrukcyjne z za Buga i Zbrucza rzuciły w okres kongresowy: uważać potrzeba pod dwoma względami: reprezentacji w rządzie i formacji w wojsku.

Co do pierwszego, ta zachodzi trudność, iż nie łatwo oznaczyć, gdzie wśród różnych gałęzi władzy, spoczywał najwyższy punkt woli narodowej. Bracia nadwiślańscy, obywatele i żołnierze, powszechnym głosem odzywali się do braci za Niemnem i Bugiem. Echo tego głosu odbiło się w manifeście Izb sejmujących, brzmi dobitnie w proklamacjach i instrukcjach Rządu Narodowego, rozciąga się do przemów i rozkazów Naczelnego Wodza. Ale kiedy rozważając rzeczy w ostatecznych wypadkach, zdarza się potrzeba cofnąć się myślą do ich zakrytych przyczyn, częstokroć niepodobna zgadnąć, jakim by szeregiem należało ustawić do odpowiedzialności, Sejm, Rząd i Wodza, jak tu rozdzielić zasługi i winy od poczęcia, aż do wykonania zamiarów; częstokroć współczesne w jednym przedmiocie czynności tych władz, nie dają się dosyć pogodzić i znieść w całość. Nieraz emisarjusze z prowincji, nie wiedzieli dosyć komu przekładać swoje prośby, czyją odpowiedź mieć za urzędową: nie można tak ściśle wskazać, gdzie było stanowisko, na któremby większa reprezentacja ziem zabranych wpływ swój istotnie wywrzeć mogła.

Cokolwiekbądź, Sejm obszernem swojem kołem ogarniający wszystkie promienie władzy narodowej, zdawał się mieć w sobie i jej środek. Ten sejm, ilekroć kwestja jaka dotykała wprost uczuć patrjotycznych, w większości swojej zawsze szczeropolski, skoro tylko usłyszał pierwszy szczęk broni na Litwie, zdawszy resztę trosk względem jej losu na Rząd i Wodza, począł robić u siebie miejsce dla reprezentantów przez Rosję trzymanego kraju. Powstańcom Ziem Ruskich przypadło najprzód zająć przygotowane krzesła.

Dnia 18 czerwca, Narcys Olizar, później odziany dostojeństwem Kasztelana, przyjęty był jako reprezentant województwa wołyńskiego; 24 tegoż miesiąca Ksawery Godebski, wszedł do grona sejmowego jako poseł łucki; wkrótce potem, 2 lipca, Stanisław Worcel został posłem rowieńskim.

Za przybyciem do stolicy większej liczby obywateli in-

nych prowincji południowych, odbyły się wybory reprezentantów Podola i Ukrainy. Niektórzy z nich jeszcze w obozie powstańców mieli sobie udzielone mandaty, wszyscy jako pierwsi co w swoich ziemiach wzięli się do broni, byli naturalnymi ich reprezentantami. Prawo to dające moc szczupłej garstce przemawiać, lub do przemawiania w imieniu wielu tysięcy współobywateli upoważniać kogokolwiek, nie opierało się literalnie na artykułach zapadłych ustaw, ale w uczuciu i w rozsądku narodowym miało niezachwianą podstawę. Powstańcy przeto wybierając posłów z pomiędzy siebie, powołali na ten urząd dwóch rodaków, z których jeden nie miał udziału w powstaniu swego powiatu, drugi był osiadłym ziemianinem królestwa; każdemu zaś województwu dając tylko po sześć reprezentantów na 12 powiatów, zostawili połowę miejsc dla współziemian, którzyby przybyli po oswobodzeniu kraju. Oto jest lista wybranych: Województwo Podolskie, poseł hajsyński Aleksander Jełowicki, olhopolski Ksawery Sabatyn, winnicki Amancjusz Żarczyński, jampolski Aleksander Bernatowicz, kamieniecki Jacek Gołyński, bracławski Henryk Nakwaski. — Województwo Kijowskie, poseł skwirski Wincenty Tyszkiewicz, machnowiecki Herman Potocki, humański Daniel Tchorzewski, lipowiecki Józef Tomaszewski, radomyślski Jakób Malinowski, taraszczański Józef Bohdan Zaleski.

Dnia 9 lipca, jedenastu z wyżej pomienionych posłów zasiadło na ławach izby. Pierwsze ich głosy były szczerem wynurzeniem uczuć, które żywo przejmowały ich serca. Z miłością i pokorą młodszych braci, oświadczali dawniejszym reprezentantom narodu, tę pełną szacunku ufność, jaką będąc jeszcze w domowych zagrodach pokładali w patrjotyzmie i mądrości sejmu, który sprawę powstania wziął pod swoją opiekę. Następowały zaraz szybkie opowiadania wypadków walki podniesionej w prowincjach. Skreślić obraz nadziei, oczekiwań, nieszczęśliwych przygód, poświęceń się i bojów, poskarżyć się na przeciwności, wystawić ducha i materjalne zasoby swego kraju, zwrócić uwagę na jego obecne męczarnie w ręku nieprzyjaciela, wszystko to było i bardzo naturalnem i zgodnem z owem powołaniem obywateli, którzy zostawiwszy za sobą zakrwawioną ziemię, domy w płomieniach i we łzach rodziny, wołanie współziemian przynosili do głównego przybytku ojczyzny. Nie świadomi jeszcze całego stanu rzeczy, a głęboko przeświadczeni iż dosyć było objaśnić sterujących losem narodu, żeby pobudzić ich do przedsięwzięcia wszelkich stosownych środków, nie kładli na końcu swoich mów ani rady ani prośby.*) Słuchano ich uprzej-

*) Patrz głos posła hajsyńskiego, str. 332.

mie i z wzajemnem wzruszeniem, odpowiadano słowami braterskiej pociechy, lecz także odpowiedź ta nie mogła prowadzić do pewnego rezultatu. Kwestja pomocy dla prowincji, ściśle złączona z kwestją o tok całej kampanji, wymykała się zawsze z izb sejmujących do sali rządowej, stamtąd ostatecznie do głównej kwatery. Sejm więc powracał znowu do do porządku dziennego obrad, Rząd w swoich widokach, wódz w swoich planach, ile dziś wiedzieć można, nie zboczyli daleko dla tej pobudki: cała machina toczyła się dalej od dawna z głębszych przyczyn nakierowanych torem.

Prędko posłowie ruscy postrzegli, że ich obecność w sejmie nie była dostateczną spójnią między interesami, które w gruncie wspólnie, rozdzieliło mnóstwo okoliczności. Z wielu względów dawała się czuć potrzeba osobnej centralizacji dla powstańców Ziem Ruskich w stolicy narodowego powstania. Na wniosek przeto Olizara utworzony został Komitet, do którego składu obok obywateli z prowincji zabranych, powołano osoby dostojne zasługami i powagą w królestwie. Województwo wołyńskie miało tu za swoich reprezentantów, byłego wodza naczelnego księcia Radziwiłła, posłów Worcella i Godebskiego; województwo podolskie, wojewodę Antoniego Ostrowskiego, posłów Jełowickiego i Sabatyna: województwo kijowskie, posłów Hermana Potockiego, D. Tchórzewskiego, i obywatela Piotra Kopczyńskiego. Obowiązek sekretarza pełnił Henryk Choński. Nowa ta instytucja musiała na wstępie swoich czynności myśleć o wydobyciu się na jakikolwiek fundusz. Miljony przygotowane w kraju i wożone w furgonach taboru powstańców, nie były już pod ręką, przyszło im teraz w składkach prywatnych szukać zasiłku. Datek Aleksandra Potockiego wynoszący tysiąc czerwonych złotych, głównie zaopatrzył kasę.*) Komitet ziem Ruskich, zamierzył

*) Aleksander hr. Potocki, syn Szczęsnego, służył w wojsku rosyjskiem i miał stopień pułkownika. Kiedy wojna nasza 1831, wrzała najsilniej, znajdował się za granicą; przybył z Berlina do Warszawy, w chwilach niemal widocznie już przeważającej się szali, a ciężka choroba nie pozwoliła mu położyć zasług na polu bitew. Poświęcenie się jego było jednak piękne i całkowite. Z szlachetną skromnością mawiał znajomym, którzy go odwiedzali natenczas, że gdy lepsze nadzieje świeciły ojczyźnie, mógł nie spieszyć ze swoją osobą, ale dopiero gdy niebezpieczeństwo grozi, uważał za powinność podzielać je z rodakami i stać się ofiarą sprawy narodowej. Zacną tę podniosłość patrjotycznego uczucia, uwieńczyła stałość. W tułactwie, wyzuty z ogromnego majątku, nie przyjął amnestji cara dawanej mu dobrowolnie. — Dziś cudzoziemcy w podróżach na ciekawą rewję pod Wozniesieńskiem, przejeżdżając przez Zofijówkę i Humań, wzruszają ramionami z podziwienia, jakim sposobem pan tak rozegłych dóbr, człowiek mający otwartą drogę do najświetniejszych tytułów i łask monarszych, rzucił to wszystko, wiedząc dobrze, iż w zamian nie pozyska nic więcej tylko czyste imię Polaka. — O! takie ofiary nie są daremne! Któryż współrodak nie doznaje wewnętrznej dumy i pokrzepiającej otu-

sobie, dawać opiekę i wsparcie wszystkim mieszkańcom prowincji przybywającym do królestwa; szczególnie zaś miał na celu, być pośrednikiem między rządem a województwami zabużańskiemi, starać się zawiązać i utrzymywać z niemi ścisłą komunikację, obmyślać sposoby jak najrychlejszego pociągnienia ich na nowo do czynnego udziału w walce, ułatwiać i przyspieszać formację regularnych pułków z współziemian znajdujących się w królestwie.

Drugi ten przedmiot, do którego skwapliwie dążyli powstańcy, ukazal się z bliska jeszcze bardziej zawodzącym oczekiwanie. Każdy powstaniec był wprawdzie zdolnym na dzielnego żołnierza, ale nie każdy mógł być wszędzie jednako użytecznym żołnierzem. Obywatel zbrojny w swoim powiecie nie tak własną szablą, jak przykładem i wpływem, duchem i wolą, przynosił korzyść sprawie, w pułku nim by wyćwiczył się na umiejętnego oficera, musiał stać się z razu tylko dopełnieniem konia, numerem w szeregu. Żywioł przeto, który przyniesiony przez prowincjonalne powstania miał rozbujać się silnie, w armji regularnej malał i tracił swój walor. Garstka, co na domowym gruncie zdawała się ważnym zastępem i rzeczywiście była plennem nasieniem, ściśnięta w kadry, ledwo zasługiwała na wzgląd wyższych dowódzców starego wojska; niektórzy cenili ją tyle albo i mniej, co odpowiednią liczbę pospolitych rekrutów. Nadto, trzeba było jeszcze ją ubrać, umontować, uzbroić, a źródła do tego nie stały otworem.

Jeden tylko pułk jazdy wołyńskiej, przyszedłszy ze swoim gorliwym i skrzętnym dowódzcą, ze swoją organizacją i swoją kasą, łatwo przełamał trudności i prędko na świetne czyny wystąpił w pole.

Zawiązek legji podolskiej przeprowadzony z Galicji do Józefowa, a pomnożony główną masą powstańców z korpusu Kołyszki, staraniem i nakładem Wereszczyńskiego, rozwijał się także w piękny i waleczny zastęp. Lecz jego zawód skończył się w Zamościu, gdzie wylał wiele krwi w dzielnych wycieczkach, skąd poszedł na męczeństwo.

Dawniej jeszcze poczęty w Warszawie zakład legji Litewsko-ruskiej, pomnożył się znacznie przez przybycie powstańców. Bataljon piechoty pod dowództwem pułkownika Kwiatkowskiego, i dwa szwadrony jazdy, dzieliły trudy i sławę z jazdą wołyńską w korpusie jenerała Różyckiego.

Komitet Ziem Ruskich czynił starania, żeby utworzyć nowy szwadron tej legji; bogatsi obywatele Wołynia i Podola

---

chy, że kiedy bogatych krajów mieszkańcy pojąć podobnych cnót nie mogą, biedna ojczyzna nasza ma synów, co zadziwiają ich bogactwem, bez rachuby i oglądania się poświęconem dla niej.

usiłowali własnym kosztem, ile im na to w odległości od majątków wystarczało, przynieść podobną usługę. Ludwik Stecki zamierzył sobie formować pułk wolnych kozaków, Aleksander Sobański otrzymał od Wodza Naczelnego upoważnienie wystawić dwa szwadrony pod nazwiskiem pułku ułanów nadwiślańskich. Pierwszy nie zdołał przed szturmem Warszawy uzbroić i na koń wsadzić swoich ochotników; drugi z kilkudziesiąt uzbrojonymi ludźmi wszedł do legji, która walczyła przy jenerale Różyckim.

Tak tedy nadzieje powstańców opierane na reprezentacji w ognisku władzy i na formacji wśród armji narodowej, gasły coraz bardziej: powrót tryumfalny z mocą zdobywczą do opuszczonego kraju, stawał się coraz wątpliwszym. Tymczasem ten kraj zrażony w pierwotnym zapale, boleśnie dotknięty przez liczne straty, deptany od mściwego nieprzyjaciela, nie przestawał ufnie poglądać w stronę, gdzie była zatknięta chorągiew Polski. Znowu tu wśród snujących się zbirów, wśród więzień i sądów wojennych, zmawiano się cicho jak najskuteczniej odpowiedzieć hasłu, gdy je dadzą bracia z królestwa; znowu składano na rzecz powstania po rublu srebrnym od duszy skaskowej, i w dniach bitwy pod Murami Warszawy, jeszcze ubiegano się o kupno listów kredytowych, których najpierwszą hipoteką wtenczas była wiara w pomyślny skutek walki. — Aż nakoniec rozwiązało się wszystko: całe powstanie wyszło na reprezentację przed światem, cała armja opuściła grunt ojczysty z nadzieją uformowania się kiedyś na obcym. Do żałoby domowej, przybyła prowincjom żałoba ogólna: wracali współziemianie, ale w kajdanach i przed trybunał moskiewski. Austrja wydała carowi wszystkich, co ze Skałatu byli zaprowadzeni do ziemi Siedmiogrodzkiej; najwięcej zaś Podolan i Ukraińców padło ofiarą przez haniebne złamanie przyrzeczeń danych im przy kapitulacji Zamościa. Po wyjściu jenerała Chrzanowskiego z tej twierdzy, główną część załogi stanowiła legja podolska (dywizjon ułanów, z 300 koni); a gdy jenerał Krysiński stracił powagę, uważano majora Wereszczyńskiego, dowódzcę legji, niemal za komendanta fortecy. Skoro Warszawa wpadła w ręce Paskiewicza, jenerał moskiewski Kajzarów oblegający Zamość, przysłał parlamentarza wzywając do poddania się; lecz ani odpowiedzieć mu nie chciano: powtórzył wezwanie po wejściu korpusu Ramoriny do Galicji, również bez skutku. Dopiero gdy nadbiegła wieść że i korpus Rybińskiego w Prusach broń złożył, Wereszczyński udał się z twierdzy dla zbadania rzeczy: za powrotem jego zwołano jeszcze na radę wojenną 115 oficerów; siedmiu z pomiędzy nich Podolan, radziło wysadzić mury w powietrze i nieprzyjacielowi gruzy tylko zostawić; ale jenerał Krysiński, major Boleski

i inni, w żaden sposób dopuścić tego nie chcieli. Powtórnie więc wysłany Wereszczyński zawarł układy zabespieczające zupełną amnestję garnizonowi, bez wyjątku mieszkańców Ziem zabranych. Kajzarów w imieniu Mikołaja podpisał warunki. Przez dni dziesięć były one szanowane, później, oddzielono powstańców i poczęto golić im głowy, znaczyć numerami, pod strażą gnać pieszo do miejsc rodzinnych, dla tłumaczenia się przed właściwym sądem!

Od owego czasu do dziś dnia nie ustały jeszcze wyroki sądów carskich. Rozległa przestrzeń Ziem Ruskich oznaczona jest temi punktami, co tu i owdzie jakby drobne wulkany objawiły narodowego ducha: daleko gęściej całą jej powierzchnię poranił prześladowaniem zwycięski morderca; a za każdem pchnięciem jego noża, widać jak wiele tam pozostało nie użytych sił, zatajonego ognia! Czemuż ta potęga nie wybuchnęła razem, nie zebrała się w jeden płomień?

Dopóki szczęśliwszy ruch nie podźwignie ojczyzny naszej, wszelkie opisy i rozbiory wypadków przeszłej wojny insurekcyjnej, jeśli je kto przedsiębierze z sercem stroskanem czującego Polaka, muszą kierować się do roztrzygnienia tej zagadki. Stąd też wynika, iż obierając sobie za przedmiot cząstkę pomienionych dziejów, trudno nie dotknąć głównego ich pasma!

Myśl powstania, pierwszem śmiałem rzuceniem się na nieprzyjaciela, w stolicy przywiedziona do czynu, była myślą całego narodu we wszystkich odcinkach rozszarpanej jego ziemi, była, jak i jest, żywotnem ogniwem łączącem jego historję — z przyszłością. Czyn takowy wstrząsł tedy całą dawną Polską, i wszędzie ile miał sił, wszystkie wystąpiły na wierzch; ale żeby je zebrać i rozwinąć, trzeba było narodowi takiego środka woli, któryby oparty na tem, czem staliśmy dziesięć wieków, górował u szczytu naszego przeznaczenia. Inaczej żadna władza, pojedyńcza czy zbiorowa, ani mocnej podstawy, ani właściwej wysokości i trafnego kierunku mieć nie mogła: mnóstwo chęci, widoków, pojęć, namiętności, musiało grać niesfornie, krzyżować się i łamać, obracając w niwecz najczystsze zamiary, najdzielniejsze usiłowania. Nie łudźmy się z własną szkodą, pozornie żal uciszającą wymówką — żeśmy byli słabi: rachunek materjalnych sił i zasobów przy smutnym końcu walki, zadaje temu fasz najbardziej, a niemal w każdym poprzednim perjodzie zbija podobne mniemania. Dzieje powstań zabużańskich i zaniemeńskich dostarczają w tej mierze dowodów.

Pięć tysięcy powstańców w hufcach kolejno jeden po drugim występujących na Polesiu wołyńskiem, Podolu, Ukrainie, w środku Wołynia, w zakątach Polesia kijowskiego, i osobno cztery tysiące regularnych żołnierzy, utrzymywało ten ogień,

co dwa miesiące przebiegał Ziemie Ruskie i zostawił świetne pamiątki dzielności narodowego oręża. Bitwa pod Boremlem i bitwa pod Daszowem, o 25 dni czasu, o trójnasób tyle mil od siebie oddalone, ważyły jeszcze dość wątpliwe losy: azaliż to wszystko należycie spojone i pod jeden ster wzięte nie sprawiłoby znakomitych skutków? Lecz w liczbach dalej posunąć trzeba. Że Wódz naczelny pierwszym rozkazem swoim przeznaczył za Bug, 1,500 jazdy, że Powstanie w 1,000 koni skończyło swój zawód, nie idzie zatem iżby armja więcej udzielić, prowincje więcej dla armji dostarczyć mogły. Trzy korpusy pod jenerałem Dwernickim, Sierawskim i Chrzanowskim oderwały się od głównych operacji dla tej sprawy; trzy gubernije miały się w pogotowiu do wspólnego działania. Piętnaście tysięcy regularnego wojska i najmniej piętnaście tysięcy zbrojnych ziemian, nie było niepodobieństwem ruszyć od razu na nieprzyjaciela, który przed końcem kwietnia przynajmniej, bez przeniesienia całej wojny nad Dniepr, opierać się tu nie mógł.

Podobnie miały się rzeczy z wyprawami na Litwę; a wszędzie wypadki działań wojennych zwracają prędko uwagę do ich przyczyn moralnych; bo walka powstającego narodu nie jest kampanją zwyczajną, bo tu wśród dział i bataljonów, występuje na plac wszystko, co ten naród ma w swoich dziejach za sobą i przeciw sobie, od kolebki do dnia bitwy.

Kto zamierzy ku pożytkowi ojczyzny zdać sprawę ogólną z usiłowań położonych daremnie celem podźwignienia jej z upadku, będzie musiał zapewne rozstrzygnąć ostatecznie skąd i dokąd idziemy pośród przeciwnych i przyjaznych nam dążeń tego świata; rozważając później krok po kroku, wskaże gdzieśmy zboczyli z prawdziwej drogi, przez jakie błędy źleśmy poszli. — Przedmiotem niniejszego pisma być to nie mogło; tylko konieczny związek między cząstką i całością pociągnął piszącego za ścisły obręb jego pracy. Dla tego napomknąwszy czytelnikowi na wstępie niektóre widoki historyczne względem Ziem Ruskich, w ciągu opowiadania rzadko miał sposobność zwrócić oczy ku nim. Opowiadanie samo zaprzątło jego umysł wielorakim kłopotem. Trzeba było treść rozpryśnioną w mnóstwie drobnych szczegółów zsączyć do jednego naczynia, a obok pozatykać te kwiaty i kolczyste chwasty, których się rzecz uplatała na swoim gruncie; bo współczesnych obowiązkiem bardziej jest zostawić zbiór podań niż wywarzonych postrzeżeń. Materjały różnej rozciągłości i różnego zakroju, w niektórych częściach bardzo ubogie, w niektórych powtarzające się do zbytku, nie dawały się na surowo ułożyć w książkę nie odstręczającą wydęciem okładek i zamętem wewnątrz. Krytyka wszakże musiała skromnie praw swoich używać: wiarogodność nao-

cznych świadków i uczestników zdarzeń, ograniczała ją częstokroć do strażnictwa porządku w datach i obrazach.*) Świeże sprawy żywych jeszcze ludzi zbyt blisko nieraz dotykają miłość własną jednych, namiętność drugich: ale co czas łagodząc, mógłby zatrzeć i zniszczyć, to skąd inąd należy się narodowi jako pamiątka, przestroga i nauka okupiona krwią i łzami.

Rozmyślamy i piszemy o przeszłem powstaniu, żeby powstać znowu: jakiekolwiek błędy i niedostatki tego dzieła ściągną na się teraz sąd rodaków, bodajby tylko choć w części odpowiedziało swemu celowi, przyniosło korzyść na potem.

---

*) Ponieważ nie wszyscy autorowie dostarczonych mi pamiętników i notatek pozwolili wymienić siebie nie kładę spisu źródeł.

GŁOS

JW. A. JEŁOWICKIEGO

POSŁA HAJSYŃSKIEGO

ODCZYTANY NA POSIEDZENIU IZB POŁĄCZONYCH

DNIA 1 LIPCA 1831 W WARSZAWIE.

Dostojny Senacie, Prześwietna Izbo Poselska!

Chwila, w której prawdziwie po bratersku przyjęliście nas do swego grona, nie jest obojętną w sprawie ukochanej Ojczyzny naszej. — Powstanie naszych województw wykonane wśród wojsk nieprzyjacielskich, nie poparte siłą regularnego żołnierza, chociaż nie było uwieńczone pomyślnym skutkiem, przechyliło jednak cokolwiek szalę przeznaczenia naszego; bo wskazując światu jak daleko sięga duch polski, objawia mu dokąd jej granice rozciągać się muszą.

Dzięki wam, żeście raczyli ocenić patrjotyczne zasługi nasze, przyznając naszemu województwu prawo reprezentacji: wstępne to prawo do zupełnej wolności, pokrzepi nasze siły do jej wywalczenia. Krok ten z waszej strony, spoił i nierozerwanemi uczynił te ogniwa, które nas przez tyle wieków swobody i wielkości naszej łączyły.

Jeżeli świat cały dziwi się tej bohaterskiej odwadze naszych rycerzy, która niweczy zamachy uporczywego nieprzyjaciela, i o tyle już jego siłę zmiejszyła; niemniej też uwielbia waszą mądrość, z jaką prowadząc i strzegąc sprawę oswobodzenia Ojczyzny, utrzymujecie tę siłę moralną, która nasz naród czyni niezwyciężonym, i z tak szczupłego jeszcze kraju, bez uciążenia wynajdujecie tyle zasobów do prowadzenia tak kosztownej wojny. — Dla tego, dostojni Mężowie! zajmując obok was miejsca, przejmujemy się całą ważnością naszego powołania, ale czujemy oraz jak trudno będzie sprostać waszym zdolnościom, waszemu doświadczeniu, i że tylko wstępując w wasze ślady, zdołamy odpowiedzieć zaufaniu

współobywateli naszych, którzy przez nas składają wam hołd, do jakiego wasze cnoty, wasze poświęcenie i niezmordowana praca, nabyły prawa w obliczu naszej Ojczyzny, w obliczu wszystkich oświeconych narodów.

Pozwólcie dostojni Mężowie! ażebym jako świadek i uczestnik wszelkich działań naszego powstania, opowiedział wam w krótkości jego historję, która rzucić może prawdziwe światło na stan obecnych naszych województw, a dla braci naszych obojętną być nie powinna.»

Historja początkowego powstania województw Podolskiego i Kijowskiego, czytana na posiedzeniu Sejmowem dnia 9 lipca 1831 roku, przez Aleksandra Jełowickiego, Posła powiatu Hajsyńskiego.

Od czasu kiedy wybiła wielka godzina odrodzenia ukochanej Ojczyzny naszej, kiedy Sejm Narodowy zaprzysiągł przed światem oswobodzenie Polaków jęczących pod katowską ręką tyrana, postanowiliśmy nie opuścić okoliczności, któraby nam dozwoliła dzielić trudy i niebespieczeństwa oswobodzicielów ojczyzny, i wyrzec się wszystkiego, wszystko na stratę narazić, aby odzyskać więcej jak wszystko.

Ten sam ogień który zapalił świetną rewolucję w Warszawie, tlał zawsze w sercach naszych: roznieciła go ta rewolucja, i byłby od dawna wybuchnął, gdyby nie hamowało naszego zapału nie tyle niebespieczeństwo powstania w kraju zapełnionym wojskiem nieprzyjacielskiem, ile ta uwaga, ażebyśmy przez niewczesne powstanie nie pomagając zgoła sprawie powszechnej, nie uszkodzili jej jeszcze podaniem na łup bogactw naszych, które całego kraju są własnością.

Chociaż nie szczędziliśmy ni kosztu ni starań, aby utrzymać ciągłe stosunki z rządem narodowym, i aby mieć pewne wiadomości o działaniach wojsk naszych; jednakże przedzielające nas wojska nieprzyjacielskie, utrudniały to nam bardzo, a owocem prac i poświęcenia się naszego były najczęściej mylne wieści.

W miarę szczęśliwego powodzenia świętej sprawy naszej, wzmagające się prześladowania rządu rosyjskiego, nie zrażały prawych obywateli, którzy nie przestawali skrycie zaopatrywać się we wszelkie zapasy do prowadzenia wojny potrzebne. — Każdy był gotów siąść na koń i z niecierpliwością oczekiwał chwili rozkazu. — Nadeszła ta chwila. — Mieniący się być upoważnionym od Rządu Narodowego major Chróściechowski, wydał rozkaz naznaczający powstanie na dzień 27 kwietnia; ale we 24 godzin rozesłał rozkaz wstrzymujący powstanie. — Pierwszy rozkaz do wielu miejsc

doszedł w wigilję, dnia oznaczonego na powstanie; 'rozkaz przeciwny przyszedł w sam dzień powstania. — Obałamucenie to pociągnęło za sobą najzgubniejsze skutki, jest i pierwszą i najgłówniejszą przyczyną niepowodzenia powstania, gdyż było powodem jego niepowszechności. Jedni bowiem za odebraniem rozkazu powstania siedli na koń, za odebraniem zaś rozkazu wstrzymującego powstanie porzucili konie, ale razem i domy swoje, unikając prześladowania rządu rosyjskiego, które ich za krok tak głośny czekało. Ci, którzy w jednej chwili dwa przeciwne sobie obrali rozkazy, oczekiwali wyjaśnienia rzeczy: inni znowu, którzy w skutek rozkazu już byli znaczniejsze potworzyli oddziały, nie widzieli sposobu wycofania się bez szkody z niebespieczeństwa, na które wspomniony oficer los powstania naraził. — Powstańcy z powiatów bliższych granicy austrjackiej, jako to z powiatów kamienieckiego, płoskirowskiego, uszyckiego i mohylowskiego, ze swymi oddziałami do Galicji umknąć musieli.

Powstańcy powiatu winnickiego w chwili zbierania się, nie mając jeszcze więcej jak 60 ludzi zbrojnych, byli napadnięci przez szwadron strzelców konnych rosyjskich. Z największą walcząc odwagą odparli, a następnie rozproszyli nieprzyjaciela: przeszło 60 strzelców, między tymi pułkownik i kapitan, legło na placu. Tak mała liczba walecznych z tak świetnego zwycięstwa korzystać nie mogła; rozkaz wstrzymujący powstanie pozbawił ich wszelkich posiłków, a otaczając ich liczniejsze wojska nieprzyjacielskie, przymusiły do oczekiwania w ukryciu i tułactwie dogodniejszej pory powstania.

Powstańcy powiatu olhopolskiego, blisko w 300 koni zebrani we wsi Piątkowce, o mil kilkadziesiąt od Galicji odległej, postanowili zbrojnie dalszych wypadków oczekiwać. — Na odgłos powstania powiatu olhopolskiego, nieprzyjaciel obwarował wszystkie miejsca składów rządowych. Jenerał Rot z całym swoim korpusem ku nam swe kroki zwrócił; a rząd który swoje prześladowania od srogości do okrucieństwa posunął, chciał nam odjąć jeden z pierwszych środków powstania; nie pozwalając obywatelowi pod karą konfiskaty mieć więcej nad cztery konie. — Tak więc każdy z nas z najwyższą boleścią widział zbliżającą się chwilę, w której ani swej osoby, ani majątku, na korzyść ojczyzny poświęcićby nie mógł.

W tej chwili otrzymana przesadzona wiadomość o powstaniu wołyńskiem, i o wkroczeniu jenerała Dwernickiego na Wołyń, uradowała serca nasze, a pewność, że lada moment rozkaz jenerała Dwernickiego nas do niego powoła, była nową pobudką powstania, które już raz sparaliżowane, ogólnie wybuchnąć nie mogło.

Dzień 5 maja był dniem powstania. Powiat hajsyński, który zdołał nie uledz szkodliwemu wpływowi bałamuctwa, powstał najsilniej. — Wszyscy prawie obywatele i urzędnicy ze swojemi oddziałami zebrali się w dniu tym w liczbie przeszło 600 koni i kilkadziesiąt piechoty we wsi Krasnosiółce nad rzeką Bohem położonej, gdzie się połączyli z oddziałem olhopolskim i bałackim blisko 500 koni wynoszącym, i z częścią oddziału jampolskiego z 70 ludzi złożoną.

Zebrani obywatele nie mając komu dowództwa powierzyć, bo jenerał Dwernicki nie przysłał nam znanych z biegłości w swej sztuce oficerów, złożyli je w ręce sławnego jenerała Kołyszki, obciążonego wiekiem i spoczywającego od dawna na laurach, któremi wraz z nieśmiertelnym Kościuszką skronie swoje jako obrońca ojczyzny ozdobił. — Szanowny i waleczny ten mąż, mierząc się tylko z chęciami swojemi, przyjął na siebie ciężar prowadzenia niesfornego żołnierza. — Zupełna władza nad wojskiem jemu powierzoną była. — Rozporządzenia zaś cywilne, starania o fundusze do prowadzenia wojny potrzebne, i jakiebądź inne wypaść mogące stosunki polityczne, należeć miały do reprezentantów w tejże chwili obranych. — Pierwszą ich czynnością było wypowiedzenie władzy rządowi rosyjskiemu, wydanie proklamacji stosownych do wszystkich klas mieszkańców naszego kraju, i ogłoszenie dawnym poddanym naszym tej wolności, jakiej używają włościanie w części Polski zwanej królestwem. — Kasa nasza w trzech powiatach z dobrowolnych składek w dniu jednym na tymczasowe wydatki złożona, wynosiła do 600,000 zł. p.

Poformowano szwadrony kawalerji i oddział strzelców najkosztowniejszą uzbrojony bronią. — Chwila wykonywania szczerej przysięgi ojczyznie naszej była wspaniałą, była rozrzewniającą. Kto rzucił dla ojczyzny rodzeństwo i majątek, kto niósł jej życie w ofierze, cieszył się tem, że jej wszystko poświęcił i już wolny oddychał. — Szeregi nasze ze względu na dobór ludzi i koni miały postać najokazalszą. — Lecz na nieszczęście w pierwszej chwili powstania spostrzegliśmy słabość wojennego porządku, i niepodobieństwo utrzymania subordynacji między nowymi żołnierzami, którzy w naczelnikach swoich widzieli tylko równych sobie współobywateli i sąsiadów, do przewodzenia, którym dla zmysłowego nawet wpływu koniecznie trzeba było mieć umundorowanych oficerów.

Pierwiastkowym naszym zamiarem było opanowanie miast powiatowych, obalenie rządu mającego wpływ na trwożliwe umysły szczerze naszej sprawie sprzyjających włościan, a następnie powiększenie siły naszej przez uformowanie z nich kosynierów.

W chwili wymarszu ukazały się na przeciwnej stronie

rzeki dwa szwadrony nieprzyjacielskie: przez flankierowanie żadnej nie ponieśliśmy straty; ze strony zaś nieprzyjacielskiej od celnych strzałów naszych poległ pułkownik, jego adjutant i kilku szeregowych. — Nieprzyjaciel nie śmiał się przez rzekę przeprawić, a my w dniu 11 maja udaliśmy się ku stronie Granowa. W tej drodze przyłączył się nowy oddział z bracławskiego powstania zawierający kilkadziesiąt koni, i część oddziału lipowieckiego wynoszącą 100 koni i 60 dobrze uzbrojonej piechoty. — Dnia 12 maja przybyliśmy do Granowa, gdzieśmy dzień następny czekali dla połączenia się z siłami cząstkowego powstania kilku powiatów województwa kijowskiego. — Powstańcy ci w tymże dniu przyłączając się do nas w kilkaset koni, zwiększyli naszą kasę o 300,000 zł. p. przeznaczonych na temczasowe koszta wojenne. — Dnia 13 maja liczyliśmy już przeszło 2,000 kawalerji i z górą 200 piechoty, a sile tej oprócz dowódzców nic nie brakowało do odnoszenia najświetniejszych zwycięstw i dzielnego popierania sprawy oswobodzenia ojczyzny.

Nieprzyjaciel na odgłos przedwczesnego powstania w powiecie olhopolskim korzystając z czasu, wszystkie swe siły ku nam zgromadził; w dniu powstania otoczeni już byliśmy przeważającemi jego siłami, które nas od chwili wymarszu ścigały. — Wiedzieliśmy o tem, ale ukrywać się przed nieprzyjacielem aniśmy mogli, aniśmy chcieli; ciągłem życzeniem naszych żołnierzy było spotkanie nieprzyjaciela, a naszym celem niszczyć go a nie unikać.

Dnia 14 maja ruszyliśmy z Granowa do Daszowa; pod Daszowem jenerał Rot zaatakował w marszu naszą straż tylną złożoną z niezupełnego szwadronu kawalerji, który na widok nieprzyjaciela śmiało się nań rzuciwszy rozproszył jego straż przednią; lecz postrzegłszy całą siłę nieprzyjaciela, cofnął się ku innym naszym szwadronom, których część była jeszcze przed miastem od strony nieprzyjaciela, druga zaś część już była za miastem w obozie. — Zajęliśmy się co prędzej ściąganiem i szykowaniem sił naszych, gdy tymczasem nieprzyjaciel wszystkie swe siły uformowane w jedną kolumnę wzmocniwszy czterema armatami, posunął ku nam i ogniem kartaczowym chciał nas postraszyć. — Na odgłos dział nieprzyjacielskich, dwa najbliższe nasze szwadrony, ze zwyczajnem Polaków męstwem uderzyły na nieprzyjaciela i w mgnieniu oka przełamały linję jego. — Dalej stojące szwadrony nasze nie mogły jeszcze walczącym zdążyć na pomoc: jeden z dowódzców nie chcąc ich jak myślał, na zupełną stratę wystawić, rozkazał odwrót w celu połączenia tych szwadronów z całą naszą siłą, aby nią zadać nieprzyjacielowi cios stanowczy. — Pierwszego i drugiego rozkazu nie słuchali mężni żołnierze nasi, za trzecim znalazło się kil-

ku mniej śmiałych, którzy powtórzonemi okrzykami: «rejterada, zginęliśmy, 40 armat, 30,000 Moskali» i przykładem ucieczki, roznieśli popłoch pomiędzy niedoświadczonych żołnierzy. Wszyscy rzucając najpiękniejsze zwycięstwo, w największym nieporządku ruszyli do miasta: popłoch ten ogarnął nie będące nawet w boju szwadrony.

Ucieczka bez żadnego powodu, która zajęła miejsce niemylnie spodziewanego tryumfu, najgorliwszych obywateli żołnierzy okropną przejęła boleścią: nadaremnie usiłowali zgromadzić wojsko, aby je na nieprzyjaciela, który nas ścigać nie śmiał, poprowadzić. — W ostatniej więc rozpaczy sami w liczbie 50 rzucili się z bohaterską odwagą na całą linję nieprzyjaciela. — Za pierwszem uderzeniem przełamali ją, zajęli dwie armaty, zabili blisko 100 ludzi; a otoczeni następnie całą masą nieprzyjaciela, przebili się przez nią prawie bez straty, a nie widząc żadnego posiłku, a tem samem celu walki, nie ścigani do swoich wrócili.

W całej tej bitwie mieliśmy tylko 19 zabitych, część naszej piechoty dostała się w niewolę: nieprzyjaciel stracił w zabitych blisko 200 ludzi. — Ta walka okazała nam pojedyńcze męstwo naszych żołnierzy, ale oraz i to, że odwrót nieregularnego wojska jest jego zgubą. — Jak wygrana tej walki byłaby nieskończenie paparła nasze powstanie, tak nieszczęśliwy jej wypadek przeszkodził jego rozszerzeniu. — Żołnierze nasi z przyczyny bardzo ciemnej nocy, jedni się po przyległych rozbiegli lasach, drudzy zapewne ze swymi oficerami w inną zwrócili się stronę; przy nas ledwo 500 pozostało, z tymi udaliśmy się do Liniec. — Z tak zmniejszonemi siłami ścigani przez coraz liczniejszego nieprzyjaciela, nie mogliśmy już sami zamyślać o wykonaniu pierwiastkowego planu; postanowiliśmy zatem idąc na spotkanie jenerała Dwernickiego, łączyć się z powstańcami, których w każdym powiecie spodziewaliśmy sie napotkać. — Udaliśmy się więc ku Bohowi w celu przeprawienia się na prawy brzeg tej rzeki.

Nieprzyjaciel korzystając z naszego oddalenia się, całe swoje okrucieństwo i całą swą dzikość rozwinął na tych żołnierzach i obywatelach naszych, którzy z nami po nieszczęśliwej bitwie połączyć się nie zdążyli. — Między innymi Rosjanie napadłszy na dom jednego z obywateli, już go w nim nie znaleźli a pozostałą matkę jego, wraz z całym domem spalili.

W ciągu naszego marszu, dnia 17 maja, między Michałówką i Tywrowem, gdzieśmy rzekę Boh przebyć zamierzali, spotkaliśmy dwa szwadrony ułanów rosyjskich. Jeden z naszych szwadronów będący w awangardzie, z taką zaciętością na nieprzyjaciela uderzył, że w jednej chwili zmusza

go do odwrotu, ściga z największą szybkością, pod samym Tywrowem napędza w rzekę Boh, w której nieprzyjaciel stracił blisko połowę ludzi i koni. — Ta świetna potyczka zakończyła się prawie zupełnem zniszczeniem nieprzyjaciela; oprócz stu blisko zabitych i rannych wzięliśmy w niewolę dowodzącego tym oddziałem rotmistrza i 20 żołnierzy; w tej bitwie jeden z naszych znalazł zgon chwalebny, 10 mieliśmy rannych. — Zabranych w niewolę żołnierzy i podoficerów staraliśmy się o naszej sprawie i o ich nędzy oświecić, i dawszy im po 20 zł. pol. wypuściliśmy, ażeby między swoich i naszą ludzkość i powzięte u nas wiadomości rozniešli.

Po tem świetnem zwycięstwie usiłowaliśmy przejść rzekę Boh, lecz widząc, że nieprzyjaciel wzbraniał nam przeprawy, nie chcąc się narażać na bezkorzystne straty, postanowiliśmy udając się w górę rzeki przebyć ją pod Janowem.

Przy uciążliwym całodziennym i całonocnym podczas ciągłego deszczu marszu, dnia 19 maja przed wschodem słońca zbliżając się do wsi Obodne, ujrzeliśmy w tejże wsi w bojowym porządku wychodzącego nieprzyjaciela. Siła jego składała się z trzech zupełnych szwadronów strzelców konnych i jednej kompanji artylerji. Jenerał dywizji Szczucki sam nieprzyjacielską siłą dowodził. — Na odgłos «nieprzyjaciel!» przebudziły się drzemiące i pomięszane szyki nasze. Nieprzyjaciel rozpocząwszy kanonadę, nie dozwolił nam czekać ani na zebranie wszystkich sił naszych, ani na uporządkowanie zebranych. — Żołnierze tylko z dwóch naszych szwadronów stanowiących straż przednią, najwięcej w liczbie 150, prowadzeni przez swych dowódzców, z wściekłością rzucają się na obadwa skrzydła nieprzyjacielskie, a kilku ochotników na armaty; pierwszy z pomiędzy nich groźnemi wyrazami: «nie strzelaj bo zginiesz» zapalającemu armatę kanonierowi lont z ręki wytrąca. — W jednej chwili opanowaliśmy obadwa działa, z których pięć razy tylko wystrzelono, i nieprzyjaciela zmusiliśmy do odwrotu. Połowa walczących z naszej strony, myśląc że już na tem koniec, przy opanowanych działach pozostała, druga zaś połowa milę blisko goniąc za sześć razy liczniejszym nieprzyjacielem, wszystkich w niewolę zabrała. Przy końcu tej pogoni, piętnastu i dwudziestu nieprzyjaciół przed dwoma lub trzema żołnierzami broń rzucało. — Wypadkiem tej świetnej i niepospolitej w dziejach wojennych potyczki było to, że blisko 60 nieprzyjaciół legło na placu, żeśmy zabrali w niewolę jenerała Szczuckiego, pułkownika Karabanowa, 16 oficerów różnego stopnia i 299 żołnierzy. — Zdobyczą naszą były 2 armaty, cała broń, wszystkie konie i wszystkie wozy z amunicją i furażem.

Mając tylu niewolników, mogliśmy w części przynajmniej

pomścić się za wszystkie nieludzkości i męki, jakich Rosjanie dopuszczali się na naszych współobywatełach, na naszych matkach i żonach; ale szlachetność naszemu narodowi właściwa, chęć naśladowania naczelników wojska polskiego w łagodnem obchodzeniu się z jeńcami, i nie splamieniu ani historji narodu, ani historji świętej rewolucji naszej, przemogła nad żądzą a nawet potrzebą krwawej zemsty. — Z niewolnikami obchodziliśmy się jak z przyjaciołmi; sami oni dziwili się tej naszej gościnności, której ani się spodziewali, ani warci byli. — Zostawiwszy przy armatach kilkunastu kanonierów, dla tego żeśmy nie mieli ludzi z tą bronią obznajomionych, resztę żołnierzy w dniu potyczki obdarzywszy pieniędzmi udarowaliśmy wolnością.

Dzień tak świetny dla naszego oręża tem radośniejszym był dla nas, że w chwili wygranej ucieszono nas wiadomością wejścia jenerała Dwernickiego do Kamieńca; spiesznie więc dążyliśmy na spotkanie braci naszych. — Lecz na nieszczęście nasze nadzieje, nasze złudzenia nawet trwały zbyt krótko — nazajutrz dowiedzieliśmy się o smutnej prawdzie, o tem, że wszelkich posiłków pozbawieni, sami sobie zostawieni jesteśmy. — Postanowiliśmy wzmocnić się przynajmniej połączeniem sił naszych z siłami tworzącego się powstania w okolicach Baru.

Po przejściu Bohu w Janowie, 23 maja z rana, stanęliśmy pod wsią Majdankiem między górami i lasami leżącą. Wychodząc w dalszą drogę mieliśmy straż przednią już za wsią, wieś była napełniona wozami, tylna straż do wsi dochodziła, gdy z lasów ukazała się nieprzyjacielska kawalerja. Nasza straż tylna żwawem natarciem odparła przednią straż nieprzyjacielską; ale przed całą jego siłą ustąpić musiała. — Wozy pozostałe we wsi na drugą stronę przemknąć się nie mogły: między temi było kilka wozów z naszymi rannymi. — Nieszczęśliwe te ofiary dostawszy się w ręce dzikiego nieprzyjaciela, najokrutniej zamordowanemi zostały. — Przednia straż daleko w przodzie będąca, nie mogła się dość prędko przedrzeć przez wąską w gęstym lesie drogę wozami obozowemi założoną. Mała więc tylko część naszych przy pomocy dwóch armat, krwawą bitwą kilkakrotnie nieprzyjacielskie szyki złamała i wielką mu zadała klęskę; ale widząc się zdradzoną przez rosyjskich kanonierów, których ugłaskać nie mogliśmy, i zbliżające się nowe siły konne i piesze i armaty nieprzyjacielskie, zagwoździwszy swoje armaty, ustąpić musiała; a w ręku nieprzyjaciela pozostały wszystkie nasze obozowe wozy, wszystkie zdobycze, i cała prawie kasa. — Jenerał i oficerowie rosyjscy, którzy byli naszemi więźniami, naówczas wolność odzyskali. — Blisko 30 rannych lub tych, którzy utracili konie dostało się w niewolę. — Rosjanie tem

tylko naszą delikatność w obchodzeniu się z ich jeńcami odpłacać umieli, że naszych na placu boju rozstrzelali. — Trwożliwy jak zawsze nieprzyjaciel, nie ścigając nas, dozwolił w zamierzonym postępować kierunku.

Dnia 24 maja o parę mil od Baru, połączyliśmy się z oddziałem powstańców z powiatów jampolskiego, winnickiego i latyczowskiego. — Powstańcy ci przy największem niebespieczeństwie w liczbie 300 zebrani w Barze, poniszczyli różne składy rządowe. — W chwili połączenia się pierwszą myślą naszą było zwrócenie się ku Wołyniowi, łączenie się z nowemi oddziałami powstańców i prowadzenie wojny partyzanckiej; lecz uwiadomieni, że formująca się legja podolska, która w chwili powstania naszego miała wkroczyć od strony Kamieńca, zupełnie była i jest nieczynną, i że nieprzyjaciel zyskując coraz nowe posiłki już nas okrążył, dnia 26 maja w liczbie 600 koni przebywszy granicę w Satanowie, przeszliśmy do Galicji szukać opieki neutralnego mocarstwa, i ulegliśmy temuż losowi jakiego doznał waleczny korpus Dwernickiego.

Wszystkich naszych towarzyszów broni jednem jest teraz życzeniem, w szeregach regularnego wojska powtórzyć dowody męstwa i przywiązania do ojczyzny.

Oto jest wierny rys działań naszego powstania, którego treścią jest poświęcenie się bez granic, usiłowania nadzwyczajne do powstania w oczach zbrojnego nieprzyjaciela, pogarda męczeńskiej śmierci, na którą się każdy powstający narażał, męstwo i wielkie nieszczęścia, które w Polakach toż męstwo do ostateczności przywodzą.

Jakkolwiek skutki powstania naszego nie odpowiedziały chęciom naszym, wszelako za żadne uważanemi być nie powinny; my bowiem przez kilka tygodni wytrzymując natarczywość nieprzyjaciela, zdołaliśmy całemu korpusowi Rota wzbronić połączenia się z wojskami nieprzyjacielskiemi w królestwie działającemi; a co więcej, że tym krokiem przekonaliśmy walczących od dawna za wspólną wolność braci naszych, że w nas mają braci, a całą Europę o tem, że jedyną jest naszą chęcią, ażebyśmy jak najprędzaj zrzucili jarzmo szkaradnego tyrana, przykładali się do odzyskania ojczyzny i wspólnie z bracią naszą, jej nową cieszyli się wielkością.

Czy oddzielona od nas tak znaczna część powstańców pod Daszowem, przedsięwzięła jakie osobne działania, i czy popowstanie w innych miejscach jeszcze się szerzy, o tem upewnić nie możemy. — Gdyby jednak w tej części polskiego kraju powstanie chwilową nieprzyjaciela przemocą przytłumionem zostało, zawsze ile można najprędsze odzyskanie jest stanowczem dla bogactwa, szczęścia i sławy narodu polskie-

go. — Wszyscy zamieszkali w niej rodacy nasi, i mnóstwo jęczących w więzieniach ofiar prawdziwego przywiązania do ojczyzny, z upragnieniem chwili wybawienia oczekują. — Pomimo mało znaczące spustoszenia wojny, kraina ta zachowała jeszcze materjały do utworzenia i utrzymania zupełnego powstania; sam bowiem nieprzyjaciel szanuje ją łudząc się nadzieją jej utrzymania.

Materjały te stanowią jeszcze ogromne bogactwa narodowe, do których nam zbieg nieszczęść, braciom naszym drogi otworzyć nie dozwolił. — Ale za wstąpieniem regularnych wojsk naszych na tę obiecaną ziemię, prysną okowy nieprzyjaciela, a nieszczęśliwi bracia nasi wyrwawszy się ze szponów tyrana, rzucą się w wasze objęcia i przyniesioną przez was wolność, powitają nieograniczonemi ofiarami majątków i życia.

ZEBRANIE

PORZĄDKIEM CHRONOLOGICZNYM WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ.

1830.

Listopada.

19 (17). Powstanie w Warszawie.

Grudnia.

5 (list. 23). Chłopicki bierze dyktaturę.

13 (1). Mikołaj z powodu wypadków w Polsce, oddaje pod prawo wojenne gubernje: grodzieńską, wileńską, mińską, wołyńską i podolską.

— W. Ks. Konstanty przechodzi Bug pod Wołdawą.

— Wiadomość o powstaniu poczyna się rozgłaszać w stronach przyległych.

16 (4). Przybywa przez Żydów w okolice Berdyczowa, Baru, Międzyboża i Kamieńca.

18 (6). Wzruszenie w Kamieńcu. Pierwsza zmowa obywateli podolskich: Denisko wysłany do Warszawy.

— W Warszawie pierwsza sesja sejmu.

19 (7). Wiadomość o powstaniu Królestwa rozchodzi się w głębi Ukrainy. Wincenty Tyszkiewicz dowiaduje się o tem w Skwirze.

20 (8). W Warszawie druga sesja sejmu.

21 (9). Jenerał moskiewski Kabłukow, wobec zgromadzonych obywateli odprawiwszy paradę wojskową, wychodzi z Kamieńca. — Wkrótce po wyjściu Kabłukowa, nadciąga Rydygier na Podole i rozkłada wojska swe w powiatach: kamienieckim, uszyckim, płoskirowskim i latyczowskim. Na Wołyniu w Dubnie zbierała się 25 dywizja Rozena, przez Żytomierz ciągnęły z Ukrainy korpusy Witta i Krejca.

— Wywiezienie notowanych patrjotów w głąb Rosji.

24 (12). Mikołaj wydał pierwszy manifest do wiernych poddanych.
26 (14). Lubecki stawił się przed carem.

1831.

Stycznia.

3 (22 grud. 1830). Datowany adres szlachty wołyńskiej.
7 (25 grud. 1830). Jezierski wyjechał z Petersburga napowrót do Warszawy.
— Pierwszy zjazd obywateli ukraińskich zgromadzony przez marszałka p. lipowieckiego Władysława hr. Krasickiego, polecił Wincentemu hr. Tyszkiewiczowi udać się do Warszawy. (Podróż ta dla napotkanych przeszkód nie wzięła skutku).
12—13 (31 grud. 1830—1 stycz. 1831). Wojska moskiewskie przechodzą granicę Królestwa. Gejsmar we Włodawie. Krejc w Uściługu.
15 (3). Związek Wolnych Synów Podola założony w Kamieńcu. — Około tegoż czasu na Wołyniu, Narcys Olizar objąwszy władzę Związku Kosynierów, począł rozwijać organizację celem powstania.
18 (6). Chłopicki złożył dyktaturę.
20 (8). Manifest Izb sejmowych.
22 (10). Adres Litwinów, Wołynian, Podolan i Ukraińców, przez 220 osób podpisany w Warszawie, a przez Lelewela Izbom sejmowym podany.

Lutego.

3 (22 stycz.). Odpowiedź Izb sejmowych na ten adres.
— Posłannictwo Chróściechowskiego wzięło początek w głównym sztabie.
6 (25 stycz.). Manifest Mikołaja z powodu detronizacji.
19 (7). Bitwa pod Wawrem.
— Towarzystwo Patrjotyczne Podolskie, zawiązane niedaleko Baru. Trzydziestu czterech podpisało akt stowarzyszenia. Nazajutrz ułożono organizację Towarzystwa i postanowiono Radę Centralną (Juntę).
25 (13). Bitwa Grochowska.
28 (16). Związek Wolnych Synów Podola połączył się z Towarzystwem Patrjotycznem.

Marca.

1 (17 lutego). Jł. Dwernicki w marszu z Kozieniec do Puław, otrzymuje rozkaz iść na Wołyń.
4 (20 lutego). Wycieczka z Zamościa do Uściługa.
Wkrótce potem, Olizar zdaje władzę Związku Kosynierów

Prażmowskiemu, sam zajmuje się wyłącznie Polesiem wołyńskiem. — W głębi Wołynia, patrjoci chcą postawić na czele k. E. Sanguszkę. — Około tegoż czasu obywatele ukraińscy zgromadzeni w powiecie taraszczańskim, wybierają na swego naczelnika Wincentego Tyszkiewicza.

8 (24 lutego). Zjazd walny Ukraińców w Czerniawce. Wincenty Tyszkiewicz obwołany naczelnikiem Ukrainy.

12 (28 lutego). Tyszkiewicz wydaje w Teklówce wezwanie Podolan na zjazd do Michałówki.

13 (1). Dwernicki staje w Nowem Mieście pod Zamościem.

16 (4). Chróściechowski zjawia się u Dwernickiego, bierze od niego polecenia na Wołyń. Pierwsza odezwa Jl. Dwernickiego do obywateli za Bugiem, prosząc o konie pod artylerję.

20 (8). Zjazd liczny z powiatów południowych Podola w Hubniku u Jełowickich. Sulatycki powołany na naczelnika Podola.

22 (10). Zjazd walny z powiatów północnych Podola w Michałówce. Tyszkiewicz równie naczelnikiem Podola jak Ukrainy.*)

Za powrotem z tego zjazdu, ostatnich dni marca, Tyszkiewicz otrzymał pierwszą odezwę jen. Dwernickiego (datowaną 16) i natychmiast dla porozumienia się z nim wysłał Józefa Tomaszewskiego.

Pierwszy emisarjusz od naczelnika powstańców do jenerała wyprawy.

31 (19). Denisko wracając z Warszawy, wymknął się z Galicji na Podole.

— Chróściechowski wyjechał powtórnie z obozu Dwernickiego, z poleceniem żeby oznajmił na Wołyniu i Podolu, że jenerał za dni 10 Bug przejdzie.

— Rada wojenna w Gliniańcu. Tyszkiewicz z dawnymi oficerami układa plany powstania. W dwóch gubernjach przez organizatorów powiatowych zapewnionych jest na pierwszy ruch 12,000 jeźdźców.

Kwietnia.

3 (22 marca). Dwernicki wyrusza w pochód ku Bugowi.

5 (24 marca). W Zwierzyńcu odprawuje nabożeństwo, z powodu otrzymanej wiadomości o zwycięstwie pod Dembem.

9 (28 marca). Czoło kolumny zbliżyło się pod Kryłow.

— Junta podolska za powrotem delegowanych z Gliniań-

---

*) Niektóre podania zjazdowi w Michałówce naznaczają dzień 17 (5) marca. Nie mogłem dojść pewności, która data prawdziwa.

ca, odbyła posiedzenie i nakazała złożyć zjazdy we wszystkich powiatach dla zadość uczynienia przepisom rady wojennej. Dla powiatu uszyckiego i przyległych naznaczono zjazd do Strugi.

11 (30 marca). Dwernicki o świtaniu Bug przechodzi.

— Zjazd powiatu uszyckiego i przyległych w Strudze u marszałka Stempowskiego.

— Zjazd związkowych powiatu latyczowskiego. Nagórniczewski obrany dowódzcą siły zbrojnej powiatowej.

12 (31 marca). Dwernicki w Lachowcu wydaje odezwę do obywateli i powiada im: «teraz albo nigdy.» — Chróściechowski posłaniec jenerała siedzi gdzieś nad Styrem. — Tomaszewski posłaniec Tyszkiewicza błąka się za linją wojsk moskiewskich. — Tyszkiewicz otrzymawszy pierwszych dni kwietnia wiadomości: 1. że Sulatycki obrany naczelnikiem Podola, 2. że Denisko powrócił z Warszawy, odpowiedział: iż Sulatyckiemu zda władzę, skoro wyborcy tego zechcą, a spodziewając się wyraźnych instrukcji od Rządu Narodowego, spieszy nad granicę galicyjską dla widzenia się z Deniską. W Międzybożu został objaśniony, że podróż ta była daremna. — Tymczasem kolumny Rydigiera posuwają się od Markostaw ku Skurczom, Rot z za Dniestra, Kajzarow od dolnego Dniepra śpieszą mu w pomoc; lecz prócz szwadronów zapaśnych w Berdyczowie i Machnówce oraz drobnych załog po niektórych miasteczkach, reszta Ziem Ruskich wolna od nieprzyjaciela.

13 (1). Dwernicki przychodzi na noc do Drużkopola.

14 (2). Bawi tu dzień cały i mianuje regimentarzy.

15 (3). Pierwsze poruszenia zbrojne na Polesiu wołyńskiem. — Stanisław hr. Worcel w kowelskiem, Ludwik Stecki we włodzimierskiem broń podnoszą.

Chróściechowski zjawia się nad granicą Galicji, Malinowski w Krzemieńcu otrzymuje od niego wezwanie, żeby przybył z nim się widzieć.

Około tego czasu Izydor Sobański wykonywa przysięgę Naczelnikowi w Oczeretnej. Obecny jest temu Aleksander Jełowicki. Tyszkiewicz ostatecznie przez wszystkie powiaty uznany, nie ma pewnego postanowienia kiedy poruszyć powstanie, bo nic nie wie o krokach jenerała Dwernickiego.

16 (4). Dwernicki o południu przybywa do Boremla. — Rydiger w Łęcznej.

— Jł. Sierawski porażony pod Wronowem, później pod Kazimierzem.

17 (5). Dwernicki w Boremlu stawi most na Styrze.

— Po południu przybywa tu pułkownik M*** obrany dowódzcą powstańców poleskich, i donosi o ucieczce Prażmow-

skiego, o sparaliżowaniu powstań jakoby w skutek listu od Wodza naczelnego.

— Dwernicki wydaje nowe proklamacje.

— Stecki wieczorem napadnięty przez Dawidowa we Włodzimierzu.

18 (6). Utarczki pod Boremlem.

— Stecki z jazdą i 100 pieszych powstańców przybywa do Boremla.

19 (7). Bitwa pod Boremlem.

— Zjazd wołowy w Kamieńcu.

20 (8). Dwernicki o świtaniu przechodzi Styr w Beresteczku, wieczorem przybywa do Chocimia.

— Rot z czołem swojej kolumny przeprawia się przez Dniestr na Podole.

21 (9). Dwernicki przeszedł Radziwiłłów.

22 (10). Dwernicki z Podlisic wyprawuje gońcem na Ukrainę Stefana Zapolskiego.

— Rot wchodzi do Kamieńca.

— Powstańcy polescy z Godebskim i Olizarem przybywają do obozu założonego przez Worcela w Czerewasze. Kapitan Bogdanowicz obejmuje dowództwo siły zbrojnej.

— W Radomyślskiem ledwo dochodzi niewyraźna pogłoska o zbliżaniu się jakiegoś oddziału wojsk polskich do Wołynia.

23 (11). Koniec zjazdu wołowego.

— Rot po odbytej paradzie wojskowej przemawia do obywateli.

— Obywatele postanowiwszy powstać w dniu 3 maja, rozjeżdżają się do domów. Policja chwyta już notowanych. Członkowie junty piechotą wymykają się z miasta.

Tyszkiewicz wcześnie uwiadomiony o poszlace powziętej przez policję, lękając się utraty potrzebnych mu osób, wyprawił koło tego czasu Pilichowskiego na Wołyń, ażeby wezwał Karola Różyckiego na dowódzcę siły zbrojnej ukraińsko-podolskiej.

— Dwernicki staje na noc w Kołodnem.

— Malinowski i Chróściechowski w gronie związkowych niedaleko Międzyboża, otrzymawszy list z pod Kołodna, decydują się wezwać Podole do broni.

24 (12). Okólnik Malinowskiego i Chróściechowskiego wzywający do powstania, rano rozesłany został.

— Prócz tego w wielu miejscach północnego Podola, w skutek postanowień zjazdu wołowego uzbrajano się już jawnie.

— W północnej stronie tej prowincji, Sobańscy poczęli uzbrajać się z innych powodów. Upominani przez marszałka

Jełowickiego, aby nie mięszali ogólnych układów, przyrzekli mu czekać trzy dni na rozkazy Tyszkiewicza.

— Dwernicki jeszcze w Kołodnem wzywa obywateli żeby podpisali akt powstania; sam zaś, skoro pokazała się jazda Rydigera, rusza w dalszy pochód.

— Wieczorem o godzinie 11, Tyszkiewicz otrzymuje w Oczeretnej okólnik Malinowskiego i Chróściechowskiego; daje odpowiedź gońcowi, iż dni dziesięć potrzebuje.

25 (13). Dwernicki o 10 rano przeszedłszy wieś Koślaki, zatrzymał się przy karczmach luliniecckich.

Narada w Hubniku z powodu ruchu Sobańskich. A. Jełowicki spieszy do Tyszkiewicza.

— Komplet junty nie daleko Kamieńca otrzymuje wiadomość, że legja Wereszczyńskiego zabiera się wkroczyć na Podole.

— Różycki w drodze do Tyszkiewicza, otrzymawszy okólnik Malinowskiego i Chróściechowskiego wraca do domu i każe lance osadzać.

— Chróściechowski naglony przez członków zjazdu wołowego, wydaje wieczorem pismo cofające okólnik.

Powstanie odwołane do dnia 7 maja (25 kwietnia).

26 (14). Dwernicki opasany przez Rydigera między granicą Galicji i bagnami Zbrucza, jest w ciężkiem położeniu.

— Kajzarow częścią swego korpusu połączył się już z Rydigerem.

— Rot ciągnie jeszcze gościńcem od Kamieńca ku Tynnie.

— W północnych powiatach Podola i przyległych Wołynia, odwołanie wydane przez Chróściechowskiego sprawuje okropny zamęt. W południowej stronie Podola Sobańscy mając już pod bronią 250 ludzi, oczekują odpowiedzi od Tyszkiewicza.

— Tyszkiewicz przez A. Jełowickiego rozkazuje Sobańskim wstrzymać się do 7 maja. W kilka godzin potem odbiera doniesienie, że Chróściechowski na tenże dzień odwołał powstanie.

Drugi emisarjusz wysłany dopiero do Dwernickiego.

— W nocy przeszło 500 zbrojnych Podolan z powiatów nadgranicznych uchodzi już do Galicji.

— Malinowski i Chróściechowski jadący do Dwernickiego, trafiwszy na pikiety Rota, przeprawiają się także za Zbrucz.

27 (15). Dwernicki rano wchodzi do Galicji.

— Całe północne Podole, które w tym dniu miało być pod bronią, napełnia się trwogą i zamięszaniem.

— Aleksander Sobański rano zabiera poczty. Po południu

przybywa do Piątkówki deputacja z rozkazem Tyszkiewicza. Powstanie i tu w chwili wyjścia na jaw zahamowane.

— Różycki otrzymuje odwołanie.

— Stempowski otrzymuje wezwanie.

29 (17). Powstańcy polescy maszerując do Pińska, po noclegu w Grodku zmieniają zamiar. Tabor odesłany w lasy Włodzimierca; Bogdanowicz z oddziałem wyborowym idzie zdobywać Kowel.

— Dwernicki w Chlebanówce nalegany przez emisarjuszów Tyszkiewicza, daje im na piśmie rozkaz powstania.

— Stefan Zapolski emisarjusz Dwernickiego, przybywa do Tyszkiewicza, bez wyraźnych żądań i z wiadomością, że korpus może być zmuszony ratować się wejściem do Galicji.

— Sabatyn wysłany od Sobańskich przybywa do Tyszkiewicza z prośbą, żeby naczelnik poparł rozpoczęte ruchy zbrojne.

— Tyszkiewicz odkłada wszystko do zjazdu mającego się odbyć w Buhajówce.

30 (18). Powstańcy polescy z Bogdanowiczem przychodzą wieczorem pod Kowel.

— Poruszenia cząstkowe w winnickiem, uszyckiem i jampolskiem. Stempowski formuje swój oddział w Strużce. Hufiec zgromadzony pod dowództwem kapitana Kurowskiego, uciera się ze szwadronem strzelców konnych w Michałówce.

— W hajsynskim i przyległych powiatach rząd przedsiębierze środki przeciw podejrzanym patrjotom. Jełowiccy otrzymują przestrogę, że szwadron żandarmów komenderowany, żeby ich schwytał w domu.

— Szermetjew w północnych stronach Podola zajmuje punkta, które były wyznaczone na zbieranie się powstańców.

— Rot ciągnie ku południowemu Podolowi.

Maja.

1 (19 kwiet.) Dień Wielkiejnocy v. s.

Odezwa wodza naczelnego do prowincji zabranych.

Powstańcy Polescy biorą Kowel. — Tabor ich rozpłoszony pod Włodzimiercem.

— Naczelnicy powiatu latyczowskiego, zaczynają objażdżkę w celu organizowania się na nowo.

— Stempowski w marszu z Wonkowiec do Zinkowa, otrzymuje wiadomość, że Dwernicki schronił się do Galicji, a razem przedwczesną pogłoskę o silnem wybuchnięciu powstań w powiatach południowych.

— Rzewuski i oddział zgromadzony u Sabatynów, przychodzą do Piątkówki, co siłę Sobańskich podnosi do 380 ludzi.

2 (20 kwietnia). Sobańscy alarmowani przez Moskali.

— Zjazd Ukraińców w Buhajowce. Większość uznaje porę za niedogodną do powstania. Tyszkiewicz składa swój urząd, wydaje okólnik wzywający do łączenia się z Podolanami.

— Powstańcy polescy za powrotem do Grodka dowiadują się o klęsce swoich pod Włodzimircem, rozpuszczają lud pieszy, a z jazdą zamierzają dostać się do Dwernickiego.

3 (21 kwiet.). Termin powstania naznaczony przez zjazd wołowy. Wiadomość o wejściu Dwernickiego do Galicji staje się powszechną w północnem Podolu.

— Jł. Chrzanowski wysłany na wsparcie Dwernickiego i powstań, wychodzi z Latowiża.

— Powstańcy polescy pod Hulanikami. List pułkownika M*** z Galicji odbiera im ostatnią nadzieję. Rozsypka Polesian.

— Zjazd obywateli hajsynskich w Hubniku. Powstanie uchwalone, dawne plany upadają, za punkt zbioru dla kilku powiatów naznaczona Krasnosiołka.

— Raczyński wysłany od Wereszczyńskiego z zapowiedzią, że legja ma wkroczyć na Podole, przybywa do Oczeretnej.

— Emisarjusze Tyszkiewicza wracający z Chlebanówki są w ręku Rydigera.

4 (22 kwiet.). A. Jełowicki z doniesieniem o postanowieniach ostatniego zjazdu w Hubniku, przybywa do Oczeretnej.

— Tyszkiewicz w skutek przybycia Raczyńskiego i Jełowickiego, wydaje w Czerniawce rozkazy dla całej Ukrainy powstania w dniu 7 maja, Krasickiemu poleca widzieć się z jenerałem Kozłowskim.

— W powiecie radomyślskim, z powodu wiadomości otrzymanej o losie korpusu Dwernickiego, układy rychłego powstania rozchwiane.

— W powiecie latyczowskim, naczelnicy skończywszy objażdżkę, zdają sobie smutne raporta; postanawiają jednak wziąść się do broni.

5 (23 kwiet.). Uchwała Sejmowa przypuszczająca prowincje, w których objawia się powstanie, do dawnego wspólnictwa praw politycznych z królestwem.

— Dzień powstania powiatów południowych Podola. Powstańcy od świtu ściągają się do Krasnosiołki. Jenerał Kołyszko obwołany wodzem.

— Stempowski z oddziałem powstańców uszyckich trafia pod Szarogrodem na przechodzące pułki Rota. Wraca od tego punktu w swój powiat.

— Krasicki w nocy zdaje raport Tyszkiewiczowi ze swego poselstwa do Kozłowskiego.

6 (24 kwiet.). W wigilję terminu powstania Ukrainy, Tyszkiewicz wyjeżdża poruszyć północne strony Podola.

7 (25 kwietnia). Powstanie Ukrainy nie liczne i roztargnione.

— Podolanie w obozie pod Krasnosiołką, obchodzą uroczystość powstania.

8 (26 kwiet.). Ukraińcy skupiają się w Sale. Jan Zapolski ogarnia dowództwo.

10 (28 kwiet.). Oddział latyczowski uformowany. Nagórniczewski w lasach żeniczkowieckich, ma już przy sobie wszystkich pierwiastkowych powstańców latyczowskich.

— Stempowski rozproszony przez ułanów Szeremetjewa.

— Kołyszce ukazują się ułani Rota.

— Zapolski z powstaniem ukraińskiem wychodzi ze Skały-

11 (29 kwiet.). Jł. Chrzanowski staje w Zamościu.

— Kołyszko wyrusza w marsz do Granowa.

— Zapolski od Łukaszówki zwraca się ku temuż punktowi.

— Szeremetjew w Zamiechowie.

— Rot przechodzi na lewy brzeg Boha w Ładyżynie.

13 (1). Poruszenia zbrojne objawiają się na Polesiu kijowskiem. W Radomyślskiem Gałecki rozpoczyna powstanie, potyka się z kozakami w Ksawerowic.

— Powstańcy południowego Podola i Ukrainy łączą się w Granowie. Korpus Kołyszki liczy 17 szwardronów jazdy.

— Rot z dziewięcią szwadronami ciągnie od Ładyżyna na Hajsyn.

— Chróściechowski w głównej kwaterze otrzymuje nową misję.

14 (2). Kołyszko o 11 przed południem wyrusza z Granowa.

— Rot o 4 po południu trafia na tył kolumny Kołyszki. Bitwa Daszowska.

— Gałecki wieczorem wchodzi do Czarnobyla.

15 (3). Z rozsypki pod Daszowem zebrało się w Lińcach 580 koni. Z tymi Kołyszko idzie ku Winnicy.

— Nagórniczewski ma już 220 konnych i kilkudziesiąt pieszych. Zamyśla uderzyć na Latyczow.

— Gałecki z Radomyślanami w Czarnobylu odprawuje uroczystość i wychodzi do obozu pod Białosorokę.

Około tegoż czasu Owruczanie zakładają swój obóz niedaleko miasta powiatowego.

16 (4). Nagórniczewski odbywa paradę wojskową i na całą noc wychodzi w marszu ku Latyczowowi.

— Poruszenie zbrojne w środku Wołynia. Różycki w wigilję terminu, który był naznaczył po odwołaniu przez Chró-

ściechowskiego, zgromadza związkowych w lasach Korowiniec małych o 4 mile od Żytomierza.

— Kołyszko nocuje w dębinie pod wsią Obodnem.

— Rot zwolna posuwa się za Kołyszką.

— Szeremetjew spiesząc zabiedz mu przed oczy, stanął w Tywrowie nad Bohem.

— Oddział strzelców konnych dąży od Machnówki ku Obodnemu.

17 (15). Nagórniczewski rano staje w lesie Daraźni zwanym Wodziany, wieczorem zbliża się pod Latyczow.

— Różycki robi kilka poruszeń w różnych kierunkach dla zbałamucenia nieprzyjaciela.

— Kołyszko przeszedł Woronowicę, ciągnie przez Michałówkę dla przejścia Boha, trafia na ułanów Szeremetjewa.

— Korzyść odniesiona w potyczce na przeciw Tywrowa.

18 (6). Napad na Latyczow. Nagórniczewski cofa się na miejsce gdzie nocował poprzedniej nocy w lesie starostwa latyczowskiego.

— Różycki zwraca się w nocy od Lubaru ku Żytomierzowi.

— Kołyszko błąka się nad Bohem szukając przeprawy i wraca ku Obodnemu.

— Jł. Szczucki z trzema szwadronami strzelców konnych i dwoma działami staje w Obodnem.

19 (7). Nagórniczewski obozuje pod Jabłonówką: cały jego oddział znowu zgromadzony. Wieczorem przechodzi pod Szyińce.

— Komendy moskiewskie rozrzucone w północno zachodnim kącie Podola ściągają się do Daraźni.

— Kołyszko o świtaniu trafia na Szczuckiego. Świetne dla powstańców zwycięstwo pod Obodnem.

— Uchwała Sejmowa o posłach i senatorach z prowincji zabranych.

20 (8) Nagórniczewski wybiera się na wyprawę do Hałuzieniec, otrzymuje wiadomość o patrolach wysłanych z Daraźni. Pomyślna zasadzka na kozaków w Szyińcach.

— Różycki przecina dwa trakty Żytomierskie; pod Cudnowem zabiera konwój 560 rekrutów.

— Szermetjew z Tywrowa posuwa się prawym brzegiem w górę Boha i sprowadza sobie artylerję z Baru.

— Rot na lewej stronie Boha idąc za Kołyszką, przychodzi do Woronowicy.

— Tyszkiewicz przebrany za furmana przebywa obóz Rota.

21 (9). Nagórniczewski między Hołodkami a Czerniatyniem łączy się z oddziałem powstańców jampolskich i winnickich, zamierza wspólnie wkroczyć do Baru.

— Różycki idzie z pod Dubiszcz w ciągły marsz ku Podolowi dla połączenia się z Kołyszką.

Około tego czasu, Radomyślanie wybierają się z Białosoroki do obozu Owruczan.

— Kołyszko rano odbywa radę wojenną, po południu przebywa Boh w Janowie, dowiedziawszy się od Tyszkiewicza o bliskości nieprzyjaciela przedsiębierze środki odporne, lecz skoro się przednie straże moskiewskie ukazały, rusza na całą noc w pochód ku Barowi.

— Rot w Janowie.

— Szeremetjew między Janowem i Barem.

22 (10). Nagórniczewski wchodzi do Baru, wieczorem opuszcza miasto i staje na noc niedaleko Hołubówki.

— Różycki między Chmielnikiem i Janowem przechodzi ra prawy brzeg Boha.

— Kołyszko całą noc maszeruje w kierunku Kalnej Daraźni.

— Rot z Janowa ciągnie na Chmielnik do Międzyboża.

— Szeremetjew kierując się na Daraźnię, chce przeciąć drogę Kołyszce.

23 (11). Nagórniczewski urządza się pod Hołubowką z nowo pozyskanym oddziałem. Emisarjusz Kołyszki wyprawiony po bitwie pod Obodnem, przybywa do obozu. Marsz na całą noc ku Żeniczkowcom dla zejścia się z Kołyszką.

— Różycki przeciąwszy drogę, którą szedł oddział Kołyszki, zmierza pod Lityń.

— Kołyszko po krótkim wypoczynku o świtaniu opuszcza wieś Majdanek.

— Szeremetjew napada na Kołyszkę.

Bitwa i klęska powstańców pod Majdankiem.

— Rot znajdował się wtenczas koło Latyczowa.

24 (12). Nagórniczewski rano w dębinie niedaleko Zenickowiec otrzymuje wiadomość o klęsce pod Majdankiem i wezwanie Kołyszki, żeby spieszył mu na ratunek. Idzie więc ku Ochrymowcom.

— Kołyszko zebrawszy kilkaset ludzi w lasach Kalnej Daraźni, ciągnie na Ochrymowce do Zinkowa.

Wieczorem oba oddziały połączyły się i zanocowały w Bebechach.

— Rot oskrzydlając powstańców z prawej strony, ciągnął traktem do Płoskirowa.

— Szeremetjew okrążając ich z lewej strony, dążył przez Bar ku Zinkowowi.

Między Rotem i Szeremetjewem znajdował się oddział moskiewski zgromadzony w Daraźni.

— Różycki za tą linją nieprzyjaciela, stał rano na wysokości Litynia naprzeciw Ksawerówki. Jl. Szczucki uwolniony

pod Majdankiem z rąk powstańców, nocował z piechotą o 800 sążni od stanowiska Różyckiego. O południu przychodzą wiadomości objaśniające kierunek marszu Kołyszki. Różycki postanawia przedrzeć się do Królestwa, i dla zatarcia śladu zwraca się nieco ku Winnicy.

25 (13). Kołyszko i Nagórniczewski przez Jarmolińce i Kupin, a oddziałek z Jelowickimi na Felsztyn, zmierzają do Galicji.

— Różycki zmieniwszy nagle kierunek od Winnicy, przechodzi Boh i wieczorem staje w Janowie.

— Rot i Szeremetjew zostają o jeden marsz za ściganymi powstańcami.

26 (14). Powstanie Podolsko Ukraińskie kończy się przez wejście do Galicji.

— Legja Wereszczyńskiego wybierająca się na Zbrzyż uderzyć, znowu zaskoczona przez emigrantów za Zbruczem.

Owruczanie i Radomyślanie rozbici (około tego czasu).

W Ziemiach Ruskich pozostaje tylko jeden oddział Różyckiego, który z bronią w ręku dąży ku Bugowi.

27 (15). Różycki popasuje niedaleko Krasnopola. Oddział piechoty moskiewskiej rozbity pod Mołoczkami.

28 (16). Popas pod Miropolem.

29 (17). Przejście Słuczy w Baranówce.

31 (19). Dzień w Międzyrzeczu.

Czerwca.

1 (20 maja). w Bereznie.

2 (21 maja) Zwycięstwo nad strzelcami konnymi pod Tyszycą.

6 (25 maja). Chróściechowski w Galicji z pogłosek chwytanych od emigrantów pisze swoje raporta o powstaniu Ziem Ruskich.

9 (28 maja). Różycki przebywa Bug.

10 (29 maja). Napada na obóz moskiewski pod Uchaniami.

12 (31 maja). Przychodzi do Zamościa.

18 (6). Olizar wszedł do sejmu.

25 (13). Godebski jako poseł łucki wszedł do koła sejmowego.

Lipca.

2 (18 czerwca). Worcel jako poseł rowieński wszedł do izby.

9 (25 czerwca.). Posłowie, podolscy i ukraińscy obrani.

12 (30 czerwca). Wprowadzeni do sejmu.

KONIEC.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.



